

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemysłu.

4383

D

—

/

.



Pu *A: 589*

589

OTCHŁAŃ POLSKA

ROMANS NARODOWY

Przez

LEONA ŚWIEŻAWSKIEGO.

~~BIBLIOTEKA
URZĘDNI: TOW. WZAJN. UB. w KRAKOWIE
SEKOYA IV.~~



LWÓW 1906.
GŁÓWNY SKŁAD »KSIĘGARNIA NARODOWA« WE LWOWIE.

103

3143001

A-18313



1000173406

Literat. 13a

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

K. 1160/56/1045



I.

Dusza człowieka jest tak nieskończenie bujną i płodną, jak przyroda ziemi, na której radzi lub nieradzi żyjemy. Ludzkości, żądnej życia, dusza człowieka jest takim samym pożytkiem, skarbem i błogosławieństwem, jak ziemia, słońcem powołana do służby, przez ludzkość uczczona, ubłagana krwawym znojem do czynu. To też mimo wszystkie prawa, które ludzkość z tytułu człowieczeństwa sobie przyznaje, hymn miłości i uwielbienia płynie w przestrzenie — ludzkość czci ziemię i przyrodę.

Lecz czy w ułomnej przecież części umie ludzkość uczcić duszę, której tyle bytu i potęgi zawdzięcza? Nie umie! Dlaczego nie umie?... Dlaczego w żądzy żarłocznego używania owoców, nie tylko nie czci, ale strasznie morduje bratnie dusze?... Dusza człowieka jest tem samem, co dusza kwiatu, dusza ziarna z listków kwiatu wynikłego, dusza dębu, rycerza burzy, dusza żywych i wzniosłych skał, rodzących sól i złoto — słowem dusza człowieka jest bezmiernie potężną istnością, podobną, częstokroć taką samą, spotykaną w wszechświecie, jednak do poznania jej nie zaprowadziły nas ani prawa nauki, ani żadne inne ścieżki, tak samo, jak nie znamy zasadniczych praw ogólnego bytu.

To też możnaby złożyć trybunał i uniewinnić ludzkość z szeregu ciężkich mordów popełnianych na

majestacie półboga, na duszy człowieka, gdyby nie okoliczność, że ludzkość tak świętą pieczę i tak wszechwładną czcią otacza dusze innych tworów ziemskich. Ludzkość drży skrzepla mrozem i przysypana śniegami północy, jęczy w okowach lodowej duszy biegunów, schnie w gorących piaskach pustyni, ulegając niekiedy huraganowi bezwzględnych na rozpacz promieni słońca, w niebo zaś bije pieśń wesela i miesza się z tchnieniem wiosny, gdy dusza karmicielki ziemi rodzi pierwsze zielone pędy, nadzieje żniwa i sytości. A w ogródku przed domkiem nędzarzy rośnie rozkosznie gromadka kwiatów, ile tam troski, starania, smutku i uciechy, gdy to w opiece ludzkiej rośnie lub więdnie. I tak na całej ziemi.

I w krwawym pocie ludzkość dobywając owoców ziemi, śpiewa pieśń ku czci mchu nędznego, który wykwitł z pod głazu i szronu, bo ten plon marny już jej żywot w niejednym wypadku rozpromienić zdolny, żyje nieraz i z owoców suchej pustyni i wdzięczna jej za to, a przecież niezna duszy ziemi tak samo jak duszy człowieka.

Dlaczegoż więc dusza ziemi doznaje czci boskiej, a dusza człowieka im więcej daje ludzkości, tem zwykle śmieiej deptana, znieważana, dopiero w toku wieków i historii bywa stawianą w Panteony, znaczy się jej pamięć widomym znakiem spiżu lub marmuru! Dlaczego lejąc spiże, ludzkość sroma się morderstwa, któremu ongi wtórowała, patrząc na bole krwią ciekącej duszy — a spiżu w formy nalawszy, stawia pomnik nieśmiertelnej pamięci i znów żyjące dusze katuje, równocześnie, bez ustanku, śpiewając hymny dla pól, wód, skał i wszystkiego owocodajnego jestestwa! Dlaczegoż to?

Dlatego, że każdy owoc ziemi da się ująć w rękę i zjeść, że z głębi łona ziemi da się wydrzeć skarb jasny, świetlisty, oceniony przez ludzkość jako pieniądz, za który wszystkiego dostanie, że każdy trud, choćby z chwilową ofiarą połączony, a włożony w ziemię, zrodzi plony, które nasycą żądze życia. A dusza... Ludzkość gnana żądzami, nie wie co da siła płynąca z głębi wielkiej duszy, czy mordy i pożogi, czy twarde warunki, które rozkażą strzedz honoru człowieczego i każą człowiekowi być wyższym nad zwierzęta, czy niebiańskie zachwyty boskiej sztuki, która opasłe cielsko ludzkości wprawia w przykre zmieszanie, gniotąc je swem królestwem tak niepokalanie świętem, że aż królestwem wrogiem spaszemu rodowi ludzkiemu.

To też, gdy pojawi się na ziemi wielka dusza i pocznie głosić nowe słowa... ludzkość zrazu słucha zdumiona, wzdraga się, lęka, słupieje wobec słów nowych, których znaczenia nie rozumie. . a gdy strwożonej gromadzie szepnie ktoś śmielszy: ona w twój spokój, w twe zdobycze godzi — ludzkość z zażartością lwicy, broniącej swego statku, rzuca się na przybysza i dusi go w strasznych kleszczach swej wściekłości! A po czasie, gdy zazna błogosławieństwa słów ukrzyżowanego proroka... spiże leje, Panteony stawia!

I tak zawsze od początku istnienia ludzkości. Ale uniewinnić ludzkości nie można. O — trzeba głosić olbrzymim głosem — jeśli ty ludzkości umiesz uczyć łan, który da ci mąkę, bydłę, które da ci mleka i mięsa, las, który da ci schronienie, kopalnię, która da ci skarby — to umiej uczyć dusze, które dają twjej istności królewskie uczyty, dają nieużyte źródło życia twemu sercu i rozumowi i umiej odróżnić tego, kto daje kró-

lestwo sztuki, albo godności człowieka stawia nowe trony, od tego, kto ci mordy i pożogi daje... Bo ty ludzkości masz ciało i rozum! Jeśli to, co dla ciała, twej czci doznaje... i to co dla twej myśli na cześć tę zasługuje. Lecz jeśli pojąć nie możesz, czy nowe słowo proroka da ci błogosławieństwo, czy śmierć, i stoisz zrazu lękliwa, następnie w lęku przed stratą, toczysz jego krew męczeńską — to ty ludzkości ani rozumu ani myśli nie masz — jesteś stadem krwistych bałwanów!

Tak myślał Łącki, leżąc w łóżku. Spać nie mógł, palił świecę stojącą na stoliku, a gdy nieco znużył się myślami, spoglądał na czerniałe stare płótna wiszące na ścianach pokoiku, lub słuchał brzęku much zbudzonych światłem świecy i trzepotania ćmy, która wleciała przez otwarte okno z ogrodu. A sen nie przychodził, mimo gorące pragnienia. Wreszcie przypomniał sobie Łącki, że chłód nocy da ukojenie tłumnie się dobywającym myślom, wichrzonem uczuciem udręczenia, uczuciem walki, toczącej się w duszy, zda się bez wyraźnego celu. Jakoż wstał, zgasił świecę i poszedłszy ku oknu sparł się i wyglądał. Noc lipcowa, gwiazdzista, spokojna, uroczysta opiekunka dojrzewających łanów zbóż, błyszczała dziwnem światłem, coraz wyraźniejszym, im więcej oko Łąckiego przyzwyczajało się do nocy. Była cisza, a jednak życie tłało, bo dech jakiś wionął, jakby przygotowywała się do pracy dziennej w słońcu.

Łącki tak wsłuchiwał się w oddechy śpiącej ziemi, że się wzdrygnął, zasłyszawszy opodal domu szmer dość wyraźny. W nocy oczy to zmysł najmniej zdatny i pojętny, a mimo to Łącki wpatrzył się w miejsce, skąd szmer dolatywał i zdawało mu się, że dojrzał bielejące

widma, podobne do ludzkich postaci. Dopatrzywszy się więc ludzi, począł ogarniać położenie i domyślił się, że to dwoje ludzi siedzi na ławce przy grupie krzewów. Co to za ludzie? Coby czynili tam, już po północy, gdy wszystko śpi, jedynie nie śpią ci, którym się życie targa niepokojem lub gorączką! Czy to duchy knujące zdradę przeciw śpiącym, czy to mary skazane na męki bezsenności, czy to może motyle miłości, dla których cienie nocy są państwem i prawem. Trudno zadecydować, można tylko jedno wykluczyć, a zgodzić się na drugie przez przypuszczenie, że w ludnej okolicy zbójców niema, że bezsenni parami nie chadzają, że to miłość złożyła dwa kwiaty ku sobie i pędząc je niepowstrzymaną mocą, wpędziła w odmęty cieniów, aby te dwa kwiaty zdobyć wyłącznie dla siebie. Łąckiemu to przypuszczenie wydało się najrozsądniejszym, ale równocześnie wywołało w nim niepomierną ciekawość, zaostrzoną osobistym apetytem do miłości. Ale chciej ty przebić wzrokiem tonie nocy, chciej wyłowić uchem szmery gubiące się w głuchocie drzew ogrodu, a przytem umiej być wytwornym i nieprzeszkodzić upojonym w ich upojeniu!.. Kto to być może? Mężczyzna i kobieta, z tego domu, z tego otoczenia, bo któżby obcy z miasteczka lub wsi szedł do dworu przez płoty i parkany, aby się gubić w swych płonących porywach.

Bielejące postacie nagle się poruszyły, powstały z ławki i rozdzieliły. Teraz było je znać wyraźniej, jedna wydawała się bielszą, druga szarawą. Któżby to był?.. Więc bystry obserwator począł po kolei uprzytomniać sobie mieszkańców domu. Najpierw kobiety. Pani domu to nie była, ponieważ toby nie licowało z jej powagą i przykładną gospodarnością, która zwykle

wyklucza romansowość — o dwóch pannach domu nie ma co myśleć, tak samo o bawiącej w gościnie pani Ozorskiej — chociaż kto wie? Pani Ozorska bardzo lubi oprócz sałaty dwuznaczniki i liryczną poezję. Wreszcie mogła to być Karolka, bardzo i to bardzo niewieścia dziewczyna, pełniąca służbę pokojówki. O dziewczkach kuchennych myśleć nie można, Łącki aż podniósł się na wspomnienie tych zawsze tłustych i osmolonych istot, które ani w miasto, ani w sielanki wstawić niepodobna. Ale mianowanie pani Ozorskiej przypadło mu do smaku. Wolał, żeby to była ta pani, niechby z kimkolwiek, byle nie Karolka... W tej chwili przypomniał sobie, że Dębowicz magnetyzował dziewczynę od pierwszej chwili przyjazdu, w złości przygryzł usta i odszedł od okna.

— Teraz nie usnę — powiedział. — ...Co też tam porabia pani Ozorska?

I znów wyrzwał przez okno, a ponieważ w pokoju było ciemniej, niż na zewnątrz i ponieważ krótka lipcowa noc szybko ustępuje miejsca świtaniu, wydało mu się nagle tak jasno, że stanowczo rozpoznał, iż widmo wyglądające, jak niewiasta, miało włosy jasne, jak Karolka, a nie miało czarnych, jak pani Ozorska. I rozśmiał się. Lecz śmiech był dziwny, nie ostry, nie wyrażny, a smętny.

— Jestem zawsze bezradny! — rzekł i z uśmiechem jakby skamieniałym patrzył w wdzięczące się do siebie postacie, aż te poczęły się mięsząć w mgłach pierwszego świtania — potem się rozplynęły, jedna w jedną, druga w drugą stronę.

Hoży poranek rozbudził mieszkańców kobiecego dworu i dał im czas bardzo radosny i bardzo pogodny,

albowiem Łącki przeciągając się po piekącej pościeli, słyszał rozbijające się po kwiatach fale młodego śmiechu, nie takiego w piersi z łzami zmieszanego, ale śmiechu dziewcząt, bez końca i początku, jasnego jak poranek.

To śmiały się panny wraz z panią Ozorską, która zwykle trzymała batutę, a panny z całego gardła krasily weselem wiejskie otoczenie. Łącki tym śmiechem wyciągnięty z łóżka, wkrótce podążył ze swej oficyny do dworu i zanim mógł powiedzieć: dzieńdobry, otrzymał na powitanie grad słów, że jest śpiochem, profanem, nieumiejącym ocenić poranka na wsi, wreszcie, że pięknym jest rycerzem, zaniedbującym się około straży swego skarbu.

Tym skarbem była panna Helena, starsza córka pani domu, od pół roku narzeczona Łąckiego.

Stosunek ten skojarzony został wbrew oczekiwaniu rozmaitej szlacheckiej, a gruntowej młodzieży. Łącki był młodym lekarzem, i jakkolwiek już w mieście miał stanowisko odpowiadające pracy i nauce, tak samo w wsiach i miasteczkach słowo „lekarz“ nie było niczem innym, jak tyle innych słów określających stanowisko, to w polskim szlacheckim dworze tradycyjnie głównym walorem był pan właściciel dóbr, potem minister i starosta, a cała rzesza urzędników i lekarzy i podobnych osobistości, była niekiedy potrzebną i poważaną, lecz zawsze stanowiła coś mniejszego, późniejszego. Więc i Łącki nie byłby uważany za równoznacznego, gdyby nie okoliczność, że był bliską, acz zubożałą odroślą bardzo starego i znakomitego rodu, i przez ciotkę „hrabinę“, przyjaciółkę od serca pani Skarskiej, matki Heleny, do domu wprowadzony i silnie popierany, nabył

praw równych właścicielom dóbr, ministrom i starostom.

I to nawet możeby nie wystarczyło, ale osobiste zalety i przymioty Łackiego tak uzupełniły wartość jego pochodzenia, że Helena w nim się rozkochała i oświadczywszy przyjęła otwartem sercem.

Łatwo i bez szczególnego dowcipu można zrozumieć, że ten stosunek u wielu ludzi budził zazdrość albo zawiść.

Łacki pojawił się przed paniami i wysłuchał wyrzutów, pocałował w rękę narzeczoną, a nie mając ochoty do gadania, zmęczony po źle przespanej nocy, usiadł na werandzie pośród zwieszających się oplotów wina i patrzył na kobiety lśniące pełnem światłem słońca. Panna Helena ubrana w blado różowe kolory, lekkie i powiewne, żadnym wyraźnym rysem nie odstawała od tła werandy, błyszczącej pompejańską czerwienią i splotami wina. Różowy ton sukni i barwa ściany tak nasycaly tą barwą światło, że jasnowłosa dziewczyna nurzając się w tej gorącej toni promieni, miała znamię nieziemskiego zjawiska, bez ciała, bez własnej siły, a żyjącego mocą duchów. Jedyne żywe i wdzięczne lica przypominały ziemską istotę, lecz i te młodości klejnotem ozdobione lica były tak przejrzyste i nieuchwytnie znaczone, że mimowoli przyzywały na myśl wyrazy, iż to są lica anielskie. To też Łacki z uczuciem podrażnionego smakosza oglądał wdzięki swej narzeczonej, a zwłaszcza twarz zlaną blaskiem miłości i czerwieni.

Tymczasem przy rozmowie tak samo lotnej, zbliżyła się Helena do narzeczonego tak, iż miał ją blisko, lecz przecież w pewnej oddali i mógł ją widzieć w świe-

tle, a przecież dojrzeć, jak twarzyczka porosła jedwabistym nalotem tętniała ożywieniem i wyrazem świadomej siebie powabności, a pierś wznosiła się swobodą i życiem wiosennych czarów.

Helena miała oczy modre, które teraz w jasności wydawały się opalami, patrzącymi na młodzieńca z wyrazem wielkiej serdeczności i pewności, że są podziwiane i ciągną ku jakiejś bezdennej rozkoszy. Jakoż Łącki został pociągnięty i zapomniawszy wszystkich trosk, których miał pełną duszę, lubował się widokiem dziewczyny i nie mógł pojąć, dlaczego go tak te lica płonące niewolą, a modre oczy prowadzą przemocą i każą mu iść za sobą bez względu na wszystko. I milczał ocieniony splotami liści. A dziewczyna go zagaduje:

— Taki cichy mój pan Roman?

— Noc spędziłem na łopacie, jeździłem sejmować na Łysą górę, więc jestem znużony — odparł Łącki.

— A.. zawsze sejmy.. Mój panie Romanie, kiedy Bozia da nam żyć już razem, to nie dam panu tak bez ustanku myśleć i trapić się.

— Tego się nie oduczę, jestem Polakiem, to muszę myśleć za siebie, za przodków i na przyszłość. O każdym wydarzeniu muszę trzy razy myśleć. Na to już nikt nie poradzi.

— Pańska Helena poradzi...

Tu sprężyło się serce w piersi Romanowi Łąckiemu. Nic tak nie działa na mężczyznę, jak obietnica poważnej kobiety, że jego będzie. „Pańska Helena“ — wołał, aby „twoja Helena“, lecz te słowa wstrząsnęły nim całym tak, iż w tej chwili nie za trzech, ale za siebie samego myśleć-by nie potrafił. W tej chwili umiał tylko

w mgnieniu oka przedstawić sobie, co to znaczy, kobieta oddająca się niepodzielnie jemu, mężczyźnie i odpowiedział, jak gdyby słowami kończył to, co sobie wyobraził :

— A... w taki sposób, to poradzi...

— To mię tak cieszy, że w mej opiece pan się rozweseli. Wszak będziemy się bawić, choćby tylko dla zdrowia i rozrywki.. nie będziemy bez ustanku kiwali głową jak rabin.

— Nie... jeżeli pani poradzi.

W tym momencie, jak piorun, wpadł Dębowicz, a z przeciwnej strony stary sługa poprosił na śniadanie.

Nie przerywając hałasu, który się zwiększył po przybyciu Dębowicza, pod przewodnictwem pani Ozorskiej zasiadło towarzystwo do stołu, w pierw ucałowawszy ręce pani domu, dotychczas nieobecnej.

Cała rozmowa toczyła się obecnie około kwestji, że po śniadaniu pojedą wszyscy do kościoła, ponieważ to była niedziela, a popołudniu do lasu na maliny.

Niebawem zajechały dwa pojazdy, do pierwszego siedli pani Ozorska, Helena i Łącki, do drugiego pani Skarska, młodsza córka i Dębowicz i tak całe towarzystwo ruszyło do kościoła.

Kościół był dość daleko, co było wiecznem narzekaniem pani Skarskiej w czasie słoty lub wichury. Atoli dziś w dzień pogodny miłą była ta jazda przez wieś i miasteczko, przybierając w dzień święta taki szczególny, uroczysty i czysty wygląd, ubarwiony tłumem strojnych wieśniaków, ożywiony ruchem, gwarem i rzeczywiście niecodziennym nastrojem. Wogóle niedziela kształtuje społeczeństwo zupełnie inaczej, powszechne wstrzymanie się od pracy tak wybitnie od-

dziela ten dzień od innych, że prócz nałogowców pracujących umysłowo, a niecierpiących niedzieli, wszyscy tak dokładnie wypełniają zwyczaje święta, że w święto inaczej nawet ziemia i powietrze wygląda.

Łącki, jak większa część ludzi umysłowo pracujących, nudził się w niedziele, w ogólnym odpoczynku podobnym do uspienia nie znajdując bodźca dla siebie. Z jednego jednak powodu obchodziła go niedziela. Mianowicie, był on specjalistą do kazań kościelnych, wiedząc bowiem, że z ambony na lud miejski czy wiejski, może paść bardzo wiele ziarn dobrych, jeśli kapłan mądry, a bardzo wiele złych, jeśli kapłan ograniczony, pilnie ucześnieł na kazania, każde wielkie lub niskie zdanie zapisując sobie albo zaraz w kościele, albo po wyjściu z kościoła.

Myliłby się ten, ktoby go posądził o złośliwą walkę z kościołem, lub chęć droczenia wiernego stada owieczek. Krytykę kazań polskich uważał Łącki za swój narodowy obowiązek, ponieważ kler polski w ciągu przejść i warunków historycznych poniekąd zespolił się z narodem i w kazania religijne bardzo obficie mieszał sprawy polskie. Wszak wszyscy wiemy, że i do wojny narodowej wołano z kazalnicy, i pamiątki i rocznice narodowe głośzono z kazalnicy! Te i tem podobne sprawy, nie należały pod żadnym względem do religji, dlatego krytykę kazań, ograniczając ją jedynie do kwestji narodowych, uważał jako Polak za potrzebną i czuł się do niej zobowiązany i cierpiał mocno z tego powodu, że społeczeństwo po większej części uważało to za zaczepkę i rzecz bezbożną.

Z powodu tej specjalności cenzurowania kazań, •biecując sobie kiedyś ten zapisany ku pamięci materiał

zużytkować, bywał częstym gościem w kościołach, a bardzo często u św. Barbary w Krakowie, gdzie stale mieszkał. I dziwnym trafem zajęcie to doprowadziło go do narzeczeństwa z panną Skarską, a to tym sposobem, że ciotka „hrabina“ przesiadywała często u Jezuitów, a widując tam ubogiego siostrzeńca, tak zbudowała się jego nabożeństwem, że jako jedynie pewnego zięcia poleciła pani Skarskiej.

Kazanie, którego się dziś spodziewał, budziło w nim niezwykłą ciekawość, albowiem jako mieszczuch wiejskich kazań słyszał bardzo mało, a wiedział z dzienników, że w tych czasach budzenie się ludu polskiego do odłogiem leżącej narodowej pracy, wywoływało opozycję z ambony, rzekomo od samego Boga pochodzącą.

Ludu w kościele było pełno. Z wzorową grzecznością tłum się rozstąpił, gdy dwór szedł przed ołtarz zajmując ławki kolatorskie. Łącki stanął obok, bokiem zwrócony do ołtarza i tym sposobem mógł się nasycić widokiem rzeszy ludu polskiego, wymalowanego mu w duszy pieśnią polskiej poezji. W istocie, nieprzyzwyczajony do pogody wiejskiego kościoła, z rozrzewnieniem spoglądał na kornie i karnie rozmodlone chłopcy, chłopki i dziewczęta. Strugi gęstego światła rozpinają swe skrzydła u kolorowych okien i słały się po głowach ogorzałych rolników i pstrzyły tęczą stubarwnie znaczne chustki niewiast. Jakkolwiek wierni odwiecznym zwyczajem podzieleni na stronę mężczyzn i stronę kobiet, stanowili dwie różne grupy, to przecież jednako zapatrzeni w wizerunek Zbawiciela, serdecznym śpiewem chwalili Boga, aż od potężnego głosu ludu ściany drżały. Podobało się to Łąckiemu nad wyraz — bo

szczerłość ludziom uczuciowym i niezepsutym podobać się musi.

— „Gdyby ten lud był tak mocny w polskości — myślał Łącki — niktby wtedy nas nie przemógł.“ Tu dobyło się mu westchnienie mimowolne, ale tak wyraźne, że aż zwróciło uwagę pani Skarskiej sekretnie go obserwującej. Pani Skarska, słysząc to westchnienie, wzniosła oczy ku górze i Bogu dziękowała, że przyszły zięć tak się umie modlić i tak się różni od dzisiejszej bezbożnej młodzieży.

Po bardzo uroczystem odśpiewaniu potężnej pieśni „Święty Boże“, kiedy lud rozmodlony już nie klęczał, ale leżał na kościelnej podłodze — poprostu zdeptyany uczuciem swej nicości wobec nieskończonej potęgi Boga, wstąpił na kazalnicę młody kapłan, Łąckiemu dotychczas nieznany, bowiem do parafji przybył przed niedawnym czasem.

Wszyscy powstali, wyciągnęli głowy ku kazalnicy, a ksiądz mniej więcej tak mówił:

— Kiedy spojrzycie na niebo, drodzy chrześcijanie, widzicie często niebo zasiane obłokami mniejszymi i większymi. Gdy poczniecie dobrze te obłoki oglądać, zobaczycie, że obłoki dzielą się na dwie warstwy, jedna warstwa ciężka i ciemna ciągnie dołem, druga warstwa lekka, biała i czysta, ciągnie górą. Z tego, drodzy chrześcijanie, widzicie, że na niebie są dwa prądy, prąd niższy, ciemny i prąd wyższy, jasny. Owóż drodzy moi, zapamiętajcie sobie te dwa prądy i zastanówcie się, czy takich dwóch prądów niema często i na ziemi. Tak jest. Takie dwa prądy spotykamy i to szczególnie w oświacie. Podobnie jak obłoki dzielą się na dwa prądy, prąd wyższy i niższy, tak oświata dzieli się na

prąd wyższy i prąd niższy. Prąd wyższy, to oświata pochodząca od Boga przez Ducha Św., a prąd niższy, to oświata światowa. I ta oświata światowa jest waszym wrogiem czyhającym na zgubę duszy waszej, naraża was na wieczne potępienie i nieustające męki i dlatego jest zła i zdrożna, a oświata pochodząca od Ducha Św. jest dobrą, ponieważ prowadzi was drogą chrześcijańską do zbawienia i wiecznej szczęśliwości.

Jakże wygląda ta oświata światowa? O... na pozór wygląda tak przyjemnie, tak nęcąco, że niejednemu wydaje się, że powinien słuchać oświaty światowej i iść za nią niebacznym, że tym zatracą bezpowrotnie duszę swoją. Wy wiecie dobrze, moi mili chrześcijanie, że to są tacy ludzie, co między was szerzą oświatę światową. Są to ludzie układni, grzeczni, przyjemni, chwają was, niby to was do pracy nakłaniają, a tymczasem się w duszy ziarno szatana. Ludzie ci powiadają, że tylko rozum coś wart i rozumu trzeba słuchać, a rozum podszeptuje, że nie trzeba dbać o zbawienie duszy, bo na tamtym świecie ani Boga, ani nic zresztą niema. Podług twierdzenia tych ludzi ze śmiercią wszystko się kończy, dlatego trzeba na świecie używać zabawy, rozpusty i uciech światowych. Do tego trzeba pieniędzy, więc ta oświata światowa szerzona przez tych ludzi tak miłych i grzecznych, każe zbierać pieniądze, a wtedy, jak to mówią ci grzeczni i układni ludzie, będzie dobrze na ziemi, będzie można używać świata. I w tem, że będą pieniądze, oświata światowa ma słuszność, bo z tej oświaty mamy dobrobyt, fabryki, i zakłady przemysłowe — ale patrzcie drodzy moi... tam gdzie są te fabryki, ludzie używają tych uciech światowych i rozpusty, lecz do kościoła nie chodzą

i nie modlą się! Oto widzicie, że oświata światowa jest zła i do Boga nie prowadzi!

Duch świata to czyni! Przez usta swych wysłan-
ników głosi, że na drugim świecie nic niema, że tylko
rozumu trzeba słuchać i że ten rozum przez oświatę
światową daje rozkosze! A jeszcze co prócz tego? Oto
wysłannicy ci grzeczni i nadskakujący, na domiar złego
maskują się, każą wam w pocie czoła pracować na
pieniądze, aby potem te pieniądze wam wydrzeć i uży-
wać świata.

Więc strzeżcie się oświaty światowej i tych grze-
cznych ludzi! Jedyną oświatą dobrą i pożyteczną jest
oświata pochodząca od Ducha Św. Ta oświata od Du-
cha Św. — prawda — jest niekiedy wymagająca i każe
wam, drodzy moi, niejedno przecierpieć, ale ona pro-
wodzi prosto do zbawienia i daje waszej duszy szczęście
wieczne. A jeśli nie słuchając ducha światowego i jego
oświaty, nie dojdziecie do bogactw, tylko zostanieie
ubodzy, to może i lepiej, ponieważ tem łatwiej dostąpi-
cie zbawienia.

A zatem moi najdrożsi chrześcijanie, teraz wiecie,
że prąd niższy, to jest oświata światowa, jest zła, bo
wszystko na rozumie opiera, a prąd wyższy, to jest
oświata Ducha Św. szerzona przez Kościół nasz kato-
licki, jest dobrą i jedynie może nam dać królestwo
niebieskie, bo pochodzi ze serca, które Bóg oświeca.
Odrzucamyż od siebie z obrzydzeniem tych ludzi, co
chcą nam narzucić oświatę światową, a prosimy Boga
o łaskę i oświatę Ducha św., która nas doprowadzi do
szczęścia wiecznego. Amen.

Łącki stał w ogniu.

Każde niemal słowo godziło w niego jak gorejący pocisk.

A ława pobożnych sunęła z kościoła w bezładnym szumie, wysypując się z łoskotem podkutych butów na bruk przed kościołem. Łącki stał bez ruchu w swem miejscu i patrzył na zbity tłum z uczuciem równem pogardzie. Tłum ludu polskiego wydał mu się nagle tłumem bezrozumnych istot, niezdolnym zapytać, która to oświata ośmieliła do wypowiedzenia tej bałamutnej mięszaniny, piekającej chyba dotkliwiej, niż żar smolny.

Szarpnięty lekko za rękaw, ruszył się i za swem towarzystwem wyszedł na powietrze, pod stare lipy kościelne.

Świeżość powietrza orzeźwiła go.

— Jak się nazywa ten głupiec? — zapytał pani Ozorskiej.

— Jaki głupiec?

— Ten, co te głupstwa gadał.

— Bój się pan Boga! co panu jest!

Uważając, że się niedoczekła odpowiedzi, zwrócił się do Heleny:

— Jak się ten ksiądz nazywa?

— Ksiądz Szurek, nasz wikary.

— Ksiądz Szurek, ksiądz Szurek! Niema pani ołówka? Może kto ma ołówek?

Towarzystwo skupiło się w gromadkę tak, że dopytywania o ołówek wszyscy słyszeli. Wtedy Dębowicz rzekł:

— Oho... uwieczni to kazanie, a warto, było jasne i przekonujące.

— Niepodobalo się panu? — mówi pani Skarska.

— Owszem, jestem szczęśliwy, żeś je słyszał — odpowiada Łącki. — Panie powrócą do siebie niebawem, więc proszę odjechać, bo chcę chwilę tu zostać.

— Cóż pan tu będzie czynił? — zapytała pani Skarska.

— Za świeżej pamięci chcę sobie zapisać to kazanie, aby nikt nie powążył się twierdzić, że to nieprawda, że jest stronnitwo komentowane.

— Co w niem było tak złego, żeś pan kaznodzieję głupcem nazwał? — zapytała pani Ozorska.

— I pani się pyta?...

Pani Skarska wpatrzyła się w Łąckiego, a w oczach jej świeciła obraza i niewymowne zdumienie.

— Pan go tak nazwał?

— Ja, pani.

Pani Skarska głęboko się zadumała. Helena zaś zmieniła cel rozmowy, czuła bowiem, że tu się stało coś niedobrego.

Niebawem po krótkim cercle, odbytem z kilku osobistościami zgrupowanemi koło lip kościelnych, panie z Dębowiczem odjechały, a Łącki pozostał sam.

Był stosunkowo jeszcze bardzo młody, liczył nie więcej, jak lat dwadzieścia sześć. Toż nie dziw, że żywa, a bardzo gorąca dusza drgała w nim dźwiękiem żałośnym i wydawało mu się, że dzwon, posłuszne narzędzie kleru, roznosi trującym echem te słowa potępienia ziemskiego światła i że już zdeptane zdźbło, które zaczęło porastać polskie niwy.

Dotychczas ni razu nie zaznaczył czynem, że bardzo kocha swą biedną ojczyznę i płacze nad jej niedolą. Czuł i wiedział doskonale, że nagromadzone w jego

duszy pragnienia i zrywania się, nie pozwolą mu przepychać się chlebem, jak jedząca maszyna, i toczyć kółko pracy — lecz rozkażą mu skrzydła rozwinąć i bronić ojczyzny od uczt i harców pijanych biesiadników, pajaków ssących jej soki, szkodników, szalejących po jej rozłogach. I z tego to powodu owa karma, którą nakarmiono dziś wierny lud polski, dożyła z jego duszy tę żalność i lęk dławiący — że conajmniej po najbliższej okolicy dzwon rozniesie dech trujący i sen ludu snem pozostanie, a błogie myśli o szczęściu wiecznem będą lud pocieszały, aż do chwili... śmierci głodowej!

Jednak mimo, iż żadnego czynu nie mógł zapisać do księgi narodowej — od lat kilku bacznie śledził narodowe życie i wiedział dokładnie, jak Polska żyje. Zresztą nie trudno było rozpoznać, czem tchnie obecnie myśl narodowa, gdy wreszcie po paroksyźmie strachu przed buntem chłopskim, nawet wodzireje polityki narodowej wymarzyli w swych głowach niezwykle śmiały zamiar... powszechnej narodowej oświaty!

W innych krajach już zapomniano, kiedy padły pierwsze hasła oświaty. W Polsce dopiero u łoża konającej ojczyzny pojawiły się z „warjackiem“ hasłem ogólnej oświaty... tak przynajmniej nazwać by wypadało tych śmiałków, pojawiających się ze sztandarem oświaty pośród wytwornej i płasającej w pijackim tańcu lepszej części narodu. I minął wiek, gdy ten warjacki pochód kroczy pośród trupów lub niedobitków starszyny narodowej, pośród snem znieczulonych tłumów roboczej Polski.

Ten i ów, niezupełnie znieczulony zaduchem ognisk pijackich, lub silniejszy, iż nie uległ śmierci, chociaż wiele krwi z niego wycoczono... zerwał się na odgłos

hasła i rzucił się, częstokroć w tej chwili na nowo padając bezprzytomnie. Tak było zrazu. W toku lat, owi stróże domu i ojczyzny, których najsilniejszy wróg zwalić nie mógł, ani namówić do orgji pijackich, a którym tę wielką siłę dała miłość i oświata, zdobywali coraz to więcej serc posłusznych i rozumów światlejszych.

Dopomógł wypoczynek żywych i powstanie z łoża ocalałych z pogromów narodowych.

Więc zwiększał się pochód za sztandarem odrodzenia przez oświatę, aż wreszcie zastęp ten rosnący w siłę pociągnął i tych wytwornych, którzy najwięcej zmartwiali albo popici, najdłużej leżeli bezdusznie, a po przebudzeniu się wspomnieli, jak to przed wiekiem naród do zguby zaprowadzili i chytrze przyłączywszy się do ogromnego już pochodu, wysunęli się na czoło, aby znów przewodzić.

I od tej chwili naród zamierza czynić wszystko dla oświaty, a przez powszechną oświatę dla błogosławionej przyszłości!

Lecz naród to wielki, dlatego po za szeregami pochodu do oświaty... widać całe pola zasłane śpiącymi... lub zawalone próżniakami grzejącymi swe cielska do słońca... lub ustronia założone zielonymi stołami, grające dźwiękiem miedzianej monety... lub piramidy z beczek wódki ułożone, dokoła których w radosnym kręgu koło narodu bawi się w kotka i myszkę... lub widać zbrojne bandy uzbrojone w stare herbowe porce, miechy wydęte jakąś piekielną i niepojętą złością, zasadzające się po jarach i złomach ruin, aby nieustannie chwycić żołnierzy pochodu i dławić ich.

Rzesza narodu wre i kipi, albo złożona niezdrowym snem dobywa chrapliwych, dzikich głosów, trapiąca sennemi widmami czarów, zabobonów i trwogi przed karą bożą. I życie to nędzne rodzi zgielek, gwar, rumor, rozgłośny tabor jarmarczny. Powietrze drga rozlicznym hałasem zmieszonym w zamęt, zgmatwany we wrzask nieopisany, jakby bratobójczy.

Aż tu i owdzie po jasnej drodze postępuje szereg bojowników oświaty, pełne odwagi i zapału ich twarze, a w niebo i w krainę dokoła płynie potężna pieśń i pobudka, na czele chorąży, obok niego niosą tablicę zysków i strat narodowych. Straszna to tablica!

A ziemię ojczystą porasta chwast i zielsko nieurodzajne.

O tem wszystkim Łącki bardzo dobrze wiedział. Rozczytany w narodowych pismach, wsłuchany w tętno narodowego życia, bolał bardzo, z głębi wystrzelał mu krwawy promień cierpienia. A tak bacznie warował na czatach, że wątpił, czy jaki odgłos uszedł jego baczności, czy się coś działo bez jego wiedzy.

Tymczasem — treść wypowiedzianego kazania poruszyła wszystko, co miał w duszy i sercu. Omal się nie zachwiał. Potoż warował i jak czujny pies strzegł uchem, aby niesłyszeć, że po Polsce grasują upiory, głoszące nową naukę, tak dziwną i nędzną! Dziś się o niej dowiedział z ust człowieka, który mówi w imieniu Boga, więc, jeśli jest uczciwym człowiekiem, to ponad wszystkich mówi prawdę i łagodzi to, co ludzka stronnicza nienawiść rozdmuchała.

Tak... bezmiernem udręczeniem rozjęczała się dusza Łąckiego. On wszystko czytał, słyszał, widział, on wie w jasności przytomnego rozumu, że takiej nędznej

a nowej gadaniny niema na całym świecie i wie, że ostrze kaznodziejskiego słowa chciało porazić szeregi pochod, coraz bardziej zwycięzkiego, kroczącego pod hasłem powszechnej ziemskiej, narodowej oświaty na sztandarze!

Tak... walkę tę stoczył dziś kapłan polski.

Szczęściem — mowa była tak złą retorycznie, taką bez stylu, bez sztuki, bez sensu, a miała tyle nieskromnej śmiałości.

Przebóg! Pani Ozorska, bywalska w Ostendzie, w Paryżu, w Zakopanem, pochłaniaczka romansów i kronik gazeciarskich, znawczyni sztuki i poezji... nie zrozumiała tej mowy... zrozumiał ją... chłop polski!

W jaki sposób przekonał się Łącki, że tak było.

W niedzielę po nabożeństwie gospodarze zbierają się w otoczeniu kościoła grupami i radzą. Jest to typowe zjawisko, dowodzące, że wymiana myśli jest objawem bardzo naturalnym. I teraz tak było. Tu i tam stoi gromadka, w skupieniu ducha przyjmując je sobie wzajemnie udzielane. Między gromadki przeciskał się Łącki, szukając miejsca, gdzieby mógł swe kazaniowe notatki poczynić.

Wtem uderza jego uwagę głos impetyczny i szyderski:

— To wom ksiądz dziś wysmolił, wysmolił!

— My ta i onemu wysmolimy — ale na to czas jesce — równie zamaszysto odpowiedział głos inny.

Łącki spojrział na mówiących. Stało tam kilku mądrze wyglądających chłopów tak, że jakby z konieczności przystanął i zapytał:

— Komuż to ksiądz dziś smalił?

Ten, który pierwszy zaczął o „smaleniu“, wyprostował się nagle i rzekł z umiarkowaniem w głosie:

— Tak se gawędzimy, prosze łaski wielmożnego pana dochtora. Pan Bóg i Matko Najświętszo widzom, co się dziś dzieje po świecie.

— No co?

— Antykrysty, masony, prosze łaski pana dochtora.

— Ależ dlaczego ksiądz smalił? — pytał Łącki.

— Bo ci fest wjechał na ludowców! Prosze łaski....

— Widzis pon, takiego to mamy duchownego — zauważył przeciwnik pierwszego gospodarza.

— Nie rozumiem — mówił Łącki — wszak mówił o takich, co pchają lud do rozpusty.

— Nie ta o takich. To, prosze łaski pana dochtora, trza wiedzieć, jaki to on spekulant. On niby mówił o takich, a tymczasem smolił ludowców... prosze łaski pana.

Nie ulegało więc kwestji, że chłop doskonale odczuł, iż mowa była potępieniem, budzącego się obecnie ruchu ludowego.

Słowa chłopskie umocniły Łąckiego. Wiedział, że się nie mylił, lecz ta umocniona świadomość tem czarniej jego myśli barwiła. Jakto! W świątyni Pańskiej poważyl się bezcześcić najświętsze hasła narodowe!

Jakto! Przeciw swym chlebowcom, przeciw szlachcie wystąpił... cha... cha... cha...

Wszak szlachecki Zygmunt dał prawo: z polską szlachtą, polski lud! Wszak lud wezwano do pochodu za oświatą!

Wszak i szlachta, podpora kleru, wypisuje na sztandarze: oświata ludu! Wszak nikt do innej — jedynie wszyscy wzywają do oświaty świeckiej! Sprawy teologiczne są za ciężkie i niepojęte dla chłopów!

Jak błyski strzałów rozdziły się urywane zdania. Jednak Łącki nie był z tego zadowolony. Pragnął rozwagi spokojnej, zimnej, krytycznej, bo zapisując słowa kapłańskie wiedział dobrze, że przy tem musi się zachować bezwzględnie uczciwie, nieskalanie, honorowo. W tak doniosłej sprawie nie można być lekkomyślnym ani zapaleńcem. I nie znalazł tej rozwagi. Poszedł za domy, w pole, usiadł w cieniu brzoź, ale warkocze gałęzi brzozowych szeleściły nad nim tak samo, jak w nim chelbotały gorączkowe wrażenia. Więc schował przed chwilą wyjęty papier i wypożyczony ołówek w sklepiku i polami dążył do dworu. A złote pola skrzyły się pogodą. Lekki powiew gasił żar zbyt ni, żar zaś pragnąc, by ziarno najrychlej dojrzało, przemyczał się nad złote zagony, wywołując drżenie i migotanie powietrza.

Na wzgórzu pośród starych, ciemnozielonych drzew stał dwór otoczony złotemi płaszczyznami, a Łącki tak widoczny cel mając przed sobą, szedł prosto, byle jaką ścieżką lub miedzą. Szedł prędko, boć gorąco lata i rozogniony umysł prowadziły go w cieniu ogrodu dworskiego, nadzieją ochłody.

I usiadł na ławce pod prastarą lipą — ochoczo, że mu aż twarz pojaśniała. Wzdymającą się piersią wciągał chłód i pomyślał, że wielkiem nieszczęściem dla człowieka jest brak tego, co nazywamy schroniskiem.

Cechą duszy o bujnej wyobraźni, jest ustawiczne myślenie. A że Łącki miał bujną duszę, więc nie sie-

dział beczynnie, zażywając odpoczynku, ale rozkoszował się wszystkim, co go w tem otoczeniu miłego spotkało. Wszystko, co było w tym starym dworze miało wszelkie powaby schroniska, bez którego to tak źle ludziom na świecie.

Jakby przecuciem wiedziony, że w ciężkich zapasach o cześć ojczyzny będzie udręczony i będzie więcej niż inni potrzebował błogosławieństwa schroniska, po raz setny z rozrzewnieniem patrzył na rzędy wiekowych drzew, przez które przeciskało się słońce, znacząc się po szerokiej wjazdowej drodze świetlnymi plamami. Spoglądał na kwietniki śmiejące się przebarwnie do błękitu nieba, a z pośrodku zieleni wyglądający dach domu wydawał mu się arką, w której można przechować wszystko, co pamięci godne.

— A to wszystko — myślał — kąpie się w wonnem powietrzu, to wszystko oddzielone od walk świata gęstwiną, która tylko do spokojnego snu szumiąc przygrywa, to wszystko żyje prowadzone ręką Opatrzności, tak łagodnie, nieznacznie, a w takiej ciszy... że tu o wszystkim złem zapomnisz, a nasiąkniesz czarem rządów Boskich...

To bogactwo przyrodzone wraz z dostatkiem właścicieli dworu działało na Łąckiego bardzo silnie. Gdy tu siedział pod omszonym pniem staruszki lipy i zdawał sobie sprawę z tych istotnych otaczających go powabów, nacechowanych przytem swobodą i wolnością, nic dziwnego, że mu bole miękły, że mu się nigdy odejść nie chciało, że mu tu było lepiej, niż gdzieindziej.

Jest li człowiek, któryby się oparł czarowi tej przyrodzonej świątyni Bożej? Czy znajdziesz wielu ludzi bez serca, którzy powiodą szklanem okiem po kwietni-

kach i poważnych koronach zielonych starców, pamiętających niejedne czasy? Czy wielu znajdziesz ludzi polskich, których nie natchną smukłe z drzewa arkady, winem owite, kryjące w swych wnękach gwarne duchy przeszłości, dźwięczące polskim pałaszem na sznurkach, połyskujące kontuszem z sajetu? Polska dusza ladajaka, gdy spojrzy na ten błogosławiony zakątek, gdzie tylko sporo bogactwa Bożego — zapomni o zbrodni swych ojców, a ruszy się wspomnieniem wolnej ojczyzny i albo się spłacze, albo zaklnie — lecz poszuka duchów polskiego dworu, bo tylko w polskim dworze żyła ojczyzna i tylko w nim grób swój znalazła.

Tak więc pamięć barwnej przeszłości i gorące ukochanie pięknego otoczenia, ojczyzna i sielskość naprzemian nurtowały w duszy słowianina-polaka i były chwile, kiedy Łącki w głowę zachodził, jakim to sposobem pogodzi los swój, pędzący go w krainę dostatku, sielanki, szczęsnego rozkoszowania się darami Bożemi, z budzącą się żądzą czynu dla rozbitej na strzępy ojczyzny.

Tak siedzi wsparty o pień staruszki lipy i gwarzy ze sobą, a Dębowicz zbliża się ku niemu.

— Ach... dobrze żeś przyszedł — żywo rzekł Łącki.

— Kazańko cię dławi?

— A... rozmaite rzeczy. Usiądź. Może ci powiem o niejednym, może mi mądrze w niejednym poradzisz.

— Poradzić mogę, ale wątpię, czy mądrze. Na mądrego w Galicyi trzeba mieć patent nieboże, albo trzeba należeć do konserwy.

— Wiem sam o tem, zresztą chcę mówić bez żartów, całkiem poważnie.

— Więc?

— Więc powiedz mi, czegoś się dowiedział w nocy od Karolki?

— Spałem, nieprzypominam sobie, by mi się we śnie objawiła.

— No, tak, bo na jawie objawiliście się sobie wzajemnie, nie udawaj skromnego, widziałem was z okna.

— A, skoro tak, to nie będę udawał skromnego.

— Wiesz, imponujesz mi. Jakimże cudem umiałeś się z nią zwąchać tak szybko?

— Trzeba węszyć, to się i zwąchasz!

— To bardzo elastyczne tłumaczenie. A dalekoście zaszli?

— Ażeby iść z kobietą trzeba być pewnym jej sympatii i mieć sporą dawkę śmiałości. Te dwie rzeczy prowadzą prosto do celu.

— Śmiałości, tak, nie jesteś konserwatystą, a powiedziałeś mądrze. A jednak duszy polskiej tak często brakuje śmiałości. At — widzisz, i mnie brakuje śmiałości, a biadając nad tem, podziwiałem cię i zazdrościłem ci powodzenia dzisiejszej nocy, bo w tem powodzeniu tkwi coś, czego mnie brakuje. Nazywasz to śmiałością, dobrze niech tak będzie, więc ja na każdym kroku przekonywam się, że jej niemam. Gdybym ją miał, nie przywoziłbym ciebie jako arbitra do domu Heleny, nie patrzyłbym na twe częste zdobycze bez pracy. Tak — potrzebuję koniecznie arbitra, bo niewiem sam, co czynić. Podoba ci się tutaj?

— Stół przedni i gratis, to argument pro. Na powietrze nawet nie proszą, samo pcha ci się do gęby. Dziewki salonowe i chlewne niczego. Nie wiem jeszcze

jak będzie z opierunkiem i przyodziewą — to o tem gadać nie mogę.

Łackiego porwał serdeczny śmiech, więc mówi dławiąc się śmiechem:

— Niech cię djabli porwą!...

A gdy Dembowicz nieodezwał się, tylko patykiem po piasku kreślił znaki, Łacki zaczął bardzo uroczyście.

— Co mi powiesz o Helenie!

— Istnieje włoskie przysłowie: konia, melona i kobiety nie poznasz, zanim nie spróbujesz. Daj mi ją do spróbowania, to ci powiem.

— Przecież, potom cię przywiózł.

— Dobre dziecko, ale bardzo głupie. Głupota ta tem silniej wyłazi, gdy się słyszało i słyszy tyle o jej talentach i mądrości.

— Czytała wiele i umie opowiedzieć, co czytała.

— A... w takim razie mię nie pytaj. To się nazywa sobie wykształcenie, ale do mądrości daleko. Wsadź w miech pozytywkę, to ci miech zagra. Pchają jej nauk tyle, że zawsze coś tam zostanie.

— Mówisz zupełnie wyraźnie...

— A przecież o najważniejszym zapomniałem — rzekł Dębowicz — jest tak dobrze wychowaną, że ci nigdy publicznego skandalu nie zrobi.

— Dzięki Bogu! Ależ twoje kpiny wyglądają tak jakbyś jej zupełnie nie uważał na żonę dla mnie.

— Dla Łackiego zrodzonego z odleżałych karmazynów, szczyłającego się ciotką „hrabiną“ a niemającego naprawdę co w gębę włożyć — zgodnie z opinią publiczną, uważam tę partję za świetną.

— A dla Łąckiego patrioty i żołnierza armji odrodzenia? — pytał Łącki.

— Weź Helenę za żebro, poprowadź do rejenta, niech podpisze dokumencik, że nikogo z rodziny nigdy do domu nie wpuści, następnie ożeń się — pięć lat ucz ją wszelakich mądrości — potem to być bardzo może, że obleci. W przeciwnym razie będzie dla ciebie klęską.

— Niedelikatnie wywlekasz moje delikatne myśli.

— A widzisz! Jak to dobrze usłyszeć czasem kazańko. Książd potępił oświatę prowadzącą do dobrobytu, ty natychmiast poczynasz myśleć, czyby nie zrezygnować z dobrobytu, dla szerzenia ducha w Polsce... a choćby i świętego.

O.. korzyść jak na patelni.

— A... a... a...

— Ben Akiba zdębieje, gdy się dowie o twych myślach.

Tego jeszcze nie było

— Parę skrzyń majątku — mówił Łącki — możnaby dać skrzynię dla oświaty narodowej. To bardzo nęci, to bardzo ciągnie...

— A marnotrawstwo, a kuratela, a Tworki i Kulparków!

Pośród przepychu dwornej siedziby, dostatku i urodzaju — dwaj młodzi a niesforni i niegrzeczni, siedzą u stóp prastarej lipy i rzucają kości o los, o pannę, o posag, o wartość całego przedsięwzięcia. Obaj, towarzysze od lat chłopiących, bezwzględnie dla siebie otwarci, mówią sobie wszystko, silne popędy młodości czynią z nich mocarzy, rządzących sobą

i ludźmi, jak wodze na czele hufców. Nadewszystko czują się bogatymi i niezłomnymi. Skutkiem niezwykajnie ugrupowanych stosunków, w lekkiej pogawędce, rzucają krocie złota, raz do siebie, raz od siebie, jak bankierzy, a spogląda na nich pstra przyroda od słońca tak wesoła, jak gdyby się bawiła troskami dwóch szaleńców, odrzucających blaski złota dla marzeń niezupełnie jasnych.

Aż staruchy drzewa szumiały zdumieniem. Niedawno temu, z tego samego miejsca słyszały najwyraźniej, jak dwie poważne kobiety orzekły, że świat się zupełnie zmienił od czasu ich młodości, że dziś niema ideałów, a wszystko zmaterjalizowane, albo zarażone żądzą pieniędzy — dziś w XX. stuleciu słyszą dźwięki młodości głuszące tę żądzę. Zdumiały się i ruszyły trzeszczącymi konary, a wiotkie liście westchnęły: ach... świat zawsze ten sam i taki sam!..

II.

W starym dworze pani Skarskiej nastały gorące czasy. Sześć wielkich portretów przodków, zawieszonych w sali jadalnej, wisiało jak zwykle, nieruchomo, poważnie. Przodkowie w swych karmazynowych strojach nieznużenie trwali na straży przeszłości, wyglądając z ram zzieleniałych od starości. Pary oczu spoglądały jak zawsze ku potomstwu, zbierającemu się przy stole, a jednak Dębowicz zauważył, że te oczy przodków zmieniły obecnie swój marsowy wygląd, straciły blask, zciemniały, brakło im wyrazistości i fantazji, jak gdyby nie zgoła nie rozumiały, co się to dzieje, o czem mówią

przy stole i dlaczego się tak kłóca, albo jak gdyby zesłupiały po słowach, które w sali jadalnej padały. Jednem słowem Dębowicz określił to dobitnie, mianowicie, że przodkowie „zduźnieli“ — dowiedziawszy się, że pani Skarska i krew Skarskich, jej córki, nie wiedzą zgoła gdzie żyją, co jest ich ojczyzną i co się z nią dzieje.

Ach tak! Przodkowie „zduźnieli“, a gdyby nieruchome portrety mogły naciec purpurą, z pewnością lica by zapłonęły, tak jak to się niezawodnie stało tam w górze, w niebie albo w piekle, gdzie przodkowie stale mieszkają.

I te rozmowy, które wedle słów Dębowicza na przodków tak działały, rodziły stosunki gorące i ciężkie. Pod wpływem odpowiedzi kobiet dawanych na pytania, Łącki przerażał się, kurczył, a z Dębowiczem po nocach toczył długie narady, tak samo, jak pani Skarska blada z trwogi chwytiała książkę do modlenia i prosiła Boga o oddalenie nieszczęścia, którego zupełnie nie rozumiała, ale je czuła bardzo a bardzo wyraźnie. Tak samo jak Łącki z Dębowiczem w oficynie, ona z panią Ozorską w swym pokoju do rana niekiedy przegadała, a głównym tematem tych debat było, że narzeczony Heleny zepsuł się w ostatnich czasach, że jakieś potwornie złe wpływy na niego podziały.

Tymczasem pani Skarska się myliła. Ostatnie czasy były dla Łąckiego tem, czem dla maszyny gotowej we wszystkich częściach składowych, jest część spajająca to wszystko w zdolną do czynności całość. Pochłaniając ze spichrza książę i życiowego doświadczenia, od dawna gromadził rozmaite zasady i przekonania, aż coraz bardziej uświadamiający się fakt na-

rzeczeństwa, coraz częstsze rozmyślania o obowiązkach, coraz jaśniej wyłaniający się obraz nędzy narodowej i jego wielkiej miłości ojczyzny — drogą prostego rozwoju zmusił go do zszeregowania tłumnych myśli i orzeczenia — jestem, pragnę i wiem dokąd idę.

Takie chwile młodości każdy kryje w swych wspomnieniach — kto miał, lub nadal ma cel i wiarę w cel.

Nikt nie dociecze, dlaczego ta chwila przyszła w całej chwale po wysłuchaniu kazania ks. Szurka. To był ostatni argument, który rozkazał Łąckiemu policzyć siły. Rażony tęgim obuchem kaznodzieji dojrzał — postanowił — stanął jak człowiek.

Z przędzy witej przez lata nauki utkał się sztandar — on sztandar przybił na drzewcu i wznosił do góry, aby się rozpostarł na falach prądów i towarzyszył mu w zawodach życia.

Nikt nie dociecze, dlaczego tego rachunku niewygotował, zanim dał się zaprządz w słodkie jarzmo narzeczeństwa. Stosunki z domem Skarskich przyszły niepostrzeżenie, ciotka „hrabina“ parła być może pędzona staropolską, dziś zanikającą cnotą wspierania ubogich krewnych. Wykwint i dworność w przyjmowaniu gościa, częściej głodnego niż sytego, jaśniały w domu narzeczonej i ciągnęły biednego chłopca jak w zaklęte zamczysko, przytem wdzięki powabnej panny nie mogły nie mamić i nie chwytac wrażliwej a gorącej natury! Tak to niby szczęśliwie i gładko się stało, Łącki wlaźł w gniazdo rozkosznego dobrobytu, że wprost chwili odpowiedniej do policzenia się nie było.

Prawda... przyszły godziny już przed kilku miesiącami. Godziny myśli pełnych niepokoju, niewyjaśnionej wówczas obawy, że niedokładnie obmyślił swój

krok, że runął naprzód w skrzynię złota i morze ponęt, niewiedząc, czy się w tej nawale nie udusi. Po godzinach takich myśli zostawał szept dojmujący, odzywało się pytanie. . . ażali przyszła żona jest wierną córą Polski, ażali poświęci część życia dla sponiewieranej ojczyzny, ażali on z nią byłby szczęśliwy...

„Jakoś to będzie“ owo przesławne motto polskiego żywota i Łąckiego usypiać zdołało, pozwoliło mu brać urlopy z klinik lekarskich, gdzie uzupełniał swe studia lekarskie i rwać się na wieś do panny, siedzącej na skrzyni złota.

Tak minęły miesiące. W biegu tychże stał się narzeczonym, składał uszanowanie krewnym panny, patrzącym na niego jak na dziwowisko, a tymczasem niepokój, gorączkowe tłumy zagadnień i żądza policzenia się rosła i wreszcie przyjść musiało do obecnych rachunków.

Może za późno! O nie — bo choćby nawet rachunki rozkazały niejedno na inne drogi skierować, Łącki dopiero wkraczał w lata męskie, zaledwo zaczął być odpowiedzialnym jako człowiek i Polak.

Chodząc po swym pokoju w oficynie, bił ręką w czoło i powtarzał: „Jestem kwadratowym osłem, jestem piramidalnym nosorożcem, lichy wiedziało, że Helena ma mniej w sobie polskości, niż jej pokojówka.“

Dębowicz siedział na sofie i śmiał się do rozpędu i mówił:

— Karolka gorset dopnie, na gorsecie z grynszpanu czerwone kwiaty palą się do słońca, stanie se przy płocie i puści złote wstęgi na wiatry, trzyma się rękoma płotu, wywali pyzatą gębę naprzód i dzwoni w pola z całego gardła „Matus moja matus — wydej

mie za Jasia...“ to styl narodowy nieboże, to polska dziewczka brachu! To mi hej!

— Ależ pocznę inkwizycye — prawil Łacki — ależ Helenę wypowiadam, jak piskorz będzie się kręciła, nic jej ani uroda ani słodkość nie pomogą.

— Uroda i słodkość zaleje wszystkie inkwizycje.

— Niedam się zatumanić, niedam — rzekł Łacki.

— A cóż uczynisz, jeśli niedasz się zatumanić i odkryjesz w umyśle Heleny taką bez końca narodową pustynię, że aż ci się głucho zrobi?

— Nie spodziewam się znów tak bezbrzeżnej pustyni.

— No, ale przypuścić możemy. Cóż uczynisz nieboże?

— Sam niewiem.

— A, w takim wypadku nawet nie rozpoczynaj inkwizycyi.

— Owszem, gdy coś sprawdzę, wtedy postanowię.

— Wszak przypuszczamy, że Helena to pustynia odpowiedzmy na to przypuszczenie — rzekł Dębowicz, jasne przypuszczenie, dlatego możesz jasno odpowiedzieć.

— Odpowiem ci po namyśle.

— Ja ci bez namysłu odpowiadam, że ona tak zastodzi twoje ideały, że powstanie z tego konfitura, którą będziecie pożywali szczęśliwie aż do późnej starości. I obejdzie się bez pozowania, bez wojowniczych wysiłków. Dzisiejsza polska nacja bardzo lubi konfitury, tak samo jak pienistą rozkosz gadania. Będziesz gadał i żarł konfitury i będziesz miał za co chować dzieci polskiego nazwiska i będzie bardzo dobrze.

— Nie tak, nie tak, musi być inaczej, musimy skrzynię czerwieńców ofiarować na cele narodowe,

a sami szerzyć światło i budzić uspięone rzesze narodu—
mówił Łacki niby do siebie, niby do towarzysza.

— O, o, o... różowy polski humor! Skąd wiesz,
że tak będzie, sam twierdzisz, że w Helenie mniej pol-
skości, niż w jej pokojówce.

— Może mi się tylko tak wydaje — odparł Łacki.

— Be, be, be.. gadanie! Tę odrobinę polskości,
jaką posiadasz, zakryje spódnica i skończona parada.

— Walisz we mnie jak kamieniem.

— Bo też nie cygań ani jej, ani siebie. Albo stoisz
twardo i pragniesz coś uczynić w myśl swego programu,
albo kochasz się jak kot w marcu i gwizdziesz na wiel-
kie hasła, dla lubych wdzięków niewiasty. Co do mnie,
to pośredniej drogi tu nie widzę, może gdzieindziej... —
po chwili zaś Dębowicz dodał:

— Jeśli się kochasz niemożliwie, to powiedz sobie
to wyraźnie, to wyjaśni wszystko i da ci myślom go-
towy kierunek. Kochasz?

— Zdaje mi się, że trochę Kocham.

Tu zerwał się Dębowicz z sofy i skoczył ku
Łackiemu.

— Tak mi gadaj! Kto kocha trochę, może zacząć
więcej, ale i przestać! Więc stań twardo i marsz w tył
albo wprzód! Nie można kpić ani z celów, ani z Heleny!

— Mówię ci głuszcze, że pocznę inkwizycję!

— Cha... cha... jeśli w słodyczy nie usmarzysz
się na konfiturę. Powiedziawszy to, Dębowicz nalał kie-
liszek wina z butelki stojącej na stole, a do połowy już
wypróżnionej, przeważnie przez niego.

Następnie zapalił Dębowicz drugie cygaro i po-
piwszy wina znów rozprawił z Łackim o sprawach
narzeczeństwa, chcąc koniecznie wpić w Łackiego

przekonanie, że Helena w zupełnie innych warunkach wychowana, ani pojąc Łąckiego nie zdoła, ani z nim współdziałać, ani też dać mu jakie takie szczęście. A jakkolwiek na pozór rubasznie i bezwzględnie zmuszał Łąckiego do stanowczego postępowania, czynił to z troskliwości o przyjaciela, widząc, że ten w życiu nie tylko będzie gadał, ale coś czynił. Każdy na swój sposób chwali pana Boga, Dębowicz w swej akcji znajdował zadowolenie, że może Łąckiemu wiele przykrych chwil przysporzyć, ale uwolni go z więzów, któreby go w pracy narodowej krępowały, a może zupełnie ubezwładniły.

Posiew Dębowicza padał na urodzajną glebę. Dwa razy Łąckiemu nie trzeba było tłumaczyć, że zabrnął w kraje szczęścia nie dla niego przeznaczone. Sam niedawno temu odgadywał to doskonale, dziś znakomicie to rozumiał, że trzeba wykonać zwrot energiczny i stanowczy.

Lecz wykonać! Wypadalo uczynić to, co ludzie „zdrowomyślący“ nazywają warjactwem i spadnięciem na łeb, aż dopiero wyjątkowo „święci“ tej ziemi nazwaliby czemś dodatniem. Dobrze to Dębowiczowi gadać, gdy chodzi o skórę nie jego. Wygodnie to drugiego pchać w ogień, bo ma się poczucie, że do czynu dało się podniecie, co wytwarza częstokroć mniemanie, że się samemu spełniło czynu bohaterski. Ludzie pierwsi do namowy! Lecz wykonać! Zaprzeć się tak iskrzącego szczęścia, kwiatu dyszącego wonią życia, szmerzącego muzyką jedwabi i złotogłówów, tylko dlatego, że rojna fantazja młodzieńcza pieni się żądzą wa'ki! Ludzie, ludzie... czyńcie to wpierw sami, potem namawiajcie drugich. Tymczasem nie ludziom, Dębowiczowi zachciało

się namawiać, a nie wiadomo czy Dębowicz nie popełnia zbrodni, czy kiedyś Łącki przekleństwem go nie ugodzi za zamknięcie bram raj. A może Łącki w swych kiedyś wspomnieniach błogosławieństwem oplecie pamięć satyra, którego przywiózł w dom złotej narzeczonej, aby był żywym słowem i chłostał go za sybaryckie zachcianki.

Wszystko stać się może — dziś Łąckiemu nikt nie może zazdrościć jego ciężkich i dusznych myśli, przez które się przebić nie może.

Dziś w jednej godzinie ma dwa zdania.

Mam prawa osobistego szczęścia — to jedno zdanie... W kraju nędzy i głupoty, a bardzo wielkiej poczciwości, w Polsce ojczystej, trzeba ratować i rzucić wszystko swoje nawet zginąć trzeba — gdyż inaczej biada! —

Dwa zdania w jednej godzinie, a Łącki doskonale rozumie, że obu zdań nie można pogodzić w domu Skarskiej.

Rzecz prosta, że po za rozlicznymi konferencjami na osobności — przebywano we dworze zawsze wspólnie. Po wielkiej debacie w oficynie, schodzili obaj młodzieńcy każdego dnia do pań. Dziś od rana deszcz padał, to też wszyscy przesuwali się po pokojach wysłanych dywanami. Grano w karty, w szachy, na fortepianie, a ile możliwości Łąckiemu i Helenie zostawiano dość swobody i nie pchano się tam, gdzie byli.

Łącki patrzył w Helenę jak w obraz. Helena nie byłaby kobietą, gdyby na strunach nerwów nie odczuła grania, wywołanego ostatnimi stosunkami. Chodziła za matką, dając ustawicznie sposobność do zapytania i rozmowy. Wycalowywała panią Ozorską i zagadywała,

aby się koniecznie dowiedzieć, co to takiego gra w powietrzu złowróbnego, a przynajmniej niemilego. Niczego się nie dowiedziała, jednak z wielu powodów trapiła się przypuszczeniem, że coś się dzieje, co ją bezpośrednio obchodzi i coś jej grozi ze strony najmniej spodziewanej, bo od Łackiego, którego bardzo kochała.

W ciągu kilku dni zbladła, oczy zaszklily się łzawym blaskiem, a badawczo patrzyły we wszystkich, napróżno siląc się coś w twarzach wyczytać, krom ogólnego przygębienia.

Helena nie byłaby kobietą wykwinną, gdyby jej nerwy nie zbrzydzyły sobie Dębowicza. Jego głośny śmiech i wylupiaсте oczy raziły ją coraz gwałtowniej, to też całą winę swych smutków i gorzkich przeczuć przypisywała temu wychwalanemu przyjacielowi narzeczonego. Ale właśnie ze smutku i niepokoju wypiękniała.

Helena nie byłaby kobietą, gdyby przy wszystkich strapieniach zapomniała o obowiązku kobiety podnoszenia wdzięków strojami.

Helena nie byłaby kobietą, gdyby nie starała się wszelką siłą przyciągać ku sobie ukochanego właśnie wtedy, gdy się instynktownie o niego bać poczęła.

Nie puszczała go od siebie, nie zrzekając się godności kobiety, używała wszystkich sztuk właściwych kobiecie, aby go zniewolić i u kolan złożyć.

Łacki nie mógł nie uledez. To wydawało się niemożliwem.

Ile razy rozpoczął surowy sąd, tyle razy miękł jak wosk w cieple.

Dziś wieczorem usiedli w zacisznym gabinecie na adamaszkowej kanapce w stylu secesyjnym, obok

stała wysoka lampa na stoliczku japońskim płonąca, przykryta silnie różowym „abażurem“. Półcień mroczny, niewymownie łagodny o władnął pokojem tak, że ani blasku, ani na żadnym przedmiocie złamań światła nie było. Jeno złote listwy obrazów migotały niewysłownym spokojem, a oczy Heleny siedzącej bliżej lampy perliły się w różowym mroku. Ubrała się biało. Przy białem powleczone mglą różową ubraniu włosy jej ściemniały, a twarz pełna uroku kołysała się w ciemiach, jasna, zwrócona ku Łąckiemu.

On był bardzo wrażliwy na wszelkie piękno. Żywe zaś piękno tem gwałtowniej na niego działało, iż przemawiało nie tylko do jego artystycznej wrażliwości, ale przecież to żywe piękno było kobietą motającą węzłki na wspólnych nitkach, wchłaniającą się w jego żywą duszę przez bramy nietylko, ale przez szczeliny. Któż się oprzeć zdoła potędze! To przemożna moc, zdolna barbarzyńcę półdzikiego zaprzędz do kołowrotka, a istotę, która przyszła, aby pić z morza piękna rozkosznego, zadławić w swych uściskach. Zupełną absolicję należy dać każdemu, kto zbałwanieje w obec kobiety, którą za piękną uważa! Niema badań, niema śledztwa, niema grzechu, niema kary, bałwanieć wobec kobiety to prawo, na które niema ograniczenia. Ograniczać się może tylko sam osobnik znajdujący się w tych okolicznościach, nikt inny nie może ani tego zakazać ani zabronić!

Ta więc potęga swą zaborczą ręką łowiła młodzieńca i stawała w poprzek jego zamiarom. Na nic silne i rozumne postanowienia. Jak gnane ciepłem wiosny potoki śniegowe, spływały srogie i zimne myśli z duszy, a kwiaty miłości wzrastały szczęsne, pielęgno-

wane uczuciem Heleny, oświecane jej perlistemi oczy.

Widząc przed sobą, obok siebie, przy sobie, rozanieloną i wyanieloną kobietę w swej białej postaci, tonącą w różowym półmroku, a jednak dyszącą gorącym życiem, niemógł się dość na nią napatrzeć, i tak samo Helenie patrzył w oczy, jak ona jemu, z tą samą nieporównaną tkliwością, chociaż oczy Heleny były tkliwsze i więcej mokre, oczy zaś Łackiego miały źrenice bardzo rozszerzone i miały gwiazdy w swem wnętrzu. Cały dzień z powodu deszczu, przebywając w pokojach, mówili ze sobą ustawicznie, ale tak, jakby oboje byli nieszczerzy. Ile razy Łacki rozmowę naprowadził na odpowiednie swym zamysłom drogi, tyle razy się zdarzyło, że Dębowicz, wszędzie się wciskający, chciał dopomagać, co miało ten skutek, że Łacki się cofał, nie pragnąc od razu śledztwa *in medias res* wprowadzać.

Dębowicz gniewał się i irytował z tego powodu, co znów mieszało humor Helenie. Aż teraz byli prawdziwie sami, bo odosobnieni. Przestali więc mówić o sztuce, o czem mówili dzień cały, jako o ulubionym temacie Heleny — oboje najprawdopodobniej chcieli skierować rozmowę na kwestje osobiste, ale nie mogli się rozpędzić.

Zupełnie jasną jest rzeczą, że Łackiemu, czem dłużej się patrzył na Helenę, kąpiącą się w mroku i oglądającą osłonę niepokoju powleczoną twarzą, a oczy miłosne tem więcej się myśli plątały i tem bardziej tracił ochotę do gadania.

Helena zaś, jakkolwiek bez wątpienia więcej kochała, pod grozą niepokoju musiała zdobywać się na trzeźwość, co uwidoczniało się tem, że twarz chwilami

się ożywiła silnie, a między brwiami na sekundę znaczyły się fałdy jako przednia straż głębokiej pracy umysłowej. To też ona pierwsza przerwała zadumaną i różową ciszę.

— Panie Romanie, mam wielki żal do pana. Zamiast coraz częściej, coraz rzadziej mówimy o sobie i o naszej przyszłości.

— Taki sam żal mam do pani.

— Nie pięknie. Pan nie jest człowiekiem otwartym.

— Aż nadto — rzekł Łącki i ruszył ręką ku Helenie.

Helena drgnęła i podała rękę narzeczonemu, mówiąc:

— Od pana spodziewam się bezwzględного wyjaśnienia.

— W jakim kierunku?

— Mam powtarzać? Nie powtórzę niedopowiedzianych rozmów i słów dla mnie niekiedy niezrozumiałych. Od pewnego czasu pan, a w ostatnich dniach pan Dębowicz, wszczynacie rozmowy takie dziwne.. Nie wyjaśnię sobie, dlaczego mamusia taka strapiona, dlaczego pani Ozorska radzi mi ustawicznie, abym uważnie słuchała, co pan mówi... i we wszystko nie wierzyła.

— Tak? Tak?

Helena roznamiętniała się, parta ogromną żądzą wzajemnych zwierzeń. Przysunęła się bliżej narzeczonego tak, że prawie dotykała jego ramienia, a wreszcie oparła się i skarżyła się:

— Bardzo to bolesne, że pierwsze ciosy padają na mnie właśnie ze strony pana. Tem boleśnieszce, że

ciosów nie mogę dostrzedz, a jednak one padają. Czy z ręki pana może to pochodzić? Nasłuchałam się i naczytałam o ciężkich doświadczeniach i klęskach życiowych, a zdaje się, że pierwsza mi grozi i to z ręki pana. Strasznie obraziłabym Boga, gdybym nie dziękowała Mu za wszystko, co mi dał dotychczas. Nie miałam dotychczas żadnego nieszczęścia, nie znam boleści — więc czyż niestusznie, że truchleję na myśl, że tu się dzieje coś bardzo złego.

— Pani, to zbyt czarne przypuszczenia...

— O nie! Pamięta pan te sceny po kazaniu ks. Szurka. Pierwszy to raz stał się pan z mamusią, ale potem był pan tylko zniecierpliwiony, tymczasem mamusia się zamknęła w pokoju, kilka godzin klęczała na klęczniku i bardzo płakała. To nie dzieje się bez wyraźnej konieczności. Pamięta pan dysputę niedawno temu po herbacie, pan broniłeś ruchu chłopskiego, gdy wszyscy wiemy, że cały ten ferment powstał z pijaństwa po wsiach. Mniejsza o to, pan być może, innych ludzi widywał, jednak to mię strasznie boli, że mamusia znów płakała i do rana żywo rozprawiała z panią Ozorską. Przyznam się do grzechu, podsłuchiwałam, ale drzwi ciężkie za kotarą — słyszałam słowa, ale treści nic. To też tem większe przerażenie powstało w mem sercu. Mówić mi nic niechcą, każą się dobrze zastanawiać, a pana Dębowicza bardzo a bardzo nie lubią. A ja tak na tem wychodzę, że ani od nich, od moich bardzo kochanych, ani od pana nic nie wiem i odczuwam wiele cierpienia...

— I pani twierdzi, że cierpi po raz pierwszy?
— bardzo miękkim głosem zapytał Łacki.

— Nie licząc kłopotów dziecięcych, po raz pierwszy i nie mówię tego dla efektu, tylko i jedynie panu, z prośbą o pomoc... z żądaniem...

— Proszę mię zapytać o coś szczegółowego.

— A więc, dlaczego mamusia płacze?

— Nie wiem...

Helena może zbladła, może zamilkła porażona niemal obojętną odpowiedzią Łąckiego, ale długą chwilę siedziała nieruchoma, zwrócona ku narzeczonemu, a przecież zapatrzona bez celu. A Łącki widział tę postać bolesną, bezwładnie opartą na poręczy wybitej adamaszkiem, widział białą szatę bez szelestu układającą się w pasma lekkie, różowo-szare cienie kładące po sukni, widział rysujące się kształty kobiety, wyrzeźbione w pasmach sukni i różową, żywą rączkę położoną na bieli batystu.

Chociaż postąpił wbrew swej naturze i nie był szczerym, czuł, że w tym momencie mówić nie można i nie przystoi. W życiu chwili takiej nie miał nigdy, przeto uległ czarowi wytwornej, a bardzo młodziutkiej i zupełnie niewinnej kobiety, nie był sobą, ledwo tyle dobył męstwa, że nie poddał się dreszczom i nie zaprzysiągł wiecznej wierności, do czego go pędziły czary i rozkosze, których doznawał. Błysła mu chęć runięcia na kolana i zapisania duszy temu kościołowi przepychu i piękności złączonemu w tej kobiecie z bezgraniczną prostotą.

Wyraźnie się miarkował, siłą się trzymał i powstrzymał się tylko dlatego, że w uchu czy powietrzu usłyszał szyderczy śmiech Dębowicza i słowo — konfitury.

A zanadto był względny, by mógł obojętnie obserwować ból Heleny prawie obrażonej przez niego. Połknął więc ślinę duszącą go i rzekł, przerywając dość długą ciszę:

— Tak jest. Pani ma prawo żądać wyjaśnień, lecz teraz nie mogę... chociaż podobnie jak pani... bardzo podobnie, od kilku dni zamierzam mówić to, co pani wszystko wyjaśni.. Tu trzeba wyjaśnień..

Znów cisza. Helena oczyma skinęła Łąckiemu, rzekła sobie, że jest ze słów bardzo zadowolona, że tak jej mało potrzeba do spokoju, że byle czem Łącki ją uspokoi. Tylko kobieta umie tak mówić całą sobą, a to dlatego, że kobiety mówią zwykle uczuciami, a uczucia w każdym drgnieniu swój wyraz znajdują. To też Łącki zrozumiał Helenę i jeszcze rozkoszniej było mu przy niej, a kiedy zauważył, że Helena się uśmiecha i wysuwa rączkę przed niego, czuje, że coś go bierze i zmusza do pochylenia głowy i złożenia pocałunku na rączce.

Pocałunek nie miał echa, był lekki, cichy i bardzo płomienny. A musiał nim być, skoro lica Heleny stały się jednym ogniem. Drgnęła. Nieustanna rozważa i przymusowa wstrzeźliwość w miłości, na którą losy skazały kobietę, zanim władza nie podpisze kontraktu zmiany miłości na obowiązek, czyli zanim małżeństwo nie zostanie zawarte, wrodziły się w kobietę tak, że stały się niemal jej naturą. Pod wpływem tej natury Helena rękę cofnęła, lecz pomyślawszy, że ucałowanie ręki właściwie nie nie znaczy i przypomniawszy sobie kuzynkę, którą jej narzeczony na dobre wycałowywał, znów rączkę wysunęła, jakby dała pozwolenie i czekała, kiedy młodzieniec uczyni to samo, co przedtem.

Łącki nie czuł tych refleksji, on ich nigdy nie znał.

To też przejmował się rosnącą zapamiętałością i był bliskim wybuchu, niedaleko mu było do rozparcia, porzucenia wszystkich twardych i bezlitośnie szarpiących haseł i oddania się służbie Afrodyty, a to wszystko sprawiła Helena swym ciepłym spokojem, swym perlistym a słodkim wzrokiem, swą nieuchwytnie miękką wymową, swą białą suknią, spowitą różowym duchem samotnego zakątka, o który potracił złoty dostatek królowej.

A... a... niby jęczał z cicha, niby wzdychał, niby uspakajał rozwielenione chucie pragnienia a przecież niemógł zwalczyć siły, ciągnącej go do wyznań i rozmowy o miłości. Helena go tylko zachęcała, półsłówkami przedstawiając mu niewypowiedziane rozkosze, których można dobyć w miłości. A że była wielbicielką Krasńskiego, niby od niechcienia przepowiadała przyciszonym półśpiewem rytmicznego szczebiotania ów popularny wyjątek z „Resurrecturis“, a Łącki rósł w zapale i odpowiadał dziewczynie pewny, że znalazł warunki, które pogodzą jego narodowe cele ze szczęściem przy sercu bogatem i pełnem

Nachylił się, a gdy Helena skończyła grać słowami wieszczą, mówił, silnie obu rękoma trzymając jedwabiste paluszki wypieszczonej ręki dziewczyny:

— Bądź i bądź lilją, co wyrasta na polskiej ziemi i lśni się do polskiego słońca, lśnij się bez końca, na wesele znojnjej braci; białość lilji ukoi znużone i wypłakane ich myśli. Bądź białym aniołem, co prowadzi spracowane rzesze w cień rzeźwy, co się nie waha po-

dać wygłaskanej dłoni grubej i chropawej ręce żołnierza walczącego z szatanem nędzy i patrzącego lepszej doli ojczyzny. Bądź jarzącym światłem tam, gdzie noc długa uspiła duchy polskie i bądź zdobywcą spiących synów Polski! Bądź Archaniołem, co gromi niegodnych, choćby się mienili porucznikami Boga samego. Bądź jako te nieznanne niewiasty, które na wieczne lody szły za męczeństwem mężów, nie bacząc na mróz Uralskiej białej ziemi, aby tylko dłoń położyć na znojmym czole bohaterów polskiej wolności. Bądź białą myślą, co nie hańbiąc nikogo, będzie ołtarzem sprawiedliwości i praw równych. Bądź białą wagą i waż losy ojczyzny, aby stały na równi dla wszystkich trzeźwych, zbudzonych i niezmeńczonych w trudzie dla ojczyzny...

A pieśnią bądź czerwoną, jak wstęga jasna przewijaj się między tłumy, a śpiewaj pieśń głośniejszą, niż alarm tych, którzy się wroga boją i bronią pieśni narodowej. Bądź pieśnią czerwoną!...

Te słowa natchnienia jak wstęga płynęły z duszy Łąckiego. Nie uważał wielkiej jasności na twarzy dziewczyny, a gdy umilkł i czekał odpowiedzi, było cicho, prawie bicie dwóch serc było słyhać, wreszcie Helena, patrząc w młodzieńca, rzekła:

— Będę...

Jakby lękając się, aby zeznania nie odwołała, chwycił Łącki Helenę za rękę i wstając z adamaszkowej kanapki, pociągnął za sobą i bardzo się ucieszył, że do pokoju wbiegła pani Ozorska wraz z młodą panną, oznajmiając, że czas do jadalni.

Skutek rozmowy między dwojgiem młodych był aż nadto widoczny przy wieczerzy, od kilku dni po raz

pierwszy lżej jakoś szło wszystko, pogoda świeciła. Dębowicz to zauważył i czynił aluzje do Łackiego w ten sposób:

-- Zdaje mi się, że dziś w tym domu zrobiono olbrzymi wynalazek. Wynalazca stworzył środek, który pogodził ogień z wodą, tak samo psa z kotem.

— Szczęśliwy człowiek — odpowiedział Łacki.

— O bardzo nierozsądny — rzekła pani Ozorska. Nie rozumiem wprawdzie o czym pan Dębowicz mówi, ale z góry nie wróżę wynalazkowi powodzenia. Ochota do życia odpadnie, gdy nie będzie przeciwieństw.

— Ale spać przyjemnie będzie można bez końca. To rzecz nie do pogardzenia — powiedział Dębowicz — kto śpi nie grzeszy.

A że mama pod wpływem pogody w domu poweselała, przerwała wszczynając się dyskusję:

— Ach! Dajcie pokój filozofom. Mam już ich dosyć. Lepiej się bawić, niż kłócić.

Więc bawiono się.

Na dzień następny z wielkim szumem nadjechał bliski krewny domu pan Korczak, pan wielki i imponujący. —

Pani Skarska ucieszyła się niezmiernie, a z jej słów można się było domyślać, że przyjechał uproszony, aby wybadać młodych ludzi. Jakoż w rzeczywistości Łackim zajmował się gorliwie od samego początku, a przy czarnej kawie po obiedzie, jakby za działaniem pani domu, był z Łackim sam.

Wyraźnie sadził się Korczak na poufałość, rozczesując angielskie bokobrody, uśmiechał się przyjacielsko, a często Łackiego tytułując „swoim kochanym doktorem“ wyraźnie starał się wejść w sympatję.

— Jedna rzecz mię nadzwyczajnie ciekawi — mówił mnać cygaro w błękitnych palcach — to jest stan umysłów dzisiejszej młodzieży. Lękam się obcych, wrogich naszej tradycji naleciałości, które mogą wypaczyć naszą odrębność narodową. A młodzież lgnie do nowości.

— Polska młodzież jeśli myśli po polsku, nie może znieść wrogich nowości.

— Więc kochany doktor tak samo jak ja lęka się naleciałości — żywo zagadnął pan Korczak.

— Zupełnie tak samo... wrogich naleciałości.

— O, jakże to wspaniale, mój kochany doktorze. Musimy bardzo skrzętnie przesiewać nowości, aby kąkolu nie wpuścić.

Łącki się niecierpliwił zawsze frazesami, tem więcej teraz, kiedy po długich i monotonnych frazesach i ogólnikach, pragnął wyraźnie zaznaczyć swe stanowisko i Helenę zmusić do wyraźnych określeń. Więc rzekł panu Korczakowi:

— Mówimy od rana o narodzie, o tradycji, o strzeżeniu się wrogów, o pracy dla społeczeństwa, o rozprawie w głoszeniu zapatrywań, a nie powiedzieliśmy sobie ani razu, jakiż to cel naszej rozmowy. Przepraszam za otwartość, ale od lat kilkunastu tak ustawicznie słyszę to samo, o czem dziś mówimy, że dostaję mdłości z wiecznego żucia tej samej karmy. Dlatego od niedawnego czasu postanowiłem mówić tylko wtedy, gdy wiem do czego rozmowa zmierza, albo gdy będzie miała praktyczny rezultat.

Korczak zdumiony popatrzył na młodzieńca, ale sposobem możliwych tego świata gładko się sprawił:

— Wierzę, bo i mnie niekiedy niecierpliwi owa nowa moda, mówienia o mądrych rzeczach bez ustanku, a niekiedy bardzo niemądrze.

— Prawda, że to i rozzłość może — z lekkim uśmiechem rzekł Łącki.

I tak rozmowa od rana toczyła się. Pan Korczak ze wszystkich stron przypuszał szturm do zasad Łąckiego, ale że był bardzo dufny w swe polskie cnoty i uważał siebie za gorącego patriotę, tak bombastyczne a zwykle puste wygłaszał zdania, że Łącki się poznał na farbowanych lisach i na indagacji i mówiąc wiele, tak samo nic nie powiedział. Wieczorem zdawał pan Korczak relację w obec pani Skarskiej na ganku, gdy młodzież przechadzała się po ogrodzie. Tak mówił:

— Do śmierci nie pojmę, jakim cudem ten bądź co bądź piękny mizerak dostał się w nasze koło. Gdybyście się byli mnie radzili, rzekłbym, że z pochodzenia, rzeczywiście Łącki jest dobrym szlachcicem, ale przestał nim być, wychowawszy się między zbieraniną szkolną, zdala od naszych domów. Lecz skoro fakt musimy uważać za dokonany...

— Nie myśl, że bez Boga i porady przyjąłam Romana — przerwała pani Skarska. Następnie rzekła: — Nie należę do ludzi mierzących innych według trzosa.

— Ach... o tem i ja nie myślę.

— Daruj, ale o to potracasz. To zły system. Dla córki szukałam szczęścia z człowiekiem bogobojnym, skromnym, z uczciwego gniazda i mądrym. Gdyby się taki z łaski Bożej nadarzył z majątkiem, może byłby pierwszym, nie zapieram, ale gdy już Helenka tego pokochała, tego prawdziwego karmazyna, chociaż ubogiego...

— Tak, to chciałem powiedzieć. Łącki prezentuje się doskonale, krew w nim znać i to niepoślednią i sprzedać się za byle co nieda.

— Wiara, wiara?.. co mówisz? — szybko wtrąciła Skarska.

— Otóż sęk! Właściwie złego nic na pozór nie zauważyłem... ale to człowiek dziwny. Poeta nie piszący, artysta nie malujący, polityk bezbarwny, a zapalający się.

— A wiara... wiara — nalegała Skarska.

— Hm! Niby katolik, niby nie.

— Jakto! Czybyś zaprzysiągł!

— Prawdę mówiąc, jabym go bez wszystkiego napędził.

— Dlaczegoż, kiedy się już stało, kończyć skandalem.

— Cha... cha... moja kuzyneczka nic a nic nie zna świata. Napędzić intruza tam gdzie należy, między mieszczki i urzędniczki, nikt z towarzystwa nie nazwie skandalem. A to mi paradne. Takie napędzenie, to pozbycie się niepewnego elementu, który by mógł zaniepokoić całe towarzystwo. W kancelarji, w agitacji, w sprawach narodowych i społecznych zawsze się przyda, ale w ognisku towarzyskiem zupełnie niepotrzebny. To głos całej okolicy.

— Wszakżeś go chwalił.

— Mnie wystarczy jedno słówko, a znam człowieka na wylot. Chwaliłem go za prezencję, bo na to zasługuje — ałem dotychczas nie ganił, a to zamierzam uczynić obecnie Katolikiem nie jest.

— Katolikiem nie jest?

— Nie jest! Nie jest! — z przejęciem mówił pan Korczak.

— Powiedział to wyraźnie?

— Wyraźnie, to jedno. Powiedział „mam olbrzymie doświadczenie i twierdzę, że kler niekiedy znieważa Boga“.

— Boże odpuść mu, bo nie wie co czyni! A sprawa ks. Szurka?

— Wykręcał się i to także zapisuję na jego niekorzyść. Twierdził, że o tem trzeba długo mówić i obustronnie się przygotować.

— Może się wszyscy mylimy? Może będzie obaj dłużej zostali, choćby kilka tygodni. Dla szczęścia Helenki uczyni to, proszę cię! Może się mylimy!

— Korczak się nie myli.

Pani Skarska siedziała przerażona i zdrętwiała. Pan Korczak spoglądał na nią poważnie i miał sumienie spokojne. Od czasu do czasu głąskał białą ręką angielskie faworyty.

— Muszę dodać, że przodkowie wstydziliby się jego polskości — dorzucił bardzo ostentacyjnie. — Nie było w domu męzczyzny, to się tak stać musiało.

Nocą w oficynie wrzało jak w ulu. Dębowicz przestał już myśleć o Karolce ze złości, gdy obaj zgodnie stwierdzili, że Korczak przybył umyślnie na inkwizycje. To nim niezmiernie szarpało.

— Dureń z angielskimi trzewiami! — wykrzykiwał przy otwartem oknie.

— Nie gadaj tak głośno — szepnął Łącki — ktoś niepowołany może usłyszeć.

— Kłaniam się arystokracie! Nie usłucham, muszę wrzeszczeć, niech słyszy kto chce, że bądź co bądź,

dziś zapóźno badać człowieka, któremu się dało słowo.

— Cieszyłbym się, gdyby cię spróbował, wygnali, oboje zyskalibyście sto procent, ale niech to czyni Helena, tak jak ty chcesz z nią uczynić — jednak na szpiclów zgodzić się nie możesz! Tu nie sąd ani policja. Uważałeś jak cię brał z boku, z przodu, z tyłu, a o co mu chodziło! Czyś przypadkiem nie socjał lub przewrotowiec, a co gorsze, czyś nie heretyk Ale niema złego, coby dobrem nie trąciło. Rozumiesz te zapiekle dusze? Czy ci niedość przykładów? Rozumiesz dlaczego radziłem, abyś z niewiastą spisał akt notarialny, że rodziny do domu nie wpuści? Z nią będziesz nieszczęśliwy, ale żyć będziesz, z pomocą rodziny roku nie wytrzymasz i zażyjesz strychniny!

— Tak. Jeszcze raz stwierdzam, że nietylko konserwa z Korczakiem mają rozum. Mądrze gadasz. Lecz i mnie pochwal. Słyszałeś, jak zbywałem go niczem. Dowcipny jegomość. Sądził, że z głupcem będę naprawdę konferował.

— Niczego Romku, niczego! Tylko tak dalej, podziękuj hrabinie za kawałek chleba i szukaj swobodniejszego wikt. Taż tu myśleć nie wolno tak, jak się komu podoba!

— Nasiąkli jak gąbki jakimś pachnącym likworem i tyrańsko każą to wachać, a nie chcesz, to ci gorze — rzekł Łącki.

Usłyszawszy to Dębowicz porwał się, schwycił Łąckiego w pól i wrzeszcząc „vivat“ ciągnął po pokoju.

— Daj spokój — bronił się Łącki.

— *Vivat libertas populorum!* Niech żyje naród i jego prorok! — i koniecznie chciał go zmusić do skakania, gdy Łąckiemu skakać się nie chciało, ponieważ bez niczyjej namowy, sam od dawna wiedział o niebotycznej przepaści między sobą a rodziną Heleny, atoli bez ustanku, a od owego wieczoru z przedwczoraj, jeszcze silniej łudził się tem, że Helena przecież inną być może. Dębowicz to zauważył, nagle puścił towarzysza i jak mógł najspieszniej pobiegł do stolika, na którym gościnna pani domu nie zapomniała stawiać buteleczki. Nalał pełny kieliszek i łyknął tak zajadle, że mu aż w gardle jętkło.

— Romek! Masz tu katastrofę! Tyś wlaź w Helenę jeszcze głębiej!

— Ja?

— Ty! Gdzie moje graty! — mówiąc to szukał po pokoju, nareszcie jak tygrys rzucił się przed łóżkiem na kolana, głowę wraz z rękami wsunął pod łóżko i krzyknął jak z grobu:

— Jazda, niemam tu nic do roboty!

I w oka mgnieniu z wielkim stukotem wysunął głowę, za nią walizkę podróżną, a zrywając się uchwycił się za bok.

— Djabli nadali... tom się wyróżnął!

— Tak będzie zawsze, gdy będziesz taki krwisty.

— Tak będzie zawsze, gdy będziesz siebie i drugich oszukiwał.

— Przepraszam, tylko siebie oszukuję i to pytanie. Proszę, nie zapominaj się!

— Jaki mi honorowy. Ale unieszczęśliwić siebie, Helenę, jej rodzinę, to na to honoru niema!

— Zaczekaj. Zbadam, wówczas postanowię.

— Toś jeszcze nie zbałał!

— Badałem trochę i to na korzyść Heleny.

Dębowicz wpadł w nowy paroksyzm kieliszkowy, ale silniejszy, niż pierwszym razem, bo wypił dwa, jeden po drugim.

— Nie mam co do gadania! Nie masz gdzie miary?

— Na co ci miary?

— Wezmę miarę na trumnę dla ciebie! Jutro jadę, pojutrze trumna będzie!

Łąckiego tak ubawiła impetyczność Dębowicza, że się roześmiał i zapytał:

— Janek, ty musisz ze starej szlachty pochodzić. Masz wzięcie jak za króla Sasa.

— Pochodzę z ekonomów, więc mam pasję bata ekonomskiego. A wiesz, że bata dla zabawy nie wymyślono.

— Nie udawaj, nie jesteś taki srogii.

— Właśnie, że jestem. Przywiozłeś mnie tylko w tym celu, abym był krytykiem, w danym razie harapem. Wyraźnie zastrzegłem to sobie — pamiętasz?

Łącki milczał.

— Pamiętasz?

— Juści, niezapomniałem — powiedział Łącki.

— Ten fakt, żeś mnie przywiózł z wyraźnem poleceniem działania, dowodzi wymownie, żeś sam się dopatrzył śmieszności, czy tam głupoty w tym dzikim związku. Nie uważam się za dziecko, dlatego twierdzę, żeś dostrzegł różnice zasadnicze, które nagłym zmianom nie ulegają. Ja patrzę trzeźwo i spostrzegam to samo. Powiedźże mi mój marcowy kocie, jaki z tego wniosek?

— Że mamy siedzieć dalej i badać.

Dębowicz machnął ręką i nalał kieliszek wina.

Długa chwila upłynęła w ciszy — Dębowicz runął na łóżko i sypnął djablami, Łącki wałęsał się po pokoju, przecierając ręką czoło.

Nie spał dobrze, trapiły go zmyły w kształcie skrwawionej i przykutej do skały kobiety z wyszitym orłem białym na piersi. Wstał w czasie świtania i wyszedł na świat Boży. I było mu jakoś lekko w przesyconej srebrem i błękitami ziemi, tak, iż radował się każdym spostrzeżonym widokiem, a budzenie się jestwa do pracy podniecało go, przyspieszało kroki i tętno. Myśl szła bez oporu i naraz uczył jakby wstyd w sobie, jakby niepotrzebne zaprzanie się sił własnych, że aż druha sprowadził do pomocy, aby go wybawił z powojów spódnicy. Pomyślał, że dobrowolnie przyznał się do słabości — bo jeżeli Dębowicz jego własne zapatrywania wygłasza, to widocznie ma je w sobie tak jak Dębowicz — jedynie perliste oczy ciągną go do rozkoszy i zasłaniają żołnierskie cele, a właściwie nic więcej nie dzieli go od programu życia. Toż na co zda się łudzenie siebie i dziewczyny. Więcej uczynić można złotem serca i pracy — myślał idąc polną drogą — niżeli bardzo wątpliwem ze względu na rodzinę brzęczącym złotem Heleny. A znów Helena nie jest pierwszą i ostatnią niewiastą w Polsce. Dość ich można mieć na zawołanie. Tymczasem otoczenie Heleny ze swym abolutyzmem i zgrzybiałością przekonań, ze swem niewolnictwem myśli i naciąganiem Boga do swych politycznych operacji, od dawna było mu wstrętnem, a w ostatnich dniach jeszcze wstrętniejszem. Więc byłem dzieciuchem — myślał — gdym za namowami

ciotki biegła za Skarskimi, aby wybiegać worek pieniędzy. Byłem szaleńcem, bom mógł snadnie dostać w pysk od jej rodziny i usłyszeć pyszne słowo „nie dla psa kielbasa.“ A co by było wtedy! Nie byłoby pieniędzy a byłaby sromota i urągowisko. I bez ich pieniędzy „jeszcze Polska nie zginęła“. Damy sobie radę!

Młode nerwy zapragnęły materjalnej strawy pod postacią kawy. Trzeba było zawracać do dworu, dlatego kołował Łącki polami, zbliżając się do dworskiej drogi lipowej. Nag'e drgnął, krople rosy stoczyły się z ubrania. Pod drzewem, Helena piękniejsza od poranka, jak kochanka bogów Aurora, mieni się w blaskach i w oczach nadchodzącego.

— Pani? Tak rano? O... niech pani dzień będzie tak piękny jak poranek i niech pani będzie zawsze tak piękna jak w barwie poranka. O... z książką? Czy z poezją, czy z kasarnią wierszy w tej książce?

Helena z rozjaśnioną twarzą wyciągnęła rękę, a było w niej tyle uśmiechu i powściągliwej a szczerej radości, że się oboje wreszcie do siebie roześmiali. Na wszystkie swoje utrapienia Łącki miał tę wadę, czy zaletę, że mówił do Heleny tak jak lubiła, to jest z polotem poetyckim i tem ją bez swych zabiegów tak wiązał, że być może, to było pierwszym bodźcem miłości Heleny, wzmagającej się ile razy Łącki do niej mówił. Gdyby był wiedział, że go z każdym dniem więcej kocha!

— Kasarnia wierszy czy poezja, pobił pan wszystkich krytyków.

— Niechcę nikogo pobijać, a wszystkich podbijać.

— Ślicznie. A wie pan co czytam?

— Z formy książki wnioskuję, że o męczarniach smarzonego dekadenta, lubo niesłusznie wierszotłuków nazywamy tak uczciwie.

I zaczęła się rozmowa o poezji. Była to jedyna dziedzina umysłowego życia Heleny, za którą przez baby zyskała rozgłos bardzo mądrej i wykształconej. Łącki zawsze kpił sobie z tej mądrości, twierdząc, że „organista nie jest księdzem“ tak samo i poezja kobiet niema nic łącznego z rzeczywistą poezją. Mówił więc trochę pokpiwając, ale sprężył się, gdy idąc obok Heleny poczuł, że jej rączka lekko wśliznęła się pod jego ramię. Zapomniał wtedy poezji, poranka, ogłuchł, ośleplł, dopiero oprzytomniał, kiedy Helena nad wyraz łagodnie natrąciła:

— Należy mi się od mego pana dużo wyjaśnień i mam to uroczyście obiecane, dziś jedziemy do lasu, sposobności będzie dosyć.

— Nie wie pani .. jaki to ciężki obowiązek. A jednak święty obowiązek. Inaczej spruchniejemy tak, że byle psia noga nas rozdepcze! I nagle posmutniał młody człowiek i odwracał z wysiłkiem głowę od Heleny, a jakaś siła mu ją koniecznie zwracała. Gdy doszli do domu, już się rozlegał gwar — do lasu, dziś do lasu! Z tego powodu obiad się odbył wcześniej i około trzeciej po południu, zajechano przed ganek, aby zabrać towarzystwo. Panny z panią Ozorską rozradowane krzątały się z zapalem przygotowując trzy koszyki rozmaitości z dziedziny środków spożywczych i napoi. Dla młodych panów przyprowadzono wierzchowce, ponieważ obaj umieli jeździć konno. Łącki spędzając wakacje po różnych „wsiowych“ kuzynach nauczył się jazdy konnej, a Dębowicz jako były nauczyciel domowy

w bogatym domu wiejskim w Królestwie Polskiem. Tak dwa pojazdy i wierzchowce zabrały kompanię do lasu. Wszystkie cywilizowane narody wycieczkują w miesiącach letnich do lasu. U nas w Polsce szczególnie, nie z tego powodu, żeby lubiano te a nie inne wycieczki, tylko że u nas aż do dzisiaj tak mało miejsc poświęconych zabawie i sportom, że zostaje tylko to, co Bóg dał. A że to jest zawsze najpiękniejsze, ustępy lasów, polany, dąbrowy, głusze leśne lub wesole, barwne zręby doznają żarliwego kultu i są świadkami niezliczonych rozkosznych momentów życia ludzkiego.

Dziś wszyscy pokraśniali, nawet zawsze stroskana i rozmodlona pani domu. Jeden Łącki nie ponury, ale poważny jechał opodał powozu gdzie była Helena i niekiedy na nią spoglądał. Za to Dębowicz konia użył. Tam i nazad, przez rowy i ugory, prowadził konia tak zręcznie, że aż wzbudził podziw pana Korczaka. Prócz chwalby nie wypadało panu Korczakowi mówić, co myślał, iż dziś wszystko na świecie się pospolituje i taki gryziپیórek adwokacki jak Dębowicz jeździ lepiej, niż niejeden syn szlachecki. Bolało go to mocno, gdyż zawsze sobie wyobrażał, że do strzeżenia i przechowywania tradycji, tym razem jazdy konnej, potrzeba wyłącznej klasy, więc spadkobierców polskiej szlachty w prostej linii, innym zaś do tego wara. W poczciwości swego rozumu, nie myślał tak z nienawiści do innych stanów, lecz z pieczołowitości o czystość tradycji, która jak mniemał, jedynie taką może się ostać w gniazdach ultra szlacheckich.

Stary omszony głaz, strażnik rzucony tu w zamieszkach potopowych, był celem wycieczki. Nazywano go w okolicy „kamieniem djabelskim“, jakkolwiek leżał

w tak czarownem ustroniu leśnem nad potokiem, że raczej powinien być nazwany „pustelnikiem“.

Do podwieczorku czasu jeszcze było dość, mimo to, kiedy tylko Karolka rozścieliła dywany dla państwa Dębowicz wyraźnie upomniał się o wódeczkę, mówiąc, że mu za chłodno.

Po wódeczce Dębowicza, pan Korczak z panią domu zostali, a wszyscy zresztą poszli, jak się to nazywa „na maliny“.

Zdaje się, że cała ta wycieczka była przez Helenę inspirowaną i pani Ozorska była w plan wtajemniczoną, ponieważ bardzo rychło oddaliła się z młodszą panną zostawiając narzeczonych. Dębowicz pociągnął za panią Ozorską. Młodzi zostali sami, Helena z niepokojem spoglądała na młodego człowieka, pogrążonego w jakiejś gwałtownej walce. Zdaje się, że las z całą swą krasą dla niego nie istniał. Niby prowadzony stapał w ślad za Heleną i nie dbał czy o krzew zawadzi, czy ostry kolec dzikiej róży ręce mu porani, czy przejdzie środkiem leśnej kałuży czerniejącej w gąszczu po niedawnym deszczu.

— W lesie być tak poważnym jak pan, to grzech — mówiła Helena.

— Nie jestem na wycieczce, tylko w biurze pracy narodowej. Myślę o narodzie i o pani.

— Tu biuro pracy? W lesie?

— Wszędzie i wszystkiem można pracować dla narodu. W 63 roku po lasach niemal wyłącznie dawali bohaterowie krew męczeńską i z pewnością się nie weselili, chociaż byli w lesie.

— Mój pan ponuro nastrojony.

— Więc mowa o powstaniu jest czemś ponurem?
— zdumiony zapytał Łącki.

— Wuj Korczak twierdzi, że to było szaleństwem.

— A pani?

— Ja o tem sądzić nie mogę.

— Któż więc ma sądzić, niemiec?

— Nie, ale starsi.

— To pani nie wie, co to powstanie polskie w 63

— Wiem tyle, że to była rzecz niepraktyczna.

— Rzecz? Ale pani kocha tę rzecz niepraktyczną.

— Przyznam się, nie kocha się nic takiego, co się krytykuje.

— O?!

Nieszła rozmowa, ale Helena ustawicznie zwracała się i spoglądała na narzeczonego, jakgdyby miała coś na duszy i chciała to powiedzieć. Tymczasem Łącki jak zawsze podziwiał piękne kobiety tak dziś mimo walkę, mimo cierpką odpowiedź Heleny, dostrzegł, jak mistrzowsko ujęła ręką fałdy sukni, iż można by to bez zmiany przenieść w marmur i mieć dzieło sztuki. I z tem ujęciem sukni szła tak powiewnie, tak śmiało a zgrabnie gubiła się w gąszczu, iż prócz mizantropów i śledzienników, każdy by cmoknął ustami z podziwu.

Gdy wyszli z gąszczu między stare drzewa wolne od zarośli, Łącki dojrzał napół spróchniałe drzewce wywalonego pnia i zaprosił dziewczę do siadania. Wtedy zaczęła Helena:

— Przeraziłam się nieprzyjaznią wuja względem pana.

— Tak? Nie sądziłem, że mię tak radykalnie znienawidzi?

— Trzeba by go ugłaskać, bo to bardzo gderliwy człowiek.

— Co on we mnie tak złego upatrzył?

— Trzeba go znać. On chwalił pana, a jednak powiedział, że jest nieprzycielem takich ludzi jak pan, bo tacy ludzie niemają Boga w sercu.

Łącki się roześmiał i zapytał.

— A gdzie go mają?

— Jakto gdzie?

— Gdzieś go mieć muszą, każde jestestwo ma Boga.

Helena siedziała bardzo spokojnie, tylko w oczach miała nieogarnioną rzewność albo smutek.

— Oto są rzeczy, które pan musi wyjaśnić. Na przykład, dziś rano zawołała mię mamusia do siebie, całowała bardzo długo i pytała o to, co panu jest wiadome, a czego niechęć powtarzać w tej chwili. Niech pan zrozumie, pytała o sprawę sercowe, a kiedy odpowiedziałam, że w sercu czuję bardzo wiele.. rzekła: Jeśli ma być już tak, to niechęć i nie mogę cię ranić, ale przypominam ci i zaklinam cię pod błogosławieństwem, niedaj się sprowadzić z drogi wiary ojców a na niebo zaśluzysz, jeśli swych ukochanych na drogę wiary nawrócisz“.

— Mamusia z swą wiarą miłości, jest przezacną i świętą kobietą.

— O tak, panie Romanie. Dlatego jeśli nie wuj, to mamusia zasługuje, aby dobrze uważać na to, co mówi i wierzyć, że mówi prawdę.

— Czyli, że jestem heretykiem.

— Broń Boże, nikt tego nie powiedział.

— Powiedzieli, wiem to, chociaż niesłyszałem.
A pani zdanie?

— Czy pan z nimi kiedy rozmawiał o tych rzeczach, czy samo potępienie kazania i krytyka tegoż takich rozgniewała, nie wiem, ale oni bardzo pana żałują.

Dowiedziałam się o tem dzisiaj.

— Żałują zapewne dlatego, że pójdę do piekła?

— Nie. Dlatego, że możesz pan ludzi unieszczęśliwić. Wiara jest niezbędnie do szczęścia potrzebna.

— Tak jest. Oto moje basło!

Gdyby nie dziwne zachowanie się Łąckiego, dziewczyna by go niezawodnie pocałowała. taka ją zebrała ochota.

— Niech pan tak częściej mówi! Oby częściej!

— Panno Heleno, proszę mi wyjaśnić. w jaki sposób pani pogodzi ulubioną sprawę poezji ze swymi dogmatycznymi artykułami wiary.

— Czytam chrześcijańskich poetów.

— Kiedy? W księgozbiórce pani widziałem dzieła...
Lepiej nie mówmy o tem.

Tak. Nie mówmy. To nie należy do sprawy. Chcę mówić z panią zupełnie o czem innem.

— Słucham — odparło dziewczę.

— Wierzy pani w przyszłość Polski?

— Niewiem co odpowiedzieć, albo odpowiem słowami pana... lepiej o tem nie mówmy.

— Dlaczegoż pani nie chce odpowiedzieć? Myślała pani o tem kiedy?

— O i bardzo wiele.

— Więc?

— Wuj mówi, że polacy się gwałtownie wynaradawiają, dlatego sprawa nasza jest bardzo wątpliwą.

— A pani?

— Panie Romanie, mój panie Romanie, ja dygoczę z niecierpliwości, chcę przebić mgły, które mnie otaczają, nic nie rozumiem, co się tu dzieje od pewnego czasu, pan jeden może mi to wytłumaczyć... a pan wyciąga filozofję ciężkiego kalibru i jeszcze więcej dręczy... panie Romanie...

— Proszę pani zaufać. Proszę odpowiadać na pytania, a wszystko samo się wyjaśni. Będzie i musi być tak, jak nakazuje obowiązek polaka... choćby przyszło siebie samego złożyć w ofierze... tak nakazuje obowiązek...

Dziewczyna powstała i stała jak posąg biała, a piękna jak kwiat.

Młody człowiek patrzył w paproć rosnącą opodal.

Dziewczyna ujęła rękę Romana i przemocą zwróciła ku sobie jego zrenice.

— Chcę, pragnę w panu złożyć swe szczęście... pan żąda odemnie szczęścia... inaczej być nie może. To są warunki miłości. Abyśmy szczęście posiadli oboje, musimy żyć dla siebie, to znaczy, nie śmiemy nic ukryć przed sobą ani zataić. W imię szczęścia proszę... pana... za wiele ciemności... i to z ręki pana?

Wówczas Łącki powstał z siedzenia i rzekł:

— Idźmy dalej, może gdzieindziej znajdziemy szczęście.

I szli długą chwilę, ale szczęścia nie było. Wreszcie Łącki odezwał się:

— Rozmodlona w rytmie słów, żyła pani na ziemi, jak w obronnym zamku na wysokiej skale-

Bardzo twardy złom odgraniczał zamek od reszty świata. Ludzie podziwiali wyniosłą budowę wojującą z chmurami, jak na padole płaczu wojuje rolnik ze skibą. Podziw był, ale życia wspólnego nie było. Tam na zamek było za wysoko, aby dojść, ze zamku na padół płaczu zejść się nie chciało. Słychać było z dołu płacz, słychać było z góry muzykę piękna.. ale życia wspólnego nie było...

Helena doskonale zrozumiała przenośnię do niej zastosowaną.

- Dlaczego nie było życia wspólnego?
- Wie pani co to ruch ludowy?
- Wuj Korczak nazywa to powolnem rozkładaniem się narodu.
- A mamusia?
- Mamusia nazywa to sprawką żydowską.
- Wie pani co to demokratyzacja społeczeństwa?
- To... że nazwę trywialnie... groch z kapustą.
- Wie pani, co to Targowica?
- Przyznam się, że do historii nie miałam nigdy pociągu, jakkolwiek uczyłam się jej wiele.
- Ale Targowica? Targowica?
- To konfederacja.
- Jaka?
- Polska.
- Pani jest Polką?
- Tak. Jestem Polką.
- I gorącą?
- Ubóstwiam polską literaturę.
- A wydziały powiatowe? A pośrednie wybory?
- Co?

BIBLIOTEKA

BRZEDN: TOW: WZAJ: UB: w KRAKOWIE

SEKOYA IV.

— No to nędzne polskie chłopskie bydło? Wraz z kośćmi i skórą!

Nie stało nerwów dziewczynie, poczęła łkać, roniąc łzy, a Łącki się opamiętał i jak mógł uspakajał. Znów usiedli oboje.

— Zbyt twarde były moje pytania... panno Heleno... pani... nie dziwię się, tak nikt dotąd do pani nie przemawiał. Przrzekam, obiecuję, poprawię się, będziemy chwytac piękno.. będziemy łowić motyle i sadzac je na kwiatkach, będziemy w potoku złote rybki wabić, będziemy za obłokami po niebie latać... tylko niech się pani uciszy... łezki otrze... pani śliczna!

Po usilnych staraniach rozpozodziła się młoda kobieta, nawet pod wpływem słodkich słów Romana przysza do pewnej równowagi.

Lecz czarne dymy snuły się nisko z duszy młodzińca. Jeszcze skąpiej niż się spodziewał, gorzej niż sobie wyobrażał, mniej niż mógł liczyć! Rozmawiał przecież z kobietami młodszymi i starszymi po świecie, czynów, ani myśli więcej polskiej nie znalazł, lecz przynajmniej dość zapalczącej deklamacji na temat ojczyzny. I tego tu brak?... Biedna polska duszo... Głupi marzycielu... poznałeś górne piękno, słuchałeś dźwięku srebrnej liry, patrzyłeś w łabędzi puch nieskalanie biały, widziałeś błękit ocz nieschmurzony — ty wobec Muzy o nędznem polskiem chłopskiem bydle gadasz? Ty tyra grającego na fletni pasterskiej, osłoniętego cieniem drzewa i rozkoszną łąką Campanji i słońce łechcące wilę patrycyusza — to jej pokaż, tam jej zaprowadź ducha, a da ci w zamian takie niebotyczne szczęście, że ci zmysłów ze zbytku nie starczy.

— A jednak pani jest bardzo jasną. O czym pani mówić nie umie — o tem nie mówi. To czcigodna prawdomówność.

— Kult sztuki nie zna udawania.

— To pani niezmierna zaleta.

Ale pogodzić, zespolić rozmowę, nigdy się nie udawało, dziś tem mniej. Wałęsanie się po lesie nie naprawiło nic. Łącki prawie zczerniał z wysiłku, ze zmory, albowiem był Herkulesem na rozstajnych drogach. Atoli tego wszystkiego Helena nie przeczuwała ani widziała. Jak wzrosła w obronnym zamku na podniebnej skale, tak płynęła jej fala życia, a pierwsza burza nie mogła zburzyć rojeń o szczęściu, bo dusza jej acz dziś cierpiała, nie znała ani piorunów, ani pożarów, ani śmierci. Gdy już się ściemniać zaczęło, gdy ciepło lasu wypięło żywicę z drzew, a aromaty z kwiatów, zaczęła kreślić plany przyszłego życia :

— Szczęśliwam, że pan tak wszędzie piękno umie znaleźć i poznać. Tyle już wiem i to mi się wydaje tak ważnem dla naszego życia, że na wspomnienie tej wspólnej naszej natury trochę zapominam o niegodziwości pana, o upornem milczeniu w rzeczach, które czekają wyjaśnienia. I to mię zawsze uspakaja, bo też nie bardzo wierzę w jakieś pańskie ciężkie grzechy. Piękno nie zna brudnej duszy. Kto kupczy pięknem, może być zbrodniarzem, kto żyje pięknem, może być tylko szaleńcem.“ Takie zdanie gdzieś czytałam i uważam je za bezwzględnie prawdziwą.

— Gdybyśmy mogli odrazu żyć w niebie, możebyśmy się rozumieli...

— Da Bóg zrozumiemy się na ziemi.

Łącki na to nie odpowiedział. Helena szczebiotowała dalej o planach wspólnej przyszłości i ustawicznie potraçała o miłość, tak jej się chciało mówić o miłości.

Piękno zbliżającego się wieczoru, urok leśnej świątyni, gra światła oplatająca wszystkie przedmioty promieniami nieskalanej pogody, wonie zieleni, oddalone śpiewy, przeobrażające się w echu leśnym w sielskie symfonie, budziły uczucia lekkie, bardzo ponętne, swobodne.

Każdy to odczuwa i Łącki umiał nieraz siedzieć na kraju lasu do późnej nocy, nawet Dębowicz roztkliwiał się w takiej godzinie. Obecnie, gdy młodzi stanęli na granicy leśnej, gdy Łącki ujrzał w dole białe dymiące chaty wiejskie, patrzył w nie długo, bardzo długo i rzekł:

— Bez nich naród upadł i bez nich żyć nie będzie! Chcę żyć w narodzie... muszę iść do nich !..

III.

W kilka dni później Dębowicz z przerażeniem wspomniał, że się skończył czas wolności, ofiarowany mu przez jego szefa adwokata, czyli mecenasa. Trudna rada. „Wracaj brachu do atramentu“, zawodził po gęstwinach ogrodu dworskiego. „Dobrze ci było nieboże. Kto wie, czy znów kiedy zaznasz takiego wikt. Bo był ci to wikt — oj, wikt paradny, nie tylko dla smaku nieboże — ale nie trzeba było zamawiać, a co główne wołać... płacić.“ Tak rezonował mentor przed Łackim, bez ustanku niespokojnym i tonącym w kalkulacjach.

Com miał uczynić, uczyniłem — mówił Dębowicz — Sumienie mam spokojne. Jedno mi tylko nie daje spokoju. Powiedz mi brachu całkiem otwarcie, czyby się nie godziło starą naciągnąć, siedzi na pieniądzach, szcudroblowa bo jest, jeśli gości tak solidnie kawalerów w dziurawych butach. Możeby ją napompować do pierwszego, oddałbym, gdybym mógł.

— Jak możesz w takim domu występować z takim pomysłem! — oburzył się Łącki.

-- No cóż. Mają grosze, niech pożyczą.

-- A co sobie pomyślą!

— Cóż cię to tak zajmuje. Wszak jesteśmy ostatni raz.

— Ostatni? — jakby naiwnie zapytał Łącki — O... nie ostatni... nie...

Tu Dębowicz się rozśmiał.

— Tom cię złowił. Co się nie uda wprost, uda się fortelem. Mam wreszcie twe zeznanie, a mam, a mam, a będziesz tu jeździł, a krygował się w tym cudzoziemskim domu, a magnatom łapy lizał, a uczył się poprawnej historii, że największymi bohaterami polskimi po Katarzynie i Fryderyku, są dobrze urodzeni starostowie przy wyborach. Złowiłem cię! potem coś sam wygadawał, po konferencji ze Skarską, po afrontach wujcia Korczaka, mój panicz nanowo podkłada węgla pod serce! Tylko podmuchać, a sprawa ubita! Cha... cha... cha... A no, bywaj. Ja jechać muszę, choć żal mi wikt...

Jak musiał, tak czynił. Przy obiedzie z zamasztyścią wygłosił panegiryk na temat gościnności staropolskiej i z żalem wypowiedział, że wieczorem musi odjechać. Przyjęto to z szerokim westchnieniem, a niewypowiedzianą radością w sercu, zwłaszcza pani domu.

— A pan Roman zostaje z nami — rzekła pani Skarska.

Helena w mgnieniu oka spojrzała na narzeczonego, a ten spuścił oczy, jakby się czegoś wstydził i powiedział:

— Także jadę.. ważne interesa.

Te magiczne chyba były słowa. Helenie zakręciła się łezka, a pani Skarska zaczęła prosić, by został, ponieważ widziała doskonale, iż chmury nie rozstąpiły się jeszcze.

Gdy obaj młodzieńcy siedzieli na werandzie po obiedzie, Dębowicz kiwał głową i powtarzał: Toś się sprawił, toś się sprawił.. Sądziłem, że do jesieni będziesz bawił na wsi dla poratowania zdrowia.. A może i dobrze tu siedzieć; w takim domu tylko żyć. Zostań, pozostań.. może i na zimę, opału mają cały las...

— Nie kpij, proszę cię, nie kpij — prosił Łącki i szybko pobiegł w ogród do przechadzającej się Heleny.

O czem mówili niewiadomo, dość, że oboje weseli i zadowoleni byli aż do wieczora.

Pożegnanie odbyło się krótko i gwarno.

W drodze Dębowicz ze zdumieniem dostrzegł, że Łąckiemu humor służy. Kiedy o świtaniu z porannej mgły wypłynęły wieże Krakowa, młodzi ludzie już gwarzyli o sprawach krajowych, co było najulubieńszym tematem Łąckiego, już układali wycieczki do wsi okolicznych, aby tam poznać rozum chłopski, przyczem gwarzyli zajęci rozmową tak, jak gdyby pobyt w domu Skarskiej należał do odległej przeszłości. Rzec można — wyjechali stamtąd na zimno, a to Dębowicza niezmiernie ciekawiło i nie mogło wyjść mu z głowy pytanie, co też to towarzysza tak nagle odmieniło..

Wieża Marjacka strzelała gwiazdami we wschodzącem słońcu, za chwilę podróżni byli w mieście. Łącki mieszkał niedaleko, a gdy się rozłożył we własnem mieszkaniu i był sam bez towarzysza, runął na twarde łóżko i w pół sennem znużeniu kąpał się w nawale wrażeń i wspomnień dni przebytych.

Usnąć nie mógł, trzeźwym nie był, tylko osłabione wstrząśnieniami myśli kołysały się w tę i w ową stronę.

Do południa trwały wywczasy po podróży. następnie obiad, a potem przechadzka po ukochanem mieście. Wuj Korczak byłby bardzo zadowolony z pietyzmu dla grodu pamiątek, pietyzmu bez granic kwitającego w duszy młodzieńca. Powiedziałby niezawodnie, że straż pamiątek dostała się w ręce właściwe, bo szlacheckie, tak jak krzywił by wargi, gdyby syn szewski czy chłopski ważył się mówić o Krakowie tak, jak się wyrażał Łącki.

Z dziecinnem niemal zadowoleniem przebiegał ulicę, bo widział młody człowiek, że ni kamienia, ni cegły, ni dachówki nie brakuje, jużto po kościołach, już też po starożytnych domach.

Wreszcie zaglądnął do arki swych dumań, do kościoła Marjackiego. Chadzał tam często, nigdy rano, natomiast przed wieczorem, kiedy poważna cisza pozwalała rozsunąć marzenia na daleką metę w przeszłość i przyszłość. Kiedy w kościele było bezludnie a Bóg mieszkał sam.

Grono widziadeł zrodzonych z nagrobków i płyt pamiątkowych otoczyło go wieńcem, gdy usiadł w ławce pod chórem. Przed sobą widział przepotężne wnętrza świątyni, a światła barwne przez witraże pasmami się

ścielące, ogromowi i przepychowi dodawały wzniosłości i nieokreślonej wspaniałości. Siedem lat na to patrzył, siedem lat nie starczyło, aby się napytrzyć.

Kto chce chwilkę bodaj żyć życiem naiwnej a niezłomnej wiary przodków, kto chce oddychać powietrzem ojczyzny pancерnej, kontuszowej, żupanowej i oglądać perłami wyszite czepce mieszczek krakowskich lub gromady żaków szkolnych, kto w gwarze z rynku się dostającym chce słyszeć turkot bryk kupieckich lub hałas pańskiej kalwakaty, albo wyroki ławnicze, uwieńczone krzykiem i jękami ofiary stojącej pod pręgierzem, kto dawnych zwycięstw hymny dziękczynne chce śpiewać wraz z duchami zamieszkującymi świątynię — niech wejdzie do domu Bożego wtedy, kiedy tonie w mrocznej ciszy, kiedy mgły panujące w ogromie drzemią w zakątkach sklepień, kiedy kroki zbłąkanej pobożnej owieczki powtarzają echem mury. Tam idź pielgrzymie, a jeśli w takiej godzinie, tam serce nie zadręga, myśl nie odejdzie w minione wieki, to się już od dzisiejszej doby nigdzie oderwać nie potrafi.

Siedem lat Łącki obcował tu z duchami zgastej Polski. Kto był tu raz jeden, nie był tu wcale. Kto ucha nie przyłożył do drgnień tu uszpiętego życia, a tak zawsze bujnego i żywego, kto nie wpatrzył się w arcytwory Wita i nie odczuł, że gorąca wiara Bogu i ojczyźnie wówczas służyła i Bogu i ojczyźnie równie wiernie, kto za podszeptem płynącego wokół ducha nie powtarzał słów polskiej modlitwy — ten nie był wcale, ani razu.

Siedem lat Łącki słuchał nauk, które podawały mu westchnienia mar otaczających go wieńcem.

Kto nie nauczył się cenić i ważyć polskiej przeszłości, tam się nauczy.

A kto i tam, w polskiem uroczysku pamiątek nie nie słyszał, nie nie widział, śmiało może iść w obce ziemie, za morza, wszędzie będzie mu dobrze.

Słysząc kroki... powolne suwanie nóg po kamieniu. Błada twarz wyłoniła się z cieniejszej bocznej nawy, postać wydała się znaną. Tak, to stryj.

Wielki to człowiek, a pobożny! Aby dla zysku okraść dwie siostry, wiedząc, że te dla nazwiska nie zechcą dochodzić swych praw publicznym sądem, za bezcen sprzedał żydowi bardzo, bardzo stary las dębowy, własność sióstr. Dęby zmarniały, a dęby pamiętały granie sfory gończej dziada i pradziada, swego czasu dały schronienie krewnemu, uciekającemu przed rzezią chłopską. Łąki pamiętał z dzieciństwa te dęby. Były to polskie dęby, jakimi się nie poszczycą kraje Zachodu. Pięciu leśnych z wielkiej miłości do mocarza zaledwie objęło pień w mchy i rozpękliny ubrany. Korony drzewisk gubiły się w splotach, na tle ciemnej zieleni widać było czarne rozmachy konarzyste, a nieba nie, ani na lekarstwo. Dziś krzaczki leszczyny zdobią łan ongi dębowy, lepiej zającom i kuropatwom, najlepiej żydowi z liberją, na koźle powozowym, a serdecznemu polakowi aż się chce płakać za dębami, za majątkiem narodu, a na narodowego złodzieja wstrętnie się patrzyć, jak boleśnie na łzy sióstr, które może do nieba dopłyną, jednak na ziemi są beznadziejnie stracone.

Stryj podniósł bladą twarz i szedł patrząc w obejmującego swemi ramionami Chrystusa, rozpiętego w ogromie na mgłach błękitnych i złoceniach. Ukłąkł przed

ołtarzem, laskę i kapelusz złożył obok, aby tem łatwiej spleść dłonie przy pobożnym pacierzu. Łącki z zajęciem obserwował tę postać wstrętną, gdyż chciał wyczytać z bladej, obrzękłej twarzy, z wysokiego czoła ukoronowanego siwiejącym włosom, jak to się godzi złodziejstwo z chwałą Bożą, chociaż nigdy doczytać się nie mógł.

Takich ludzi, jak stryj spotykał często. Swym głośnym krzykiem pobożnym chcą wmówić w Boga, że są nieskalani, chcą odwrócić uwagę Stwórcy i gwałtem nie pozwoląc Mu sądzić lub też w wiecznej księdze zapisać podwójne złodziejstwo, rodzinne i narodowe. To jest rodzaj wyrzutów sumienia, ale ten rodzaj istnieje jedynie u bezczelnych zbrodniarzy, którym dobra opinia i pewien spokój sumienia są nieodzownie potrzebne, albowiem bez tego nie byłoby kawioru lub łososia i opływania w rozkosze życia, co właśnie stanowi treść wszystkich zabiegów.

Stryj cieszył się poważaniem szczególnie w Tow. dobroczynności i u Jezuitów. A miał pasyjkę bardzo miłą, która Łąckiego do willi nieraz zwabiała. Był zapalonym ogrodnikiem, kwiaty miewał prześliczne i kwiaty te ciągnęły, bo kogóż one nie pociągną! Stryj, jakkolwiek nie był rodzonym stryjem, miłego chłopca gościł chętnie u siebie, miał przed kim swe wonne skarby przedstawiać, tem więcej, że kuzynek godzinami razem z nim w ogrodzie pracował. Stryj, polubiwszy go, był obok ciotki „hrabiny“ jednym z aranżerów stosunków ze Skarskimi. Kto takich miał protektorów, żytych ze Skarską, nic dziwnego, że przebił mury uprzedzeń towarzyskich.

Łącki ukryty patrzył w świętoszka i uśmiechał się zrazu, potem taka go złość wzięła na złodzieja, iż wy-

szedł z ukrycia i przesunął się przed ołtarz. Zwróciło to uwagę rozmodlonego, skrzył więc głowę i spojrzął, ale obrzękłej twarzy nie zmienił, wargi drżące szeptały psalm tak samo, a gdy młodzieniec mimo przechodził, stryj bijąc się w piersi, wodził za nim głową. I to przerwało mu nabożeństwo.

Skłonił się, ucałował stopnie, skłonił się jeszcze raz i powstawszy, poszedł prosto ku Łąkiemu.

— Jak się masz Romku — z miłym uśmiechem powitał. — Jużes powrócił? Chodź, chodź ze mną Romku, mam ci coś pięknego do pokazania.

Wyszli z przybytku, jeden spokojny i pewny zbawienia, a drugi zły, że mu się rozmyślenia przerwały.

— Wróciłeś tak prędko? — pytał stryj.

— Nudziłem się.

— Romku, bój się Pana Boga! Nie rozumiem, co mówisz! Co tam słyszać, zdrowi?

— Przywożę ukłony od pani Skarskiej i pana Korczaka.

— Zawsze Korczak patrzyła?

— Zawsze frazesowicz.

— Romku, że ty się Boga nie boisz! co, pokłóciłeś się, gniewasz się o co?

— Nie, może oni na mnie.

— Nie rozumiem! Nic nie rozumiem!

Tak puszczając słowa zaszli do domu, ale widocznie zachowanie się Łackiego zaanimowało stryja, ponieważ po raz pierwszy zapomniał o ogrodzie, kazał siadać, przynieść wina, podać papierosy i wziął się do indagacji.

— No opowiadaj o coście się posprzeczali.

— Nie sprzeczailiśmy się. dysputowaliśmy, badali wzajemnie — wreszcie ja doszedłem do przekonania, że jestem tam intruzem, którego oni nie rozumieją. Ani ja im, ani oni mnie szczęścia nie dadzą. Trzeba zerwać.

— Ani się waź! Łąccy byli zawsze bogaci, wy jedni zdziazieliście, ty masz rodzinny obowiązek napowrót dojść do majątku. Dziękuj Bogu, że to ci się tak lekko udaje.

— A... więc o to idzie! — zawołał Łącki.

I przez chwil kilka mówić nie mógł, tak go zastanowiło uzasadnienie tego zamierzonego związku. Więc jest interes? Więc nie z serdeczności, tylko z interesu, aby rodzinny majątek powiększyć, splendoru dobywać zawsze, wszędzie, na każdy sposób, nakoniec mieć sposobniejszą okazję do sukcesyjki.

Tymczasem stryj gadał dalej:

— Upadamy, straszna rzecz, jak szybko upadamy. Powstają nowi ludzie, a my przepadamy z kretesem. Dlatego nic mi nie gadaj o zerwaniu. To być nie może, wszyscy byśmy się ciebie wyrzekli!

— Ależ jestem tam intruzem.

— Co to znaczy intruzem?

— To znaczy, że żyję w nieskończeniu odmiennej sferze przekonań i wychowania i będę zawsze obcym, a stryj chyba przyzna, że całe życie być gościem w własnym domu, to tortura nie do zniesienia. Niczem męki piekielne.

— Romku, bój się Pana Boga. Miejże rozum. Tyle gadasz o ekonomji — czy to nie najlepsza ekonomia, wzbogacić się.

— Mawiam o ekonomji zupełnie innej, to co stryj tu przedkłada jest karjerowiczowstwem lub goniw-
tą za złotym cielcem.

— Nieprawda — rzekł stryj zirytowany. — U cie-
bie warcholstwo siedzi w rękawie. To rodzinny obo-
wiązek i bardzo mię boli, że u ciebie dostrzegam coś,
jakby ignorowanie zasad rodzinnych i lekceważenie
rodziny. Wszyscy się trzymamy i wspieramy się wza-
jemnie, jak kogo stać na to. I starsi i młodszy w rodzi-
nie żyją w zgodzie i jedności. Twój rodzice biedni,
ciężko na chleb powszedni pracują, a przecież żyję
z nimi, chociaż z łaski Boga o wiele jestem bogatszy.

— To wspaniale.

— Nie przerywaj. Rodzina, to podstawa społec-
zeństwa, a w naszym narodzie kult rodziny stał i stoi
dotąd bodaj wyżej, niż u Niemców lub Francuzów.

— To jest samochwalstwo i nieprawda.

— Nie przerywaj. Znasz historję naszego narodu.
Był jeden wielki naród, byli bracia, braćmi się nazy-
wali, bracia szlachta, a to dlatego, że byli i czuli się
członkami jednej rodziny, która jako wielka rzesza
dzieliła się na rodzinne właściwe, najściślej ze sobą
spojone kółka. I każde takie kółko, czyli każda rodzina
pracowała dla siebie i swych interesów.

— To było warcholstwo.

— Nie przerywaj. To też nie luźne jednostki, ale
rodziny znaczyły i głos miały. Rodziny rządziły, rodziny
rosły w potęgę, albo upadały dzięki takim jak ty
członkom, na przykład. Wyliczać ci nie potrzebuję ca-
łego szeregu nazwisk potężnych. Królewęta, potentaci,
po dwadzieścia działo grzmiało z murów ich grodów,

po dziesięć chorągwi za sobą wiedli i byli siłą, przed którą z rewerencją zdejmowano czapki. Gdyby nie nieszczęśliwe stosunki, które pozwoliły obcym państwom wleść w nasze grzędy, nie masz pojęcia, jakabyśmy mieli stąd siłę w kraju, po prostu twierdze nie do zdobycia.

— Te nieszczęśliwe stosunki...

— Nie przerywaj. W rodzinie była siła, w jednostkach rozbicie. Dlatego ja z radością podjąłem myśl rozwijania sił rodzinnych, tem więcej, że za czasów Rzeczypospolitej Łąccy wcale nie byli ostatni i już, już poczeli rosnać. O, gdyby ten nieszczęsny upadek bytu politycznego był się bodaj o wiek naprzód posunął, prawdopodobnie kopa dział ziałyby paszczami z wałów naszego rodzinnego zamku. Lecz na bok marzenia! Do dzieła Romku! Pan Bóg nie poskąpił ci darów i talentów, jak słyszę wziąłeś pannę na porządną miłość, więc nie fantazuj, tylko gadaj, czy termin ślubu jużście oznaczyli?

— Tak, półgębkiem oznaczyliśmy...

— Więc kiedy! Mów!

-- Oznaczyliśmy, względnie sam oznaczyłem termin zerwania, aby właśnie nie dopuścić do wzrostu prywatnej siły rodzinnej.

Gdy Łącki to wypowiedział, stryj tak, jakby osłupiał. Blade, obrzękłe policzki zmartwiały, szkliste oczy wpatrzyły się w uśmiechniętą twarz Romana.

— Tyś oszalał! — wreszcie stryj zawołał.

— Dysputy nie toczmy, toczyłaby się bez końca, lecz proszę przyjąć oświadczenie, że swymi argumentami stryj mię utwierdził w zamiarze zerwania.

— Romek! Bój się Boga, sobie golujesz nieszczęście, a nam straszny zawód.

— Uważałem za obowiązek, oznajmić to tym, którzy mię tam zaprowadzili — rzekł Łącki. — Na pociechę powiem stryjowi, że pieniądze Heleny wcale mnie nie odstraszyły, przeciwnie, nadzieja pieniędzy skłoniła mię do przyjęcia waszej protekcji.

— No, przecież coś mądrego powiedziałeś.

— Sądziłem trochę naiwnie, że te pieniądze potroję i obrócę na cele narodowe.

— Tak. Bardzo pięknie. Łącki *salvator rei publicae*. Łącki wielki bohater. Łącki minister! Łącki król!

Łącki się roześmiał z całego gardła.

— No, no, żartowałem, nam jeszcze do tego daleko — poprawił się stryj.

Dziś twierdzę, korzyść pieniężna nie wyrówna stracie moralnej. Panna Helena jest kobietą bardzo kobiecą i fantastyczną, matka zdaje się osoba przezacna, a jednak nie dostaje im czegoś, co w moich pojęciach jest brakiem, ułomnością, kalectwem...

— Że w tej rodzinie zamiast synów rodzą się córki — przerwał stryj.

— Obie panie, a zwłaszcza Helena ma dziurę w sercu, zdaje się, nie do załatania.

— No co? No co?

— Własny kraj zgoła ich nie zajmuje. Nie wiedzą gdzie żyją.

— E, faramuszk! Niemce nie są, Hotentoty nie są.

— Innym to może wystarczy. Ja żyję nędzą narodu, mnie dusi ten nienaturalny dostatek... i ta bezbarwność, czczość narodowa.

Tu zaczął stryj okrutnie sapać.

— Warjat! Spaczony geniusz Łąckich!

— Jeśli stryj nie pojmuje, to powiem popularnie, że za mało trącą szewcem Kilińskim lub chłopem Głowackim.

— Masz bzika! proszę cię, nie gadaj bredni. Widzę, że cię już ukąpano w socjalizmie. Fe! Wstyd i hańba! Rozdarłeś serce moje! Słuchaj Romek! My cię odtrącimy, jak marnotrawnego syna. Ojciec ci błogosławieństwa odmówi! Ja sam we własnej osobie podam do namiestnictwa, aby ci drogą przymusu nazwisko odebrano i nadano nowe. Namiestnik uczyni to dla mnie, jestem z nim w koligacji. Nazwiemy cię Kasprem Dratewką — mówiąc to, odszedł kilka kroków w głąb pokoju — Romek! Bój się Pana Boga, skandal chcesz wywołać? Panna śliczna, bogata, porzucona przez hołysza! Nie — w mej opinii przestałeś być Łąckim, straciliśmy członka rodziny, który wszystkie nasze nadzieje jednoczył! Niema Romana Łąckiego! Namyśl się, namyśl się — zanim coś postanowisz. Przyjdź za trzy dni.

— Powiedziałem, co miałem na sercu, za trzy dni powiem to samo — rzekł młody człowiek i powstał. — Ze względu na Helenę radbym, aby jej moje zamiary obwieścić i ją skłonić do zerwania. Ta prośba jest celem mych odwiedzin. Zdaje się, że postępuję bardzo względnie.

Stryj stał osłupiały w głębi pokoju i nic nie odpowiedział. Wtedy Łącki skłonił się i wyszedł.

Czuł taki niesmak, jakby wypił szklanicę piotunu z cukrem. Szedł plantacjami, przepychał się między tłumy używające przechadzki i prócz jaskrawej czerwo-

ności wieczornego nieba i gęstych kłębow kasztanowej ulicy, nic i nikogo nie widział. Witano go tu i ówdzie, oddawał ukłony, lecz nie wiedział komu. Tak zawlókł się do kawiarni, wlaźł w kątek i dumał:

— Raz wyjść trzeba z koła zwyrodniałej kasty. Rodziną mi nie jest, za ledwo z urzędu, ze stempla i papierów parafjalnych.. Ojca mi szkoda, jednej z ciotek mi szkoda... to przedobre dusze, a przytem ojciec jest zapoznany, a jest rycerzem pierwszej wody... w istocie, to wielki człowiek do niepoznania zarzucony obowiązkiem i służbą publiczną, tak, że go ledwo widać z za tego wału... Jednak muszę raz stanąć na konkretnym gruncie, choćbym ojca miał zrazić do siebie na zawsze. O innych nie dbam. Za ojca Bóg mi przebaczy... bo ojciec mi nigdy nowej Polski nie przebaczy...

Tak szepcząc, nawet niekiedy mrucząc półgłosem, stanął w dumaniu i naraz uczuł w sobie taki nawał siły, że się wstrząsnął cały.

— Kości rzucone — szeptał — Wykształcam ze siebie Helenę... aż mi dziwno, tak lekko. Teraz działać i działać.. aż do zwycięstwa! Będę czynił, będę szedł, będę budził, będę wołał... bo mi za wiele niechlujstwa i głupiego próżniactwa w ojczyźnie!... Będę! Będę!

Widocznie Łącki był bardzo zgorączkowany, skoro rzucił tak słowami.

Zwykłą jego naturą to nie było, przeważnie, przynajmniej dotąd, był w słowach umiarkowany. Któż wie — może wyrzeczenie się Heleny tyle go krwi zdrowej kosztowało?

Wtem wbiega do kawiarni Winnicki, bardzo żywy i młody gołowąs.

— Pan doktor? Sługa, uszanowanie — i wyciągnął rękę do powitania. — Dam panu doktorowi wieczór godny zazdrości. Tylko za mną, do Klimka!

— Dobry wieczór panu. Nowy spisek, nowa konspiracja? — zapytał Łącki.

— Nie spisek, na to czas zawsze, nie spisek, ale osoba. Osoba z Wiednia, oryginalny poseł wiedeński, zdrajca ojczyzny, renegat Koła polskiego, chłop!

— Który?

— Bujko w oryginalnem opakowaniu, świeżo nadesyłany, pierwszej jakości.

Łącki powstał.

— Panie Janie, dziękuję za wiadomość, pójdę z ochotą. Jednak śmiem zwrócić uwagę, że o pośle Bujce tak się wyrażać nie trzeba.

— Panie doktorze, przepraszam, ale to z radości — odparł zawstydzony gołowás.

— A za wiadomość serdecznie dziękuję... o, bardzo panu dziękuję.

Takiej rozkoszy jak w tej chwili, mało kiedy w życiu doznał. Więć los żąda aby szedł za sztandarem pochodu do powszechnej i oświeconej Polski. Los ciągnie go przemocą. W pierwszym dniu porzucenia złotego woru i perłowej Heleny, los rozkazuje mu zawrzeć znajomość ze słynnym chłopem polskim, spadkobiercą Bartosza, co się nie uląkł ani groźby dotychczasowych przewódców kraju, ani przekleństwa Bożego, czem go kler polski gromił z kazalnicy. Słynny chłop, cześć i uwielbienie jednych, ztorzeczenie i pomstowanie drugich, chłop, o którym tyle czytał i myślał, jemu ma się objawić i rzeknąć chłopskie słowo.

Doszli do Klimka i utonęli w zaduchu z piwa i chmury dymu tytoniowego. Gwaro tu było, mieszczany i urzędniki zapijali dzienne sprawy.

— O, tam siedzi — wskazał palcem Winnicki.

Przy zacisznym stole, we wielkiej wnęce murów jakich bez liku można znaleźć w starych budowlach Krakowa, siedzielo trzech ludzi.

Łącki wpatrzył się i poznał go! Lica spieczone pracą w wietrze i polnych przeciągach, oko łzawe, przyzwyczajone spoglądać daleko od łąnów do łąnów, namiętnie łzami od kurzu roli i spiekoty słonecznej. A mimo to, oblicze rumiane i zdrowe, chłopską pracą zgrubiałe, a chłopską myślą tak wyrzeźbione, że się w nim nie tylko zdrowej krwi, lecz także serdecznej zadumy, a bystrego rodzinnego dowcipu sporo znalazło. O czasy! Lawino czasów! Czasie, najobszerniejszy cmentarzu i najpłodniejszy rodzicu, azali baczysz, że dziś potomek karmazynów, butnych husarzy skrzydlatych, panów życia i śmierci mrowiska chłopskiego... z duchem wezbranym pokornym szacunkiem szuka chłopca i za szczęście sobie poczyta, gdy mu uściśnie prawicę! Niepojęte rzeczy się dzieją! Dlatego nie dziwno, że starsza gwardja, zapiekłe dusze swego chowu, rozmaite ślepce, rozmaici bałwochwalczy panowania, legion polskich niewiast, dostających drzączki ze strachu, gdy sługa dawnych czasów w obronie tradycji narodowej postraszy piekłem i gniewem Bożym, a to wszystko podlane sosom niemieckim lub moskiewskim, wrzeszczy w niebogłoty... „nie buntujecie ludu... nie rujnujcie ojczyzny... nie rwijcie narodowej przędzy.“ Straszne czasy, można wołać ze stryjem Łąckim.

Obu towarzyszy posła znał Łącki, a gdy się z nimi przywitał, przedstawił się chłopu i rzekł:

— Pan poseł pragnie wypoczynku po podróży, nowa znajomość może być nie w porę. Tłumaczy mię tylko to, że przed panem posłem stoi jego gorący zwolennik.

— A siadajże pan z nami. My są zawsze krzepcy. Pan nazywa się Łącki? Czy pan nie krewny tych z nad Wisły.

— Daleki krewny.

— I pan przychodzi z chłopskim sługą gadać?

— Chcę być innym, niż moi krewni.

— A to się panu chwali. Nam trzeba iść razem, ale zawsze po sprawiedliwości razem. Ani ty górą, ani ja górą, bo zawsze wtedy komuś za wysoko, a komuś za nisko. Ino razem, równo, a będziemy jak mur z jednej cegły.

To były pierwsze słowa okrzykanego buntownika, który miał napastliwie się rzucać na szlachtę i księży, a i dygnitarzom urzędowym nie przepuszczał. Buntownik siejący zgodę, wszak to dziwoląg, jak ogień nie palący, jak woda nie mokra, jak lód ciepły ..

Łącki wchłonął w siebie te pierwsze słowa, jak szlachcic sukcesję i oniemiał. Rozmowa zwolna jak młynska woda toczyła się na koła, przeważnie o walkach chłopów około własnej samodzielności i walce przeciw temu błogosławionemu ruchowi.

Dla Łąckiego nie były nowe te sprawy, lecz dziś z ust chłopskich płynęły tak prawdziwie, były tak wiernym i żywym dokumentem, że wydawały się wzruszonemu młodzianowi księgą świętą praw chłopskich i brzemniennym w skutki wyrokiem duszy chłopskiej.

Towarzysze posła Bujki, razem z nim należący do jednego Stronnictwa, świadomi spraw ruchu ludowego, gadali o rozlicznych szczegółach i szczegółowych sprawach, których Łacki prawie nie znał. Ale gdy wypił bombę piwa, nastroił się energiczniej i począł się mięszczać do rozmowy, doznając uczucia serdecznej dumy, że bierze udział w ruchu chłopskim, najznakomitszym aktem polskim ostatniej doby.

— Panie posle, dlaczego tak niewielu z uczciwej inteligencji garnie się do ruchu ludowego — zapytał jakby nieśmiało.

— Mają to sposób panie? Znałem panie chłopą, który od tygodnia kręcił się po izbie, a gdym go zapytał, czego się tak kręci, rzeknął mi, że sy polepe ugnia-ta. A ja na niego wsiądę, głupi chłopie, mówię, weź kłodę drzewa mokrego, bo waży, przybij ją do kija i machaj z góry na dół po polepie. Tym sposobem za dwa dni chłop był gotów i miał polepę ubitą. Tak samo z tą odrobiną uczciwej inteligencji. Pracował by panie dla ludu, kiej sobie rady dać nie zdoli. A sposób to bardzo prosty, nietrza rady.

— Jakiż, jakiż sposób?

— Pójść między lud, a praca sama się znajdzie.

— Idą przecież tu i tam.

— Gdzie tam panie. Obchodzą go do koła, wiersze piszą, malują, a do środka to mało kto wejdzie! Do środka nie chcą iść!

Jak dziwnie ten chłop odpowiadał rozumowaniu Łackiego. Łacki stał na wyżynach podziwu i szacunku. I w tej to chwili doznał wrażenia, że dusza jego ślubuje duszy chłopskiej braterstwo i łączność. Wejść należy w koło chłopskie. I raz jeszcze, ostatni tego wieczoru,

olbiegł myślą od perłowej Heleny, a patrząc w chłopca, pomyślał, że jej by się biała suknia zwałała, a błękitne rączki dotykałyby się twardej ręki chłopskiej, gdyby weszła w chłopskie koło. Chłopi palą w fajkach smrodliwy tytoń, plują za siebie i przed siebie, nosa palcami lub rękawem ocierają, więc Helena w tem kole wydawałaby się śmieszną, albo coprędzej by uciekła z obrzydzenia, tymczasem w chłopskie koło pójść — to twardy a święty obowiązek, to ojczyzna bogata, ludna, jedna i niepokonana.

Rozśmiał się uśmiechem na poły łzawym, na poły szyderskim i wciąż patrzył w chłopca.

— Dlaczegoż panie posle ruch ludowy spotyka tak wszędzie i zawsze zaciekłych nieprzyjaciół — spytał.

Wtedy chłop spoglądnął na Łackiego jakoś niedowierzająco

Widzę u pana dwie drogi, rozchodzące się od siebie. Pan niby to przychylnie odnosi się do ruchu ludowego, a daje zapytania takie, jakby pan żył w Ameryce, albo nigdy gazet nie czytywał. Dlaczego tłumią ludowców... to panu to niewiadomo?

— Pan poseł mię z pewnością przeprosi. kiedy się dowie, że słyszę najśłabszy szelest w kraju, widzę każdy ruch, wszystko czytam i we wszystko patrzę, ile tylko sił i czasu starczy.

A, w takim wypadku to przepraszam. Ale to pytanie!

— Prosta rzecz. Chcę wiedzieć i słyszeć zdanie samego ludu.

— O, o, nie tak nagle — bardzo żywo powiedział poseł. — Zdania ludu niema, bo niema zdania człowieka głuchego i niemego. My są po kilku z każdej

wsi, a reszta to grunt nieuprawny, choć wcale nie jałowy. Hm.. wcale nie jałowy. Zrozumie to, kiej mu się powie, nawet wie, czego chceć, ale... i machnął ciężką ręką o stół, aż szkło brzękło i zmarkotniał.

— Wie pan poseł — powiedział Łącki — poeci od porzątku świata piszą o tem samym, a każdy inaczej. Niechże pan poseł powie po swojemu, dlaczego ruch ludowy jest tak od wszystkich stanów poniewierany.

— Dlaczego? Poniewierają, bo chłop się da poniewierać Panie Łącki, wszystkiemu chłopci są winni. Że wy mieszczany i pany nie rozumiecie swego interesu i trzymacie chłopca w głupocie i poniewierce. to rzecz wasza. Nie rozumiecie swego interesu, mnie zaś nic do tego. To wasza sprawa — po namyśle ciągnął chłop dalej:

— Ja zaś jako zastępca chłopów mam swoją chłopską sprawę, za którą zraniły mnie już wszystkie ciernie i od szlachty i od księży pańskich i od starostów, ba! od woźnych i egzekutorów podatkowych. Ale niech te męki wyjdą im na zdrowie, Pan Bóg tam się z nimi lepiej, niż ja, porachuje. Pracuję mimo wszystko wśród braci włościan, jeżdżę, gadam, a gdzie co ugaadam i zrobię tyle, że chłopcy krzykną: „zgoła, razem się trzymamy“ i spokojny do domu powracam. za mną w tropy idą rozmaite bałamuty, nasłane od mocarzy, wszystkie dobra ziemskie i niebieskie trzymających w garści i rozbijają mi braci na grupki i cząsteczki. Chłop da się nakłonić do wszystkiego albo z głupoty, co rzadziej, albo co częściej, ze strachu przed ogniem piekielnym, lub ze strachu przed siłą mocarzy. Kiedy tak w żydowskiej karczmie niema pana ani lizoniów

pańskich, to ci tak chłopcy gadają, że ci się zdaje.. nie ugniesz go i batem, on już sam swych praw bronił będzie.. Aliści złoty kołnierz, albo sutanna, albo powóz się nadarzy, brat chłop mknie do chałupy i zamyka się, lub na pierwsze zawołanie staje, by robić to, co mu każą.. Dlaczegoż przeto jest łatwowiernym, bojącym się, chciwym? Bo się nie czuje dość polakiem i obywatelem i wszystko mu „dwa“, co się dzieje w kraju i wyniknąc dla niego złego może, byle wiedział, że będzie zbawiony i że podatku mu za karę większego nie nałożą. Mówię to otwarcie w obec panów, bo znam was i wiem, coście za jedni. A o pana Łackiego się nie boję, bo słucha, że mię o mało nie połknie. A jeśli zdrowo połknie, da Bóg, że strawi.

— Proszę wierzyć, że słucham z nabożeństwem
— odpowiedział.

— Dziękuję. Daj ci Panie Boże tyle siły i rozumu, abyś przejrzał, że chłopca usuwać od spraw publicznych i chłopca na pasku mieszczańskiej lub pańskiej polityki wodzić to zguba zdrowej myśli narodowej i strata dla ojczyzny najboleśniejsza, a może śmiertelna. Daj ci Boże, panie Łacki!.

Łacki był blady, wzruszony potężnym hymnem, który grał mu w piersi; uczuł, że staje się podobny bohaterskim duchem do ducha Kościuszki, składającego narodowi na rynku krakowskim przysięgę, płonął nieugiętą wolą i widział przed sobą rozwinięty sztandar odrodzonej Polski, zbudowanej przez lud... przez tę spiżową potęgę narodu..

I połączyły się ich prawice, poseł chłopski z odstępca starej wiary szlacheckiej, która się stała graba-

rzem ojczyzny, poseł chłopski z młodym żołnierzem nowego ducha zawarł przymierze gorącym pocałunkiem.

A teraz wyjdźmy stąd, chodźmy na kopiec Kościuszki!...

Powstali rażno. Łącki dostrzegł mimochodem, że przy sąsiednim stole patrzano na nich z szyderstwem i zwracano ku nim kpiące gęby, chciał więc sprawę na poczekaniu załatwić, krzesząc ognia z kpiących gęb, ale rozmyślił się i krewkość zachował na chwile odpowiednie.

Wyszli. Wstydliva strojność księżycowej nocy letniej rzuciła na idących sino zielone szaty, dech kwiatnych plantacyj krakowskich rozkosznie się rozlewał w spokojnem powietrzu. Poszli drogą nad Wisłę, w kierunku klasztoru Norbertanek, poważnie wspartego o brzeg rzeki, zadumanego pamięcią prastarych lat.

— To najmilsza mi droga. Chadzam na kopiec chłopskiego wodza zawsze, gdy mi wypadnie być w Krakowie — rzekł poseł.

— Ja tu chodzę często, by się zamkowi przyglądać — powiedział Łącki.

— Ja tu nachadzam, aby z rybakami gadać — mówił Winnicki. Tak jak inne miasta mają swą specjalną dzielnicę, my w Krakowie mamy Zwierzyniec. Styl tu taki paradny, a bywa i damska kapela i krakowiaki, jakich nigdzie indziej usłyszeć nie można, a krakowiaki to zbieram tak, jak inni znaczki pocztowe.

Ale gwarzyć się nie chciało. W ciszy posuwano się brzegiem narodowej rzeki, w której nurtach widzimy inne, piękniejsze obrazy, niż w jakiegokolwiek innej rzece.

— Przystańmy, patrzmy w gmachy naszej minionej sławy, uczcijmy spoczynek naszych wodzów, których

wraz z wolnością zabiła niesforność naszych żołnierzy, lubiących przewodzić, zamiast służyć i krew przelewać za sprawę — zwolna mówił Łącki do stojących i zwróconych w jasne szczyty Wawelu, ukoronowane snem nocy i ogromną ciszą.

Bawiono na tem miejscu sporą chwilę. Milczano. Milczenie było wymownem świadectwem, że widzowie przeobrazili się w smętek, i patrząc na zwałiska świętej pamięci, mieli w duszy granie narodowego hymnu, a równocześnie i coś z rozpacz.

Wawelski zamek spał. Przebudzić i poruszyć jego zamarłe tętna... myśl tę okrzyczanoby za zuchwalstwo, marzycielstwo, narażające naród biedny i skołatany nieszczęściami na beznadziejne klęski — atoli gdyby zebrać łzy i ogień duszy chłopca i Łąckiego, przeszczepić to między naród, rozplenić w wystygłej lub wodnistej krwi rzeszy, działałoby się inaczej, raźniej i bez tumultu i nowej klęski, zdobyłoby się życie tak polskie a tak chobre, że możnaby szczęsnemu czasowi troskę o resztę zostawić. Spieszyli dalej, bez pospiechu. Droga zapyłona, miękka. Pasma drogi lśni w świetle księżycowem a czarno sine szczyty klasztoru wyglądają jak uroczysko gdzie pogrzebano polską pobożność. Za klasztorem skierowano w górę i posuwano się szeroką ulicą, wysadzoną drzewami.

— Do kopca się niedostaniemy z powodu warty żołnierskiej — powiedział Łącki.

— To tu na wyżynie posiadamy — odpowiedział poseł. Wyżyna to jedna z najmiłszych w okolicach Krakowa. Srebrzysta wstęga polskiej rzeki, zasiedziała stolica, kawał ojczyściej ziemi od Olkusza aż po Tatry,

a w sercu wieżyce miasta i w toni pogody księżycowej zanurzony zamek królewski, w nocnym świetle taki wspaniały i wielki, jaki bywał za lepszych czasów.

— Tu widać wszystko — objaśniał Łącki — a mogiła króla bez korony, pierwszego króla wolnego ludu polskiego, króluje nam zdaleka. Dobrze powinno nam tu być, możemy czytać z otaczających nas pamiętek jak z księgi poetów.

— Od kilku godzin się znamy, a pan chociaż mało mówił, dał się już poznać z lepszej strony, a rzadkie to w tych czasach.. — powiedział chłop. — Przyznam się panu posłowi, że po raz pierwszy byłem w środku koła ludowego. Przedtem to nieraz obchodziłem chłopą dokoła, lecz dziś byłem w sercu chłopskim. Dzień ten upamiętni się w mojem życiu..

— Tylko nie gadaj pan, broń Boże, bardzo górnie. To na nic. Do chłopą gadali nie raz, nie dwa, bardzo pięknie, bardzo mądrze, ale to na nic, bo gadano do chłopą, a nie z chłopem. O, tu cała prawda.

— Mam prawo tak mówić. Jestem w tej chwili bardzo szczęśliwy. Zdaje mi się, że mi nic więcej do życia niepotrzeba. Widzę Kraków, widzę mogiłę króla kosynierów i czuję zgodę między nami! To bardzo wiele — a szczytem tego dostatku jest wynikające ze słów pana posła świadectwo, iż jasno widzę drogę do chłopskiego koła, a dalej taką stalową siłę, taką żywiołową falę, — że mam prawo uważać ten dzień dla mnie, jako dzień pamięci..

Gdyby tak kazano naszej publiczności rozsiaść się po polach i słuchać nienamiętnej i spokojnej rozmowy chłopą z kilku mieszczuchami — takie stugębne ziewa-

nie zadęłoby w ciszę nocy, żeby się aż o Olkusz i Tatry oparło. Ha... to nie bawi.

— Takie to przypuszczenie wypowiedział studencki sekretarz. A Łącki mu rzekł:

— Ale chleb daje ta nienamiętna rozmowa a z chlebem życie, a z życiem wrażenia...

Późną nocą powrócili wycieczkowcy do miasta.

IV.

Lato. Senne życie w mieście, szary kurz uliczny zasłaniają słońce, niewpuszcza powietrza do miasta, załoga liście i korony kwiatów, szarawą zastoną tłumiąc gorące barwy. Kto pracuje na chleb codzienny, ten tylko wlecze się w taczkach ospale, ale myśl jego gdzieś indziej, w przestworzu, w obłokach pędzonych po lazurze ciepłym powiewem, w wilgotnym cieniu lasu, albo z pieśnią żniwiarzy po łąkach, rozkołysanych weselom. Hej... i Łąckiemu, marudzącemu w swym pokoju po nieprzespanej nocy serce się rwie w swobodę, w słońce wsi i tęskniej zawadza wspomnieniami o letnie jego sadyby u stryjów i ciotek, o ostatnie swobody po łąkach i polach narzeczonej. Nagle mąci się próżniaczy ranek niedobrą myślą, która chyłkiem wybiegła za obrazami ze wsi narzeczonej. To ona sama, ten słodki ciężar w piersi, dobywa się westchnieniem. Po co sobie wzajemnie w drogę weszli? Tu chłopski poseł wzywa do pracy, trzeba wysiłkiem Gigantów powiększać rzesze narodu, rzekomo kilkunasto-miljonowego, a w rzeczywistości garstki, z której kpią sobie wszystkie Niemce i Rusy. Tu mózg jak z ognistego krateru wali ogniem

i woła: nasyciłeś mię naukami, napoiłeś poezją boską i ludzką, nie marnuj mię, boć byłbyś marnotrawcą, nie daj mi uschnąć, lub zwalać się, boć byłbyś osłem albo świnia! Tu sumienie szemrze potokiem, a szmer jednostajny, niby monotony, nie taki głośny ile nieprzerwany: czuwajcie niewolniki... obywatele niewoli.. czuwajcie kajdaniarze... raz zapomnieć niewoli... to zginąć na wieki... raz ucałować kajdany... to skonać od razów rzemienia! A serce? Wiją się języki krwawego ognia, splatają się wieniec kwiatów, przewiduje się procesya ludu polskiego, przewidują się zażarte zapasy z wrogiem o śmierć lub życie, przewiduje się złota karoca, ciągniona białymi końmi, pędząca na oslep ku złotym krajom, a w niej on i ona z uśmiechem szczęścia roz-pajającego patrzą w złote promienie słońca aż do obłędu ducha i piją rozkosz śmiechu, uciechy, zabawy słodkich dni, czarownych nocy!

Rozkosz i obowiązek niewolnika, piekło i niebo! Łatwo to udawać, że się o niej zapomniało, łatwo tlić zapałem i gadać o polskim ludzie przy szklance — trudniej wysiąść z karocy i pójść pieszo po piasku lub błocie i dostać gdzie po drodze kamieniem za chleb, grubijaństwem za dobre słowo i całe dnie patrzeć w nędzę, w nędzę, w nędzę polską... i całe noce płakać.

Niewyspanie niekiedy podnieca, zwłaszcza po nocy, pełnej wrażeń. Toż Łącki nie zupełnie ubrany, bez kołnierza i krawatki, chodził od pieca ku oknu i z powrotem gorączkował się.

Wtem zapukano, drzwi się otworzyły, a śmiała ręka, trzymająca list. wsunęła się przez drzwi pół uchylone.

— Sługa pana doktora..

Łącki list pochwycił, drzwi się zamknęły. List barwy różowo liljowej, woni heljotropu. To od Heleny. Pamięta o nim. pisała zaraz po jego wyjeździe, pisała wiele, bo po roztwarciu koperty doliczył się Łącki czterech różowo-liljowych arkusików, woni heljotropu. I czytał:

— Mój panie Romanie!

— Nazywam pana moim, bo chciałabym, aby tak było. Dzięki niewesołym duchom, które nam szczęście jątrzyły, nie piszę śmiało... mój panie Romanie, lecz piszę z niepewnością i z lękiem o szczęściu, tak, jakby mi ono się nie należało, albo droczyło się z nami, albo się oddalało. Stąd może mój pan wywnioskować, jak mi smutno... bardzo smutno.. tem smutniej, iż pan mój w swej niepojętej dla mnie wstrzemięźliwości nie był łaskaw nigdy być szczerym, nigdy mówić wprost, do serca.. które chyba więcej rozumie, chętniej wysłucha, mniej się nasroży... niż jakiegokolwiek inne serce na ziemi. Odjeżdżając, rzekł mi pan, aby o wszystkim zapomnieć, nie szukać żadnych urojonych niebezpieczeństw i nieszczęść, bo już wszystko jasne, wyrównane i nic nikomu nie grozi! Na chwilę uspokoiłam się, a nawet, jak mój pan z pewnością dobrze pamięta, przy odjeździe pana byłam wesółą i rozpogodzona. Ale potem na utrapienie, jak szeregi echa, przysłyszwały mi się wszystkie słowa pana i najbliższych, a najsilniej przypomniały się wszystkie pana uwagi i aluzje o polskości i o Polsce. Domysliłam się zatem — niedobry Seneko — że zamiast mi to otwarcie powiedzieć, posądzasz mię w skrytości o to, że nie jestem zadowolona z polskiego rodu, że mozębym z lekkością motyla zmieniła swą narodowość i pragnęła się liczyć do narodu

więcej cywilizowanego. Przypuszczam, że jako zapalonemu konfederacie, bardzo memu panu idzie o to, jaką jest w tym względzie jego wybrana. Dlatego w bezwzględnej szczerości, bo to jest niezbędnym warunkiem szczęścia, chcę wypowiedzieć jasno i wyraźnie, kim jestem, jako człowiek. Juści, że jestem Polką. Wujcio Korczak nie dopuściłby przecież, gdyby kto z naszej rodziny był bezbarwnym międzynarodowcem. Owszem, kiedy już Bóg dał, że urodziłam się Polką, z obowiązku honoru nie wyparłabym się nigdy swej narodowości. Tak samo nie wypieram się przekonania, że naród polski jest nieszczęśliwy i jako taki swoją historję powinien uważać za skończoną i żyć pamięcią wielkiej przeszłości, która swego czasu objawiła się światu obroną wiary i ratunkiem chrześcijaństwa przed półksiężycem. To, co tu piszę, proszę uważać za uroczyście oświadczenie, chociaż nieuczenie skreślone, a może niedołążne, lecz w głównych zarysach zupełnie szczere. Wydaje mi się, że mój pan ostatecznie się przekona, iż wszystkie posądzenia były tylko niepotrzebnym kłopotem. Że o kwestjach mej wiary politycznej wyrażam się nieuczenie, to prosta przyczyna, iż w Sacrécoeur nie zwracano uwagi na zagadnienia polityczne, jako nie kobiece, chociaż niekiedy Matka Adelajda czcigodna i żarliwa Polka, nazywana przez inne Matki czerwoną z powodu swego patryjotyzmu, dawała nam wykłady o polityce i stanie naszego kraju. O tem, na teraz dosyć, ponieważ chcę pisać o sprawach nas samych obchodzących. I dosyć dlatego, że, przyznam się, trudno mi się wypisać w tych nieznośnych rzeczach politycznych, dla których, wy, panowie godzinami mówić, kłócić się, a nawet pojedynkować umiecie.

Prawdziwym punktem wyjścia wszystkich mych pragnień i marzeń jest to, że jestem kobietą.

Tu się wypiszę łatwo. Jak płynne wiersze popłyną słowa spowiedzi, a hasłem ich, dać szczęście i być aniołem tej ziemi. Czy może im kto zaprzeczyć, iż jest jakie inne powołanie kobiety? Nie obce mi, co wielcy poeci wszystkich ludów o kobiecie napisali. Wam natchnieni poświęcili prozę, nam kobietom poezję i rozdział taki tylko natchnieniem podyktowany, jest moim dążeniem, a dziełem Bożem. Każda kobieta powinna głęboko, bardzo głęboko pojąć swe anielskie postannictwo, a chlubą mego życia będzie, jeżeli kiedy dojdę do takiego ideału. Te niewzruszenie dobre pojęcia zawdzięczam w pierwszym rzędzie Bogu i mej najukochańszej Mamusi, a w drugim rzędzie moim niezapomnianym nauczycielkom, tym na ziemię niebo przynoszącym aniołom. Dom, ciche ognisko ładu i porządku, rodzina, gromadka wzajemnej pieczy, pomocy i miłości — to od Boga przeznaczona ziemia kobiety. Czy nie tak? Wydaje mi się, że jeśli kobieta zdoła dojść do takiej doskonałości, jaką przedstawiłam, stworzyć może na ziemi niemal to samo, co daje niebo, z tą różnicą, że w chrześcijańskim domu, gdzie panuje kobieta anielskich zalet — czuje się Boga, a w niebie tego samego Boga się ogląda. Aż oczki się śmieją na myśl, że mój pan czyni poprzeczną buzię i mówi do siebie to mazgaj, nie anioł, dziękuję za cukierki, czasem przecież i mięsa i wina mi się należy. Sentymenta tracą na wartości, jeśli się nie przeplotą z czemś rozmaitem, choćby pieprznem. Ach... w lirykach tak doskonale poznałam, iż wy, panowie pieprzno lubicie, po za naukami Mamusi i Mateczki w Sacrécoeur przebyłam

lekcje z poetami i nie obce mi są ich pragnienia zabawy i wrażeń.

Mamusia z pewnością spaliłaby nawet Krasieńskiego, gdyby go tak znała, jak ja go znam. I on ma grzeszki na sumieniu. Grzeszki powiadam. To zupełnie coś odmiennego, niepodobnego do grzechów. Jest to właśnie ów interes życia, owa piękna strona serca i nerwów, która nienadużyta daje ludziom, więc i kobietom to, co stanowi szczęście kochanków, szczęście życia w użyciu, szukanie Bożego piękna w sposób niekiedy niezupełnie poważny; niekiedy jest to rozkoszna muzyka nerwów, śliska, niebezpieczna. Niewiem, czy mój Pan dobrze mię rozumie. To jest owa druga część anielstwa kobiety, po za służbą dla domu i rodziny, strzegącej na ziemi waszego osobistego szczęścia — waszego — z ręki kobiety, dającej wam życie w porywach, dającej wam podniety do czynu, prowadzącej was w chłodne gaje po znoej pracy, ogrzewającej was po mroźnych burzach życia.

Owóż z powodu obowiązku w domu i rodzinie, z powodu pieczy o osobiste Pana i moje szczęście, chciałabym zdobyć i odziać się w szaty anielskie. Czy tak będzie — Pan Bóg wie najlepiej. Ja jedynie mogę chcieć, a że tak jest, to przysięgam! Dam mojemu Panu nieudolną próbkę, w jaki sposób będę do tego dążyła. Z łaski Boga nie będziemy się troszczyli o codzienne prozaiczne rzeczy. Będziemy żyli życiem Hellady, nie wyłączając Arystofana, w pałacach cesarów będzie nam towarzyszyła lutnia grecka, a że czasem zawadzimy o cyrk i posłuchamy ryków dzikich zwierząt, to poprawimy się w starej, majestatem tchnącej bazylice. Z wilgotnych murów, po odśpiewaniu psalmów Dawida, po

wysłuchaniu listów Św. Pawła, wyjdziemy na szeroką łąkę i posłuchamy zawodzeń minstrellów, prowadzących swe bogdanki, albo na dziedzińcu książęcego zamku będziemy świadkami rozgrywającego się Sądu Bożego. Ujdziemy cało przed sforami wędrujących ludów, oprzemy się aż w Hiszpanji, gdzie Maurów koronkowe krążganki Alhambry rozbrzmiewają muzyką fletni i bębenków, gdzie bajadery opasawszy ciało zwojami syczącej żmiji, szaleją przed tronem znudzonego Kalifa i żądnych rozrywki arabskich mędrców. W wieku odrodzenia, odziany w wykwintny strój medycejski, złożysz u stóp mych laur zdobyty w zapasach poetyckich, ja w zamian... dam ci się ucałować...

Miłość jest wyłącznym skarbem, jedynym skarbem, którego się głodnym i łaknącym nie udziela... Tak powiedział pewien poeta.

Inny zaś znów tak twierdzi: Byłem senny, głuchy, ślepy... tyś ziemski aniele podała mi rękę. Dotknęłaś mi czoła, ożywiłem się, tchnęłaś mi czar w ucho, usłyszałem muzykę nadziemską. Spojrzałaś w oczy, ujrzałem cudów cud, ciebie w królewskim płaszczu niebu równej piękności. Poszedłem za tobą, i przedtem senny, głuchy, ślepy, czułem wszystko, słyszałem wszystko, widziałem wszystko — wał bezbrzeżny tajemnicy szczęścia stał mi się przejrzysty jak kryształ i dotarłem, za tobą idąc, w serce i wszystko mi było jasne... O, jakże żałuję, iż nie mogę zacytować tej harfianej pieśni dosłownie. I nie ten jedyny wprost przyznaje, że kobieta, jeśli zechce i pojmie, co to znaczy aniełstwo, od Boga pożyczca raj i daje go mężczyźnie — jak znów któryś powiedział.

To słaby obrazek, mający wykazać, jaką chcę być dla Pana. W jakimże celu tak się rozpisałam — może Pan zapytać? Rozpisałam się dlatego, aby być lepszą od Pana i wypowiadać się, abyś wiedział kim jestem i co memu Panu dać pragnęłabym... ach — pragnęłabym.

A i może ten sposób listowny lepszy, niż ustny. Niechże Pan za moim przykładem uczyni tak samo i napisze bez ogródki... wszystko!

O, uczyni to mój panie, jeśli mię choć troszkę k....! Nie mogę spać, jeść, czytać, słowem nic nie mogę, od czasu, kiedy jakaś trucizna wsączyła się i zatrzyma mię niepokojem, temi strasznymi półsłówkami, trącającemi jakimś przewrotem, buntem, rewolucją, bezbożnością!

A gdy się tak wygadamy i wygniewamy, wysprzeżamy, jeśli w wzajemnych zarzutach będziemy się chcieli dla siebie wyrównać... pocniemy nowy okres życia, ściślejszy, więcej wspólny. Pa.....

Nie napiszę nic więcej niegrzecznemu Panu....

Helena.

Bezwiednie Łącki dokończył ubrania, wsunął list do kieszeni przy piersi i wyszedł. Czy więcej czuł niezrównanego sprytu kobiety, czy dławiących ponęt, czy ironji z powodu pogmatwania chrześcijaństwa z epikureizmem — niewiadomo. Są stany duszy, kiedy to kilka prądów zbiega się i szumi, bryzga falą, pieni się, a tylko jeden najsilniejszy góruje i wypłynie w momencie spokoju. Obecnie trzeba tylko usiąść i odetchnąć bodaj kurzem miejskim, naśladowującym świeże powietrze, w nieobecność rywala choćby z przedmieścia. Tak też uczynił Łącki i chwilę bawił się scenami dzieci miej-

skich, skazanych na smarowanie masłem i piernikami ławek publicznego ogrodu dlatego, że ojcom zachciało się w skwar lata myśleć o chlebie i pozostać w mieście.

Podobała mu się grupa smarkaczy, polskich dzieci z których jedno było w austriacki dragoniński mundur ubrane. Dzieciaki z niesfornością pajaców stawały w szeregi, a generałem tego wojska był młody żydek w stroju marynarza, komenderujący po niemiecku.

— Z pewnością polskie anioły zrodziły to wojsko — bąknął do siebie. I mało brakowało, by się z przekleństwem od polskich dzieci nie odwrócił, lecz w ostatniej chwili pomiarkował się, a kosztowało go to wysiłku, tak bowiem był wzburzony i zgorączkowany.

Wolnym krokiem powlókł się do Dębowicza, który rezydował w kancelarji z miną urodzonego adwokata, a to z powodu wyjazdu pryncypała do żony, kąpiącej w Krynicy swój nadmiar plotek.

Idąc przez schody dostał bicia serca, odpoczął więc trochę, zanim drzwi otworzył.

Dębowicz ucieszył się gościem niezmiernie. Skoczył ku niemu, nagle przypadł do stołu, przed którym siedział, począł kląć niedwuznacznie i przykładać raz po raz kawały bibuły. Z operacji tej wychodziły palce coraz czarniejsze a wyrazy oburzenia coraz jaskrawsze. Tymczasem Łącki siedział i patrzył w operację z krwią zimniejszą, niż węża.

— Inkaust raczył chlapanąć na akta. Trafił swój na swego, bo to brudna sprawa, wreszcie mecenasa, nie moja.

I po tem zakończeniu walki z żywiołem czarnym, uśmiechnął się do gościa bardzo serdecznie i zapytał:

— *Quid novi?*

— List, list! — i wyciągnął list barwy różowo liljowej, woni heljotropu.

— Mądrej głowie dość zobaczyć ciebie i list. Co? Będzie proces z Heleną. Dla ciebie podejmę się procesu za połowę ze stemplami.

— Przeczytaj, a potem powiedz co myślisz.

Dębowicz wziął list w rękę i obwąchał go na wszystkie strony, rozparł się na mecenasowskim fotelu i czytał z zajęciem, gdy Łącki liczył ilość kwiatków i floresów na dywanie.

— Powiem ci po prostu, co myślę rzekł... Z listu odniosłem wrażenie... że jej się chce... jakby to poetycznie powiedzieć... no... aniołka...!

Łącki się rozweselił, Dębowicz był kontent ze swej krytyki.

— A.. możesz dotarł do sedna rzeczy — rzekł Łącki po namyśle. — W każdym wypadku trzeba coś z tem uczynić...

— Odpisać krótko i węzłowato: Szukaj sobie innych mistrzów, a do mnie pisz na Berdyczów.

— Mój ty, proszę cię bardzo a bardzo, rzuć te akta na dziś popołudniu. Pójdziemy na Bielany i ostatecznie się rozgadamy.

— O tem na Bielanych gadać nie mogę.

— A gdzie?

— Nigdzie! Nie czytasz wyraźnie, że ją tyle ojczyzna obchodzi, co pijaka woda. Czy „nie stoi“ to wyraźnie napisane?

Wreszcie po targach obaj młodzieńcy zgodzili się na jedną myśl pohasania po jasnej ziemi i pogadania o wielu rzeczach, nie tylko o Helenie.

Mój Boże! A kiedyż jest więcej do gadania, jeśli nie w młodości?

Drogą prastarą, po nad Wisłą, szli obaj wprost słońca. Drogą tą idzie się w uczuciu, że miasto daleko, bo znikło za wzgórzami, których koroną mogiła króla kosynierów, a cyplem dwie białe wieżycy klasztoru Bielanów.

— Tą drogą — mawiał Łącki — szły pierwsze kosyniery, bodajbym i ja tędy szedł kiedyś jako jeden z nich.

Zwaliska Tyńca strzelały nad rzeką, skowronki śpiewały krakowiaka, a ziemia cała swym ubiorem świadczyła, iż ta okolica chlubi się największą wiejską cywilizacją na całym niemal obszarze ziemi dawnej Rzeczypospolitej. U kolebki narodu, obok Piasta nad Wartą, Krakus nad Wisłą osadnikom ufundował ojczyznę, tu więc ona jest najstarszą, najwięcej polską. Zwolenników tych rozkosznych przechadzek, Łącki nie wielu spotykał. Droga zwykle pusta, zaludniona jedynie wędrownkami mieszkańców wsi okolicznych. A to także powód do wyróżniania tej drogi nad inne. Tu miasta już wcale nie było, mimo, że do niego tak niedaleko. Za ostatnimi zagrodami Zwierzyńca było się już w niezepsutej harmonji pól, łąk i chat, połyski płynącej wody mieszały się z jarzącem się powietrzem, okoliczne zaś góry coraz to się oddalały, tonąc w niebieskich i sinych przestrzeniach.

— Wiesz ty Romku — mówił Dębowicz — ty masz wszelkie warunki na chłopskiego wodzireja. Od dawna mam oko na ciebie i stwierdzam zawsze u ciebie namiętne lubowanie się w wiejskiem błocie lub w wiejskich nudach. Tobie tylko na wieś, a fantazja jest, kupa

nawozu pachnie ci, jak innemu szklanka piwa, do bociana stojącego na kole płaczesz, ryk krowy nawet polskiej, głodnej krowy, przypomina ci śpiew primadonny. Mówię ci brachu, dziękuj Bogu za tę naturę i jedź chłopów rodzić na polaków, tak, jak ci to poseł gadał.

Bo Dębowicz już z drobnymi szczegółami był powiadomiony o posiedzeniu Łąckiego z chłopskim postem.

— Mówić łatwo, uczynić trudniej. Chrystus do trzydziestego roku życia przygotowywał się, aby w trzech latach świat przewrócić.

— Nie taka to sztuka w nieświadomionego nawet wmówić, że jest Polakiem. Tu więcej roboty ze starostą i księdzem, niż z chłopem. Ty byłbyś już przygotowany, gdyby nie romanse i polska romansowość.

Rozmowa się wszczyniała, wbiegała na tory właściwe tym dwom ludziom. A kiedy doszli do ruin tyńieckich i usiedli naprzeciw na brzegu Wisły, już szermowali językami tak głośno, że aż gromadka pastuszków otoczyła ich kołem.

— Czy ty Polak? — zapytał zniecka Dębowicz jednego z zagapionych pastuszków.

— Jo krakowiak.

— A Krakowiak, to nie Polak?

— Poloki to siedzom pod moskolem.

— Idźcie no krakowiaki do bydła, bo was oddam do polaków pod moskałem.

Idźcie no, bo was kijem spędzę, nie macie tu nic do roboty.

— A dosz pon grajcar?

— Pójdziesz, drabie! Gadać nam nie dadzą.

— Daj pan grajcar.

— A niechże was. No, macie po grajcarze, lecz mówię wam, błogosławieństwa z niego nie będzie, bo to grajcar nieczysty, adwokacki.

I rozdzielił między pastuszki grajcarzy, mówiąc:

— Włochy, dalibóg włoskie lazarony. Czy to ja w Polsce mlekiem i miodem płynącej?... A gdy ucieżeni pastuszki odbiegli, Łącki rzekł, że wolałby ich napędzić kijem, niż grajcarem.

Słońce już złociło zachód, a młodzieńcy wciąż nad rzeką siedzieli, prowadząc żwawy dyskurs o liście Heleny. Zdania się rozbiegały.

Czyż można ci się dziwić, ironizował Dębowicz? Nie można. To pokusa nielada, pytanie, czy kandydat na świętego umiałby się oprzeć. Proszę cię — taki paradny wikt bez pracy! A te grzeszki okraszone dukatami. Oj, te grzeszki, smaczne orzeszki te grzeszki. To mi się z całego listu najwięcej podobało. Po co grzechów, kiedy są grzeszki. A zresztą bogaty byłby głupi, gdyby grzeszył. Co to jest grzech? Złodziejstwo. Na djabła bogaczowi być złodziejem. Łakomstwo... na djabła bogaczowi być łakomym, kiedy mu się z brody leje. Pijaństwo. Wiadomo ci, że zły trunek i to naczco jest głównym sprawcą pijaństwa. Czy bogaczowi trzeba szukać dziury na całym, gdy nie jest naczco i stać go na dobre trunki?

— Przy tobie trapista zdarłby się ze śmiechu — odparł wesoło, przeważnie poważny towarzysz Dębowicza. Aliści nagle nerwowym zwrotem głowy skierował oczy na czerwone, w ogniu niknącego słońca płonące zwaliska dawnego tynieckiego opactwa i jakby wciągał w siebie wszystko powietrze z otoczenia. Pa-

trzył, bezwiednie uderzał ręką po kolanie i milczał uparcie przez dłuższy czas, mimo zagadywania gryzi-piórka, snać rozważał coś bardzo sumiennie. Dębowicz to pomiarkował i powtarzał:

— Święty miałby djabłą robotę z tymi grzeszkami... dziwić ci się nie można... można ci pokazać krowy polskie wraz z kośćmi i skórą, twoje ulubione świadectwa naszego dorobku ojczywego.. można ci pokazać bagniste łączki. piaseczki do atramentu, wycięte laski, gminne pastwiska... można ci polskie miasteczko w sobotę pokazać... można ci pokazać setki pięknych klejnotów narodowych.. można cię nawet namawiać, byś wziął mietłę w łapy i trochę przeczyścił tę stajenkę... można cię nawet nie prosić... lecz nakazać?... dziwić się... święty miałby djabłą robotę z grzeszkami.

— Idź ty do stajni... poradysz sobie.

— A poszedłbym, a poszedłbym, żebyś wiedział, gdybym był tobą. Trzeba mieć takie smutne oczy jak ty w chwili spoczynku, a takie ogniste i wymowne w chwili przemowy i trzeba mieć taką świętą cierpliwość i trzeba mieć tyle miłości i wyrozumienia, a tyle stalowej wytrwałości, gdy się świństwo dostrzeże. Ja tam wszystko wykpię i zapiję ze zgryzoły. Ja grzeszny człowiek.

— O, nie sądź, że twe kaźdida wpływają na me postanowienia.

— Ależ — broń Boże — i spuścił Dębowicz oczy, bo się z cicha zaśmiał, ale pocziwie. Tymczasem ruiny gorzały, a Łącki pogodniał na twarzy, zdradzał pewne zniecierpliwienie i nagle wyciągnął ręce przed siebie.

— Już wiem !...

Dębowicz z ukosa spoglądał.

— Można cię tylko prosić.. nakazać nigdy... święty by nie wytrzymał..

— O... już wiem!

— Ojczyzna w ciężkim paroksyzmie... czeka na zbawców...

— Bóg rozsądzi! Los rozsądzi!

— O, mów... na wszystko się zgadzam.

— Ja jej nie kocham — jednak nici są — nie mogę zaprzeczyć — coś nerwowego, zmysłowego roz-tacza się w mej wyobraźni i wlecze za sobą duszę w zaklęte pałace. Głupstwem jest wszelka czarodziejska siła, a mimo to, tak chyba tylko należy to „coś“ nazwać. Nocami przychodzi do mnie anioł w purpurze, zupełnie do niej podobny i potrząsa rogiem Amaltei, a z rogu sypią się ogniste kulki, rozbijają się po ścianach, po podłodze i z każdej takiej gwiazdzistej kulki wystają obrazy, wystrzelają przepiękne widowiska, któremi upajam się jak haszyszem. A wonie konwalji i róż za-pełnią ci chatę, gdy z gwiazd wyrosną kosze najbuj-niejszych splotów kwietnych, a pośród nich anioł staje i z wdzięcznym uśmiechem unosi rąbek sukni i wów-czas widzisz nóżkę ubraną w cielisty sandałek umoco-wany różową wstążką.

— Nie gadaj, bo mi się źle robi — szepnął Dę-bowicz.

— Wiem doskonale — mówił Łącki dalej — że to są pokusy, to vanitas głaszcząca męskość, to moje utrapienie, lecz ja chcę tych samych wrażeń, tych sa-myh ponęt, ale z warunkiem niepokonalnym, warun-kiem twardym jak skała... że nic nie uronię, nie tylko

nie uronię, ale kolumny dopiszę w księdze rachunków narodowych !

Inaczej być nie może i nie będzie! Atoli czy ona będzie równoważyć mą męskość i siły dla narodu, czy ona będzie dźwignią i podporą tych sił, czy ona będzie towarzyszką walk.. niech Bóg to losem rozsądzi! Ja nie mam odwagi pozrywać nici, duszno mi się czyni, acz wiem, że dziś chwili rozważać nie potrzebuję.. dziś ona nie warta...

Ale nikt nie wie i wszyscy wiedzą, co miłość może. Moc miłości wyrwie ją z matni płaskich, niby świętych, bladych, głupich, wstrętnych przykazań salonu i dobrego wychowania, rozumu ma trochę, łyzy znajda swój wylew — ta, dziś ni poganka, ni chrześcijanka ni polka, może być jeszcze wulkanem ofiary i walki! Moc miłości!

Przesądzać sprawę nie można. Historja ludzkości tego dowodzi. Aby z niczyjej strony zarzutów nie ściągnąć.. dziś nie zerwę! Znalazłem sposób prosty i zupełnie uczciwy. Stanę sobą... rozumiesz... jak wachlarz się roztoczę, pojedę terminować do któregoś z chłopskich posłów... jako lekarz mam świat otwarty, wszędzie mi wolno mieszkać i na chleb zarabiać. Rozwinę chorągiew swoją, żadnej myśli ani przekonania nie zatę, czy to w piśmie, czy w słowie, czy w czynie!

Nie zerwę... odpiszę jej... ale to pismo, będzie pierwszym aktem mej polskości i mej walki przeciw wielkiej, aż niepojętej myśli tumanów narodowych.

Rzucę się w zamęt walki o godność i wzrastanie narodu, wypowiem walkę glistom, pożerającym najle-

psze soki narodu, choćby mi przyszło zacząć od niej i mojej rodziny.

Haseł mi nie brak, jak nie brak ran i bólów w ojczyźnie. Jedno mi tylko daj Boże... wagę, miarę i rozum! Resztę Ty losem rozsądzisz!

Ona to musi widzieć, ponieważ będę jawnym, jasnym i gorącym! Co postanowi, to uczyni... ja zaś z mej drogi nie zejdem!

Nikogo nie okłamię, nikomu nie wyrządę krzywdy, nikt prócz tumanów mię nie potępi, quod faustum, felix, fortunatumque sit!...

Umilkł. Dębowicz też milczał, gdyż czuł, że Łącki wykonał jakby przysięgę.

A śliczny wieczór ścielił się do pacierzy, mgłami osłaniał role, powłóczył smugi oparów układając po dolinach.

Trzeba wracać! Trzeba gdzie wstąpić po drodze. Dębowicz musiał się „napić“, a Łąckiemu też w krtani wyschło.

Opodal przy gościńcu była karczma. Z okien strzelało światło, nie trzeba było szukać drogi w zmierzchu. Rażno podróżni się zbliżali, a im bliżej było, tem wyraźniej słyszeli mieszające się opryskliwe głosy, wykrzykniki, piski, które najpierw zwróciły uwagę Łąckiego.

— Gdzieś się kłóca siarczyście.

— W karczmie, nie w karczmie? — i poczęli nadśłuchiwać.

— Zresztą po kłótni będą dobrze spali, co nam do tego, chodźmy co napić się, bo jestem czczy. nad wyraz — rzekł Dębowicz i ciągnął towarzysza za rękaw.

Zajadł kłótnię było słyhać coraz wyraźniej, wreszcie nie ulegało wątpliwości, że to się dzieje w karczmie.

— Będziemy mieli frajdę — rzekł Dębowicz.

— Możeby nie iść między pijaków? — zauważył Łącki.

— Każemy każdemu z nich, żeby się rozszedł, gdy będziemy mieli za wiele przyjemności i skończona parada. Ja już iść z czczości nie mogę. Pomyśl tylko, wyczyniliśmy całą milę drogi.

Nie wiele zresztą się pytając, za rękaw wprowadził Łąckiego do szynkowni przepełnionej wrzaskiem. Wszedłszy, obaj ze zdumieniem spojrzeli. W szynkowni było tylko dwóch ludzi!

— Pochwalony... — rzekł Dębowicz.

Ale gadaj do ryczącej trąby. Obaj zapaśnicy siedzieli za stołem i ryczeli głosami podobnymi do zakatrzanej tuby.

— Do djabła, o co im chodzi? — zapytał Dębowicz żydówki.

— Ny, to dwa polityki. Uni nie raz tak się swarzą.

— I pani na to pozwala?

— Żydówka nie pani — poprawił Dębowicz.

— Każdy jest pan na swoim śmieciu. Die Bauern treiben...

— Po polsku moja pani — powiedział Łącki.

— Uni mi nic nie szkodzą. Pan się pyta, cy ja na to pozwalam? Dlaczego ni mam pozwolić? Jakby się im kłócić nie dozwoliło, toby nie przyszli, a uni są tu co wieczór.

Tymczasem przed Dębowiczem już się pieniała szklaneczka, ba — już wąsy ozdobiły się wiankiem piany. To też humor ustalił mu się na nowo. Obaj chcieli koniecznie dociec przyczyny awantury i słuchali.

— Stulis ty pysk, pański ogonie! — ryknął zachrypnięty chłop i grzmotnął pięścią o stół, a flaszki i kieliszki jęknęły zgorszzone.

— Co ty godos? Co ty mos! Zydom sie opłacosz i masonom i jesce parom dychos?

— A ty komu podotek za gorzółke odnosis, ślachecki ochłapie!

— Brzuch ci rozplatom, antykryście! To ci mówię, ino cicho, bo będzie wielgo bida.

— Jędrzeju, jo ci radze, zaśpiwoj co pobożnego, to może ci Pon Jezus doleje ociupinkę rozumu, boś se strasznie pałę zaloł.

A Jędrzej stanął naprzeciw przeciwnika i patrzył wściekle.

— Jo zaloł pałę!

— Przy wyborach toś pare razy bez opamiętania we fosie dysoł.

— Panowie mi podzięke dali. Panowie mi dali, a tobie, kto co doł!

— Za wase cygaństwo pańskie i za wase ziandary i ślachecką służbę, Pon Jezus do mi królestwo niebieskie.

— Antoni, bo cie w morde palne. Co ty w kościele świętym naszym nieomylnym — tu Jędrzej zdjął chłopski słomiany kapelusz i uroczyście się przeżegnał — co ty cynis wyrembo w świętym kościele, gdzie wszystkie nieomyłne świętości na cię pozirajom. Księżda duspastyrza kretujes, podajes go na pośmiwisko ludzkie

kiej ci trza piniędzy na gorzole, to masonom piszes, żeś księdza błotem strzasko! I ty antykryście kces rany boskie całować!

Antoniemu przebrała się miarka, uchwycił w garść flaszkę z wódką i jak podniósł w górę, jak ją spuścił z siłą byka na stół, tak flaszką z druzgotem poszła w kawałki, a na ręce Antoniego pokazała się krew.

— Kiejś to widzioł pański lizocu?! Kiejś widzioł? Jo widzioł, jakeś broł piontkę od sekretorza — a kiejś ty mie widzioł?!

— Ny, panie Antoni, to najmasywniejsza flaszką to najbielsze szkło. Aj, aj, to wielga mi szkoda tego szkła — rzekła natarczywie żydówka.

— Stul pysk, parchu, płace i po grzechu — tu sięga do kieszeni i wyjmuję woreczek — Ty Jędrzej mozes nabozną pieśń śpiwać, bo ci trza wiela rozumu! Kiela se licys parchu?

— Ny, co wy taki pon?

— Kiela se licys! Roz, dwa, trzy...

— Śtyry szóstki, kiejście taki pan.

Tymczasem Jędrzej trzymał się stołu i wywracając strasznie sinemi oczyma, począł, jak kogut w pianiu skrzydłami, trzepać ręką o spodnie i zawodzić, wyciągając przed siebie karmazynową szyję. Zawodził znaną pieśń kościelną: Serdeczna matko...

A Antoni z szerokim śmiechem spoglądał na pijanego.

— Hu.. ha! To ty bestyjo pogańsko w karcmie święte pieśni śpiwosz? Cha... cha... cha...

Ten szeroki pienisty śmiech wprowadził Jędrzeja w szaleństwo.

— Śpiwom, bo mi wolność wszędy śpiwoć, bom jo sprawiedliwy, ty rozpuklino masonka — i ryczał tak niemożliwie, że żyły na czole stały się widoczne, jak sznury. — Mnie wolność, bo z kościołem świętym nieomylnym trzymom, jak kce sam papież święty i nas pon cysorz, ty mordo heretyka!

Łącki z Dębowiczem siedzieli w kątku i oka nie spuszczały z zapaśników. Nakoniec Łącki powiedział:

— To wstrętne.

— Do diabła, nie wiele z tego rozumiem — odparł Dębowicz.

— W każdym wypadku, to walka polityczna.

— Na właściwym polskim gruncie. Cieszy mię to zachowywanie szlacheckich tradycyj u ludu.

— Nie żałuję, żem przyszedł — mówił Łącki — ta piekielna walka jest przecież tyle pouczająca, ile wstrętna.

Dębowicz skinął na żydówkę.

— Do diabła, o co im chodzi?

— O co im chodzi? O samy głupstwo. Ten Jędrzej, to był bogaty gospodarz, a teraz to przez politykę żyd będzie bogaty. Un jest von einer klerikalen Partei...

— Po polsku moja pani.

— Un od księdzowej i pańskiej partji.

— A ten drugi?

— To Antoni Piękoś.

— Walka polityczna w świętej karczmie — powiedział Łącki — jakież to paradne, a rozpaczliwie tragiczne.

— Cóż chcesz? Sał odczytowych na wsi budować nie pozwalają.

— O, z polityki to wielgi zarobek.

— Wynoś się żydówko! — warknął Dębowicz.

Sine chłopcy już do siebie skakały.

— Ty psu brat, drabinkorcz, pański lizon, zawiaski mos w pacirzu, co się tak nisko kłaniasz pańskim progom.

— Ty corta mos we wnętrzu, co bez ciebie piekłem godo.

— Psio nogo, pamiętos, jakieś chadzał na pseśpiegi i księdzu na braci pyskował? — sypał Antoni.

— Satanem śmierdzis, żydowski parobku.

— Pamiętas, jak cie bracia za to pomacali — i niezdarnym krokiem tanecznym podsuwał się ku wrogowi.

— Żebym ja cie nie pomacał, buntowniku! O — mom kozik na dworskim tocydle wystrugany! O, tu mom, tu! — wyciągnął Jędrzej zwykły chłopski kozik, czerniejący rdzą przy świetle kopcającej, karczemnej lampy.

A Antoniego zebrała ochota do tańca, więc przytupywał i w tanecznych podrygach staniał się przed Jędrzejem.

— Pamiętos, łapolizie piontkowski, łapigrosu, przedawcyku, kiejś ni móg inacy, toś ukrod nase gazetki i panu odniós.

— O, tu mom kozik z dworskiego tocydła! Dzis... tu mom!

— Rzekni prowde, kto pomarnotrowił zapomogi powodziowe?

Jędrzejowi było widać jeno plamiste białka a dyszał charcząco.

— Co! Ty nie wis? W kościele. Nie wis, padalce, że Najświętsza Panienska ma sukienke nowom! Dzis — tu mom, tu!

— Łzes, sukienka ze składek! A powodziowe pieniondze?

— Dzis go! — i Jędrzej obracał kozikiem w ręku.

— Antoni Piękoś tańczył coraz natarczywiej, a Jędrzej siniał i siniał.

Nagle Antoni skręcił w tył i wybiegł.

— Dzis go! Heretycko mątwo! Uciekos, Boga sie bois!

Już głos Piękosia było słyhać za oknem.

— Psyjde do cie, wszyćkie ci grzychy na stole porachuje. Jo ci nie uciekne... ino się...

— Bestjo — zawył Jędrzej i runął przez izbę do drzwi, po drodze zwałając dwa gliniane garnki.

Na dworze pod oknem zakipiało. Żydówka w gwałt obaj młodzieńcy zerwali się z siedzenia. Dyszenie było słyhać do izby szynkowej, wszystkim było gorąco, a w tej chwili straszno! Przekleństwa w pijanych paszczękach stłoczyło się w dziki bełkot.

W tem żałośny jęk przedarł powietrze! Jęk okrutnie przeraźliwy!

Wszyscy wybiegli pędzej, niż jęk się powtórzył.

Jeden z chłopów, uciekając, łopotał po burzanach ogrodu.

— Światła! — krzyknął Łącki.

Żałosne jęki grały na trwogę, żydówka blada przybiegła z lampą w ręce, Łącki rzucił się ku jęczącemu na śmietniku chłopu.

Przy świetle lampy dostrzeżono, iż krew lała się obficie, lekarzowi nigdy nie trzeba długo patrzeć, krew

łała się z dwóch miejsc, ręka i bok krwawiły. Z ręki potok krwi buchał, tętnica przecięta. Ranny był Piękoś.

— Trzymaj z całej siły w tem miejscu — zakomenderował eskulap Dębowiczowi, który nieco zbladł, acz mniej niż żydówka. Kiedy Dębowicz trzymał z całej siły tam, gdzie mu lekarz rozkazał, to jest wyżej napięstka, Łącki z właściwą przytomnością lekarza w nagłych wypadkach, zrzucił surdut i migawkowym ruchem wyciągnął z pod ubrania szelki naznaczone czerwonym krzyżem, wyrwał żelazka i z siłą opasywał chłopu przedramię.

— Ny, cy pon doktor? Aj, waj, takie nieszczęście! Es musste solch Ende finden! Aj, jaj, waj mir!

— Po polsku, łaskawa pani! — rąbnął Łącki.

— Uni się po polsku pokaleczyli... waj mir... — zawodziła żydówka.

Krwotok z ręki ustał w tej chwili. Z bokiem z którego się krew sączyła, było więcej biedy, chociaż letnie odzienie reprezentowane tylko przez koszulę, ułatwiało opatrywanie. Przy sposobności Łącki strasznie zirytował się na Dębowicza, gdy mu chciał chłopą przewracać do wygodniejszej pozycji.

— Ani mi się waź! Wpierw silny opatrunek, bo dziura do p'uc sięga. Ty ośle kwadratowy! Dymaj po wójta i konie!

— Tylko się nie irytuj, bo zbrzydnieasz.

Ale pobiegł ku wsi, kiedy tymczasem Łącki cucił nieustannie mdlejącego lub naprzemian stękającego chłopą.

Rzecz oczywista, że sprowadzenie wójta, policjanta wiejskiego, podwozy, ustawienie wozu według wskazówek Łąckiego, wsadzenie mdlejącego do wozu, gwał-

ające wszelki ład nie ludzkie płacze żony rannego, krzyki i wołania gromady, to wszystko zwlekło do późnej nocy.

Ruszono do Krakowa jak najpowolniejszym krokiem. Dębowicz siedział na przodzie z woźnicą, Łącki z tyłu wozu na „literkach.“

Obaj byli mocno wzruszeni, Łącki bardzo smutny.

Przez drogę w głębokiej ciszy rozważał wypadek zewnętrznie brutalnie nagi, bezczelny, w głębi kryjący otchłanie ponurej prawdy, zwałającej winę na tych, którzy gaszą prawidłowy rozwój chłopskiej polityki. Żadnego z chłopów nie uniewinniał, ku tym bezdusznym zawadjakom serce mu się bynajmniej nie skłaniało, ale tak ich przecież obstawiał łagodzącymi okolicznościami, iż kilkakrotnie szepnął: nie rękę karaj, lecz ślepy miecz...

O, jakież to gwałtowny element, lwia siła tkwi w chłopie. I oto zmarnowana leży w kałuży karczemnego życia... o cześć wam panowie, magnaci... a gdy tak myśli rozwijał, czuł, iż o mało Bogu nie dziękuje za zawiedzenie na te bezdroża.

Znużenie poczynało odejmować z wolna myśli, jednak zostawał silny rozstrój, pełen błyskawicznych uczuć.

A kiedy odstawiono rannego do szpitala i wypito czarnej kawy w zaciszu ludnej kawiarni, można było się ogarnąć i o wypadku pogadać.

— Niech cię z rzeźniczymi kawałkami. Wiesz jak nie lubię pracownikom płacić, a patrz, gors splamiony, rękaw schlastany — narzekał Dębowicz.

— Masz po pięć grzechów mniej na sumieniu, za każdą ranę pięć grzechów.

-- Ale gotówką ile?

— Gotówka, to wrażenia niezapomniane — tłumaczył Łącki.

I tak musiano siedzieć, ponieważ spać się nie chciało. Dębowicz znalazł towarzysza i poszedł grać w bilard, a niepiszący wierszy poeta, podług określenia wujcia Korczaka, siedział jak kura na gnieździe.

Brutalny wypadek pobudził daleko sięgające myśli do przeróżnych wniosków, a obraz nędzy i ciemnoty narodowej wydał mu się, jako bezduszne cielsko, zabawiające się pajacami i chorągiewkami. I myślał:

— Dla tej właśnie przyczyny i ja mam się ustroić w kokardki i chorągiewki gdy widzę po polach naszych taneczne koła idjotów i słyszę dźwięki wrogiej mowy? I ja mam z tobą dziewczyno po Alhambrze świecić? I ja mam ci serenady wygrywać, pod oknem we włoskie bluszcze umajonem? Niedoczekanie. Zagram ci, zagram na swojską nutę i odśpiewam ci naszą serenadę, aż śmiertelnym strachem zadudni ci serce, różane niebożątko.

Abyś niemyślała tego, co ty i podobni tobie myślą, iż patryjota to oberwus z obłoconymi butami, który myje się raz na tydzień, iż polski stróż domowy, to brudas bez kołnierzyka i krawatki, z resztkami śmiecia we włosach, dogodzę ci mową minstrelów i lutnistów greckich!

Łąckiego osaczyła jakaś uparta buta wobec poetyckiej manji Heleny. Podoła, czy nie podoła uparł się, aby odpisać jej wierszem.

— Niech wie, że butów nie mam obłoconych, a krawatkę na swoim miejscu Ojczyznę można kochać i w aksamicie. Piotr Skarga mówił pośród przepychu i klejnotów, jak rębacz, a zamiatał może i wprawniej, niż stróż kamieniczny.

Upor go podsycił. Wydarł płałniczemu papieru kawałek i ołówek, począł pisać i mazać, pisać i mazać, wypędzono go mocą nakazu policyjnego o trzeciej rano z kawiarni, siadł na ławce na plantacjach i pisał, uczył chłód, skrył się do domu i pisał, dwa dni to trwało, aż nakoniec na wytworknym papierze o zapachu fjołka, pisał do Heleny na czysto:

Polskiej dziewczynie.

Słowiczy bard majowe pieśni dzwoniąc
dokończył dzieła nadwiślańskiej wiosny
stubarwnych marzeń szczęścia perły roniąc
w on czas dla świata wzniosły i miłosny
wykwitnął kwiat na szmaragdowym łonie,
i złoty w koralowej stał koronie.

Miał duszę, a dusza kochała słońce,
motyle sercem gonil i błękity.
Ludzkiego bolu szalejące gońce,
jak gdyby wzrósł ten kwiat szczęściem spowity,
nie śmiały ostać się na szczęsnem polu. —
Nie było ni łzy dokoła, ni bolu.

Tak kwiat znał tylko wesele młodości,
pił perły rosy, a usta podawał
motylom, woniom wiosny i miłości..
w chwilach zaś żalów na Boga nastawał,
iż lotu nie dał mu, ni wieszcey p'eśni,
ni blasków, które w miesięczną noc prześni.

Lecz byłby duszę oddał łonom nieba —
jak król nędzarzy, byłby skonał z głodu...

Ziemia, miłosa matka dała chleba,
wypiastowała szczęście swego płodu!
Rosą poiła go, w słońcu chowała,
a w srebrne noce mgłami okrywała!

A jednak kwiat mający możne serce,
głośniejsze, niżli dzwona, ach! i śpiewniejsze
niżeli granie słowika — w rozterce,
któremu szczęście słodsze lub piękniejsze,
macierzy chleb pożerał, pił jej wody,
kosztował wszystkich skarbów swej urody...

Szarej zaś ziemi zapomniał!.. Więc Boga
wysłańcy piszący w wyroków księdze,
gdy po nad kwiat szła ich grobowa droga,
płacząc pisali na żałobnej wstędze:
Dymem Kainów płyną wonie kwiatu,
szkoda młodości i szkoda szkarłatu.

Nie wiem, czy prawdę anioły pisały,
lecz wierzę... i płaczę, ilekroć razy
przedumne, młode blaski ziemskiej chwały
runą pożogą gorszą od zarazy
na wielkie skarby szarej ludzkiej doli:
miłość ojczyzny i domu i roli...

Dziewczę! anielskie opasały wstęgi
wyrokiem duszę twą kwiecianą, cienie
występku śmiły twych pożądań kręgi...
Przebarwny kwiat twej duszy, złote mienie
spogląda żądnie w lazur, szuka cudów,
spiżowych technień i wzlotów wielkich ludów,

a przez tej żywej ziemi szare prochy
czekają twej wdzięczności! Twój wzrok jasny
paść musi w smętną bruzdę polskiej sochy,
młodości rzucić promień w ten znój straszny,
a pieśnią masz spotężnić ciężkie boje
i młodych łez serdeczne toczyć zdroje.

Inaczej będziesz życia potępieniem,
inaczej będziesz marą, samotnicą,
bytu narodów będziesz zaprzeczeniem
i własnych chuci wieczną pokutnicą!..
A kiedy zechcesz znicza domowego
kapłanką być i bronić gniazda swego —

jako kwiat, który zapomniał macierzy
i przeanielskim stał się pasożytem,
jak orzeł, który patrzy wciąż grabieży,
a tak wspaniale płynie pod błękitem,
jeśli nie wraźisz czucia w proch ten szary,
pożerać możesz skrzące wrażeń mary —

ale nie będziesz kapłanką i matką!
Bo gdy twe syny kochać się nauczą,
a słowo „patria“ będzie im zagadką,
w przystępie żądzy i ciebie porzucą,
pójdą, gdzie dobrze i gdzie złoto świeci,
zapomną mowy i dziejów stuleci

i śmiać się będą ze starej ojczyzny
nasiąkłszy nowej sławą i wielkością
„tam w kraju nędzy i ducha mielizny
„miłość ojczyzny jest dziwną rzadkością,

„chłop jest bydlęciem, a pan kocha sztuki,
„po skarbach depcą golce i nieuki.“

Ty będziesz matką tej prawdy potwornej!
Choć ci sny szepcą, iż w dom jak władczyni
wejdiesz prowadząc szyki cnoty dwornej,
choć cię świat twój cnót skarbnicą czyni,
jeśli nie uczcisz ziemi bolejącej,
staniesz się matką tej prawdy hańbiącej!...

Czyż nie żal dziewczę targać ci ogniwy
karabelowej, rycerskiej przeszłości,
czy ci nie żal porzucać polskie niwy
przelanej krwi i pradziadów świetności?
Nie błyszczy w twej pamięci huf pancerny,
buńczuk i dzikiej czerni rój niezmierny,

albo ułański strój i pieśń zwycięzka
majowa, w gwiazdę zakłęta narodu,
a po niej krwawych ofiar pieśń męczeńska
i śnieżne widma straceńców pochodu?
Nie śpiewa ci duch wieszczów pieśnią laszą —
idź naprzód! za wolność naszą i waszą!

Zaprawdę... tęskno za wolności świtem,
że nieraz widmo śmierci i złość bólu
krążąc, jak upiór nad cielskiem pobitem
i patrzą żeru na sarmackiem polu,
chciałyby strzaskać niewolników czoła,
a szukać w duszy ojczyzny kościoła.

Szukać pomiędzy rzesze tańcem śpiewne
z wygryzionemi od kajdan brudami!
Próżno tam szukać... są kwiaty rozwiewne,
uduchowione poezji orgjami,
są wielkie mędrce, są narodu tłumy,
są nawet rzewne niewolników dумы..

mimo to słońce wschodzące — promienne
innym narodom — Polsce hańbą świeci.
Prządki narodów wieczne i niezmiennie
porwały przędzę w przewale stuleci
i rzekłby krwawej przędzy rwąc ostatki —
zakwitnął kwiat, zapomniał ziemi matki.

Dziewczę! gdy kwitną bujnych uczuć kwiaty,
czy cię nie straszy klątwa mężów, krwawych
ofiar ojczyzny i ducha zatraty,
leżących w grobie naszych ojców prawych?
Nie straszy cię przekleństwo potomności —
nie wzywa cię daleki świt przyszłości?

Słuchaj — nastaje doba odrodzenia,
i oto dzisiaj w Polsce lud się budzi,
a wraz ze szczęsnym świtem przebudzenia
dostanie Polska krwi i nowych ludzi!
W ów czas co święte będzie przechowane,
lecz wszystkie zdrajce będą piętnowane

i ty zawisniesz na czarnej tablicy!
Naród wskrzeszony wielkim znojem ludu
duchy wysmaga z pamiątek kaplicy,
które nie patrząc ojczystego trudu

w pościgu gwiazd, zwodniczych strojów życia
szukały siebie, wrażeń i użycia.

I wolny, jak lew z Bogiem się sprzymierzy,
i zagra naród hymn czci i pamięci
i ucałuje szary proch macierzy
i wielkich przodków mogiły uświęci!
Ciebie zaś przeklnie!.. odzianą w szkarłat,
jako kwiat piękny, młody i bogaty...

V.

Łącki miał już po świecie rozmaite znajomości. Z usposobienia bardzo towarzyski, acz częściej milczący niż mówiący, lał chętnie między ludzi. W towarzystwie był uprzejmy i zważał na ludzkie ułomności, skutkiem czego, nikogo bez potrzeby nie drażnił. To mu jednało nie rzadko względy i sympatje ludzkie, szczególnie w kółku państwa Piotrowskich, dokąd zajeżdżał omnibus wielkomijski, zapchany podróżnymi wszelkich stanów, od zapiętego biurokraty do szalonego artysty, od swarliwej matki licznej rodziny do najwstydlivszych wyznawczyń sielanki.

Dobre to czasy, kiedy się próżnuje bez wytechnienia, a brzemień pracującej myśli spadnie z duszy, trudy uciekną, natomiast spokojne przeżuwanie letniego wypoczynku żywot wypogodzi.

Łąckiego, siadującego godzinami w ogrodach miejskich i polach przedmiejskich, możnaby uważać za takiego szczęśliwca, gdyby nie okoliczność, iż stanął na pierwszym szczeblu wymarzonej drabiny życia, stąd

czuł ustawiczne przelewanie się uczuć i myśli wszelkiej barwy.

Siedzi tak w zaciszu opodal pomnika Jagiełły, naraż żywy głos, uprzejmy głos wita go po przyjacielsku.

Był to pan Piotrowski dość często goszczący Łąckiego w swym skromnym domu, więc uważający tę znajomość za coś więcej, niż zwykłe przetwieranie drzwi „salonowych“.

— Pan sam? Biedaczysko! W takie skwary? Nie na wsi? Wszak w klinikach ferje, a wiem, że nie praktykujesz! Gdzież można! Ależ musimy poradzić!

A chociaż pan Piotrowski mówił wiele, mówił z tchnieniem szczerości. I budził w Łąckim to uczucie, tem więcej, iż Łącki z rzeszy urzędników państwowych i krajowych, urząd sędziego považał i wynosił bardzo znamiennie, a pan Piotrowski właśnie był sędzią.

Przytem urzędnik innej kategorii nie zdobyłby się na tyle odwagi, by w dom przyjmować krytyków chińsko-abisyńsko polskich stosunków w Galicji.

W umyśle sędziego zwykle bladły owe nawoływania z góry zapłaconej prasy, gdy się przekonał, że ten i ów burzyciel, „antinarodowy“ działacz, gwałciciel polskiej wiary i polskiej rodziny — to wcale rozsądny i miły towarzysz. Sędzia sądził sam, a nikogo nie słuchał, kto straszyl albo ujadł.

Takim go też Łącki znał i bardzo go za to cenił. Opowiedział więc sędziemu, że nie wie, co ze swą personą uczynić, ponieważ do krewnych jechać nie chce, a w inne strony niema gdzie, do kąpiel zaś nie ma za co.

— No to chodźmy na przekąskę i tam będziemy uważnie szukali, czyby gdzie między dobrych ludzi a piękne okolice pojechać nie można. Tak być nie może, pan przyzwyczajony lato na łonie natury spędzać, pan by te miejskie kurze odchorował. O, pan dziś już bledszy, niż przed miesiącem — i siłą swej serdecznej wymowy porwał młodzieńca do handelku.

Rozwinęła się dyskusya, z której wyłoniło się bardzo proste zdanie pana sędziego:

Jutro rozpoczynam urlop, jadę do swoich mieszkających w przeszlicznie położonem miasteczku powiatowem. Moje biedactwa rozkoszują się latem w domu zacności kuzyna rejenta Woźniaka, ale, że nazjeżdżało się tam drobiazgu ze wszystkich stron, niema dla mnie miejsca w domu, tylko wynajęto opodal odludny pokoik w ogrodzie. A pan wie, jak smutno bez towarzystwa, wszyscy będziemy wdzięczni, gdybyś łaskawie powiększył nasze gronko, a ja ozłociłbym pana, gdybyś podzielił moje losy w odludnym pokoiku. Więc daj Boże zdrowia i humoru, parę kołnierzyków do kieszeni i ruszajmy w drogę.

Pan sęzia wiedział, czem trafi do Łąckiego, bowiem miał dość sposobności sądząc ludzi, nauczyć się trafnie sądzić.

W rzeczywistości odludny pokoik nieznaną mocą pociągnął urodzonego marzyciela.

— Odludny pokoik — rzekł Łącki, a oczy mu się zaśmiały — z pewnością dlatego, że odludny, będzie się roił żądnymi wypoczynku, a my najmniej z niego korzystalibyśmy.

— Broń Boże, panie Romanie — prawil sędzia — pokoik znam, dokoła sad i grzędy, a cisza panie, jak w dubeltówce po wystrzale.

Pan sędzia nabierał humoru, widząc, że młodzieńiec nie bardzo się z obietnicą ociąga.

— Praktykę panu wyrobimy.

— W takim razie nie jadę.

— Ha... powiemy, żeś doktór nie od ludzi tylko „od“ filozofji!

— Zgoda, panie sędzio!

Z jakim animuszem zderzyli się dłońmi, jakże się wyczałowali! Zdawało się, że sędzia zdusi młodzieńca, któremu wylana szczerość poważnego męża udzielała się w zupełności.

I rozmowa przenosiła się z okoliczności na okoliczność, jednak Łącki ani razu nie natrącił o Skarskich i swej tytularnej narzeczonej. Z porządku rzeczy pan sędzia w bardzo prostych i wymownych barwach opisywał dom rejenta Woźniaka i życie swych najukochańszych, począwszy od córeczek, które dla niego były początkiem i końcem piękności, z którymi mogły iść w zawody jedynie maki i bławaty polne, niezapominajki lub róże.

— Daj Boże dożyć panu takiego domowego szczęścia, tego najcichszego a najmocniejszego szczęścia, co upaja jak trunek, jednak zamiast bólu głowy, zostawia, panie, uczucie, że się jest człowiekiem uczciwym, że się nie goni za marami, a kocha całą duszą. Panie Romanie, w tej chwili widzę najstarszą Stefusią ubraną w wieniec maków. Panie, kolana uginać przed tem niewinnem anielstwem, co przychodzi i pyta z wyzywa-

jącą twarzyczką: tatusiu, czy mi ładnie! A... panie Romanie.

Ciepło szło ożywczą strugą z duszy tego człowieka, jakże nie jechać, jakże nie przyjąć zaproszenie.

Jazda się poczęła o piątej rano. Sędzia był rozpromieniony jak młody chłopak, siedząc przy oknie, wyglądał z wagonu i cieszył się wszystkim, stadem krów, bagnem przy torze kolejowym, wsią widną wśród drzew, widokiem oddalonych wzgórz. Łacki za przykładem sędziego przejął się uciechą i wkrótce był wesoły i szczęśliwy prawie jak sędzia.

Około południa, gdy pociąg stanął na właściwej stacji, sędzia z daleka widząc gromadkę swoich, mocował się z drzwiczkami wagonu, aby je najszybciej otworzyć i wybiedz. To też zanim pociąg się zatrzymał, już był na stałym lądzie i padł na dziesiątki rąk i rączek wyciągniętych ku niemu z gwarem, szczebiotem, wołaniem ust i usteczek.

— Pan Łacki! Ach... tatuś gościa przywiózł! — wołała pani sędzina.

Tymczasem ucieszona gromadka już Łackiego otoczyła kołem, a było komu kołem zataczać. Pięć pańien, trzy panie, trzech młodzieńców z paskami mundurku studenckiego pod brodą, dwóch panów i dwa wesołe pieski.

Ale dopiero u wrót domu rejenta właściwe powitanie się odbyło. Dom stał w ogrodzie, jak zwykle po miasteczkach, a już z daleka świecił odświętnem przybraniem. Biało-czerwona chorągiew u szczytu ganku brała się w zawody z letnim powiewem, a do żaru wyciągała swe ramiona. Drzwi wchodowe ubrane w zieleń i kwiaty, trzy szerokie stopnie usłane dywanem.

W dom wchodziło się między dwa olbrzymie aloesy rozsiadłe w beczkach. A było to uciechy pod dostatkiem, kiedy sędzia jak tryumfator, głową dmąc ku niebu, szedł w progi.

I w chwili kiedy na dywan wstępował, huknął marsz tryumfalny, zagrany przy odsłoniętym zupełnie fortepianie, przy najsilniejszym naciskaniu pedału i gigantycznych wysiłkach, jakich pewno drobnych paluszków. Radości było co niemiara, a w tym rozpędzie witania, witano gościa tak serdecznie, jakby był co najmniej krewniakiem.

Zadowolenie gościa było zupełne, kiedy sprawdził, że pokój był w rzeczy samej odludny, że z okna widać było koryto rzeki i prześliczne grupy olch nadrzecznych i że mimo idylliczny spokój, do domu rejenta było bardzo blisko.

Ta nowa uwaga, raczej to, że do domu rejenta blisko było upodobaniem ostatniej chwili, a powstało bezwiednie na tle słońca, które przenikało wesołą wakacyjną drużynę, na tle srebrnego śmiechu, który od rana do późnej nocy mieszkał w domu rejenta.

Zauczonemu, poważnemu marzycielowi zdarzyło się to po raz pierwszy. Dotąd nie miał sposobności poznania prawdziwego śmiechu, nieskażonego żadną w tej chwili uboczną myślą. W bogatych domach tego śmiechu nie było, w kołach koleżeńskich woniał śmiech wódką i rozpustą, w towarzystwach różnorakich było tyle różnych śmiechów, ile różnych ludzi — tu jednolita przędza srebrna, wiośniana, przejrzysta, a wiotka tak, że byle nierozważne draśnięcie, już śmiech się rozplynał, aby nową falą mieniącą się tęczą i złotem powrócić nową rozkoszną swobodą. Taki śmiech opływał go po

raz pierwszy, a szczególnie podobał mu się śmiech Stefki, najstarszej córki pana sędziego.

Toż pierwszej nocy w odludnym pokoiku, we śnie mu się zdawało, iż śmiech Stefki płynie przez słuchy i zły był, że sapanie sędziego głużyło mu koncert cichszy, niż brzęczenie muchy, koncert jakoby z oddali płynący, z otwartych okien domu rejenta do otwartych okien odludnego pokoiku.

Łącki następnego dnia niemógł się dość nadziękować sędziemu, że go przywiózł. Sędzia wymawiał się jak mógł od podziękowań i powtarzał: Bóg tak chciał, Bóg tak chciał... i z łzawą zadumą spoglądał na rozbawionego pana Romana, jak dzieciaka bawiącego się z drugim takim samym dzieciakiem, ze Stefką.

Stefka była to dziewczyna w dwudziestej wiosnie, rozkwitła jak różyczka polna, a oczy miała turkusowe.

W kilka dni po przyjeździe gościa tak się wydało, że cała gromada wyszła wieczorem na długi, rzędem topól obrosły gościniec i wyciągnęła się w długi pochód, urozmaicony wszystkim, co może dać wolność wakacyjna i swoboda towarzyska. Chłopcy z gimnazjum gościńcem nie szli, ale miedzami, rowem przy gościńcu zaś, najstarszy z nich, czulem okiem patrząc za dziewczyną w niedługiej sukience, zbierał jej polne kwiaty, ona zaś pęk kwiatów w ręku ściskając, oddawała mu czule spojrzenia. To romantyczne zachowanie się wzbudziło w Łąckim zazdrość, szukał więc, do kogo by się przyczepić i po długich deliberacjach wybrał Stefkę, o której już w samych początkach deliberacji myślał. Od niej zaczął, na niej skończył i poznał, że wdzięczny uczynił wybór, albowiem po chwili wspólnej

przechadzki, zobaczył takie turkusowe a głębokie oczy, że się zarumienił.

I ku najwyższemu zdumieniu po raz pierwszy w życiu mówił z kobietą o społeczeństwie polskim bez frazesów, deklamacji i nieuctwa.

— Dla Boga! Skąd pani wie o tem wszystkim?
— wołał, patrząc w Stefkę.

— Obowiązek Polki nakazał mi poznać dzieje własnego narodu.

— Ależ to wiedzą, to wiedzą, każdy wie o Kazimierzu Wielkim, wyliczy niemal każdy, ilu było Kazimierzów... lecz skąd pani wie o tem, co się dziś z narodem dzieje?

— Gazety.

— A który dziennik pani czyta?

— Dwa czytam. Konserwatywny i postępowy. Oba nie pobierają żadnego żołdu, bo tylko takie czytam dzienniki.

— A pani z którym „trzymam“ sercem.

— Z żadnym, a przecież z postępowym, więcej tam duszy, a jednak rozumu.

— Tak być powinno — powiedział Łącki. — Konserwatywny Polak mojem zdaniem, to dziwoląg. Konserwować to znaczy pielęgnować polskie niedołęstwo.

— Zgadzam się — odparł polityk w spodnicy.

Łącki wodził myślą po literaturze i doświadczeniu i zdawało się mu, że to pierwsza w Polsce dziewczyna tak mówiąca. Więc natchniony gorączką, jaka w nim nagle zapłonęła, ominął wszystkie formy towarzyskie i począł ze Stefką rozmawiać, w niczem jej nie pardując, co tylko nie zgadzało się z jego przekonaniem.

— Pani, panno Stefano, z pewnością nie zdaje sobie sprawy, iż jako słup widny z daleka przyswiecasz polskiemu społeczeństwu niewiast.

Stefka zrobiła wielkie turkusowe oczy i nie rozumiała słów towarzysza.

— Pani mię nie rozumie? — zagadnął Łącki — Mówię, iż która z kobiet widzi pani zamiętanie do bieżącej historii narodu, za pani przykładem może nabyć też zamiętania, a o to trzeba Boga prosić, jak o deszcz w susze.

— Przykładem być nie chcę. Sama na siebie się gniewam za tę ciekawość. Kobiety niech pozostaną w domu, niech zarobkują, ale w politycznym życiu nie mogą być niczem innym, jak miotlarkami w rewolucji francuskiej.

— Nieprawda! Ja mówię o polityce narodowej o jakiej i pani myśli. Dla nas niedołączonych i techórzliwych niewolników, którzy z wielkiej frazesowej gospodarki nie umieli dobyć tyle, aby każdy chłop miał pole według wymogów rolnictwa uprawne, którzy marnują z narodowym animuszem miljony, miljony, nędzę w zamian sobie dając — dla nas, ongi bohaterów szabli, zakłętych dziś w lalki lub gadające maszyny, trzeba ognia bijącego słupem, niczem nie zasłoniętego, gorącego, nie tylko ognia, aby ogrzać duszę spięcego narodu, ożywić ogniem maszynę w konfederatce! Znam polską inteligencję i wiem, że jedynie kobieta może słupem ognia zapłonąć i zrodzić odrodzenie!

— A, zgoda! — Bynajmniej nie pragnę, by kobieta starym zwyczajem była sługą społeczeństwu. Jestem zwolenniczką ruchu kobiecego.

— Bardzo rozsądnie i bardzo.. nie konserwatywnie.

— Ale gazety odrywają od pracy — rzekła Stefka.

— Nieprawda!

— Nie?

— O... bo pani nie wie, że trzeba się trochę oderwać od pracy i przyglądać się tej pracy. I to jest wielka praca — przyglądanie się pracy. I tej wielkiej pracy brakuje Polsce, dlatego trzeba się odrywać od codziennej pracy, czytać gazety i rozprawy, rozprawać jak najwięcej... ale nie o plotkach, tylko o pszenicy, o butach, o ministrach i o poezji narodowej. Owóż jedynie kobieta u nas może tak mówić bez strachu, aby zaś tak mówiła, musi poznać obecną historję narodu z artykułów wstępnych, jak pani to czyni. Czyli, że pani jest słupem przykładu, widnym z dala.

Stefka była bardzo wesoła.

— Więc pan w tym celu każe czytać dzienniki, aby umieć mówić o butach i poezji narodowej bez strachu?

— Tak jest, w tym celu kazałbym czytać kobiecie, a dlatego kobiecie, aby strachu przed urzędnikiem niemców lub ekscelencją szlachcicem nie było. Kobieta nie podlega ani starostom ani szlachcie..

Tymczasem zbliżyła się panna Julja, niezrównana kobieta w towarzystwie, utykająca z lekka z powodu przebytego zapalenia nerwów w nodze.

— Winszuję ci Stefo — nagle rozśmiała się młodej parze nad głowami — pan Roman na łany zbóż wytoczył ziejącego smoka w klatce. Wesołej zabawy!

— Bawię się bardzo dobrze.

— A ja jestem pod wrażeniem harmonji narodowej — rzekł Łącki.

Atoli mama nie była zadowolona z rozmowy, wydała się jej samej nudną, a ze względu na młodych za mało ciepłą. Któraż to mama nie lubi ciepłej rozmowy młodych? Więc rzekła:

— Stefka mięsza się w nieswoje rzeczy. Trzeba gościowi czemś uprzyjemnić pobyt między nami.

Stefka widocznie była jeszcze bardzo młoda, bo zmięszała się i tłómaczyła się jak mogła.

— Pan Roman sam zaczął mówić...

— Tak. Powtóre rozmowa ta była dla mnie wyjątkowo zajmującą.

— Podobała się panu? To dziwne, większość naszych znajomych panów utrzymuje, że Stefka nie umie mówić ani zajmująco, ani dowcipnie — twierdziła mama.

— Utrzymuje to większość, a w Polsce większość, do dzisiaj zwykle nic nie wie.

— Więc odrobina, ponieważ pana samego nie można nazwać mniejszością... więc odrobina utrzymuje, że Stefka mówi zajmująco — rzekła panna Julja.

Ta nazwa spowodowała ogromny wybuch śmiechu.

— Odrobina zachwyca się wywodami panny Stefanji — śmiejąc się mówił Łacki, a w śmiechu i zamieszaniu dostrzegł takie wdzięczne oczy Stefki, że nie mógł jej wzrokiem nie odpowiedzieć.

Tak zadzierzgnięta nic niebawem się zdwoiła, a może się stała nierozzerwalną. Tego samego wieczoru, po wieczerzy zastawionej jak w jakim starym dworze polskim albo refektarzu, wszystko żyjące wylało się na ogród, pani sędzina zaś usiadła przy fortepianie i grała. Przez otwarte okna tony wypieszczonej muzyki pani sędziny płynęły i kołysały się po cieniach i jasnych,

piaskiem wysypanych ścieżkach ogrodu. Łącki ze Stefką przechadzał się, a Stefka mówiła:

— Jest tu opodal miasteczka, dziwna mogiła, wywierająca na mnie potężny urok, nieopisaną powagę i szczególne uczucia. Do mogiły tej jest przywiązana legenda, mająca jednakowoż wszelkie pozory prawdy. Podobno żył w tem miasteczku stary już człowiek, kiedy wybuchło styczniowe powstanie.

Zerwał się, aby iść w szeregi, tymczasem słabość podobno nie zagojona blizna z pod Ostrołęki, przykuła go do miejsca i poczęła z jadowitym uporem niszczyć jego siły, nie tylko cielesne, ale i moralne. Pamiętają go jeszcze. Podobno naraz podupadł, a niepowodzenia powstańcze, złowrogie wieści z placu boju, z czerstwego przed niedawnym czasem starca, uczyniły kalekę i nieszczęśliwca. Razu pewnego, gdy otrzymał wiadomość o wywieszaniu znacznego polskiego oddziału, wyszedł wieczorem nad rzekę i nie wrócił. W kilka dni znaleziono go nieżywego, z przestreloną głową na ustronnym wzgórku między drzewami. Jeżdżę do cioci od lat kilku i corocznie w rocznicę jego zgonu, jego rozpaczy skutkiem klęsk narodowych, idę na mogiłę tam usypaną i modlę się.

— Ciekawa historia.

— Prawda? Trzeba uczcić pamięć biedaka i uczcić jego czułą duszę na nieszczęścia narodu. Podobno nieszczęście narodu podał za przyczynę w liście, który zostawił.

— Niezwykły człowiek. Nie mogąc służyć ojczyźnie, nie chciał służyć wrogom ani sobie. Postawić go za przykład mówił Łącki — Nie, proszę pani, nie można go stawiać za przykład, bo gdyby za jego przy-

kładem poszli wszyscy ojczyźnie nie służący, tylko innym, Galicja by się wyludniła.

— Pan nas wszystkich uważa za międzynarodowców?

— Prawie wszystkich uważam za niedołącznych synów, karciarzy i plotkarzy.

— Panie, to za surowo! Wszystkie moje koleżanki to patryotki, wszystkie znajome mi starsze panie, następnie literatura, prasa, świat polski! Jakto, nie wie pan, żeśmy wszyscy Polacy! Ja widzę, owszem, widzę bardzo wiele polskości.

— Żle pani widzi. Dopóki chłop nie wyszłe swego chłopskiego zastępcy do sejmu... nie uwierzę w polską miłość ojczyzny. Są wyjątki... pani może jest wyjątkiem... twierdzić tego atoli o pani jeszcze nie mogę.

— Jakiż pan surowy, jaki wymagający.. boję się pana — rzekła Stefka.

— Dziś nie mam prawa do tej surowości, ale już mam do tego prawa podstawy — odparł Łącki.

— Niech pańskie sumienie będzie sędzią, lecz pan bardzo grzeszy, sądząc nieprawdziwie. Dziś mówi się o kraju więcej, niż kiedykolwiek.

-- Eh... bo też pani na słowa się łapie. Polska deklamacja narodowa jest takim samym brakiem patriotyzmu, jak polskie krowy bez mleka. My deklamujemy, ale nigdy nie mamy zwyczaju rozprawiać i rozważać.

— Właśnie, że rozważam, a właśnie, że rozważam — zawołała Stefka.

— To już wszystko. W takim wypadku pani dobrze kocha!

Stefka opuściła główkę szybko, podumała coś sobie i nagle wyciągnawszy rękę ku Łąckiemu, rzekła nieśmiało :

— Dziękuję za dobre świadectwo.

Łącki uściśnął polską rączkę, nad wyraz miękką, jakby bez kostek.

— Za to zaprowadzi mnie pani na mogiłę i pomodlimy się wspólnie — powiedział.

— Stary szewc, który znał go, twierdzi, że to było 6 sierpnia na Przemienienie Pańskie. Bywam tam zawsze w dniu tym.

— Zapalimy dwie świece.

— Złożymy wieniec, który sami upleciemy.

— Zaśpiewamy hymn narodowy.

— Dobrze, doskonale — i w rączki klasnęła dziewczyna.

Późnym wieczorem rozchodziło się towarzystwo, a gdy Łącki z sędzią szedł do odludnego pokoiku, nabrał ochoty do nocnej wędrówki. Zapowiedział więc, że przyjdzie później i znikł za drzewami. Pociągnął nad rzekę. Grupy tam czarnych olch drzemały ukołysane pluskiem wody. szutrowiska bieleły w mrokach nie dość jasnej nocy, tu i ówdzie światła miasteczka kąpały się w płynącej wodzie.

— Jakże dziwne myśli plątały się po głowie męczennika — myślał o mogile samobójcy. — Z pewnością w gorączkowych widziadłach widział siebie w krusce, z szablą przy boku i rusznicą na plecach. Skradał się lasem, nocą, nagle słyszy szelest, szcęk broni, zakłęcia kozackie. Wpadł w zasadzkę, ucieka, brnie przez wodę, wybiega na pagórek, w przeciwległy las chce się dostać, tuż, tuż go chwytają, widzi żylaste dło-

nie i czapki kozackie ku niemu się pochylające. Ratunku niema, lepiej samemu sobie w łeb trzasnąć, niż pójść na męki i sznur katowski. „Niech żyje Polska!...“ łufka w gębę i... koniec!... Miał biedaczysko złudzenia, ho nie mógł mieć rzeczywistości. A straszne to były złudzenia, przeraźliwe bole na wiadomość klęsk, łez, grobów, wielkiej śmierci żywych. O... byli wówczas ludzie! A dziś?... Bez ofiary wielkiej, świętej ofiary, bytu nie odzyskamy. Polak jeśli chce coś dla macierzy uczynić, bez ofiary się nie obędzie! Tu niema innej drogi. Okupić trzeba wszystkie głupstwa i wszystkie marnotrawstwa — inaczej ani piędzi nie zyskamy. Lecz kto dziś ofiary składa, kto dziś umie dać krew! Bogu chwala — krwi nie trzeba!.. ryczą ucieszeni.

Krew łać jest głupstwem! O naiwni. Czy tylko szablą wytoczona krew nazywa się ofiarą? Czyż twa ciężka, znojna praca dla macierzy nie zeżre ci krwi potoki? Tyś głupi — bo krwi skąpisz, uradowany, że filozofy polskie bronią krwi dawać. Lecz jeśliś mądry Polak — to dawaj krew; nie chcesz dawać potoków krwi w pracy narodowej... daj pieniądze, to prosta ofiara, daj w skrytości, wróg ani spostrzeże, kiedy skąpcy krwi, stopy oliarnych groszy złożą na ołtarzu. Nie masz pieniędzy... daj rozum, daj zaszczyty, daj tajne wstęchnienia wreszcie, jeśliś dziadem wyzutym ze wszystkiego... ale daj, bo to pierwszy i ostatni argument służby dla macierzy. Daj tę przynajmniej dziadowską ofiarę, jaką dał ten siwowłosa starzec. Wszystko dał dla ojczyzny! Cześć mu!

Późno księżyc krzywym sierpem wszedł na wzgórze, widniej było, a marzyciel, który dla ojczyzny złożył już daninę pierwszą, a wcale nie małą, albowiem skrzy-

ni złota prawie się wyrzekł... myślał o zjawisku z obliczem dziecka, z rozumem naiwnym, jednakowoż z sercem polskim. I dziwna rzecz się stała. Gdy Helena brodząc w skarbach poezji nie natchnęła go artyzmem, dziś w otoczeniu igraszek i szczebiotów sztubackich, swywolnych, po debatach o narodowości i polskości, zapragnął artyzmu, bo idąc ustawicznie brzegami wody zwrócił uwagę na majestat nocy i jej dziwne barwy i przyglądając się uważnie, zapragnął malować to, co widział.

I pragnął tak, że aż przysiadł na brzegu i okiem badacza uważał na wszystkie barwy i światła — trzech olch, konarzyska nurzających we wodzie, księżycy za pniami olch i fal wody, odbijających w sobie trzy pnie szafirowo-czarne na tle drgającego blasku sierpa księżycowego. Myślał sobie, że taki obraz, dobrze namalowany, może być znakomitem dziełem sztuki. I rozmazony postanowił coś podobnego namalować i ofiarować Stefce, na znak, iż zjawisko jej rozumnego wcale patriotyzmu, wyłotało w nim aż tak niezwykajny odzew.

Rankiem, po śniadaniu, trochę niewyspany, w tajemnicy wyszedł szukać owego szewca, pamietającego samobójcę. Wypytawszy Stefkę zręcznie o nazwisko, trafił do niego prawie od razu. ponieważ w małym miasteczku wszyscy się znają i pokażą, gdzie kto mieszka.

Szewe siedział przy robocie. Nos jakby szydłem pokłóty, czerwony, wielki podpierał okulary sznurkiem związane. Nikła, zgarbiona w kabłąk postać ledwie wysterczała z za stołu szewskiego. Gdy Łącki wszedł, zrazu zoczył tylko nos, okulary i siwą kiśc włosów i to co zoczył pozdrowił bardzo grzecznie. Na to pozdro-

wienie podniosło się ze stołka coś bardzo małego i starego i zdjęło z nosa okulary. I oto szewc prostując się jak umiał, stanął „na rozkazy pana“.

— Snadź z dawnej szkoły — pomyślał sobie Łącki i wkrótce rozruszał staruszka swem poufałym gadaniem.

— Znałem, znałem panie dobrodziejaszku, nazywał się Michał Szczerbiński, był panie dobrodziejaszku pisarzem przy urzędzie — zadowolony rozprawiał staruszek. — Nogę mu panie dobrodziejaszku zepsuto pod Ostrołęką panie i rana panie... panie odnawiała się, panie rok rocznie, panie w rocznicę bitwy, panie! A w sercu był ci to człowiek chrześcijański, pobożny, z bractwa — ino panie dobrodziejaszku dawniej to byli ludzie panie inksi. Rozpić się nie rozpił ze zgryzoty, jak to dzisiejsze owieczki czynią, nie wygadywał na Pana Boga panie.. lecz kiedy na niego przyszło, że nie mógł się utulić od boleści narodowych panie... połknął pigułkę i ślus panie dobrodziejaszku!

Łącki nie myślał odejść zaraz, bo rozgościł się, usiadł i rozejrzał się po szewskiej budzie, nędznej, zakopconej zwłaszcza przy popękanym piecu i z zajęciem oglądał rozwieszane po ścianach ryciny przedstawiające bohaterów narodowych z epoki Księstwa warszawskiego i listopadowego powstania.

— Skąd pan nazbierał tyle rycin? — zapytał Łącki.

— Abom to luter? Jestem panie dobrodziejaszku Polakiem z rodu, panie, i ze serca, panie. Chowam to panie i szukam tego, bo to panie lepsze, lepsze nasze czasy przypomina. A wiesz pan — z radością mówił

rozochocony staruszek — Babikowi przykazałem, temu co mieszka przy moście, może go pan zna. Co?

— Nie znam -- rzekł Łacki.

— Rymarza Babika pan nie zna? — dopytywał się staruszek.

Jest właściwością takich zamurowanych poczciwców, mniemanie, iż wszyscy na świecie znają ich sąsiadów.

— Pewno go pan zna, gdzieżby pan nie znał Babika. Otóż mówię mu zawsze: Babiku, wiecie co to ostatnia wola? Jeśli wiecie, to wylepcie mi trumnę temi obrazkami, co są u mnie na ścianie, kiedy mię Pan Bóg powoła. A jakże.

Ale Łackiemu pilno było przystąpić do wykonania pewnej myśli, którą na serce namotał.

— Panie majstrze — rzekł. — Skoro pan taki zacny i gorący patrjota...

— W polskiej czapce, panie, chadzam O patrz pan, panie dobrodziejaszku — i podniósł rudą konfederatkę, leżącą pod stołem szewskim, nałczył na bakier i chrapliwym głosem zanucił: „Kiliński był szewcem.. Podburzył Warszawę..“

Łacki, wesoło spoglądając na poczciwinę, mówił dalej:

— Pan wie, co to demonstracje narodowe?

— Wiem, wiem panie dobrodziejaszku, u nas w mieście chcieli raz śpiewać „Boże coś Polskę“ w kościele, ale ksiądz kanonik zakazał. Ale ja wiem panie, jak to panie bywa w Tarnowie albo w Krakowie, na wet w Szacu.

— Demonstracje takie są konieczne, bo to szkoła uczuć narodowych dla biednych ludzi i tłumów, niemogących z książki nauczyć się miłości ojczyzny. Po-

myslcie sami, panie majstrze, czy między młodymi jest sporo takich patryjotów, co pan!

— Niema, panie dobrodziejaszku, to panie i Boga zapomina!

— Widzisz pan. Kiedy po najdłuższym życiu, Pan Bóg pana z pańską gorącą mową zabierze, któż będzie uczył nowe pokolenie tłumów i oświecał w miłości ojczyzny.

— Święta racja, panie dobrodziejaszku. Święta racja...

— Owóż trzeba służyć ojczyźnie, jak kto umie. I przybyłem właśnie, aby pana uprosić...

— O, zbytek łaski pana dobrodzieja, kłaniam się do stópek..

— Podobno 6 sierpnia rocznica śmierci tego, który nad własne życie ukochał ojczyznę, a leży tam w pustkowiu zapomniany.

— Tak, panie dobrodziejaszku, na Przemienienie Pańskie...

— Trzeba zebrać rzemieślniczej młodzieży ile się da, pójdziemy tam wieczorem po pracy, oświecimy mogiłę, ja króciutko wyjaśnię znaczenie zebrania, a potem zaśpiewamy pieśni narodowe i z pieśnią powrócimy na rynek. Zgoda?

Stary słuchał, a gdy Łacki przestał, patrzył przed siebie i myślał, tarł czoło, chrząknął, uderzał lekko nogą o podłogę, patrzył w gościa podejrzliwie, wreszcie bardzo nieśmiało, cały czerwony, powiedział:

— Czy pan nie jest socjalista?

— Jak się panu zdaje? — i patrzył Łacki na ryciny, aby się nie roześmiać.

— Panie dobrodziejaszku .. proszę łaskawie darować.. ale tylko te psubraty socjalisty śpiewają po rynku.

— A, to pan socjalista, bo z pewnością idąc w procesji śpiewa po rynku.

— To co innego, to na chwałę Najwyższego — krzyknął staruszek i łysnął zajadle oczyma.

— A to, co chcę z młodzieżą uczynić, to na chwałę ojczyzny — rzekł Łącki.

— To u nas panie nie we zwyczaju, zresztą nie można równać Chrystusa Pana z ojczyzną.

— Któż pana tak pięknie oświecał? I tak dokładnie..

— Sługa Boży, kanonik, to mądry człek panie, co powie, to panie święte!

— Nie przeczę, ależ on nie mógł mówić, że gromada śpiewająca na rynku, to muszą być socjaliści.

— Mówił panie dobrodziejaszku, na kazalnicy świętej panie.

— Znów ambona.. do licha.. — mruknął Łącki, a potem powiedział głośno:

— Przesłyszało się panu majstrowi, on mówił o demonstracjach socjalistycznych.

— Nie panie, ja nie cham, aby mi się przesłyszało. Siedmdziesiąt lat słucham słowa Bożego, a czterdzieści dwa do bractwa należę panie dobrodziejaszku. Ja nie cham, a słyszałem, mówił wyraźnie, że chodzą po kraju panie tacy ludzie, co to każą śpiewać, ucztować panie, a Boga w sercu nie mają.

— Masz tobie.. — pomyślał Łącki i zagryzł wargi, ale postanowił choćby frazesami ratować chwiejne nadzieje.

— Panie majstrze, chroń mię Boże od tego, abym był socjalistą, jestem takim samym dobrym Polakiem i takim gorącym, jak pan majster.

— I jesteś pan katolikiem panie dobrodziejaszku?
— i bystro patrzył starowina.

— Jestem katolikiem.

— Tak, to co innego. Tak pan gadaj, panie dobrodziejaszku...

I potakując we wszystkim starowinie, zyskał narzeczcie Łącki obietnicę zwerbowania młodzieży rzemieślniczej i serdecznie żegnając staruszka, ucałował się z nim w oba policzki. Łącki czynił te zabiegi z myślą o Stefce. Po prostu chciał Stefce uczynić niespodziankę i dowiedzieć się, co ona mawia o tych tak potrzebnych, a tak rzadko na prowincji urządzanych obchodach narodowych. O starowinie, jako człowieku niemal pozagrobowym, pomyślał bez żółci, atoli o tem, że takie zajadłe a cudaczne pojęcia wałą a wałą jak grad z kazalnicy polskich, że socjalista, choćby był wielkim człowiekiem, jest psubratem — o tem myślał z takim żalem w duszy, z jakim ubolewał nad przeszkodami w powołaniu pod sztandar ojczyzny milionów idiotów, zamieszkujących żyzne polskie ziemie.

Myślał, że w program narodowy trzeba koniecznie wstawić warunek: zniesienie celibatu, kiedy już wiara religijna ma być tem samem, co ojczyzna. Wszystko złe, które w Galicji w ostatnich czasach z kazalnicy na wiernych padło, wydało mu się po większej części dziwactwem przymusowego kawalerstwa kleru, dziwactwem i wynaturzeniem jednostek, skazanych na życie wbrew prawom natury. Myśl tę poddał mu fakt, iż obcujący z kobietami kler ruski przedstawia rozliczne kierunki

narodowe i polityczne, a kler polski ma jedyny, z góry chyba przepisany program narodowy, którego skrytykować nie umie, a często broni go bezmyślnie, a co gorsza zajadle, nie po chrześcijańsku.

Zaszedłszy do domu rejenta nagle przystanął!. Oto patrzy i widzi milczkiem skradającego się majstra, u którego był przed chwilą! To go zaciekawiło, więc skrył się i śledził. Majster wszedł do kuchni, gdzie pełna troskliwego poświęcenia pani rejentowa w sierpniowym upale smarzyła się wraz z kucharką przy ziejącej gorącym kuchni. Czerwona, ocierając rękawem pot kroplisty przywitała się ze starowiną i jak to Łącki przez okno śledził, żywo z nim mówiła, śmiała się, kładła ręce na piersi i wznosiła oczy ku niebu.

Skoro wyszedł pan majster z lepszą miną, Łącki wpadł do kuchni, pocałował panię rejentową w rękę i zapytał, czego chciał starowina. A pani rejentowa w śmiech:

— Cóż to za konszachty ma pan ze staruszkciem? Jakby ciężki grzech popełnił, taki przerażony tu przybiegł. Pytał się, czy panu można wierzyć, czy pan nie socjalista... Cha... cha... cha...

— Na Boga, za kogo wy macie socjalistów tu na prowincji — krzyknął Łącki. — Socjalista to taki sam dobry człowiek, jak katolik, lub ludowiec lub stańczyk.

— Cóż pan mówi! — ze zgrozą rzekła pani rejentowa -- niech pan Boga nie obraża.

— Między socjalistami a katolikami jako ludźmi nie widzę żadnej różnicy. Obaj walczą tą samą bronią, obaj się przeklinają, a u mnie ten sobie podobny, kto podobną bronią walczy. To miara bardzo wyraźna.

— Panie Romanie... ej...

Lecz pan Roman umiał się zawsze podobać, gdyż bez potrzeby i to w kuchni — wojny nie toczył. Przy-
milił się pani rejentowej tak dalece, że otrzymał na
łapę dwa świeżutkie ciepłe naleśniki i dowiedział się,
że aż zakłść potrzeba było, aby staruszek uwierzył, iż
on nie jest socjalistą. Ale uwierzył.

Dzień oznaczony zbliżał się, świece były przygo-
towane, wieniec dla męczennika narodowego płatał przy
robocie grube męskie ręcyska Łackiego z puszystymi
błękitnymi polskimi rączkami Stefki. Ile to było radości
żartów, westchnień, rozmówek, policzyć by trudno.
Łacki bez osłonek rozwijał wobec Stefki swój niekiedy
bardzo prosty i jasny program, Stefka zdradzała usta-
wicznie, iż wiele myślała o swym nieszczęśliwym kraju.
Jedno tylko niekiedy Stefkę raziło, to, że pan Ro-
man dyszał tragizmem w swej potężnej gorączce na-
rodowej — a Stefka kochała kraj sercem, marzeniami
i pieśnią...

Z rozmów tych korzystali oboje bardzo wiele,
a Łackiemu utkwilo dobrze w pamięci zeznanie Stefki,
iż w krakowskiej pierwszorzędnej szkole św. Scholastyki
uczono, że gdyby nie powstania zbrojne, zwłaszcza li-
stopadowe i styczniowe, Polska do dziś cieszyłaby się
wolnością, a dowód podawano w tem, że rozmaici ro-
syjscy i niemieccy dygnitarze chcieli właśnie Polskę
wolnościami obdarowywać, gdy powstania polskie tym
pobożnym zachciankom łeb skręcały. Łackiego tak ze-
złościło to zeznanie, że wstał od wienca i robić nie
chciał, twierdząc, że Stefka go bezmyślnie irytuje. Darmo
Stefka przysięgała, że tak uczył prof. uniwersytetu na
kursach uzupełniających, on pojąć nie mógł w jakim

celu te w peruki i staromodne suknie poubierane stare panny, nazywane profesorkami, dozwoliły tak bezczelnie truć kłamstwem przyszłe matki narodu i perfidnie je usypiać. Dopiero uspokoił się myślą, że ma jeden rys więcej uzasadniający twierdzenie, iż Polacy ulegają bardzo mądrej pedagogji niemieckiej i rosyjskiej i że na tej podstawie wymyślili całą szkołę Polski trędowatej i gnijącej.

Przy tej sposobności pouczył Stefkę, że pewne sfery te jego uwagi nazwałyby właśnie podplaconemi przez Rosję lub Niemcy, mimo iż bezinteresownie, za popędem rozsądku, można dojść do pojęcia, że okłamywanie dzieci jest wyrazem albo zdrady albo sieczki w głowie.

Po takiej porcji irytacji, niekiedy bardzo dotkliwej, znów się wypogadzało między młodymi, lecz na odmiannę, poczynaly się spory z panną Julją, panią sędziwą, panią rejentową, dla których np. cały nowy ruch ludowy był sprawą żydowską, a walka ludu przeciw polityce z ambony, była rzeczą Boga obrażającą. Łącki wił się w opałach i smutku, widząc takie horyzonty debat narodowych, a beształ w grzecznej formie, ale beształ, gdy starsze panie nie rozumiały jego już całkiem jasnych wywodów o polskiej krowie.

A panie tym sposobem zwolna traciły sympatję dla gościa. Zachwycaly wprawdzie jego oczy marzyciela, oczy, o których panna Julja mówiła, że „świdrują na słodko“, podniecał hart wymowy, ale wreszcie te ciężkie debaty narodowe, których celu prawie nie rozumiały, poczęły nudzić.

A Stefkę zapalały...

Zapalały również młodzież rzemieślniczą, którą wskazał Łąckiemu staruszek, zanim się nie przestraszył i nie umknął. Jako prawowierny syn Galicji, nie miał staruszek poczciwina tyle samodzielnego rozsądku, aby zrozumieć, czy zamierzona uroczystość jest dobrą, czy złą. Poszedł do kanonika na poradę, a kanonik, jakkolwiek się zastrzegł, iż bardzo go cieszą obchody narodowe, nie może na to pozwolić, raz dlatego, że nieboszczyk zginął nie po chrześcijańsku, powtóre dlatego, że nie wie, czy gość z Krakowa jest dobrym katolikiem. Staruszek raz już uspokoiony przez rejentową, przeraził się na nowo i pobiegł do starosty. Starosta tak samo potępił zamiary Łąckiego, a gdy blady ze strachu starowina zadreptał do burmistrza, olbrzymiego kielbasiarza, usłyszał wyrocznie: „gdyby to rada miejska uchwaliła, to panie co innego, ale smrody panie, mają pysk stulić i basta! My tu dziękać Bogu socjalistów nie łakniemy, niech se ten awanturnik wraca, skąd przyszedł!” Tak tym sposobem staruszek stracił zupełnie siły i ochotę do organizacji i biadał, że już na świecie „uczciwych panie polaków i chrześcijan niema“.

Aliści Łącki już znał kilku i to mu wystarczyło. I przekonał się nie po raz pierwszy, jak łatwo szczerzyć w te uczciwe, ale głupie dusze uczucia miłości. Wywody jego i namowy rozumieli jak filozofy, lepiej i szybciej pojmwali niż pani sędzina i pani rejentowa i dowiedli, iż nie obce im były zasadnicze wiadomości narodowe, tylko że te, jak owce bez pasterza, wałęsały się po warstatach i po chatach.

Uroczystość zapowiadała się doskonale. Nadszedł dzień. O dniu radosny i wielki, epoko na puszczy partykularza, dniu któryś z radością i łzy złożył na cześć

ojczyzny!. Pogoda wspaniała, ani chmurki, ani wietrzyka, słońce czerwieniało, stygło i stygło, aż wylało się gdzieś za horyzonty, rzucając purpurowe blaski.

Po burzliwej utarczce pań, już przeciw Łąkiemu przez jednego z miejscowych urzędników buntowanych, po łzach Stefki i prośbie ojca, pozwolono jej iść w towarzystwie panny Julji, kobiety nie zbyt bojącej się Pana Boga za rozmaite rozmyślenia i debaty narodowe.

Łącki dopiero na drodze począł odsłaniać rąbki przygotowanej niespodzianki.

— Panno Stefanjo — mówił — pani z pewnością rada wzięłaby udział w manifestacji narodowej, gdyby je szary tłum urządził.

— Cała moja ochota zależałaby od mamy i rady najwyższej — odparła.

— Mój panie Romanie, niechże pan bierze już sobie przywilej na narodowość, a nam niech pan zostawi sprawy przyzwoitego prowadzenia dziewczyny — powiedziała panna Julja.

— Panno Juljo, ani myślę gadać coś przeciw wzorowemu wychowaniu pańien z domu pana rejenta. Ale niech mi pani wyjaśni, dlaczego najprostsze rzeczy jedynie ubrane w surowe lub oryginalne słowa, przerażać tak zwykły nasze polskie kobiety. Czy o słowa wam idzie?

— Odwagi nam nie brak, wszak z panem mówimy bez zbrojnej asystencji — o słowa nam również nie idzie, tylko nie pozwolimy sobie nic narzucać.

— O pani — gdybyś nie była kobietą, zrobiłbym awanturę. Wszak wam ustawicznie rozmaite profesory i biskupy coś narzucają. Wszak wam narzucili, że ja gadam za żydowskie pieniądze!

I jużby się kłótnia rozpoczęła, gdyby to nie było na pięknej drodze do mogiły. Łącki i Stefka poczęli pobrzękiwać liryzmem, a Łącki koniecznie chciał przygotować panie do niespodzianki, zwłaszcza, iż po drodze rojnie już kręcili się wyrostki, wytykający palcem Łąckiego. Jakoż rzekł do panny Julji:

— Była pani przy odśtonięciu pomnika Mickiewicza?

— Byłam, rozumie się.

— To pani była wówczas szarym tłumem.

— Byłam jako inteligencja w tłumie.

— Nie zgadzam się, ale niech tak będzie. Niechże mi pani powie, czy to przyniosło ujmę pani urodzeniu i wychowaniu.

— Nie.

— A pannie Stefanji?

— Była z nami, więc także nie.

— Owóż ile razy znajdziemy się jako inteligencja w tłumie, zwłaszcza jeśli ten tłum prowadzimy, co się dzieje codziennie na całym świecie, to ani kamyczek z korony spaść nam nie może.

— Zgadzam się — ryknęła Stefka.

— I ja zawsze na prawdę zgodzić się muszę — rzekła panna Julja.

— Proszę sobie to zapamiętać, aby przy najbliższej już sposobności nie było kobiecej polityki zaprzeczania. Dobrze?

A panna Julja skrzyła noskiem i trąciła Łąckiego z lekka parasolką.

• — Przestanie pan nudzić. Nie lepiej rozkoszować się wieczorem?

Wieniec był ciężki, to też Łącki przekładał go z ramienia na ramię, aż Stefka znalazła pomysł. Z przydrożnej wierzby kazała Łąckiemu wyciąć tęgi kijek, wieniec nałożyła na kijek, włożyła kij na ramiona, kazała to samo uczynić swemu rycerzowi i tak szła na przód, ku wielkiej uciesze panny Julji, a podziwowi snujących się niedorostków.

Do mogiły nie było blisko — już się zmierzchno, kiedy doszli. Trzeba było w ostatku piąć się trochę do góry, między stare drzewa, panna Julja musiała stanąć, aby odpocząć. Rozglądając się po otoczeniu nagle poczęła jak wyżlica nosem kręcić i parskać. Ujrzała postacie i grupy snujące się między drzewa i wąwozy i nie umiejąc sobie tychże obecności wytłumaczyć, przestraszyła się.

— Panie Romanie, co to za ludzie?

To szary tłum.

— Co? Tłum? Panie w tej chwili wracam? Mam przy sobie zegarek i pieniądze.

— Daj to pani na cele narodowe.

— Ach! Nieznośny! Ależ to niepodobna! Co to za oberwusy!

— To szary tłum -- i donośnym głosem Łącki zawołał — proszę się gromadzić koło mogiły — i dodał cicho do pań — młodzież rękodzielnicza pragnie uczcić pamięć męczennika.

— W tej chwili wracam, to podstęp! — mówiła z gniewem panna Julja.

Dopiero wtedy Stefka, bez głębszych wyjaśnień, bez namowy, zrozumiała o co idzie i w prośby do panny Julji:

— Panno Juleczko! Ani kamyczek z korony nam nie spadnie! To bardzo dobrze, że nas tu będzie więcej! Czy im nie wolno uczcić mogiły? Czy im nie wolno?

Łąckiemu niewiedzieć co się działo, gdy widział Stefkę proszącą, gdy słyszał jej głos rzewny.

— Takich kobiet trzeba ojczyźnie... pomyślał przejęty i w milczeniu, ale z energją ujął pannę Julję za rękę i pośród prośb Stefki, wyciągnął ją na wzgórek.

Gdy stanął naprzeciw gromady ludzi, zdjął kapełusz i rzekł poważnie:

— Niech żyje Polska!

Czyż trzeba uczyć młodzież na polskiem słońcu i z polskiej mąki wyrosłą?

— Niech żyje!... zawyła gromada głosów dojrzałych i chłopięcych.

Pośród starych drzew, wysoko strzelał czarny krzyż, postawiony przez litościwych ludzi. Cisza i czerń była wielka, a modre zorze były dalekiem światłem tak samo, jak gwiazdy zapalające się od zorzy.

Gromada była liczna, stała w skupieniu zwartą masą opodal krzyża. Gromada jak żelazny pierścień otaczała schronisko rozpaczy, zostawiając pośrodku miejsce dla pań i przewodnika. Łącki się postarał o to wcześniej, aby i świece ustawiono na mogile, to też jednemu z młodzieńców polecił świece zapalić. Milczenie, słysząc trzask pocieranej zapalki. Pięć świec za jaśniało światłem, na znak pięciu powstań zdławionego narodu. Światła oświecały liczne, wpatrzone twarze i szły promieniami po gromadzie, jak gdyby chciały się przekonać, czy znajdują w jej oczach światła bliźnie, podobne..

Wówczas Łącki, który był już przedtem złożył wieniec u stóp krzyża, wystąpił na kraj mogiły i zdjął kapelusz. Gromada szmerem zawrzała, wszystkie głowy odkryto. Więc Łącki rzekł te słowa:

— Rodacy! Patrzą na nas z nieba wielcy, sławni nasi ojcowie i szukają anielskiem okiem tej krwi serdecznej, która polatała się z ich serc na polskie pola...

I krwi tej już nie znajdują, bo z krwi tej myśmy wyrosli, ubodzy czy bogaci, wielcy czy mizerni. Więc patrzą na nas z trwożną miłością, ażali ich posiew krwi wydał tak dzielnych synów, jak nimi oni sami byli. I radują się... albowiem ich krew wylana na polskie pola, nie poszła na marne. Rodzą się i rosna z niej zastępy i zastępy. Coraz więcej tych zastępów — narodowa nuta już się odzywa narodową pieśnią w gorących piersiach mieszczkańskich i znojných piersiach chłopskich! Na was tu zgromadzonych patrzą bohaterscy nasi ojcowie i patrzy ten, któremu Bóg wszystko przebaczył za jego olbrzymią miłość nieszczęśliwej ojczyzny. Wy młodzieży, to kwiat, macierz wasza, która z krwi ojców ten kwiat wydała, to Polska, piękna ojczyzna wasza! Na was wszyscy z nieba patrzą, wy łącznie z młodzieżą całej Polski, macie zerwać kajdany macierzy, macie dla niej całe życie bez wytchnienia pracować, lub dać to życie w ofierze... Wasz to obowiązek, dobrych synów, obowiązek święty i chlubny... Ale znajdziecie takich... wrogów i swoich... którzy wam usta zamykać będą, serca wiązać, będą was męczyć i katować za waszą miłość ojczyzny, której wstydzic się jest hańbą! A gdy was taka męka zajdzie, wspomnijcie na dzisiejszy piękny wieczór, wspomnijcie na mogiłę tego, który nie umiał przeżyć nieszczęść ojczyzny, bo ratować jej nie

mógł. i pamiętajcie na zawsze... że życie i wszystko dać dla ojczyzny jest zaszczytem i największym skarbem człowieka!.. zapomnieć o ojczyźnie, sprzedać ją, zdradzić ją.. jest piekielnie czarną zbrodnią, jest największym grzechem. Was, spodziewam się, wstydzicie się ojcowie nie będą, was płakać wasze syny nie będą! Kochaj ubożuchna młodzieży tak. jak kochał ten, którego dziś pamięć czcimy... a wówczas Polska żyć będzie!..

Łącki skończył i wpatrzył się w pierścień cicho stojącej gromady, skinął głową, wystąpił młody robotnik, czarny sadzą kuźni, okryty koszulą zeszepeconą sadzami. Miał młot w ręku. Wystąpił i rzekł:

— Szabli polskiej już niema, kochani bracia! Ale jest młot polski! Młot polski.. i podniósł młot w górę i trzymał go nad głową. Młody to ci młot. ale polski! Kosy raclawickie nurzały się już w krwi wroga! Teraz młot przybędzie do pary! Niech żyje Polska cała! Niech żyje lud polski robotniczy!

— Niech żyje! Niech żyje! ryczały zasłępy, rozgrzane widokiem młota, migocącego od świec mogiły.

Łącki znów dał znak, uformował się oddział, podstąpił pod krzyż i na dany znak z drzewa, we wzgórze, nad rzeką, aż w miasteczko. szedł błagalny i korny śpiew stu piersi: Boże! coś Polskę przez tak długie wieki, otaczał blaskiem potęgi i chwały..

Stefka płacząc śpiewała.. panna Julja śpiewała.. wszyscy śpiewali!

Łącki dał dziś świadectwo, że ma spryt potrzebny do organizacji. On i kilku wykształceniszych rzemieślników, w zupełnej cichości umieli tłum jedną myślą natchnąć.

Łącki, tem mniej prostaczki, na pamięć pieśni polskich nie umieli.

To też po odśpiewaniu pierwszej strofy hymnu narodowego, pojawiła się setka świec, setka książeczek po kilka groszy. Każdy wiedział co śpiewa, każdemu było jasno.

Więc jak olbrzymia wstęga wił się hymn po okolicy, przeciągłe, silne głosy słały po łąkach pieśń niewolników, odbijały się o mury miasteczka, gdzie ojcowie ludności i przewodnicy ludności z wysokości swych rozumów lękali się rozgrzania tłumów jak ognia lub powodzi i sądzili, że oni sami potrafią ojczyźnie dać chleb i wolność. O wielcy!

Ciemno już było, panna Julja nagliła do powrotu.

— Już, już wracamy, niecierpliwa patryjotko — mówił Łącki — jeszcze „nie zginęła“, a wtedy spokojni o jutro, uczynimy zadość dobremu wychowaniu.

Panna Julja była przejęta nastrojem, widokiem ogników chwiejnych, migotliwych, a rozsianych na polanie między pnie i krzewy czarne jak przyszłość, głębokie i zagadkowe. Więc nie gniewała się na Łackiego za uszczypliwe słowa i pełnym głosem śpiewała z szaraczkami, których piersi się rozdierały okrzykiem: Jeszcze nie zginęła!

Stefce się wydawało, że stoi na wolnej ziemi lub niezdobytej warowni.

I wśród dźwięków pieśni schodzono ku drodze, aby się tam zebrać. Potem uszykowano się, jedni nieśli świece, drudzy śpiewali. I zapał rósł. Rósł stopniowo w miarę rozgorzenia piersi, więc w marszu duch już był wielki, jedyny, zjednoczony, pełny rycerskiej odwagi.

Panie z Łąckim postępowały za szeregami, huczącymi wesołe krakowiaki, a szczególnie „Bartosza“.

Drogi się rozdzielały. Coś błysło! Pomruk poszedł po szeregach, Łącki wybiega naprzód. Co się stało! Żandarmi!

Błyszczą trzy hełmy, błyszczą trzy bagnety. Trzech stróżów ładu. Szeregi stanęły w ładzie, umilkły w ładzie. Co tu było bez ładu? Łącki w układy:

— Panowie, dojdziemy do rynku śpiewając, potem się rozejdziemy w pokoju.

— Na to niema pozwolenia, proszę pana — tłumaczy żandarm z sumiastymi wąsami — Proszę natychmiast rozdzielić się na dwie drogi i nie śpiewać, bo zaaresztuję wszystkich, a najpierw pana.

— Pan nie śpiewa! — wrzasnął ktoś z tłumu.

— Nie dać go! — wrzasnął drugi.

— Co to spokojnych ludzi straszyć!.. Dzisz go! Armata! Mosiężnik! Bagneciarz! Wyborca! Mundurnik! odzywały się urągające i szydercze głosy.

Z przezwisk poczęto się śmiać głośno, jakaś chłopięca ochota wstąpiła w tłum smarkaczy, niezdolnych do zachowania powagi przez czas dłuższy.

Żandarmi słysząc przezwiska poczęli się irytować, co sprowadzało jeszcze większy nawał i dobór przezwisk. Łącki usiłował żandarmów przekonać:

— Panowie. O dziewiątej wieczorem nikt nie śpi, śpiewy nie mogą zresztą nikogo przerazić.

— Kiedy niema pozwolenstwa na te nieporządki.

— Panie wachmistrzu — rzekł Łącki — zróbmy tu akademię na poczekaniu. Co jest ładem a nieładem, co to wreszcie nieporządek — ze stanowiska filozoficznego.

Żandarm począł miarkować, że i Łącki kpi z niego.

— Proszę się rozejść, inaczej wszystkich aresztuję!

— Ależ tu na czystym polu nikomu spokoju nie mamy — tłumaczył Łącki.

— Robicie państwo nieporządek! — krzyknął żandarm.

— Konie na rynku robią nieporządek, proszę nas nie obrażać. Pies pana starosty zrobił wczoraj nieporządek przy studni — głos się odezwał.

Panna Julja śmiała się, ale żandarmom brakło cierpliwości i wzięli się na dobre.

Widząc to Łącki, spowaźniał i krzyknął.

— Koniec. Spokój. Pamiętajcie dzisiejszy dzień całe życie wasze! Obecnie wzywam was do rozejścia się i proszę, by każdy z was powrócił do swego domu! Bywajcie zdrowi! Czołem! Niech żyje Polska!

— Niech żyje.. Niech żyje!.. rozległo się po dolinie i pośród niewyraźnego szmeru i niedopowiedzianych hasła zaczęto się nagle rozbiegać, nie na dwie drogi, lecz na wszystkie możliwe miedze i ścieżki w tyle i na stronach.

— Niech żyje doktor Łącki!.. wrzasnęło kilka głosów z oddali... głosy te w jednej chwili odezwały się głośnie echem po wszystkich stronach świata. To chłopcy rozsypali się jak jelenie rączo i chyżo, a pozdrowienie Łąckiego rozlegało się długi czas, jakby z wielkiej oddali i z bliska, gdzieś, zdawało się, z za krzewów i domków i towarzyszyło Łąckiemu i paniom aż do mieszkania rejenta.

Wieczera na stole rejenta już dymiała. W tem ogromny śpiew rozdarł ciszę miasteczka! Wszyscy zer-

wali się, wybiegli. Łącki w okamgnieniu domyślił się: „To chłopcy śpiewają” — i wybiegł, za nim sędzia, rejent, gimnazjaści i dwa pieski.

W istocie przed „gmachem” starostwa, to znaczy przed zwyczajnym piętrowym domem, stała czarna gromada i darła się „Bartosza”. Tłum zwiększał się piorunem, stawał się zbity, zaległ ulicę. Niektóre twarze były przerażone, zwłaszcza żydowskie, niektóre ciekawe a niektóre śmiały się z wydarzenia, które z pew. nością dziesięć lat będzie wspomniane w opowiadaniach

Koncept domoroślej armji podziałął na tłuny. Poczęto bez słów, głosami mięszać się ze śpiewakami. W oknach rządowego budynku pogaszono wszystkie światła, widać było wybiegających i wbiegających tam ludzi.

Początkowo trwoga nieszczęścia, pożaru, obudziła żydki i mieszcuchy, potem uciecha, obecnie rumor i krzyk powstał sam dla siebie. Policja miejscowa, kilku w hełmy strażackie ubranych generałów, kilku żandar-mów, dobosz z olbrzymim bębnem, to wszystko wy-padło z zaciekłością, aby szukać koniecznie porządku, który zamienił się na chwilę z nieporządkiem.

Lecz cóż znaczy ta garstka siły wobec potęgi tłumu. Rwetes, bieranina, krzyki rosną, zamiast maleć, tymczasem chłopcy dobyli resztki świeczek i ze stoickim spokojem śpiewali z całych piersi „Bartosza”.

Do starostwa i ze starostwa wbiegali i wybiegali dygnitarze, aż naraz siła tłumiąca rozruchy pokazała swe pazury i poczęła działać!

Tylko przebiegły panuje. Stara prawda. Poco żandarmy, poco straż pożarna i straszliwy bęben miej-

ski, kiedy można swoich na swoich wypuścić, aby się wzajemnie pożarli.

Był ci między śpiewakami chłopiec rzemieślniczy właśnie z instytutu kielbasianego pana burmistrza. Widziano, iż ten dygnitarz jak pękaty okręt na fali kołysał się między tłumem a starostwem. Widziano, że naraz wypadł jak karząca sprawiedliwość z olbrzymim bucziakiem w ręku i tubalnie rycząc: „miejsca, miejsca“ pchał się w szczeliny tłumy jak zawierucha i zginął w ognisku środkowem. Widać było kostur nad głową i donośnie argumenta: „Franek, złodzieju, psianogo! Franek! Kości ci połamię!“

Więc powstaje olbrzymi śmiech gawiedzi. Franek wleczony za ramię, drze się w przeraźliwy sposób. „Niedać go! Odbić go!“ Gwizdy przeraźliwe, huki jak w warze kotła, czeladź i nedorostki biorą się do naczelnika miasta nie na żarty. Czy ma on mosiężne znaki na hełmie, czy ma „gwer“? Hejże na kielbasiarza! Poczęto go bić i szczypać dotkliwie.

Atoli kielbasiarzowi jak łaska z nieba, spada odsiecz. Już wszyscy byli na stanowisku, całe żywe miasteczko zalegało plac opodal rynku, więc jak jeden mąż byli wszyscy „majstrowie“ chlebobawcy, burzycieli ładu i porządku. Majstrowie nie mogą ścierpieć zniewagi swego kolegi i naczelnika. „Na rękę smrody! Za uszy złodzieji!“ wrzeszczy kilkunastu panów majstrów, kilkanaście kobiet rozwija chorągiew bojową i piszczą nie miłośernie, zachęcając swych mężów, krewniaków i narzeczonych, do poskromienia zuchwałców kułakujących serdecznie głowę miasta. Bój zawrzał!

Nie podobna się oprzeć potędze „majstrów“ i majstrowych!

Pośród tłoku i zamętu poddają się buntownicze szeregi, ale kilku wolnych, wyzwolonych, niechce się poddać i zachęca do wytrwałości

Bój trwa! Kije, pięści, nogi, łokcie! Już kapelusze eksplodują w powietrze. Wtem cztery szyby starostwa lecą z żalonym brzękiem.

„Hurra! Hurra!..“ wrzeszczą rozbawione mimo bitwy tłumy. Aż ostry, przenikliwy jęk wystrzelił ponad wszystko!

Potem płacz kilku kobiet, potem złorzeczenia i krzyki rozpacz, potem ucieczka większej części widzów.

Zrobiło się widno, przestronno. Właśnie generałowie od straży zapalili dwie pochodnie, rzucono się ku zbitej grupie zawodzących, żandarmi, Łacki ze sędzią i rejentem rozepchali stojących.

Na ziemi jęczał chłopak ze złamaną ręką, drugi, starszy mieszczanin mazał się krwią płynącą po twarzy z rozbitej czaszki...

I krew się polała.....

VI.

Stefka cały ranek była chorą. Wczorajsze wieczorne wypadki, o których dziś wszyscy rozmaicie gady, oparły się o nią w sposób zupełnie niespodziewany. Oto pani rejentowa, mimo prośby panny Julji, całą winę „straszego nieszczęścia“ przypisywała Stefce.

— Mniejsza, że się tam kłyki ze smarkaczami podarli — mówiła podrażniona pani rejentowa — ale truchleję na myśl, że wszyscy będą was palcami wyty-

kali i tylko dlatego, że pannie Stefanji i panu Łąckiemu przewróciło się w głowie i podobało się robić rewolucję. Lecz panu Łąckiemu mniej się dziwię, on odrazu wyglądał na postrzelonego, ale ty jako dobrze wychowana panna, nie powinnaś dolewać oliwy do ognia. Wstydz się, ja pokazać się nie mogę, wiesz dobrze, że co niedzieli zbieramy się u pani starościny na herbacie, a tu dzięki smarkaczom i smarkatej pannie, pokutuj w domu, jak za jakie grzechy.

Panna Julja napróżno tłumaczyła, że oni „właściwie“ nic złego nie czynili, pani rejentowa była jeszcze czerwienią, niż przy kuchni i nie mogła odżałować rzekomo straconej herbaty u pani starościny.

Stefka płakała, oczka jej nabrzękły, główka bolała. Serduszko kurczyło się, myśl pracowała, a jednak zacięła usta i słowa nie rzekła na obronę. Wiedziała, iż przyjdzie pan Roman, rozprawi się z panią rejentową i dostatecznie wytłumaczy jej — kto to się powinien wstydzić i herbaty więcej nie dawać.

Kwasy, ach jakie kwaśne kwasy i zaducha w pokojach i dreszcze Stefki i smutne oczy sędziny i nieustające elegie pani rejentowej.

Panów nie było Łącki ze sędzią w polu, panienki młodsze widząc niekorzystną chlapę humorów, urządziły się na własny sposób, czytały książki w altanie i rozmawiały o Łąckim, jak o jakim rycerzu z gwiazdą.

— Łącki ze sędzią był w polu...

Dziwny to był człowiek, pan sędzia. Gagał wiele, szczerze, lecz tylko nie trza było trącać struny jego zapatrywań i przekonań społecznych. Wówczas milkł jak nie ten sam człowiek, biegł wzrokiem w tę i ową stronę i roztargniony spozierał na żonę lub dzieci, jeśli

w takiej chwili znajdowały się w pobliżu. Aż dziś w polu, wolny, niepodstuchany, szczęśliwy, wyłożył Łackiemu swe skarby serca. I mówił:

— Jakie zaufanie mam do pana, pan nie uwierzy. To co panu mówię, nie powiedziałbym nikomu na świecie. Pan wiesz to doskonale, jakie to stosunki w klasie urzędniczej. Ach panie! Czy pan sądzi, że tu, tu, w piersi już wszystko zamarło, że nie czuję, iż ziemia obraca się, a nigdy nie stoi, tem mniej się wraca. Czy pan sądzi, że nie widzę, nie słyszę, że nie kocham ojczyzny! Że nie płaczę nad beznadziejnym naszym losem, że nie piję smutku, aż do dna... Ale sza... sza... nie wolno nic mówić... żona, którą kocham nadewszystko... moje dziewczątka lube... to ma prawo bytu, ja... ojciec, nie śmiem bez wstydu im tego bytu ujmować... Ojciec nie może dzieciom nic odjąć... Pan wiesz — majątku nie mamy, o — mamy tysięcy krocie tu, tu... w sercu, w piersi... lecz złota — tu uczynił pan sędzia ruch przeczący. — A dzieci potrzebują, wychowanie chcę dać uczciwe, Bóg to widzi, że ostatni grosz na to daję... więc mi nie wolno awansu utracić, nie wolno mi „strafweise“ pójść na naczelnika, rozumiesz pan, na wielką figurę, na naczelnika sądu w zapadły kąt górski. Serce się rwie, a tymczasem trzeba być nietylko gorliwym urzędnikiem, ale pysk stulić, zamknąć kurki serca... rozumiesz pan... o dziewczątka mi idzie... wszystko dla mych kwiateczków...

W tej chwili Łacki zrozumiał stanowisko sędziego i zrozumiał, dlaczego jemu tak bez formułki o wszystkim gada i u siebie w domu przyjmuje ludzi wszelkich odcieni. Nawet zapytał go o przyczynę dobierania tak mięszanego towarzystwa.

— Bo trzeba panie drogi coś dla duszy .. schnąć, to boli i dręczy... gadać z kolegami o nowych ustawach i o wiście, gardłem wyłazi, a tymczasem przyjdzie mi do domu taki, co ani wyegzekwować się nieda, ani sobie gęby zamknąć. Przyjdzie mi taki wielki artysta, co chłopki bronowickie maluje. Panie, czy to mi awans popsuje? Nigdy, winszują mi nawet znajomości, a ja tymczasem najspokojniej i w błogich porywach popełniam zdradę stanu. Tak panie! Zdradę stanu!

Obaj się zatrzymali, ponieważ Łącki na te słowa gębę roztworzył i patrzył w sędziego.

— Cha... cha... pan słuchasz, czy nie kpię — prawitł sędzia. — Przekonasz się, że nie kpię. Przyjdzie mi taki malarz i zacznie mi bajać o słońcu, które widzi po łąkach, o malowanych skrzyniach, o cudacznych przepychach gorsetu bronowiczanki, kąpiącej się w słońcu... ach panie, wtedy dusza rośnie mi i rośnie, rwie się do naszej ziemi, i porywa się, aby ucałować tę ziemię za to, że nam takie cuda daje. I myślę panie, ale na mękach bym tego komu innemu nie wydał... myślę, żeby te baby rozrosły z polskiego słońca, po stu, panie, synów porodziły, żeby ich pokapały w polskim słońcu, a potem, żeby junaki w garść plunęli, a za cepy chwycili, a natrzepali skórę wszystkim przybyszom, zawalidrcgom, dobrodziejom naszymi niemiaszkom i dziegciarzom, gdyby to najeźdźce psiarstwo wygnali... tobym bez urazy, z radości, podał się na woźnego przy polskim trybunale! Cóż panie? Zdrada stanu.. Czy nie? Spróbuj to głośić... tak z głodu umrzesz na bruku!

Łącki musiał przyznać słusność i bardzo przylgnął do sędziego.

— Mało takich między panami, mało — rzekł z podziwu nie mogąc wiele mówić.

-- I za to napędziliby do wszystkich djabłów ci sami Niemcy i zastępcy ich Polacy, ci sami którzy koronowali by po królewsku, gdyby tak młodzież z ich kraju zawałidrogów wymiotła. A pan? Cożes pan złego uczynił? Nic... zgoła nic, a z naszego narodowego stanowiska uczyniłeś pan krok bardzo znamieny, który z pewnością czwartą część owych smarkaczy natchnie gorącym patriotyzmem. Za dwie godziny jakich trzydziestu chłopaków zbudzić, to panie kochany niebywały procent zysku, jakim się nie pochlubi żaden poseł parlamentarny, żaden misjonarz. O tem jestem najzupełniej przekonany. Nie myślę panie Romanie, panu prawić duby smalone, ten procent zdobyczy czyni fakt, iż grunt narodowy tkwi w tysiącach dusz, duchom zaś owym trzeba tylko iskry Bożej, godziny narodzin łatwych niekiedy, jak nie wiem co... Tymczasem... pan nie oceniłeś jeszcze innych skutków swego postępu. Wierz pan mnie, wyjadaczowi spraw krajowych.. niech pan Panu Bogu podziękuje, jeśli pan nie stanie przed kratkami sądowymi.

— Niema żadnej podstawy.

— Inna rzecz, iż pana uwolnią, ponieważ nikt nie udowodni, zresztą to jest nieprawdą, iż pan namawiałes chłystków do rzekomego napadu na starostwo. Sądy w Galicji, to mojem zdaniem jedyny urząd poważniejszy, który nie każe wyzuć się narodowych przekonań. Inna rzecz, że z narodowością sza... sza... wolno być głośno galicjaninem, ale Polakiem z duszy i serca pod żadnym warunkiem. To inna rzecz. Lecz w sądzie my Polaków za ich polskość, jeśli tylko nie jest

gwałtem, zawsze uniewinnić musimy, my Polakom za polskość nigdy krzywdy nie uczynimy — ale tego nie można powiedzieć o innych urzędach. Pomyśl pan dobrze... czy był w istocie jaki napad na starostwo? To była swywola i to zupełnie salonowa, choć trochę za złośliwa... ale to nie napad!.. A słuchaj pan, co mówią. Napad, bunt, rewolucja, chcieli starostwo podpalić, starostę związać, kasę podatkową zrabować... to wszystko opowiadała mi kucharka rejentowej i rano na przechadzce pijący wodę mineralną pan inspektor szkolny. A teraz dalszy wywód. Swywola była za złośliwa i nie bez celu... to najcięższy pocisk przeciw smarkaczom... lecz ze złamaną kością i rozbitą czaszką musimy coś uczynić. Kto winien? Cała starszyczna urzędowa i narodowa. Tu była wyraźna prowokacja, na rynku powinni byli chłopcy śpiewać, tymczasem żandarmi z rozkazu już za miasteczkiem poczęli was rozpędzać. Skąd racja? Za co rozpędzać? Wyście mniej na drodze zawadzali, niż stado idące wałem. Dlaczegoż stado nie bronią przejścia przez rynek? Bo stado nie śpiewa, ani nie jest niespodzianką. Aha... tu sedno rzeczy. Lecz nie pojmuję, dlaczego komuś zależy, żeby nie śpiewano? Kiedy bo filozofy nasze z ostatniej doby chwycili się dziwnych manier, które się zawsze tak kończą, jak wczoraj. Co lepsze, czy śpiew, czy bójka i nieszczęście, niech osądzą. Ja się starostwu nie dziwię, gdyż trzeba te rzeczy rozumieć... jednakowoż nie mogę pojąć naszych autonomistów i niezawistych. Tak mój panie Romanie

— Pan sędzia jest wytrawnym narodowcem — po chwili szepnął Łącki.

— Panie Romanie, sza... sza... ani żonie nie wspomnieć. Każde moje wyjawione słowo, to zabójstwo

mych piskląt! A pan widzisz, co to za skarby, co za anielskie stworzonka...

— A anielskie stworzonko wyczekiwało powrotu ojca i pana Romana z takim wyteżeniem, że dreszczów z oczekiwania dostało. Lecz wreszcie się doczekało.

Atoli w przerażającej groźnej chwili zjawiło się dwóch obrońców bolejącej Stefki. Pani rejentowa, bledsza od piwonji, stała słupem jak Niobe u drzwi ganku i jak skazana patrzyła w złego ducha, uniżenie jej się kłaniającego czapką urzędową i bełkotała coś niepojęcie wodpowiedzi złemu duchowi w czapce urzędowej.

Skoro powracający z wycieczki to spostrzegli, przypadli rejentowej na ratunek i dowiedzieli się, iż woźny ze starostwa szuka pana doktora Łąckiego, aby podpisał wezwanie do starostwa na jutro, godzina 10 rano.

— Pierwsze ciosy — westchnęła stroskana pani i zostawiła mężczyzn przy załatwieniu wymogów woźnego, sama zaś powróciła do kuchni.

— Widzisz pan, już zaczynają — rzekł sędzia.

A Stefka z rozczuleniem powitała swych obrońców. Siedząc w kątku śmiała się oczkami przez łzy i poczynęła mówić, ojca ścisnęła serdecznie, na Łąckiego patrzyła radośnie, a przez łzy urywała słowa, znów poczynęła, wreszcie skłoniła główkę na ramię ojca i zaciągając się płaczem wyrzekła:

— Nie dajcie mi krzywdy uczynić...

— Serduszko moje — mówił sędzia — co ty o nas myślisz, za kogo ty nas masz! Stefka, czy ojciec dopuściłby, by cię krzywdzono. O, ty kochanie głupiotkie, czy ty wiesz, że ojciec tylko wami żyje, że każdy krok ojca... tylko dla was, moje dzieciątka drogie... Kto cię krzywdzi, kto?

Dopiero Stefka objężdża słówkami przez biegun północny do Rzymu, aby nikogo osobiście nie oskarżyć.

I przy obiedzie zawrzała słowna bitwa. Uczestnicy gięli się ku stołowi; nogi rzucali pod krzesła, aby tym sposobem zbliżyć się do przeciwnika siedzącego naprzeciw za stołem, chętnie wleźliby przeciwnikowi w ucho, aby mu zatkać wszystkie dopływy skądinąd i trąbić mu swoje jedyne zdania, choćby błona bębenkowa miała trzasnąć w kawały.

Najwięcej krzyku czyniła pani rejentowa, sędzia i jeden z gimnazjastów. Ten ostatni tak się zakogucił, że dostał chrypki i zdarzył mu się fatalny wypadek, stanowiący dla panny Julji najwybitniejszy moment utarczki. Pan gimnazjasta wyrzucał wielkie słowa z siłą, jak pociski, pragnąc przeciwnika detonować ogromem swego oddechu, poprostu zwiać go jak piórko. I oto w tej chwili ma wypuścić z gęby jakoweś przygniatające zakłęcie! Nabrał z atmosfery co się dało, równocześnie z talerza również co się dało, puszcza snop iskier z oka, szle przez krtani zakłęcie całą siłą płuc, nagle, odruchowo, bezwiednie zamyka gębę pełną mięsa. Więc następuje katastrofa, zakłęcie natrafia w gębie na niespodziewany opór, kęsy mięsa z ziemniakami, język, rzędy zębów, wargi, okazują się zaporą niepokonalną, zakłęcie grzęźnie w kawałku mięsa, dławii mowcę..

Gromki śmiech był odpowiedzią chwilowo porażonych przeciwników.

— Smarkacz, smarkacz — wołano, a panna Julja chwyciła się rączkami niżej biustu, rzuciła się w tył głowę przechyliła aż za krzesło i namiętnie śmiała się z wypadku obrońcy bohaterów chwili.

— Nie wtrącaj nosa, gdzieś niedał trzosa — krzywiąc usta w niemożliwy sposób wołała panna Julja.

Łącki do dysputy przestał się mięszać już przedtem, kiedy zauważył, że wszystko bije się na słowa, a nie na zasady. Słów niepopartych jakimś głębszem uczuciem albo wytrawnym rozumem, bał się jak ognia.

Prawda, że „trzymał“ ze Stefką, sędzią, panienkami i gimnazjastą przeciw zwartej kohorcie starszych wraz z drugim gimnazjastą. Panna Julja zaś szukała wrażeń i komizmu, — więc była do pewnego stopnia bezstronna, to znaczy, albo terenu dla uczuć nie znajdowała, albo też była rzeczywiście do swobody stworzoną, albo wreszcie śmiech u niej znaczył więcej, niż wszystko. Łącki znów nie chciał tracić słów w bezowocnej i bezcelowej gadaninie i nic sobie nie czynił z tego, że Stefka niekiedy szarpała go rozpaczliwym wzrokiem wzywając do pomocy, że toż samo czynił sędzia. Łącki ludzi kłócących się raczej oglądał, niż zważał na treść padających frazesów lub zdań nieumiarkowanych. Jedna jedynie okoliczność skłaniała go do odezwania się. Obecność tylu młodych pączków napawała go obawą, że wsiąkliwe bębny mogą iść za popędami swych rozmaitych sympatji i wsiąknąć właśnie od starszych niejedne bynajmniej nie świetne pod względem narodowym poglądy i zatruć się. Prócz tego podniecało go aż do złości zachowanie się drugiego gimnazjasty, chłopca nie fizjologicznie cichego, zamkniętego w sobie, a popierającego jawnie panią rejentową.

— Ten karjerowicz w skorupie, dzieci mi zmanieruje... myślał młody mędrzec...

I kiedy przebrzmiały pieniste fale śmiechu i kiedy tym sposobem wiele pysznych argumentów się ulotniło,

a bitwa niezmiernie osłabła, on głos zabrał i aby nadać ważności swej mowie, o głos poprosił:

— Zastrzegam się z góry, że do nikogo z szanownych państwa mych słów szczególnie nie zwracam. Chcę tylko powiedzieć, iż jako człowiek wprawniej i szybciej umiejący patrzeć na objawy różnorodnej przyrody, bądź to jako lekarz, bądź to od dawna w tym kierunku badający, widzę w każdej młodzieży naturalną chęć wolności i użycia tej wolności. Wszystkim matkom na całym świecie można oświadczyć, iż zwykle to dziecko jest zdrowe i silne, które garnie się do swobody i szuka jej w najróżnorodniejszy sposób. Nie powiedziałem nic nowego, powtórzyłem znaną wszystkim prawdę, atoli z tą dokładnością, że nie z książki, ale z życia tę prawdę czerpałem. Jako podstawę wychowania uważam stosowanie tej prawdy, dlatego każde nakłanianie do ascetyzmu, spokoju, bezczynności, albo mozolnej pracy bez rozrywki, nazywam błędem. Grzeczne lubo żwawe dziecko jest ozdobą domu, potulne, nijakie wcale domowi zaszczytu nie przynosi. To też w każdym wypadku dotyczącym młodzieży winniśmy tylko baczyć, jak młodzież czyni, a bardzo rzadko co czyni. Czujność naszą i nasze veto ma się stosować tylko do uczynków z zakresu niemoralności, w innych wypadkach pod grozą wykoszlawienia natury nie wolno odbierać młodzieży pewnego kierunku swobody a wypychać inny kierunek, a wprost zbrodnią, morderstwem jest karanie za jakiś tam urojony nieodpowiedni kierunek swobody. Dotyczy to tak fizycznej, jak moralnej swobody.

Tymczasem my z kneblem na ustach, z ranami od kajdan po rękach, bronimy naszej młodzieży swo-

body narodowej, tej odrobiny swobody przyznanej nam konstytucją austriacką.

Rejent woła: Nikomu nie bronimy.

— Nikomu? Dyrekcje gimnazjalne, złożone z polaków i frazesowiczów polskich, śledzą z zapalem godnym lepszej sprawy, czy gdzie między uczniami niema bractwa narodowego, czy się gdzie bractwo nie schodzi na krzewienie uczuć narodowych, a wreszcie co każdego również interesuje, uczuć ogólnoludzkich i socjalistycznych. Policja z Polaków złożona myszkuje po warstatach, stowarzyszeniach robotniczych, czy gdzie nie buja jakaś ognista myśl, gorętszy czyn. Ta sama policja prowokuje szeregi polskiej młodzieży i zmusza do odlewu gradem kamieni, do burdy i aresztowań, dlatego, że się jej narodowa manifestacja nie podoba. Co więcej — starszyzna narodową codziennie przykazuje młodzieży, aby pilnowała książki i warsztatu, nie rozwijała się narodowo i nie organizowała się, kiedy równocześnie nie stawia żadnych przeszkód w kierunku bigoterji i związków religijnych. Chcecie przykładu?

— Tak jest, przykładu — rzekł rejent.

— Proszę. Co się wczoraj działo przed starostwem? Burmistrz, majstrowie, polki, kobiety polki, biły smarkaczy śpiewających pieśni narodowe! Wstyd, wstyd! A niechże już wreszcie czyni to pan starosta, acz polak i wielki jakiś karmazyn, ale żeby to uczynili niezawisli mieszczanie polscy, nie spodziewałem się. Starosta mądry frant, majstrów wysłał, bo wiedział, że majstrowie okażą się nędzaczami narodowymi. Burmistrz powinien był rzec: strzelaj panie starosto, ja ręki nie podniosę przeciw naszej młodzieży śpiewającej nasza

pieśni! Tak czynią Polacy na polskiej ziemi — tak zaś jak uczynił burmistrz, czynią albo niewolnicy, albo najwstrętniejsza dla mnie nacja — karjerowicze. Co więcej! Matki polki rade widzą synów w łaskach dyrekcji szkolnej, ścigającej bractwa narodowe, rade widzą synów przyznających, że trzeba siedzieć cichutko, spokojnie, nie narażać się, trzeba zdobyć przyzwoity i wygodny kawałek chleba. Matki polki, nie tędy droga dla polskich dzieci — droga prowadzi do ojczyzny, gdzie tłuste i mleczne krowy polskie, gdzie łąki po pas trawą zarosłe, gdzie imci państwo perkaliki sprzedają, ale nie przez trzymanie serca w klatce jak kanarka.

Niczem albo szelmą będzie kiedyś chłopak, który nie waha się potępić młodych za przewodnictwem starszych. Jeśli tak czyni, nie jest młodym i albo ma chorą duszę, albo chore ciało!..

W wyjaśnieniu szczegółowo nas dotyczących wypadków, muszę uroczysto oświadczyć, iż wszyscy młodzi, urządzający wczoraj manifestację, zachowaliśmy się swobodnie, jednakowoż nikt z nas nie czynił ze złości woli albo złych instynktów. To przyznajecie ogólnie — przeto z powodu braku znamion złego, cały srogi sąd i okrutny wyrok upada. Niech zgoda kwitnie, a miłość rośnie..

Niespodziewanie dla Łackiego jego wywód uśmierzył ognistych przeciwników. Część broniąca smarkaczy a pośrednio siebie przed pociskami części napadającej, po kolei obdarzyła mowcę wzrokiem pełnym wdzięczności, panienki rozkosznie spoglądały na rycerza, ale tak jak gdyby nie wszystko rozumiały, jednakowoż odczuwały, że mówił bardzo mądrze w ich obronie. Stefka rzecz oczywista, rozumiała wszystko i patrząc w Łackie-

go myślała sobie, że Łącki najsprytniej rzecz ujął, ponieważ poczynając od Adama i Ewy zwrócił argumenty z partykularza na szeroki gościniec europejski. Przeciwnicy zdaje się umilkli, że Łącki wjechał na mądrość której nie chciało się rozwijać po obiedzie i przy upale. Sam mówca właśnie dlatego namotał nici ogólnych zagadnień, miał więc prawo mniemać, że mu się zabieg udał niespodziewanie zręcznie. Jedyne rejent nie dał wszystkiego za wygrane i zainterpelował:

— Jakto, pan chcesz, aby dyrektorzy szkolni, dowiedziawszy się o istnieniu bractwa, nie śledzili, aby się przekonać o jego wartości? A piecza nad wychowaniem, a obowiązek wychowawczy?

— Zgadzam się. To jest ich obowiązkiem — rzekł Łącki — Napędziłbym kierownika, któryby tego zaniedbał.

— Więc jakże pan się wytłumaczy ze słów swych poprzednich?

— Tak, panie rejencie. Kierownik wysledził bractwo narodowe, literackie, religijne, socjalistyczne, pełno ich jest w każdym gimnazjum. Wysledził... więc powinien ręce zatrzeć z radości i rzec: bardzo dobrze sprawują się moi chłopcy, to odzew umysłowych popędów, to nie było, tylko chłopcy, z których będą dzielni obywatela. Boże! dzięki ci, że to nie bractwo karciane albo pijackie. Jeślibym kiedy takie dopadł... no... no... już bym wiedział co czynić. — To panie rejencie wychowawca. Tymczasem inaczej się dzieje... wszakżem niedawno przeszedł szkoły i wiem com wycierpiął za sekretarstwo w naszym szkolnym związku narodowym.

— Ach, panie, jemu w danym razie idzie tylko o to, czy dane ideały są uczciwe i licują z godnością człowieka.

— Otóż to, to. W młodzieniaszku wszystko polega na jawnem uczuciu. Kradzież, oszustwo, mizantropia albo burzenie rzeczy godziwych, to takie proste elementy, że wielkiego rozumu nie trzeba, aby te niemoralności wysledzić. Tymczasem w naszym związku śledzono nasze narodowe porywy i z siłą tyraństwa gaszono to, co nam poeci i wieszczowie podali. I to nazywam zbrodnią, to nazywam niewolnictwem, rozkazem Niemców lub Moskali spełnianym przez Polaka z rodu i wychowania. Przyznam się, że podobni naczelnicy różnych państwowych instytucji, tak mię brzydzą, tak mi podle jako Polacy wyglądają, iż ręczę honorem, że lżej mi byłoby, gdyby Niemcy w Galicji te stanowiska zajęli, tak jak zajmują Rosjanie w Królestwie polskiem. My swego pod nosem nie widzimy, acz doskonale wiemy, że w Królestwie każdy woli czynownika kacapa, niż Polaka służącego Moskwie. Czy nie tak?

— Ha... tak — szepnął smutno sędzia.

Nie mierzyć się gębą z doktorem, myślał rejent i chociaż uznał, że Łącki żadnych herezji nie mówi, owszem bardzo dobrze uzasadnił te kwestje, ryczałtowo wydały mu się one za silne, rażące, nieprzyjemne, niepokojące. A przecież sumienie mu gadało, że istnieje w Galicji cały szereg osobistości wybitnych, które zrezygnowały z Polski i służą w najlepszej myśli i niekiedy bardzo gorliwie najeźdźczym rządóm, pragnąc całą siłą zdolności u rządów zaborezych zyskać sympatje, podarunki, łaskawe pobłażanie, odrobinę praw i przy-

wilejów. I czuł, iż ci ludzie nie są prawdziwymi Polakami.

Ale nakoniec te wszystkie ciężkie zapasy ukoili spoczynek popołudniowy, który tak się ukształtował, że Łącki ze Stefką i panienkami udał się do obszernej altany pstrym chmielem obrosłej i tam bardzo przyjemnie odpoczywał.

A w miasteczku wrzało i wrzało. Mieszczanie w swem kółku, panowie urzędnicy stojący o siódme niebo wyżej od mieszczan, spoglądający na te kłykowskie kreatury gorzej niż na własne pieski, śpiewali zgodnym chórem uniżoności dla starosty i smarowali „sojalistycznego“ doktora na czarno.

Lecz pewna część od głosu się wstrzymywała, a byli to przeważnie ze sądu i młodsii...

W zimie zielony stolik, w lecie kręgielnia, to jedynie uwagi godne ogniska miejscowej inteligencji.

Zielony stolik rezydował w kasynie — kręgielnia była w ogrodzie z piwem, przekąskami, kwaśnem mlekiem i przeróżnymi specjałami. Właściciel tego przedsiębiorstwa, oddany duszą swemu zawodowi, podzielał zwykle z kwaśną miną, ale niezłą fantazją, zasady głoszone przez panów urzędników, ale dla siebie w największej skrytości był socjalistą takim prawdziwym, nie takim chrzczonym jak Łącki.

Panowie zaniechali koła do jazdy, zaniechali kąpieli, z wyjątkiem nałogowca pana inspektora od podatku, wszystko w dniach tych biegło na kręgle, aby tam omawiać wypadki. A wąż wypadków spowodowanych serenadą smarkaczy, co dnia rósł i tężał. Dziś wypadki dnia dały dwie ważne okoliczności, a to, że

Łącki nie stawiał się na wezwanie starosty i, że w radykalno konserwatywnem piśmie krakowskiem pojawił się artykuł omawiający ekscesy „zbałamuconej gawiedzi“.

Łącki wiedział, że na kręgielni o nim gadają, ale właśnie tam szedł, bo miał tam już wiele znajomych.

Witano go grzecznie, nawet uprzejmie. Łącki był wesoły i dowcipny. Wielu panów stygło przy nim w swych potępięczych ogniach, albowiem w nieokreślonych, bezwiednych niemal odludziach mózgu widziało w doktorze uosobienie siły, która w danym razie ich będzie broniła przed jakimś niekoniecznie przyjemnym ukazem władców. Może niejednemu przypomniały się młode lata... może niejeden z czasów uniwersyteckich pamiętał swe nieprzejednane, niewzruszone hasła narodowe, które przysły w szeregu awansów i odznaczeń, jako dziecinne marzenia i bańki mydlane...

Któż zbada ludzkiej duszy otchłanie!

Grano w kręgle w dwie partje, pito piwo, a Łącki szukał koniecznie gazety, w której opisano zajścia. Gazety nie było, acz było można rozpoznać, że nie chciało pokazać jej doktorowi. Lecz Łącki prosił i szukał, aż wreszcie znalazł ją w kieszeni pewnego pana kandydata advokatury i ponieważ ustawicznie o tem gądano, uprosił pana kandydata o przeczytanie na głos, a potem o rozpoczęcie rozprawy. „Na wszelkie rozprawy wieczór jest najodpowiedniejszy, dzisiejszy wieczór dość chłodny nie zagrzeje nikogo, a ktoby zmarzył w sierpniowej zmiennej ciepłocie, właśnie się zagrzeje, więc nikomu krzywdy nie będzie.“ Tak rzekł bardzo wesoło więc kręglarzy zachęcił.

Wtedy pan kandydat advokatury przeczytał wobec ogólnego milczenia:

„Doktryny puszczane w obieg dla dogodzenia nerwowym i ambitnym zacheiankom wszelakich demagogów, ku wielkiemu smutkowi społeczeństwa, przekradają się przez baczny kordon stróżów ładu i porządku i wywołują celowe niepokoje niekiedy w odwiecznych siedliskach Bożej chwały, powszechnej zgody i zadowolenia z istniejącego stanu rzeczy. Doktryny idą w formie książek i pisemek subwencjonowanych przez łowców w mętnej wodzie, szerzą zło, lecz szkód wiele naczynić nie mogą z powodu słabego zajęcia się czytelnictwem po naszych miasteczkach i siolach i z powodu łatwej kontroli przez powołane do tego organa. Inaczej się dzieje, kiedy doktryny szerzą żywym słowem zgraje płatnych lub zbałamuconych agitatorów, umiejących skutkiem pewnej rutyny i puszczania błyskawic, wabić tłumy ku sobie i burząc, pchać nieraz nad brzeg przepaści. Ubolewać należy, iż dzisiejsze konstytucyjne ustawodawstwo, ułożone dla wszystkich krajów koronnych naszej monarchji, nieuwzględniające szczególnych warunków społecznych w każdym kraju z osobna, do pewnego stopnia zezwala na istnienie agitatorów rozstroju i przewrotu i tym sposobem zawiera lukę wyrządzającą niepowetowane szkody krajowi, więc pośrednio monarchji.

Zaiste na myśl się nasuwa kwestja, czyby nie należało zwołać coś w rodzaju narodowej ankiety, któraby dla każdego kraju swego wypracowała, osobny regulamin obywatelskiej wolności i takowy drogą uchwały parlamentu zamieniła w ustawę. W Galicji taki regulamin jest niemal codziennie potrzebny, nie dozwoliłby

bowiem, aby działały się takie rzeczy wprost niepojęte, jakie przed trzema dniami wydarzyły się w mieście powiatowem... Przybył do tego miasta, rzekomo na letni wypoczynek, młody lekarz z klinik krakowskich, i zwyczajem zbałamuconych niedorostków, albo w co wątpić należy, zwyczajem zawodowych burzycieli, wdał się w nieswoją rzecz, mianowicie, wstąpił w niziny społeczeństwa, między czeladź rzemieślniczą i robotników. Toby samo przez się przestępstwa nie stanowiło, jakkolwiek bawienie się demagogją bynajmniej nie jest zakresem asystenta kliniki krakowskiej. Odwiecznym zwyczajem sprawy oświaty prowadzi Kościół, szkoła i miejscowi światli obywatele. Atoli pan doktor wzorem utartym i wypróbowanym przez przewrotowców, począł organizować niedorostki i spokojną dotychczas młodzież zorganizował w kierunku demonstrowania wobec władz, poniżanie wartości władzy, podawania władzy na pośmiewisko. Nie wiemy, czy pan doktor w jakich kryjówkach pouczał przygodnych zwolenników i gdzie się z nimi schodził, to jest faktem, że w kilku tygodniach wymustrował armje tak należycie, że ani nie powstydziłby się naszych stołecznych socjalistycznych generałów, ani armja jego nie oddałaby gorszych usług, niż wyszkolona gawiedź wielkowiejska.

Owego dnia przed wieczorem dał rozkaz, aby armja niedorostków, uzbrojona w lampiony, młoty, jakoteż kije, zebrała się za miastem przy rzece. Tymczasem czujność władzy usiłowała nie tyle śmieszne, ile smutne w skutkach zamiary zneutralizować. Wysłana żandarmerja zdołała z wielkim taktem rozprószyć tłumy młodzieży i sądziła, że na tem się ruch, mający pozory wycieczki zakończy. Atoli gromada młodzieży zbuntowa-

na przez agitatora, wiedziała już doskonale, jakim sposobem należy dążyć do ulicznej demonstracji, której celem było zohydzenie wielkiej uroczystości rodzinnej w domu naczelnika powiatu, a mianowicie uroczystości zaręczyn najstarszej córki tego szanownego powszechnie obywatela i człowieka.

Rozprószona gromada, między domki i ogrody, po jednym na przelaj, dotarła celu i w sposób nieludzki hałasując zapamiętała się do tego stopnia, iż dla zamaskowania karygodnej swywoli, część demonstrantów śpiewała pieśni polskie ku zgorszeniu wszystkich. Krzyki i śpiewy zwabiły tłumy mieszkańców, a napadnięty w ten sposób pan starosta S. mimo, iż mógł użyć siły dla stłumienia barbarzyńskiej swywoli, nie chciał uroczysty dzień rodzinny chmurzyć powołaniem siły zbrojnej, jedynie namówił znanego ze swej sprężystości burmistrza B. i kilku wybitnych mieszczan, aby z miejsca uznali się komitetem obywatelskim i uczynili porządek z tymi swymi czeladnikami i uczniami. Komitet wraz z całą olbrzymią większością młodzieży rozsądnej i przy pomocy starszych obywateli miasta, używając perswazji, byłby z pewnością gawieź skłonił do rozejścia się, gdyby obecność pana doktora, żółtodzióbów nie zagrzewała. Czeladź i to starsza, stawiała silny czynny opór ojcom miasta, obraziła czynnie i dotkliwie burmistrza, wywiązała się z tego bójka nieunikniona, której ofiarą padło bardzo wielu pokaleczonych, dwóch zupełnie poważnie, a to, czeladnik szewski Klimek doznał złamania ręki, majster murarski W. otrzymał dwie do kości sięgające rany na czaszce.

Oto owoce goniącej za efektami demagogji, oto ruchy gawiedzi nie przyuczonej do szanowania miary

w ekscesach, czeredy prowadzonej ułudnemi hasłami przez mało co starszych młokosów. Tą drogą zajdziemy do rozbojów, lecz nigdy do uczciwej, zbożnej i systematycznej pracy społecznej“.

W czasie czytania tej nowiny dla Łackiego a kilkakrotnie odczytanego artykułu przez wszystkich, pojawił się bawiący na wakacjach technik Bruzdowicz, syn wyższego urzędnika tutejszego powiatu.

— Dziwię się panom, że czytacie tę wstrętną bibułę, z zapalem godnym lepszej sprawy — powiedział.

Lecz oczy wszystkich były wpatrzone w Łackiego, każdy usiłował z twarzy wyczytać ilość i jakość wrażeń. Wyczytać wiele nie można było, ponieważ doktor zmasakrowany czernidłem, słuchał poważnie i z uwagą. To patrzenie się na Łackiego było powodem, że niesłyszano uwagi Bruzdowicza.

— Mówię wyraźnie, że do nosa z tą wstrętną bibułą. Wszak kłamie w żywe oczy.

— Bruzdowicz od dziecka się tu wychował, miał odwiecznych znajomych, nikt więc zbyt skwapliwie jego gromów nie uwzględniał, a tem się młodzieniec niezmiernie denerwował.

— Łże szelma w żywe oczy!

— W istocie — rzekł kandydat adwokatury — każda przesada jest niewłaściwą, a przedstawienie rzeczy niezgodnie z faktami jest nietaktem.

— Takim samym nietaktem, jak rozpędzanie batiarni za miastem — zawołał Bruzdowicz — to wywołało burdę, a nie innego! Kloaki wylepić tą szmatą!

— Pan Bruzdowicz wyraża się nieparlamentarnie — rzekł pan komisarz — O wszystkim można mówić spokojnie i z rozwagą.

— Dlaczegoż do diabła ten zajadły pismak wypada z rozwagi?

— Dowodzi wielkiej rozwagi — mówi tenże komisarz ubrany wytwornie, ułożony spokojnie i karnie. — Pisz spokojnie, to jest wynikiem rozwagi, mnie bo żadne wykrzykniki jeszcze nie przekonały.

— Więc pana komisarza żadna poezja nigdy nie przekona — tam są same wykrzykniki. Jeszcze Polska nie zginęła, to wykrzyknik — mówi Bruzdowicz.

A kandydat adwokatury:

— Nigdy nie należy spokoju uważać za warunek dobrego. Oszczerca, lichwiarz oszust, ostrożny zbrodniarz, to ludzie najspokojniejsi. To ultrakonserwatywne pismo wychodzące już trzydziesty któryś rok, ani na moment nie wypadło ze spokoju, a ze stoickim spokojem musiało minąć się z prawdą, zadenuncjować, nie prawdziwie stosunki partykularne przedstawić, nadomiar podać rządowi projekt zabijający raz na zawsze postępową myśl w kraju.

— To są skończone łajdaki, szkoda mówić — machnął ręką Bruzdowicz.

— Szkoda panu o nich mówić — rzekł komisarz.

— Dlaczego tylko mnie? Wytłumacz się pan!

Większość zgromadzonych panów głosu nie zabierała w obecności komisarza i Łąckiego, ale z pewnem zadowoleniem spoglądała na krewkie występy studenta techniki, zmierzające do bardzo otwartej wymiany zdań.

— Proszę pana — rzekł komisarz do Bruzdowicza — jeżeli ktoś czegoś dobrze nie zna błądzi, gdy wiele o tem gada.

— Mówi, nie gada — poprawił Bruzdowicz.

— Aby nie popełniać błędów — ciągnął dalej komisarz — najlepiej nie mówić; dlatego rzekłem panu „szkoda mówić“, a miałem na względzie pańskie straty moralne.

— Czy pan komisarz jest mentorem?

— Nie. Stoję w obronie pisma przez pana szkolowanego.

— Więc pan się z niem solidaryzujesz?

— Tak jest, z wyjątkiem aluzji o panu doktorze Łackim, wszystko uważam za słuszne i tak samo dla naszego kraju zabójcze.

Wszyscy zadowoleni z utarczki spojrzeli na Łackiego, który siedział z drugim panem nad szklanką piwa i pokazywał towarzyszowi wieżę kościoła farnego, starą gotycką wieżę, nurzającą się w gęstwinie drzew, strzelającą prosto w podwoje nieba.

Dopiero ocucili się, kiedy utarczka słowna poczęła się zamieniać w opryskliwą kłótnię. Bruzdowicz zacięcie piorunował:

— O nic mi tyle nie chodzi, jak o złośliwe przekręcanie faktów. Do djabła! by szewcy i kowale bez przyczyny dybali na powagę budynku urzędowego! Ja tu uczynię porządek i nauczę rozróżniania czarnego od białego. Pan, panie komisarzu, sam wiesz doskonale, że zamiaru podania władzy na pośmiewisko nie było, ponieważ daleko jaśniejszym argumentem jest fakt, iż chłopcy postanowili urządzić figla za rozpędzenie ich za miastem. A wiesz pan, jakie na to lekarstwo, jeśli się wam figiel nie podobał? Nie kości łamać, nie rozbijać czerepy, ale pozwolić się wyspiewać, i wyspiewać i wyspiewać! Jeśli mi tu wszyscy w to nie uwierzą, to wszystkich wyzywam na rękę! Ja was tu nauczę porządku!

Śmiech był odpowiedzią. Dobry humor ożywił żołnierzy nawy państwowej; komisarz nie wiedział, co ze sobą począć i próżno oglądał się za sukursem.

— Panie Bruzdowicz — mówił energicznie — Proszę do mego biura, tam służę na wszystko odpowiedzią. Tu miejsca niema, patrz pan panowie grać przestali z naszej przyczyny.

— A... wiem, dlaczego panu komisarzowi tu mówić nie skoro. Obecność pana doktora Łackiego nie pozwala wszystkiego wypowiedzieć! O proszę się nie żenować, twierdzą w imieniu pana doktora.

— Ależ pan zupełnie błędnie przypuszcza — odparł podrażniony komisarz, wstając ze stołka. — Po pierwsze, dla tego nie chcę rozpraw rozpoczynać, ponieważ panom przeszkadzam, powtóre, ponieważ muszę odejść.

— Nie, panie — krzyknął Bruzdowicz — ja panu wyjaśnię prawdziwą przyczynę. Prócz pana, nikt z obecnych tu, pod żadnym warunkiem nie zgadza się z wywodami łajdackiego pisma, więc pan z pola dyplomatycznie „rejterujesz“.

— Pan się myli — zwrócił się do towarzystwa i w ciężkiej okoliczności postanowiwszy odwagą i pewnością się bronić, zatoczył wzrokiem dokoła i rzekł: — Apeluję do was, panowie koledzy i współpracownicy na niwie pracy państwowej! Jesteście świadkami zbyt krewkich przemówień młodego pana studenta politechniki i jego przechwałek. Czy jesteście przeciwni bez ograniczeń i zastrzeżeń i potępiaćce bezwzględnie nie tylko pismo stojące w obronie władzy, lecz i samą władzę która usiłowała rozruchy usmierzyć? Proszę o zabranie głosu w tej sprawie!

Bruzdowicz śmiał się tryumfująco; położenie sta-
wało się coraz bardziej przykre. Łacki zbliżył się i słu-
chał chciwie. Wtem podniósł się najstarszy wiekiem
radca i przemówił:

— Panie komisarzu, proszę wierzyć, iż może z pe-
wnemi zastrzeżeniami, lecz solidaryzujemy się z zarzą-
dzeniami władzy i uwagami pisma, zaznaczając, że sprawa
pana Łackiego niestosownie została tu wmieszana i jest
sprawą zgoła odrębną, co zresztą sam pan przy-
znał...

Któs ręce splaszczyl i uderzył kilkaktotnie, całe
towarzystwo zadowolone z pomyślnego wybrnięcia,
grzmotem oklasków przyjęło słowa radcy, jedynie kan-
dydat adwokacki i technik nie klaskali. Pan komisarz
biegnie ku radcy i ręce mu ściska, a Bruzdowicz leci
za nim.

— To rzucenie psu kości! — wrzeszczy z całego
gardła — nie wierz pan szczerości uczuć towarzystwa!
Obstaję przy swem twierdzeniu i wzywam pana, byś
mi osobiste sprawozdanie z wypadków w tej chwili
przedłożył! Ile młotów i lampionów było między bun-
townikami?

Komisarz, pewny poparcia, stał się surowym,
przeto przystąpił ku Bruzdowiczowi i rzekł:

— Pan się zapominasz, pan szukasz zaczepki,
proszę pana, ja jej nie szukam.

— Niczego nie szukam, bo niczego u was się nie
doszukam. A pana nazywam ślepym krytykiem, albo
jasnowidzącym wołem.

— Panie!... — z bólem wrzasnął komisarz.

Towarzysze, acz byli radzi, że ten impetyk przy-
tarł trochę nosa człowiekowi wielkich manier, uznali,

że impetyk parł koniecznie do burdy, bez której można się przecież obejść.

Więc w tej chwili opadli zajadłego perorystę i poczęli go uspakajać, pragnąc nadać wszystkiemu pozory żartów. A'le teraz komisarz rozsrożył się nie na żarty i trudno było gojącym plastrem to wszystko zasmarować.

Komisarz wyjmował kartę, aby ją dać Bruzdowiczowi, gdy radca przypadł i zaproponował sąd polubowny. Tymczasem Bruzdowicz krzyczy:

— Na rękę fałszerze opinii publicznej! Okradanie społeczeństwa z prawdy jest złodziejstwem!

Komisarz rozepchał panów zwarto stojących tuż przy zapaśnikach i podał Bruzdowiczowi kartę, następnie wyszedł kłaniając się uprzejmie na wszystkie strony.

Bruzdowicz schował kartę, a towarzystwo osłupiałe i powarzone szemrało chwilę bezradnie, aż jeden z bliższych znajomych młodzieńca, przystąpił do niego i rzekł:

— Tyś dziś gałkę zjadł! Burdę zrobiłeś!

— Żadnej burdy nie zrobiłem. Cóż to, bronicie mi wściekać się ze złości z powodu psich stosunków? Prowokowałem, to prawda; lecz dlaczegoż większość panów nie ozwała się, choć wie dobrze, że nie taki djabeł czarny, jak go malują? Prowokowałem, ponieważ sądziłem, że społeczeństwo przez panów tu reprezentowane bodaj w części mię poprze, jak to się dzieje we Lwowie! Do djabła, ja nie ścierpię takiej służalczej bierności! Szewska pasja mną trzęsie..

I tak wojował, jak byk na arenie, ato i główny torreador już był przed chwilą odszedł, inni wynosili się z ręcznie w trzy strony, wreszcie byk, Łącki i kan-

dydat adwokatury pozostali sami. Chłopak od kręgli zagapiony podczas utarczki, dopiero teraz zbierał kule i powalone kręgle, czyniąc łoskot w głuszy, która nagle nastała.

— Wynosisz się z tymi kręglami do milion kroć djabłów! — zawołał byk już uspokojony i zwolna zmieniający się w studenta techniki Bruzdowicza.

Chłopak przerażony umknął, a pozostali gadali już spokojnie.

* * *

Bić się będą! szalało hasło od wczesnego ranka po widowniach i zaułkach miasteczka. Panie, blade z trwogi, opowiadały to sobie na mszy porannej, na targu, lub podawały sobie z ust do ust za pośrednictwem służących, woźnych, listonosza, lub też, jak to się pani rejentowej wydarzyło, za pośrednictwem parkanu ogrodowego, dzielącego jej ogród od ogrodu pani inspektorskiej.

Któż zdoła pojąć rozpacz najpoczciwszej na ziemi kobiety, zagrożonej w swych najmilszych rozrywkach, w swem nałogowem pożyciu z panią starościna? Blińska omdlenia, bolejąca, odczuwająca ze zgryzoty rozliczne klócia i strzykania w swej podwójnie posągowej bo nazbyt pełnej postaci, toczyła swe istnienie po nadto wąskich dla niej ścieżkach ogrodu, a dusza jej topiła się w toni smętku zabarwionego silnie złością, podobną do ciężkiej pasji.

— Niedoczekanie twoje, chłystku, bym przez ciebie ludziom w oczy spojrzeć nie mogła — jęczała, pełna cierpień i zaciskała pulchne rączki, jakgdyby się wygrażała Łackiemu.

I świeży ranek i rosa srebrząca liście i kwiaty roztwierające swe łona kochankom motyloom, nie utuliły jej bólów, wyrażających się coraz namiętniej zgrzytem zębów niedawno temu kupionych i targaniem jedwabnej bluzki, widomego znaku dochodów jej męża.

Zmierzywszy silnemi stopy powierzchnię ścieżek ogrodowych, westchnęła na wspomnienie komisarza, idealnego chłopca, jak często mawiała, który bić się musi z przyczyny grzmotu, jakiegoś tam zwarjowanego doktorzyny bez praktyki i ogłady.

Zgięty palec, kościstym wierzchołkiem wtłoczony w buzię, był oznaką głębokiego zamyslenia, a widocznie było ono potężne, skoro niebawem skierowało obfitą postać pani rejentowej ku kancelarji męża. W kancelarji rozpoczęła się konferencja długa, zawiła, zakończona uległością znacznie szczuplejszego i animuszem słabszego rejenta.

Łącki nie wiedział o tem wszystkim. Przy śniadaniu spostrzegł, że pani sędzina przechodzi na stronę sędziego, a po śniadaniu wyjaśnił Stefce właściwe znaczenie artykułu gazeciarskiego, który już był się dostał w jej ręce, bez wiedzy rodziców i domowych. Stefka chwaliła się, iż go zdobyła własnym przemysłem.

A w domu było wszystko w rozprzężeniu; patrząc na to, Łącki zrozumiał, dlaczego konserwatyści nazywają ludzi takich jak on, burzycielami ogniska rodzinnego... i poszedł nad rzekę, by za kilka groszy wynająć łódkę stojącą przy moście na kotwicy.

Jak gdyby chciał wyładować tkwiącą w nim siłę, wiosłował bez upamiętania, aż wypłynął daleko za miasteczko i na skręcie wody stanął. Przed oczyma jego roztoczył się precudny obraz.

— Obraz malowany słońcem, umajony łakami nadbrzeżnemi, ozłocony łanami ściernisk, przedstawiający miasteczko w bezmiarze płonących jaskrawością blasków, skąd stara wieża kościelna, jako kolumna cnót, strzelała z ogniska barw i jasności!.. Czy trzeba dłużej wiosłem łódź popychać, czy to nie doskonały obraz, uciecha duszy, słońca żadnej?!.. Rzuć wiosło, żeglarzu... a patrz, a patrz! Wszystko strojne, odświeżone, wesołe, a modlitwa wieży, to hymn spokoju, ładu i rozkwitu.

Załkało serce buntownika na widok tej wspaniałości Bożej i na myśl o nikczemnościach ludzkich, zasłoniętych tą mgłą złotą porannej godziny, murami drgającymi niepokalanym blaskiem. Czy ta nasza polska ziemia nie dorówna pięknościom innych ziem świata? czy prawa bytu i rozwoju są tu mniejsze, niż gdziekolwiek?... Buntownik wodzi okiem myślą i sercem, dławi go uczucie, kłębi się myśl spracowana troską i bezustannem pytaniem — dlaczego tak trudno temuż narodowi, zbrojnemu w wielką przeszłość, własną sztukę, bujną tradycję krwi i mienia, zespolić się w znamienne narodowe życie, choćby krecie, podziemne, ale pełne, przekazane pieśnią wieszczów, których ten naród czci, potępiając równocześnie ich pieśni w czyn wprowadzone?!..

Wstrząsł się z obrzydzenia, gdy przed oczyma rozłożył sobie jak szereg kart to wszystko, co słyszał i widział w krótkim czasie pobytu w miasteczku.

Przejął się grozą! Więc rok, dwa lata oddychania zaściankowym mikadyzmem — to chyba oszaleć trzeba i struć się. Skąd odporność tytaniczna tych ludzi — wszak żyją, nie odebrali sobie życia?..

Cha... cha... cha... trudno wziąć, czego niema. Trudno brzydzić się błotniskiem, kiedy się jest kaczką! Drwić ze śmierci i grozy! Czy trzeba się trapić tem, że chłop nie ma sarniny z truflami, albo kremu waniljowego? Drwić, wszak krowie dlatego dobrze w stajni, ponieważ jest krową!

Jak genjusz stworzony na podobieństwo Boga, wygląda Stefka, unosząca się nad ludźmi, albo tak szczęśliwie między nich chodząca, iż zachować umiała to, co jest pierwszym może przykazaniem — miłość macierzy i troskę o dom swój!

Puścił wiosło, a łódź płynęła z wodą między brzegi urozmaicone grupami drzew, ujściem strumieni, łąkami z rzędami wierzb. Jak miło tonąć w marzeniu i na jedną chwilkę ujść w krainy chyba nie polskie, bo w Polsce już marzeń zapomniano, tak, jak gospodarstwa ojczystego.

Wstąpił na ląd; przypomniały mu się sprawy miasteczkowe.

Nie trudno się było przekonać, że w domu rejenta powiał duch dla gościa inny, przy trwałej wierności sprzymierzeńców, występujący jaskrawo i szorstko. Znać było rękę pani rejentowej w najdrobniejszych przejawach i to natychmiast po przybyciu Łąckiego około południa.

Zwykle się wydarzało, że Łącki ze sędzią przychodzili z przechadzki późno, aż w południe. Spólne wyprawy z paniami odbywały się prawidłowo po podwieczorku. Owóż, ile razy przyszli, choćby tuż przed obiadem, pani rejentowa wybiegała do nich i raczyła wódeczką i przekąskami, mawiając, że nie pozwoli, aby inni zjedli drugie śniadanie, oni zaś byli pokrzywdzeni.

Dziś Łącki ze swej żeglarskiej wycieczki wracając, wchodzi, nikogo w jadalni nie zastaje, więc siada i czeka. Upływa chwila, słychać szelest, wchodzi Stefka. Pyta, gdzie był, co czynił, co myślał, on opowiada swe zachwyty.

Nagle Stefka zauważyła, że pan Łącki nie jadł drugiego śniadania i podskoczyła ku szafce.

Szafka zamknięta. Zwykle była otwartą. Pobiegła, wróciła i rzecze ze smutkiem dwudziestoletniej dziewczyny, że ciocia t. j. rejentowa nie wie, gdzieby się kluczyk podział.

— Obejdziemy się bez kieliszka trucizny — rzekł, lecz oboje nie mieli pojęcia, że to był strzał, wcale nie chybiony, wedle pojęć pani rejentowej.

Wyszli ku altanie, kiedy zabiegła im drogę jedna z młodszych dziewczątek z doniesieniem, że niewie, co się stało, ale ciocia zła; pisze listy, już ich cztery napisała i rozsyła je za pośrednictwem Staszka, nakazując, aby nie ważył się nikomu innemu oddawać, tylko do rąk własnych adresata.

Staszek, to był ów protegowany pani rejentowej gimnazjasta, ten właśnie, który w pamiętnej dyspucie przy obiedzie stał po jej stronie, a przeciw uroczystości na mogile.

Wiadomość ta tknęła parę młodych orląt. Łącki ze Stefką zgodzili się na to, że trzeba wyteńczyć wzrok sokoli i uszy wirtuoza, aby się dowiedzieć o interesach pani rejentowej.

Tymczasem nadarza się Stach, po raz czwarty powracający z miasteczka. Stefka zobaczyła go pierwsza i wybiegła naprzeciw niego, twierdząc, że „przy panu,

Stach nic nie powie, albo skłamię, bo i tak już pana obgaduje i wyśmiewa“.

— Stachu, dokąd ty chodzisz z listami? — zaga-
duje Stefka.

— Co ci do tego?

— Jesteś bardzo, a bardzo grzeczny. Wstydź się. Wyrosłeś na takiego niegrzecznego młodzieńca z tak grzecznego chłopca. Powiedz Stachu. Mnie nie powiesz? Wiem, że cię ciocia posyła z listami, już odniosłeś cztery.

— Sześć, nie cztery.

— Ty wiesz, co w tych listach się mieści? Prawda?

— Wiem, wiem, będziecie wy wszyscy wiedzieli, ale trochę później.

— Powiedz mi.

— Daj mi co za to, to ci powiem. Darmo nic się nie robi.

— Wstydź się, czyś ty żyd?

— Nie, ale świat dziś taki. Mnie niczego nikt nie da darmo, to i ja inaczej nie mogę postępować.

— Bój się Boga, tak mówi uczący się greckiej cywilizacji?

— Ee... nie zawracaj mi głowy. Daj mi co, to ci powiem.

— Dam ci radę na całe życie... żyj długo, a zbieraj pieniądze krótko.

— Czy kpisz? Nic nie dasz?

— Nic.

— Mniejsza o to! — szorstko rzekła zdrowa dusza i powlokła się do cioci.

Stefka powróciła bez wiadomości.

Aliści już przy obiedzie poczęło się wyjaśniać i okazywać, iż niedobre przeczucia były uzasadnione.

Pani rejentowa swemi półsłówkami, chłodem, brakiem grzeczności, umiała tak zmrozić towarzystwo, że przy największych wysiłkach sędziów i panny Julji nie udało się wprowadzić dawnej swobody i wolności słowa. Sędzina to wymiarkowała, a stając się coraz wyraźniejszą stronnicką Łackiego, to bladła, to rumieńców dostawała, gdy rejentowa wyraźnie i nie bez znaczenia wymawiała, że czuje się najszcześliwszą, gdy jest otoczona wyłącznie rodziną, że obcy ludzie ją rażą i odbierają jej apetyt.

Pani sędzina zdobyła się na heroiczną odpowiedź, mianowicie, że podziela w zupełności jej zapatrywania i cieszy się tem; wszak niedawno mówiła, że pana Łackiego uważa za członka rodziny z powodu jego zachowania się otwartego i bez ceremonji.

Rejentowa, nie mogąc już na to odpowiedzieć, aby skandalu nie wywołać, wołała zamilczeć, co jej widoczną trudność sprawiło, albowiem naraz ugała, że ją głowa rozboleła, odeszła od stołu i już się więcej nie pokazała. Rejent odetchnął po zniknięciu zajadłej małżonki, ale wierny przyrzeczeniu, nie odzywał się do Łackiego, tylko się w niego z przyjemnością patrzył, ulegając równocześnie ustawicznemu wpływowi sędziego.

Wieczorem gromadka pociągnęła w pola. Przez chwilę panował spokój u rejentów, lecz wkrótce Stach, który pozostał, otwierał wrota ogrodu, przyjmując panie, schodzące się na listowne zaproszenie.

Było to sześć przyjaciółek, sześć serc siostrzanych, sześć rozumów, wykołyszanych marzeniami na kawach

u starościny, sześć śmietanek, sześć matron, które razem nigdy nie błdziły, lecz z osobna... było to rozmaicie.

Była i pani starościna.

I w imię przystojności komisarza, w imię walki przeciw herezjom, z powodu niebywałych skandalów i nie do ścierpienia grubiaństw, wywołanych pośrednio i bezpośrednio przez osobę, która się wprosiła do domu rejentowej, na wywody wymownej, nie pardonującej pani rejentowej i pani starościny, jednogłośnie uchwalono zawiązać się w komitet pokoju, komitet anielskich stosunków miasteczka, zamaconych czarną intrygą wysłannika, który jeździ po miastach, jak komiwojażer i klóci najidealniejsze stosunki i przyjaźnie.

Rejentowa była uszczęśliwioną. Okupiła spokój ciężką pracą, obawa, że ją posądzą o współnictwo z hypokrytą i chłystkiem, rozwiła się, jak mgła. Sześć serc otworzyło podwoje na oścież i w sześciu sercach ujrzała jasno i wyraźnie gorejące dla niej płomienie — a wszystkie sześć serc, to serca najwyższe w miasteczku rangą i szlachetnością, więc godne trudów i to nie takich, jakie dla zawojowania ich, rejentowa położyła.

Komitet miał działać natychmiast i zmusić wszystkich do zerwania z Łąckim jakichkolwiek stonunków, a ktoby śmiał sprzeciwić się zarządzeniom komitetu pokoju, popadnie w klątwę i gorzko będzie płakał swej nierozwagi, czując pociski sześciu serc pierwszej rangi i szlachetności.

Na wniosek pani rejentowej postanowiono uprosić ks. kanonika, aby wyraził swe zdanie o intruzach i heretykach i to w najbliższą niedzielę, z kazalnicy.

Postanowiono nie dopuścić do rozlewu krwi między komisarzem, a podmówionym przez Łąckiego Bru-

zdowiczem narwańcem. Komisarz ma prześliczne czoło i nos. A gdyby nieszczęście chciało pokierować ostrzem miecza tak fatalnie ..

I wiele, wiele uchwał pierwszorzędnej wartości zapadło jednogłośnie na kawie u pani rejentowej.

Gromadka powróciła i gości już nie zastała.

I wieczór przyniósł niespodziewaną katastrofę. Piorun padł z chmurzysk nakłębionych przez zagrożoną w swych kawowych stosunkach kobietę. Czy jej się dziwić? Czy może kto przypuścić, że bez przyjaciółek żyć można?

...Po wieczery bardzo spokojnie mówiła rejentowa:

— Całe miasto dysze oburzeniem przeciw panu Łąckiemu. Cała inteligencja dała sobie słowo, by ręki panu Łąckiemu nie podać. W tajemnicy to mówię panu, panie doktorze i chociaż przykro naglić do wyjazdu tak sympatycznego i kochanego gościa, w jego własnym interesie muszę to jednak powiedzieć. Nie chcę więc mieć pańskich kłopotów na sumieniu. Serce mi każe ostrzedz pana i formalnie zmusić do odwrotu. Ciężko odchorowałabym, gdyby się panu co stało... I wiele innych rzeczy mówiła.

Dreszcze, gorączka, ściskanie w piersi, osłupienie... nurtowały po gromadce, zwarzonej, zdrętwiałej z żalu i łez dobywających się nerwami. Jeden Stach uśmiechał się nieznacznie. Rejent był smutny.

Próżno do późnej nocy przekładał sędzia rejentowej, że to może idzie o całą przyszłość Stefki.

Łącki wyjechał rano, żegnany na dworcu kolei przez sędziego, bo wszystko inne siedziało po kątach i beczało, a Stefka najwięcej i najgręcej.

A sędzia mówił do odjeżdżającego :

— Rejentowa to strasznie ograniczone i uparte babsko. Mybyśmy pana do końca nie opuścili. Ha — to nie w naszym domu...

VII.

Co czynić?.. pytanie chmurnej nadziei, niepewnych błędzeń, bezradności człowieka, wówczas, gdy utknie i ujrzy zawężłone stosunki, których rozgmatwać nie może. Pytanie „co czynić?“ było przewodnikiem nowych myśli Łackiego, a wonny list Heleny, zapraszający go do swej koleby, był garścią żarzącego się węgla, rzuconego w serce. W liście Heleny nic nie było o jego wierszowanej odpowiedzi, natomiast kropek i pytajników co niemiara i wołania do snów czarownych, lub piekielnie nęcącej jawy.

Czynić to, co obowiązek nakazuje... mówiły mu echa nauk szkolnych i rodzicielskich. Lecz to, co on za obowiązek uważa, to bezmiar tytanicznych walk, na które niepodobna wyjść z motyką i bez grosza. Rodzice, właściwie zapracowany ojciec, surowy dla siebie i drugich, grosza nie zebrał po świecie, ponieważ takim nie dają; krewni niepewni o los związku z Heleną, do niej odeszłą po pieniądze, a bez grosza pójść w świat, Łacki nie umiał. Wiedział wprawdzie, że synowie stróżów i woźniców przebijają się bez centa i dochodzą do wysokich niekiedy stanowisk, i onby może tak uczynił, lecz nie wiedział, jak to zacząć żyć bez piętnej podstawy, bez zakupienia kilku dywanów i mebelków.

Zresztą grała mu muzyka, której przed niedawnym czasem nie znał, nowa, przygłuszająca wszystko. Przed kilku miesiącami nigdyby nie był powiedział, że tak rychło będzie myślał o osiedleniu się poza stolicą, dziś obowiązek służby narodowej, jak archanioł się mu objawił i jego krwi zażądał.

Co czynić?.. Czy usłuchać głosu obowiązku, na który się nikt z rodziny, ani obcych nie zgadza? Ojciec z bezwzględną surowością listem mu rozkazuje, aby się nie ważył opuszczać kliniki, bo tam jego przyszłość... Helena swym listem kusi i kusi i znów trapi po nocnych wycieczkach w światy mar i wspaniałych dziwów, przypomina mu się każdym kwietnikiem w ogrodzie, brylantem skrzącym w złotej oprawie za szymbarkiem jubilerską, pańskim pojazdem, nie częstym w tej porze roku, toczącym się cicho na gumowych kołach, to znów ozdobną i zalotną suknią śpiewaczki, bawiącej obecnie trupy operowej. Miasto przypomina mu bogactwo, bogactwo Helenę, a przy Helenie szarzeje pamięć stokrótki z turkusowemi oczyma. Helena wydaje mu się większą, jako kobieta, z odwagą możnej pani zastępuje drogę skromnej urzędniczej dziewczynie i rozłącza powaby, wdzięczy się do mizernego biedaka, jak gdyby nie mogła w swej dumie przenieść zniewagi ze strony chwiejnego i grymasnego kochanka, albo też w świat po raz pierwszy puszczona z zagrody klasztornej, kochała bezwzględnie, gdy już raz kochać poczęła, nie umiejąc wzorem światowych kobiet zadowolić się zdobywą, bez zamiarów pożarcia.

Młoda panna porywała gwałtem, a Łącki co wieczora czytał na niebie złote głoski: idź za obowiązkiem!

I miewał chwile złudnego zwycięstwa, pokonania siebie, ale to były tylko chwile. Obraz Heleny przybra-nej w lilje wodne, prześladował go ciągle, na wycieczce na błonia zamiejskie, między dymiące moczary i wyziewy traw moczarowych.

Co czynić?.. Cierpliwie czekać, aż się coś wyjaśni, acz nie wiedział, co ma się wyjaśnić.

W tem wyjaśniło się tak, jakby mu kto pięścią między ślepią runął!

Po ulicy dudni powóz, pan hofrat-profesor jeździ w odwiedziny do pacjentów, płacących mu za flaszeczkę morfiny dziesięć razy więcej, niż ubogiemu nie-hofratowi i nie profesorowi. Bodaj to być profesorem! Łącki się kłania swemu naczelnikowi zawodowemu i widzi, iż hofrat nagle się porywa i z całej siły ciśnie balon gwizdzący na woźnicę. — Gwizd — konie stają, pan hofrat prosi do okna karety.

— Dzień dobry, panie dok'orze! — odzywa się — Czytał pan artykuł o pewnym asystencie kliniki bawiącym w mieście powiatowem?

— Nie czytałem, mnie czytano — odparł Łącki.

— Może to pan? — rzekł pan hofrat, uderzony szczególnym wzrokiem Łąckiego — Tak? Tak? Czy nie mógłby pan łaskaw być u mnie po dwunastej?

— Proszę bardzo, będę.

— To pan? Wszak to pan?

— Ja.

— Proszę pana uprzejmie do mnie o dwunastej... Jazda!

Bodaj to być hofratem. Ma nie tylko konie i order, ale i dwunastą godzinę, na którą bardzo grzecznie wprawdzie, ale ma prawo ściągnąć podwładnego.

Wszak ma go w garści.

Łącki wietrzy coś fenomenalnego i cieszy się, jak dziecko, iż znów coś usłyszy, a to schowa troskliwie do skarbca narodowego na pamiątkę i pociechę, lub gorzki płacz pokolenia lekkoduchów.

Aż tu nagle z oznakami radości wita go sędzia.

— Jakto? Pan sędzia?

— Dziwi to pana? Jesteśmy tu wszyscy od tygodnia. W trzy dni wyjechaliśmy po wyjeździe pana. Panie, nie do wytrzymania z tą głupią rejentową. Godzinami opowiadać, co się w tem szafliku powiatowym dzieje. Panie, australscy mrówkożercy i ludożercy, to ludzie wyższej kultury od naszej małomiasteczkowej inteligencji...

— Już się pan nie wywinie od słuchania, chodźmy na śniadanie.

I po swojemu garnął sędzia młodziana ku sobie, w obie ręce, a gdy Łącki nie mógł towarzyszyć z powodu niedalekiej godziny dwunastej, musiał przyrzec, że będzie u sędziów wieczorem i to tak koniecznie, że musiał słowem przyobiecać.

Gabinet, który natykał się kroci piątek i dziesiątek od przeróżnych pacjentów sądzących, że profesor inaczej leczy, niż pouczeni przez niego lekarze, że ustalony sposób leczenia każdej doby, inny jest w głowie profesorskiej, a inny w głowach skromnych przedstawicieli sztuki lekarskiej, gabinet ten powitał Łąckiego i wydarł młodemu koledze po koleżeńsku, zaraz po kilku słowach, więcej niż tu kiedykolwiek profesorowi zostawił pacjent, choćby ulany ze szczerego złota.

Po wstępach bardzo uprzejmych zapewnień, że dobro wychowanków w pierwszym rzędzie rozczuła ser-

ce pana „hofrata“, pan hofrat otwarcie wypowiedział Łąckiemu miejsce w gronie lekarzy klinicznych.

Łącki doznał uczucia dławienia, które atoli szybko przemógł.

Pomyślał sobie, że zdławiony już się więcej dławieć nie potrzebuje. Tymczasem podrażniony dziwacznym i co najmniej samowolnym wyrokiem profesora, obojętnie siedzieć nie mógł, kręcił się na stołku i uśmiechał się przygryzając wargi.

— Pan radca dworu pewnie ma upatrzoną dla mnie posadę i to nie złą, skoro mię wyrzuca?

— Panie doktorze, kto widział mówić tak radykalnie! Ja pana nie wyrzucam, jednakowoż nie mogę i nie wolno mi polityki wprowadzać do instytucji naukowej.

Łąckiego strasznie to zapiekło. Nie chcąc i nie mogąc odebrać hofratowi rangi i wielkości, jako kary za lapidarne głupstwo, które wypowiedział, postanowił użyć szydła i kolnąć hofrata w jakie czułe miejsce.

— Dla Boga! Pan radca dworu czyni wbrew zasadom i pierwszy wprowadza politykę do instytucji naukowej.

— Ja nie urządzam burdy po miasteczku i nie wywlekam dobrej sławy i powagi kliniki po gazetach.

— Lecz w sposób radykalny wprowadzam politykę do instytucji naukowej.

— Pan żartuje...

— Mówię tak poważnie, jak wy poważnie rzucać mnie na bruk.

— To zaciekawia, panie doktorze.

— Ilu jest lekarzy klinicznych?

— Pięciu.

— Proszę rozumować. Gdyby w instytucji naukowej nie było polityki, doszłoby do tego, że w grupie pięciu asystentów pewnego czasu znalazłaby się za stołem naukowym taka kombinacja: jeden socjalista, drugi klerykał, trzeci umiarkowany demokrat, czwarty radykał, piąty polak. Tymczasem pan radca dworu z wielką uwagą śledzi przekonania asystentów i dobiera sobie ile możliwości, samych stańczyków. Czy nie tak?

— Ależ panie!

— Ja tu przykładem! Tu nie miasteczko zamieszkiwane przez kretyków, przedemną siedzi mąż nauki, któremu nie wolno myśleć partykularnie.

— Dobieram, dobieram w istocie, lecz w tym celu, aby w zacisze pracowni miasto badań naukowych, nie wkradły się kłótnie polityczne.

— Dobrze, cel piękny. Więc proszę kiedy dobrać sobie pięciu socjalistów. Dlaczego nie pięciu socjalistów? Pan radca dworu z pewnością ich nie zechce.

— Zupełnie słusznie. Ja się znów nie zgadzam z taką piątką.

— Aaa... polityka! Cóż panu radcy do polityki? To nie pięknie, to bardzo nie pięknie — z uczuciem szyderstwa powtarzał Łącki.

Hofrat zły był i szarpał wąsa.

— Bo — ciągnął Łącki dalej — nie polityka szkodzi nauce, jedynie zaniedbywanie nauki! Czy zrozumiano?

— Żegnam pana.

— A świadectwo? Dwa lata nienagannie oddawałem się pracom klinicznym, acz codziennie dziesięć światów przewróciłem do góry nogami. W świadectwie ma być uwidocznione, że, mimo anarchistyczne przeko-

nania polityczne, zwykłem ostatni od mikroskopu wsta-
wał. Proszę o świadectwo!

— Proszę przyjść jutro.

Pan hofrat się skłonił, Łącki się skłonił i wyszedł.

Złościć się nie było czego, rozpaczać jeszcze się
nie chciało, więc należało śmiać się i to śmiać się ser-
decznie.

— Hofracie — myśli były klinicysta — ty ani
wiesz, że Kwiatkiewicz głosował na socjalistę i ustawi-
cznie nas namawiał do zapisania się pod znak czerwony.
Kolegi nie zdradzę wobec miasteczka, siedzącego
w czerepie profesorskim, alem ochotę miał! O pławił-
bym się w rozkoszy, oznajmiając wysokiej mądrości
profesorskiej, iż miał nieszczęście posiadania dwu prze-
wrotowców na pięciu ogółem wszystkich. Ile razy przy-
szedłem do pracowni, dziwię się... fuj! bagnem czuć, coś
tu gnije... ach! tośmy dwaj zabagniali naukę. Dzięki
Bogu, że nauka odetchnie świeżem powietrzem. Lecz
w jaki sposób hofrat to uczyni, to jego rzecz. Idjoty
nie chce, a kogo tknie z pośród młodzieży, każdy bę-
dzie miał odmienne zapatrywania i przekonania... A
nauka swą wyłącznością ma zalegać cały kraj, Europę,
świat... Nie wolno po za pracownią wystąpić i malców
na mogiłę poprowadzić. Dlaczego więc, ty ośle-profeso-
rze, nie nie gadasz pewnemu swemu ulubieńcowi, któ-
ry publicznie agitował przy wyborach na korzyść twej
politycznej kliky? Mam cię, ośle! Powiadacie, że wolno
wreszcie mieć przekonania, nie wolno ich tylko wypo-
wiadać! Co to za horendalna pomoc dla nauki! Co to
za związek przyczynowy z warunkami wydzielania się
kwasu żołądkowego? Wiedziałem od dawna, że pro-

fesor może być osłem, ale że osioł może być profesorem... pierwszy raz się dowiaduję.

Śmiał się do siebie, gadał pod nosem i wyglądał na człowieka, wstrząśniętego do głębi niespodziewanym ciosem.

Archaniół, który ustawicznie przewijał mu czerwoną wstęgę przed oczy, uśmiechał się słodko. Na wstędze złotemi głoski napisały odwieczne potęgi proste słowa: „obowiązek Polaka...“ Łącki to czytał i czytał aż do upojenia.

Archaniół wyraźnie się zbliżał i był świetlniejszy, jednakowoż krwawy blask, który szedł za nim, był coraz krwawszy.

Licząc zyski pracy narodowej, a razy padające od chwili poczęcia realnych ruchów narodowych, zaszedł Łącki w dom sędziego.

Na progu domu doliczył się, iż suma zysków wobec razów, jakie odbierał, była przerażająco drobna. Zły i ciężki interes — pomyślał.

Bawialnia wraz z domownikami snać miłego gościa oczekiwała, albowiem podwoje rozwarła na ścieżaj, wyglądała strojnie i świetlisto. Gościa przyjęto ciepło, ze znamieniem nienagannej otwartości, co Łącki zaraz odczuł na swych nerwach. Wydawało mu się, iż strudzone członki owinał aksamitem i rozdroczone myśli sycił wonnym narkotykiem. Dobrze mu było, rozgadał się, a ponieważ nigdy nie lubił sądzić bez consilium, nie odstawiając ran własnych, rozwinął wraz z sędzią sprawę mieszania nauki z polityką i ukuł wraz z nim zdanie, które mu się wydało ostatnim szczytem rozsądku ludzkiego:

„Polityka w pracowni naukowej jest sprawą zdrożną i potępienia godną, z powodu możliwego złego oddziaływania na postęp i twórczość naukową. W książce naukowej toż samo, w nauczaniu toż samo. Po za drzwiami akademji i pracowni nauka się kończy, a poczyna się to, co się komu podoba, albo co Pan Bóg da“.

— Przeto profesor jest osłem, więc osioł jest profesorem — pomyślał Łącki i bawił się dalej w domu sędziego. Otoczony powabnym szczebiotem panięńskim, widząc aż łzawe od życzliwości oczy sędziego i zupełnie nawróconą do niego sędzinę, doznał po raz pierwszy w tym domu uczucia głębokiego szacunku i czem dłużej go czuł, tem więcej nim się przejmował, aż wreszcie popędzony wewnętrznym nastrojem, przy wieczerzy wstał, podszedł ku sędzinie i całując w rękę rzekł:

— Mało mi Bóg dał spotkać podobnych państwu, serdecznych i jasnych ludzi. Gdzie kogo los pchnie, tam będzie siedział, jednakże, choćby w oddali żyć mi przyszło, proszę wiedzieć, że macie o jednego przyjaciela więcej...

Sędzina zapłonęła, sędzia porwał się z siedzenia i wycałował doktora; Stefka miała takie oczy, jak gdyby toż samo uczynić chciała... A Stefka na wakacjach przyozdobiła się barwami zdrowia, chociaż jej twarz zawsze była podobna do obłoka ubarwionego blaskiem wschodzącego słońca.

Przy wieczerzy siedział przy niej. Uległ, jak rozbrojony rycerz, zwycięzcy. Wskazano mu miejsce obok Stefki, usiadł, a kiedy po wieczerzy sędzina poczęła grać Szopena, zdawało mu się, że również kazano mu usiąść obok Stefki, on zaś to bez szemrania uczynił.

Jak zwykle, ze Stefką mieli wiele do gadania, podobnie, jak dwaj handlarze o wspólnych interesach.

Koniecznienie zachciało mu się pamiątki od dziewczyny, a dziewczyna nie chciała mu jej dać w obawie, żeby to nie było znakiem pożegnania i rozłąki na zawsze. Więc jej mówił:

— W pracy będziemy zawsze razem, choćbyśmy o sto mil od siebie mieszkali. Rozumie się, tylko w takim razie, jeżeli pani nie wyawansuje na wielkość małomiasteczkową wzorem cioci, albo dostanie męża, który zapomni, o czym dumał na uniwersytecie.

— Takiego męża nie dostanę, gdyż za takiego nie wyjdę. Mam egzamin z rachunkowości i patent nauczycielski, to i nie dbam o byle jakiego kameleona.

Łąckiemu wlał ktoś konewkę zapalną do głowy.

-- Pani! Przysięgam, iż nie wiedziałem o pani patentach. Cześć ci, podporo kraju, świeczniku polek, Jordanie żywności narodowej! Tatusz, to fenomenalny genjusz polski.. jakże on tem pokierował... zdumiewam się, głowę tracę ze wzruszenia!..

Stefka uczuła skromną dumę.

— Nie tylko gadam, panie Romanie.

A pan Roman już tylko patrzył w Stefkę, jak w święty obraz

-- Odrodzenie narodu przez kobiety! Kobieto — wszak jesteś do dziś więcej szanowaną niż mężczyzna, więcej niezależną, niż on. Polska kobieto!... Wystaw tron, a na tronie w polskiej koronie posadź to dziewczątka, umiejące gadać o swej macierzy i z myślą o niej patenty zbierać!.. I począł szarpać Stefkę za rękę, mówiąc jej ustawicznie słowami z litanji.. co mu na myśl przyszło:

— Domie złoty... Arko przymierza... Wieżo z kości słoniowej.

Szarpał Stefkę za rękę, nie myśląc wcale, że to nieprzyzwoicie. I przestał dopiero, gdy dostrzegł, że Stefka filut nie broni mu ręki, ale się pod noskiem uśmiecha.

Tak było między nimi. Sędzia przerywał rozmowę, wplatając niezliczone uwagi, dotyczące rejentowej, re-jenta siedzącego na dwóch stołkach i wielu osobników miasteczka. Rejentowa w trwodze o piękny nos komisarza wykroczyła tyle, że pojedynku nie było, a cała sprawa poszła na sąd, te zaś wszystkie zabiegi rejentowej miały dla niej ten fatalny skutek, że rejentowa spuchła. A gdy Łacki z niedowierzaniem patrzył w sędziego, objaśnił go tenże, że nie fizycznie spuchła, ale moralnie, rozdawszy się w niemożliwy sposób. Każdy, kto o Łackim wspomniał, stawał się nieprzejednanym jej wrogiem, tak, iż w swych zapędach nieuszanowała najbliższych krewnych, bo siostrę z dziećmi prawie wyгнаła do miasta.

Okolo północy gość obejrzał się za czasem i pożegnał dom, uproszony do bywania, kiedy zechce, o każdej porze dnia.

Dopiero teraz mógł sobie zdać sprawę z wypadków dnia.

Trzeba szukać lokandy, rozejrzeć się za kopalnią, z której mogłyby czerpać złoto, choćby w postaci niklu i udawać personę na stanowisku.

„Obudziłeś się asystentem kliniki, ojciec marzy o twej profesurze na wszechnicy... wieczorem wolny, jak głodny pies, bezdomny, wałęsasz się po świecie! Znikome to losy człowieka, skoro osioł, który został

profesorem, w awanturach wywołanych przez wielkość małomiasteczkowe, dopatrywał się klęski dla nauki i ciężkiego wroga nauki! Ha!... stara to prawda. Lepiej mieć ze stu mądrymi do czynienia, niż z jednym głupim."

Łącki możeby sprkojnie odczuwał swe przymusowe położenie, gdyby go nie irytowało deklamacyjne wyrzucanie na bruk. o którym już nie raz słyszał, a dziś sprawdził to na własnej skórze.

I jak gdyby go biczem podcięto, nagle począł nabierać rozpędu i odwagi do puszczenia się w świat w imię obowiązków. Zmuszają do tego — myślał. Cofnąć się niema gdzie, a przyszłość może nie jest znów tak straszną, jeżeli żyją takie kobiety, jak Stefka i tacy ludzie, jak cały dom sędziego. Łącki zauważył nie po raz pierwszy, że ta dziewczyna, jak dobry genjusz, daje mu wiele siły i wiary. Ona jest jedyną, jedyną, jakby dla niego stworzoną, dla jego celów i pragnień. Atoli od kobiety żąda mężczyzna jeszcze czegoś. Świat nazywa to zmysłowością, aczkolwiek wie, że dla mężczyzny znaczy w pierwszym rzędzie „kobiecość“ kobiety, w dalszym zaś jej rozmaite mądrości. A Stefka czyni wrażenie kolegi, nie kobiety. I zjawiła się przed oczyma jego duszy powabna postać Heleny. Ach!.. Trzeba jechać w te bramy rajy Heleny, raz jeszcze się rozpatrzeć, a w danym razie plunąć na majątki, nadzieję skarbu narodowego, zostawić rozpoetyzowanego Kupidyna między trubadurami i pracując w imię obowiązku, pchać taczki życia.

Nie minęło dwóch dni, Łącki zjawił się u kolegi, aby się pożegnać przed odjazdem. Kolega, czyli Stefka przyjęła go z radością, pożegnała ze smutkiem. Cieszyła się, że zaprosi pana Romana na wycieczkę do Tęczynka,

tymczasem jak łza bolońska przysła bańka uciechy, nadziei szczęśliwych kilku chwil, o których bez ustanku roiła.

Nie będzie już wycieczki, bo jego nie będzie. Stefka niemal ze łzami w oczach opowiadała panu Romanowi swe szczęsne nadzieje, czem Łącki tak się wzruszył, iż obiecał natychmiast po przyjeździe zgłosić się do niej i niebytność sownie odplacić.

Słoneczniki roztoczyły swe korony w stronę, skąd największy żar płynął, gęstwy liści rdzewiały i żółkniały, mięszając czystość zieleni — a Helena, wiedziona artystycznymi zachciankami, miała na sobie rdzawozieloną suknię, a bluzkę jedwabną gorącej słonecznikowej barwy i w takim stroju oczekiwała grymaśnego kochanka. Była cicha i żałosna, jak zbliżająca się jesień, więc Łącki znalazł w niej tyle harmonji i piękna, że mu się omal w głowie nie zawróciło.

Pani Skarska była nieco sztywniejszą i mniej rozmowną, niż dawniej, za to obficie rozmawiała z dwiema kuzynkami w jej latach, goszczącemi obecnie we dworze. A, że jedna z nich była niebywałym smakoszem, podawano na stół takie smakołyki, że to zwróciło uwagę obojętnego w tych sprawach Łackiego, przypominając mu treny „wiktowe“ Dębowicza.

Miało to atoli poważną zaletę, mianowicie przypominając Dębowicza, przypominało mu zaklęcia i przyrzeczenie, wypowiedziane nad Wisłą u stóp ruin tyńskich.

Częściej więc niż kiedykolwiek, długie godziny spędzał z Heleną po szerokich ścieżkach ogrodu, a stąpając po strąconych już z drzew, zwiędłych liściach, tłumaczył Helenie znikomość lotnych uciech światowych.

— Uciecha — mówił — mieszka w sercu człowieka. Pani, czy mniemasz, iż zapomnisz o ruinach cyrku, o krwi chrześcijan, przelanej męczeńsko — jeśli masz serce?.. Masz-li serce i płaczesz krwi męczeńskiej, lub nad brzegiem zatoki neapolitańskiej zapomnisz fioleatów Wezuwiusza i bolejesz wzruszona widokiem nędznych żebraków jałmużny się domagających — dlaczego nie wracasz do kraju, gdzie tyle rozkoszy znajdzie twe serce, tyle łez do otarcia, tyle nędzy, bezradności, ciemnoty... Cóż ci z tamtych uciech, pani? Zmienna i nietrwała jest wszelaka uciecha na ziemi. Ale powiem pani o uciechach innych. Uciechy to wielkich rycerzy, wielkich bohaterów, albo świętych, uciechy nie tylko ziemskie, ale uciechy w grób towarzyszące, wieczyste. Uciechy te, to zdobywanie ideałów. Przemódmz smoka nędzy naszej, przejść szczęśliwie szereg warowni wrogów, zdobyć kilka dusz Polsce, do nieba narodowego przenieść kilka dusz zdrajców i odstępców — to nie tylko uciecha, ale zadowolenie, czoło czyste, wzrok śmiały, to szczyt szczytów ziemskiego szczęścia.

— To zimne, mnie w ostatnich czasach coraz zimniej — rzekła Helena.

— Ponieważ pani kochać nie umie...

Łąkiemu zawsze się wydawało, że przecież nawróci wynarodowioną Helenę.

— Co pan myśli? Czy wszyscy jedno i jednako kochać muszą? Jakby to wyglądało, gdyby wszystkie kobiety pokochały jednego mężczyznę? Pobiłyby się przy tym jednym, czy nie tak? — zapytała Helena.

— Tak. Jednakowoż istnienie ideału nie jest jednością, ono mieszka wszędzie, więc i w każdej osobie, w każdej rzeczy. Pani kocha po za mężczyzną wiele

rzeczy, sama o tem nie wiedząc. Przedewszystkiem Boga, potem poezję, potem marzenia o obcych szczęśliwych światach.

— Ależ nakazać, albo wmówić w siebie jakiejś szczególnej miłości nie można.

— Można — drogą podsuwania przed oczy duszy, wreszcie przez wychowanie. Mnie i pani wychowanie tego nie dało, wychowano nas jako Polaków złe, tak, jak to po większej części stwierdzam.

— O, niech pan tylko mamusi nie tyka.

— Mamusia, jakkolwiek na odmiennem stoi stanowisku, posiada mój niekłamany szacunek.

— Bardzo mię to cieszy.

— Owoż pani nie podsunęto ideałów, wszak pani żadnych nie posiada.

— Ja? — zdumiona spojrzała Helena.

— Nie jest to grzechem pani... Gdyby pani miała ideały chrześcijańskie, nie rwała by się pani do uciech motylego fruwaniania; gdyby pani miała ideały narodowe, nie marzyłaby pani o greckich ucztach, gdyby pani miała ideały ogólnoludzkie, szłabyś pani, gdzie łyż ludzkie i widziałybyś na świecie przewagę tak strasznych zbrodni i okropności, żeby ci się odechciało wina i wesołej pieśni. I jeśli chcesz pani prawdziwych uciech szukać, a jak widzę, pragniesz ich koniecznie, to ci drogę wskazuję. O uciechy trudno na ziemi, albowiem brzemień trosk i grzechów jest potężne — ale zapewniam — jedynie uciechy idealnej pracy mogą mieć istotną wartość, więc stać się uciechą...

— Być może, lecz od blasków i przepychu stworzenia trudno mi oczy odwrócić w stronę burz, przepaści i walk.

— Wierzę. Dla obcego ideałom, ideały się zawsze czernią smutkiem i żelazem. Atoli pokochać trzeba. Kto raz zdoła pokochać, już się nie odwróci, jak znudzony odwraca się od przydługiej już igraszki, zapijając ją winem i wódką, zmęczony odpoczywa i jedzie dalej czegoś szukać. Miłość ideału jest nieskończoną, najmocniejszą, najszcześniejszą

— Rozkaż pan, jeśli się to we mnie spełni, będziesz najpotężniejszym człowiekiem.

— Pani na zły drodze, nie z rozkazu się kocha, lecz z własnego popędu. To wszyscy wiemy. Dlatego szukaj ideału i patrz weni — w interesie gonitwy za szczęściem.

— Lecz, za czem pan goni, posiadając miłość ideału i tu do mnie przyjeżdżając? Pan robi wrażenie, że wciąż jeszcze goni.

— Nie, pani. Pani wydaje się, że gonię, tymczasem to ją panią ciągnę i ten ruch pani czuje, źle sobie zdając sprawę...

Godzinami tak rozprawiali mnąc chrześzczące liście padające na ścieżki. Łącki w pierwszych dniach o świecie nie myślał, dopiero, gdy minęły pierwsze wrażenia, powtórzył sobie kilkakrotnie hasło przedtem powzięte, że nie należy ukrywać przed Heleną żadnych celów ani w słowie, ani w czynie.

Aby się rozpatrzeć i jakiś czyn zapoczątkować, wybrał się do pobliskiego miasteczka aby śledzić jego żywot, skupiony w kilku urzędach, grupie mieszczan i gromadzie żydów.

Szukał koniecznie czegoś z materji spraw narodowych, powtarzając kilkakrotnie: jeśli mię Helena zechce

żołnierzem walczącym, to zgodzę się na nią bez wahania.

A dumał o niej bardzo często, przyznając jej wiele słuszności w umiłowaniu silnie drażniących powabów świata. Jużto bezwiednie ulegał temu samemu pociągowi, ponieważ szedł, jak do miodu ku wdziękowi i przepychowi panny, mimo, iż wszystko go od niej dzieliło. Uparcie chciał ją wznieść do ogromu swych ideałów i miewał chwile nadziei bardzo różowej w tym względzie.

Więc szukał czynu, zapominając, że nim o bruk ciśnięto y powodu polityki hofrata, że wpierw się musi ułokować i o żołądki pomyśleć.

Zaszedł do skromniutkiego „kasyna“ kilku urzędników, zastał typowy obraz galicyjski — pisma w nieładzie, pism nie wiele, brud i nieporządek i namiętą grę w karty. Zaszedł do burmistrza i z nim był na piwie u Abrahamka; nasłuchiwał się tam plotek i utyskiwań na biedę.

Wracając, narzekał płaczliwie: pustynia bez końca, morze, pustki, bezdeń nicości... co tu czynić?! Tu trzeba rok przesiedzieć, zanim się trafi okazyjka. Bodaj to Stefka. Ta mi zaraz wyszukała robotę... Stefka... a jednak jej wiele nie dostaje. Helena wie, co smakuje. Ona pierwsza do grzechu, Helenie tylko tyle nie dostaje, że niezdolna do czego innego... Wprawdzie to zbyt wielka chyba... lecz do djabła, dlaczego tak rozkosznie wygląda w barwach słonecznika i kusi, jak djablica... Ach!.. Gdyby duszę Stefki wlać w te piękne powłoki.. Ha! Lejmy duszę...

Po kilku dniach wyjechał znów na poszukiwania czynu. Ma już w miasteczku znajomych, więc gada żywiej i śmieiej I oto dowiaduje się, że tu właśnie się opróżnia posada lekarza miejskiego z powodu przenosin obecnego lekarza do miasta.

Mówią mu to ojcowie miasta ostrożnie, z grzecznościami, ukłonami i niespodziewanie na piwku u Abrahamka, pijąc zdrowie „pana konsyljarza dobrodzieja“, z oracją zapraszają go do objęcia tej posady.

Łącki ani wiedział, kiedy zgryzł serca ojców miasta drobnostką, że aż śmiech bierze powiedzieć. Oto fakt, że dzielił stół piwiany i rozmawiał z ojcami od hebla i dratwy bez żadnej wyniosłości, jak z równymi „rozebrał“ uczucia tychże doszczętnie. „Musi być nobel człowiek“ unoszono się nad nim prywatnie. „Takiego nam trzeba“, a burmistrz gardłował najwięcej, ponieważ z nim pan konsyljarz szedł przez rynek „pod rękę“.

O biedny kraju! Kraju odwiecznej przepaści między stanami!

Propozycja ojców miasta zaskoczyła Łąckiego niespodziewanie.

Nie mógł dać słowa, którego gwałtem domagali się ojcowie. Obiecał, że napewne za trzy dni odpowie, oni tymczasem ani pisną, o wolnej posadzie jakiemu innemu konsyljarzowi.

A myśl zaszczipiona odezwała się. I tak młody lekarz musiał się gdzieś usadowić, i tak już przedtem postanowił i szeroko o tem Stefce rozповідаł, że musi pójść w kraj, by w samem wnętrzu ognie rozpalać, budzić, organizować nowe zastępy narodu. Tu mu się

posada w ręce pchała, tu będzie bez przerwy na Helenę wpływał i najwymowniej, bo przed jej oczyma wykaże, czem jest i czego chce.

I bez wahania byłby przyjął posadę, gdyby nie wzgląd na wstyd rodziny Heleny. Było w tem i jego własnego trochę wstydu, wstyd mu było jako lekarzowi lichego miasteczka pokazać się w salonie złotego dworu i oczom wielbicielki ateńskiej cywilizacji.

Gdy zaś odczuwał, jaki ten wstyd jest dziwaczny i jak nie odpowiada jego zapatrywaniom, wzywał błagalnie Dębowicza, aby przyjechał z tęgim harapem i porządnie go obił.

Ciążyła tedy myśl w głowie zadzierzgnięta, tymczasem trzeba było pić nektar nadziei i ścigać wzrokiem rozkoszny kwiat słodczy ziemskiej w postaci Heleny.

Rozmaitości w domu Skarskiej nie zbywało. Wielu sąsiadów powróciło z wód przeważnie zagranicznych, acz byli i tacy, wychwalający swe cnoty z poczuciem spełnionego zaszczytnie obowiązku narodowego, którzy powrócili z Krynicy, lub Zakopanego. Toż goście byli codziennie.

Wujcio Korczak przywłókł się z Ems. Przywłókł się dlatego, iż każdym razem, z wód wracając, jechał rzemiennym dyszlem, w liczne miejscowości i kraje wstępując, aby, jak mawiał, z podróży skorzystać i przywieść do ojczyzny coś więcej, niż próżny worek.

Jak kurjer w następny dzień wpadł do swej siostry, pani Skarskiej, aby zbadać stan rany się jątrzącej, tak bowiem nazywał narzeczeństwo Heleny z doktorem i zaprosić rodzinę do siebie na uroczystość imienin.

W dyplomatycznej konferencji z panią Skarską naradzał się, co począć z tym fantem t. j. Łąckim. Zjazd sąsiadów będzie jak zwykle liczny, serce jego nie przeniosłoby, gdyby brakowało siostry z ukochanymi siostrzenicami, tu, jak Piłat w credo, włązi doktorzyna i wytwarza sytuację taką, że wypada go zaprosić. Lecz zaprosić, to publicznie udokumentować związek, prawie ślub dać, a pan Korczak łykając ślinkę cieszył się myślą, iż uda mu się temu wszystkiemu łeb skrócić. Pani Skarska po części przekonana przez Korczaka radziła na wszystkie sposoby, atoli wszystko to było próżne, ponieważ Helena kategorycznie zapowiedziała, że bez narzeczonego, nie ruszy się krokiem.

Nie było innego wyjścia, Łąckiego zaproszono, Helena radując się niezmiernie, ubrała się zupełnie ekscentrycznie, myśląc, że w innym otoczeniu zwróci na siebie nowe promienie oczu narzeczonego, nową podniętą go olśni i wreszcie uczyni go takim, jak chce i będzie bardzo szczęśliwą.

Ten stosunek wyglądał jako nieustająca wzajemna walka o wpływ i berło moralne. Obie strony walczące były silne, obie ożywione, obie dowodziły, że każde zjawisko życiowe czy żywiołowe na ziemi jest walką. Gdyby walki nie było, Helena nie posiadałaby indywidualności, nie pokochałaby ubogiego chłopca, nie żyłaby obecnie tak znamienne, byłaby już może znudzoną, albowiem natura jej wymagała ustawicznej podniety. Łącki zaś nieustannie walce zawdzięczał swą żywotność i w walce z Heleną był sobą, walka ta zaś o tyle była niebezpieczną, że w razie przegranej sprowadziłaby ruinę tego człowieka.

Dość, że spór o przewagę dyktował Łąckiemu coraz nowe rozumowania, a Helenie coraz nowe sposoby olśniewania. Dziś ubrała się we wspaniałą suknię barwy śmietankowej, naszywaną w modny haft „secesyjny“, przedstawiający paprocie. Było ich tylko kilka, prawie naturalnej wielkości, rzuconych bardzo umiejętnie po sukni. Włosy miała piękne, uwiła je w długie zwoje i żelazkami zapiekła tak, że Łąckiemu wydało się jakby po obu stronach jej głowy i twarzy zwisały paprocie.

U góry uczesania wpięła brylant wielkości grochu który przedstawiał legendowy kwiat paproci... wróżbę szczęścia i bogactwa.

Łącki to odczytał gładko i bez zajknięcia, Helena też była z tego bardzo zadowolona i mówiła:

— Obecnie muszę czynić wszystko na własną rękę, ponieważ nie mamy przyjaciół i wiele zwalczyć musimy.

Wiedziała już, o co chodzi matce i wujciewi Korczakowi. Doczekała się rozmów w tym kierunku, z zamilczeniem ze strony wuja sprawy ubóstwa i „niskiego“ stanu narzeczonego. Wierszowany list Łąckiego objaśnił ją do reszty, jednakowoż nie przeraziła się i nie ostygła, dowiedziawszy się przyczyny ujadania rodziny, tak sama nie uważała za zbrodnię samodzielne myśli Łąckiego. To jej stanowisko było owocem namiętnego rozcztywania się w poezji i tę rzeczywistość korzyść poezja jej przyniosła. Mało to było, Łąckiego wykształciła poezja zupełnie inaczej, ale stanowisko Heleny było znamienym zyskiem z poezji, gdy się uwzględni otoczenie, w jakim żyła i mur chiński form salonowych, który ją opasywał.

Już pierzchły jej złe przeczucia i trwogi przeważnie przez Dębowicza wyostrzone. Już nie lękała się nieszczęścia i nie żądała od Łackiego tłumaczeń. Wiedziała, kim jest „jej chłopiec“ podobał jej się ten rycerski animusz Łackiego i należało go tylko na inne drogi skierować, a miałyby męża, nie lalkę lub koniarza których nie znosiła.

W drodze do majątności Korczaka powiedziała narzeczonemu tak:

— Straszono mię pańskim rewolucjonizmem, brutalnością myśli, jak to nazwał wujcio Korczak. Tymczasem ja pana rozumiem i cieszę się pańską niecodzienną sferą myśli. To jest to, co lubię, tylko temat pańskiego życia mrozi mnie i nie przekonywa. Sam człowiek nie wykrzesze, wreszcie grzebanie w błocie ludzkim jest zajęciem tak nieartystycznym i tak niepięknem, że nigdy nie zgodziłabym się na takie smutne życie.

— Więc wszystkie moje tłumaczenia ideałów w las poszły?

— O! nie, jedynie do mnie nie trafiły.

Po tej jasnej spowiedzi Heleny, Łacki nie wiele mógł mówić. Słowa jej dowodziły, iż największa zaporą jak mniemał, bynajmniej nie jest zaporą we wzajemnem zbliżeniu się. Jedyną zaporą jest różnica dusz, a nie coś kastowego, lub frazesowego.

To jedno doskonale zrozumiał, że rodzina Heleny stanowiła obóz mu wrogi i że poniekąd przeciw rodzinie stała Helena.

Był prawie szczęśliwy, to też ciekawym sąsiadom przedstawił się tak, że czynił wrażenie swego, a nie intruza. Powszechnie rozpowiadano o jego związkach

rodziny, a znaleźli się tacy, co głośno winszowali pani Skarskiej w przytomności zirytowanego wuja Korczaka. Uczucie bliskiego szczęścia czyniło z Łąckiego żywy posąg dowcipu i wytworności — a wytworność, raczej zgrabne jego ruchy były zwykłym aktem gimnastycznym, tymczasem w tem towarzystwie czyniły wybitny „walor“. Tym sposobem słowa Heleny wypowiedziane w drodze, utrudniły pozycję i zamiary wujcia Korczaka wobec narzeczonych.

Pan Korczak miał obszerny i wzorowo utrzymany angielski ogród. Po sutym obiedzie, towarzystwo zachęczone przez gospodarza wyruszyło w ogród. Idą ulicą lipową, starą, przez praojców sadzoną i słyszą dźwięki skoczne, rubaszne, muzykę niby skrzypy i basy, niby dzikie brząkanie, bezładne a zamaszyste. Wytężono słuchy, w tym sztuką zdobnym ogrodzie muzyka coraz bliższa czyniła wrażenie dzikiego rumaka z rozwichrzoną grzywą pędzącego z rżeniem na przełaj przez kwietniki. Pan Korczak nieznacznie się uśmiechał i udawał tak samo, jak wszyscy, zaciekawionego.

Nagle, na skrócie ulicy, z poza grupy krzewów wyłania się orszak, skąd muzyka naprzód wybiegła. Rój barwnie przybranych dziewcząt niósł dary dla dziecka, zastęp wieśniaków odświętnie przybranych szedł za dziewczętami, przodem zaś muzyka chłopska i trzech chłopaków, niosących na wysokich tykach olbrzymie snopy kwiecica, związanego wstążkami wszystkich barw, jakie tylko były jaskrawe i wyraziste. Na twarzach wieśniaczych widać było ochotę, przeważały twarze młode, a wszystkie razem były ruchawe i śmiałe.

Łąckiemu, znanwcy i lekarzowi wydało się, iż chłopci podpili sobie trochę, jednakże pomyślał, że to niezawodnie przeciw tremie, spowodowanej uroczystością.

Kiedy orszak się zbliżył, gromki okrzyk rozparł się o korony starych drzew, z rozweselonych gęb wypadł okrzyk: „Nas pon dziedzie niech nom żyją!“ — i przy dźwiękach kapeli, krzykliwy, lecz pompatyczny śpiew choralny powitał uradowanego władcę tej wsi. Kapeluchy z głów spadły.

Władca wysunął się naprzód, raczej ustąpiono mu miejsca, wiedzano bowiem, że to uroczystość dla solenizanta. On stał dumny z przywiązania ludu, a chłopcy niosący snopy kwiatów na tykach, jak liktorowie, wzięli władcę między siebie, tak, że stał pośród kwiecica. Aliści śpiew umilkł, przebrzmiała kantata, skrycie dyrygowana przez nauczyciela, kryjącego się za chłopami, wówczas stary, siwy chłop wystąpił przed Korczaka i kłaniając się nisko, rzekł:

— Niech będzie pochwolony Jezus Krystus. Jasny panie dziedziu! My tu zgromadzeni, jedną dusą zespoleni, w dzień twego patrona przedkładamy serca łono i niosąc dary do pary — i z obory i stodoły, Panu Bogu oddajema i zycenio tu niesiema. Przyjm od ludu twojej włości zycenio wszej pomyślności: zdrowio, sećscio i wszyśkiego, co ci ino jest potrzeba i wznies okrzyk razem z nami — tyś najlepszy między panami! Zyj nom jak najdłuższe lata, a cała wieś będzie bogata! Wiwat, jasny pon dziedzie niech nom żyją!...

Muzyka uderza w rozwydrzone struny, dla efektu jeden z parobczaków wali pięścią w plecy basu, bas dudni, dwa kapeluchy lecą w górę, a cały orszak

wrzeszczy z zapalem, ile można wywnioskować, szczerym i nieklamany.

Teraz występują dziewczęta. Jest ich kilka, składają chleby serem nadziewane, masło na misce, snop pszenicy związany szkarłatną taśmą i pośród dźwięku namiętnej muzyki, pośród ogólnego śmiechu ludu i towarzystwa, wysuwają z ciżby orszaku ciele — prawdziwe i żywe, jak twierdziła rozentuzjasmowana jedna z pań. Ciele, zwyczajem swej rasy i wieku niechciało iść naprzód, ale sprawny w swym zawodzie jeden z parobczaków ujął je zręcznie u nasady ogona, pocisnął i działał tyle, iż zadario kopyta i wyrwawszy się wraz z postronkiem z rąk trzymających, wpadło między panie.

A Korczak uśmiechnięty podał rękę siwemu chłopskiemu mowcy i dał znak ręką, iż pragnie mówić. Uciszyło się, a dziedzic rzekł:

— Rozrzewnia mię wasze przywiązanie, mili ludzie, składane mi corocznie bardzo wymownie. Na szczere wasze życzenia odpowiadam wam równie szczerą podzięką i zapewnieniem, że chociaż dla nas wszystkich ciężkie czasy nastały, nie przestaniemy żyć w zgodzie i jedności, wieś — z dworem i kościołem i nie ulegniemy prądom, importowanym z zagranicy, dochowując wiary przodków i wzajemnej miłości. Jeszcze raz dziękuję wam z całego serca.

— Nos pon dziedzic niech zyją! Wiwat!... rozlegało się po ogródku, muzyka zadudniła basem, zaskowyczała skrzypkami, orszak, jakby wprawny i wyuczony począł zwracać się do odwrotu. Jeden z parobczaków wraz z dwiema dziewczętami zebrał dary u stóp solenizanta złożone, cieleciem już się przed chwilą zaopiekował i tak w ordynku cofnęli się wszyscy, wydając

radosne okrzyki przy nieustrudzonych wysiłkach muzykantów.

Na towarzystwie znać było wrażenie. Cieszono się niezwykajnym widokiem, malowniczością grupy, swobodą chłopów, unoszono się nad popularnością gospodarza i winszowano mu solidarności między wsią a dworem, którą usiłują zniszczyć rozmaici niesumienni i płatni agitatorowie rozstroju i przewrotu społecznego. Przypominano sobie szczegóły, a sielanka ta, przed chwilą widziana tak rozbawiła gości, taką pogodą ich natchnęła, iż rasowa polskość zapanowała na długie chwile, skupiając się w rozmowach o kraju, o narodzie, o polskiej pięknej ziemi, wreszcie o nowych prądach dybiących na zniszczenie jedynej polskiej własności w tych ciężkich czasach, zniszczenie tradycji.

Warchoł atoli wyodrębniał się debatami. Od razu tknęło coś Łackiego, a słowo „komedja“ piszczało mu w mózgu. Co było szczere, to się czuło nerwami, a przecież było tu coś sztucznego. Zapytał Helenę o zdanie, a ta mu powiedziała: „to mi się podobało, ale to widziałam już pięć razy u wujcia, więc i wrażenia nieuczyniło takiego, jak na widzach, nieznających tej uroczystości. Przytem, jedynie strona malarska była tu coś warta, wszystko inne było bardzo naiwną niezgrabnością“.

— A obłudy w tem nie było? — pytał Łacki.

— O, nie. Dwór polski nigdy chłopom krzywdy nie czynił.

— Tak jest. My wszyscy uczyniliśmy — powiedział narzeczony.

Mimo to Łacki nie mógł ukoić ciekawości. Koniecznie chciał poznać podstawy i sprężyny tej uroczystości,

lecz tylko dlatego, że widział w całym obchodzie za wiele sztuki i wyuczenia. Radby był, żeby to było wynikiem patrjarchji, ale ponieważ w to z góry nie wierzył, znając już wujcia Korczaka, przypuścił, że to wszystko było sztucznie urządzonym teatrem.

Przytem, ten cały wujcio Korczak przynosi wstyd stanowi polskiej inteligencji. On gada chłopom „o prądach importowanych“. O hołści! trzeba łkać językiem wierszopisów i trzeba donieść o tem posłowi Bojce, niech i on ma trochę z tej podniosłej uroczystości.

Lecz w jaki sposób dojsz sedna? Wynieść się na wieś niepodobna, oczy towarzystwa zwrócone są na młodą parę zanadto się nią zajmują, zresztą byłoby niegrzecznie panu Korczakowi w jego domu w drogę włączyć i żyjąc na jego „wikcie“, między lud wchodzić.

Tymczasem sposobność sama się nadarzyła. Z powodu zapowiedzianego balu rozdzieliło się wieczorem towarzystwo na drobiny, nawet atomy i z tego powodu Łącki na chwilę pozostał sam. Przechadzając się nad stawem obsiadłym setkami rasowych kaczek, spotkał jednego ze służących.

— Proszę mi powiedzieć, dokąd się udali ci chłopcy wieszający panu dziedzicowi? — zagaduje służącego.

— A... te chłopcy, prosze jaśnie pana? Oni są na folwarku, na poczęstunku. Tędy prosto za bramę wyjdzie jasny pan na gościniec i trafi na folwark.

— Dziękuję.

Jasny pan bez trudu dotarł do gościńca przez główną bramę. A że było jeszcze dość jasno, zwrócił uwagę na starodawną prześliczną bramę, zdobną w bogato rzeźbione urny i barokowe wrota żelazne, okazałe i drogocenne.

Łącki spostrzegł natychmiast, że ta brama nie odpowiadała domowi właściciela, wybudowanemu niedawno na nowy sposób; gdy się tak bramie przyglądał, do uszu jego dolatywały huczne tony rzępołów i radosne okrzyki! To zabawa ludu na folwarku dziedzica.

Zwolna tam poszedł, a skoro się, jako „jasny pan“ ukazał na placu przed kuchnią czeladnią, dwóch karbowników zastąpiło mu drogę i kłaniając się do kolan, zaprosiło w koło zabawy.

Tętniało tu ochotą i zapalem. Przez otwarte okna kuchni widać było beczkę piwa, jak smoka tryskającego pianą, olbrzymie gary jadały stały na kuchni. Rwetes i zabawa ogarnęła obozowisko hordy upojonej świetnym łupem. Było tu coś serdecznego i dzikiego zarazem, a po za malarskimi efektami, których się tylko dopatrzyła Helena, było tu wiele romantycznej gonitwy za szczęściem i ludzkiej żądzy użycia w przewalających się tanecznych parach Bartków i Marysiek.

Karbownicy prawdopodobnie w roli namiestników pana dziedzica usiłowali na krok nie odstąpić jasnego gościa i próżno Łącki używał sposobów wyzbycia się stróżów moralności i komisarzy pańskich. Chciał upatrzeć którego z mądrze wyglądających chłopów, dać się mu wygadać i wyciągnąć ze śledztwa upragnione wiadomości.

Tymczasem bitka wywiązująca się opodal, odwołała karbowników na inny posterunek, a Łącki złapał pierwszego z brzegu chłopca, przyglądającego się tańcom i pociągnął go na stronę.

— Co, zabawa ochotna? — zapytał chłopca.

— Hiii — machnął chłop ręką.

Jakto? Niepodoła się?

— Iiii.. albo to, prose pana, wszycko mo bawic? Co sie bawi i tańcuje, to dworskie. I to nie byłoby dworskie, ale pon dziedzic tylo zrobiuł, że niechcom dawać pasu nijak do Hameryki.

— Co gadacie? Przecież widziałem, z jaką radością winszowali panu dziedzicowi.

— Wisz pon lo cego?

— Powiedzcie, ale szczerą prawdę powiedzcie dam wam za to koronę.

— E... panie. Jo ta za piniądze nie godom! Jo nie dworski!

Łącki się zdumiał, chłop się obraził, a dowodem obrazy była chmura na jego czole. Wypadało go przeprosić. Ale uparty mazur, hardy mazur nie dał się udobruchać, chociaż Łącki zagadywał go na wszystkie sposoby. W końcu wydusił z niego tylko tyle:

— Jo ta nie godom ni źle ni dobrze, ino tyła wiem, że za piniądze to i cortowi chłop się zaprzedo.

Karbownicy już powrócili i jasnemu panu oddawali honory w dalszym ciągu.

— Co to za chłop? — zapytał, wskazawszy palcem tego, z którym mówił przed chwilą:

— To taki buntownik, prose łaski jasnego pana. On gado, że do gazetki to opise.

Sapienti sat. Zgryźliwy chłop gorszy się tem, że chłopcy za piniądze odgrywają akt miłości i wiernopoddania, że wypełniają akt obłudy, pochodzący je dynie z chciwości.

— Nie wiem, czego chce chłopski buntownik — myślał — lecz, gdyby mię zapytano o zdanie, rzekłbym, iż całymi dniami towarzyszyłbym uroczystościom chłopsko pańskim, gdyby one były wyrazem dobrowolnej

ochoty, lub wyrazem wspólnego życia... atoli rozgoniłbym w tej chwili taką bandę najętą, za gwałt przeciwko moralności, a płacącego aranżera oprawiłbym w ramki i wystawił na pokaz w muzeum osobliwości...

Dusza Łąckiego miała pewną przywarę, przeszkadzającą mu zawsze i we wszystkim. Była to miłość ojczyzny. Nikt inny nie prosił go o mieszanie się w dzieje ludzi obcych i nikt inny nie wlewał mu w duszę tyle cierpkiego smutku, ile on doznawał, coraz szczerzej i praktyczniej patrząc w społeczeństwo.

Smutny wyszedł z koła muzyki i zabawy. Było mu duszno, krzyki Bartków, chwytających w pół dziecko wydały mu się sztuczne, tak, jakby jasny pan dziedzic siedział na dachu i zapisywał na białej kartce tego, kto głośniej ryczy.

W salonie urządzonym do tańców, wśród setek świec, w zapachu rozpylonych perfum — było mu znownie, ponieważ wszystkie te wonie i żyjące tu dusze pełne wzlotów i subtelności, były mu obojętne.

Rozpromieniony gospodarz oczekiwał już gości. Łącki, który umyślnie w tym celu kazał sobie przysłać frak z Krakowa, przerzucił się szybko z ubrania w ubranie i jeden z pierwszych stanął w salonie.

— Co za brama — co za pierwszorzędna pamiątka po ojcach — pan powinien z pietyzmem przechowywać te szczątki kontuszowej przeszłości — mówił Łącki do pana Korczaka, przypominając starą bramę.

Korczak zdumiony spoglądał na mizeraka, z grzeszności pochwalił umiłowanie dla pamiątek, wygadał się, że bramę tę postawił pra-pradziad przodek w roku 1745, ucieszył się głośno, że szlacheckie dziecko tak się

poznało na wartości bramy, którą „jakieś tam fotografowały“, zakończył jednak stanowczem oznajmieniem, że jako zwolennik i szermierz harmonji, na rok przyszły bramę rozburzy i postawi odpowiadającą strukturze pałacyku.

Łącki omal się nie rzucił, jak żbik do oczu gospodarza. Pobiegł na skargę do Heleny, już ubranej w białą suknię, w srebrne greckie hafty. Helenę nadspodziewanie zajęła sprawa bramy. Łącki nabrał otuchy i do kolacji agitując po salonie, zebrał grono konserwatorskie, składające się z czterech pań i jednego pana.

Zacierał ręce i rozdąsany mówił do Heleny:

— Nie damy zburzyć pamiątki, choćby się wujcio na głowie postawił. Nie dam, chociaż to jego obowiązek strzeżenia tradycji i zabytków — ja się w to wmięszam, choćbym z toporem w ręku miał stanąć w obronie zabytku! Aa... rozsierdziłem się i nie ustąpię! Czy chłop, lub skryba ma bronić pamiątki od zniszczenia?...

VIII.

Po trzech dniach trzeba odpowiedzieć panu burmistrzowi, czy się posadę przyjmie, czy nie. Bez brzęczącej podstawy nie można marzyć o zaścieniu zawodowych kolegów i ulokowaniu się przy ich konkurencji w większem mieście. Wszystko się składa tak, że trzeba przyjąć ofiarowaną godność. Wprawdzie ojciec pisze odwrotną pocztą, że głupstwo uczynić nie sztuka, byle kto to potrafi, że, chyba coś do głowy strzeliło, osiadać na partykularzu, mając w kieszeni ślub z bogatą panną i nadzieje na klinice krakowskiej. Lecz niechże so-

bie pisze, ojciec nie wie o nagonce z rynku wielkich nadziei i o policyjnych zdolnościach męża nauki, ojciec nie wie o stosunku z bogatą panną, chwiejącym się za byle podmuchem i wreszcie dawszy życie, nie daje nic na życie.

A stanowisko na błocie miasteczkowem, w sąsiedztwie pejsatych żydów, z widokiem na rozsiadłe wioski nęcić nie przestaje. Tu bowiem gleba do obsiewania i uprawy, tu nieprzebrana skarbnica pracy cichej a najpotężniejszej.

Przyjąć — nie przyjąć... Para — nie para... Cyt — czy lichy... Helena — czy Stefka?.. Łącki stanął w miejscu i dziwił się, że sam sprzągnął imiona dwóch kobiet, jakkolwiek o drugiej nie pomyślał nigdy szczerze.

— Dziwnie mi się wygadało — myślał — muszę być dobrze poirytowany, skoro już przestałem być panem własnej gęby... Wszak bez myśli powiedziałem, więc gęba wywlokła ze mnie coś ukrytego, o czem błyskawica myśli nie miała pojęcia... cha... cha... cha... — tak gadając, śmiał się do siebie i powtarzał głośno zwyczajem bardzo zdenerwowanych ludzi. Helena, czy Stefka... Helena, czy Stefka...

Po raz pierwszy jał się głębiej zastanawiać nad stosunkiem obu kobiet do siebie.

Utonął w zadumie. Nagle porwał się i wybiegł w pola. Jakiś ciężar obarczył mu sumienie, w przestrzeni toczących się gorących dla niego dni, dostrzegł czarny punkt rosnący w czarną postać, złamaną bólem, załzawioną, mającą cichą, dobrą twarz, do twarzy Stefki podobną.

Stefka poczęła się pytać smętnemi oczyma, po co do Heleny jeździł i chodził, poco jej mówił tyle słicznych

rzeczy i poco odsłonił jej życie pełne, to życie duszy.

Rzecz oczywista, że Łącki nie rozumiał lamentów Stefki, ponieważ cały lament był tylko jego niewyraźnym przeczuciem. Coś go szarpało wyrzutami i nagle zaniepokoiło, głównie z tego powodu, że jeździł do niej i chadzał z nią godzinami, że odsłonił jej rąbki wszystkich swych wewnętrznych skrytych myśli, a zamilczał o fakcie, który zwykle z najtkliwszej kobiety, z najrozkoszniejszej towarzyski, czyni głaz, w ślup milczenia się zamieniający. Zamilczał o swem narzeczeństwie! To wydało mu się nagle zbrodnią. Uczuł wstyd, rumieńce go paliły i tak mu było cierpko, jak gdyby gorycz przełknął

— Tam, u sędziów, Bóg wie, co sobie przepowiadają, jakie plany roją — myślał — zapraszają mnie tak gościnnie, wywnętrzają się..

Zadumał się, a myśli jego szły, jak ciężkie, białe obłoczyska, ciężkie zbitymi kłębami, a przecież białe, wolno płynące po błękiecie. Przypomniał sobie wyraźnie wymowny wzrok sędziego, łzawiący się na widok ich młodych, przechadzających się po ścieżkach pani rejentowej, albo też siedzących obok siebie. Przypomniał sobie nieopisane przerażenie Stefki, kiedy podczas ostatniej bytności rzekł, iż na wieś wyjeżdża, a Stefka właśnie miała go prosić na wycieczkę. Tak samo żywo stanęły mu w pamięci jego własne słowa do sędziny, wypowiedziane z ogromnym szacunkiem, że jej dom ma o jednego przyjaciela więcej na zawsze i ta najserdeczniejsza uciecha, jaka powstała w rodzinie po tych jego słowach. Myśląc o tem, podobnie jak wtedy, pod wrażeniem chwili zapłonął uczuciem szacunku i sym-

patji dla wzorowego ogniska sędziego, więc tem smutniej mu było, tem surowsze czynił sobie wyrzuty na wspomnienie, iż dom sędziów do jego osoby przywiązuje jakieś nadzieje, on tymczasem oszukuje i swem oszustwem nie tylko znieważa go, ale może się stać przyczyną nieszczęścia, a przynajmniej ciężkich terminów dla Stefki.

Coraz jaśniej rozumiał, że powinien był z kopyta powiedzieć o swem narzeczeństwie, wtedy ta nie cieniuchna, splatająca go ze Stefką, urwałaby się sama przez się, a on nie cierpiałby gorzkich wyrzutów, nie byłaby mu tak cierpką godzina porachunku.

Ale człowiek posiada w swem wnętrzu nieocenioną kryjówkę szczęścia, mniej lub więcej rozwiniętą i dzierży ją, jako jeden z najhojniejszych darów Bożych. Darem. Bożym, siedzącym w tej kryjówce, jest sumienie gibkie i elastyczne. Ile zbrodni, grzechów i świństw popełniła ludzkość, dzięki elastyczności sumienia, zliczyć niepodobna. Tak samo nie można policzyć, ile szczęścia dały ludziom te zbrodnie i świństwa, dzięki tej okoliczności, że elastyczne sumienie naciąga się zawsze ku zachciankom danego człowieka, umiając w sposób adwokacki z czarnego zrobić białe i wykręcić na swoje. Łącki więc znalazł obrońcę w swem sumieniu i rzekł do siebie:

— Jam do sędziów nie laź! Znałem ich, to prawda, ale tak się zna tysiące ludzi, bez żadnych zobowiązań i pretensji. Czym winien, że los mię zderzył ze sędzią w chwili, kiedy on się na urlop wybierał? Czym pchał się do ich domu? To się gładko gada, ale wywinąć się z objęć tak serdecznych, to trzeba być kamieniem, nie człowiekiem. Powiniennem był powiedzieć,

wspomnieć słówkiem o narzeczeństwie — ale czy to warto gadać o *takiem* narzeczeństwie? Dziś zimne, jutro ciepłe, a nigdy gorące. Czy raz jeden pocałowałem Helenę? Do diabła takie narzeczeństwo!.. Ono mię więcej zdrowia kosztuje, niż pociechy daje!.. Czym Stefce powiedział choćby raz cośkolwiek, coby ją upoważniało do rojenia jakich nadziei? Obie są w jednakim stosunku względem mnie i odemnie zależy, w którą stronę się zwrócę. Obie są narzeczone, ani tej, ani tamtej nie całowałem, żadnej nie powiedziałem, że absolutnie wezmę ją za żonę. Tej i tamtej mówiłem słodkie słówka z wdzięczności za to, co one mi dawały.

Zrzywał się, szedł drogą, jak wichher, smuga pyłu szła za nim. Niechcąc przypisać sobie winy, iż zamilczał o narzeczeństwie, gniewał się na stosunki, był silnie podniecony ustawicznie martwiącym go przypuszczeniem, że Stefkę zatrul miłością nieodwzajemnioną, że z jego przyczyny może będzie kiedyś płakać i młodość wypłacze.

— Napiszę list do sędziego, napiszę, żem osioł wierutny, że zapomniałem powiedzieć o drobnostce, która go przecież interesować nie powinna, bo, co komu do tego, czy się jest narzeczonem, czy nie jest? Czy inaczej dajesz, sędzio, kawałek mięsa gościowi nienarzeczonemu, inaczej narzeczonemu? Ależ, sędzio, bądźmy ludźmi bezstronnymi, nie powodujmy się koteryjkami i prywatnymi stosunkami naszych gości. To mi się nazywa gościnnością, wszystko inne wyrachowanie i interes. Tak mu wygryzmolę!

Zwolna się pętał rosnącą irytacją, aczkolwiek czuł, że wali frazesami, jak obuchem. Gdy się skończyły argumentacje sumieniowe, zajęł ich miejsce żal ścisła-

jący, że mógł tej perle polskiej niezmazaną krzywdę wyrządzić, on .. polak i stróż, pies polski...

Wreszcie przybłądziła myśl, że wszystkie jego troski mogą być prochem i niczem. Co za natrętne przypuszczenie, że Stefka się w nim rozkochała?

Więc znów przeżuwał w wyobraźni wszystkie momenty chwil ze Stefką spędzonych, lecz powtórnie doszedł do wniosku, że Stefka wyróżniła go nad innych. Oczy turkusowe odzwierciedliły mu całe kręgi błękitów, po których by było lekko i rozkosznie żeglować. I jak zwykle zaborców serc niewieścich, ucieszyło go prawie pewne twierdzenie, że z kobietami idzie mu jak z płatką, że i Stefkę zdobył bez wysiłku. Więc znów niepokój! A tak to naprzemian w nim kotłowało, że zmęczył się gonitwą myśli i nakoniec usiadł przy drodze pod rosochatą wierzbą na wzgórk, skąd było widać miasteczko i niewiedząc gdzie prawda, jęczał, oczy przecierał, głowę zwracał we wszystkie strony, jak człowiek nieporadny i niemający celu.

Ale matka przyroda ukoiliła go na swem łonie; Łącki siedząc na wzgórk pod wierzbą, z coraz większym zadowoleniem wpatrywał się w obraz Stefki, wywołany mocą wyobraźni. Podniecało jego męską próżność, że te prześliczne polskie oczy długo się w niego wpatrywały, przytem zauważył, że o Stefce myśli zawsze spokojniej i jakoś zdrowiej, aczkolwiek myśli o niej jawiły się nie często i wkrótce ustępowały drażniącym fantazjom o Helenie. I teraz by tak było, gdyby przed oczyma nie widział czarnej mgły, przedstawiającej w jego wyobraźni zbrodnię zamilczenia i oszustwa względem ubogiej dziewczyny.

— Jakże mogłem dopuścić się czegoś podobnego!
— szeptał, bijąc się ręką w czoło. Uczuł, że trzeba zważać na najmniejszy ruch, ponieważ najdrobniejszym drgnięciem można zwalić drugiego w przepaść. — Czyż mi przez myśl przeszło, że do rozmiarów zbrodni doprowadzić może niewinne ukrycie zwykłego faktu? Ha — nie zdałem sobie sprawy, że jadę między panny, że ciągną mię oburącz, że mogą mieć jakieś zamiary. A trzeba było powiedzieć.

Uświadomił sobie, że jedno bezmyślne wymówienie obu imion, spowodowało u niego wybuch silniejszy nad wszelkie przewidywania, wyrwało z tajników jego duszy chmary drzemiących uczuć, któreby bez wywołania i przypadku, mogły drzemać czas niejaki, wreszcie uschnąć. Tymczasem wydobyły się nieświadome zasoby wrażeń, złożonych w duszę promiennymi oczyma Stefki. Rzeźko powstały ze snu i kołysały się swobodnie, a wiosniane. Lekko już było siedzieć Łąckiemu na wzgórzu pod rosochatą wierzbą, skąd miasteczko blaszanymi dachy świeciło na szmacie kraju, porośłym rdzawo-zieloną i zlekka wędnącą powłoką.

Oczy Stefki przebaczenie stały za ciężką zbrodnię, atoli pod warunkiem, że w ich blasku utonie Łącki na zawsze. I po pewnym czasie czarne mgły zaróżowiły lub się rozplynęły, a Łącki z otuchą za przewodem turkusowych oczu szedł ku miasteczku do pana burmistrza.

— Kiedym tu zaszedł, zajdę i do jego domu — pomyślał.

Burmistrz był w domu, spędzając pożytecznie czas w swej „fabryce maszyn rolniczych“, bo tak to objaśniał

brudny i zdrapany napis nad pracownią. Wchodząc. Łącki się zastanowił, dlaczego zwykłej kuźni i ślusarni nadano taki pretensjonalny tytuł, zapytał burmistrza o to, czy przypadkiem nie opłaca większych podatków za wiele mówiącą firmę?

— Podatków i tak dość płacę, panie konsyljarzu dobrodzieju — odparł pan burmistrz — U nas wielkich fabryk niema, io też w „sztajeramcie“ nikt się tem nie zajmuje, a zresztom, co się należy, to się należy. Co to jest fabryka? A no to, co *fest* idzie, każdy interes, co ma dobrego majstra, to już fabryka, panie konsyljarzu dobrodzieju. Potem, panie, to piękniej wygląda, że się jest, panie konsyljarzu majstrem we własnej fabryce. Jabym w kuźni może i nie robił, we fabryce to mi lżej pracować. A i to ważne. My, panie konsyljarzu u nas, jak lalki na sznurku. Kiedy ją ulepią, to ci skacze tak, jaką ma w środku maszynę. Panowie o fabryki się nie postarali, a koniecznie chcą mieć wszystko we fabryce zrobione, panie konsyljarzu dobrodzieju. Ja tam bywałem po świecie i nauczyłem się niejednego, wiem, co jak się robi i nie pozwolę byle komu co gadać — dlatego też zgłaszałem się po dworach, po plebanjach po naprawki. Wie pan konsyljarz dobrodzieju, jak to idzie. To Wojtek siewnik zrychtuje, to Kaśka *centryfugę* rozwali, ale do Jamrugiewiczza ślusarza dać do naprawy... ho, hebesom dawać, niedoczekanie ich, gadali. No i wszystko wio do miasta, do żydowskiej fuszerki. Ha, ale Jamrugiewicz burmistrzem nie został za głupotę, panie konsyljarzu dobrodzieju. Do głowy po rozum i walę szyld panie: „fabryka“! Czy uwierzysz pan, panie konsyljarzu, że po kilku miesiącach wszystko do mnie się pchało? I było dobrze, bo we fabryce mu zrychtowali. Cha..

cha... cha... lalki panie ponakręcane. U nas, panie, wie-
rzy się fanfaronom, a nie rzetelnej firmie, panie kon-
syljarzu dobrodzieju...

Z powodu tych politycznych wywodów wesoło
było w kuźni, bo Łącki śmiał się serdecznie, burmistrz
mu wtórował, a czeladź czyhająca na dobry humor
pana naczelnika (tak majstra mianowano) brudnymi
rękami ocierała oczadzoną twarz, zażawioną od śmiechu.

Gość szanowny oderwał burmistrza od pracy. Po-
proszony do pokoju, przywitany głosem kukułki, obwiesz-
czającej godziny z szwajcarskiego zegara, usiadł na ka-
napie i wkrótce poznał naczelnikową i burmistrzową
w jednej osobie, dwie córki państwa naczelników i bur-
mistrzów w jednej osobie, kanarka, pieska, wreszcie
pośród ożywionej rozmowy o jubileuszu papieskim i wy-
gadywaniu na arystokrację t. j. na panie urzędniczki,
doczekał się cykorji zaprawionej śmietanką i kawą.
Panny były skromne i siedziały w kącie, zaś pani bur-
mistrzowa gadała obficie i pytała gościa, czyby drugiej
szklanki kawy nie pozwolił z powodu, że ją stać może
i na więcej, niż aptekarzową i radcową, następnie z po-
wodu ustalonej renomy, jaką jej kawa posiada.

Gadu, gadu, czas odpowiedzieć panu burmistrzowi,
ponieważ dopytuje się, co będzie z posadą.

Jakież klaśniecie w rączki się odezwało, jakież a...
o... a... z usteczek burmistrzowej i córek, kiedy Łącki
oznajmił, że posadę przyjąłby chętnie i że w tych dniach
wniesie podanie do urzędu gminnego, zwanego ma-
gistratem!...

Burmistrz palnął z dubeltówki w policzki doktora.

— Majątków pan konsyljarz dobrodziej nie złoży,
ale wygodnie żyć będzie można — postawił kwestję jasno-

— Majątku i w Krakowie nie złożę, niemam do tego usposobienia — odpowiedział Łącki.

Że już dość późno było, Łącki na inne czasy odłożył przyjemność pogadania u Abrahamka, dziś chciał już wracać do domu.

Z żalem domowych opuścił gniazdo burmistrza. Ciemniało, gdy dochodził do dworu Skarskiej, a przez drogę potykał się często o grudy ziemi i kamienie, bo pełną zadumy duszą błędził kiedyś po przyszłości, niezwracając uwagi, na grymasy polnej drożyny, skracającej podróż o połowę. Szedł zgarbiony, czując brzemię jakiegoś ciężaru. Stało się to, co mu oręż wetknie do ręki, co mu da władzę życia obywatelskiego, uczyni zeń żołnierza na posterunku, stanowisko jego zmieni od podstawy. Szybkie uderzenia serca i oddech przyspieszony, rozrzucanie rękami, były widomymi znakami wewnętrznych, zlewających się fal myśli, podobnych do bryzgających pianą nawałów potężnych wód, podobnych do szumu boru, stawiającego czoło wichrom. Stało się to, co było zwycięstwem jego zamiarów, rozwiniętych w jasny program w ciągu ostatnich miesięcy! Dlaczego atoli rzucenie kości i podjęcie faktu zrodzonego w nim samym, miast radości i wesela, przytłoczyło go ciężką troską i obawą niemal niekzemną na wspomnienie, że o tem trzeba powiedzieć Helenie i jej matce? — Czy co złego popełnił? Dlaczego, jak złodziej, skrada się do dworu owitego koroną lip i topól, wolne czasy pamiętających? Dlaczego przystaje opodal dworskiej drogi i głębokiem westchnieniem nabiera chłodnego wieczornego powietrza. aby uwolnić się od dusznicy, napadającej go w tej chwili?

Wstydił się, nie chciało mu się wejść do ogrodu, czuł ten wstyd opaczny i wiedział, że jest małym, jak pyłek, że opuszcza go niedawna duma polskiego żołnierza. Czoła podnieść nie śmie, niema siły wydrwić siebie, wstyd zdławić, jak pętającego upiora. Wspomniat Stefkę. I czuł doskonale, że wstępując w jej progi szedłby pewnie, z nadzieją jej radości, iż postąpił tak, jak to za dawnych czasów postępowano. iż wstąpił w szereg polskiego wojska i wyznaczył sobie posterunek. Po raz pierwszy uczuł nierównie potężniejszą wartość Stefki, a niższość Heleny i może żałował, ale bez słów, bez świadomości, że nie miał siły i mocy pożegnać tej rozpoetyzowanej wyznawczyni lutni i życzyć jej wędrowki po różach i niebie, ale... z kim innym.

Mimo wszystko, jak cieleń na zarżnięcie, wszedł nakoniec w odrzwia dworu. We dworze był ruch, bo, gdzie tylko się zjawił pan Korczak, przybywało energii ruchów, tak bowiem pan Korczak umiał działać na otoczenie, sam zachowując powagę iście senatorską. A właśnie dziś przyjechał pan Korczak z innym panem i od godziny konferował z panią Skarską.

Helena czekała Łąckiego. Łącki zbladł na widok wspaniałej dziewczyny i chociaż zwykle na widok jej rezygnował ze wszystkiego, drżeniem się przejmował, patrząc w jej olimpijskie wdzięki dziś hamował swe popędy i zamykał oczy, by stojąc przed Heleną, nie zgubić siły woli i wykrztusić ze siebie zeznanie, iż postanowił osiąść w pobliskim miasteczku. Tak to stał pod pręgierzem konieczności, bo ponad wszystko uznawał obowiązek honoru, obowiązek obwieszczenia. uznawał tem silniej, iż najgłupiej w świecie niedawno temu zamilczał wobec sędziów o narzeczeństwie i wymartwił

się już tem bardzo dotkliwie. Zamykał przeto oczy, ponieważ sądził, że głódziej się wypowie, niewidząc kuszającej go Heleny. Tymczasem w pokoju przy lampach i świecach mówić nie mógł, więc kręcąc się z Heleną po pokojach i kanapkach, zaproponował, czyby nie zeszli do parku. Łącki, znając dokładnie sferę tego towarzystwa, tak doskonale wiedział, że dzisiejsze jego słowa wywołają przewrót w rodzinie, podobny do działania dynamitu, że mógł odczuwać te wszystkie tremy, mógł poszukiwać najsposobniejszych okoliczności do wypowiedzenia swych rewolucyjnych postanowień.

Helena na wszystkie drobne sprawy zawsze się zgadzała, tem się różniła od tysiąca kobiet i w tem tkwiło wiele wpływu, jaki wywierała na Łąckiego. Ponieważ wieczory były już chłodne, ubrała się w zarzutkę, na głowę rzuciła jedwabną zwieszistą koronkową chusteczkę i wyszła z młodzieńcem w noc ciemną do ogrodu. Nie przeczuwając ważności chwili, rada była tej wieczornej wycieczce bez opowiedzenia się starszym.

— Proszę pani, istnieją w życiu konieczności, które z nas czynią niewolników — rzekł Łącki po milczeniu.

— Być może, nierozumiem się na tem — odparła Helena. — Wie pan co? Przedstawmy sobie, że nas w puszczy noc napadła, więc rozpalimy ognisko nad stawem. Dobrze? Będziemy się bali zbójców, weźmiemy tyki od ogrodnika, ja siądę przy ognisku i będę udawała że gotuję posiłek, pan z tyką jak ze spisą, będzie strzegł swego skarbu. Dobrze?

— O tem samem chciałem z panią mówić. Noc mię w ojczyźnie napadła, dawno minął jej dzień...

— Eh... panie... wracam natychmiast! Albo mówmy o czemś przyjemnem, albo wracajmy!

Łącki pałał żądzą spełnienia obowiązku, tak silnie odczuwał jakiś wyższy rozkaz, że w tej chwili istniał pod wpływem nieznanego wodza, a Heleny prawie nie widział. I po raz pierwszy, w tej chwili, stała mu się Helena obojętną tak dalece, że zezłościł się na nią.

— Proszę pani, na marne zabawki dość pani znajdzie w życiu czasu. Ja umyślnie panią do ogrodu poprosiłem, aby swobodnie pomówić. Mam bardzo ważne sprawy na względzie.

Panie Romanie, ależ pan innych spraw zupełnie nie zna! Czyśmy się kiedy naprzykład bawili wesoło, naprawdę wesoło? — mówiła Helena głosem przypominającym skargę.

— Tłumaczyłem pani szeroko, że tylko wyznawcy ideałów mogą doznawać szczęścia i o szczęściu chcą mówić. Co to wesołość? Wesołość to próchno, nicość, tej szukać nie trzeba, sama płynie, skoro stosunki sprzyjają. Zbrodniarz może być wesołym, szczęśliwiec smutnym, więc pani domaganie się ustawicznej wesołości jest zabawką zupełnie płytką, to piana na piwie, niedowodząca żadnej ideowej myśli u pani. Pani nie rozumie faktu, że istotnie bardzo często domagam się rozmowy poważnej. Ten fakt jest następstwem nierównowagi. Ponieważ pani za mało mówi i myśli o czemś wyższem nad gonitwę użycia, dla tej prostej przyczyny tem częściej potracam o struny ideałów, aby przynajmniej tak wypełnić tę niezajętą pustkę między nami!

Helena przerażona słuchała słów buchających nieumiarkowanie z ust Łąckiego.

— A.. czyż w istocie tyle pustki między nami? O, niemów pan tak. Ja tej pustki nigdy nie czułam, to niepojęte dla mnie spostrzeżenie, to zimne dla mnie, jak słup żelazny.

— Zimno pani w mem towarzystwie? — miękko rzekł Łącki.

— Wtedy, kiedy pan tak mówi.

— A w innych chwilach?

— A... niekiedy bardzo, bardzo ponętna przyszłość mi się przedstawia.

— I nigdy nie lęka się pani ciężkiej ręki losu?

— Ufam pańskim nieklamanyim przymiotom, a lękam się tylko wówczas, kiedy pan pod osłoną narodowych hasła każe mi być albo zakonnicą, albo robotnicą, albo służącą rzekomo biednego kraju.

— To, że mię pani ani razu nie zrozumiała, to beznadziejnie smutne...

— Nikt pana zrozumieć nie może.

— Ha.. tak nie jest!

— Słowa rozumiem, lecz pańskie idee są mi nie tylko obce, ale surowe, jak religja średniowieczna.

— Myli się pani, ja goręję temi ideami za przykładem naszych wieszczów, naszych uczczonych spieżem bohaterów.

— To byli inni ludzie. Pan jesteś potężny, to czuję, ale potężny jak granitowe skały.

— Toż nie trafia pani do serca, że chcę maluczkim rozniecić znicza ojczystego?

— Być może, że to wzniosłe, powinno być wzniosłe...

— Jest wzniosłe — mówił Łacki, zaciągając się w słowach — zdolne pociągnąć aż do zaparcia się, do ofiary dobrowolnej, o której chcę pani powiedzieć...

A Helena próbowała odwrócić myśli.

— Widzi pan to oko, iskrzące się pośród konarów drzewa?

— Gdzie?..

Uchwyciła go za rękę i zwróciła w stronę czerni, gdzie w istocie w pewnym punkcie coś błyszczało. Łackiemu zrobiło się ciepło, gdy uczuł rękę dziewczyny ściskającą jego rękę. Ale i w ciemności oczy zamykał bardzo silnie.

— Zapewne między drzewami widać światło chaty wiejskiej?

— O nie — odparła — to gwiazda, do której mam całe życie dążyć. Dokoła ciemnia życia, pełna zagadek, brudnego ścierania się spraw codziennych, wszystko czarne, ponure... a gwiazda świeci i ja, mimo czarne troski życia, chcę płynąć ku tej gwieździe...

— A ja w tej ciemności chcę ognia krzesać, aby zapalić pochodnię i rozświecić ciemności. Co pożyteczniejsze dla ludzkości?

— Co mi tam ludzkość. O niej będą mi artyści donosili.

— Ja sam będę artystą i oddam ostatnią koszulę dla mej sztuki. Kiedyś... niebawem... zamieszkać krainy cieniów, skleczę sobie budkę małą, chleb razowy jeść będę, gdy lepszego nie zdobędę, a będę zapalał pochodnie...

— Pan do wszystkich dziwactw gotowy.

— Już jedno popełniłem dzisiaj... aby... aby uczynić zadość zasadom mego artyzmu i być bliżej pani...

— Zagadkowo pan mówi...

— To prosta rzecz. Zamieszkam...

— Gdzie, gdzie? — pytała dziewczyna, ściskając rękę młodzieńca.

— Przy pani, tu w sąsiedztwie, w miasteczku, jako lekarz miejski dla chleba, a żołnierz dla Polski...

Szeroki śmiech był odpowiedzią, wybiegł tak niespodziewanie z usteczek, że szorstko rozdarł ciszę czerni, jakkolwiek był śpiewny. Niewiele obeszło to Łackiego i zapytał o powód śmiechu.

— Pan bawisz się tak okrutnie, mnie zaś bronisz wesołości!

— Pani nazywa to zabawą? To beznadziejnie smutne...

— Więc pan rzeczywiście mieszczaninem się czynisz?

— Rzeczywiście.

— Ja niepozwalam! — dumnie odparła.

— Są rzeczy, które można nakazać, lecz zabronić ich nie można. To jest nieodwołalne postanowienie, na które pani musi się zgodzić!

Milczenie. Łacki już powiedział i więcej powiedzieć nie potrzebował. Helena jeszcze nie odpowiedziała. Szli w milczeniu, Łackiemu zdawało się, jakby się kamień stoczył w przepaść, Helenę ścisnęło coś w gardle, słowa przemówić niezdolna, wiedziała, że Łacki brnie i brnie w swej utopji i okazuje upór zawzięty. Namawiać go do zmiany frontu? To naiwne, to bardzo naiwne. Cóż więc odpowiedzieć. Nic. To sięga w głąb ducha, to rozbija ułożoną mozaikę ukochanej pieśni, to targa młode skrzydła, dotąd swawolne, wiośniane, motyle, to ogromnie szarpie, niszczy, druzgoce i nagle

podniosła ręce ku oczom i poczęła zbierać łzy wielkie, jak groch.

Łącki ocknął się z obojętności, słysząc tłumiony płacz.

— Czym tyle krzywdy uczynił marnem słowem?

— Pańskie słowa nie są marne... to nieszczęście... to najgorsze... — pośród łez łkała dziewczyna.

Stała w miejscu, wtem zwróciła się i rzekła:

— Powróćmy... ze wszystkim powróćmy...

Ruszyła przodem i pociągnęła narzeczonego za sobą, prowadząc go mokrą od łez ręką. Narzeczonemu poczęło serce tajać. Czuł, że dziewczynę zapędził w kozi róg, albowiem znał dobrze sferę tego towarzystwa. Powtarzał jeno w duchu: „To było obowiązkiem kawalerskim“... „Helena doznała więcej tego honoru, niż Stefka.“

Naturalnie, że Helena w pokojach się zapodziała a Łącki oko w oko spotkał się z wujciem Korczakiem. Powitanie było sztywne i zimne. Wujcio Korczak siedział w fotelu, wyciągnął swe długie nogi na kobierzec i w błękitnych palcach trzymał wonne cygaro. Przedstawiał obraz nędzy i marności ludzkiej, nadętej gazami pychy i wielkości ministerjalnej. Tak sobie o nim Łącki pomyślał, gdy go zobaczył. I usiadłszy naprzeciw dziwił się sobie, że tak spokojnie myśli o obowiązku wyłuszczenia swych postanowień wobec areopagu rodzinnego, a przed Heleną drżał, jak sztubak przy wypowiedzeniu lekcji.

— Uważam za obowiązek oświadczenie pewnych ważnych kwestji, dotyczących mej osoby. Jestem zadowolony z przybycia łaskawego pana, powiedziałbym za-

raz, gdyby tu była obecna pani Skarska — rzekł Łącki.

Korczak tak samo, jak przywitał młodego człowieka, patrzył w niego z uśmiechem lekceważenia i wspa-
niałomyślniej pobłażliwości zarazem.

— Siostra niebawem nadejdzie. A to się dziwnie złożyło, panie doktorze. I ja w bardzo ważnych kwestiach, dotyczących pana, dziś tu przybyłem.

— Tak? Lecz ponieważ łaskawy pan głośno je zdradza, spodziewam się dokładnych wyjaśnień, jakie to dotyczące mnie sprawy, interesują łaskawego pana.

— Ach... rzecz oczywista — odparł słodki wujcio i podczesał palcami faworyty.

Pani Skarska weszła do pokoju. Była widocznie zmienioną na twarzy, ruchy miała niepewne i lękliwe. Poważnie skinęła głową na przywitanie Łąckiemu.

— Łaskawa pani zechce mi poświęcić trochę czasu, ponieważ pragnę obwieścić moje pewne najnowsze postanowienie — powiedział Łącki do pani.

Skarska spojrzała trwożnie na młodzieńca, jak gdyby z jego twarzy chciała wyczytać, czy to nie wiadomość jaka rewolucyjna i mącająca jej spokojny, Bogu oddany żywot. A wujcio Korczak powiedział:

— Wiesz, siostruniu, pan doktor z namaszczeniem zapowiada nowe wiadomości.

— Tak jest. Umysłnie pragnę podkreślić moje słowa, bo jakkolwiek uczyniłem dziś krok prosty, jasny, podyktowany żądzą pracy dla społeczeństwa, nie chcę nieprawdziwego zrozumienia kroku ze strony osób, nierozumiejących potrzeb społeczeństwa, oddzielających się od niego. Dlatego raz jeszcze proszę o dokładne wysłuchanie słów moich.

— Obiecujemy — rzekł wujcio Korczak i podniósł rękę w górę.

— O, ja już od pana doznałem różnych niespodzianek — wtrąciła pani.

— Czy co nieuczciwego lub nie pięknego? — zapytał Łącki.

— Nie. Nie. Nie wiem, jak to nazwać.

— W takim razie to coś niezbadanego dotąd w towarzystwie, więc lepiej może nie sądzić — powiedział Łącki.

— To też siostra nie sądzi pana — rzekł Korczak — Ja sądzę z jej upoważnienia!

Łącki skrzywił się, jakby się octu napił:

— Ja się temu sądowi nie poddaję. Spostrzegam w naszym społeczeństwie zbyt dużą pochopność do sądenia. Sądowi pana się nie poddaję i nic nie powiem przed odwołaniem nieproszonego trybunału.

— Przepraszam, wyraziłem się jedynie powodowany opiekunstwem Heleny, bynajmniej nie myślałem o zakładaniu trybunału. Przepraszam pana.

Łącki pomyślał, że to nieźle postawić się niekiedy.

— Więc powiem. Aby w myśl swych marzeń pracować, przyjąłem dziś posadę lekarza miejskiego w sąsiednim miasteczku.

— Co? Co? — wyszeptał Korczak i skrzywił głowę, przyłożywszy dłoń do ucha.

— Powiedziałem bardzo wyraźnie — odparł Łącki zirytowany.

— Co? — i powstał pan Korczak powtarzając — Co? Co? Co? Córka Skarskiej, pół krwi Korczaków, szlachetna latorośl starożytnego domu ma zostać panią

doktorową w żydowskim miasteczku? Co? I pan się nie wstydzisz? I pańska krew nieskrzyżowana nie burzy się wbrew pańskim fantazjom? Czy pan wie, że cień cieniów tej myśli jest już obelgą wyrządzoną domowi?!

Łącki wstał.

— Panie... jeśli się obelżywie wyraził, pan wie, co nakazuje wasze odwieczne szlacheckie prawo. Jam gotów każdej chwili.

— Boże wielki! Panowie moi! Mówmy dobrze, umiarkowanie — prosiła pani Skarska.

Łącki spojrział na nią i zauważył wielką trwogę na jej zwiędłej, bladej, dobrotliwej twarzy. Ręce przed siebie złożyła i jak skamieniała siedziała na kraju kanapy.

— Do końca życia nie pojmem, czem się państwo tak bardzo przerażili? — mówił Łącki.

— O... panie Łącki, panie... niech mi pan wierzy innym pan byłś przed niedawnym czasem — rzekła pani Skarska; nagle wyprostowała się i usiadła lepiej, pewniej, oczy się jej zaszklily blaskiem walki. Mówiła dalej:

— Świata nie znam, świat mi obcy, Bogu, pamięci męża i dzieciom oddana, w cichym zakątku mego dziedzictwa, wychowałam córki w zasadach wiary i naszej domowej tradycji. Córka moja przeto nie zostanie żoną człowieka, wprowadzającego nowe bóstwa w dom szlachecki. Ani ja, ani ona wiary dawnej nie odstępimy.

— Pani, w imię twej zacności i czci, jaką czuję ku tobie nie nadużywaj słowa wiary, gdy ja dotąd nigdy przeciw niej nie wystąpiłem. Krzywdzić mię nie można.

— Ach panie, zrozummy się. Wiara nazywam wszystko, wszystko, każdą myśl moją i córki, to wszystko, co przodkowie nam zostawili. A pan przyznasz, iż czynisz zgoła inaczej. Cofnij się pan na naszą grzędę... inaczej...

— Tak panie — wdarł się Korczak w słowa siostry -- ostatni sposób utrzymania stosunków z córką Skarskich! Zupełny odwrót, przywdzianie szaty przodków, uchwycenie lemiesza i sierpa, porzucenie czerwonego sztandaru, zaprzysiężenie bezwzględnej służby naszym przykazaniom rodzinnym! Tyle ustępstw i pobłażliwości li tylko ze względu na Helenę, kochającą pana, nieszczęśliwą w razie zerwania!

Surowa mowa Korczaka, jego gest nakazujący, zmieszały zrazu młodzieńca i już, już chciał mu służyć taką samą odpowiedzią. Lecz zgrzytnął zębami, poruszył się, zgwałcił ogromną siłą uderzenie krwi do głowy i długą chwilę stał bez słów, bez odpowiedzi; Korczak ze Skarską również milczeli, sądząc, że Łącki waży słowa, aby się zgodzić na warunki.

Wreszcie Łącki rzekł:

— Tyle warunków?...

— Tyle. Czynimy to nie z osobistych sympatji, lecz Heleny nam żal. Zaplątało się biedactwo w nie swoje sieci, a wybrnąć z tego nie chce.

— Pan wie, co mówi?

— Wiem. Wiem wszystko. Korczak urodził się dyplomata, wie o pańskich wycieczkach między chłopstwo, o walce religijnej, o notowaniu kazań kapłańskich, wie o rewolucji wywołanej w mieście... wie o krwi przelewie, ciężącym na pańskim sumieniu, wie nako-

niec o szpiegowaniu Korczaka i chłopskich powinszowań w jego własnym domu!

Łącki usiadł i ręce przed siebie założył.

— Może pani będzie łaskawą na chwilkę pozostawić nas samych — prosząco powiedział do Skarskiej.

Skarska zwolna szepecząc modlitwę, wyszła, podobna do męczennicy. Kiedy obaj byli sami, Łącki się podniósł gwałtownie i przystąpił ku Korczakowi, patrzącemu na niego wielkimi oczyma!

— Odpowiadać na głupie pańskie tyrady nie mam ochoty. Wyrażam jedynie mój sąd ogólny, iż pan jesteś destylowanym osłem!

— Panie!

— Żegnam. Wpraszać się nie myślę!

Chwilę wahał się, którądy wyjść, wtém spostrzegł Helenę wchodzącą do salonu, patrzącą z tak wielkiem natężeniem, że jej oczy stały jak słońca.

— Życzę pani cudownego omijania cierni i błota...

Postał chwilkę.

Skłonił się i wyszedł.

Aż tu dopiero pan Korczak się opamiętał. Począł biegać po salonie i wymyślać od chłystków, niedowarzonych smarkaczy i siewców nieszczęść ludzkości. W krótkich ale dosadnych słowach opowiedział Helenie, co się stało. Weszła i matka i pocałowała córkę w czoło, mówiąc:

— Młodą jesteś, przebolejesz, a lepiej się stało, że wcześniej... Tacy ludzie, opętani zarozumiałstwem, umieją tylko gruchotać, a szkoda ci, dziecko, szczęście i życie dać na zgruchotanie.

— To najwstrętniejszy rodzaj człowieka! On umie dobywać niekczemnego zapala, aby do buntu wołać. To urodzony anarchista! To zjadliwy faryzeusz! — wołał wujcio Korczak, sądząc, że w obronie świętego porządku na męki poszedł — Heleno, siostrzeniczko moja droga, Heleno, jesteś już dojrzałą dziewczyną, niechaj to ciężkie przejście będzie dla ciebie chrztem, prowadzącym do życia. Bolesny to chrzest, ale zbawienny.

— Przyjmij tedy naukę, przyjmij w tej przykrew chwili uwagę, którejś nie chciała przyjąć od doświadczonego opiekuna, gdy ten zły i niepotrzebny związek miał się kojarzyć. My, jedyni powołani stróże ładu i narodowej przędzy, my jesteśmy niby namaszczeni kapłani ojczyzny. Dlatego obcując z sanctuarjum, winniśmy zachować głęboką i nietykalną powagę stanu.. Każde zmieszanie się z ludem, któremu prawa narodu przedkładamy, jest poniżeniem tej powagi. Nam testamentem ojczyzna pozostawiła kapłaństwo — dochowujemy jego nietykalności, aby nie popaść w tak niemiłe kolizje, jak to dziś się stało, ku nauce wszystkich naszych kapłańskich odrośli. Zasię plebejuszowi do nas, zasię ćmię małpio wyuczonymi obrotami po salonach, kiedy się w sercu gminne chucie nosi Ten żydowski doktorzyna wart może mieszczki, lecz wara mu do towarzystwa! Wara! Veto! Nie wolno! Czapkę przed progiem zdjąć i stać pokornie!

Wujcio zapalał się. Czynił to z rozmysłu, chętnie kleił wymowne zdania, bo w tajemnicy na razie nosił wielkie zamiary publicznej służby i od swoich poczynając, sposobił się do niej w wymowie. I nie widział w zapale, że Helena usunęła się w cień, skłoniła głowę na

urnę marmurową i stała przy niej, jak anioł śmierci, zmartwiały z rozpaczy, a niezachwianie wierny.

— Braciszku... braciszku... przestań... Helenie widocznie niedobrze — przerwała mowę pani Skarska.

— Ten łajdak i w gniazdo spokoju jad wsączył! Nie szczędził was!

Helena stojąc przy marmurowej urnie widziała tymczasem czarne płatki przed oczyma, słyszała złowrogi szum gwizdy i syczenia potworów i bez słów, bez myśli i czucia stojąc, coraz niedołęźniej odczuwała klęskę silniejszą, niż śmiertelna rana, coraz więcej natomiast niemocy jej przybywało; światło lampy natenczas straciło dla niej blaski i tak nakoniec spłynęły z niej wszelkie wrażenia, że bez duszy, padłej gdzieś w bezdenne przepaście, zesunęła się na kobierzec, bezwładną głową uderzywszy o podłogę. Odgłos uderzenia zbudził gorzkie myśli matki.

— Wody! Wody! — zajęczała.

Korczak rzucił się ku bezwładnej i z wysiłkiem podniósł, wrzeszcząc „wody, wody.“ Rumor poruszył dwór cały. Helena nie powracała do przytomności, tymczasem korzystając z prawa pomocy choremu, wszystko się zbiegło do salonu, nawet brudne dziewczki kuchenne.

Woda się znalazła, matka z wujem cucili omdlała, a służba zbита w gromadę, podobna do stada ptaków gotowych do odlotu, wyciągała szyje, ile mogła, aby przynajmniej zobaczyć wielmożną panienkę i zaspokoić swą ciekawość.

Lecz trzeba było jednego podniesienia ręki jaśnie pana, aby wszystko uciekło z poszanowaniem rozkazu.

W kuchni odrazu rozpoczął się parlament, debata o wypadku pod przewodnictwem starego sługi, który zwykle bardzo sprytnie podsłuchiwał.

— To wedle doktora... No... spisał ci się.

— Co? Taki obyczajny pan?

— Wyrzutował ją, taj go nagnali.

— Nie może być.

— Sam słyszałem, byłem w gabinecie — rezonował stary sługa.

— A cóż to za przystojne panisko było? — zaczęły lamentować dziewczki pod egidą Kasi pokojówki.

Rada w radę, uchwalono, że u państwa, kto komu obieca, że ją weźmie, to znaczy słowo święte, więc tak, jakby już ją wziął. Teraz właśnie powinni mu ją dać, a nie odegnać na zgorszenie boskie i ludzkie... bo co będzie z dzieckiem...

Tymczasem Helena po otrzeźwieniu została przeniesioną na swe łóżeczko. Matka, drząc jak liść osikowy pochylała się do ustek córki i pytała, czego żąda, zaś wujcio Korczak, przejęty wypadkiem biegał, stękał, rozpaczał, ręce łamał i w trwodze o dziewczynę, chciał sprowadzać profesora z Krakowa.

Na to mu rzekła Helena siląc się na pogodny uśmiech:

— Jeśli wujcio chce mię uzdrowić, proszę posłać po tego miasteczkowego.. — i nie miała siły więcej mówić, aż dopiero później, około północy, gdy zauważyła, że matka wraz z wujem znużyli się gorączkową opieką, powiedziała, że już jej lepiej. Skoro to pan Korczak usłyszał, podniecił się na nowo i wszczął rozprawę, przerwana wypadkiem.

— Helenko, śliczna dziewczynko — mówił, udając spokój — myśmy dla twego dobra zawyrokowali dziś, że ten stosunek z warchołem i bluźniercą ma być do szczętnie zniszczony.

Helena skrzywiła się, patrząc w wuja z trwogą, jak w tyrana, jak w nadciągającą gradową chmurę. I mówiła mdłym głosem :

— Kto jest bez winy, niech rzuci kamieniem.. wyście mię tak uczyli. Mamusia kochana świata nie zna, ja również, lecz lutniści wygrali mi misterjum ziemskiego życia, stąd wiem o wielu rzeczach, o takich, o jakich wujcio sądził, że wie tylko sam...

— Helenko, śliczne dziecko — przerwał pan Korczak — to on ci nagadał, tyś mu uwierzyła, aczkolwiek ja ostrzegałem tak często — Tak, często, siostruniu — zwrócił się do Skarskiej.

— Ach.. często... — westchnęła matka.

— Jesteście bez winy... wujcio jest świętym. W takim wypadku nie mi mówić nie wolno — szepnęła Helena. —

— Co mówisz, dziecinko żem święty! Aleć w takim razie nie moglibyśmy nikogo potępić, aby się na zarzut fałszywej świętości nie narazić — odparł Korczak.

— Trzeba wpierv poznać, a potem sądzić ostrożnie — to jego, jego mądre słowa... — mówiła Helena.

Mówiąc to, jakimś nerwowym bodźcem podniecona, gwałtownie na łóżku uklękła i dwa palce w górę podniosła, przyłożywszy je do Chrystusa zawieszzonego na krzyżu.

Przysięgam na męki Boże, że nie znacie tej wielkiej duszy! Przysięgam na rany Boże, że zabijacie dwie

dusze!... Przysięgam, że moja dusza stokroć mniej warta, więcej grzeszna, mnie wprawdzie zabijcie!

Z rozpaczonym płaczem matka padła przed łóżkiem na kolana, Helena ręki z krzyża nie opuszczała i wyglądała, jak anioł walczący z szatanem, tyle ogni wionęło z nieszczęśliwej ręki.

— Ja wam powiadam — mówiła głosem rozpaczy -- wprawdzie mnie zabijcie, aby okupić straszny grzech niezrozumienia tej wybranej duszy! Wy go nie znacie, on do was nie pisał, nie mówił, przy was nie myślał... on nie rozgrzewał się łatwo i może dobrze czynił, jak kwiat, który niechce kwitnąć na mrozie... Zimno syberyjskie wieje bezlitośnie od waszych sądów!..

A gdy płacz matki był nadto dojmujący, siła wybuchu zranionego serca dziewczyny złamała się, stan wyczerpania ubezwładnił na nowo młodą latorośl, padła w puchy sztywna, bez ruchu, zapatrzona przed siebie, bez iskry bólu, ale też bez iskry pociechy.

Wujcio Korczak nie miał pojęcia, że napotka na taki niezłomny opór dziewczyny. Stał, jak sowa w dzień, otwierał dziób, lecz ani słowa zrazu rzecz nie mógł. A pragnął koniecznie, radykalnie ubić poczęty proces, czem dawał wiekuisty pszyk w nos wszystkim sofistom, dowodzącym w razie potrzeby, że radykalizm, to gra rozmyślna, a nie uczucie naturalne, pojawiające się u różnych ludzi częściej, niż to sobie wyobrażamy. Tu na przykład, filar walki przeciw radykałom postępuje jak pierwszy lepszy sadownik, psami szczujący nocnego zwolennika świeżych owoców.

Obmyślał sposoby, jakby to złamać pojęcia Heleny, lecz zrazu był jedynie sową w dzień, czekającą na dogodniejszą porę. Lecz kiedy Helena chwilę pole-

żała spokojnie, wujcio, zbawca splendoru rodziny, wpadł na genialny pomysł i rzekł:

— Helenko, śliczne dzieciątko, więc się zgadzasz na mieszkanie w brudnym domu między żydami, w rynku galicyjskiego miasteczka i chcesz wachać cebulę, słuchać beków żydowskich małek i oglądać pierzyny żółto centkowane, suszone na rozwalonych przy-murkach. A... jeżeli krew Skarskich chce takich szaleństw...

Helena drgnęła, westchnęła, wujcio uznał, że lekarstwo skutkuje i począł przepowiadać, koloryzując coraz to dosadniej życie między miasteczkowej.

— Czy zgadzasz się na to wszystko?

— A... czy to klątwa, czy grzech pierworodny..

— jęczała Helena.

— To ci się nie podoba?..

— To jego zasady...

— Zgadzasz się między żydy, dziecinko?

— Nie!

— Już zgoda między nami — i tryumfalnie rozchasywał pan Korczak swe angielskie faworyty i już milczał, czekając rychło wymęczone kobiety zechcą się ułożyć do spoczynku.

A Łącki już był dawno za dworem. Przejeżdżał właśnie popod okna, kiedy Helena leżała bez czucia na kobiercu w salonie. Słyszał krzyk, widział bieganinę i pomyślał sobie, że tak się wszyscy cieszą jego odjazdem.

Czy czuł coś ponad pustkę, jadąc gościńcem ku miasteczku? Pusto i głucho mu było, wiatr jesienny strącał liście z drzewa przydrożnego, gwiazdy były da-

leko za gęstwą mgły, z której deszcz nie padał, chociaż wilgoć czyniła wrażenie dżdżu.

Dudnienie bryczki po moście zbudziło go z martwoty, ocknął się i z obojętnością szukał rzeki przez poręcz mostu, nie mogąc jej znaleźć w ciemności. Wreszcie znalazł czarną smugę, silnie rysującą się w sąsiedztwie mostu.

— Czy to rzeka, to czarne? — zapytał woźnicy.

— Nie, prose łaski wielmożnego pana, to jes ozimina.

— Gdzież rzeka?

— Hajnok w tyle.

Podobne rozmowy i rozmyślania towarzyszyły mu do miasteczka. Poczciwy Abrahamek zajął się „nowym doktorem“ bardzo troskliwie, wyszukał mu legowisko, mimo to radził udać się do „starego doktora“, albo do pana „aptykarza“ na nocleg, ponieważ mają o to pretensje, jak to już Abrahamkowi doniesiono. Lecz Łącki nie miał ochoty do wizyt, czuł ogólną senność, więc został i położył się w żydowskie pierzyny, nie zdejmując ubrania i podkładając pod głowę własny ręcznik, aby nie zabrać na siebie jakiej gryzącej pamiętki.

Atoli senność była pozorną, bo w ciszy przerywanej jedynie odgłosem ściennego zegara, żywo naleciały go wspomnienia epokowych chwil, przeżytych przed kilku godzinami. W powodzi wrażeń górowała w nim uciecha, że krótko a dobrze powiedział Korczakowi, w słowach jasnych i najwięcej zbliżonych do prawdy. Cieszyło go to i niezmiernie uspokajało, a pytania do siebie stosowane, wydawały mu się badaniem obcego człowieka; tak względem wypadku zubożniał.

— Com stracił?.. Straciłem Helenę... Ile była warta?.. Jako kobieta bardzo wiele, jako człowiek, funta kłaków nie warta... Czem jej rodzina?.. Stado tygrysów w klatce... dzikie bestje.

O Helenie zapomniał z uciechy, że dogodził Korczakowi. Ta radość, nieopuszczająca go aż do zaśnięcia, była wyrazem podrażnionej dumy i zranionej czci własnej. Zanadto dobrze znał sfery, które co tylko opuścił, aby niezrozumieć, że go wypędzono, jak psa, jak sługę i do żywego szarpnięty, odpychał myśli, iż się w dziewczynie zaślepił i przeoczył, że go nie tylko to spotkać mogło, co go spotkało, ale, że wogóle przypuszczono go do swego stołu z bardzo niewyraźną facją.

— Pocom tam laźl?.. Bom babie dał się za nos wodzić... Dlaczego mię tak długo cierpiano?.. Ponieważ Helena mię ochraniała... Nieszczęście by sobie wychowała... Lepiej, że się to już stało... Ja nie zrywałem... Postąpiłem jasno, uczciwie, honorowo, po katoliczku... Archanioł by lepiej temu idjocie nie powiedział... Nie doczekanie ich, abym dla białogłowy Sprawy zaniechał.

Sen nakoniec wyrównał wszystkie honory i zjadliwe uciechy.

Rankiem miał Łącki uczucie, że się wieczorem spił należycie i że mu się kości ledwo kupy trzymają. A że nie zwykł był długo pamiętać urazy, jakkolwiek postąpiono z nim brutalnie, nie czuł już w sobie złości ani skutków brutalnej inkwizycji, tylko rozmyślał o tem jak to Helena przyjęła, czy aby choć trochę okazała żalu i zmartwienia.

I tak dumając nad losem i widocznem zresztą uczuciem Heleny, zgadując, co w niej zwycięży, czy splendor rodziny i pańskie gusta, czy miłość, wyszedł

„na miasto“, zaszedł do ustępującego kolegi, następnie z nim do aptekarza, naradzał się, oglądał i wreszcie ku wielkiej radości właściciela żyda, w braku innego mieszkania, postanowił wynająć ten sam dom, który zamieszkiwał kolega. Dom miał dobre miejsce w rynku, ale zupełnie mu się nie podobał. Miał kilku lokatorów pejsatych, facjatę obdrapaną i obdartą, jak żyd po domach handlujący, dach gontowy, wysoki, pleśnią pokryty, połatany, krzyczącymi plamami nowych wstawek, okna i drzwi brudne, pokoje smutne i zadymione przez stare piece.

— Tu i mnie się nadto nie podoba — myślał Łącki — kto wie, czy wujcio nie ma świętej racji?

I na duszę padł smutek, ciężki smutek. Lecz wnięszał się Łącki między ludzi, aby zapomnieć i niepamiętać. Tym sposobem znalazł się u kolegi na obiedzie, a kiedy przy czarnej kawie brał lekcje praktyczności i poznajamiał się z miejscowymi stosunkami, doniesiono mu, że ktoś konno do niego przyjechał i ma mu list do oddania.

Był to wierny stary woźnica Skarskich. Łąckiemu rzekł, że panienska kazała list oddać, bo dowiedziała się od Tomasza, iż wielmożny pan zajechał do miasta.

Łącki korzystając z pierwszej nadarzonej sposobności, rozerwał powłoki listu i kilkakrotnie odczytał: „Jestem twoją na zawsze... napiszę... Twoja H...“

IX.

Łącki powrócił do Krakowa. Czas miał nadzwyczajnie zajęty. Na wszystkie strony wysyłał listy i starał się gwałtownie o pieniądze. Korespondencja atoli

nie dawała pożądanego wyniku W pierwszym rządzie, ojciec otrzymał obszernie zawiadomienie o wypadkach, wraz z prośbą o pewną kwotę pieniężną na kupno sprzętów i niezbędnych przyborów lekarskich. Ojciec w odpowiedzi wypisał Łąckiemu niebywale długie kazanie, posądził go o lekkomyślność, awanturniczość, wykraczanie przeciw moralności i porządkowi świata, zmasakrował biedaka tak bezwzględnie, jak gdyby nigdy w życiu poza swoje „ja“ krokiem nie stąpił. List ten wywarł na stroskanym młodzieńcu wrażenie wprost fatalne, albowiem nie tylko nie wzbudził posłuszeństwa i przekonania do ojcowskich tyrad, lecz wywołał satyryczny uśmiech i słowa: „trzeba pobłażać i nie sądzić go sprawiedliwie, bo to ojciec“.

Cierpkie zdumienie, pełne łez zapytanie do polskiego społeczeństwa, już kilkakrotnie rodziło się w umyśle młodego żołnierza, a po liście ojca płynęło z ust cierpką skargą:

— Czy trujący posiew wrógów, czy Bóg wie, jakie niedocieczone licho, tak zeżarło narodowego ducha, że zupełnie umiarkowane, lecz tylko bardzo żywotne pragnienia, tak często spotykają zajadle sądy starszych, a wyroki niby mądrych latami, równają się częstokroć przekleństwu?

Co to jest? Skąd pochodzi to zaćmienie instyktów narodowych?

Ojciec między rozlicznymi uwagami tak pisze: „Człowiek z lekkim sercem porzucający kobietę, zasługuje na bezwzględne potępienie, szanować takiego człowieka trudno, a uważaj, jest to wielkie nieszczęście, brak szacunku u ludzi...“ A dalej: „Panna Skarska dość bogata, by ci, w jakiej chcesz, dziurze, porządny

dom wybudowała. Tam mógłbyś dla odmiany z nią przebywać i buntować spokojne społeczeństwo, dopóki by cię to nie znudziło, lub dopóki byś nie zapłacił za to procesami i karczerem..“ I dalej: „Twe aroganckie postępowanie, mieszanie się w nieswoje rzeczy, obrażanie wszystkich mędrkowaniem, słusznie wzburzyło pana Korczaka, a kiedy cię, jako opiekun panny Skarskiej, przywoływał do porządku, nie znaczyło, że cię z domu wypędza, albo pannę odbiera, znaczyło jednak, że wzamian za majątek i stanowisko panny, żąda od ciebie tak mało — rozwiagi, taktu i osobistej godności.“

— Listem tym dowodzi ojciec — myślał Łącki — że jest Polakiem. Pisze w pasji. Na dziesięć polskich pisanin, dziewięć pisze się w pasji. Pyszny ten mój stary. Żupan polski, buty polskie, czapka polska, serce polskie, rozum polski, a nadewszystko polskie zapamiętanie, widzące tylko swój zagon. Stary jest przekonany, że pisze prawdę, chociaż nie ma pojęcia, co jest prawdą odnośnie do mej osoby. Nie, to znakomite, skąd wziął tyle odwagi i śmiałości? Cha... cha... cha... to choroba narodowa, on to wszystko w polskiej pasji napisał, jak głuszcę tokującą! Wszak niemal wyraźnie twierdzi, że Helena się zgodzi na propagandę bujnego życia narodowego, że mi dom w miasteczku wystawi i mieszkać tam będzie!.. Stary, stary, to nie o dom chodzi. Bo gdyby tak było, miałbym gotowy i paradny dom we dworze, mógłbym tam osiąść w sercu chłopstwa, tuż i dokoła miałbym łany chłopstwa, mógłbym setki gmin odrodzić, siedząc we dworze. To nie o dom chodzi, mój stary! To o ducha chodzi, sprawa osiedlenia się w miasteczku była sprawą ducha — budzącą ducha przeciwnego. Helena w ogrodzie, Korczak w salonie, ta

tak, ten owak, wyczynili tragedję i dwa nasze odmienne duchy zawarły się w boju. O, naiwny mój dobry stary! Ty sądzisz, że Helena, wraz z jej rodziną, zgodzą się na mą awanturniczość, smarkaczową lekkomyślność buntowanie społeczeństwa? Ty sądzisz, iż awanturnik ścierpi, gdy Korczak, jak Zeus, piorunem ciśnie i zażąda zaparcia się wszystkich ideałów? To nie o dom chodzi. Czemu wam zawsze chodzi o rzecz, a nie o ducha rzeczy? Tak. Lecz przestańmy. Dla ojca należy niekiedy zmilczeć.

Z końcem listu mieściła się notatka, że na takie awanturnicze zamiary pieniędzy nie ma. Stryj w kilku słowach odpisał, że wszystkie potrzebne pieniądze znajdują się u Skarskich. Ciotka „hrabina“ tak samo, brat starszy tak samo, dwóch dalszych kuzynów tak samo. A tu trzeba koniecznie choćby drobnej kwoty.

I krzątanie się około wynalezienia źródła płynącego mamoną, nie dozwoliło Łąckiemu myśleć o — byłej narzeczonej. Brutalne warunki Korczaka, na które odpowiedział znacznie umiarkowanej, chociaż świat patrzący na rzeczy, a nie w ducha rzeczy, inaczej to osądzał, zaprawiały go gniewem i oburzeniem, to też nie pamiętał swych hymnów wobec piękności Heleny. Helena przestała dla niego istnieć, tak, jak zapora przez którą go przerzucono.

To było także skutkiem żywej idei. Jasna jak słońce idea, iż powszechna żywotność narodowa wyprowadzi lud z niewoli babilońskiej, parła go do kroków, acz bardzo nieznaczących, jednakże nieskończenie silnych. Niechaj się świat zawali, on musi zacząć pracę zakreślona poezją i rozumem duszy, poprzysiągł to wobec Dębowicza, u brzegu polskiej rzeki. Był więc tylko sobą,

a los chciał, że go to zapędziło do zerwania stosunków. To, co uczynił, nie podobało się Helenie i familji, dali kwitek i wyrzucili. Parada skończona!

Oburzenie na małoduszność i dzikość rodziny Heleny, drażniło go. To głuszyło wszystkie nerwy czułe na kobiety, słowem, Helena wywietrzała mu z głowy, wydawała mu się niezdrowym snem, czuł, iż otrzeźwiał.

Na zewnątrz objawiło się to humorem, nie zupełnie świeżym kołnierzykiem, jakoteż dwiema plamami na ubraniu.

Chadzał po mieście i wołał: „pieniędzy!”

A Dębowicz ścisnął go i prowadził od szynku do szynku i tak go raczył, że się z jego szponów pijackich wyrwać nie mógł.

Razu pewnego, w jesienne południe, łowi resztkę ciepłego słońca na plantacjach krakowskich i z daleka spostrzega Stefkę, idącą zwolna w kierunku jego miejsca. Widzi dobrze jej postać, twarzy rozeznac dobrze nie umie, lecz postać budzi w nim nie codzienne wrażenia, a w tej chwili bodzie go myśl uszczypliwa: wczoraj odsadzili cię od jednej, dziś mile łechce cię druga. Romku, ty zdaje się, kobiety kochać nie umiesz...

Tymczasem Stefka nadchodziła taka, jaką chciał widzieć koniecznie. Smutna, długimi rzęsy pokrywała smutne, turkusowe oczy i patrzyła w stronę młodzieńca lekko odwróciwszy głowę dopiero z bliska. Roman spoglądał na nią uważnie i dostrzegłszy w niej smutek, był pełen przedziwnego wrażenia. Stefka była taką właśnie, jak on w tej chwili i nie wiadomo, dlaczego taką tylko widzieć ją pragnął.

Ucieszył go ten smutek, bowiem smutek ludzki najwięcej go pociągał, przytem czuł, że on w tym smu-

tku gra pewną rolę. Jak mógł tedy, najgrzeczniej i najserdeczniej ukłonił się przechodzącej i naraz chciał ręce rozkrzyżować ze zdumienia, gdy Stefka bardzo poważnie i bardzo oszczędnie się odkloniła.

— Co to? Nie ucieszyła się spotkaniem? Nosem kręci?

Była to dziwna pycha Łąckiego, że kobietom musi się podobać, wygrzebana z jego pojęć przez ciotkę „hrabinę“. Niezwykle łatwe zdobycie wielkiej dziedziczki i pięknej kobiety, utrzymało go w tem mniemaniu, to też rozczarowanie, iż tak oschle go wita ta, co go kocha, przeszło zwyczajne granice. Naraz więc skwaśniał nie poszedł na obiad, a rozmyślał, czy tak się pomylił, sądząc, że Stefkę rozkochał, czy ona zawsze była względem niego obojętną?

A Stefka, jak przez czyściec przechodziła koło Łąckiego. Serduszko podniosło jej się w piersi, brak tchu męczył ją nieznośnie, chciała przemknąć lotem gołębia, aby tylko kochać... lecz nie widzieć, nie pamiętać.

Skoro nabrała przekonania, że Roman już jej nie widzi, jak umiała, poczęła iść tak żywo, aby coprędzej być w domu i wyplakać się na ulgę. Jakoż, gdy przyszła do domu, a tatusia jeszcze nie było, usiadła w kątku za łóżkiem, przy szafie, że jej widać nie było i płakała. Było jej bowiem bardzo ciężko, tak jak każdemu, który zobaczył szczęście, ale go osiągnąć nie mógł.

Siostry domyślały się jej smutków, to też częstszy płacz w tych czasach, nie dziwił ich wcale, owszem nakłaniał do wtórowania i drażnił ich oczka. Matka, ile razy w sekrecie od córek się dowiadywała, że Stefka beczy, mawiała: „niech was Bóg broni córuchny od takiego nieszczęścia, jakie Stefkę spotkało.“

Tatuś w takich wypadkach był śmielszy, nie bał się, że zmięknie, szedł ku Stefce, tulił ją i mówił: „będę szczęśliwy, jeśli cię twoje nieszczęście uszlachetni do najwyższej potęgi... Dzieła przeczystej szlachetności jedynie ulżą w nieszczęściu, jedynie dadzą zadośćuczynienie, za tę wielką krzywdę losu, która cię spotkała.“

Dziś przyszedł z biura do domu w różowem usposobieniu, ponieważ to była sobota. Sędzia był bardzo pracowity, ale w sobotę w południe kończył fachowe zajęcia, aby oddać się na półtora dnia, aż do poniedziałku, najwyższej swej rozkoszy, rozkoszy domowego życia przy żonie i córkach.

Zaledwie przyszedł, już szepce mu żona:

— Idź-no do Stefki, strasznie czegoś płacze...

Sędzia rzucił wszystko, co miał w ręce i nie roz-bierając się z zarzutki, pobiegł po pokojach szukać Stefki; a gdy ją odnalazł, przemocą wyciągnął ją z kąta, za szafą i począł pieścić i całować, pytając o przyczynę płaczu. Ale Stefka długo, długo nic nie mówiła. Sędzia z łatwością odgadł, że to się tyczyło jej nieszczęśliwej miłości, ale nie mógł wydobyć zeznania, jaki to szczegółowy wypadek drasnął jej biedne serduszko.

Do obiadu Stefka iść nie chciała, lecz przymuszona, raczej uproszona przez ojca, usiadła przy stole, ale prawie nic nie jadła; a że rozmowa ustawnie toczyła się około tajemnicy łez Stefki, wyszukiwano wszelkie możliwe przyczyny i odgadywano..

— Możesz go spotkała? — zapytał nagle sędzia.

Stefka zbladła, oparła się o poręcz krzesła i spoglądnęła na ojca tak, iż ten odrazu zrozumiał.

— Gdzieś go widziała?

— Ach, nie mówcie już, lepiej nie mówić, nie mówić..

— Stefuniu, ucz się głośno o nim gadać, to ci sprawi ogromną ulgę, przyzwyczaisz się do tego nazwiska, ono ci spowszednieje i straci blaski, na które w zupełności nie zasłużyło — tłumaczył sędzia.

Przed wieczorem, kiedy Stefka siedziała wciąż poważna i zadumana, sędzia koniecznie namawiał ją do przechadzki.

— Dzień tak piękny, niewiele już w tym roku pogody, miesiąc, dwa miesiące. Pójdziemy za miasto i będziemy się przypatrywać jesieni, będziemy oglądali oziminy, ty to tak lubisz, Stéfko.

Po długich namowach Stefka się zdecydowała, zapudrowała czerwone oczęta, poczęła się lekko uśmiechać, a, że wszyscy szanując ból Stefki, na ten uśmiech, jak na komendę czekali, z radością rzucili się ku Stefce i poczęli ją całować.

Wtem dzwonek się ozwał. Służąca, zapewne świadoma domowych tajemnic, wbiegła z przestrachem.

— Ten pan przyszedł — zawołała pełnym głosem.

Drzwi od saloniku się rozwarły i zanim pogodowano się z nowiną, Łącki stał na środku pokoju i czekał domowych. Wyszedł sędzia trochę sztywny.

— Moje uszanowanie panu doktorowi — wymówił z otwartością jemu właściwą — tak dawno pana u nas nie było. Bywał pan gdzie po świecie? — I sędzia nie mógł się pozbyć otwartości, silił się, aby mówić powoli i z powagą, jak przystało na ojca nieszczęśliwej córki.

— Byłem za Krakowem w sprawach osobistych.

— Na wsi?

— Nie. W pewnem miasteczku, otrzymałem tam posadę lekarza miejskiego.

— Pan? Pan ma takie skromne wymagania?

I błysnęła sędziemu nadzieja, (aż się uśmiechnął z zadowolenia) iż te wszystkie rzeczy, które na Łąckiego i o Łąckim nagadano, są nieprawdą. Lecz w sekundzie przysła nadzieja, gdy Łącki nieszczerością przyjęty, stał się również poważnym i sztywnym.

— I na co panu tej marnej posady?

— Mam w tem pewne cele, zresztą i tak żyć czemś muszę. Za darmo jeść nie dadzą.

— Pan tak mówi? Alboż pan spodziewa się trudności materialnych?

— Pan sędza tak mówi, jakby nie znał stosunków w kraju.

— Okrutnie mnie dziwią pańskie słowa.

Sędzia wyraźnie badał doktora, doktor się na tem nie poznał i dziwił się niepomału, dlaczego ten sędzia tak się przeinaczył i tak wiele zalet stracił. Dziwiąc się ukradkiem pozierał na drzwi zamknięte, nadśluchiwał szelestów i szmerów, wiedząc doskonale, że tam jest Stefka. W istocie doczekał się jej niebawem, gdyż weszła z matką i siostrami.

Lecz zdziwienie wzrosło, gdy odczuł zmianę i chłód pewien, wiejący i od kobiet.

Najwięcej panować nad sobą, a równocześnie pałać po towarzysku umiała sędzina. Ta natychmiast sprawę na ostrzu miecza postawiła:

— Dawnośmy pana nie widzieli. Dobrze się pan bawił u Skarskich?

Łącki doznał uderzenia łopataą po głowie. Skurczył się i w tym momencie zrozumiał wszystko. Więc wie-

dzą o jego narzeczeństwie? Więc stąd smutek i powaga Stefki. Więc jest drabem, co najmniej lekkomyślnym. Szkoda, iż moralści z ojcem na czele nie wiedzą o tej lekkomyślności, jaką zapłacił sędziom za ich złote serca, jaką ugodził Stefkę może śmiertelnie. Tożby mieli co do gadania i to jak wdzięcznego, gdyby się wił u ich stóp we włosiennicy i bił się w piersi wołając: *mea culpa!* tak, mianując go awanturnikiem i burzycielem spokoju, zasłużyli, aby im ośle uszy przyprawić, a następnie wyprawić do nieba i to bez dyskusji.

Więc wiedzą o wszystkim! Trzeba rozplątać nieporozumienie i to jednym zamachem. Więc po chwilce zawrotu od uderzenia łopata przez sędzinę, powiedział:

— U Skarskich nigdy się dobrze nie bawił. Całe moje stanowisko u Skarskich było dziełem agitacji ciotki i pasmem mego niezadowolenia. Wreszcie, szczęściem dla wszystkich, napędzono mię stamtąd z krete sem!

Kto kiedy rozważał, jak wybitne przejścia działają w pierwszej chwili na ludzi uczuciowych, doszedł do wniosku, że wszystkie działają podobnie do uderzenia. Uderzyła sędzina Łackiego, Łacki uderzył w odwet, wszyscy porażeni, chwilę przetrwali w niemocy, aż pierwsza Stefka, niespodziewająca się jaśniejszej chwili, najmniej uderzenie odczuła, najrychlej też przemówiła:

— Pan tak opowiada, jakby sprawy serca rozwiązywało się, jak zgromadzenia.

— Bo sprawy serca to co innego, a Skarscy co innego.

Wszyscy przerażeni rąbnieniem Łackiego siedzieli cicho. Że powiedział to były narzeczony panny Skarskiej tak lekko, bez najmniejszego żalu, że ludzie cudów

o tej miłości i o tem narzeczeństwie nagadali... zrozumienie tych dziwów przechodziło obecnie siły towarzystwa. A Łącki rąbnął, bo go w tym momencie na nowo rozgrzało oburzenie na rodzinę Heleny.

A potem nastąpił spokój. We wszystkich sercach, prócz serca Stefki, nastała cisza, jaka zalega kotliny górskie po runięciu w przepaść olbrzymich głazów a potem popłynęła spokojna, lecz płytka rozmowa, głównie dzięki sędziemu, który nareszcie coś sobie pomyślał, tem się uspokoił i zyskał zwykłą swobodę.

Wino i ciastka pojawiły się na stole, ale w towarzystwie nie było ochoty. Sędzia wprawdzie pierwszy się otrząsł z tłoku czarnych myśli, które go obarczyły, od kiedy się dowiedział o narzeczeństwie Łąckiego. Za sędzią pani sędzina zyskała siły i już nie paplała, aby pokryć przynębienie, ale spokojnie rozmawiała o codziennych sprawach, wreszcie i młodsze siostry Stefki rozumiały, że się odwróciło w domu na lepsze, jedna Stefka blada i na pół martwa spoglądała w stronę gościa, prawie nie mięszając się do rozmowy.

To też rozmowa się toczyła jak ładowana bryka po gościńcu, z równym stukotem i jednostajnem trzaskaniem z bicia przez woźnicę, ale to nie była ochota, to nie płynęło, jak dawniej, wesoło swobodnie, było to bawienie gościa i koniec. A przyczyna tego tkwiła w sercach młodej pary. Jedno, Łąckiego, zaniepokojone zachowaniem się Stefki pytało: dlaczego ona taka? Drugie, Stefki, drgało lękiem wobec gościa.

Łącki, rzecz oczywista, nie mógł odgadnąć, nie mógł przypuścić, dlaczego ona taka, a jednak z tego powodu ciążył w nim smutek ogromny, chciał wszy-

stko możliwe uczynić ku rozweseleniu Stefki, a przynajmniej, aby się z nią rozgadać.

Wobec Heleny nigdy nie czuł rozżalenia z powodu jej smutków, więc zauważył, iż dziś jest więcej podrażniony, niż kiedykolwiek wobec Heleny. To też, odpowiadając półgębkiem, tak wreszcie uniemożliwił tę banalną rozmowę, że z wolna zamilknięto, aż spostrzeżono bladłość Stefki, co Łącki spostrzegł od dawna i popuszczano nosy na kwintę.

Przeto stanowisko gościa stało się nieznośnem, coś go wypychało za drzwi tak gwałtownie, że] wstał, pożegnał się, Stefce podał rękę. Ręka jej była zimna. I poszedł.

Sędzina przecież puściła wodze swej tajonej uciecze, gdy gość wyszedł.

— Stefa, co za ciekawy wypadek. Na komendę puścił ją w trąbę i natychmiast przybiegł do ciebie. Ja tu sobie obiecuję bardzo wiele.

Stefka zaśmiała się nieszczercze.

— Mówię ci, tamtej mi nie żal — prawila sędzina — bogata, mój Boże, bogatej tam nie sztuka znaleźć męża.

— Ale może kochała — rzekła Stefka i umilkła, aby się już długo, długo nie odezwać.

A skoro wyszła do innego pokoju, sędzia całując serdecznie sędzinę mówił jej do ucha:

— Gdym go wyprowadzał do przedpokoju zwrócił się ku mnie bardzo żywo i nadewszystko prosił, abym dziś wieczorem był u Skowronka, że ma mi wiele do powiedzenia.

— To idź bezwarunkowo — powiedziała sędzina.

— Możeby się podrożyć, nie iść. Gotów powiedzieć, że go łapiemy.

— Jeśli cię prosi, to niegrzecznie. nadto, gdyby nie miał ważnych zwierzeń, nie prosiłby.

I szarą godziną sędzia z sędzina usiedli na kanapie, ucałowali się serdecznie i ożywieni lepszymi nadziejami, rozprawiali o dzieciach i snuli pajęczę nici o przyszłości, o dziwnej, gorącej miłości Stefki i o tem, że Łacki dawno zapewne nosił się z zamiarami wobec Stefki, gdyż inaczej, jako honorowy człowiek, odrazu byłby powiedział o swem narzeczeństwie. Nie mówił, ponieważ zerwanie z tamtą było tylko kwestją dnia, więc wszystko złożyło się jako tako, to tylko było takie rozdzierające, te rozpaczę biednej Stefki.

— Ach — snuł sędzia — Czy uwierzysz, że coś, niby grożący palec Boży widziałem ustawicznie w wyobraźni na wspomnienie, iż sprowadziłem go do rejentowej, łąziłem za nim, sposobilem go dla Stefki, on tymczasem zbudził Stefkę do takiej niepojętej miłości, a sam szedł za majątkiem. Bywały chwile, żem o nim myślał, jak o łajdaku, który skradł jedyny skarb ubogiej dziewczyny, bywały chwile, żem siebie omal nie przeklinał za łązenie za Łackim, za sprowadzenie go na wakacje. Niechcąc go z góry potępiać, tłumaczyłem go na wszystkie sposoby. Raz, że miłości Stefki nie wien, raz, że w naturze ma to, iż do kobiet mówi, jak do kochanek, a mimoto zawsze wychodziło mi na jedno, że zamilczenie o narzeczeństwie w danym razie byłoby łajdactwem.

Sędzina zaś nie chciała się cofać wstecz i marząc o przyszłości przebaczyła Łackiemu i prawie nazywała go zięciem.

— Teraz już pójdzie dobrze i Stefka będzie szczęśliwą...

— Bóg to raczy wiedzieć, a będę teraz ostrożniejszy.

Wieczorem u Skowronka czekał Łącki sędziego i ucieszył się jego przybyciem. Zaczął rozmowę pełną pochwał dla sędziego, a sędzia lubiący młodzieńca z powodu jego żywotnych poglądów, udobruchany, począł i tajać, jeno w duchu powtarzał rady małżonki, aby się na „rany Boskie“ nie wygadał o cierpieniach Stefki. Rad atoli słuchał, iż Łącki ustawicznie naprowadza rozmowę na ich domowe sprawy, a szczególnie na Stefkę. Łącki mówił:

— Umyślnie w tym celu uprosiłem pana sędziego, aby dokładnie wyjaśnić ciężki błąd, który wobec państwa popełniłem. Juści, przed wyjaśnieniem i mowy być nie może o takich stosunkach między nami, jakie panowały przedtem. Abyśmy zaś rychło do zgody doszli musimy przyjąć, iż zbłądzić nie sztuka, to rzecz powszednia, więc dziwić się zbytnio ludzkim błędom nie można.

— Zupełnie dobrze.

— W chwili, kiedy grzesznik błąd poznał i zań żałuje, nastąpić powinna zupełna absolucja.

— Stare przykazanie.

— A! Pan sędzia mówi bardzo ściśle. Absolucja w takich wypadkach to przykazanie, które zaniedbać jest grzechem.

— Święta racja

— Więc jestem z góry uprzedzony, że otrzymam absolucję. Więc tak powiem. Ludzie pragnący na małżeństwie ubić interes pieniężny, idą ku temu z wyra-

chowaniem i starają się nietaktów nie popełniać. Ja zaś popełniłem gruby nietakt, ulegając staraniom ciotki i oświadczając się bogatej pannie w nadziei pozyskania jej pieniędzy. Nie policzyłem się ze stanowiskiem jej rodziny, następnie poznałem, iż moja osoba więcej się zda idei, niż skrzynia złota i moja niewola.

Sędziemu twarz się wydłużyła; patrząc zaciekawiony w towarzysza, mówił:

— Co za zagadka trudna do rozwiązania?

Pomyślał zaś, że to coś dziwnego, starać się o posażną pannę, a potem tak wyraźnie skłaniać się ku zupełnie biednej dziewczynie.

— To nie zagadka, tylko resztki mej niedawnej dziecinności — odparł Łącki — pan sędzia wie doskonale, jakie czynne życie zamierzam w kraju i dla kraju prowadzić. Protekcja majątnych kuzynów względem bogatej panny natchnęła mię swego czasu bardzo naiwną myślą połączenia mej osobistej pracy z potęgą pieniędzy i dokazania tym sposobem olbrzymiego efektu.

— To wcale nie naiwnie. To znakomite połączenie.

— Ha.. byłoby... gdyby nie okoliczność tak często się powtarzająca, że pieniądze dają w rękę berło, ale nie dają Boga i serca. Chrystus wodził za sobą rzesze nędzarzy, łachmaniarzy, ukrzyżowali go zaś Rzymianie i bogaci żydzi.

Sędzia się roześmiał i poklepał Łąckiego.

— Brawo! dzielny chłopcze. Tak się niestety stało.

— I dzieje się ustawicznie. Żeby pan sędzia uwierzył, co to za niezrównanie zacna kobieta, owa oddana dzieciom matka ex-narzeczonej. Życie dostatnie, zamknięte, uczyniło z niej kobietę tak wyodrębnioną, obstawio

ną tak niezmiernymi formułami, że podpisałaby wyrok śmierci na Chrystusa, gdyby drugi raz z nieba zstąpił i w innej formie Ewangelię objawił. To uczyniły pieniądze. Z tak nieskończenie dobrej kobiety uczyniły osobę, stojącą w danym razie niżej uznanych zbrodniarzy.

To jest pierwszym nietaktem, że nie poznałem się na truciznie pieniężnej rodziny, a poznać się mogłem, mając klasyczne przykłady we własnej rodzinie. Lecz matka jej przecież jest tak uległą, iż dałaby się ku jednemu pociągnąć. Aliści prym tam trzyma komedjant, głupiec, wstyd stanowi szlacheckiemu przynoszący, pyzatek i rozkładający się za życia, wuj Korczak!

O nim mówić Łącki spokojnie nie umiał. Jak wpadł w złość, tak jednym tchem wyrzucił ze siebie wszystko, co czuł do tego niesympatycznego mu osobnika.

— I to jest nieszczęściem naszego narodu — prawił rozpromieniony — są to ludzie tak dobrzy, jak inni, jednakowoż wyodrębnienie stanowe przez wieki trwające, wyrodziło ich i w pewnych typowych komórkach mózgowych spowodowało zwyrodnienie stałe, co poznaję, badając od urodzenia może dziesięć takich jak on, jednostek. Wszyscy do siebie podobni, jak kropla do kropli. Przed takiego pana można wytoczyć wszystkie dziejowe pomniki, wszystkie księgi świętych i wieszczów mu przeczytać, powołać się na wszystkie ogólnoludzkie uczucia — on wysłucha, rozważy, pokiwa nosem i powie: to bunt, to anarchja, to burzenie... Brak mu tej komórki walki z nędzą i przemocą! Brak mu, a więc i do sądnego dnia nie zrozumie działań prostych jak chłopski rozsądek. To są owoce mamony! Ja zaś za późno poznałem, że muszę wybierać — Boga, albo złoto! Więc

w rezultacie naiwne pieniądze marzenia wytworzyły stosunki dla wszystkich tam nieznośne. Mnie już nie do nich, grubiaństwo jej rodziny zabiło już odrobinę uczuć, jakie niekiedy żywiłem względem ex-narzeczonej. Długie miesiące żyłem w rozterce, byłem, jak Herkules na rozstajnych drogach, po godzinach dociekań... wyczerpanie nie pozwoliło mi wszystkim wymogom świata zadość uczynić. Jak zapóźno rozpoznałem całą niestosowność małżeństwa z panną Skarską, tak za późno zrozumiałem, że powinien być ojcom panien powiadać o narzeczeństwie. Ha... może ja wszystko czynię za późno!

Sędzia z rozrzewnieniem słuchał słów szybko wymawianych, a kiedy Łącki już skończył, odezwał się:

— To pan jej nie kochał?

— Prawdopodobnie nie. Jednakże miewałem chwile wielkich wrażeń. I to mię również okropnie denerwowało. Wreszcie z natury ulegający porywom, porwany zostałem w krąg promienny rodziny pana sędziego, rozkoszowałem się, nie zdając sobie sprawy z błędu.

— Ależ nikt pana o błąd nie pomawia, pan dobrowolnie się tłumaczysz, ja słucham tego z całą przyjemnością — powiedział sędzia, lecz pomyślał, że takie tłumaczenie należało się przynajmniej jako słabiuchne zadośćuczynienie za łzy Stefki i za jej bolesne rozczarowanie. A Łącki kończył swą spowiedź:

— Stanowimy towarzystwo wzajemnej ufności. Tak, jak pan sędzia zdradził swe najskrytsze myśli narodowe, ja bez ogródki opowiadam, co było i proszę o rozgrzeszenie.

I nastąpiło rozgrzeszenie w postaci butelki znakomitego wina, przy którym szczerłość wykwitnęłaby jak

kwiaty do słońca, gdyby sędzia nie gryzł się co minuta w język, aby nie zdradzić Stefki.

Pośród rozlicznych wywnętrzeń przyszła Łąckiemu nagle myśl do głowy, sędziego poprosić o porękę na wekslową pożyczkę, którą ostatecznie chciał zaciągnąć, aby najpotrzebniejsze sprzęty pokupić. Sędziego podpis znaczył do pewnego stopnia, albowiem sędzia był wysokim radcą w sądzie. Sędzią nazywano go jedynie dlatego, ponieważ sam sobie tego życzył, nawijając, iż najwyższym urzędnikiem w sądzie jest sędzia i to nazwisko jest najpiękniejszym, najwięcej znamiennem.

Tymczasem, jak przyszła, tak odeszła myśl tej prośby, gdyż zawadziła o dumę młodzieńca. Nie chciał prosić tego, kogo tak bardzo uraził.

Więc dalej kołowali i kołowali obaj około serc, wyszli na przechadzkę, znów powrócili, trzymali się pod rękę i wreszcie tak się zgrali, tak sędzia pochwalał, co Łącki mówił, tak Łącki oceniał zasady sędziego, aż rzucili się sobie w objęcia i ułożyli na jutro przechadzkę w gronie matki i córek.

Sędzia zdając sprawę żonie, czuł, że Łącki lgnie do niego, Łącki wracając samotny do swego mieszkania, czuł, że ostać się może jedynie przy ludziach bardzo uczuciowych.

Błękitny dzień jesienny nappełnił go otuchą, że u sędziów pójdzie dziś lepiej. Przed południem spotkał Dębowicza, opowiedział mniej więcej o swym stosunku, do sędziów, a Dębowicz zapytał, czyby mu nie mógł służyć śledztwem i mentorstwem po bardzo niskiej cenie, bo jedynie za kolacje zjadane u sędziów. Na to wesoło odparł Łącki, że prosi go tylko tam, skąd się nie

może wydobyć, tu nie potrzebuje się wydobywać, więc da sobie radę sam.

— Skoro gardzisz memi usługami — rzekł Dębowicz — przysłużę ci się tak, że zdębiejesz z podziwu nad sprytem mecenasa Dębowicza. A życzę ci szczęścia bo ty do kawalerskiego życia, jak byk do karety.

— Nie przerażaj mię twymi sprytami. Proszę cię, już daj spokój z przysługami. Dzięki twej zagadkowej gadaninie będę się niepokoił, czy mi czego u sędziów nie wystrychniesz. Proszę cię w ostatnich czasach stałem się nerwowym — niemal błagalnie mówił Łącki do Dębowicza.

— A zemsta za kolacje?

— Proszę cię, nie kpij.

— Owóż zemszczę się, lecz będzie to zemsta szlachetnych! — bombastycznie rzekł Dębowicz i poprowadził Łąckiego na kieliszek.

A na Łąckiego dzień pogodny i złote drzewa plantacji podziały jesiennem, spokojnem ciepłem i z takim to uczuciem wszedł w oświecony popołudniowym blaskiem salonik sędziów.

Powitano go, rozgadano się, nawet Stefka zaczęła śmieiej spoglądać i rzucać słówkami. Sędzia tymczasem układał program i wnioskował, że dnia już krótkie, przeto lepiej wcześniej wyjść, aby za dnia powrócić. Następnie poddał pod głosowanie, dokądby iść. Gdy Stefka zaproponowała wycieczkę na kopiec Kościuszki przez Zwierzyniec, a gość to skwapliwie podchwycił, cała gromadka z oznakami uciechy zerwała się do kapeluszy i zarzutek.

Wkrótce w trzy pary wyruszono. Łącki ze Stefką naprzód, dwie jej siostry za niemi, sędzia ze sędzią zamykali korowód.

Stefka zawiązała na buzię woalkę, więc buzi jej prawie znać nie było. Łącki niecierpliwie na to spoglądał i wyraził swe niezadowolenie.

— Że też pani zasłania świat przed sobą. Ani to zdrowo, ani to potrzebnie. Niech się pani wstydzi. Cóż pani świat złego uczynił?

— To ja się kryję przed światem, bo nie chcę go smucić smutną twarzą.

— Nie. Chcę zaciekawiać przechodniów, aby się domyślali piękności, jestem skąpą i nieludzką, nie chcę swych wdzięków objawić.

— Gdzie się pan takich pięknych słówek powyuczał?

— To nie piękne słówka, to prawda.

— Wszystko, co pan mówi, wydaje mi się dobrze wyuczonym. Pan ma wielką wprawę w bałamuceniu kobiet? Zdaje mi się, że pan ma już ich dość na swoimieniu.

— Od wczoraj zauważam, że pani ze mnie bardzo niezadowolona.

— Ach panie, widzieliśmy się tak niewiele razy w życiu, że nie było czasu na zadowolenie, lub niezadowolenie. Zdaje mi się, że jesteśmy sobie obojętni.

Łącki nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Naraz tak silnie wpatrzył się w woal Stefki, chcąc przebieć powiewną oponę, że aż Stefka głowę odwróciła. Chciał wiedzieć, czy oczy potwierdziły tę pełną chłodu odpowiedź, która przeraziła go.

— Całymi dniami rozmyślam obecnie o sobie — zaczęła Stefka, chcąc przerwać zbyt długie milczenie. — Celem mym znalezienie takiego środowiska w życiu, bym sama sobie wystarczyć mogła i nie spuszczała serca, nerwów i zdrowia moralnego na łaskę i niełaskę losów. Zdaje mi się, że zdołałam środowisko znaleźć, a tem jest praca narodowa, środowisko już znane panu i pewna zabawa, zmysłowa rozrywka, z powodu której pełne są po świecie wozy, pociągi i okręty. Jest to rozkochanie się w przyrodzie, jej czarach, widokach, barwach i przestrzeniach. Rozrywka bardzo ceniona po świecie, a taka potężna, że prawdziwą miłość wzbudza, że ją poeci wszystkich czasów opiewają. Czy nie tak? Od dzieciństwa godzinami umiałam wpatrywać się w drzewo rosnące nad potokiem, w zieloną toń murawy, w kwiatki polny, z bliska wpatrywałam się niedawno temu przez pół godziny, a czyniąc tak, tyle czuję spokoju, wesela, że wreszcie zrozumiałam, że to mi instynkt podsunął żywioł, każący o czem innem zupełnie zapomnieć. A gdy do tych wymogów serca, praca dnia codziennego doda zmęczenia, to i sypiać będę i tak się to życie przepcha nie bez przyjemności...

Łącki słuchał opowiadania Stefki i doznawał uczucia, że, jak śruba w dobrane łożysko, wkręca się Stefka w jego istnienie. I niewiadomo, dlaczego żal w nim okrutny wezbrał na wspomnienie słów Stefki: „Zdaje mi się, że jesteśmy sobie obojętni“.

— Pani, jak sługa pokorny błagam panią, zrzucę pani tę opońkę z twarzyczki — począł znów po wahaniu się, co powiedzieć. — Pani tu śliczne rzeczy rozpowiedziała, a ja nie mogę odpowiedzieć, gdyż nie wiem

do kogo mówię. Do obojętnej? Ależ ja wcale nie obojętnie słuchałem pani wywodów — chcę odpowiedzieć, ale na miłość Boską, zdejm pani ten gałganek z buzi.

— Nie mogę...

— Błagam.

Nie mogę...

— Na wszystkie nasze wspomnienia zaklinam panią.

— Wspomnienia... Najlepsze wspomnienia, właśnie przyćmione mgłą przeszłości. W imię tych wspomnień nie odsłaniajmy rzeczywistości. Od przeszłości jesteśmy odgradzeni, oddaleni na zawsze, pomost runął za jednym zamachem...

Łącki splótł ręce przed sobą i przystanął. Stefka przystanąła również i z przestachem spostrzegła, że oddaliła się od rodziców dość znacznie.

— Zaczekajmy, aż nadejdą.

— Chodźmy, chodźmy. Lecimy pod nieba oboje, choćby obojętni dla siebie. Oai panią tak kochają, oni nie pogniewają się, gdy młodzi latać zapragną. Lećmy pani! Jak najdalej!

Mało brakowało, żeby nie uchwycił Stefki za rękaw i nie pociągnął za sobą. Stefka, patrząc w nadchodzących, nie ruszyła się z miejsca, a Łącki spętany przerażeniem, dziwił się, skąd kobieta tyle ma siły, że umie rąbać na sztuki i krajać go żywcem. Odrzuciła go bez śladu wysiłku... czy w istocie ma go za nic?

Tak się wydaje. Wstyd mu było, iż rozmyślał o miłości Stefki i ten wstyd mieszał się z rozczarowaniem, wrzało mu w mózgu i było mu tak nieznośnie, jak skażącowi po odczytaniu wyroku. Dopiero teraz zauważył,

jak mu o każde słowo Stefki chodziło, jak wyższy rozkaz instynktów niewolił go względem niej. I jak dziecko ucieszył się, gdy sędzina powiedziała Stefce, że jeśli jej przyjemniej, niech pójdą prędzej.

Ale Stefce widocznie było przyjemniej iść przy rodzicach, jak w początku przechadzki, dlatego Łącki nie chciał o żywo piekących sprawach rozmawiać i wyraźnie to Stefce powiedział. Tym tylko sposobem zdziałał, że kilka kroków poszli naprzód. Wtedy to związał przerwana nitkę rozmowy i zapytał woalki, dlaczego między przeszłością a terażniejszością pomost runął, jakkolwiek domyślił się natychmiast, iż tym gromem było doniesienie przez ludzi o narzeczeństwie z Heleną. Lecz Stefka odpowiedziała:

— To są moje sprawy osobiste.

I znów bezradne milczenie. Tymczasem za klasztorem Norbertanek skrecono na drogę do mogiły Kościuszki, gdzie sędziowie na jednej z ławek usiedli. Młodzi poszli dalej.

— Dlaczego pomost runął? — dopytywał się młodzieniec.

— Lepiej patrzmy przed siebie, tu tak pięknie.

— Pani, wyprowadź mię z strasznej niepewności!

— Nie pojmuję, co to za niepewność?

— Pani wystawia mię na męki niepotrzebnie.

Pomost był, ponieważ runął. Więc pomost był!

— Był, ale runął.

— To okropne! A jednak był bardzo słaby, jak z wierzbiny.

— Przeciwnie, to grom był tak potężny.

— Silniejszy, niż nasze węzły narodowe, niż wspólność upodobań? O czym pani przed chwilą mówiła, że wżyć się w oddechy przyrody, to o troskach zapomnieć, że nucić za skowronkiem pieśń wiosny, to słuchać muzyki aniołów, że mknąć za motylem, to w płasach rozkoszy, poczucie bólu stracić?.. to również moja ucieczka, to schronisko przed znudzeniem. Co pani powiedziała. to odgłos mej duszy... Czy ów grom silniejszy nad wszystko?

— Jak tu pięknie. Tyle kraju się widzi — rzekła Stefka — Czy widzi pan daleko? Czy widzi pan w tych mgłach sinych na horyzoncie coś więcej nad oddalenie? Prawda... nic nie widać, prócz pasma błękitnego, a tam przecież tak samo ludno, pięknie, tak samo jesień stroi ziemię w pomarańczowe barwy. Kochać jednak sinego skrawka nie można, chociaż tam może i piękniej. Kochać można tylko to, co bliskie, co oddane, lub co się zna

Ludzie i tęsknotą kochają. Tęsknota, to taki siny, mglisty kraj daleki... ale kraj znany. Wyprowadzić kogo na górę i kazać mu tam mieszkać i patrzeć w ukochany kraj, spowity w mgle, kazać tęsknić, to zabić człowieka miłością. Znam człowieka, który zbliżył się ku pewnemu sercu, wznosił je na szczyty, a potem odszedł daleko ku innemu, nie bacząc, że miłość może płonąć, nikogo nie ogrzać i strawić serce. Człowiek chodzący tak od serca do serca i zapalający ognie, wygląda z od dali. jak słońce zachodzące za pasmo mgły sinej, opuszczone zaś serce kocha tęsknotą i umrzeć może z miłości, je-li nie umie zapomnieć.

Było to szczere wyznanie bardzo zbolącej duszy Stefki. Na chwilę jasnym płomieniem wystrzeliły uczu-

cia młodzieńca... przecież jest prawdą, że wzniecił ogień w jej sercu... dlaczego zatem widzi ją zimną i słyszy słowa obojętne już samem brzmieniem bez dźwięku?

— To wszystko być może — rzekł — Potępiam i piętnowałbym ludzi chodzących od serca do serca, zostawiających je na pożarcie przez tęsknotę.

— A widzi pan.

To też tańczyć mi się chce z radości, ponieważ ja do nich się nie zaliczam.

— Pan?

— Kochałem się po raz pierwszy po studencku, jako chłopak szesnastoletni, lecz takie pierwsze płomyki znane po świecie, nikogo nie zobowiązują. Prawda? Potem obchodziłem się bez miłości, nie rozniecałem serca żadnej kobiety, ponieważ byłem zawsze syty rozlicznych wrażeń. Czy kiedy mimowoli nie stałem się sprawcą nieodwzajemnionej miłości, wiedzieć nie mogę i za to nie odpowiadam. Pierwszą kobietę, która uderzyła we wszystkie dzwonki serca, spotkałem niedawno w domu pewnego bardzo zacnego sędziego.

— Pająki bardzo misterną siecią oplatają ofiary.

— Pani! Mówić nie mogę, ponieważ cokolwiek powiem, pani opacznie tłumaczy...

— Pan mię nie rozumie — żywo przerwała Stefka — kto doprowadził do zerwania z pańską... narzeczoną?

— Wyrzucono mnie.

— Tak pan mówi, ale co było rzeczywistym powodem?

— Moja polskość.

— Pańska narzeczona nie jest polką?

— Prawie nie...

— Czy ona zerwała?

— Ona... mniej. I pan ją tak rzucił, jak rękawiczkę?

— Prawie tak.

— Wszak była narzeczoną.

— To i cóż z tego? Cóż tó? ślub się bierze z narzeczoną?

Tak? Przelatywać z kwatka na kwiat wolno tylko pszczołom.

— Przepraszam... motylom, Don Juanom, kokietkom...

— Tak jest. Wyciągam z pana zeznania.

— Czy tatuś nauczył indagacji?

— Co? Kobietom wolno tak samo badać, jak mężczyznom — rzekła oburzona.

— Cokolwiek pani powie, jest bardzo... rozsądne.

Stefka na to nic nie powiedziała i główkę poniosła w stronę zachodu, gdzie słońce w obłoki wlało tyle promieni, że się obłoki od promieni zapaliły i częścią gorzały, częścią gasły, częścią cicho stały w odbłaskach, oddalone od środowiska słonecznej pożogi. Wreszcie Stefka przemówiła:

— Kobieta może jest szczęśliwszą, niż mężczyzna kiedy kocha i ma swoje słońce, które może oglądać codziennie. Lecz biada kobiecie, jeżeli kto zadrwi z jej miłości. Zła kobieta staje się wówczas szatanem, lepsza, wyrazem niedoli, czarnej rozpacz — lub płacze się po świecie, jak upiór klęski. Potworem można nazwać mężczyznę porzucającego kochającą kobietę na pastwę

łkań beznadziejnych... Kobieta ma prawo pytać... Czy mnie nie porzucisz? Czy będziesz szedł ze mną po cierpiącej drodze życia?... Ma prawo sądzić, czy wybrany dochowa tej wiary. Skoro tak się nie zdaje, w imię praw szczęścia winna zgwałcić uczucie, póki czas... gdyż przesuając się między ludzi, jak pieśń żałoby, sama niczego dobrego nie zazna, a swym posiewem trucie będzie i niszczyć wesele, którego i tak mało na ziemi.

— Co pani mówi? Co pani mówi? Pani tyrańskie stosunki chce wprowadzić.

— O, nie mówię to do was, mężczyźni, mówię do siebie i do kobiet. Niech zapadną gdzie w gąszczu jaki, widząc, że mimo nie przechodzi taki człowiek... Szczęśliwe, które mogą rozpoznać, co im grozi.

Łącki z rosnącą trwogą słuchał słów Stefki. Ona sądzi, że mężczyzna wyrrywający się z domu bogactwa, zostawiający za sobą tyle rozkoszy, surowym własnym wyrokiem targający spólną kartę i jednym zamachem uwalniający od nieszczęścia dwoje ludzi, to jest siebie i Helenę... ona wierzy, iż ten mężczyzna drwi z miłości!

Stefka po chwili stwierdziła przypuszczenia Łąckiego, bo rzekła:

— Drwić z miłości, to straszna rzecz. Dziś ona śni o kwiatkach malowanych srebrem wschodzącego słońca... budzi się... jako upiór wiecznej żałoby...

Łącki nie mógł wyjaśniać, bo i słowa gubił. Czuł, że Stefka przejęła się tem, co mówi i że może znów zgubić ich dwoje. Zebrał się jednak na swobodę:

— Widzi mi się, że pani na odwrót jest ołtarzem wierności, jak ja skrzydlatym Amorem.

— O... ja mam już swoje ukochania, codzienne, drobne, a mimo to silne i niezmiennie. One mi ratunek dadzą.

— W takim wypadku i mnie dadzą. I ja mam wiele do pani pretensji.

— Pan? Pan?

Nie mogli przyjść do ładu między sobą, gdyż przeszkadzała im i duma Stefki i jej cierpienia, a równocześnie niepojęte szamotania się duszy Łackiego, poznającego, że są skarby w kobiecie, które zdobyć trudno.

I powrócili wieczorem. Idąc ulicami, widzieli na blaskach latarni miejskich jesienne mgły, a gdy w saloniku u sędziego zapalono lampy i sędzina zagrała Szopena, sędzia usiedzieć nie mógł z niepokoju, pytając się wszystkich wzrokiem: jak sprawy stanęły między Stefką i Łackim.

Łacki skwaszony, bezradny, leżał następnego dnia rano na sofie i tarł czoło, gdy wpadł Dębowicz z impetem i wrzasnął:

— Chodź na wódkę. Mam pieniądze dla ciebie!

Łacki zerwał się, przejął się wieścią i niebawem przekonał się, że to prawda, że Dębowicz wynalazł dwóch znajomych ręczycieli. Ucieszony wybiegł „na miasto“, zakrząłnął się wraz z Dębowiczem i niebawem był panem małej sumki.

Jako pan kupował i kupował przez kilka dni, szastał się po Krakowie, jak nabob indyjski, ale do Stefki nie zachodził, tylko codziennie wieczorami schodził się ze sędzią i gadał z nim do nieskończoności, prosząc ustawicznie, aby mieć Stefkę na baczości i niepozwolić jej twardecieć w zbyt hardych wyobrażeniach.

Do Stefki poszedł na odjezdnem i po długich targach wyprosił fotografię.

Stefka o tyle się zmieniła, że chętnie rozmawiała o wszystkim, a nawet zapalała się w rozmowach o działalności społecznej i narodowej Łackiego.

— Zazdroszczę panu stanowiska — rzekła.

— W pani mocy je podzielić — to były ich ostatnie słowa do siebie wypowiedziane.

X.

Słodka opinja dobroczynne skrzydła rozpostarła nad „nowym doktorem“. Nieposiadano się z radości i zadowolenia we wszystkich stanach i sferach miasteczka, a to z powodu, iż do każdych drzwi zapukał, jeśli tylko ich właściciel był kołem w płocie, czyli czemkolwiek „większym“ ponad szare rzesze.

Ubrany w strój czarny, jasny krawat, rękawiczki, obchodził Łacki domy i domki i przedstawiał się każdemu sprawującemu w mieście jakiś znaczniejszy urząd, spełniając towarzyski zwyczaj po części, po części pragnąc poznać jak najwięcej miejscowej „inteligencji“, zawiązać najszerze stosunki, potrzebnej mu w obywatelskiej pracy.

To też był od pierwszych chwil pobytu zajęty nadmiernie. W pewnej porze dnia chadzał do wielkich, w innych porach energicznie pracował nad urządzeniem mieszkania, spodziewając się, iż niebawem przyjdą do niego wielcy z rewizytą. Jak mógł, szykował swe skromne ruchomości i braki zgrzybiałego mieszkania

pokrywał tanimi fabrycznymi kobiercami, po ścianach rozwieszał szeregi kartonów i fotografii, przedstawiających po większej części Tatry i Kraków, chciał bowiem to żydowskie mieszkanie uszlachetnić i odwiedzającym przedstawić go sympatycznie. W pracy gospodarskiej przerywali mu czas choroby, już go nawiedzający — tak, iż chwili wytchnienia, ani spoczynku nie zostało na własne sprawy, zamknięte tymczasem w łonie serca.

Bądź co bądź pierwsze chwile pobytu, ustawiczne zajmowanie się gwoździami i młotkiem, lub nieustanne wizyty, owe dobrze znane utrapienia ludzkości, męczyły Łackiego i niepozwalaly mu nic a nic myśleć, aż dopiero w końcu tych czyścicowych dni, kiedy widział, że graty w ordynku i że już nic nowego do upiększenia mieszkania nie znajdzie. wieczorem usiadł na krześle przy oknie wprost zachodu i uczuł pustkę dokoła siebie. A była to cierpka pustka, głuchą ciszą go otaczająca, on ją uczuł dotkliwie, tak, iż płacz żydziątka, dochodzący go skądś z za ściany, wydał mu się tak dalekim, jak gdyby od świata był oddzielony olbrzymim wałem. Przeto naraz postawił sobie szereg pytań. Dlaczego on w rozkwicie wieku, wbrew przepowiedniom wszystkich, siedzi dziś samotny i niema nikogo na świecie? Dlaczego tak się stało? Czy tyle mu przyniosło przepowiadane szczęście do ludzi? Czy tyle dała mu energia i zdolności tak mu się wypłaciły? Dziwne, niepojęte... a jednak jest faktem, że dziś, jak sierota, nie ma nikogo na ziemi!.. Tak czuł samotnik, widząc, że nie przesadza. Gdzie ojciec i matka?... Opuścili go, nie przygarnęli do serca rodzicielskiego, ponieważ tylko pod warunkiem wyrzeczenia się „zgubnych“ przekonań, gotowi byli to dla niego uczynić. Gdzie rodzeństwo?..

Nie rozumiało — czego ten Roman chce i o czym gada. Gdzie kobieta... dobrodziejka serca, skarbiec ziemskiego szczęścia?.. Wszędzie brama zamknięta, wszędzie warunek! Jaki?.. Trzeba się wyrzec własnych zasad obowiązku i moralności narodowej... Jakie to głupie... co najmniej głupie...

Czy inne sądy mogły się rodzić w samotni, w uczuciu niczem niezastudzonej odprawy z łona rodziny? Czy pomyślano w rodzinie: co też Romek czyni? Wszak mieli odwagę szydzić z niego, lub wymyślać mu, jak sztubakowi i bez centa na bruku zostawić. Czy ta bezwzględność mogła się wydawać mądrą?

— Sam jestem!... Sam jestem!.. Jedyna Stefka modli się za mną, acz głęboko zraniona mojem postępowaniem. Jestem pewny, że się modli, to taka sama dusza, jak ja...

Wbrew zapowiedzi, rozgoryczony myślami, nie poszedł do zakopconych i odrapanych salonów towarzyskich, zwanych „kasynem“.

W kasynie grano w karty przy dwóch stelikach w drugim salonie na starej ceratowej sofie siedziało dwóch niemłodych już panów, pan radca Uściański i pan mecenas Mączka. Rozmawiali o „nowym doktorze“.

— Tak jest. Prezentuje się bardzo dobrze — rzekł pan radca Uściański. — Ciekawym, czy to on z tych Łąckich z nad Wisły? Byłem niedaleko nich na pierwszej posiadzie i o ile sobie przypominam podobny do nich. Jeśli to prawda, byłoby dziwnem, aby członek tak bogatej rodziny osiadł w tej dziurze.

— Ha! Może być ubogim krewnym, a to dziś, wiadomo, najlepsza podstawa do unikania stosunków ze strony bogatych krewnych.

— Opowiadano mi, że bardzo uprzejmie i troskliwie obchodzi się z chorymi.

— Burmistrzowa mi cudów o nim nagadała. Prawdopodobnie rozczuliły ją jego wdzięki.

— Eh, nie — odparł radca. — Podobał się ogólnie i zdaje mi się, będzie dobrym nabytkiem dla nas prowincjonalnych nieszczęśliwców. Wesoły, rozmowny...

— Zapewne muzykalny?

— Niestety, to jest czarną plamą na doktorze. Macano go już w tym względzie i domacano się, że w karty nie gra.

— To zdechnie na partykularzu. Szkoda chłopca — ze smutkiem rzekł mecenas.

— Młody jest, nauczy się.

— Daj Boże! — wesoło zakonkludował mecenas Mączka. — Śmieją się z nas stołeczanie, że nie innego nie umiemy, a ktokolwiek ze stolicy na partykularz zjedzie i zamieszka, od stolika nie wstaje. To jedyne antidotum na śmiertelne nudy. Gra w karty na prowincji, to żywiołowy odruch.

— W takim razie nie trzeba rozpaczać, Łącki albo ucieknie, albo będzie pożerał *antidotum*.

— Zrazu trzeba z nim grać łagodnie, nie ogrywać go — powiedział mecenas.

— Bądź co bądź bardzo się cieszę, że mamy takiego sympatycznego doktora. Paniom się podoba, jako kawaler będzie wysiadywał z nami — mówił radca. — Zdaje mi się, że nawet nie zaręczony, albowiem nie widziałem wcale pierścionka na palcu.

— Coś mi się o uszy obilo — rzekł mecenas — a to, że z rozpaczy zjechał do nas po otrzymaniu od panny odprawy.

— Mogą być plotki. Któraby takiemu przystojnemu chłopcu odmówiła? Mówią i to, że za wysoko sięgał.

— Chyba to, ale on mi na to nie wygląda — odparł radca. — Kto sięga wysoko, nie zjeżdża tak młodo na taki wściekły partykularz. To nieprawda. Taki pan niekiedy o głodzie siedzi w większym mieście, aby być blisko kłamki. Na zreczpaczonego mi też nie wygląda.

— A przecież, przecież — wtrącał mecenas — instynkt każe mi widzieć w nim pewną tajemniczość, coś mi tu niejasnego. O, adwokacki nos! Pewne fakta, niby nic, a przecież rzucają pewne światło.

— Co pan mecenas mówi? — rzekł zdziwiony radca i ze zdziwienia cały się zwrócił ku mecenasowi i splótł ręce na kolanach.

— Nie twierdzę nic pozytywnego, ale już, już zaczynają o tem gadać. Jakkolwiek dotąd przygłusza to ogłos uznania i pochwał. Wiadomo panu radcy, że aż do zbytku trudził się i składał wizyty, komu potrzeba i niepotrzeba.

— Może to nowa moda. Co my z partykularza wiemy — po chwili pan radca dodał. — A wie mecenas, że sam przez chwilę o tem myślałem, lecz i zapomniałem? Dopiero w tej chwili zdaję sobie sprawę. W istocie, może za wiele złożył wizyt.

— Ba! To najmniejsza, ale od kogo zaczął, kogo uważał za najgodniejszego?

— No! Kogo tam? Kanonika?

— A, nie mówiłbym nic, gdyby zaczął od kanonika... czy pan radca wie, że zaczął od Maziewicza.

-- Co? Od bakałarza? — krzyknął pan radca.

— Od pana kierownika sztuby, czyli miejscowej akademji — szydząc mówił mecenas.

— Od Maziewicza... Od Maziewicza... A widział go pan po tym falimencie?

— Nie widziałem. Ale to wiem z całą pewnością.

— Ciekawym, czy bakałarz w karku nie zeszywniał po takim odznaczeniu? No, wiesz mecenasie, że po tak szykownym doktorze tego się nie spodziewałem.

— Tym nietaktem zepsuł sobie wiele rzekł mecenas.

— Od Maziewicza zaczął! Nie do uwierzenia —
— wołał radca.

— Ja temu wierzyć nie chciałem — krzyknął ktoś z drugiego salonu od bratniego stolika.

Na ten apel obaj rozmawiający poszli ku grającym i „nowego doktora“ puścili w młynek na pytel, wyciągając coraz to nowe wiadomości, które do umysłów napływały w miarę wyteżenia uwagi na ten przedmiot. Jeden z panów przypomniał sobie, że doktor był w domu burmistrza z ceremonjalną wizytą tak samo, jak u nich, czyli, że ślusarza i urzędnika postawił na równi. A gdy wszedł nowy towarzysz w osobie rejenta i obwieścił, iż doktor Łącki był z wizytą u handlarza nierogacizną, Krupki, poczęto naraz stygnąć w adoracjach i postanowiono zwrócić baczną uwagę na doktora i zlekka go wybadać.

Jedynie kandydat notarialny, młody pan Rzecki, stanął w obronie Łąckiego i nie pozwalał rzucać na niego żadnych ciosów. Rzecki był powagą naukową w gronie inteligencji miasteczkowej, albowiem większą część wolnego czasu poświęcał czytaniu; był dokładnie poznajomiony z najnowszą literaturą, nawet krytyczne sprawozdania drukował swego czasu w pismach stołecznych i jakkolwiek zwichnął sobie pozycję zbyt oryginalnymi sądami i siedział nieużytecznie w kącie, miał w miasteczku sławę uczonego.

Panowie, panowie — mówił Rzecki — Europa, moi panowie. Cóż w tem złego, że był u świniarza? To mi się podoba. Tem Łącki dowiódł, że nie lubi szablonu, do którego przywykliśmy tak, iż każde wyjście poza szablon wysadza nas z równowagi. Europa, moi panowie. Był u wszystkich, w salonach władzy i plutokracji więc raczej wszystkich zadowolił, niż komu uchybił.

— Ależ panie Rzecki — rzekł radca — Świniarz, plutokratą przez pana nazwany, wcale nie oczekiwał wizyty, więc nie obraziłby się, gdyby tego zaszczytu nie dostąpił. Mówi się, równać i bratać. Ach, dobrze, moi panowie i ja nie jestem za średniowieczyzną, ale bynajmniej nie jest równaniem podsadzanie kamyka na wysokiej żerdzi i równanie ze szczytem górskim. To sztuczne równanie wytwarza zgubny w skutkach zanik powagi władzy. Każdy taki kłyk wie, że urzędnik i lekarz to jedna sfera. Jeśli on z lekarzem za pan brat, z urzędnikiem zechce to samo. Jakże więc na tem wyjdzie powaga władzy, powiedzcie panowie?

— Słusznie, słusznie -- powiedziano.

— Panie radco, powaga władzy jest zawartą w ustach. Niechaj sobie kłyk będzie z nami za pan brat,

jeśli zdoła się dostroić do naszych wymagań umysłowych. Lecz, skoro na kłyka wyrok zapadnie i stanie się prawomocny, niechże się kłyk ośmieli odwołać się do braterstwa i nie ukorzy się przed mocą prawa O, w takim wypadku, panie radco, prawo ma dość siły zmusić osądzonogo. Panie radco, my tu wszyscy za pan brat, a niechże ja popełnię, przypuśćmy, fałszerstwo albo zalegnę z podatkiem? Czy nie zgoli mię prawo, czy państwo nie użyje swej siły, aby mię zamknąć lub wyegzekwować, choćbym na całe gardło wrzeszczał, żem z radcą grał w karty? A przecież starosta przed wyborami brata się z chałastrą, aby zyskać ich serca i wpływy.

— Ostro, ostro — powiedział pan poborca podatkowy — tylkc nie za ostro.

— O, panie poborco, jak Łackiemu wolno szablon w puch rozbijać, tak mnie wolno mówić to, co myślę.

— Już, już się pan Rzecki irytuje — rzekł radca.

— Aż ja wam powiem, poco doktor był u Krupki — rzekł milczący dotychczas poczmistrz — Czy nie znacie pani Krupkowej?..

Szalony śmiech buchnął i przedarł się przez brudne szyby salonu aż na rynek.

W kilka dni później, Łacki już się włożył w nowe życie, używał swych gratów i rozkoszował się tem, iż już nie ustawiać, ani przybijać nie potrzebuje; oddawał się pracowicie chorym, a wieczorami czytaniu. Ku wielkiemu zadowoleniu zauważył, że nigdy w mieście tyle czasu do czytania nie było i że nigdy w mieście tak pracowicie czasu nie spędzał. Ucieszył się tem spostrzeżeniem — a było to koło południa, kiedy właśnie rzucił się, jak zgłodniały wilk, na dzienniki nadeszłe pocztą. Z dziennika wypadła pocztówka z obrazkiem i spo-

częła przed nim na dywanie. Zaciekawiony pochyła się i porywa pocztówkę, albowiem była to pierwsza korespondencja od dnia przyjazdu.

Zawsze bardzo wrażliwy, nie odczytuje, ale myśli, kto to jest pierwszym w korespondencji, trwożnie pyta, czy to pismo i osoba pisząca przynosi mu szczęście, czy nie... Nie odczytuje, bo wydaje mu się, że to od sędziego, raczej pośrednio od Stefki, ponieważ Stefka jest zamiłowaną w pocztówkach z obrazkami. Wreszcie odczytał...

Odczytał, lecz odłożył kartę na stół. Na karcie podpisu nie było, tylko słowa: „Najpóźniej za tydzień Korczak zburzy pamiętkową bramę, aby z wiosną stawić nową. Trzeba pamiętki ratować.“

— Nie zwiedzisz mię — rzekł Łącki do siebie — To oczywiste pismo Heleny. Przypomniała się.

— Jestem jej dłużny odpowiedzi. Trzeba z tem coś uczynić. Gdzieś tu mam twój listek, moja panno — i po niedługim szukaniu dobył ów skrawek papieru, który otrzymał od Heleny po wyrzuceniu go ze dworu, wtedy, kiedy w miasteczku godził mieszkanie po starym doktorze.

— Twoja na zawsze... Nieprawda, nie moja, gdyby moją była, musiałaby mieć ducha spólnego, bo duch spólny przy różnicy ciała wytwarza ową olbrzymią potęgę miłości. My nie mamy nic wspólnego, nic wspólnego, związku między nami nie będzie. Dobrze, że cię nie widzę.

Tu złożył Łącki ręce, jak do modlitwy.

— Panie Boże... spraw, bym jej nie oglądał więcej. Ty wiesz, Boże, jakieś mi życie przeznaczył... Ty

wiesz, Boże, że chciałbym Cię usłuchać i wiesz, że Cię słucham tyle razy, ile razy tej wonnej pokusy nie czuję, ile razy jej nie widzę. Ty wiesz, Boże, że ona z rodu Korczaków, że w jej tętnach bije krew błękitna, że nam głodomorom trzeba krwi czerwonej Ty wiesz, żeś stworzył ją do panowania, aby ustawicznie królewskie zachcianki jej kasty żywo nam przypominały, że mamy się wprawdzie o królestwo postarać, aby było czemu królować. Tyś stworzył ją na utrapienie moje i podobnych mnie, aby to utrapienie nam zasnąć nie pozwoliło. Dziękuję ci za to, Boże.

Łącki rozumiał, że ta modlitwa była zanadto głośną, aby była modlitwą, jednak po tej aktorskiej, głośno wypowiedzianej odezwie do Boga, oparł się rozmyślaniom o Helenie. Zajął się natomiast treścią pocztówki, nawet się ucieszył, ponieważ wiele planów zaroilo mu się w duszy. Postanowił działać.

Objad jadał z kilku nieżonatymi u pani egzekutorowej, byłej gospodyni w wielkim dworze. Po obiedzie i po przechadzce zapukał do drzwi kanonika. Kanonik, opasły, wysoki, gadatliwy, przyjął Łąckiego prawdziwie z otwartymi rękoma i począł od pochwał, albowiem donosili mu parafianie, jak sumiennie i troskliwie chorych bada i jak niewiele za konsultacje wymaga.

— Dam panu doktorowi pewną praktyczną radę. Proszę się nigdy nie oglądać na to, że pacjent wymawia się ubóstwem. Pan doktor nie zna prostych ludzi. Przyjdzie taki, składa się, prosi, że biedak, że podatku nie zapłacił, on tymczasem czeka tylko parcelacji, aby kilka morgów kupić po 500 koron! Emigrują do Ameryki, wywożą z kraju siłę roboczą, przywożą pieniądze,

niech więc płacą szelmy za lament rolników za brak robotnika! Robotnik przez nich droższy, niech dają na robotnika! A zresztą dla wróżbity mają zawsze piątkę i flaszkę rumu, oni tylko dla doktora nie mają. Za każde słowo proszę sobie kazać płacić. To Amerykany! Trzeba ich znać, jak ja ich znam!

Łącki nie przerywał gadatliwemu kanonikowi, lecz pomyślał, że w zupełności się nie zgadza na te wywody i zdziwił się, że sługa Chrystusowy tak gada. Ale oponować nie chciał, ponieważ dobry humor kanonika był mu w tej chwili potrzebny. Pomyślał tylko: „kanoniku, wartoby twego kazania posłuchać.“ I tak przemówił:

— Mam ogromną prośbę do ks. kanonika.

— Czemże mogę służyć?

— Kapłan, jako stróż świątyni, ma często do czytania z zabytkami przeszłości.

— Doktorze kochany — krzyknął kanonik — nie mogłeś lepiej trafić. Bóg cię natchnął, żeś do mnie przyszedł gadać o zabytkach. Słusznie, panie doktorze. Kapłan częściej niż inni pielęgnuje zabytki, każdy niemal kościół jest zabytkiem, a ja szczególnie w tem się kocham. Służę, służę, w dzień i w noc służę, panu doktorowi.

— Przypadkiem spotkałem w tej okolicy zabytek, któremu wandalska ręka grozi zniszczeniem. To nie kościół, to co innego, to pewna budowa, ile sobie przypominam, z roku 1700 i któregoś.

— Co pan mówi?! Dwieście lat bez mała. I ja o tem nie wiem. Co to?

— Starożytna brama wjazdowa.

— Brama wjazdowa. Panie, pan jesteś nieocenionym człowiekiem. Dwanaście lat tu siedzę, a pan to już po tygodniu wyszperał. Czy to pana ulubione zajęcie.

— Tak, po części. Chciałbym polskie pamiątki chować, jak relikwie.

— Panie, panie! — wołał rozczulony kanonik — Czem mogę, usłużę!

— Wpływem, prośbą, namową. Tego człowieka ks. kanonik zna zapewne.

— Ja tu znam wszystkich.

— I pana Korczaka?

— To on! Ten wzorowy patrjota, ten święty człowiek! Czy pan konsyljasz się nie myli?

— Zwykle na faktach się opieram. Sam sprawdziłem wszystko.

— Jeździł tam pan? Może chory?

— Przedtem tam raz byłem.

— Co słyszę? Pan zna tę okolicę?

— Trochę. Nie wiele.

— Co słyszę?!

— Więc ks. kanonik obiecuje mi swą pomoc?

— Kanonikowi zrobiło się niewyraźnie.

— Wie pan doktor, wierzyć mi się nie chce, aby ten zacny patrjota burzył starodawne pamiątki.

— A mnie się wierzyć nie chce, że ks. kanonik uważa go za patrjotę. To zwykły frazesowicz i człowiek stojący w miejscu.

— O, panie doktorze, tak o nim nikt nie mówi. W zorowy katolik i człowiek nieposzlakowany.

— Przykro mi, żem pierwszy odkrył na nim tę plamę.

Kanonik wstał i począł chodzić po rokoju. Chwilę nie nie mówił, tylko sapał jak gdyby nie wiedział, co odpowiedzieć. Łącki tymczasem oglądał w nieładzie poskładane graty, samowary, książki, krzyże, oglądał stary kredens z odłupanymi w wielu miejscach nakładami, fotel olbrzymi stary, którego bokiem wyłaziły kłaki i sprawdził, że ten nieład odpowiadał bezzennemu żywotowi kanonika, ale brud i niechlujstwo zaszczytu mu nie przynosiło.

— Wie pan konsyljarz — rzekł wreszcie kanonik — przyznaję, że niema człowieka bez „ale“, więc i Korczak ma swoje „ale“, lecz to „ale“ utrudnia nam pozycję. Korczak, jako jeden z najmajętniejszych w powiecie, ma ogromne wszędzie wpływy, a nie lubi, żeby mu się w jego sprawy wtrącano.

— Jest despotą.

— Broń Boże, nie powiedziałem tego.

— Więc dlatego, że ma wpływy i nie lubi kontroli, mamy pozwolić, aby piękna pamiątka polska zniszczała?

— Panie, wierzyć mi się nie chce, żeby on...

— Księżę kanoniku, jest to smutnym, ale niezbytym faktem.

— Może chce restaurować?

— Ależ chce zburzyć i postawić bramę w stylu wiedeńskim.

— Trudna rada. Jutro tam jadę, może się tam co obmyśli. Bo pan mię pociąga swym projektem. Kocham omzzone mury i modlić mi się lepiej w starym przy-

bytku Bożym... O... napijemy się wina, może się co obmyśli.

Nalał wina i trącił kieliszkiem.

— Abyśmy kochali przeszłość, a szli ku przyszłości — rzekł Łącki.

— Daj Boże! — i z pod oka popatrzył kanonik na doktora — Szkoda, że komu innemu taki faliment się nie przydarzył.

— Naprzykład jakiemu pejsatemu szlachcicowi.

Księdzu iskry sypnęły z oka.

— Tobyśmy mu wygolili poświęconym monitorem.

— Więc zasadniczo, za takie zbrodnie ks. kanonik chce golić.

— No, pierwszy ogień. Bom prędki nad wyraz, panie doktorze, Bić bym nie bił, ale bym nie pardonował.

— Łapię za słowo! Nie można Korczakowi pardonować.

— Żydowi, ale z Korczakiem inna sprawa. Sympatyzuję pod względem pamiątki z panem doktorem, lecz z pewnych powodów nieradbym rozbagniać sprawy z bramą. Wiem, że Korczak się uprze, a pan doktor, zdaje się, szeroko patrzy, wiem coś o tem, równość głosi pan doktor.

— Ja?

— No, nie słowami, ale czynem. Więc pan niepotrzebnie sprawę ogublikuje.

— Jakto?

— O, to zaleta, a jakże, zaleta, jednak w tym wypadku nie można tej sprawy szeroko roztaczać, bo Korczakowi szkodzić nie można, a pan doktor, zdaje się,

z tych nowych ludzi, wyciągających wszystko na wierzch. Ja się znam na ludziach. Jednak Korczaka trzeba oszczędzać, bo to upatrzony kandydat na posła.

— Z kurji chłopskiej?

— Z chłopskiej.

— Winszuję chłopom p osła, a ks. kanonikowi ukochania starodawnych pamiątek.

— O, jakże pan doktor gorąco kąpany. Po wyborze weźmiemy się do niego.

— Gdy brama będzie zburzona.

— O, u nas nic się pośpiesznie nie czyni.

— Mam pozytywne przykłady, że się pamiątki burzy pośpiesznie. I tu tak będzie.

— Ależ to Korczakowi ujmie opinji.

— Aby jak najwięcej,

— Pan go chyba osobiście nie znosi.

— Boże — rzekł głośno Łącki — więc na partykularzu trzeba aż osobistej nieprzyjaźni, aby wystąpić przeciw niszczycielom pamiątek? W stolicy mają lepsze o tem pojęcia.

— Cóż pan nas równa ze stolicą?

— Oto ostateczna racja. Czy ks. kanonik mnie wie, niż kanonik stołeczny...

I poszła dysputa na dalekie drogi, trwająca trzy godziny. Koniec dysputy był taki, że się obaj wzajemnie nie przekonali, ale odstąpili po części swoje „ja”. „Ja” kanonika był to znany powszechnie szablon, nie płynący ze swobodnego badania życia i ludzi, ale coś mądrego wprawdzie, tylko nakręconego jak, znakomity genewski zegarek, bez nakręcenia stojący. Skoro Łąckiego znużyła dysputa około frazesów i rze-

czy oklepanych, jak naprzykład, że wszystkie stany muszą iść razem, co znaczy, że w Galicji chłopskim poseł musi być szlachcic i konserwatysta, a w braku tego konserwatysta, a każdy inny poseł jest nieszczęściem narodowem — znużony tymi frazesami powtarzanymi, jak błazeństwo między dziećmi, usiłował dobić targu o akcję przeciw Korczakowi. Aliści to się nie udało, pożegnał więc miłośnika starożytności oziębłe i wyszedł. Tymczasem kanonik ukręcił grubego papierosa, usiadł we fotelu i jął dumać nad przewrotnością i warcholstwem młodego, który się śmiał wyrazić, że dla powagi religii do polityki mięszać jej nie należy.“ Po chwili ce począł się złościć, że nie widzi przed sobą przeciwnika, lecz na szczęście nadszedł ks. wikary Zabuda. Ks. wikary z konieczności przyjął niewdzięczną rolę przeciwnika, poddając się huraganowi słów wymownego kanonika.

Śluchał tych słów w milczeniu, ponieważ był wzorem i przykładem owej potęgi Kościoła... milczenia wiernych i posłuszeństwa dla przełożonych. Był niewolnikiem, pokornym wykonawcą woli przełożonych, ale, jak niewolnik się burzył. Na zewnątrz korny, błady, opuszczający oczy, czuł się zawsze synem chłopskiej ziemi, przeto bolał i płonął i łkał wiele razy wsparty o klęcznik, ścisnął różaniec w rękę i gorącą modlitwą koił swój bezgraniczny smutek i błagał Ducha Świętego, aby ratował biedny lud polski, wierny Kościołowi jak mało który lud na ziemi, a skępowany i bezradny w swej niezachwianej wierze, tylko dlatego, że Kościół nazywa warcholstwem serdeczne zrywanie się do tego ludu, do pracy około ojczyzny i przyszłości.

Sam on, kapłan sługa Boży i Polak, sam on przekleństwem cisnąłby i pomsty Boga wzywał, gdyby kto rzucił się przeciw Bogu i ojczyźnie! Sam on uznaje i wyznaje zasady Kościoła i szerzy je jako niezmordowany sługa...

Kościół jest trybunałem moralności, a jest to Kościół Boży. Kto przeciw głoszonej przez Kościół moralności występuje, przeciw Bogu występuje... on w to wierzy tak niezłomnie, że na stos by się ofiarował dla okazania tej wiary... lecz czy usamowolnienie ludu polskiego, zbudzenie go dla ojczyzny, ma coś styczności z moralnością?.. Wiele o tem rozprawiać nie można.. bo człek ułomny i ułomny jest jego marny rozum... ale wolno mu modlić się po niedośpanych nocach i błagać Wszemocnego o światło... albowiem duch mu się burzy, duch mu inaczej szepce, niż władza ziemską... duch jego przyrósł do chłopskiego zagona i najmiłsza mu strzecha chaty wiejskiej, w której go Bóg do życia powołał.. on dałby wszystko temu ludowi i sądzi, że Bóg temu ludowi praw do życia i pracy narodowej nie odmawia... czego odmawia ziemską narodową władzą i jego władzą, pastorałem i groźbą... acz w piersi ludu gra inny hymn o potędze i sprawiedliwości Bożej.

Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny... śpiewa z ludem co niedzieli, a śpiewając to myśli o nieskończonym miłosierdziu Bożem i myśli, że Bóg doświadcza lud wierny i każe mu sprawnie się wyćwiczyć w walce o swą od Boga daną ojczyznę.. ale zmiłuje się... wysłucha... przepuści.. i lepsze czasy nastaną.

Dziś w milczeniu i pokorze wysłuchał słów kanonika i nie nie odpowiadał, tylko łykał kawę, bo na ka-

wę przyszedł, a gdy się kanonik domagał koniecznie o odpowiedź, bo bez odpowiedzi przytakującej byłby się nie uspokoił, odpowiedział wymijająco:

— Podziwiam w ks. kanoniku wymowę i znakomity zasób argumentów. Żeby to Bóg mi dał, skuteczniej walczyłbym o Jego chwałę.

— Niechże pan znów siebie niepotrzebnie nie poniża — rzekł rozbrojony pochlebstwem kanonik.

— Prosto od kanonika pobiegł Łacki do Rzeckiego. Rzecki siedział w kancelarji swego pryncypała i spisywał chłopom kontrakt, irytując się bardzo głośno z powodu braku decyzji u chłopów.

— Po wieki wieków będziecie sztabakami ekonomicznymi — krzyknął do chłopów, gdy wszedł Łacki.

— To pan się mylą — odpowiedział niski, starannie ubrany chłopina — My ino przy wyborach nie mamy rozumu, a kiedyindziej tośma go już trochę uciulali.

— Sługa pana konsyljarza — zerwał się Rzecki na widok przybysza — Ach, przepraszam, to obrzydliwe przyzwyczajenie. Nie jestem pańskim sługą i staram się nie być niczym sługą. Dobry wieczór panu.

— Dobry wieczór. Po ukończeniu czynności proszę na słówko. Mam wielką grośbę do pana i zaznaczam, że kanonik mię już z tą prośbą odpalił, więc pan ma podwójny obowiązek wysłuchania.

— Pan się myli, obowiązku nie mam. Nigdy próby nie wysłuchuje się z obowiązku, tylko z łaskawej uprzejmości — rzekł wesoło Rzecki.

— Doskonale. Pan wyraża się ściśle i swobodnie. Możebyśmy kiedy pogadali ze sobą. Jesteśmy równo-latki — odparł Łacki.

— Niechże pan tu usiądzie i dobrze się nam trzem przygląda. ja za chwilę zakończę — powiedział Rzecki i dalej darł się do chłopów.

Tymczasem Łącki przyglądał się chłopom, bo Rzeckiemu przyglądał się już kilka razy. Uwagę jego zwrócił ów niski, szczupły chłopina, o spokojnym miarowo zbudowanym czole, oczkach małych a żywych, twarzy pomarszczonej a osmaganej wiatrem. Chłop siedział na krześle, ale tak, jak gdyby już nie raz na krześle siadywał i różnił się wiele mówiącą drobnostką od towarzysza, mianowicie, że kapelusza nie miał w ręce, ale zawiesił go na wieszadle, skąd rudział mizernie obok kapelusza Rzeckiego. Przytem chłopina palił papierosa i puszczał dym nie przed siebie, ale ku górze i do rozmowy przy kontrakcie mieszał często satyryczne, chłopską modą ułożone paradoksy, zabarwione chłopskim humorem.

Na zapytanie Rzeckiego, dlaczego upiera się przy kawaleczku nieużytku, odrzekł:

— Księża mówią, że dla takich, jak ja, buntowników nima miejsca na cmentorzu, ta niechby mie po mojej śmierci do tej parji rzucili.

To samo mówi, co piszą w samoistnych ludowych pismach! Zakołatało Łąckiemu serce, gdy te słowa usłyszał. Więc stanął oko w oko z prawdziwym buntownikiem, występującym kategorycznie przeciw istniejącemu uśpieniu chłopskiemu. Więc widzi przed sobą jednego z bohaterów chłopskiej wojny, wrzącej przeciw tradycyjnej patryjarchji możnowładców. To, o czem marzył i śnił, to nastąpiło. Widzi się z żołnierzami chłopskiej polskiej wojny, oddecha tem samem, co oni, powietrzem,

acz dotąd się z nimi nie złączył i nie pobłogosławił ich do walki o prawa postępu. Patrzy w chłopinę i zgaduje, czy to jaki wódz, czy plutonowy, czy prosty rębacz wsiowy. Ale niczego nie może zmiarkować po małej, nikłej chłopinie.

Wreszcie kontrakt doszedł czy tam nie doszedł do skutku, bo w gwarze nie można było wyrozumieć, a chłopci, ukłoniwszy się, odeszli.

— Mamy czas, buda zamknięta — rzekł Rzecki — Oglądał pan tego małego człowieczka?

— Kto to taki?

— Sławny człowiek, zaciekle sztuka, kość w gardle wielu, bardzo wielu ludzi. To Adam Kowalik, ludowiec, jeden z ich wodzów.

— Aż tak!?

— At, bawi się chłop w politykę, a rąbie, bo rąbie nas, gdzie tylko dopadnie.

Daleko stąd mieszka? — zmięszany pytał Łącki.

— Zapewne chce pan z nim znajomość zawrzeć? Niechże się pan nie spieszy, rychło pana z błotem zmieszka. Mieszka niedaleko.

— A geograficznie, z której strony świata?

— Dwa kilometry stąd, w Dąbrówce.

— Acha już wiem.

— O, to pan wie jeszcze bardzo mało.

— Mniejsza o to. Przybyłem z prośbą.

— Raczę wysłuchać.

— Opinja czyni pana mędrce miaszczka.

— O, to najsmutniejsza opinja, jaka mię w życiu spotkała. Być najmędrszym w miaszczku, to znaczy, można być nieskończenie głupim.

— Toś pan grubo zarozumiały i bezwzględny.

— Nie panie, gdybym był w Krakowie lub Paryżu najgłupszym, ceniłbym się lepiej. To panie tylko moje osobiste zapatrywanie. Ale prosba...

— Jako najmędrszy w miasteczku...

— Proszę pana nie łączyć petycji z obelgą.

— Więc przepraszam. Ceni pan pamiątki narodowe?

— Jak które. Przedewszystkiem cenię archiwa, następnie dzieła sztuki.

— Doskonale. Chcę uratować dzieło sztuki na śmierć skazane w tej okolicy.

Rzecki skoczył, jak gdyby siadł na węgle.

— Tu w Hotentotach są dzieła sztuki? Niechże pan nie żartuje!

— Pan widocznie nie bywał po dworach pańskich. Tam wiele dzieł sztuki się chowa, acz i niszczy się wiele.

— To pamiątki, nie dzieła sztuki.

— W tym wypadku dzieło sztuki, zabytek architektury stary i prawdziwie piękny.

— Kto tak osądził?

— Ja. Czy nie mam prawa poznać się na pięknie?

— Pan nie ma wprawy, nie zajmując się sztukami pięknymi. Nie wierzę panu.

— Jedźmy się przekonać. Mam Kodaka, przywieziemy fotografię.

— Hm. chce pan uratować dzieło sztuki? Dobrze, proszę mi pokazać fotografię, wtedy pomyślę, czy to warto ratować.

— Ależ właściciel za tydzień chce to zburzyć. Jest to brama z początku XVIII. wieku z prześliczną kratą.

— Brama! Ja się bramami nie zajmuję, zresztą nie wiem czyja?

— Pan Korczak jest tym niszczycielem polskiej pamiątki.

— To mię nie rozczula, przyznam się panu, ja hołduję ogólnie ludzkim poglądom, ogólne sprawy są przedmiotem mego ducha.

— Bardzo pięknie, ale dla mnie za mało.

— To za mało?

— Tak. Za mało. Spodziewałem się, że śmietanka umysłowa w osobie pana i kanonik, jako czynnik etyczny, pomożecie mi w akcji przeciw jawnemu wandalizmowi Korczaka, tymczasem ze smutkiem stwierdzam, że bez pomocy zostanę. A cel mej akcji tak piękny i prosty. Niczyjej polityki nie skrobnie, niczyjemu interesowi nie zaszkodzi.

— Korczakowi zaszkodzi. Przyznaję, że głup wybrał sobie interes, lecz skoro chce, na swoim śmieciu wolno mu i głupstwa strzelać.

— A, skoro tak, pójdę między maluczkich, lecz ci maluczcy inaczej pomagać nie umieją, jak pięścią i drągiem. Ale pomogą rychlej... zarazem zrozumieją oho-tniej niż inteligencja — rzekł Łącki.

— Niechże się pan nie rozżala. Ja nie mam czasu mięszać się w nieswoje rzeczy, a mówię otwarcie to, co myślę. Panie, aby galicyjskie ścieżki prostować, trzebaby kilku regimentów Janów Chrzcicielów. We dwójkę albo we trójkę nic się nie uczyni — żywo powiedział Rzecki.

— Cenię w panu otwartość, lecz wzamian powiem tak samo, co myślę, mianowicie, żeś palnął pan frazes rasowo galicyjski.

— Panie! Paskudnieś mię napiętnował.

— Ha... frazesy uważam za najzjadliwsze bacterium polskich mózgów.

— Ja tak samo.

— Więc wyznaczmy sobie dzień, miejsce i godzinę, abym panu wyjaśnił, żeś frazesem sypnął. A teraz idę, bo uważam, że interesu nie ubiję.

— Bardzo mi przykro. Ale dlatego wzajemnych sympatji nie topimy?

— O nie. Sympatje nasze rosna w kursie.

Rozstali się tak samo żywo, jak rozmawiali. Łącki stroskany rzekł do siebie:

— To poczwarka, z której nigdy motyl nie wyleci. Poczwarką zostanie całe życie. Ale to poczwarka bardzo szlachetnego motyla. Szkoda, że niczem zostanie. Lepszy on jednak, niż roje kapuścianych motyli latających po nad galicyjską kapustą.

Przyszedłszy do domu zastał pustkę nieznośną, więc wyniósł się do brudnych salonów, zwanych kasynem, myśląc, że może przecież znajdzie chętnego człowieka, któryby chciał pomagać przy ratowaniu puszczyny przodków. Ale daremne starania, z próżnego nie należy, wszyscy odmówili, tłumacząc się, czem kto umiał. Tymczasem radca Uściański zadaje pytanie w jakim celu doktor pomocy potrzebuje i co chce z pomocą uczynić.

-- Pan radca może nie wie — odparł Łącki — że u nas do każdej akcji trzeba osoby wysoko posta-

wionej. Gdyby ks. kanonik lub pan radca podjęli się tego pięknego dzieła i stanęli na czele, natychmiast wszyscy poszliby za przykładem, założyliby komitet obywatelski, ogłosiliby to *urbi et orbi*, naczyniliby harmiduru, wysłaliby deputacye na cztery stony świata i zwyciężyliby siłą w jedności. Wszak w Galicji bez wysoko postawionej głowy nic nie czynimy. Ja sam, nieznaną chudeusz, nie mogę marzyć o takim sukcesie, jaki byśmy oglądali, złączeni ku wspólnej pracy. A, że zaczęziałem niższe głowy, to tylko dlatego, aby te niższe głowy wraz z moją najniższą tem skuteczniej namawiały wysokie głowy do odwagi w obywatelskiej służbie.

— To z pana skończony intrygant — rzekł do brotliwie radca.

— Nie. Chciałbym być tylko praktycznym — powiedział Łącki.

Wtem wszedł Rzecki i odrazu rozruszył towarzystwo wiadomością zacerpniętą po drodze, iż w sąsiednim mieście powiatowem pani komisarzowa powiła syna. Wiadomość ta naraz odmieniła obecnych, nieco ostudzonych akcyą Łąckiego, jego namowami i przedstawieniami. Ożywiona rozmowa o spełnionych pragnieniach pana komisarza, o domniemanych rodzicach chrzestnych, o tem, że byłoby największym nietaktem, gdyby pan komisarz na chrzciny nie zaprosił przedstawicieli tutejszej inteligencji, jak ferment zapieniła wieczorowych graczy, a tymczasem Łącki usiadł w drugim pokoju i milczał, ale dociekał, dlaczego jego wezwanie do ratowania pamiętki nietylko nie znalazło zwolenników, lecz także napotkało opór głuchy, podobny do oporu starego muru, gdy się weń wali kilofem.

— Ta odrobina, śmiesznie nikła drobina akcji narodowej, pierwszy próbny występ okazał, że trzeba będzie walić kilofem i rąk nie żałować, a bodaj, czy się jaki wyłom wywali w narodowej rutynie głuchoty. To głusi ludzie.

Wtem Rzecki podchodzi ku niemu i szeptem:

— O czym pan tak myśli?

— Wie pan, że zrozumieć was tu nie mogę — odparł Łącki — wy Polacy polskiej pamiętki nie chcecie ocalić?

— Słuchaj pan. Patrz pan — rzekł Rzecki i wskazał ręką ku rozmawiającym w głównym salonie — Od kwadransa gadają o chrzcinach. Co pan sam uczynisz przeciw regimentowi ludzi, którzy żenią się, chrzczą, grzebią i w karty grają? Nic nie uczynisz. Ja dlatego nie chcę karku nadstawiać, choć pana rozumiem. Pan nic nie uczynisz.

— Pan nie zna potęgi woli. Uczynię więcej, niż się panu zdaje!

— Przeciw tym ludziom? Słuchaj pan, jeszcze o chrzcinach gadają. Ja bo zwykle zbieram nowinki i ploteczki, aby im coś przynieść na pożarcie, a potem siadam w kącie, jak pan obecnie i kpię z nich, ile się da. Doświadczyłem już życia na partykularzu; tu, albo kpić, albo gdakać wraz z nimi.

— Zobaczymy.

— Szkoda pana. Ja panu nie pozwolę się marnować.

— Nie będę pana pytał o pozwolenie.

— Zobaczymy! Vaderemo!..

Nigdy cisza nocna nie była tak martwą i bezdennie czarną, jak tej nocy w samotni Łąckiego. Mia-

steczko spało, noc niezmiernie długa nie kończyła się, Łącki leżąc w łóżku liczył godziny, słuchał dzwonów, dzwoniących mu w ucho i słuchał tępych odgłosów jakowegoś oddalonego wołania, dolatującego z daleka, niby z Krakowa, a powtarzającego się w mózgu. Był przygnębiony.

— Tą odrobiną działania tak się zamartwić? — mówił szeptem — A co będzie z większymi rzeczami? Ach, tak... młody żołnierz i broni unieść nie umie, a przecież żołnierzem być poczyna.

Tem się ukoił, resztę nocy przespał i rankiem pobiegł na pocztę.

Pan pocztmistrz gębę otworzył, w najwyższym zdumieniu odczytując depeszę, którą Łącki nadawał. Depesza brzmiała: „X. konserwator dla Galicji zachodniej w Krakowie. W Glinniku, poczta Wisłok, szlachcic Korczak burzy starożytną bramę. Proszę o natychmiastową interwencję. Dr. Łącki.

— Płacę odpowiedź — rzekł Łącki.

Poczmistrz patrzył w niego dość długo, trzymał w ręku papier, spoglądał bacznie ku drzwiom, następnie nachylił się ku Łąckiemu.

— Kto to panu konsyljarzowi doradził?

— Ach, po daremnem szukaniu ludzi, sam postanowiłem działać. Pan może już coś o tem słyszał.

— A jakże, tu u nas wszystko się słyszy — i znów spojrzawszy poczmistrz ku drzwiom, nachylił się jeszcze bliżej ku doktorowi i rzekł — W imieniu tutejszych demokratów, racz pan konsyljarz przyjąć uniżone dzięki. — Mówiąc to, zwolna, z powagą wyciągnął kościstą rękę i kilkakrotnie, bardzo mocno uściśnął rękę Łąckiego.

Łąckiego zdziwiło to zachowanie się poczmistrza i w pierwszej chwili zdawało mu się, że to kpiny. Ato-li poczmistrz mówił dobitnym, lecz przytłumionym głosem.

— Może się wreszcie znajdzie człowiek, który utrzyma temu słupowi pychy i tyraństwa. Dotychczas gadaliśmy o tem w swoim patrijotycznym kółku, lecz to nic nie jest.

— W jakim kółku? Czy tu w ogóle żyje kto po polsku?

— Już my tu mamy kółko. Demokraci, patrijoci żyją i u nas. A jakże, panie konsyljarzu! Czekaemy tylko wodza.

— A pan poczmistrz nie jest wodzem?

— Jestem urzędnikiem, a przytem człowiekiem miękkim i sercowym. Pan konsyljarz zna już nas kilku, chociaż nie wie wszystkiego. My również poznaliśmy pana konsyljarza w kilku szczegółach, a dzisiaj poznamy nowy szczegół.

— Kogo pan wlicza do kółka?

— Jest nas kilku, co, jak pszczoły po kwiatkach, miód zbieramy. Niebawem pan konsyljarz nas rozpozna... Dalibóg, wzruszyłem się tą depezą. Jestem zwykle wesoły i nie płaczę wobec byle kogo, a tu na płacz mi się zbiera z radości, że znalazł się ktoś, co chce temu panu rogów przytrzeć.

Wtem różowa ekspedytorka weszła do „kancelarii i przerwała rozmowę.

— Może pan konsyljarz pozwoli do pokoju, pogawędzimy sobie.

— I nieraz. Jednak trzeba mi do chorych, przyjdę przed południem. Moje uszanowanie — zwrócił się Łącki ku ekspedytorce.

Panna ekspedytorka z wdziękiem odpowiedziała na powitanie i szukając szybko w stosie listów, dobyła list i zbliżyła się mówiąc:

— Lokaj pani Skarskiej oddał tu list dla pana doktora.

— Dla mnie? — z wyrazem przestachu i zmięszania rzekł Łącki.

— Pana przeraża list z tego dworu? — zagadkowo powiedziała panna ekspedytorka i zarumieniła się, jak jabłuszko.

— O bynajmniej. Pewnie proszą mię do chorego.

— Do chorej na serce — zalotnie dodała panna ekspedytorka — to bardzo niebezpieczna choroba, lecz pan doktor z pewnością ją uleczy..

Łącki nie mógł znieść ciekawych oczu poczmistrza i ekspedytorki, więc za chwilę wybiegł i szedł tak szybko, jak gdyby uciekał; spotkał mecenasa Mączkę lecz wyrwał się z jego objęć i popędził do chorej żydówki aby zapomnieć przy spełnianiu zawodowego obowiązku, że wpadł w garnek sałamachy miasteczkowej, albo we wielki aparat telegraficzny, który nic innego nie czyni, jak tylko udziela wiadomości wszelakich w okamgnieniu.

— Już wie o Skarskich ta kozia papla, to znaczy wszyscy wiedzą — myślał — A ona czego chce? — i wyjął z kieszeni list jeszcze nierozzerwany. Obwąchał go, rozpoznał pismo i schował w kieszeń napowrót — Czego chce tu ta pani od mieszczaucha? Tu niema czasu na fantazje! Tu wszyscy śmiertelnie chorzy!

XI.

Zaległy mgły i dżdże jesienne cały kraj, złote kra-
sy drzew poginęły za smutnemi mgłami; było mokro,
chłodno i pusto po polach i drogach.

Ks. kanonik Ziemba otrzymał wiadomość, że pan
Korczak bawi w swym pałacu, przeto, mimo przestrogi
gospodyni i prośby wychowanczy, wychrzcianki-żydówki
wybrał się w drogę do rezydencji szlachcica.

— Psi czas, masz pani świętą rację — mówił do
gospodyni na odjezdnem — psi czas, niechże pani przy-
gotuje gorącą herbatę, bobym znów chrypiał przez
adwent.

— Kanoniku, jutro kanonik pojedzie, nie puszcze
na taki czas — prosiła gospodyni.

— Widzisz pani, służba nie družba, muszę jechać
aby ostrzedz pana Korczaka przed nowym naszym do-
ktorem.

— Co mówi kanonik? — zawołała gospodyni,
składając ręce — Broń Chryste Panie, chce go struć,
czy zabić? To taki grzeczny i dobry doktor, na rany
Boskie, w głowie mi się mąci, co też on chce!

— Wtrąca się w nieswoje rzeczy, przeważają
w nim socjalistę.

— W imię Ojca i Syna i Ducha św., a że już
ludziom wierzyć nie można. Taki z pozoru grzeczny
i przystojny człowiek! Nic nie podobny do socjalisty,
jak Boga miłuje, takie to oczy poczciwe. Jezus mój
najsłodszy, takie to przyjemne człowieczysko, człowiek
nie wiem, co by dał za niego, tu masz tymczasem!...
Niech się kanonik winka na drogę napije... kanoniku...

a to antychryst, rany Boskie... — niemal z płaczem wywodziła gospodyni — proszę lampeczkę, to ogrzeje — i pod tłustą brodę kanonika podniosła pełną szklaneczkę złotego napoju.

— Tylko nie rozgłaszajże pani przed czasem. Może ja się mylę co do doktora. Nie trzeba odrazu potępić, może to uczciwy człowiek.

— O, zawsze to przedobre serce kanonika. Kanonik już wie dobrze, jeśli mówi... „Rany boskie!.. to się na ludziach omylić można!.. Chryste Jezu!..

Niebawem kanonik odjechał, chroniąc się przed słotą olbrzymim parasolem, a gospodyni drżąca z posiadania nowiny, ze zgrozy, iż socjalista, co djabłu drogę ściele, pojawił się w spokojnem dotąd miasteczku, z radości, iż pierwsza wie, czem jest nowy doktor, pobiegła do sąsiadki z przeciwka, aby jej nic nie powiedzieć wedle zlecenia kanonika, ale ostrzedz przed doktorem, tak samo, jak kanonik pojechał ostrzedz pana dziedzica. Owa jazda kanonika podczas sloty, podczas roztopy jesiennej, w dzień tak nieskończenie smutny wydawała się jej bezwzględna wskazówka, że nad miasteczkiem wisi czarne niebezpieczeństwo, o którym tyle z kazalnicy słyszała, o którym czytała z kolportowanych klerykalno-agitacyjnych broszurek. W pośpiechu zapomniała o chustce, zdołała jedynie w przelocie zabrać różaniec, którego obecność dodawała odwagi. Niecierpliwa żąda natychmiastowego zobaczenia się z sąsiadką, stała się atoli powodem bolesnego przypadku. Z domu plebańskiego do ulicy wiodło dziesięć kamiennych stopni, oślizgłych, obecnie i zabłoconych. Gospodyni biegła po oślizgłych stopniach, jak po równej drodze, była do nich przyzwyczajona, więc biegła bardzo chyżo. Aż

tu na ostatnim stopniu stopa się ślizga, gospodyni chwyta się rękoma powietrza i z krzykiem pada. Świadców nie było, gospodyni jęczy, nie może się zrazu podnieść i leży na ciosanych stopniach, próbując się podzwignąć. Po chwili dopiero podniosła się, ale ból dotkliwy niepozwala jej dobrze stanąć, więc skurczona wzywając Boga na pomoc przeciw szatanom, doszła do domu sąsiadki, a pierwszym jej słowem było:

— Pani kochana, straszne nieszczęście, strzeż Boże wszystkich od złego, socjalista szatana posłał, aby mię zabić. Ach... jakże mię noga strasznie boli!

— Dla Boga świętego, Przemienienie Pańskie, co się stało! — zawołała sąsiadka.

— Szatan mię trącił na kamienne schody!

— Bój się pani Boga, gdzieżby szatan?

— Antychryst, socjalista! ach, noga moja, noga — prawie z płaczem mówiła gospodyni, trzymając rękoma prawą nogę.

— Jezus, Marja!

— To doktor zmówił się z szatanem! — zapisała gospodyni.

Sąsiadka zrazu przerażona, zyskała rozwagę.

— Magduś, po arnikę do aptyki! Magduś!

Zanim Magduś przybiegła z chlewa, sąsiadka już wszystko wiedziała i tak samo, jak gospodyni, nie mogła pojąć, że taki przystojny i grzeczny doktor trzyma z szatanem i przyjechał tu dusze przedawać do piekła.

Poblady obie w uczuciu trwogi, gdy sobie jasno wyobraziły znaczenie tego faktu. To też usiadły w pobliżu obrazu, przed którym się lampka oliwna paliła i odmówiły krótką modlitwę, następnie ośmielone we-

zwaniem świętych ku pomocy, poczęły zbierać błoto z ubrania, oglądać szkody w ubraniu, a sama poszkodowana czyniła to z najdoskonalszą ścisłością mimo, że za każdym ruchem syczała z bólu. Tymczasem poważna się toczyła debata nad przyczynami wypadku. Że doktor przez szatana był powiadomiony o rozmowie z kanonikiem, nie było wątpliwości, że doktor ze złości nastął szatana na „spokojnie“ idącą gospodynię, również było pewnem, jednak ta przerażająca nadziemską siłą doktora, ta jego moc czynienia tego na odległość, była kamieniem debaty. I gdyby nie rosnący ból gospodyni, możeby i ten problem rozwiązały żariwie siostry różancowe, ale ból i lęk odbierał umysłom przenikliwość, arnika już przyniesiona przez Magdusię wzywała do akcji, która skończyła się tak, iż gospodynię, z trudem przeniesiono na plebanję, rozebrano i ułożono do łóżka.

A kanonik, bynajmniej nie błogosławiąc doktora, zły i narzekający posuwał się bryczką po rozmokłej drodze, zalanej niejściami żółtobrudnymi kałużami. Pośępność zaległej mgłami nieprzejrzystej okolicy podniecała goryczą zaprawione myśli kanonika, doktor wydawał się mu nieznośnym smarkaczem i pokrzywą. Próżno starał się stróż moralności odgadnąć, w jakim celu doktor zaczepił Korczaka, fundament, wzór ładu i porządku społecznego. Oddając się przez drogę kalkulacjom, przesyczał się kanonik podejrzeniami już raz powziętym, iż ratowanie bramy było tylko formułką i niczem więcej, a po za nią kryło się warcholstwo i żądza judzenia i martwił się, że dzisiejsze więcej namiętne polskie umysły przejmują tak wstrętne hasła masońskie i socjalistyczne. Lecz jakież cel podniecił doktora do gołosłownych zaczepiek? Wszak wyraźnie się

się odezwał: „Winszuję chłopom Korczaka na posła“
W obecnych czasach taka zaczepka. Wszak wie się, co to za ludzie rzucają się dziś na przewodników narodowego życia, zwłaszcza na szlachtę i księży. Lecz jaki cel prowadzi tego młokosa po tak karkołomnych ścieżkach? Czyż zaiste zna Korczaka i wie coś o nim, czego my nie wiemy? Może to osobista zemsta? A choćby tak było, zemsta jest tak wstrętnem, wrogiem uczuciem dla katolickiego serca, że jedynie z gruntu zły człowiek mściwym być zdoła. A choćby to była zemsta, jakże śmie tak marna jednostka szukać przywary na tym wzorowym mężu? Brama? W istocie nie można by zaprzeczyć, że Korczak winien pamiętki uszanować. Cha... cha... ale byłbym naiwnym, gdybym uwierzył, że uratowanie pamiętki jest celem niedowarzonego filozofa. Trzeba znać ludzi i umieć się na nich poznać... zakończył kalkulacje ks. kanonik i ufny swemu narodowemu posłannictwu był święcie przekonany, iż odkrył w Łąckim niebezpiecznego człowieka.

Bo czyż można się mylić w tym względzie? W rozmowie wyraźnie wystąpił przeciw Kościołowi, twierdząc, że religji do polityki mięszać nie należy, tu znów przeciw szlachcie występuje i drwi, winszując chłopom posła szlachcica. Ha!... to ferment...

Wojtek zajechał przed pałacyk, zbudowany według planów wiedeńskiej architektki i ledwie stanął, kanonik szarpnął go za barki.

— Nicponiu, tak żeś mi przypomniał o bramie? Nie kazałem ci to przypomnieć, gdy będziemy przez bramę jechali? Czyż zdaje ci się, że kanonik ma czas oczyma wywracać, kiedy głową pracuje? Mówiłem ci,

że myślę nad ważną sprawą, że masz mi przypomnieć.

— Kiej, proszę łaski ks. kanonika, nijakiej bramy nie widziałem.

— Więc wróć się, ośle, to zobaczysz.

— Kiej widziałem ino dwa murowane słupy, a bramy nikaj.

— Słupy widziałeś?...

Lokaj już stał na usługi gościa. Kanonik oddał rzeczy, przycesał się przed zwierciadłem i widocznie bywalski w domu, poszedł prosto do pokoju pana. Pan Korczak zajęty cyframi, niezwyczajnie ucieszył się gościem i natychmiast książki ze stukotem pozamykał i odłożył na półki.

— Kanoniku kochany! — wykrzyknął.

— Pochwalony Jezus Chrystus — pozdrowił kanonik.

— Na wieki wieków — z nabożeństwem odpowiedział Korczak.

— Pan marszałek jeździł, nie było go w domu, a tu w domu szarpią marszałka. W marcu wybory. Trzebaby szarpaczy ugłaskać.

— Co mówisz kanoniku? Szarpią. A kogóżby nie szarpano, gdyby nie było legalnej władzy, szlachty i księży? Znamy się natych z zazdrośnikami, ale dzięki Bogu, znamy i lekarstwo kojące... wiesz kanoniku... dla świętego spokoju, aby sił na walkę z szarpaczami niepotrzebnie nie marnować — mówiąc to, Korczak przycesał błękitnymi palcami angielskie, z rzadka zarosłe bokobrody, wyciągnął z kieszeni pulares i bił weń ręką — siły trzeba chować do pracy dla zaniechanego kraju; tu, tu

jest lekarstwo, kojące najświętsze przekonania przewrotowców — i zwolna bił płaską dłonią po pularesie —
Wiem już, kanoniku, kto mię szarpie, wiem już; obywatelska służba wymaga wszechstronnej czujności.

— Ciekawym.

— Wasz nowy lekarz miejski. Dobraliście go sobie, ani słowa. Powinszować.

— Skąd pan wie?

— Drogą na Kraków. To złośliwe, ale dowcipne. Miałem ja tu stare bramisko, szpecące mi front cały, bezstylowa karykatura francuskiego renesansu. Chciałem to zburzyć, a żelazną kratę schować ad memoriam, naraz otrzymuję z Krakowa od konserwatora depeszę, żeby się wstrzymać z burzeniem, aż któryś z konserwatorów zjedzie i da opinię. Depeszę konserwator wysłał skutkiem doniesienia doktora Łackiego. Co kanonik powie na takie wtrącanie się do cudzych spraw?

Kanonik uśmiechał się do Korczaka i mrugał oczyma, wreszcie rzekł:

— Ja tu z tem samem przyjechałem, sądziłem, że przywożę nowinę.

— Dziękuję za łaskawość.

— Ale to i lepiej, że wiemy już obaj, zostanie nam więcej czasu do gadania o doktorze, bo koniecznie chciałbym się czegoś więcej o nim dowiedzieć. Obowiązek pasterski.

— To cenię właśnie w kanoniku. Oby katolickie społeczeństwo więcej miało tak gorliwych pasterzy. Wierz mi kanoniku, że usilnem mem staraniem będzie kanonika wyforytować wyżej, *ad cathedram*.

— Za nic w świecie, za nic w świecie! Polski kapłan w tych burzliwych czasach ma na prowincji zostać. Tu jego praca.

— O, jakie to zacne i niepokalanie uczciwe, a święte.

Lokaj wniósł wino i przekąski, a pan Korczak obwieścił, że dla takiego gościa nie będzie zastawiał w domu zajezdnym, to jest w jadalni, ale tu, gdzieby można zupełnie poufnie i swobodnie pogawędzić.

— Przeto przy drzwiach zamkniętych i zasłoni-
nych ciężką kotarą, szła rozmowa żywa i serdeczna. Dwaj przedstawiciele siły i nieskrzyżowanej dotąd rasy krajowej, nieustawali w udzielaniu sobie wzajemnych rad i uwag, a zawsze nad wszystko górował poważny głos gospodarza: dla ojczyzny i wiary św... dla spokoju i prawidłowego życia narodowego... dla ładu i porządku...

Kanonik raz po raz zapytywał gospodarza o Łąckiego.

— Wszak zna go marszałek dobrze? Chwalił się tą znajomością.

— Oh, znam, zanadto dobrze.

— A z jakiejże racji? Skąd?

— Miałem z nim pewne, a przykre stosunki; niedługo to trwało, ale wystarczyło, aby tego zarozumiałca i półgłówka poznać na wylot.

— Co marszałek mówi?! Jakież to stosunki?

— Nie chcę sprawy rozwlekać — wymijająco odparł Korczak.

Ale kanonikowi iskrzyły się oczy z ciekawości. Zwycię głośno mówiący i ruchliwy, aż się podnosił w fotelu, a dusił ze szlachcica wyznanie.

— Broń mię, Boże przed pustą ciekawością, jednak obowiązek pasterski zmusza mię, abym marszałka o szczerłość prosił. Czy nie zasługuję na zaufanie?

— O, z całą pewnością ludzie jednakiej wiary i służby dla kraju... ludzie wspólnej myśli narodowej, niemal towarzysze pracy... powinni wiele sobie mówić.. ale są rzeczy prywatne, w szczegółach nieinteresujące.

— A więc obaj panowie coś mieli ze sobą?

— Tem lepiej go poznałem.

— Była jakaś prywatna sprawa?

— Tak. Najprywatniejsza.

— Może chciał pieniędzy za jakie usługi polityczne?

— O, nie. Wielkie szczęście, iż się dotychczas polityką czynnie nie zajmował.

— Wybacz marszałku, lecz muszę o nim wszystko wiedzieć, aby nad nim tem baczniej czuwać.

— Ja księdzu o nim ogólnie powiem.

— Kiedybo to ważne, co on czyni.

— Ależ stosunki moje z nim były czysto rodzinne.

— Rodzinne, familijne — i wpatrzył się kanonik w Korczaka dziwnym wzrokiem, jakby był zdumiony. Familijne? — powtórzył.

Korczak skrzywił się z lekka, bo go indagacja kanonika niecierpliwiła i uczuł, że go nieco poniżyło przyznanie się, iż sprawa była rodzinna, więc rzekł:

— Bo kanonik nie wie, że Łącki pochodzi z nadzwyczaj dobrej rodziny, to karmazyn z karmazynów.

— Tak? Karmazyn?

— Odstępca, renegat, zaprzaniec, jak go tam kanonik nazwie.

— Dziwy słyszę.

— Ciekawe indywiduum, czarny dekadent, brudny sofista, usiłowałem go zwrócić ku rodzinie, którą zdeptał, zlekceważył.

Kanonik nie mógł usiedzieć na miejscu i wstał, Korczak był zadowolony, że uniknął spowiedzi, przeto z naciskiem powtórzył:

— Wzgardził rodzinnem gniazdem, wyrzekł się najbliższych, a to już powinno wystarczyć do wydania sądu. Za nic mam człowieka, gardzącego świętą instytucją rodziny. Proszę badać poczmistrza, czy on listy z Opatowic od ojca otrzymuje. Ja wiem z pewnością, że ich nie otrzymuje. On gwizdże na rodzinę. Stryj jego rodzony, zacności człowiek, nie wie, gdzie się doktor obraca. A serdecznie się o niego wywiadyje.

Kanonik marsowo wstrząsnął ramionami.

— A! Obrzydliwe. Pięknyśmy zyskali nabytek! Złapaliśmy się na jego pocziwą gębę i słodkie słówka. Marszałku, trzebaby się uwolnić od tego pana.

— To jedynie wskazane. Wiem o nim coś więcej.

— O, mów drogi marszałku.

— Konferowałem z nim sporo razy. Pomijam, że to radykał, opozycjonista, który bawi się ogniem jak urodzony podpalacz, a chętnie zabawiłby się w Nerona i polskie wsie popalił, z rozkoszą przyglądałby się, gdyby hajdamaki we krwi polskiej się jeszcze raz ukąpali.

— Więc potwór! Święty Michale, broń nas!

— Proszę słuchać dalej — prawil Korczak spokojnie, z pewnością człowieka przywykłego do rozkazywania — dusza tego młodzieńca przedstawia się jak gruzy. Stąd jego pewność w wydawaniu śmiałych są-

dów; on jest niczem, przeczy wszystkiemu, stąd jest niezachwiany i spokojny — jak zwalisko gruzów. Pan Bóg nie poskąpił mu daru słowa, w rozmaity sposób umiałbym określić to indywiduum, ale wolę mówić bez ogródek. Ten człowiek nie tylko nie dozwala nam dochować wiary przodków, lecz także sam o Bogu zapomniał wyparł się religii i wszystkiego. Ubiera to w pięknie słowa, stroi się w różne piórka, ale ja na tem się poznać umiem, tem więcej, iż on sam się nie bardzo tai ze swem ateuszowstwem.

Tu spokojny Korczak popatrzał na kanonika, stojącego bez ruchu, bladego, z oczyma pełnemi grozy.

— Że o Bogu ma błuźniercze pojęcia, niema wątpliwości.

Kanonik westchnął i czekał, czy Korczak jakim słowem nie osłabi swych twierdzeń. Korczak znów czekał na to, co kanonik odpowie, dlatego obaj milczeli, a z nieruchomo trzymanych cygar płynące smugi dymów niebieskich oplatały ich postacie i w otoczeniu kobierców, makat, pięknych obrazów i sprzętów, czyniły z nich istoty, jakby wyłączone z pośród ludzisk, ni by czarowników zasiadłych na tajemne roki w zaklętej komnacie.

Nie mogąc się doczekać odpowiedzi z drżących warg wylękłego kanonika, ciągnął Korczak dalej:

— To jest moje osobiste przekonanie. Jako chrześcijanin-katolik nie narzucam tych surowych zdań nikomu i nie chcę zmuszać do lapidarnych kroków przeciw bliźniemu, boć Łącki bliźnim naszym być nie przestaje. Może i to być, że za surowo go osądziłem, to każe mi powiedzieć zasada przebaczenia naszym wrogom,

jednakże w tej okolicy ja jedyny go znam, więc ja jedyny mówić tak mogę, następnie poznałem go w okolicznościach, w których był bezwątpienia szczerym.

Tu Korczak szybko rzucił ręką ku popielnicy i nerwowo strzepnął popiół z cygara, a kanonik się odezwał:

— Mówić nie wiem co. Mam garść wiernych parafian a reszta to pytanie, czy nie pali jednej świeczki Bogu, drugiej djabłu, Rzucić się obcesem na niego nie można, bo może jak kret już się okopał w tę ciemną, chmurę łatwowiernych. A po słowach marszałka nie pozostaje nic innego, jak go wykurzyć i śmiecie po nim spalić.

W tem wyprostował kanonik obie ręce do góry i dłońmi uderzył się w ciemię.

— Gdzież to się takie dziwo wychowało! Marszałku, miałem sen tamtej nocy, chyba sen proroczy. Z pochodnią w ręku, ubrany w krwawy płaszcz.. wali ku mnie twór zupełnie z twarzy podobny do doktora Zbliża się ku mnie, pochyla pochodnię, aby mi może oczy wypalić, nagle objawia św. Alojzy mój patron i odtrąca go. Dziś słyszę i uszom nie wierzę, a sen mi się przypomina i to się razem łączy w piekło... Marszałku, wyznaję otwarcie, że gdyby mi to inny powiedział, nie łatwobym uwierzył! To... to... ja słów nie znajduję, aby dać wyraz zdumieniu memu i osłupieniu Bez Boga... bez rodziny... skorupa żyjąca! Nie! To za surowo! To bez litości.

— Daj Boże... lecz jestem pewny, że kanonik stwierdzi prawdę niebawem — odrzekł Korczak — ja się nie spieram, daj Boże, abym się mylił. Życzę tego wszystkim i doktorowi... Ale to się potwierdzi.

— Tak, niech się potwierdzi, albo nie potwierdzi, bo spać nie będę mógł z niepokoju. Marszałku, liczę na pomoc, musimy się zabrać sumiennie do rzeczy i wybadać „curriculum vitae“ doktora.

— Z przyjemnością. Warto by zasięgnąć opinii policji z Krakowa.

— Doskonale. Trzeba uwiadomić starostę — rzekł kanonik, a Korczak dodał:

— I o tem nie zapomnieć, aby otoczyć go opieką. Trzeba powiadomić nam oddanych chłopów, by śledzili jego kroki i nadśluchiwali co mówi, by natychmiast z tem do mnie, lub do kanonika biegli!

— Tak, tak. I to jest najważniejsze.

— Już to zawsze twierdzą — prawił Korczak — że wszystkiego się dowiem przez tajną policję, a niczego publiczną akcją. W kraju namnożyło się co niemiara konspiracji i zaduchu rewolucyjnego, a przecież po wierzchu tego nie widać. Robota publiczna nikogo nie przerobi, każda akcja moralna musi dotyczyć jednostki w prywatnem życiu, inaczej to dzwon pusty, wiec, demonstracja i zabawa.

Kanonik sapiąc westchnął i uśmiechnął się na wspomnienie chłopskiej policji.

— Mam takich kilku — powiedział, targając palcami bujne włosy — słusznie... słusznie!.. Trzeba więc zorganizować śledztwo. Zaprawdę najprostszy sposób, aby się wszystkiego dowiedzieć!

— Ja zawsze do tego namawiam. Muszę wymierzyć sobie sprawiedliwość, iż jestem lepszym wodzem — były słowa Korczaka.

— I jako wódz powiatu podasz mi marszałku rękę, bo ślub uczynię w obliczu Stwórcy, jako, że wygnam z miasta sromotę i sromotnika... Jestem prędko, wygadam się, wzburzę się w pobożnym uniesieniu...

— A tu trzeba umieć działać i dla dobra nie-
szczęsnego narodu nie jedno usunąć, choćby zwydrzone
tłumy miało się przemocą zamknąć w owczarni — mó-
wił Korczak

— Boże... Boże Wszechwiedzący... — westchnął
kanonik.

I jako stateczny szum starych drzew, szumiała
rozmowa wodzów, którzy jednym skinieniem mogliby
siły narodu zwiększyć w dwójnasób. Rozmowa szła po
górnym sferach, dotykała li Boga, ludzkości i wielkich
zadań publicznego życia.

I znów mówiono i o doktorze tak, że kanonikowi
ciemniało w oczach i krew w sercu stawała, zarazem,
jak ciosową świątynię budowano gmach rozważnych
i umiarkowanych przykazań narodowych, a tu naraz
jesienne słońce rozdarło jednostajne sklepienie chmur,
osiadło na błękicie i oświeciło zadumanych i stroskanych
ojców narodu, w tej chwili obmyślających najsprytnej-
sze środki, mające skrzępować i unicestwić milczącego
dotąd demona.

Jesienne słońce każe się cenić i tęsknić za sobą,
toż powołało obu wodzów do oddania czci należnej.

Pierwszy kanonik uległ wpływowi słońca, acz miał
w tem własny interes.

— Marszałku, niechże mi marszałek pokaże tę
bramę. Ja trochę znam się na tem, zresztą ciekawym,
czy warto się o nią tyle rozbijać.

— Stare to, odrapane, zresztą błoto po kostki.

— Kalosze, zresztą dla apetytu...

— I tak podadzą niebawem śniadanie.

— Więc najlepszy czas, okrutniem ciekawy.

— Przytem, co sobie ten smarkacz myśli — mówił Korczak bez humoru -- Ja jego nauk nie zniosę, tem więcej, że sam wiem, co w tej bramie coś warte. Krata jest rzeczywiście piękna, to też może mi pan Łącki ufać, że na żelazo jej nie przedam. Ach... myśleć o tem nie mogę, jego fagasostwo wyprowadza mię z równowagi. Ja sam wiem, co chować, co wyrzucić.

— Ale pójść możemy. Prawda?

Kanonik lubił na swoim postawić, tak jak Korczak. Był to typowy upór słowiański zastępujący wytrwałość narodów zachodnich. Ale Korczak tak zwanem znakomitem wychowaniem przejęty, lubo niechętnie, dogodził uporowi ciekawego kanonika i wyszedł z nim na błotniste aleje parku. Wówczas złote powietrze jesieni uczyniło lżejszemi strapienia kanonika, błękitne mgły łagodząco działały, weselej spoglądał i zagadywał milczącego Korczaka, aż zaszli przed dwa słupy bramy i stanęli naprzeciw.

— Kanonik bawił się malarstwem, nawet odważył się zesześcić kilka oltarzy swemi bazgotami, przeto wrażliwy na barwy, stanął jak wryty i patrzył myśląc: „Wojtek ma rację, to są tylko dwa słupy.

Stare olbrzymy drzew w części już nagie, fioletową czernią stały splątane konarzyskami, wysokie, olbrzymie.

Dwa smukłe słupy murowane przed niemi w słońcu. Wielkie u szczytu urny owite pasmami rzeźbionych owoców i liści zapraszały do dworu nadzieją pełnej

misy, a błyszczały w słońcu na tle fioletowej czerni drzew, topiąc stare mchy w szmaragdowe błyski. Słupy miały po ścianach zatarte płaskorzeźby, przedstawiające stare bogi wiejskie, a mchy i pleśń, urwany węgiel odslaniający namokłe rzędy ciemno czerwonych cegieł, stroiły się w słońcu niby opalem na tle drzew. A dobroczynny Pan wszystkiego, narzucił na omszały pomnik dawnego zdobnictwa, warkocze pnącego się dziokiego wina, gorejącego barwami amarantu, pomarańczy, krwawnika i złota. Gałązka przepelzła nad urnę i mieniła się swymi połyski przy szmaragdach mchach i pleśni zjadających pamiątkę po ojcach.

Nie można było nie odczuć wrażenia. Kanonik nie wiedział, co powiedzieć, Korczak czuł coś, jakgdyby wstyd, objawiający się tem zawziętym gniewem.

— To niczem wobec kraty. Pokażę kanonikowi kratę, kratę warto posłać do muzeum narodowego w Krakowie. A to w jakim celu trzymać! I tak się wali. Brudne to, jak nasz nieumyty chłop, przepraszam, obywatel bez mydła, ale z prawami obywatelskimi. Sentymentem możemy tylko radykalne żywioły wzmacniać. Jestem wyznawcą harmonji, porządku i czystości we wszystkim. Spójrzj kanoniku, tu widać pałacyk jak na dłoni. Spoglądnij na tę walącą się bramę. Czy to porządek? Czy tu ma się ostać tkliwość zawsze nam szkodząca, czy stanowczy porządek cywilizowanych krajów. Gadajcie, wreszcie puszczyki, demagogji, wam tylko schlebiać nerwom tłumów! Ale gdy Korczak czyściuchną bramę postawi, zaprosi tałatajstwo niemieckie i zapyta: „Panowie Niemcy, gdzież tu wy macie eine polnische Wirtschaft?!“ Czy naród ma Korczakowi za złe to przeczytać!... O, bo nie po to przedstawiciel narodu jedzie

za granicę, aby odpocząć. Z łona narodów cywilizowanych czerpie się to, co nam niedostaje. Tak czynią wyznawcy pracy i rozwoju i drugim przykładem świecą, a że tam gardłacze... — i machnął ręką zły Korczak żalując, że dał się unieść gniewowi wbrew woli.

Kanonik, jakkolwiek zgadzał się z wywodami gospodarza, nie mógł się oprzeć myśli, że te wywody nie mogą dotyczyć romantycznej pamiątki i że Łącki musi być złośliwie przebiegły, za cel bezpośredniego pocisku biorąc bramę, by tym sposobem prawdą upozorować osobistą lub żywiolową złość do Polaka potentata.

Przyszła więc kolej na kanonika. Przyznając służność półgębkiem starał się zwrócić rozmowę na bliższe wybory do Sejmu krajowego. Korczak nie poznał się na fortelu i żywo się o wyborach rozgadał. Po powrocie, przy bardzo sutem i ciepłym śniadaniu, po wypiciu kilku kieliszków znakomitego wina, obaj wodzowie, niekrępowani świadkami, rozbiegli się myślami po powiecie i bardzo dowcipnie i prostymi, niezawodnymi środkami, przy pomocy austriackiego rządu postanowiwszy działać, kpili z wszelakich usiłowań krzykaczy, którzy niezawodnie wystąpią przeciw jedynie godnemu i uprawnionemu kandydatowi.

Między nimi królowała niezamącona harmonja i przyzwoita zgoda...

I tam w miasteczku Wisłoku, harmonja wiecznego spokoju i posuwania nędznej taczki żywota nie mąciła pracy mieszczan. Może jedyny w miasteczku, doktor, żyjąc pogonią za ideałami pieścił lub pasował się z burzą i siłą duchowego życia. Od kilku dni palił mu piersi list noszony w kieszeni, nierozpieczętowany, a równocześnie brak wyteżającej pracy, bo praca przy cho-

rych była dla jego sił igraszką, wyciągał mu niecierpliwie nerwy niby struny... Po strunach błąkała się gigantyczna pieśń czynu, lub mętna muzyka coraz dotkliwiej żalącej się samotności. Dzień w dzień szukał w otrzymanych dziennikach, czy listu od sędziego nie będzie, a kiedy się nie mógł doczekać, jak dzieciak, sędziemu na przekór, rozdarł list z dworu Skarskiej, aby wyczytać, że w każdy dzień pogodny przed zachodem słońca do gaju na granicy wsi wyjeżdża Helena konno że ma bardzo wiele do mówienia i to o kwestjach ogólnych, nie dotyczących węzłów ich łączących. Zatem uprasza i zaklina, aby „pan Roman“ był łaskaw i czekał w pierwszy pogodny dzień w oznaczonym miejscu.

I o to wąż kusiciel w postaci uroczej Ewy niedozwalał mu wymazać z pamięci karty jego „narodowo-pieniężnych“ spekulacji. Wewnętrzna, zwycięska walka przeciw pokusie, wygasła już była w łonie Łąckiego, dziś samotność szeptała mu, iż posłuchać Ewy nie zawadzi, choćby dla zdobycia wszelakiego życiowego doświadczenia. Panna tak radykalnie wprasza ją się do utrzymania stosunków, nie powinna żądać zobowiązań i nie może rościć do mężczyzny pretensji.

Wielka prawda wynikająca ze społecznego stanowiska mężczyzny i kobiety, ułatwiała Łąckiemu rzecz całą. Na wezwanie kobiety można pójść zawsze, zwłaszcza, iż tu Helena chce się pojawić nie jako kobieta, ale jako człowiek. Więc tu Łącki bynajmniej nie ożył dla Heleny, jedynie samotność uczyniła go żądnym i ciekawym. Mimo to przed zwierciadłem nie chciał stanąć ponieważ czuł, że mu zdrowa krew barwi policzki. Myślał na zimno, a czuł na gorąco, dlatego po chwili

w której mu się schadzka przedstawiła obojętnie, nastąpiła chwila wstydu i ekspjacji i to wobec Stefki, którą w nowej siedzibie począł za swoją uważać. Więc do ściany gadając, począł składać ręce i przepraszać Stefkę, bo chociaż przyznawał, że w charakterze człowieka wobec Heleny się jawiąc, w niczem Stefce nie uchybi, przecież nawet w obojętnej sprawie, obojętności między nim a Heleną nie będzie, zatem jest za co Stefkę prosić o przebaczenie.

Tak tkwiąc między młotem a kowadłem umyślił, że stanowczo niedobrze żyć człowiekowi samemu, że takie rozbijanie się samotnych i niepodzielnych myśli tylko do dziwactw prowadzi, usiadł i napisał długi list do sędziego, o tem, że chorych ma podostatkiem, że chorzy go lubią, że dochody rosną, że doznaje dość życzliwości od otoczenia iż smutno i samotnie mu bardzo i codziennie prosi Boga, aby przynajmniej tatuś w imieniu córek, od najstarszej począwszy, koniecznie doniósł, co słyhać, czy zdrowi, a przedewszystkiem kogo i co kochają, kogo i co wspominają.

List dał mu tę ulgę, że zaprzątnął mu myśli Stefką i ochronił przed widziadłem Heleny, przed którym znów instynktem i rozumem gwałtownie się bronił.

Aż wreszcie zwymyślał siebie od tchórzów, wybrał się w drogę, po drodze oddał list rumieniejącej się ekspedytorce pocztowej i wyruszył za rogatki miejskie.

A było to w dzień polskiej smętnej, złotej jesieni, dzień przed wyjazdem kanonika do Korczaka.

Wyszedł na wzgórze, skąd było widzieć miasteczko i sporo wsi okolicznych. Czar boskiej przyrody, oddechem dawał niezmierzoną swobodę, oko bujało po

czarnych podzielonych polach i po pagórkach krzaczyną porośłych, złotych w słońcu. Wzrok biegł ku wsiom i osadom, górującym nad rozłogi grupami drzew żółtych, spokojnych, a smutnych. Serce, które kochać umie, przejmuje się szerokim przestworem widoku, rozległy widok na krąg świata, napawa je słodką zadumą. Kto zaś burzę życia przeżył, patrząc przed siebie w siny widnokrąg, dozna spokoju i ciszy. Łącki płynąc po morzu życia rozpiął wszystkie żagle, burzy się nie lękał, aczkolwiek poznał już, co wiatr przeciwny i prąd nie do przebycia. Lecz burzy nie poznał, bo jego statek był silny. To też doskonale czując wpływ czarów przyrody spogląda na wzgórza krzaczyną porośłe, na moczary, w których zwierciadle widzi wszystkie złote brzozy, rosnące na moczarzyskach, spogląda po kraju samym, po rozwalonych mostach, chylących się płotach, nędznych chatach, spogląda i rozważa. Umysł jego niezna znużenia ani rozterki, każda myśl jego o ojczyźnie i dla ojczyzny.

— Kto mi tu tak gospodarzy — myśli — kto mi tu mój kraj i mój lud trzyma w niechlujstwie i nędzy skrzeczącej, łachmaniarskiej, wylażącej nawet tem, gdzie Bóg ją najmiłościwiej przykrywa szatą przyrody! Kto mi te lasy poniszczył, wody pozostawił, który to gospodarz cierpi zewsząd wyzierającą głupotę i nędzę chłopa robotnika ojczyzny! To przeniewierca, nie gospodarz to tuman z tumanów...

Podle z zakrętu wyszło stadko nędznych krów, pędzone przez kilku brudnych i jak żebraki obdartych pastuszków. Łącki zobaczywszy to, naraz roześmiał się głośno i począł ręką witać mimo przechodzące krowy.

Witaj znaku ojczyzny! — zaczął mówić — Oto herbowa krowa polska! Cha... cha... cha... W sam czas objawiłaś się, bo myślę i płaczę nad krajem i narodem. A niechże w piekle pogorzeją gospodarze! Sobacze gospodarze! Jakie to krowy daliście narodowi! A widzieliście mózgi narodu? Mózgi miljonowej rzeszy ludu, któremu przewodzicie gospodarze! Widzieliście we łbach na rodowych korbę do pozytywki i wiązkę siana! Widzieliście! Co? Widzieliście gospodarze, wiem, że znacie te mózgi... więc jakie wy gospodarze sobacze, przekłete, niewiedzące, że aby nie było moczarów, ani pól jałowych, ani pólów połamanych, ani łachmanów, ani chat półdzikich ludzi, ani krów narodów chudych, trzeba łby narodowe uporządkować, oleju nalać i w imię Boga i ojczyzny zapalić olej, niech płonie... niech życie daje! ..

A imię wasze gospodarze... szlachcie i ksiądz!...

Pierwszy to raz tak wyraźnie nazwał Łącki gospodarzy ojczyzny, przewodzących narodowi do dziś dnia. Więc ocknął się i wglębił się w historję dotychczasowego życia narodowego, szukając innych gospodarzy, aby więcej ich znaleźć i zbrodnię rozdrobnić.

Próżne wysiłki, innych nie było! Były jednostki... lecz to kropla, ziarnko piasku i w niczem gospodarskiej krwi nie zmieniło.

— Więc kto żyw Polak, niechaj idzie od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka — i jak Piotr z Amieniu na wyprawę krzyżową, niechaj woła: do szeregu, do ratunku przed niemocą, przed niewolą, przed sromem wobec potężnych narodów depczących nasz był. plujących weń!

Kto nędzy naszej nie widzi, sam nędzarzem, kto nie utnie łba gospodarskiej głowie polskiej, ten pluchą

zakochaną w polskich łachmanach i brudzie, kto się ogląda posłusznie za garstką gospodarzy, ten jest współ z nimi krukiem, szarpiącym ledwie dyszące ciało!

Zirytowany i zły, iż nie może się z nikim rozgadać, czuł Łącki bardzo dobrze, że podniecony został procesem toczącym się obecnie w stolicy kraju, gdzie polskie społeczeństwo pod hasłem „narodowem“ wybrało do izby poselskiej nieznanego z działalności narodowej profesora uniwersytetu członka grupy gospodarskiej, a nie poparło członka „Młodej Polski ludowej“, i niezmordowanego, potężnego zaiste proroka Polski powszechnej i uświadomionej. Grupa gospodarzy w napoły śpiące społeczeństwo wparła myśl, że prorok Polski powszechnej jest tylko pionkiem klasowym ludowym, gdy tymczasem profesor wybraniec gospodarzy, jest kandydatem powszechnym wszystkich stanów. I gołębie, a bez grosza, lub śpiące społeczeństwo wrzasnęło „niech żyje polskie gospodarstwo“, sam zaś wybraniec profesor wraz z grupą gospodarzy zapewne śmieje się w kułak i wie doskonale, że jeżeli on reprezentuje stu „panów“, mieszczan i chłopów, to „Młoda Polska“ reprezentuje sporo również „państwa“ ale tysiąc mieszczan i chłopów.

Ha... polscy gospodarze rozkazali, pokazali niemieckie bagnety, warknęli... więc zgoda. Gospodarze naród ogarniają, natchnioną, a niestrudzoną pieczą!... Ha... reprezentant niezmierzonej masy narodu niech idzie między chłopcy odezwy rozdawać, płuca suszyć, język strzępić, on jest klasowy... ponieważ do obdłużonych dworów nie zagląda i niemieckich ministrów nie szanuje... Co tam, że wiedzie za sobą legjon doktorów i wykształceńców, roje mieszczaństwa i chmurę chłopstwa

polskiego... on nie jest kandydatem narodowym, jeno kandydatem narodowym jest uczony sofista, za którym stoi rząd niemiecki, biskupów i szlachty grupa, pieniądze, lizołapy i kobiety w niejakej kompanijce... te ze strachu przed Bogiem, nienawidzącym samodzielności ludowej.

Oto we śnie arystokratycznym dano mandat narodowego gospodarstwa jednemu z dotychczasowych gospodarzy. O szczęśny narodzie, któremu wystarczy poczciwe polskie gospodarstwo!

Wtem na wzniesieniu, gdzie wilgotna droga szkliła się do słońca, pokazały się dwie postacie jeźdźców. Wprost słońca nie wiele było widać, jeźdźcy w szybkim kłusie się zbliżali. Łącki widząc to, powstał i poszedł naprzeciw. Promienie nisko stojącego słońca padały obfitą strugą rażąc oczy, a w świetle konno jadące postacie olbrzymiały, zarysy ich były ogniem przetkane, jedna z postaci naraz rękę wzniosła w górę i wyglądała jak św. Jerzy, albo rycerz legendowy pędzący przez ogień.

Postacie stanęły, jedna z nich zsiadła z konia, oddała drugiej i postąpiła kilka kroków ku nadchodzącemu Łąckiemu. Była to Helena w czarnej amazonce. Obfity biały woal bielił się dokoła kapelusza, biała jedwabna krawatka odstawała od gładkiej piersi, dyszącej ze zmęczenia. Powitanie odbyło się ceremonjalnie, ale jakgdyby oboje wczoraj się rozstali. I poszli w pierwszą boczną drożynę, prowadzącą ku gajowi, rozmawiając o pogodzie, piękności jesieni i o wypróbowanym sładze, który jak stare wiarusy ślepo oddany panience, jest jej wiernym towarzyszem w wycieczkach niemal codziennych.

Przedwczoraj byłam z nim, cztery mile stąd, w Brzezinach. Jest to miejsce słynne z cudów, znajduje się tam cudowny obraz Matki Boskiej brzezińskiej. Pojechałam tam, aby prosić Boga o powodzenie dzisiejszej rozmowy — zwolna mówiła Helena.

— I wolno pani wydalać się bez przepisanej formami opieki?

— Pomnąc nauki pana, nie pytam o pozwolenie. Gdy mi mamusia z wujciem czynili przedstawienia, wyjaśniając niestosowność takich wycieczek, odpowiedziałam, że tylko wtedy usłucham, kiedy wyrażą powątpiewanie o mej cnocie i honorze. Tego nie uczynili, bo uczynić nie mogli, dlatego jeżdżę z towarzyszem gdzie mi się podoba, zawsze wdzięczna panu za nauki. Ileż to razy pan mię uczył... czyń to co ci sumienie każe i nikogo o pozwolenie nie pytaj.

— Lecz pani te nauki przyjęła zbyt skwapliwie, bezwzględnej wolności nauczam li tylko w sprawowaniu idei, w codziennych obowiązkach życia zaprzęgam w jarzmo i żądam jarzma.

— Bo pan nie wie, że z pewnemi zmianami przyjęłam pańskiego ducha i żyję obecnie dla idei.

Łącki spojrział Helenie w oczy i omal się nie uśmiechnął.

— Pani?

— Tak jest. Dzięki pańskiej znajomości stosunków poznałam, że katolicyzm naszego narodu jest w rzeczy samej często... malowany.

— Pani! Niepoznaję pani?

— Spodziewałam się tego. Zabrałam się do wielkiego dzieła, odczuwam wiele energji i siły, przyjecha-

łam pana wezwać do udziału w wielkiej sprawie. Pan mi nie może odmówić.

— Z największą chęcią, jeśli to jest sprawa narodowa.

— Tak narodowa, po części narodowa. Czuje się szczęśliwą, ponieważ dzięki panu znalazłam cel w służbie dla idei, a ten cel schroni mnie przed targającą próżnią, która się nagle przedemną otwarła. Pan poszedł, lecz zbawczy ślad po sobie zostawił.. Pan odszedł, trzeba było dla zdrowia szukać nerwu, którego poczęło niedostawać...

Mówiąc to Helena poróżwiała, poczęła robić pierśią i głowę spuściła. Po twarzy przesunął się cień szarpającego bólu, siłą woli gwałtownie stłumionego.

Łącki począł odczuwać ciepło niemiłe, w tym momencie było mu nijako, żałował Heleny i żał mu jej było.

— Racz pani bliżej swoje zamiary określić.

— Tak, trzeba działać. Naszemu narodowi brakuje komendy.

— Przeciwnie pani, jest jej za wiele.

— Więc brak jedności.

— O tak!

— Wszystkie siły należy zebrać pod jeden sztandar. Jedynie niepokalanym sztandarem, jest sztandar Kościoła katolickiego.

— Może jest niepokalanym, ale nie jedynym. Względnie pani nie ściśle się wyraża. Nauka Chrystusa jest niepokalaną, każda religja świata ma atoli niejedno na sumieniu, o ile jest przez ludzi prowadzoną i utrzymywaną.

— Więc nauka Chrystusa zjednoczona w Kościele.

— Tak, dobrze.

— Naukę Chrystusa ludzkość wyznaje, ale po większej części jej nie słucha.

— Pani znakomicie to pojmuje.

— To też spodziewam się, że pan pójdiesz za mną w bój za przewodem krzyża. Pójdziemy nawracać ludzi, jednoczyć ich pod znakiem krzyża, wszystkie stany, wszystkie inne idee, wszystkie drogi kierować będziemy ku spólnemu ognisku Chrystusowej miłości! Cały polski naród zespolony we wierze świętej, dla tego silny i niezachwiany, stawia czoło każdej piekielnej mocy...

Łącki chwilę myślał, potem zapytał:

— Pani będzie łaskawa wyliczyć kilka szczegółów tej walki.

— Każdy okręg kraju będzie miał jedną głowę, spólną świątynię, która będzie miejscem zborów, sejmów ludowych. W tym celu wyznaczy się każdą świątynię z cudów słynącą, a w razie potrzeby pobuduje się nową. W tych okręgowych świątyniach będzie się udzielało odpustów, będzie się organizowało pielgrzymki do Rzymu, zasiadający tam trybunał złożony z naczelników duchownych i świeckich będzie wyrokował i prowadził lud moralnie i nienagannie przez kazania, gazety i broszury i tak dalej... et cetera...

Helena umilkła i z wyrazem tryumfu oczekiwała odpowiedzi, tymczasem Łącki nie wiedział co mówić.

— To piękna idea — nakoniec powiedział — to stokroć lepsze, niżeli pijaństwo, karciarstwo i niedokre-

wność narodowa. Ale ja w to palców umaczać nie mogę, ponieważ nadewszystko jestem Polakiem.

Helena zdumiała się.

— Wręcz muszę oświadczyć, że pierwszy zapisałbym się jako wróg tej idei... Zresztą niech mi pani popatrzy w oczy... Nie powiem więcej, zanim mi pani nie powie, kto to wszystko wymyślił. Wątpię, aby pani tak zaciekle występowała przeciw najlepszym naszym polskim nadziejom. Taki rozmach w zamiarach pani pochodzi prawdopodobnie z rozumu pana Korczaka.

— Myli się pan. Wujcio mi tylko przyklasnął i stanął w szeregu. Ja sama, ja sama jestem autorką.

— To łagodzi pani winę. Owoż mogę pani dać następujące wyjaśnienie... Każda społeczność religijna musi być konserwatywną, a Polska żywotna musi być postępową. Następnie, to samo, co pani zamierza, działo się u nas dotychczas jedynie bez tej formy. Rezultaty tej księżo-szlacheckiej trybunałowej polityki dały nam nędzę, ciemnotę, niewolę i bezwstyd narodowy. To są niczem niezwalone fakta. A przytem, pani, po co nam tak sztucznej maszyny do karmienia nowej krowy polskiej, lub też uczciwego głosowania przy wyborach. Zresztą nie chcę pani mówić wyraźnie, bo się to na nic nie przyda..

— Panie Romanie...

— Co pani!

— Wszak to jedyny sposób pogodzenia wszystkich!

— Ach! Jesteśmy już pogodzeni. Polska jest wierną Kościołowi. Trzeba coś teraz dla siebie czynić. Droga najkrótsza najlepsza, wszak pani owędy przez Kościół chce zejść do krów i postępu! Pani, to zbędny

balast! Ja jako narodowiec uważam panią za niepotrzebny ciężar i pierwszy przeciw pani wystąpię.

— Pan?

— Ja.

— Czy po drodze grzechu, niewiary, obrazy Boskiej, bez modlitwy w sercu możemy dojść do celu?

— Nigdy nie dojdziemy! — krzyknął Łącki.

— Więc łączmy się pod sztandar krzyża!

— Jesteśmy połączeni.

— Nie wyznajemy Chrystusa!

— Nie wyznajemy i wyznawać nie będziemy do końca świata. Próżne marzenia. Do wyżyny nauki Chrystusowej, ani Kościół, ani wierni dotąd nie doszli, ani nigdy nie dojdą. Więc nie zaprzataj się pani inną formą już istniejącej wzorowej religijnej organizacji.

— Pan jest aż tak zaciekłym!

— Pani aż tak obojętna na narodowe bole!

— Ja w odwet przeciw panu wystąpię!

— Będę się radował, uczciwych walka uczy rozumu i ustępstwa.

— Pan jest tak samo wrogiem Kościoła!

— Jakto... „tak samo“?

— Jak cały świat!

— Widzi pani. Gdybym zaczął naprawdę gadać, pobilibyśmy się, a pani poniosłaby winę tej bitki, w skołatany naród wprowadzając nową walkę z urojonymi wrogami Kościoła, z takimi jak ja Polakami...

— Tacy Polacy są wrogami Chrystusa!

Łącki stanął i począł Helenę razić wzrokiem.

— Pani... nie popadaj w anarchję! Frazesy, to anarchja!

— Nie rozumiem pana.

— Przeto nie mówmy. Pani, błagam panią, nie mówmy, a rozejdźmy się w miłości Chrystusowej.

Helena znamienne niepokoiła się z każdą chwilą więcej, wyraziściej. Niespodziewając się tak stanowczej rozprawy, zwolna traciła zapał i siły. Jako wypieszczone dziecko sztucznie gwałcące w sobie bole i męki nieodwzajemnionej miłości, nie miała rzeczywistej siły ideowej, lecz tylko zapał i w zapale mierząc, ze strony kochanego człowieka słyszała słowa obojętne, wrogie i nieprzejednane. Duma prosić nie dozwalała, wobec stanowczych odpowiedzi Romana dowcipu jej nie stało, a gdy Roman widząc jej niepokój odezwał się: „Pani prawdziwie do twarzy jedynie w szatach poezji, wszystko inne jest udawaniem...” po słowach tych Romana nagle na duchu upadła i zapłakała.

Ten płacz był oznaką wielkich cierpień i okazywał, jak wielkiej trzeba siły do walki, kiedy los i ludzie zadają ciosy uczuciom, a tu mimo ciosy należy być nieugiętym, aby na koniec zwyciężyć.

Romanowi było smutno, ponieważ doskonale rozumiał stan dziewczyny. Ale bez wzruszenia oglądał łzy wielkie, płynące po pięknem licu. Przypuszczając, że zamierzona przez Helenę propaganda była łapką na niego, odgadując, że to miłość i rozpacz prowadzi Helenę na sposoby, doznał niesmaku i goryczy i myślał: „Biedna ona, zapomnieć mnie nie może, ja zaś Bogu dziękuję, żem nie ugrzązł w tem morzu paradoksów.” I nic więcej nie ozwało się w jego sercu, nawet zmysły nie zagrały, albowiem powaga kwestji wytoczonej przez dziewczynę zmroziła w nim męskie chucie.

Położenie było ciężkie. Oboje zgodnie czuli, że na niebo weszły potwornej grozy chmurzyska, mimo, iż zachodzące słońce pomalowało świat purpurą, na jedwabny biały muślin zawoju Heleny, rzuciło różowe blaski i fioletowe cienie, w których twarz bolem objęta była przedziwnie piękną i bajecznie wspaniałą.

Lecz Roman był okrutnym i jedynie pragnął okrucieństwu kres stawić.

Helena atoli do odwrotu się nie zabierała, nie wypadało więc odejść. Trzeba było spełnić obowiązek towarzysza i „bawić“.

— Pani ma olbrzymie zalety — mówił Roman. — Powiedziałbym, że pani wyróżnia się, wystrzela ponad wszystkie kobiety bogatych sfer polskich. Jeśli żąda walki u pani jest szczerą, pragnę panią zachęcić. Wystąpi pani tym sposobem przeciw mnie, to prawda, lecz co pani po mieszczeniu. Niech pani tylko wystąpi, niech wszyscy polacy wystąpią, z czem kto chce, lecz oby Bóg dał raz, żeby wszyscy wystąpili! Jeden z katolicyzmem, drugi z mahometanizmem, trzeci z asekuacją powszechną, czwarty z dobrobytem przed oświatą, piąty z oświatą przed dobrobytem, szósty z masonizmem, siódmy niechaj nagotuje beczkę bobu, niechaj jeździ po ulicach i wrzeszczy: „bób gorący... kupujący...“

Helenie nie było do żartów, zbiedzona zwracała głowę ku Łąckiemu jak pokorna samica, zapewne chciała wiązać stargane losy. Ale nic się wiązać nie chciało, tymczasem cienie wieczoru ziebły i swym zimnym jesiennym tchem dotykały parę idącą drożyną. I tak zeszło na niczem, a rozstać się wypadało. „Dowiedzenia się...“ Łącki jej tak samo odpowiedział. Siadła

na koń. Znikła w dolinie już mrocznej, tem mroczniejszej, iż była naprzeciw wielkiego blasku zachodniego nieba.

Łącki „per pedes apostolorum“ szedł rażno ku miasteczku. Chód jego był lekki, sprawny, wiele bowiem chadzał piechotą, toż rychło ostał się nad rzeką pod murami.

Naraz słyszy głos, nie widzi człowieka, jednak słyszy rytmiczny głos poważny z niedalekiej oddali. Zaciekawiony niepostrzeżenie się skrada i widzi człowieka w czerni stojącego na łące przy urwanym brzegu wody. Więcej z pustoty i ciekawości, niż z przecucia, skrada się krzakami łązy rosnącej nad rzeką i podchodzi tak blisko, że wyraźnie słyszy słowa mówiącego.

Poznał głos ks. Zabudy.

Młody ksiądz stał na urwisku, zwierciadło bladej wody mając u swych stóp. Podobnie jak na mownicy, stał wyprostowany, głowę jasną od wieczornej zorzy zwrócił przed siebie, obie ręce wyciągnął, jakgdyby w tłum chciał wtłoczyć słowa, głosem wielkiej rzewności wymawiane głośno i wyraźnie:

— Miłujcież tę ojczyznę swoją i to Jeruzalem swoje, a mówcie tak z serca z Dawidem: Jeśli cię zapomnę ojczyzno miła moja i Jeruzalem miłe moje, niech zapomnę prawicę ręki swojej. Niech język mój przyschnie do ust moich, jeśli pomnieć na cię nie będę, a jeśli cię na czele wszystkich pociech moich nie położę...

Jak rodzajne stworzenie z Arki przymierza, szła boska mowa Skargi, a ksiądz łykając gorące ognie, cisnące mu się w gardło, rósł w uniesieniu i na pustkowiu, w chłodny wieczór jesienny przywołał nieogarnione rzesze, stojące w głębokiej ciszy, słuchające po-

mazańca Bożego. Sam atoli ksiądz tłumów nie sprowadził, Łącki urósłszy w sercu w miliony, był narodem, był godnym odbiorcą natchnionego słowa.

A ponieważ znał owe kazanie sejmowe, zostało mu myśli na postawienie pytania: „czy ten „półwarjat“ lepszym jest dla narodu niż „trzeźwy polityk“, czy mówią prawdę obecni konserwatywni gospodarze kraju, iż powszechnym zapałem wywoła się jedynie zemstę wroga, a nic się dla kraju nie uczyni“.

Trzeba księdzu wyrazić uszanowanie. Trzeba czekać, aż skończy, nie zawstydząć go, trzeba zejść nieco dalej od tego miejsca. Więc tak samo, jak kot, milczkiem, kryjąc się w czerni mroków, cofnął się Łącki, i poza mostem między drzewa chodząc, czekał.

Milczenie było powszechne, w pół godziny później czarna postać księdza objawiła się prawie niepostrzeżenie. A że biedny księżulo zasadzki się nie spodziewał, gdy został z zadumy zbudzony powitaniem Łąckiego, przeląkł się tak gwałtownie, iż niemógł złapać oddechu.

Łącki to spostrzegł, począł przeproszać i chcąc się uczyć dyplomacji, skorzystał z przestrachu, aby swą serdecznością młodemu księdzu wkraść się do serca. Słyszał był bowiem już kilkakrotnie, tak od chłopów, jak od mieszczan, że dawno nie było tu tak przezacne go księdza, że ten ksiądz jest zupełnie inny, niż wszyscy księża, uroczyste kazanie na pustkowiu za tem przemawiało.

Tymczasem ksiądz zaczął:

— Panie doktorze — mówił ks. Zabuda — czemże pan drasnął kanonika. On o panu nie umie mówić spokojnie. Dzisiaj przy obiedzie z niezmiernym niepokojem wyrażał obawę, że pan zechce mówić na wiecu

stronnictwa katolicko-narodowego, który się odbędzie w przyszłą niedzielę.

— Nic nie wiem o zapowiedzianym wiecu.

— Jakto? Nie ma pan swych sztabowców.

— Skądże znowu, choćbym ich chciał mieć, czasu na zebranie nie było. Dotąd ku wielkiemu zmartwieniu, nic dla sprawy nie uczyniłem, żyłem jak pies w budzie.

— Jakto? A cóż że kanonik rozpowiada o pańskich knowaniach?

Ks. Zabuda nie mógł ukryć zdziwienia, a Łącki pomyślał: „O... takich nam trzeba. Prostych i jawnych... przysięgnę, że nie kłamie..“ — i dodał głośno: Przykro mi, że ks. kanonik rozszerza nieprawdziwe wieści. W nasze społeczeństwo wkradł się zbrojecki zwyczaj, porażania przeciwnika potwarzami i kłamstwem. Dzięki przykładaniu się do publicystyki, znam każdy choćby najsłabszy odruch polskiego społeczeństwa i kilkakrotnie skonstatowałem, że w Galicji, zwykle żyją prawdą organa szczerze postępowe — czasami udaje się to innym organom, ale nader rzadko. Przeważnie żyje się w Galicji kłamstwem... dla osobistego interesu.

Ksiądz wpił oczy w Łąckiego, prawie niewidzialnego z powodu ciemności. Gdyby to był dzień, z pewnością ksiądz szukałby szczeliny w ziemi, aby tam zapaść. Wizerunek chrześcijańskiej skromności, ksiądz począł zalewać się rumieńcami, albo gorącem po zimnej twarzy. Zamilkł tedy, a Łącki chciał koniecznie wybrać z księzego serca, co tam było.

— Ksiądz zapewne osłupiał po moich słowach... Powiedziałem tak wyraźnie z wyraźnym celem. Pragnę odpowiedzi w tem mniemaniu, że ksiądz nie rzuci się

na mnie i nie rozszarpie mię w kawały, jak to niestety czynią rozliczni księża.

— Niestety... — wymknęło się westchnienie.

„Oto sługa Chrystusa“ pomyślał sobie Łącki „oto głos ludu mianuje go takim księdzem, jakiego tu dotąd nie było“.

— Księżę, racz coś więcej powiedzieć! Proszę cię księżę!... — mówił Łącki.

— Później, potem, musimy poważnie mówić — odparł kapłan — Tyle panu powiem, że Chrystus Pan szaraczkom szczepił najświętsze nauki.. Ja pragnę takiej Polski, jakim jest Kościół święty powszechny, pragnę Polski szaraczków, Polski ludowej, Polski równej, jak równym jest chrześcijanin u Stołu Pańskiego ..

Znów szli nie mówiąc do siebie, ksiądz drżał w obawie, że za wiele powiedział, że doktor ma prawo opowiedzieć to innym, a gdyby powiedział, ksiądz stałby się ofiarą zamętu. Ale księdzu nie szło o ofiarę, krzyż i ostre gwoździe, to dla niego wiekuistego szczęścia narzędzie i owoc upragniony kapłańskiego żywota... ksiądz drżał w obawie zamętu, możeby chętnie patrzył na nowe życie narodu, druzgocące szlachecko-klerykalne maszyny, lecz wolałby, by nie on był początkiem domowej walki.

A Łącki miał w duszy ciepło szczęścia. Polski kapłan olbrzymiał w jego duszy i wydawał mu się orłem z rozciągnionymi skrzydły wiszącym nad ziemią rodzicielską, unoszącym się w niepokalanym błękanie. Marzenia sięgające dziecinnych snów spełniły się. Przypuszczał, że znalazł narodowego kapłana, coś mu mówiło, że się nie myli.

Na rynku miasteczka przy świetle łojówek rozkładano tabory na jutrzejszy targ tygodniowy. Szwargot najlepszych polskich kupców, czynił wrzenie. Wiekuista hańba „trzeźwych polityków“ dotychczasowych gospodarzy kraju, polscy kupcy, przedstawiali niezmiernie czysty styl polskiego miasteczka tak, że obcokrajowiec, gdyby nie znał „polskiego gospodarstwa“, musiałby napisać we wrażeniach z podróży, że Polska odznacza się dwojakim rodzajem czystej-polskiej rasy. Na wsi żyje typ słowiański, w miasteczku przeważa typ semicki, tak samo ubiory narodowe na wsi są inne, w mieście ubiorem Polaka jest czarny chałat i pejsy, ozdoba twarzy.

Czy mógłby inaczej napisać, gdyby nie znał i nie poznał „polskiego gospodarstwa“. Ksiądz zgodził się, że nie mógłby inaczej, boby w swym rozumie nie zaznał przypuszczenia, iż naród polski nie tylko do dziś walczy z żydami jak panienka, bez śladu siły i wytrwałości, ale znosi to przeważnie trzeźwo i skromnie, zdobywszy się ledwie na naiwny i gołosłowny antysemityzm.

Przechodząc mimo bryki naładowanej glinianymi garnkami, zwrócił Łącki uwagę na ożywiony rozhovor kilku mniej stylowych handlarzy, bo Mazurów, którzy z garnkami na targ przyjechali. Niechcący przyglądał się gwarzącym i spostrzegł między kilkoma tego małego człowieczka, z którym niejako poznał się w kancelarji Rzeckiego.

— Patrz księżę, to Kowalik!

— Pan go już zna?

— Przypadkowo zwrócono na niego moją uwagę. Powiedziano, że to straszny człowiek.

— Tak? Straszny?.. A, nie chcę panu nic o nim powiedzieć, niech się pan z nim zaznajomi, a potem sam sąd wyda.

— Mówię szczerze, że mi pilno do tej znajomości. Nie lękam się strasznych ludzi. Nie taki czarny djabeł..

— Ha... bardzom ciekawy, co pan mi o nim powie.

— Zaraz idę do niego. Chodźmy zaraz.

— Poszedłbym — rzekł ksiądz — ale na mnie czas nie przyszedł... Mnie księdzu nie wypada zbliżać się do niego. Gdyby kanonik był inny... albo gdyby to było później... w jaki wielki dzień odrodzenia... Panie doktorze... pan mię za język ciągnie, wobec pana mówię więcej niżelim powinien...

— Księżę, bój się Boga, mówisz bardzo mało, to ci się zdaje, wiele ci w duszy śpiewa, lecz ja nic wyraźnego nie usłyszałem — powiedział Łącki bardzo serdecznie, ściskając rękę księdza.

Ksiądz odwzajemnił uścisk i prawdopodobnie zmieszany, a podniecony kazaniem wygłoszonym do milczącej rzeszy dusz polskich, mówił jeszcze chwilę zdaniami zupełnie porozrywanymi, nagle uścisnął obie ręce doktora i bardzo szybko umknął w kierunku kościoła.

Łącki naprzeciw siebie miał chłopą, bacznie śledzącego obu „panów“.

Chłop widocznie bardzo otrzaskany z „panami“ widząc, że ksiądz odszedł, ruchawo przystąpił do Łąckiego, podał rękę i lekko się skłonił.

— Witam pana doktora. Byłem już razem z panem doktorem u notariusza.

— Pamiętam panie Kowalik, pamiętam. Pan z garnkami?

— A śwagrowim garki przywiózł i tu na noc zostajemy.

— O panu mówią straszne rzeczy.

Chłopina serdecznie się rozśmiał.

— O la Boga! Nie zapomnieli o Kowaliku!

— Wtem szybko zbliżyła się postać niewieścia, odziana chustką i przypadła do doktora.

— Panie konsyljarzu, wielkie nieszczęście! Ks. kanonik przyjechał i kazał prosić pana doktora proszę natychmiast, nasza gospodyni śmiertelnie chora. Już wzięła Sakramenta św.! Panie konsyljarzu!

Była to wychrzcianka z domu księdza, w przestraszu ciągnąca Łackiego za rękaw.

— Idę pani. Co to takiego?

— Upadła na kamienne schodki.

— Upadła! W jakim wieku?

— Jeszcze nie bardzo stara. Panie konsyljarzu, ks. kanonik gniewa się, żeśmy zaraz nie posłali.

— Widzi pan — zwrócił się Łacki do Kowalika — Lekarz nigdy nie jest pewny godziny.

— Tak jak chłop przed podatkiem — wesolo odparł Kowalik.

— Masz pan chwilę czasu?

— Całą noc — i uradowany popatrzył na doktora.

Łacki pochwycił ten wzrok ohotny, wpraszający się do uwzględnienia.

— Niechże pan przyjdzie do mnie, pogadamy.

Na to Kowalik cały się poruszył, znać było, że zaproszenie Łackiego sprawiło mu radość.

— Dziękuję pięknie za zaproszenie! Panie konsyljarzu, bardzo pięknie dziękuje — mówił uradowany chłop, podając rękę doktorowi.

— Dowidzenia się — i poszedł Łącki do gospodyni.

Gospodyni w istocie ciężko chora, rozpaczliwie jęcząc wzywała wszystkich świętych, a na przybycie doktora pokładała się różańcami i rozmaitymi „świętymi obrazkami“. A doktor po swojemu, z drobiazgową pieczołowitością, serdecznie i jak przyjaciel, mówił do chorej, a chora zdumiona niezwyčajną troskliwością, dziwnie w swej trwodze topnieć poczęła i z coraz większą ufnością odnosić się do lekarza.

Stan chorej przedstawiał się poważnie. Noga była złamana. Kilkakrotnie Łącki biegał po przyrzady i opatrunki; Kowalik już czekał.

Wreszcie się doczekał i wraz z Łąckim mówił bardzo wiele i bardzo długo. Kto to był Kowalik? Gadał po prostu, nieuczenie, używał gwary przeważnie domorosłej, czytał nie zupełnie biegle, pisał słabo, herbaty z rumem pił wiele, jeno wódki nie pijał, a w swych opowiadaniach zamysliwał się, powtarzając półgłosem: „zło krew... zło krew... proszę pana...“

Dlaczego Kowalik był dla „tamtych“ kością w gardle i strasznym człowiekiem? Próżno silił się Łącki, aby sobie odpowiedzieć. Kowalik mówił umiarkowanie, przekleństwem i grubjańskimi przezwiskami gardził, jedynie z bezwzględną stanowczością walił w trony „polskiego gospodarstwa“, czerpiąc swą chłopską wytrwałość i siłę z obfitego życiowego doświadczenia.

Był więc widomym znakiem samodzielności polskiego chłopa! Był godnym, żeby go macierz Polska do serca przygarnęła!

I w duszy mówił Łącki do narodu:

Za nim!.. Z nim wespól!.. Odradzaj się narodzie!.. Śmiało!.. Naprzód!.. Straszny Kowalik jest błogosławionem ziarnem przyszłości!..

Kowalik pozostał na noc. Łąckiemu się śniło, że wszystkim lud polski rozwinął narodowe sztandary!..

XII.

Pewnego dnia pierwszy śnieg spadł z nieba cicho bez szelestu, ułożył się po wzgórzach i równinach, oblekł ziemię miękkim, białym pokryciem, a dając ziemi nową szatę, dał jej nowe uroki i piękno.

Piękno śnieżnej szaty, zwłaszcza pierwszego śniegu budzi w ludziach może nie tak rozkoszną radość, jak wiosenne niebo i pierwsze listki wiosny, bądź co bądź jednak widok pierwszego śniegu, jego tysiączne barwy orzeźwiają uczucia; radosne dusze pełne są uciechy, smutne dusze doznają ulgi.

Łąckiemu było dziś bardzo dobrze na świecie. Z rozrzwinieniem spoglądał na białe pola, na drzewa wyciągające ku słońcu białe, lśniące tęczę ramiona, na szarą wieżę kościoła i jej kopuły czarne, z których wiatr już zdarł śnieżną zasłonę, na ściany domów ciemniejszych, niż białe dachy, na podwórka czyste i białe. Lecz był i drugi powód zadowolenia. Dziś Hefajst łąskawy przyniósł listy z Krakowa. Jeden od sędziego, obszerny i przyjazny, druga kartka z obrazkiem, podpisana przez Stefkę słowami zagadkowemi: „kto chce dotrzeć do celu nie powinien zbaczać z drogi..“ To niespodziewane szczęście..

A tak. Widmo Stefki w czarownym płasie zabiegało przed oczy młodzieńca, coraz częściej i goręcej patrzył w obraz tej dziewczyny, obraz tak żywymi i rozkosznymi barwy malowany, iż bywały chwile, kiedy przed wszystkiem oczyma zamykał, aby sycić się widziałem jej i większego szczęścia na świecie nie pożądać. Tak było coraz częściej.

A gdy sobie przypominał niedawną rozmowę z Heleną, doznał przykrości, skrzywił usta i wyrzekł słowo: komedja..

Przez żydka, handlującego z dworem Skarskiej, dowiedział się, że mimo usiłowania matki i Korczaka, aby pannę wywieść za granicę, a choćby do krewnych, Helena z miejsca ruszyć nie chciała, a dwa razy po natarczywych namowach Korczaka, dostała spazmów.

Dziś list z domu sędziego, opisujący z możliwą dokładnością obecny żywot Stefki, wywarł na Łąckim nieporównane wrażenie, aczkolwiek treścią nic wyraźnego nie powiadał, wydawał mu się dokumentem szczęścia, nieznanym dotąd, raj zapowiadającym znakiem życia, wezwaniem, by dobrowolnie wyznaczoną sobie służbę w miasteczku zespolił węzłem z kobietą, która go, jak dobry anioł, powiedzie przez pole walki. Bo co też to sędzia o niej dobrego napisał, ile tam w niej skarbów i żywego ducha, a wszystko to prawda, co pisze, ponieważ Stefka zawsze jest taką.

O, to dobrze, że sędzia się rozpiisał, że Stefka wie o tem i że to wszystko otrzymał w dniu nieskończone wesołym. Jak to dobrze, że wielkie uczucie dla Stefki się budzące, zrodziło się w czasie, kiedy Helena gwałtowne ataki przypuszcza do czułego na wdzięki niewieście młodzieńca.

Czem by był, jakiby z niego był pożytek, gdyby pożądliwem sercem stawał po drogach, oczekując ognistych spojrzeń pałacowej pani i zapomniał baseł, poszedł w niewolę? Byłby wygodnym sobie smakoszem, kukułką w cudzem gnieździe. A nie mógł zaręczyć, czyby piękna pani nie tryumfowała nad pokonanym Samsonem, czyby z pola ciężkiej pracy zeszedłszy, nie legł na jedwabiach, bezsilny, wołający nerwowych rozkoszy, których wpływom już nieraz ulegał i dotąd ustawicznie czuł, że się od nich głowa zawraca.

Przeto nie tylko budzący się ogień nieznanego przedtem uczucia, ale rozsądek, w imię raz przyjętej służby, kazał mu iść za głosem nowych uczuć i dzień dzisiejszy uważać za nowy akt życiowy, który powiedzie go do celu prostą drogą.

Więc szedł, a dowodem jego rozmiłowania się we wdziękach nadobnego polskiego dziewczęcia była ta nieskończenie drobna okoliczność, iż listy z Krakowa nadeszły, a on je cenił jako akt uroczysty. Dzisiejsze godziny myśli o Stefce były dla niego źródłem nieograniczonej potęgi i niebotycznej nadzieji.

Niechętnie drzwi otwierał odwiedzającym go chorym, radby wyrzec się dziś styczności z ludziskami, byle płynąć po morzu rojeń.

Tymczasem nietylko chorzy, ale zdrowi do drzwi pukali.

Pierwszy Rzecki wpadł, jak piłka, do pokoju.

— Tylko odwagi — krzyknął. — Niezwykle jestem zemocjonowany. Wiem o tej całej historii. Kanonik pragnie się pana osobiście i publicznie zapytać i publicznie stwierdzić, żeś pan jego wywody na wiecu

nazwał kłamstwem. Tylko odwagi, nie zapierać się, trzeba mieć odwagę powtórzyć to, co się powiedziało.

— A któż panu powiedział, że nie mam odwagi?
— rzekł Łącki.

— Nikt tego nie powiedział, ale założywszy się z rejentem, że kanonik pana za to ścigać będzie, chcę koniecznie zakład wygrać.

— Panie, trochę za niskie pobudki.

— Bo pan mię nie rozumie. Piszę studjum o żarłocznym klerykaliźmie, pragnę mieć klasyczny przykład. Mój panie.. tylko odwagi!

— Proszę pana, poco wznawiać rzeczy znane i jasne, jak słońce.

— To nie pańska rzecz — odparł Rzecki. — Pragnę wystąpić z zupełnie nową kwestją. Chcę zestawić wszystkie klerykalizmy świata, aby dowieść, że klerykalizm jest tem samem, co nacjonalizm, socjalizm etc., że klerykalizm ma tendencje udzielne, zwalczające wszystkie inne tendencje i dążenia.

— Prawda — rzekł Łącki — ale żał mi pana wraz z pańską pracą. Racz pan mniej jeździć po świecie, a częściej bywać w domu. Tu jest tyle do roboty, że aż w głowie trzeszczy, pilność i praca pańska zdałyby się bardzo ojczyźnie.

— Partykularna walka! To mi nie imponuje. Nauka i badania — te jedynie w swych odkryciach społeczeństwu korzyść niosą. Jedna książka uczyni więcej, niż sto borb krajowych.

— Lecz tę książkę trzeba każdemu w łapy wciśnąć, a tych, którzy tego zakazują, pokonać, powalić, pogruchotać — powiedział Łącki z uczuciem niezwykłej siły, nabytej dziś po liście sędziego.

— Na spory z panem nie mam dziś czasu, nie oglądam się zbyt na przeciwników. Jednak pana usilnie proszę, miej pan odwagę... — mówił Rzecki.

— Dziwna prośba. Niedawno twierdziłeś pan, pamięta pan, w kasynie siedząc na zdrapanej ceratowej kanapie... że mi nie pozwolisz się marnować w codziennych utarczkach, dziś żądasz, abym czas i nerwy marnował, wojując z kanonikiem. Ani ja jemu, ani on mnie w drogę nie włązi, nie chce rozmazywać spraw osobistych. Jeśli przyjdzie do mnie i zapyta, czy słowa jego nazwałem kłamstwem, powiem, że tak. Lecz on i tego nie potrzebuje, gdyż ma świadków wiarygodnych. Niechże więc czyni, co zechce, ja zawodowym smolarzem nie jestem — mówił Łącki.

— Lecz dla efektu niech pan to uczyni przed sądem honorowym.

— Jak to? Mamże marnować siły na odpieranie publicznej złości tego człowieka? Panie, pan, jako człowiek nauki, powinien być przynajmniej chorągiewką żelazną, cięższą, nie tak gibką. Pan mi miał przeszkadzać w marnowaniu się!

— Panie, panie — ofuknął Rzecki. — To cel wybitny, to nie brama, nie Kowalik, nie konspiracja z nauczycielem Maziewiczem!

— O, smutno mi po słowach pańskich.

— Pan utoniesz we fatałaskach — rzekł Rzecki

— Może się utrzymam na wierzchu, już będę szczęśliwy. Pan zaś na wybitnych celach wyjedzie na półki biblioteczne. Ja we fatałaskach będę powagą światową, pan bez pracowni naukowej, tu, w żydowskiej dziurze będziesz pustym dzbanem.

— To moja rzecz. Więc co?

— Wzajemna poręka. Pan w obronie bramy, ja przeciw klerykalizmowi! Zgoda?

— A to z pana chytry osobnik. Więc co?

— Nic. Organizuję wiec chłopski. To taki sobie narodowy fatalaszek.

— Ee... pan z chłopami już poczyna!

— Bo z mężami nauki do końca dojść nie można
— wesoło odparł Łącki.

— Jutro przyjdę jeszcze raz.

— Zostań pan dzisiaj i odbierz ultimatum.

— Uszanowanie...

— Uszanowanie...

Z Rzekim ustawiczna wojna, zupełnie nieszkodliwa, działała na Łąckiego dodatnio. Po gwałtownem wyjściu gościa, śmiał się wesoło, równocześnie żałując, że tyle dziwactwa osiadło w jednej głowie sprytnej i odważnej.

Za chwilę uroczysta cisza zapełniła pracownię doktora, on sam usiadł we fotelu, na rękę sparł głowę i dobremi oczyma spoglądał przed siebie; spojrzenia słodkie były wyrazem jego dumań o najbliższej, a przecież dalekiej, o której sędzia pisał, iż kilkakrotnie, zapracowana i zaczytana, wstydząc się swych słów, powiedziała: „będę teraz zupełnie inna, pan Roman nauczył mię, jak trzeba pojmować obowiązki Polki.“

To brzmi inaczej, prosto z duszy, to nie komedja pańskiego dziecka o sercu pełnem zachcianek.

Pańskie dziecko do szaleństwa lubi jazdę saniami. Rączymi, szlachetnymi końmi mknąć po wygładzonej drodze, podnieca się aż do bezwładności, świst wiatru miotającego śniegiem jest dla niej pieśnią, kołysanką, wiążącą jej myśli rytmem szalonej pogoni, której celem

nasycenie pożądlivych pragnień, której końcem sytość, i konie srebrną pianą zbryzgane.

Taką zapowiedź z prośbą o towarzystwo otrzymał Łącki przed kilku dniami.

Ta dziewczyna głowę traci z miłości... kocha go, mieszcucha, zaprzańca, renegata, wroga ładu i porządku... rozłącza blaski powabów, podobna świetnością do sznura pereł i brylantów... Lecz co w niej więcej, prócz tej zagadkowej miłości?... Będzie-li matką, będzie kobietą?.. W Polsce?.. Cha... cha... będzie gwiazdą polskiego gospodarstwa, matką karciarzy i bałwochwalców panowania!

„Precz mary!.. Jam szlachcic polski — mówi do siebie Łącki — ojczyzna na mnie największe obowiązki włożyła... próchnem nie będę, tak mi Boże dopomóż.“

Tak. Trzeba święconą kredą próg zaznaczyć, nie przestąpią już tego progu zwodnicze blaski rozkoszy, lehczące szeptu o tańcu i biesiadzie! Stefka cicha, a promienna, stąpa między sprzęgnięte kajdanami niewolniki, sieje w ojczyste skiby gorące tchnienia, z których rośnie siła i śpiący naród się budzi. Stefka przejdzie moje progi!

Nie godzi się sądzić, że Stefka na ołtarzu kobiety złożywszy swe cnoty, wszystko inne i polskość rzuci na wiatr i na frazesy. Skąd wiara w obywatelskie cnoty Stefki urosła? Ze serca.. nie z głowy... nie wiele się ma dowodów, iż Stefka polskiej kobiety koronę cierniową włoży na skronie... lecz w sercu wiara urosła... boć serce miewa przeczucia... wytworne serca czują każde drgnienie!.. Więc naprzód!..

Grzechem polskiej duszy jest brak siły w chwili stanowczej. W krainy czynu polska dusza nie często za-

gląda, polska dusza roi i mknie z niewstrzymanym pędem, w wyżyny miłości, aż pod niebo ulata, zda się, że Bogu podobna zbawiać będzie i błogosławieństwo zrodzi.. tymczasem omdlewa rychło, blednie lub pada jak ptak z przestrzelonem skrzydłem... i miasto czynu, rodzi łzy, albo każe człękowi machnąć rękoma i rzec: jakoś to będzie.

Łącki wie doskonale, że pierwszym hasłem odmłodzonej Polski... jest czyn. Trzeba prosić Boga o władzę użycia siły wtedy, kiedy się jej chce użyć.

Trzeba zaprawiać się codziennie, każdej chwili i marzenia widomą postać nazwać dziełem, a nie dziełem nazywać marzenie, jak to było dotychczas.

— Dziś mi nie trudno ziszczyć marzenia, to i byle Polak potrafi — myśli samotnik. — Kochać i bardzo kochać umiemy, zwłaszcza kobiety. Więc poco zwlekam w tak prostej sztuce? Pojechać trzeba do Krakowa, rzucić się przed dziewczyną na kolana i prosić ją o to szczęście, którego jest pełna.

I druga sztuka prosta. Po drodze staje mi to rozpląsane bożyszcze użycia, chce mię pociągnąć, abym się spalił na ołtarzu żądz, lub motylem dokoła róży latał.. Nic z tego, pani! Trzeba mi zamknąć panią w pałacu, bo tam pani miejsce, a drogi prostym żołnierzom zagradzać mi nie wolno!.. Ja idę bić się o wolność ojczyzny!...

Mysząc tak, czuł ogromną siłę, a że już doszczętnie wystygł dla Heleny, przejął się cierpką chęcią rozcięcia sprawy jednym zamachem i odsunięcia jej na zawsze! Czy ją zrani, czy nie zrani, szkoda mu czasu na targi, wstyd mu wreszcie, że w Helenie nadziei już dawno nie zabił, puszczając swe serce więcej na

łosy, niż działając w myśl stałego planu, wstyd mu wreszcie, że dotąd tak wobec Stefki, jak wobec Heleny nie umiał dopełnić wszystkich formalności, które są zawsze w społeczeństwie potrzebne.

Dzisiaj obraz Stefki jaśniał cudnymi barwami i szczęście ściewało... A tam szamoce się nieszczęśliwa pani i pragnie zwyciężyć upartego odstępcę i jest jakoby rywalką Stefki. To złe towarzystwo dla Stefki... należy skończyć.

Przygotował sobie samotnik kartę papieru i po chwili namysłu tak napisał: „Ponieważ jakiegokolwiek stosunki z podpisanym prowadzą do obopólnego nieszczęścia, racz Pani podpisanego wykreślić z szeregu znajomych i zapomnieć o nim zupełnie. Dr. Łącki”.

Zadowolenie samotnika było nieograniczone. Ulżyło mu się, wydało mu się, że z szelestem mgławych skrzydeł ulatywały dręczące mąry, spokój wstępował w serce pełne miłości dla Stefki.

Wtem leciuchne pukanie do drzwi spokój rozprasza. Na zaproszenie doktora wsuwa się pan poczmistrz Klepacki, od drzwi czyni zagadkowe miny i skrada się na palcach.

— Pan poczmistrz z sekretami? — zapytał Łącki.

— I z jakimi — odparł Klepacki na drzwi się oglądając. — Czy te ściany nie mają uszu? — zapytał.

— O, nie mają z pewnością.

— Możeby firanki zapuścić, musimy pogadać...

— Panie poczmistrzu, czy pan na serjo boi się nieproszonych recenzji z pogadanki? Panie poczmistrzu, z niedługiego doświadczenia wiem już na pewno, że żadna siła i ostrożność nie ochroni nas od publicznego

powtarzania naszych rozmów. Milczymy wobec drugich, jak głazy, a wszyscy wiedzą o czem mówimy. W miasteczku mieszkają kolosy wiedzy, nie nas przed nimi nie ochroni.

— Ależ wystarczy, że mię przez okno zobaczą, wszak prosto od kanonika idę do pana konsyljarza.

— Widzi pan poczmistrz, że wystarczy. Żydowskie bachory widziały, żeś pan tu wchodził, to wystarczy kolosom wiedzy. Oni już wiedzą o wszystkim.

— Ha... trudna rada. Co ma być, to będzie, ale nie mogłem pana tak zostawić. Pan nic nie wie, co to dziś u kanonika... — szeptał Klepacki.

— Bardzo mię to mało obchodzi. Poznałem już w kanoniku generała polskiego gospodarstwa, stąd też przestał mię interesować. Mam tu coś nowego do roboty. Czy pan wie, że organizuję komitet młodzieży rzemieślniczej?

Klepacki poruszył się i wyłupił oczy.

— Nic nie wiem.

— Czy pan wie, że organizuję wiec chłopski?

— Dalibóg... nic nie wiem!

— Jakimże to się cudem stało? — krzyknął Łącki?

— Ciszej, ciszej, na Boga!

— Panie poczmistrzu dobrodzieju — rzekł z uśmiechem Łącki. — Czy polskie społeczeństwo ma się zawsze składać z gromady baranów i kilku psów owczarskich? Panowie, czy to po rycersku drżeć przed byle plotkarzem?

— Są pewne sprawy wyjątkowe, przez ogół złe widziane, w tych sprawach muszę być ostrożnym. O, w innych się nie dam...

— Panie poczmistrzu — przerwał Łącki. Uważam, że te sprawy wyjątkowe, to zawsze jakiś ruch, jakiś postęp. Pięknie będzie ten ruch wyglądał, jeśli się będzie odbywał po nocy lub po niedostępnych urwiskach.

— Do czasu, panie konsyljarzu...

— Czwarty pan mi to powiada. Wstyd, moi panowie! — oburzył się Łącki. — Do czasu — zdechniemy z głodu!

Tu poczmistrz Klepacki spojrział na Łąckiego bardzo wymownie i rzekł:

— Za co właściwie nazwał pan kanonika kłamcą?

— Za kłamstwo — odparł Łącki.

— Niby jakie?

— Niby proste, zwyczajne — rzekł Łącki.

— A mianowicie..

— Mianowicie, że poseł Bojko lud bałamuci, aby wycygnąć poselstwo. Z poselstwa ciągnie zyski, pobiera żydowskie pieniądze, które obraca na zbytki i podróże, jak wielki pan, a nie chłop. Następnie, że wodzowie stronnictwa chłopskiego po to lud buntują, aby po chłopskich karkach zająć do majątku i godności. Panie poczmistrzu, podobnie głupiej, ordynarnej i kłamliwej mowy dotychczas nie słyszałem. Wszak wiadomo wszystkim, pośród czeredy karjerowiczów starej kasty, że tylko czterech przywódców ruchu ludowego czyni wszystko dla interesu, o nich zaś kanonik nie wspominał. Wiadomo wszystkim, że prócz tych czterech inni, jak lwy walczą, a jak święci cierpią w imię powszechnej Polski, a tych właśnie wyraźnie i głośno pomówił kanonik o łajdactwo i kłamał i miał odwagę kłamać, mimo, iż wszyscy poznali się na tem.

— Gdzież tam, panie! Nikt nie zna tego wszystkiego!.. — szepnął Klepacki.

— Pan zna? — zapytał Łącki.

— Jak tabaka w rogu. Skromnym jest.

— Wiem, wiem, że wszyscy jak tabaka w rogu. Lecz, aby nie hańbić narodu, twierdzą zawsze, że wszyscy Polacy znają ruch ludowy. Bo to hańba, nie znać tych wiekopomnych w Polsce ruchów. To, panie poczmistrzu, nie jest ruch po nocy, to nie sprawa wyjątkowa, to jasne i dostępne wszystkim. Polak nie znający dokładnie wszystkich barw ruchu ludowego hańbi się!.. przepraszam za ostre słowo..

— Na pana się nie gniewam.. tak jest.. czuję wstyd..

— Wiem, że pan poczmistrz żywi w sobie nerw narodowy, wiem i za to pana ogromnie cenię.

— Ja też powziąłem do pana konsyljarza ogromną sympatię. My demokraci..

— Ja już przestałem być polskim demokratą.

— Pan wolny, swobodny, pan może sobie na wszystko najgorsze pozwolić.

Łąckiego napadł serdeczny śmiech.

— Tak jest. Pozwalam sobie na najgorsze i to głośno i otwarcie. Straszny jestem zbójcą i łotrem.

Poczmistrz wlepił oczy w śmiejącego się doktora, przegiął się w tył i zdumiony kojarzył jakieś myśli ciężkie, ołowiane, odbijające się na nieruchomej twarzy i obwisłej dolnej wardze.

— O takich ludziach, jak pan konsyljarz, dotąd nie słyszałem — rzekł nakoniec i westchnął.

— W tych czasach usłyszysz pan nieraz, mój panie poczmistrzu.

— Będzie zatem u nas wojna — cicho powiedział poczmistrz i znów pocziwy wzrok jego spoczął na Łackim.

— Panie, dlaczego dziś pan taki tajemniczy, mój panie poczmistrzu? — zagadnął doktor.

— Ach, wszystko się na to składa. Paskudne kawały się podziały, wojna wypowiedziana..

— Komu? Gdzie?

— Panu w domu kanonika!. Jako demokratą i tajny sprzymierzeniec wszystkiego, co kroczy naprzód, rzuciłem własny spokój na los szczęścia i przybyłem pana powiadomić. Ciężką stoczyłem walkę, zanim tu przybyłem. Przeszępując pańskie progi, panie konsyljarzu, wiem na co się narażam..

Tu Łackiego porwał gniew.

— Panie poczmistrzu, czy to kpiny, czy to żarty? — powiedział żywo. -- Czy to ja zapowietrzony, czy dom mój to pijacka knajpa, czy djabli zamek, czy ja gdziekolwiek i kiedykolwiek uczyniłem coś, coby moją cześć w podejrzenie podało, iżby przestąpienie progów moich miało być czemś zdrożnem? A... panowie, tego nikomu nie daruję, nawet panu poczmistrzowi, chociaż demokracie... Proszę się wytłumaczyć, panie poczmistrzu!

Poczmistrz w nastroju orężnym, przystępny był wszystkim gwałtownym uczuciom, więc po wezwaniu Łackiego strętował i mimowoli, niemógł się odezwać, jedynie błagalnie się wpatrywał.

A Łacki widząc bezsilność tajnego demokraty, zmiękł i mówił dalej:

— Przed kim się pan naraża, wchodząc w mój dom? Przed smokami, czy sprzysiężonymi, czy samo-

dzierżcami? Kto tu ma prywatne prawa? Skąd je wziął? Gdzie je kupił? Mów pan, panie poczmistrzu!

Poczmistrz odzyskał mowę i odparł jakby pod grozą:

— Wszystko to prawda, nikt nie ma prawa rządzić, tylko rząd ma to prawo. Tymczasem nasze baby przywłaszczyły sobie ton, którego musi słuchać każdy, komu spokój miły. Na czele bab gra kanonik i radca i cała ta spółka i ta muzyka gra, a każdy musi w takt tańcować, inaczej biada mu.

Poczmistrzowi zdawało się, że mówiąc to, dokonuje wielkiego czynu, przeto nagle z poddanego stał się rycerzem, wstał, wsadził ręce do kieszeni i postąpił kilka kroków ku stolowi, na którym przygotowane przez Łackiego stały dwa pełne kieliszki wina i obok rozpoczęta butelka. Gdy Łacki poprosił do wina, uchwycił kieliszek, wznosił go w górę i zakończył:

— Na naszych zebraniach przy okazji imienin lub podobnych uroczystościach, my demokraci wylewamy potoki żółci z racji tej miasteczkowej muzyki, której grać nikt nie nakaże, lecz która każdemu ma coś do nakazania.

— To nie możecie, panowie, porwać struny skrzypicielom?

— Kiedy bo oni grają na niewolnictwie duszy ludzkiej, a to jest nieskończone.

Gdy to Łacki usłyszał, wypił na pomyślność poczmistrza, pocałował się z nim z dubeltówki i rzekł:

— Bez pochlebstwa, panie poczmistrzu, wypowiedział pan wielkie zdanie. Niewolnictwo duszy ludzkiej jest nieskończone. Jedno tylko dodam. Pan sam jesteś

wielkim niewolnikiem i gdyby nie to, byłbyś pan znakomitym żołnierzem obywatelem.

Poczmistrz ulegający przeważnej energii młodego człowieka i już jego poddany w pewnej mierze, ucieszył się jak uczeń, otrzymujący dobrą notę od nauczyciela.

— Lecz pan konsyljarz nie ciekawy wiadomości? Powtarzam, że wracam od kanonika. Tam coś było... warto posłuchać...

— Ach! Więc proszę mówić. Gadano tam przeciwko mnie, z pewnością wynicowano mię. Czy pan był sam, czy był kto więcej u kanonika?.

— Wszyscy byli! Zgroza! Więc pan nic nie wiesz, że był tam dziś proszony obiad. Kto bodaj jedną złotą gwiazdkę na kołnierzu nosi, był osobiście proszony!

Poczmistrz rzadko kiedy bywał rozmowny. Dziś, czy to pod wpływem napojów podawanych przy proszonym obiedzie, czego się Łącki z pozorów domyślał, czy pod wpływem ideowego przymierza z Łąckim, rozgadał się i możliwie dokładnie opowiedział historję proszonego obiadu.

Biedny! Nie wiedział, iż był zaliczony do mniejszych bogów i wraz z wielu mniejszymi opuścił był dom kanonika wcześniej, niż kilku senatorów. To, co słyszał, było przygrywką, nie słyszał zaś kwartetu senatorów.

A tak to się wszystko odbyło.

Gwar, brzęk szkła, otwieranie butelek, różowe i zadowolone oblicza całej starszyny miasteczkowej, były wymownym dowodem, iż na proszonym obiedzie u kanonika Ziemby, nie próżnowano. Uprzejmy gospodarz niestrudzenie biegał między gości. Już zdrowa, tylko trochę utykająca i wybladła gospodyni, wysyłała

kuchni pełne misy nie bardzo kosztownych, ale smacznie przyprawionych potraw, kielichy opróżniły się, w całej pełni panowała pogodna zgoda, obowiązki proszonego obiadu spełniali goście z przykładną gorliwością.

Kanonik bez różnicy godności urzędowej, bowiem innej inteligencji nie ma po polskich miasteczkach, dzielił między gości czułe wyrazy, odbierał to samo i od czasu do czasu poglądał na zgromadzonych i wzrokiem osądzał, czy dość ma przyjaciół i obrońców przed urągającym mu intruzem.

Gdy po jakimś czasie dymiące misy się wyczerpały, poczęło się kurzyć z czupryn, a czem się więcej kurzyło, tem głośniej i czulej gadano. Śmiech, krzyki, wołania, parne powietrze, rozpromienione oblicza były wymownem świadectwem gościnności kanonika.

Wszyscy wiedzieli, jakie powody skłoniły kanonika do fundowania tej uczty. Nie tajemem było nikomu, iż doktor nazwał kanonika kłamcą, że kanonik pragnie z ust towarzyszy miasteczkowego, karcianego życia usłyszeć słowa oburzenia, z drugiej strony zaufania i szacunku, w zamian wyżalić się przed towarzyszami i wezwać przeciw doktorowi.

Czoło miasteczka, to jest zebrana dziś u kanonika „inteligencja“ nie miała wyraźnych powodów wystąpienia przeciw doktorowi, prócz kilku bowiem wiernych przyjaciół kanonika, nikt nie pałał przeciw doktorowi złością, tem mniej chciał się mieszać w zatarg między dwiema jednostkami, bo właśnie takie wmięszanie się, ugodzić by mogło w najtkliwszą cnotę „inteligencji“, to jest w idylliczny spokój umysłów. Ale tak samo czoło miasteczka nie miało powodu zrażania sobie życzliwości wpływowego kanonika, tem więcej, że interes dobrej

konduity urzędniczej wymagał dobrych stosunków z przedstawicielem władzy kościelnej.

Z tych to powodów szedł każdy, aby kanonikowi dogodzić, postanawiając w skrytości ducha równocześnie palić świeczkę drugiemu adwersarzowi i życ z dość samotnie trzymającym się doktorem, grzeczność i bez urazy.

Tymczasem kanonik, spodziewając się, iż ten lub ów nie przyjdzie, był pełen tryumfu i radości, widząc wszystkich zaproszonych, tem samem widząc w nich... rozumie się... gorących swych popleczników, a wrogów doktora.

Odpowiednio do jedynej i zbawiennej polityki „inteligencji“, ilekroć osoba kanonika pojawiła się w pobliżu, każdy, ile mógł, furczał i piorunował na doktora, wyzywając go od ludowców, buntowników, niedowarzonych głów i jak mógł, okazywał kanonikowi szacunek głośny i rzekomo niekłamany.

Skoro jednakże osoba kanonika w inne strony się zwróciła, czempredzej urywano jeremjady, aby przy wszelkiej okazji zabawić się należycie, plotek się nałykać, nagadać się do woli o najrozkoszniejszych przypadłościach, bo o możliwych awansach i rozstrzygnięć ustawiczne spory przy taroku lub preferansie.

Już gęste tumany pary były z czupryn biesiadników, już każdy wyraził kanonikowi, co miał wyrazić, już śmiech szeroki zamieniać się począł w chrapliwy dźwięk, lecz nikt dotąd nie ujął steru w rękę i nie zadokumentował uczyty ceremonjalną i uroczystą przemową do kanonika.

Trącano się wprawdzie łokciami, namawiano się wzajemnie i jednomyślnie rozumiano, że należy publi-

cznie kanonika pocieszyć, należy w jakąś używaną w świecie formę ulać to, co by było świadectwem wdzięczności za zjedzone zrazy i wypite piwa i wina, mianowicie trzeba by paradną mową „spsioczyć” doktora i załatać dziurę w honorze kanonika — ale nikt nie miał odwagi wystąpić tak, jak tego by kanonik wymagał, nikomu się nie chciało stanowczo oświadczyć przeciw sympatycznemu doktorowi.

Na świecie ludzie mają serca. Nieprawda?..

A nadszedł już czas rozwiązania języka, ostatnia chwila trącania się łokciami; wszyscy czuli, że kanonik czeka mowy, tu atoli Klepacki zlewa otoczenie zimną wodą i radzi ograniczyć się na prywatnem gadaniu, tam Rzecki dla swych celów naukowych agituje łokciami i gestami, aby wytoczyć najcięższe działa przeciw doktorowi, tu większość nie wie na co się właściwie zgodzić, co wypada uczynić, aby był wilk syty i koza cała.

Kanonik niedwuznacznie objawiał życzenia, jakiejby mowy pragnął. Wystarczyło bacznie wpatrzeć się w postać okazałej osoby duszpasterza, aby wyczuć tam ogromną burzę, wprost słyszeć przeraźliwy głos huczący w mózgu: zemsty! zdruzgotania! zatarcia śladów po śmiałku!

A słowa obficie wypowiedane do biesiadników, błagalnie i natarczywie domagały się wspólnej krucjaty przeciw masońskiej agitacji.

Czy kanonik był naiwnym, czy nie pojmował, że wszystko co dotąd czynił z Łąckim i podobnymi, było wymysłem zgoła podstaw nie mającym. Czy był to ciastny umysł albo mściwy tyran żelazną ręką przez świat idący?

Nie. Kanonik był zupełnie wykształconym człowiekiem i w sercu mu niejedna struna grała, lecz straszliwy furor pchał go częstokroć poza szranki kapłańskie, a gdy ów furor rozdał żagle, wymowę potroił i na policzki krwi nalał, kanonik tracił Boga w sercu, rozum w głowie, wydawało mu się, że do piekła strącić, to tak, jak zjeść kromkę chleba z masłem. Oprócz wrodzonej popędliwości kanonik truchlał też na myśl, że kto inny prócz „powołanych“ to jest prócz kleru, może paść owieczki, a nadto oddany Rzymowi niepodzielnie, dbał o Polskę jak pies o piątą nogę.

I takiemu kanonikowi wypadało dogodzić, a równocześnie nie zabijać Łackiego. I oto wbrew utartej opinii, dyplomacja okazała się tu najłatwiejszą umiejętnością, skoro filozofom małomiasteczkowym wprawdzie niż inne rozумы zakwitła, zapędziła ich na proszony obiad, a teraz kazała trącać się łokciami, krzyżować spojrzenia, przytakiwać gospodarzowi, nakoniec zadzwonić w pełną szklankę czerwonemu z emocji rejentowi, powstać i wygłosić następującą przemowę:

— Czcigodny gospodarzu!

Kanonikiem zatrzęsło, pobladł i wargami ruszył. Goście z szelestem się uciszyli, radosne westchnienie było ostatnim wyrazem dyplomacji.

Rejent mówił dalej:

— Z ochotą śpieszył każdy w gościnne te progi.

— Brawo! Niech żyje nam! Tak jest! — w rozliczne głosy rozryczało się towarzystwo i klaskało zawzięcie.

— Duszpasterz i duchowna głowa naszego miasta potrójne dziś święto obchodzi. Pierwsze święto to niezbite dowody naszej czci okazywanej przez wszystkich

panów z osobna i przezemnie w tej chwili, w imieniu wszystkich tu zgromadzonych. Drugie święto, to jedno-myślność nasza i łączność wobec każdego zła, spotykającego któregośkolwiek z przedstawicieli i kierowników naszych. Trzecie święto, to zgoda, co nas łączy w imię naszej wiary i naszego obyczaju.

— Brawo! Brawissimo! — wrzasnęło kilkanaście głosów. W tym zgiełku Klepacki poczmistrz podniecony trunkiem i drugi jemu podobny cichy demokrata, młody nauczyciel, zebrali kilku zawodowych śpiewaków imieninowych i na dany znak ryknęli co siła „Niech żyje nam“, jak prowadzili porwali za sobą stado baranów, otoczywszy kołem kanonika, dzierżąc pełne puławy, napelnili mu uszy dowodami czci, jednomyślności i zgody.

Napróżno rejent dzwonił w szklankę; dłuższą chwilę stał, zanim się znów uciszyło, głównie za agitacją Rzeckiego. Gdy się uciszyło rejent mówił dalej:

— Mógłbym mówić wyraźnie, lecz wolę niewyraźnie!

— Brawissimo! — wołali zgromadzeni. Rzecki tymczasem stanął na krześle i zawołał: „Clara pacta! Im wyraźniej, tem i jaśniej!“ Gdy jednak chciał dalej mówić, pan poborca podatkowy, wiecznie chory na żółtek, cichy stronnik lekarzy, porwał zapalonego Rzeckiego w pól i ściągnął go z krzesła.

To wywołało gwarliwy śmiech, podobny do rehotania żab, poczem rejent znów mówił:

— Złota młodość miary nie szuka i płynie wartkim strumieniem. Młodzi ludzie niekiedy po niewczasie żałują wielu czynów niebaczących, a jeszcze częściej wielu słów.

Oklaski i ponowne objawy zadowolenia.

— Ale wiara nasza każe nam wpierv kochać, a potem potępiać. To stwierdzi czcigodny gospodarz, nasz mentor moralny i nasz przywódca duchowny. Uwłaczające słowa, które padły z ust młodego człowieka przeciw naszemu czcigodnemu kanonikowi zabołały nas wszystkich i kazały przez moje usta to wyrazić. Powołując się na nauki wiary św. podnoszę, iż ten ból po części do wszystkich należy, więc współczucie i szacunek, jakim otaczamy naszego przewielebnego kanonika, pozwolą mu ukoić się w przyjacielskiem gronie, znaleźć zupełne zadośćuczynienie, a słowa przez krewkiego młodziana prywatnie wypowiedziane uważać, jako błąd młodości i tym sposobem sprawę po chrześcijańsku załatwić. W nadziei, że przewielebny ksiądz kanonik nie wzgardzi satysfakcją, jaką mu nasze serca dają, piję na jego cześć i niech nam żyje i niech nas tak kocha, jak my jego!

Drgnęły ściany, brzękły szyby od wiwatów, a garść żaków pod oknami zgromadzona dyszkantem wtórowała grzmotom dobywającym się z jadalni.

Szkoda, że tacy wytrawni dyplomaci, z wymownym rejentem na czele, pełzają po nizinach żydowskiej miejsciny i giną, gnani przeznaczeniem z jadalni do jadalni, od imienin do libacji awansowych, od festynów do libacji powitalnych i pożegnalnych.

Kanonik był zbyt przebiegły, aby wykwintnej dyplomacji nie zrozumieć. Rad nierad, udając wzruszonego, odpowiedział ogólnikami i w odwet pił na pomyślność gości, skutkiem czego wzrósł chaos i buchnął choralny śpiew i stokrotne wyczałowywanie się jednomyślnych i zgodnych biesiadników.

Ale niespodziewanie radosny, a więc za mało grozy niosący nastrój, zirytował kilku zdecydowanych zwolenników kanonika Ziemby. Mecenas Mączka i radca Uściański, wysoce obrażony na doktora za to, że pierwszą wizytę złożył kierownikowi szkoły Maziewiczowi, a nie jemu, widząc zapamiętałe intrygi Rzeckiego, pchnęli go do głosu, chcąc koniecznie wywołać jakiś silny odruch zgromadzonych.

Rzecki wylazł na stołek i zaczął z kopyta:

— Panowie, obaj poprzedni mowcy, a zwłaszcza czcigodny nasz gospodarz, unieśli się rycerską cnotą niewalczenia z wiatrakami lub bezbronnym. To w dzisiejszych nierycerskich czasach jest cnotą tak czcigodną, że w mych oczach, w tej chwili, mowcy zdobyli się na heroizm! Ja zaś z naciskiem przeciw temu protestuję! Nie możemy żądać choćby od świętego, tyle abnegacji i chowania pod korzec wszystkiego, co kto plunie!

— Racja! Znakomicie! — krzyknął mecenas i wszyscy za nim.

— Dziś nie możemy nic uczynić, tylko po chrześcijańsku przebaczać. Nie mamy bowiem przed sobą przeciwnika, on się bronić nie może, więc za przykładem czcigodnego kanonika głosimy miłość. Ale to tylko na dziś! Jutro możemy to samo uczynić, wpierw jednakowoż on musi stanąć przed forum szanownych panów, musi cdwołać potwarz, albo ją uzasadnić i zmienić w prawdę! Musimy wypowiedzieć wojnę mądrym stołeczaninowi i pokazać, że i na żydowskiej mieścinie my nie śmiecie, ale stołeczники! Czy byle stołeczanin ma nas uczyć rozumu?! Co?!

— Brawo! — ryczało bractwo, nagle podniecone trafnem przemówieniem do ambicji. Rzecki jednym zwrotem zwyciężył!

— Wojna! — krzyczał Rzecki.

— Wojna! — krzyczał mecenas Mączka.

Klepackiemu poczęło się w głowie kręcić i uczuł wielką niemoc.

Tymczasem Rzecki siadł dalej:

— Marnego to gatunku szacunek dla przewielebniej osoby kanonika, to gołosłowne ubicie sprawy. Sądzę, że improwizowana akademja i sąd nad sprawą doktora wobec niego samego, będą dowodem naszej miłości prawdy, zarazem dowodem, że nas bardzo a bardzo afera naszego kanonika dotknęła. Co panowie? Prawda, panowie?

— Racja! — krzyknął mecenas.

A biesiadnikom nieco zbitym z tropu radykalizmem Rzeckiego, uśmiechnęła się duma i ambicja. Snać chwila rozwagi nadeszła, bo gwar się umniejszył a gdy kanonik rzekł: „pan Rzecki święte słowa wypowiedział“, ruszyło się bractwo z chwilowej kontemplacji i przejęło się rządzą rozsądzania sprawy. Mecenas Mączka uważając, iż Rzecki zwycięża, dmuchał z zapalem w jarzące się zarzewie i kuksem w bok pobudził mowcę do dalszej pracy.

— Jutro, pojutrze, za tydzień, na neutralnem miejscu, na przykład w naszym kasynie „narodowem“ — tu szeroki śmiech towarzystwa poparł słowa mowcy — więc w kasynie narodowem, tylekroć z powodu narodowych brudów przez naszego doktora wyśmiewaniem, zbierze się obszerne grono sądu, zaprosimy obrażonego i obrażającego i w danym razie natrzemy rogów euro-

pejskim śmiałkom, albo się pogodzimy, jeśli warunki będą po temu. *Si vis pacem, para bellum!* Chcesz pokoju, gotuj wojnę. A więc panowie, cywilizacja górą, niechże i my kołtuny czemś będziemy! Wojna panowie! Honorowa wojna!

Grzmot, huragan zapału, kilkanaście rąk i gęb poczęło dusić kanonika i Rzeckiego, a gdy troskliwa gospodyni wniosła nową baterję flaszek z piwem i winem, gdy nieznużony wikary ks. Zabuda dolewał, jak zawodowy szynkarz, gdy nowa sytuacja zrodziła nowy animusz, Rzecki w tył skręcił, wyniósł się za drzwi i jak wiadomo, popędził do doktora, aby go namówić na publiczne jawienie się przed sądem honorowym.

Klepacki zamieniał ciche spojrzenia z garsiką cichych demokratów i rósł w trwogę wobec faktu, że rzucone ziarno przez Rzeckiego nie poszło na marne, zwłaszcza przygrzewane podobnymi argumentami mecenasa i radcy.

Kanonik Ziemba tryumfował. Z trudem poskromił zgiełk towarzyszący wyborowi sędziów rozjemczych, których ze strony kanonika mianowano w osobie radcy i mecenasa. Chciał przecież doprosić się głosu, aby chwilę wykorzystać i zagrzać rozochoczone duszyczki do krucjaty. I przecież doprosił się głosu i zaczął.. od masonów i socjalistów! Chrypka, dusząca dźwięk surowych słów, wypowiedanych z bezwzględną zapamiętałością czyniła wrażenie, że kanonik chce jednym zamachem zdławić potwarcę.. goście ulegli wrażeniu, siła wymowy, akt potępienia wrogów wiary św. i obyczajności chrześcijańskiej, równocześnie chrapliwy głos, dobywający się z gardła, jak ryk zwierza z jaskini, w rzeczywistości targnęły nerwami słuchaczy.

Chwila była przejmująca. Zatrute dusze trunkiem, trwały się nienawiścią, kanonik był mądrym kaznodzieją, umiał niekiedy tłumy w dreszcze wprawić. I nikt nie przerwał, zatrute dusze trwały się, została jedyna nadzieja... otrzeźwienie i niepamięć tego co się po pijanemu czyniło. A młodemu sędziemu było tego, zawiele. Widząc w kącie nagromadzony stos butelek, w ciężkiej pasji zbliżył się ku niemu i ważył chwilę... wykonać zamach, czy go nie wykonać... Baczny na wszystko ks. Zabuda, niewiadomo dlaczego blady i niespokojny spostrzegł to i czuwał.

Naraz klątwa rozdziera duszne powietrze, pełne wyziewów najsilniejszej cywilizowanej trucizny:

— Pan... straszny Sędzia... Wszechmocna Sprawiedliwość, zetrze w proch ród padalców... zeżre ogniem prosekatorów przeświętej Nauki... na pastwę męki poda spółników czarciego dzieła...

— Spiła się armata — zgrzytnął młody sędzia i kopnął nogą stos flaszek!

Brzęk szkła był piorunem! Zmięszał szyki mówiacemu, orzeźwił zasłuchanych i zwichnął wrażenie. Poczęto się śmiać, sędzia nie spodziewając się takich skutków swej porywczosci, przeproszał, kanonik musiał skończyć, łączność przysła wraz ze szkłem rozpryskanem, rzucono się do zbierania ułamków; ks. Zabuda wyprzedzał wszystkich, w okamgnieniu przyniósłszy z kuchni olbrzymią miotłę. Tymczasem sędzia począł ks. Zabudę, jako zastępcę gospodarza, ogromnie przeproszać, lecz ks. Zabuda uchwycił go w pól, przycisnął ku sobie, w oba policzki wycałował i serdecznie za rękę uściskał.

Nikt tego nie zauważył, jednak sędziemu utkwilo to w pamięci. Tymczasem szyki już raz zmięszane nie

dały się naprawić, koniec formalnościom biesiadnym już przyszedł, a jednak utrzymało się przekonanie, że trzeba stołeczanina pociągnąć przed sąd kołtuński, jak sarkastycznie się wyrażono — postawić się i nie dać się.

Po obfitej czarnej kawie poczęto się rozchodzić, więc poczmistrz pełen cichego smętku i czarnych myśli, z głową w dół zwieszoną poszedł do doktora.

Kanonik z wielką uniżonością żegnał swych gości, odprowadził na ganek, wśród tego obrabiał radcę, mecenasa i gościa z sąsiedniego miasteczka, pana komisarza, aby koniecznie pozostali na poufną pogadankę.

Jakoż po upływie kwadransa jadalnia przedstawiała martwe pobojowisko, nieprzyjaciel ze swemi surmami i trąbami był daleko, zostały bezduszne trupy, liczne ślady wylanej juchy na podłogę, nieład nieruchomej masy sprzętów i żalosna cisza.

Aż tam, w trzecim pokoju, w sypialni gospodarza rozparci na sofie radca i komisarz, zaś kolano umieściwszy pod brodą, wsparty o fotel mecenas i wreszcie przechadzający się gospodarz, półgłosem sobie odpowiadając, leniwie odpoczywali po uczcie i gotowali się do poufnej pogawędki.

Na stole stało kilka butelek wyborowego wina, znacznie wytworniejszego, niż wino podawane dla wszystkich. Radca natychmiast poznał się na tem i „z przyjemnością“ zauważył, że gospodarz szczególnie poufnym gości szanuje, goszcząc ich czemś lepszym, aniżeli ogół zaproszonych.

Mecenasowi do tego wina oczka skakały, więc zaznaczył, że dzisiejsza pogawędka może mieć wielkie zna-

czenie, ze względu na rosnące intrygi doktora, należy więc pokrzepić się po zmęczeniu i łyknąć wina choćby jedną lampeczkę.

Życzeniu stało się zadość, poczęto łykać i palić cygara i dumać nad demoniczną siłą przybysza, który nim rzekł jakie słowo, wywołał ruch, a gdy rzekł słowo, to był już wybuch wulkanu.

— Szczególna to rzecz — mówił radca. — Gadamy, pracujemy, uczymy, lata biegną w pracy, siły się targają, a lud milczy, jak gdyby był głuchy i ślepy na naszą obywatelską pracę. Naraz przybywa młokos, prawi rzeczy ludowi niezrozumiałe i oto w ciągu kilku miesięcy zakłada miny, ba, siedzi zamknięty w pokoju, a słowa jego krążą z ust do ust, rusza jednostki, do dziś w ciężkiej pracy pogrążone i apatyczne. Dziwna to rzecz i nie zupełnie jasna.

— Jak dla kogo — odparł kanonik — tacy śmiałkowie walczą budzeniem zwierzęcych instynktów i obietkami. Bezcelność zawsze popłaca.

— A przecież, kochany kanoniku, nie wyjaśnia mi to sprawy. Gniazd zepsucia i gorszycieli nie brak nigdzie, szelmostwa działa się i dzieją, agitatorów do wszelkiego złego nigdy między ludźmi nie brakowało, a przecież nigdy u nas nie było tyle buntowniczej zarazy między ludem co dzisiaj, nikomu się nie udawało wicherzyć i w okamgnieniu zyskać piętno proroka, a dziś udaje się to takim Łackim z tak bajeczną łatwością, jakby nasza tyloletnia praca nie zostawiła śladu po sobie, jak gdyby te chłopskie dusze były dziewiczą glebą, ale tylko nikczemne nasienie przyjmują.

Pogawędka ta nie podobała się mecenasowi Mączce, który rzekł :

— Panie radco, szkoda czasu na takie rozumowania. Ot, co jest. Doktor zraził nas wszystkich gardłowaniem i widocznym lekceważeniem naszego, nieszczęśliwego bytu na prowincji, ponadto kilkakrotnie boleśnie dotknął szanowane powszechnie osoby, w dodatku knuje formalne spiski między rzemieślnikami i chłopstwem. Musimy się zatem oświadczyć, czy walczymy z przybyłym i dążymy do zniszczenia jego działalności, czy też idziemy pod jego rewolucyjną komendę.

— Ależ, ależ — ofuknął radca.

— Zawiele poszanowania dla rzekomej siły młodego pana — powiedział pan komisarz. — Grałem przy wyborach nie z takimi graczami i ani razu nie zirytowałem się.

— Panowie — zawołał kanonik i złożył ręce na brzuchu. — Czy panowie nie pojmujecie stanowiska kapłana-patrjoty wobec tych knozań młokosa przeciw Bogu i ojczyźnie? Czyż nie wiecie, że na Sądzie Boskim kapłan dziesięć razy surowiej sądzon będzie, bo za swoje czyny i za swe owieczki rachunek musi złożyć? Czy ja mogę lekko cenić masońskie zakusy, czy mogę nie drżeć o los tylu wiernych, którzy za łączność z heretykiem, popadną w wieczne nieszczęście, beznadziejne potępienie? Muszę się go pozbyć za każdą cenę, liczę na waszą pomoc!

— Ależ kanoniku, kochany — odparł radca — czy wątpisz w naszą pomoc?

Dla Boga żywego, na niej tylko polegam!

— Jak na Zawiszy — rzekł Mączka.

— Lecz jeśli o zapobiegawczych środkach radzimy, postawmy sobie założenie, że nie śmiemy popełnić

nietaktu, nie śmiemy niezręcznie i bez przygotowania działać. Tymczasem uważam, że kanonik gorąco kąpany z kopyta się bierze do doktora. Jeśli kanonikowi nie wydarzy się jaka niezręczność, będzie to zawdzięczał wiernym przyjaciółom — powiedział radca.

— Ha, to przyznać mi wypada dyplomatą się nie urodziłem; Korczak ganił mię za to samo.

— A widzisz, księżulku — prawił radca — Doktor już sieci zapuścił, wygnąć go się nieda tak na poczekaniu.

— No, gdyby się władza uwzięła — rzekł pan komisarz.

— Nie zaczepi. Doktor zaciera ślady swej roboty. To bardzo zręczna sztuka. Ot, na poczekaniu, dziś przy obiedzie zauważyłem, że doktor działa na umysł.

— Dla Boga.. byli tu jego stronnicy? Czy być może? Ja gościłem takich, co mię kłamcą mianować zdolni! — wołał kanonik zachrypłym głosem.

· Nie może być — rzekł z powagą pan komisarz.

— No, no.. coś słyszałem. Cicha woda — rzucił radca — była cała partja, szczęściem o wiele słabsza od naszej.

— Cała partja! — krzyknął kanonik.

— Dyrygentem był Klepacki — powiedział radca i zanurzył wąsy we winie.

Kanonik był cały w ogniu :

— A! Kiedy tak, stawiam wobec parafjan sprawę na ostrzu... on albo ja... niech wybierają!

— Zwolna, zwolna, kanoniku, dobre masz wino i zacne serce, tylko kipsisz zanadto — mówił radca.

— Słusznie — wycodził pan komisarz — Przypuszczam, że większość parafjan nie wie jeszcze o gro-

żącym niebezpieczeństwie, pośpiech sprowadzi zamieszanie, z którego skorzysta pan Łącki.

— Ja również radzę działać z dobrze obmyślanym planem. Łącki wygląda mi na człowieka, którego bez ofiar się nie zdławi -- dorzucił mecenas.

— Straszny człowiek, on obowiązki towarzyskie przewraca do góry nogami. U niego pierwszy Maziewicz. To niby nic, a jednak on pierwszy... Cały porządek się wali — narzekał radca.

— W dwóch przyjaznych mi konwentach codziennie proszą Boga o nawrócenie doktora. Żyję, jak w ukropie. Pijcie a radźcie panowie — z widocznym zdenerwowaniem szeptał kanonik.

— Ja mam plan niezawodny — rzekł mecenas.

— Ozłocę pana — odpowiedział kanonik.

— Czy nikt nas nie podsłucha? — zapytał mecenas.

Pan komisarz wesoło się poruszył:

— O, zaciekawia pan mecenas.

A gospodarz zapewnił, że nikt nie podsłucha, przyczem sprawdził, czy za drzwiami kogo niema i drzwi mocno do zamku przycisnął.

— Jesteśmy sami, dorośli, obyci ze światem, nie zgorszymy się byle czem, a zapowiadam, że to, co zamierzam powiedzieć, to sprawa bardzo drastyczna. Można ją przyjąć lub nieprzyjąć, ale to pewne, że niezawodnie cel swój spełni — rzekł Mączka.

Towarzysze z ciekawością wpatrywali się w mówiącego mecenasa, komisarz ożywił się i objawił radość z zagadkowego postanowienia kwestji.

— Uprzedzam kanonika — powoli i oględnie mówił Mączka — że sprawa to nie zupełnie obyczajna,

mimo to każdy znawca ludzi przyzna, że niezawodnie prowadzi do celu.

Towarzysze z zapartym oddechem słuchali.

— Nieda się wysadzić Łąckiego, da się go ubezwładnić... Panowie — po chwili zaczął znów mecenas — czy mogę mówić bez ogródki, bez narażenia się na zarzut, że niekoniecznie moralne środki zalecam?... To są niezawodne środki...

— Między nami mówić możemy o wszystkim głośno i wyraźnie — zauważył radca.

— Dziećmi nie jesteśmy. Zresztą, poco mecenas tak zabiega? Gadać i kwita, jeśli to praktyczne; czy się zgodzimy, to się pokaże — zachęcał kanonik.

— To jakiś pikantny kawałek — dorzucił pan komisarz.

— Oto właśnie, że pikantny, lecz może nie tak nieprzystojny, jakby się zrazu wydawało.

— Więc wyksztuś że raz mecenasie — zniecierpliwili się kanonik i z niecierpliwością łyknął lampkę wina.

— Proponuję wielką towarzyską akcję, zbliżenie się do doktora i zaprzęgnięcie go w salonowe nasze życie, to znaczy, życie z paniami.

— Cóżto straszego? — wykrzyknął radca.

— Niech się radca uspokoi — odparł mecenas — A jakże, to lepsza gra, niż polowanie na grubego zwierza. My zaczniemy, nasze panie swą urodą i dowcipem przywiążą doktora do siebie i zobowiążą do bywania

— To dobra myśl — wtrącił radca.

— To powolny proces ubezwładnienia — powiedział mecenas i stanął przy stole, dłonie spartł o brzeg stołu i przechylił się przez stół ku siedzącemu na sofie

radcy. — Doktor wlezie między panie chętnie, w karty nie gra, a uważałem, w towarzystwie kobiet, zdaje się lubi przebywać i umie się znaleźć. Kiedy tak już wlezie, podejmuję się wysunąć na niego pogromczynię, znaną przecież z pogromów. Pogromczyni owa, zresztą bardzo uczciwa kobieta, będzie zupełnie powolną naszym planom, w zamian za to dostanie carte blanche i zupełną wolność, byle tylko zawładnęła całym organizmem doktora. Kiedy się to stanie, już leży Samson u stóp Dalili, z wiercipięty mamy ciele, z rycerza osła.

Komisarz począł się śmiać wesoło.

A radca zmarszczył brwi, nasrożył się i począł zastanawiać się, kanonik po kolei patrzył w twarze towarzyszy.

— Hm, pogromczyni — ozwał się radca — u nas taka się znajduje? U nas? Czy pan mecenas nie rzuca kalumnji? Panna nie, więc mężatka. Któraż to u licha.

Mecenas odpowiedział:

— Ta, co ma męża safandulę, której doktor wpadł w oczko, a która wstawiła się przed trzema laty walcem zwycięstwem nad biednym Kaweckim.

A a a! — trzy głosy się podniosły i trzy głowy zadarło w górę.

— Aptekarzowa, jak Bóg miły, niczego niewiasta — zawołał pan komisarz.

— Podziwiać pana mecenasa, djabelski plan — powiedział radca.

— Aptekarzowa mogłaby w Paryżu zwyciężyć, to znakomitość w swym rodzaju — zaznaczył mecenas.

— Cóż kanonik na to? — zapytał radca.

— A co radca na to? — odpowiedział kanonik — Stylowy, szelmoski plan, ja wolałbym po prostu, szach mach, w imię Boże.

— Mój plan najpewniej prowadzi do celu. Cała sztuka, byśmy umieli przez palce patrzeć.

Ale radca głową kręcił.

Kanonik zaś z powodu chrypki mówić nie mógł, więc mruzczał:

— Ja lisiemi drogami chadzać nie umiem, wy radźcie. Każecie to a to czynić, to a to uczynię, będziecie działali, działajcie na obronę wiary i obyczajów chrześcijańskich. Wiem, że na nic zdrożnego nie pozwolicie.

— To się rozumie — pół głosem mówił mecenas — Znamy morskie syreny... które pętają... bez żadnych ubocznych celów...

— Przepraszam — sprzeciwił się radca — Zarzucają siecie, aby łapać sobie kochanków.

— Ależ pani Flora to zimna kokietka, ona go odurzy, ale ręczę, że nie wyzyska. Czy zapomnieliście jak Kaweckiego umiała w stanowczej chwili lodem obłóżyć?

— Więc worek gumowy z lodem postawiła na jego męskie serce? — zagadnął rozweselony pan komisarz

— A może tak było — rzekł mecenas.

Wszyscy poczęli się śmiać, a radca mimo to głową kręcić nie przestawał.

Kto wie, czy to plan nie najlepszy. Ale zdrożnościom jawnie dawać stempel?

— Czyńcie panowie, co chcecie, ja zaś twierdzę, że bez ofiar w żadnym wypadku się nie obejdzie. Tu padnie jedna ofiara, gdyby zaś Łącki działał i wicherzył padnie ofiar setki, setki rodzin nieszczęśliwych, setki walk

zepsucia, setki nowych nieszczęść i huraganów. A wreszcie to pytanie, czy z aptekarzową dojdzie do grzechu, ona zbałamuci go na sucho. Tak, na sucho, znam ją dobrze.

— Z własnego doświadczenia? — zapytał komisarz. Wtedy odezwał się radca.

— Niegodzi się, niegodzi się. Czem górują polskie kobiety, nad niemki i francuski? Że mężów nie zdradzają. Mamyż pomagać w niszczeniu tej wzniosłej cnoty?

— Ja sędzę, że to entuzjazm nie na miejscu, o romantyczności polskich kobiet słyszałem bardzo wiele od młodych i przystojnych ludzi twierdził mecenas.

Położenie było trudne. Panowie, jak początkujący złodzieje, wahali się, nie mając pewności w sprawnym wyciągnięciu ręki, a mecenas był już hersztem złodzieji. Położenie było ciężkie. Każdy czuł, że spodnica dokonywała nieraz ogromnych przewrotów, jednak całe założenie rzeczy wyglądało, jak plama śmierdzącej mazi na białej batystowej sukni. Ale mecenas zaręczał, że całe usidlenie masona odbędzie się „na sucho“, komisarz począł twierdzić tak samo, niezdawano sobie sprawy, że jakiegokolwiek umyślnie zbałamucenie młodzieńca zawsze jest świństwem. Więc kiedy wmówiono w siebie, że zbałamucenie doktora, czyli metamorfoza wiercipięty w barana, odbędzie się w szrankach bezczelności, czyli „zimnej kokieterji“, zdano sprawę mecenasowi z poleceniem, by dokazał tej sztuki, jeśli się uda, jednak, aby ani słowem nie zdradzał szczegółów tej walki kobiecej, gdyż radca i kanonik tylko z konieczności oczy zmrują.

Niewiadomo dlaczego po ubiciu sprawy mecenas dwuznacznie spoglądał na radcę i kanonika.

— Ja więcej dokażę, niż wy swą powagą i siłą społeczną — rzekł nakoniec.

Pan mecenas wymyślił to bardzo dowcipnie — powiedział pan komisarz. A kanonik i radca uśmiechnęli się i pili wino. Nagle wbiega gospodyni z doniesieniem, że Klusik przybył z ważną sprawą.

Kanonik nieco się zmięszał, kazał Klusikowi czekać, a towarzysze ubiwszy ważną sprawę gadali o rozmaitych drobnych czynach doktora, z każdego jego słowa czyniąc rozliczne kombinacje, przypisując im znaczenie, jakiego zwykle słowo nie miało.

A kanonik z tajemniczą miną rozłożył list i na nowo obudził czujność towarzyszy.

— List policji krakowskiej — rzekł — wczoraj nadszedł.

Rzucono się. Mecenas przeczytał, że doktor Łącki wprawdzie nie był karany ani policyjnie, ani sądownie, jednakowoż kilkakrotnie był przesłuchiwany w policji, dwa razy stawał w sądzie jako świadek w politycznych procesach i zeznawał na korzyść obwinionych o nieprzyjazne względem państwa zamiary, przytem znany radykał i rewolucjonista w kołach młodzieży, miesza się w knowania socjalistyczne i brał udział w robotniczych obchodach i zgromadzeniach, przyczem zwykł był wiele gadać i z prostymi robotnikami ścisnąć się za rękę.

Sapienti sat, sapienti sat — mówił kanonik, a radca wyrzekł:

— Rozumie się, dlatego nie siedział, bo się nie zdradził, ale nie racja, aby był inny od tych, co siedzieli. To typowy charakter buntownika z zasady. I kto by się spodziewał, taki na oko poważny człowiek.

— Wszystko w rękę pani Flory aptekarzowej! —
zawyrokował mecenas.

Poczęto się śmiać, układać szczegółowe plany
ochronne, omawiać niedalekie wybory, bajano i gwa-
rzono, aż wreszcie pożegnano gospodarza w czułościach
i powtarzanych całusach, pachnących wtrawnym winem.

Gospodarz został sam, znużony po trudach dnia.

Wtłoczył się w kanapę i ważył wypadki, gdy
drzwi zgrzytnęły, otwarte nieśmiałą ręką. a do pokoju
pełnego dymu, wszedł czający się Klusik i doszedłszy
milkkiem do kanonika, nagle się pochylił, ucałował le-
żącą na poręczu rękę i rzekł basem: Pochwalony Jezus
Chrystus.

— Na wieki wieków; Klusik, przynosisz co?

— Trochę, — odparł pokornie stojący Klusik,
a wzrok niewolnika sparł na stole, gdzie leżały w nieładzie
rozrzucone cygara, butelki i kieliszki z niedopitem winem.

— Widziałeś co, słyszałeś co?

— Widziało się, proszę łaski ks. kanonika, roz-
maite kawałki, wspominający o jednym interesie muszę
donieść ks. kanonikowi dobrodziejowi, że bywszy dziś
u Stróżeskiego i dowiedziawszy się o dzisiejszem zgro-
madzeniu, będąc w domu Furmanka, wylazłem na
strych, aby widzieć, kto tam należy do tej partji.

— A... to dziś było? — rzekł kanonik.

— I ja sam nie informalizowany o tem, z biciem
serca się o tem dowiedziałem. Rzeczywiście, żem się
niewiela dowiedział, alem zmuszony był być frantem
i zorjentować się w sytyjacji, więc zarazem dmuchnął
do Furmanka i legem se na strysku na brzuchu rachu-
jący, ile masonów tam przyszło. Było tam cosik dzie-

sięciu, których wyliczę w liczbie porządkowej — tu począł Klusik, prócz murarki trudniący się polityką, wyliczać nazwiska młodzieży rzemieślniczej, gromadzącej się celem zawiązania „partji“, inspirowanej przez Łackiego.

Widocznie Klusik był agentem obywatelskiej policji, której powstanie miasteczko zawdzięczało rozmowie kanonika z Korczakiem,

Kanonik w miarę wyliczania nazwisk, napełniał się niepokojem i gniewem, a przy nazwisku „Guzior“, wyrznął ręką w poręcz sofy i wyskoczył na środek pokoju, wrzeszcząc:

— Co! Ten smród! Guzior od burmistrza. Ja mu dam zgromadzenia. smarkaczowi! Już ja mu dam!

— Zdrowia szkoda ks. kanonikowi dobrodziejowi — rzekł Klusik i chciał się pochylić ku rękom, ale kanonik w podrażnieniu odskoczył i zapytał:

— Czy doktor już był?

— Tylko co przyszedł, ja zaraz z raportem i wdzięczny po pierwsze Panu Bogu, jako brat skaplerzny, po drugie osobie ks. kanonika dobrodziejja, żem nareszcie z uczuciami swoimi uwieńczył koronę dzieła, mogący przysłużyć się sprawie Boskiej i nareszcie wiadomość przynieść.

Klusik w cieniu, zdaleka od lampy stojąc, mógł spokojnie pożerać wzrokiem cygara i wino, z jego ciemnej i kościstej twarzy strzelały dwie ruchliwe iskry, dwoje oczu jedynie żywych na twarzy wiecznie martwej, ziemistej i pochylonej ku ziemi.

Kanonik snąc rozważał, bo milczał chodząc po pokoju, Klusika coś ciągnęło do cygar i wina. Dotąd spełniał rzemiosło bezinteresownie, jakkolwiek przy umowie wiele się mówiło o nagrodzie i wiecznej i namacalnej, monetarnej. Ale na widok cygar i wina dusza

dotąd niczem nienagrodzona, poczęła wołać o swoje prawa, tem więcej, że dziś Klusik dokonał wielkiego dzieła, po raz pierwszy bowiem przyniósł konkretne wiadomości.

Dziś „uważający się“ za bohatera, chciał koniecznie coś wydusić od kanonika, więc zaczął:

— Zimno paskudnie. To się ks. kanonikowi dobrodziejowi wydaje, że stać gdzie pod okapem ze dwie godziny, albo jak dzisiaj, na brzuchu ligać na stryżku, to tyle co po izbie szpacirować? Gdzież tam. Wiadomo nam z fizycznej nauki, że w zimie zimno, a w lecie bywa gorąco. A tu, nie dziwna, człowiekowi zwyczajnie nie dostaje monetarnych środków do pokrzepienia kieliszkiem wódki, albo też herbatą z arakiem.

— Klusik, nie od dzisiaj cię znam, uważaj ty masz pociąg do gorących napoji. Klusik, znam cię nie od dzisiaj — powiedział kanonik, kilkakrotnie uderzając palcem w nos.

Było w pokoju mroczno od dymu i niewielkiej lampy, to też kanonik nie widział, jak Klusik skrzywił oczyma i pokazał zęby, wpatrując się we flaszki.

— Ks. kanonik dobrodziej jest błędnie informowany, bo piję mało co kiedy. Lecz narażający się na mrozie? Mam dreszcze ino z mrozu, bo z czego by innego?

— No, no, abys nie miał dreszczów — rzekł kanonik, wziął szklankę z okna, stojącą przy karafce i wyszedł do drugiego pokoju. Gdy się to stało, Klusik uznał że ważna chwila nadeszła, jak kot przysiadł do ziemi i naraz wyrzucił tułów ku stołowi, olbrzymią łapą zdarł sześć cygar i z taką samą nieporównaną chyżością ostał się na miejscu.

Za chwilę kanonik przyszedł z napoczętą butelką wina, nalał pół szklanki i podał Klusikowi, który bez

wielkich podziękowań wychylił wino, a szklanę postawił na stole.

— Gdyby człowiek miał tak butelczynę przy sobie, w kieszeni, lepiej spełniłoby się swoje stanowisko — rzekł ocierając blade, rzadkie wąsy.

— Ale nic Klusik nie wie, co tam na tem zgromadzeniu się gada? Że nie o Bogu, to pewna, ale co? — zapytał kanonik.

— Za chwilę momentalną tam będę i wszystko będę wiedzący, obecnie wiem o sytuacji takiej, że mi wstyd bez obrazu o tem donieść. Niby to wiem tak od ludzi, ale to bardzo kompromitujące, to mi wstyd mówić. A Klusik wszystkiego się dowie, żeby tylko stosunki monetarne człowiekowi... jaką folgę dały w udziale.

— Oto się nie troszcz Klusik, o twej pracy my nie zapomnimy — powiedział poważnie kanonik.

— Głupi nadzieją żyje, ale mądrymu się niechce...

Kanonik serdecznie się rozśmiał z powodu uznania się Klusika mądrym i dobył srebrną monetę.

— Masz Klusik.

— Całuję rączusie dobroczynne, niech Bóg to nagrodi ks. kanonikowi dobrodziejowi... Całuję stopeczki... — unosił się Klusik.

— Więc tak gadają, że ci wstyd mówić? — pytał kanonik — Może doktor gdzie co powiedział?

— A pewnie, że ta sromota świętej duchownej osoby z takich ust pochodzi.

— Co? Sromota duchownej osoby! Co to znaczy?

— Bez urazy, ale trzeba zrobić odkrycie.

— Niech się Klusik nie wstydzi! Co to takiego?

— Ks. kanonika osobę.. za przeproszeniem honoru — tu Klusik pochylił się wprzód, szyję wcisnął w ramiona i szepnął — ks. kanonika osobę chcą obić!..

Kanonik począł biegać po pokoju i okrutnie sapać, Klusik widząc, że rozmowa się kończy, rzekł zginając się do księżyich kolan:

— Nikt mnie nie zluzuje, a u Furmanka robią się subjeckje, które ja podam do wiadomości.. ucałowawszy rączusie osoby ks. kanonika dobrodzieja.

Zwyczajem niewolników cofał się Klusik ku drzwiom tyłem i zamknął drzwi za sobą tak cicho, że kanonik nie wiedział, kiedy wyszedł.

U Furmanka rozsiadła się drużyna młodzieży, a do niej Łącki mówił:

— Jesteście polakami! Waszym psim obowiązkiem służyć ojczyźnie, bo ona was żywi, jest waszą matką i kolebą!

XIII.

Krzątanie się Łąckiego około zorganizowania chłopstwa i mieszczaństwa, rosło z dniem każdym. Niebawem po rozpoczęciu planowego działania, poruszył serca i rozumy garści chłopstwa i mieszczaństwa, przykuł ich do siebie i miał już coś niby sztab, niby przyboczną gwardję.

Miał słusność radca, biadując nad plennością pracy wichrzycieli. „Szczególna to rzecz“ mówił radca po uczcie u kanonika „naraż przybywa młokos, prawi rzeczy niezrozumiałe i oto w ciągu kilku miesięcy zakłada miny, ba, siedzi zamknięty w pokoju, a słowa jego

krażą z ust do ust“... „taki wichrzyciel w okamgnieniu zyska piętno proroka z tak bajeczną łatwością, jakgdyby nasza tyloletnia praca niezostawiła śladu po sobie...“

Otaczany siecią szpiegów, ciekawych i plotkujących, mimo wszystko Łącki silną ręką uchwycił nici organizacji, wykonał silny ruch naprzód i niebawem zyskał rozgłos. Jedni słysząc pieśń, garnęli się do śpiewaka, a była ich skromna ilość; drudzy ulegając popędowi, zwracali oczy i czuli, że silny duch przemawia, a było tych już więcej. Inni bieżeli gnani ciekawością, bowiem wiadomem już było powszechnie, zwłaszcza między mieszcankami i chłopkami, że masoński wysłannik przyszedł po dusze prawowierne, że doktora wysłali żydy, aby ludzi bałamucił i żydom zaprzedał, wreszcie, że chłopstwu schlebia, aby zrobić pieniądze. Tych ciekawych były całe tłumy.

A że do doktora dostęp najłatwiejszy, Łącki zyskał w krótkim czasie taką praktykę, że niekiedy oświutu do nocy pracował.

Bynajmniej nie przeceniając znaczenia, cieszył się tym niespodziewanym rozgłosem i szedł żywo naprzód. Po załatwieniu obowiązków lekarskich, które demonstracyjnie uważał za pierwsze, nurzał się w wirze życia mieszał się z ludźmi i z radością zauważał, iż obecnie domy otwierają się przed nim pochopniej, niż to było przed niedawnym czasem, szczególnie domy inteligencji.

Bywał od nizin aż do szczytów. Niekiedy opędzicie się nie mógł zaprosinom, które częstokroć krzyżowały się z jego osobistemi chęciami. Miał kilka domów wybranych, w których chciał bywać najczęściej, tymczasem mecenas Mączka i radca Uściański oprowadzali go od pieca do pieca.

Do domów wybranych należał i dom państwa burmistrzów Jamrugiewiczów. Przyczyną tego była okoliczność, iż pan burmistrz zwykł był wiele gadać, znał miasteczko jak własną kieszeń i bynajmniej nie taił, że byle komu nie da w kaszę napluć, choćby to chciał wykonać jaki szlachcic albo dygnitarz.

Z wymownym panem naczelnikiem i burmistrzem gadało się gładko, a pani burmistrzowa dumna i chępiąca się między mieszczankami, że konsyljarz jest u niej takim samym gościem jak u arystokracji, sadziła się na gościnność, przechwalając się przy gościu i wobec przyjaciółek, że u aptekarzowej podano doktorowi sos przydymiony, u rejentowej kawę, że zjełczała śmietanką, gdy tymczasem u niej doktor dostaje wszystko świeże i dobre, albowiem u niej możeby się znalazło i więcej w skrzyni, niż u arystokratki i stać ją może na więcej niż taką arystokratkę, co na książkę bierze u Goldbluma.

Ze szczególnym naciskiem i to przy gościach, kilkakrotnie rzekła konsyljarzowi, że każda z córek w dniu ślubu otrzyma „barówką“ cztery tysiące na stare pieniądze, nie licząc realności i gruntu „co by go było na trzy realności“.

Ta niezrównana gościnność i widoczna sympatja burmistrza uprawniały Łackiego do częstych wizyt, to też wkrótce zażyłość z burmistrzem postąpiła tak daleko, iż była nadzieja pozyskania pana dygnitarza mieszczkańskiego do celów organizacji.

Nagle ni stąd, ni zowąd, uprzejmość pani naczelnikowej i burmistrzowej w jednej osobie, i tak już wybitna, poczęła wzrastać niepomniernie, a gadalliwość pana burmistrza słabnąć i maleć.

Burmistrz nagle stracił na humorze, w czasie dwu ostatnich wizyt więcej kaszlał i chrząkał niż gadał i badawczo spoglądał w oczy małżonki. Pewnego razu w braku humoru i skwaszony tak się zapomniał, że głośno kaszlnął i plunął na kwiecisty dywan.

— Szymom — ozwała się pani burmistrzowa głosem gałlanym — Szymon, u kogo ty jesteś?

— Niby... u siebie — odparł przerażony burmistrz.

— Szymon nie kłam — powiedziała pani burmistrzowa — w twoim domu panuje szport może lepszy niż gdzieindziej, tobie Szymon zdawało się, że cię zaprosili do arystokratycznego kasyna. Weź Szymon szmatę i wytrzyj ten szport do czysta, bo za dywan trzech dziesiątek drugi raz nie dam.

Łącki zauważył, że burmistrz dziwnie naraz spokorniał i zidjociał. I dla odwrócenia uwagi od przypadku pana burmistrza, począł ze swej beczki, to jest o stosunkach polskich, wiedząc, że burmistrz zwykle zapalał się do tego, a nawet utrzymywał, iż od niepamiętnych czasów walczy o poprawę „smrodliwych łajdactw“ — tymczasem widzi błagalne oczy burmistrza zwrócone w stronę pani burmistrzowej, potem taki sam wzrok zwrócony ku niemu; burmistrz milczy, za niego rzecze pani burmistrzowa:

— Szymon nie ma teraz czasu odpowiadać, bo musi wytrzeć to paskudztwo, a pan konsyljarz niech się nie pogniewa, jeśli wyrażę zdanie, że pan konsyljarz umie o tylu ślicznych kawałkach rozmawiać, a zawsze pan konsyljarz z tymi nudnemi głupstwami wyjeżdża. My tu oczekujemy pana konsyljarza z drzeniem serca, moje córki doczekać się nie mogą, a pan konsyljarz zawsze swoje nudne kawałki.

— Da Pan Bóg, że pani i córki będą tak samo z przyjemnością mówiły o ojczyźnie. Odrazu wszystkiego nie można się wyuczyć.

Lekki rys czoła między brwiami i ściągnięcie ustek poprzedził odpowiedź pani burmistrzowej.

— Niech pan nam nie włazi na honor. Moje córki skończyły tyle klas, że niejednemu arystokracie mogłyby przewrócić w głowie, a ja także wiem niejedno, gdzie, jak i co.

— Ależ pani burmistrzowo dobrodziejko — tu Łącki wstał, zbliżył się do pani domu, dwukrotnie całując ją w rękę. — Ależ pani burmistrzowo dobrodziejko, ależ, ależ... gdzieżby znowu!.. co pani mówi... ja nigdy nikogo nie obrażam... a kobiety... ach!... nigdy.

Spodziewając się, że złapie burmistrza, chodził około pani domu z jedynie tu wskazaną delikatnością, aby broń Boże nie spłoszyła widocznie słabszą połowę stadła i nie wytłomaczyła swemu małżonkowi „tych polskich bredni“.

I zaraz skręcił na mody i na kanarki panien, przysiadł się między panny i mamę tak blisko, że czuł energiczne gorąco mamy i lekkie fijołki panien, pan burmistrz zaś skorzystał ze swobodnej rozmowy kobiet i gościa, wysunął się z pokoju, aby za chwilę wejść ze ścierką.

— Szymon, jużś taki stary, że ruszyć się nie możesz? zapytała pani.

— Zaraz, zaraz kobieto moja droga.. już ja się kiedyś ruszę... no!

— Pan konsyljarz go zbałamucił, wołałby pan konsyljarz jakiej facetce zrobić coś podobnego — mówiąc

to, pani burmistrzowa pogroziła paluszkami i spojrzała w stronę córek.

W ten sposób kilka wizyt zeszło na marne. Obecna wypadła jeszcze gorzej, a burmistrz był tem tak zafasowany, że kiedy Łącki wyszedł, dopędził go za domem i począł gorąco prosić, by się mógł schodzić u Abrahama, ponieważ wiele jeszcze ma do gadania, on gadać teraz musi, bez tego nie wytrzyma, a w domu z głupimi babami dojść końca nie można.

— Łącki już doskonale wiedział, że kobiety w kwestjach polskich są tak głupie jak but, a jeżeli nie głupie, to dbają o swoją ziemię, jak pies o piętą nogę i bolał nad tem, ponieważ sądził, że kobieta jako najmniej zależna od władców, najswobodniej może działać. Ale w tym wypadku ani się domyślał, z jakiego powodu sprawy polskie działały na burmistrzową jak tarantela i wprawiały ją w niewymowną pasję. Powody były ciężkie...

Pewnego razu był doktor w gościnie u burmistrzów. Burmistrzowa siliła się na rozmowność, a była nie swojska, natomiast gospodarz z gościem rozgadali się tak ochoczo, że zapomnieli o pani, o pannach i wszystkim i tak gadali do północy. Burmistrz był w zapale, słał chłopaka po butelki piwa, nalewał gościowi i siebie bynajmniej nie krzywdził.

Pożegnano się serdecznie, a że była późna godzina, stało w milczeniu poczęło się rozbierać do spoczynku.

Pan burmistrz nucił pod wąsami „Kilińskiego“, pani sapała ciężko. Gdy wierzchnie ubrania leżały po krzesłach, a stało w bieliźnie miało się do snu ułożyć, burmistrzowa odezwała się nagle i rąbnęła jak toporem.

— Szymon, do djabła, przestaniesz ty pyskować raz z tym doktorem!

— Helciu! — zawołał zdumiony Szymon.

Kiszki dęba stają od waszej paplaniny. A tobie, stary szpiku, to wydziwiać się nie mogę, że ci milsza paplanina, niż los własnych dzieci!

— Helciu, jak widzę, ty coś zaczynasz — rzekł Szymon.

— Nie od dzisiaj mnie znasz stary durniu — zagdakała pani miasta — jeśli mi tu będziesz pyskował to poznasz nieboże, że to niedobrze! Słuchaj stary szpiku, to ci zapowiadam, że już się kończy twoje panowanie! Od dzisiaj ja staram się o los dzieci, bo może jeszcze powiesz, że to nie twoje dzieci, żem ci była niewierną. Dość tego, od dzisiaj w tym domu pary z gęby nie wypuścisz przy doktorze, ja sama biorę gościa na siebie, a ty z nim nie masz nic do gadania!

Widocznie pan miasta miewał sposobności aby poznać, że niedobrze jest w towarzystwie połowicy „pyskować“, gdyż po siarczystej przemowie Helci ozwał się skromnie:

— Helciu, czy nie słyszysz o czem gadamy? Nie pozwolisz nam o polskiej polityce rozmawiać?

— Stulisz ty pysk — poczęła znów czerwona ze złości — już cię doktor nauczył tych bajdurstw, co to ni do sasa ni do lasa! Nie słyszałeś, że wszyscy się z niego śmieją, że o niczem porządnem mówić nie chce?

— Helciu.. śmieją się durnie, co nie wiedzą, że są polakami.

— Gęba na guzik! — zakomenderowała pani miasta.

— Helciu, daj no dychnąć człowiekowi, ja niewi-nien, że się dziś w tobie krew wzburzyła.

— Dam ci krew! Powiedz że mi, co ty przyjemnego masz w tych bredniach?

— Ty polka, a tak gadasz? Helciu...

— A djabli mi tam do tego. Byłam panną, wydałam się, wychowałam dzieci i szparowałam, od gęby sobie odejmowałam, dziś przed całym światem mogę córki wyprowadzić i grosz pokazać, a ten mi tu będzie pytał, czy ja polka! Co? Może żydówka? Głupie pytanie. Jestem polka, bo nie żydówka, to przecież jasne jak słońce, więc co tu jeszcze pyskować? A ty tak słowa dotrzymujesz, takim jesteś ojcem? To pyskowanie ci miłsze, niż szczęście dzieci?

— A co to majedno z drugim? — pytał zatrwożony małżonek.

Burmistrzowa w koszuli, z warkoczem dość krótkim zarzuconym na plecy, kręciła się w świetle lampy jak nimfa nocna w starszym wieku.

— Co to ma jedno z drugim! — zawoła — Niepamiętasz naszej pierwszej rozmowy o doktorze? To ci już wystygło w głowie? Toś nie płakał z radości, kiedy ci rzekłam, że doktor ma się do Kazi?

Szerokie westchnienie ojca rodziny było odpowiedzią.

— Widzisz! Pary z gęby nie puścisz. Widzisz, że los dziewczynie zawiązujesz. Bo niechże już doktor pyskuje, prędko się po ślubie oduczy. Moja Kazia, to dobre dziecko, ona go bardzo prędko oduczy. Ale żebyś ty sam zaczynał, tak jak dzisiaj było, to już obraza boska i ostatnia fuszerka. Do interesu ci się nie wtrącam, ale dzieciom los łamać, ja ci nie pozwolę, stary głupcze! Czyś ty widział, co się dziś działo? Kazia kokietuje doktora, on nie, bo słucha, co ty pyskujesz. Kazia nakręca muzykę, żeby grała, on nie, bo słucha, co

ty pyskujesz. Kazia zrobiła kulkę z papieru, rzuca sympatycznie na doktora, on nie, bo słucha, co ty pyskujesz. Kazia trąca go i mówi „budzę pana“, on nie, bo słucha, co ty pyskujesz. Kazia przy kolacji siada przy nim, on nic, bo słucha, co ty pyskujesz. Kazia go trąca nogą pod stołem, on nic, bo słucha, co ty pyskujesz. Kazia kładzie mu rękę na kolanie... słyszysz... a ty pyskujesz i pyskujesz. To taka obiecanka, tak go się starasz chwycić dla dziecka, co więcej ma barówki, niż niejedna arystokratka?

Zmęczyła się pani burmistrzowa. A ojciec jak winowajca stał w półcieniu w białiznie i ręce na brzuchu skrzyżował.

Nagle lica głowy domu i miasta się rozjaśniają, jakaś znakomita myśl się zrodziła, a natchniony nią ojciec prostuje się i czyni krok ku połowicy.

— Helciu, ja go prędzej uchwycę, niż ty! — zawołał.

— Ty stary durniu!

— Ja go złapię na politykę.

— On ciebie, ale nie ty jego!

— Helciusiu, jesteś burmistrzową, a tak głupio gadasz — zauważył ojciec.

Stulisz ty pysk stary durniu! — oddała pani.

— Nie stulę pyska, bo wiem co gadam!

— Taki polityk nie da się wziąć na kawał!

— Da się, to ci gadam. I jego złapię i sam wskóram w swojej osobie! — rzekł to ojciec miasta z uroczystą powagą, którą uczynił pewne wrażenie, albowiem matka miasta wstrzymała marsa i ciekawie spojrzała na burmistrza, czekając, co powie dalej.

Chwila ciszy wydawała się burmistrzowi chwilą, w której połowica nowej pary nabiera i tego się widocznie lekając, nagle zachwiał się w swej pewności.

— Więc, jak i co? — rzekła wreszcie.

— Żeby ci kiedy nie wymówił, że nie dbam o los dzieci.

— Jak pies o patyk z kiszki. Słyszałeś, co powiedziałam, pary mi z gęby przy doktorze nie puścisz!

— Helciu, jaka ty głupia.

— Co! Ja głupia! — wrzasnęła pani domu i wyciągawszy pazury skoczyła ku ojcu.

Ojciec przerażony cofnął się i bąknął:

— Słuchaj, wszystko ci wyklaruję.

— Więc klaruj, kiedyś mądry.

— Im więcej będę z nim gadał, tem częściej będzie nas wizytował. A kiedy przyjdzie czas, zawiążę z nim przymierze.

— Gadaj mądrze i czasu nie marnuj — surowo przerwała połowica.

— Tu u nas zrobimy polityczną kancelarję i cała jego maszyna będzie przechodziła przez moje ręce.

— A któż przez ten czas będzie chodził do Kazi?

— Helciu, niech się wygadam, bo dobrze gadam. Kiedy wszystko będę miał w garści, pewnego poranka rzekę mu: bracie, jeśli nie wezmiesz mojej Kazi kochanku...

— No... dalej...

— To wszystko oddam kanonikowi i wyrócę ci całą maszynę, wtedy poznasz, co to burmistrz Jamrugiewicz! No!

Tu, pełen tryumfu spojrział na połowicę. A połowica w tej chwili zatopiona w myślach, zaciągając na

nogi pantofle, szukała rozważnie odpowiedzi. Wtem zaśmiała się serdecznie i rzekła :

— A on ci w pysk lunie i tyleś go widział!

Ta rozważna odpowiedź wyprowadziła wreszcie burmistrza z cierpliwości. Skoczył ku niej wołając :

— Helciu, daj no pokój, dobrze gadam, jak Boga kocham !

— A któż przy tem wszystkim będzie chodził do Kazi? —

— Doktor, bo go przygwoźdź!

— Żeby ci papy nie przygwoździł! Ej, uważaj, żebym ci z drugiej strony nie poprawiła. Ej, stary, żebyś tylko nie żartował — tu pani ozwała się właściwą sobie, straszną siłą. — Czy nie wiesz, szpiku, że żadna polityka niema takiej łapki na chłopców, jak kobieta? I ty głupsze jeszcze rezonanta udajesz! I ty... i ty...

Ale burmistrz ogromnie ufał swemu planowi, przeto burknął :

— Helciu, zawsze cię słucham, teraz ty mnie posłuchasz. Mam tromfa.

— Masz pięć palców na papie!

— Helciu, bo zaczynasz mnie gniewać.

— Stulisz ty papę!

— Jestem głową domu...

Tu nagła pasja ogarnęła panią domu.

— Ty głowa domu! Co? Niesłychana rzecz! Ty?

A że najznamięnitsza część rozmowy wypadła w chwili, kiedy naciągała pantofle, więc to skromne ubranie stało się niespodziewanie orężem.

— Helciu, nie sprzeciwiaj się ojcu! Tak jest, jestem panem domu!

— Co! Co! Panem domu... panem domu...

Gwałtem wyrzucając te słowa przez zęby, runęła naprzód połowica, pantofel trzymany w ręku uchwyciła za piętę i uderzyła podeszwą głowę pana.

— Helciu! — krzyknął stary.

— A, w głowę domu!.. A w głowę... a w głowę...

Wykrzykując to, tłukła podeszwą głowę burmistrza. Burmistrz stracił werwę i skręcił w tył. Połowica za nim i była chwila, kiedy było słyhać słowa istotnego władcy domu i kłapanie pantofla po ciele uzurpatora.

Wreszcie zziajana pani rękę zbrojną opuściła i sapiąc zadokumentowała: — Ani mi pary z gęby przy doktorze nie puścisz!

Taka to historia zmieniła gospodarza względem gościa. A Łącki się dziwił, dlaczego burmistrz w ostatnich czasach zidjociał.

Tymczasem zbliżały się święta, zapisane w historii społeczeństwa polskiego w sposób niewymownie uroczysty i serdeczny. Łącki żyjący sercem i poczuciem rodzinnego życia, ogromnie się lękał samotności w dni świąteczne i bolał nad tem i pisał do sędziego, że rodzina odsunęła się od niego, jakby nie istniał na świecie i że nie wie, co ma ze świętami uczynić. Łącki nie chciał głośno sobie powiedzieć, lecz wiedział, że tym sposobem wprasza się pod dach Stefki. Ale był z góry pewny przychylnej odpowiedzi, więc począł się radować jak dzieciak i napawać słodkimi nadziejami.

Ani mu w myśli nie powstało, żeby nim wgardzili. Stefka jest jego Stefką, przeto bez proszenia powinienby tam zajechać. Szczęśliwy, że zobaczy aniola, który mu już całą duszę oplótł, przestał wpatrywać się w jego wizerunek, co zwykle dotąd czynił, ile razy kończył prace dnia, natomiast, aż do najdrobniejszych szczegółów

wyobrażał sobie rozkosze pobytu w domu sędziów i la-
mał głowę nad zagadnieniem, czy wypada dać Stefce
jaki podarunek, a jeżeli wypada, to jaki.

W kilka dni po liście, otrzymuje odpowiedź tak
smutną, że się nie mógł dłuższy czas uspokoić. Nowy
ten list, był może najserdeczniejszy ze wszystkich, ale
zawierał słowa, wydające się zakochanemu grobem ra-
dości i rozkoszy. Sędziowie donoszą, że nie mógł im
sprawić większej przyjemności obietnicą przybycia, oni
atoli z prawdziwą przykrością muszą oświadczyć, że
najprawdopodobniej zabierze ich na święta stary wuj
na wieś, a wujowi odmówić nie mogą, bo starszy już
człowiek, kocha dzieci i pragnie je przed śmiercią wi-
dzieć, a niedomaga i niepewny, czy wiosny dożyje. Obie-
tnicę przyjazdu „pana Romana“ uważają za obowiązek,
ale stosunki każą odłożyć to na później.

Łącki począł się trapić, jak w nieszczęściu. Ha-
kiedy los tak niełaskawy, trzeba będzie inaczej święta
urządzić. Do rodziny, dopóki się pierwsza nie odezwie,
nie pojedzie, ale aby niebyć sam na sam we wieczór
wigilijny, pójdzie między chłopów do Kowalika.

A że już święta były za pasem, w ostatnią nie-
dzielę po południu wybrał się w drogę w śnieżne pola,
aby być u Kowalika i zaprosić się.

Do Dąbrówki było dwa kilometry. W pogodny,
suchy, a nie mroźny dzień zimowy idzie się żwawo,
tem bardziej, że Łącki jak malarz lubiąc barwy, oglą-
dał widoki i grę słońca po białych polach.

W Dąbrówce przyjęły go wrony krakaniem, a on
z pustoty rzucał za niemi grudami zbitego śniegu. Gdy
tak dochodził do domostwa Kowalika, zasłyszał głosy
żywo sprzecających się ludzi, a między głosami prze-

nikliwy głos kobiety. I ledwie wstąpił na próg domu Kowalika, Kowalikowa wypadła przed niego i kazała iść zaraz do sąsiada, aby posłuchać Baranki.

Zaciekawiony idzie słuchać Baranki, to znaczy żony Barana, domyśliwszy się, że głos kobiety słyszany aż na drodze, był jej głosem.

Kowalik jako pan na swych śmieciach, nie ustępował w grzeczności salonowym bywalskim. Skoro tylko Łącki wszedł do izby, wybiegł naprzeciw z oznakami radości i złapał doktora w obie ręce wołając:

— A Bogu dziękuję, że pan tu u nas! Może nam pan będą do pomocy, bo tu Barankę opętało i rady dać ji ni można!

Pochwalony Jezus Chrystus — rzekł Łącki, wchodząc, a wszyscy mu chórem odpowiedzieli — ja między baby nie chcę się mięszać.

— Kiedy bo to polityka, czysta polityka — odparł Kowalik, a Łącki tymczasem rozejrzał się po izbie.

Było czysto i dość zasobnie. Kilka roślin w doniczkach wdychało gorące pary i wyziewy niewietrzzonej izby. Bledziutkie były i smutne, a mimo to, nieprzykszyła się kwiatkom służba, uprzyjemniały ludziskom życie jak mogły, chociaż ludzie to życie sobie samo chcąc paskudzą, swarząc się i pasując się wzajemnie. Kwiatki blade zwróciły uwagę gościa swą niewinną prostotą i beznamiętnym spokojem, bo ludzie znajdujący się w izbie w tej chwili tarzali się bądź to w złości i nienawiści, bądź też byli podrażnieni.

Pod oknem przy malowanym stoliku siedział blade mężczyzna, chłop rostry i mocny, na obliczu chwiejny i słaby. Światło białego śniegu padało ukosem na twarz smętną, zczerniałą od posępnych dumań.

Kowalik zajęty gościem, strzelał oczkami, inny chłop siedział na łożku, palił fajkę i krzywił gębą, a na środku izby stała koścista, chuda niewiasta, ubrana z podmiejska i wykrzykiwała głośno, sierdziejście, a wzrok miała kamienny i nieubłagany.

Na chwilę przestała, kiedy wszedł gość, ale nie mogła się wstrzymać waląc słowami, jak wezbrana rzeka falą. Łącki dał znak, że niechce przeszkadzać, usiadł na łożku przy Kowaliku, a baba piorunem razila:

— Święta Katarzyna stu kusicielom się oparła, co byli wielcy króle i panowie, a w dzisiejszych czasach jedna siostra różańcowa od niepokalanego poczęcia, co jej dziesięć tysięcy na stół kładli, aby się tylko z róży wypisała i na masonskie przeszła, w kawalecki ci podarła dziesięć papierków tysięcowych i pod nogi tym masonom cisnęła, a może nie wiedziała co robi? Oj, wiedziała ci nieboga, że w kryminale na turturze zegnije do niepoznaki i gnije w lochach masonskich, a przecież ani na krok nie ustąpiła...

A Kowalik szepce Łąckiemu: „zło krew, jak to księża rozjedzą babę, jak to oni umią rozjeść takie nieszczęście“.

Ale Łącki był jak na tureckim kazaniu. „Co to jest?“ pytał siebie raz po raz i ani krzyny nie mógł zrozumieć. To mu było jasnym, że baba była podobna do starodawnej czarownicy, ale dlaczego i skąd się wzięło to kościelne zabarwienie oracji? Baba tymczasem dalej wrzeszczała:

— To wam te wiecowniki, bałamuty, gadajom, że czarta niema na świecie? Ola Boga, jakoż to krew Boska w tych pałogłowach, co to niby do stołu Pańskiego klękają i Boskie ciało pożywają! Ja sama czarta

widziałam, nie pamiętacie, coście sami temu wierzyli, nim przyszli te bałamuty, co wam do krzty Boga umierzili, jak tam za skowronkową łąką co miesiącek na nowiu chodziło i hukało, co cała wieś na swe oczy pod przysięgą widziała! Nielicho to było, może to pies myrdał ogonem, a ślepiami świdrował? Nie pamiętacie ta, że póki kanonik nieboszczyk nie wyszedł z procesyją, póty hukało czarcisko!... Phy — baba splunęła — obrzydliwa to obraza Boska, nie pamiętacie, jak ci to akurat z piorunami uciekało. Gwiazdy świeciły, niby dał Bozia noc pieknom, a co kanonik nieboszczyk kropidłem, ze święconą wodą machnie, to się czarcisko skurczyło, aż zadudniło o sto mil może. Co prawda..

— To nie grzech! — dodał śmiejąc się Kowalik.

Śmiech Kowalika nowe ognie w babie rozniecił:

— Zberezniki bezbożne — prawiła baba — wam śmiech, a mnie śmiertelna trwoga rozdziera serce i duszy zbawienie! Już mi dychy gnąć poczynają, a niechby zgniły do końca, wola Boska, ale swojej duszy na zatracenie, ani Wojciecha duszy na zgubę nie oddam!

Człowiek siedzący pod oknem na te słowa podniósł oczy ku babie, a w oczach wyrażał jakowąś prośbę może o zmiłowanie, a przynajmniej, o spokój.

Jednak Kowalik, widocznie rozprawę prowadzący, przymawiał babie:

— Co to? Zamało mówicie o czartach, więcej ich jest na świecie, niż się wam zdaje. One są przy was i siedzom na łóżku. Może nie tak?

— Wstyd wam Kowaliku, że drwinkami przeciwko świętym rzeczom się odzywacie. Bo wszystko, co Boskie, jest święte.

— To i czart jest święty — zaśmiał się Kowalik.

— Kowaliku, niech mi się tylko żółć nie wzruszy proście Boga, bo i z wami dam se radę przy Boskiej pomocy! Te co siedzą na łożku, to jak mówi święty Jaugustyn, na czarcie siedzą i z czartem śpią i z czartem gadają, a widzi im się, że anieli naokoło nich latają. Ale duchowne nasze stróżę mają uczoności tyle, aby dożyć, gdzie kto z czartem trzyma! A wy bezbożne dusze macie tyle głupoty, że lezecie w paszczę zięjącym smokom, a uszy na nauki święte macie zatkałe. Wam pycha ziemską bielmem oczy zaparła, a idziecie w męki piekielne jak muchy na lep, słodki na wasze nienasycone pożądliwości i lepszy wam jak nadgroda niebieska! A, zatraćcie wszystko, co mi tam, na dolinie Jozafata beczkami będą wasze łzy wywozili, co mi tam, czy was spali ogień wieczny — a leni nato zaprzysięgła przed Panem Bogiem wiarę Wojciechowi, żebym go do niebieskiego szczęścia doprowadziła..

— To nie trza księdza — rzekł Kowalik.

A baba huknie nogą o podłogę.

Wam drwinki masońskie antychrysty! A mnie płacz i płacz dniami i nocami i mrowie od serca do krzyża idzie pacierzem od strachu przed męką wieczną, a wam drwinki! O widzę, pan się śmieje pod nosem. Rety, gwałtu, ratunku! — i porzęła baba ryczeć i palce gryźć w podrażnieniu, poczem załkała gwałtownym płaczem i sparła się o krawędź łożka, aby nie upaść. To ujęło Kowalika, więc nastroił się powagą:

— Oj, jak mi boleśnie Wojciechowo. Takaście byli dobra kobieta i żona i Wojciechowi było z wami tak dobrze. A czy się Wojciech zmienił teraz, czy co, czy pije, czy gra w karty, czy za dziewczkami strzela, czy do

kościółka nie chodzi? Stateczny był i taki jest. A, Wojciechowo, to was coś opętało, ale i wy niewinna. Czyście sami nie gadali, jak kołownik was namawiał, abyście męża do ślachty nawrócili, jak was coś osobno do siebie wołał i siał ziarno, które padło na głupią duszę, że to my od Boga się oddalili, że my się czartowi zapredali? Czyście z razu sami to nie gadali? Czy nie wołała was dziedziczka, aby was jątrzyć i zgodne życie małżonków zepsuć i do nieszczęścia doprowadzić.

— Co mi tam godocie! — zawołała baba — czy wy mecynarz, czy was kto prosił? Wojciech żył bez polityki i bez gazetki i będzie żył, choćbym miała zemrzeć ze zgryzoty i Wojciecha łańcuchem związać!

— Zło krew, to księżom wolno na pasku owieczki wodzić, a człowiek musi patrzeć na tyle nieszczęścia! Co za życie ma Wojciech? Czy za jego szczęście przed Bogiem nie przysięgaliście? — powiedział Kowalik.

Dziedziczka gadała, że na jego zgubę nie przysięgła! — wrzeszczała baba.

— Z księżami trzyma i tak samo zysk ma z ciemnoty chłopca.

— A wam żyd jest faktorem!

— Niech tak będzie. Ale nie pożyczyl od żyda, anim brał na wypłat, jak Wojciechowa.

— A wam zasię do tego!

— Co prawda, to nie grzech!

— Wynoście mi się z chałupy!

Wówczas Wojciech, ciężko westchnąwszy się ozwał:

— Magduś, to się nie godzi...

— A godzi się na chore kobiecisko tak nastawać, a godzi się, bezbożne dusze, po wiecach jeździć? Czy

nie rachujesz, bez mała dwie dziesiątki strwoniłeś na wiece, czartoski sługo!

Na to Kowalik powiedział:

— To mu Pan Bóg nadgrodzi, że pracuje nad chłopską polityką.

— Szatanowi służbę robi! Rozgrzeszenie ciężko mu dostać, a on jeszcze gębą nadrabia. Czekał na sąd sprawiedliwy, to gorzkimi łzami zapłaczesz! A kiedy mi raz jeszcze wspomnisz o tej robocie, to ci gorącym żelazem język wygrzeję, aby Boga i Matkę Najświętszą nie ranił!

Wojciechowi było już oracji za wiele. Błady jak trup, potarł czoło, ręce kurczowo zaciskał, aby się zdobyć na spokój. Więc rzekł tyle:

— Pan Bóg jest nad ciebie i nad księdza, a sumienie mam czyste...

— Jakie masz prawo co gadać! — przeraźliwie zawołała baba — możesz nie stracić dwóch dziesiątek na wiece, może czasu nie mitręzysz, może duszy nie gubisz, może czartom nie służysz?

— Wojciechu, z babom końca nie dopniesz — rzekł Kowalik.

— To wynoście się za drzwi, psubraty, pałogłowce! — zahuczwała baba. Wojciech miał błędny wzrok, a krople zimnego potu wisały mu na czole. Załamał ręce, powstał chwilę i patrzył w babę, naprzemian ryczącą i piszczącą od mozołu. Baba wyganiała wszystkich co raz natarczywiej i skakała do męża, przezywając go w rozmaite sposoby. Wojciech ważył, co ma uczynić, czy zgnieść babie gardło w jednym mocnym uścisku i zdławić potwora niszczącego mu szczęście, czy

schronić się przed nim. Ważył jeszcze chwilę, naraz strasznie jęknął i wypadł z chaty na pole.

Źle ci słuchać, źle ci słuchać... — piszczała baba.

Ale już nie było komu, bo Kowalik z Łąckim wybiegli za Wojciechem Baranem.

Baba gryzła palce ze złości i wypita kwartowy garnek wody, bo ją od fatygi piekło gardło i gęba wyschła.

Mężczyźni bez porozumienia poszli milcząc do domu Kowalika i tak samo milcząc usiedli przy stole. Baran sparł się na łokciach i wielkie niebieskie oczy utkwiał w stole, Łącki uległ wrażeniu i słowa nie przemówił. Jeden Kowalik nie stracił zimnej krwi.

Pańska polityka — rzekł — ja to do tego zwyczajny, nie pierwszy raz dziś to wszystko słyszę. A panu doktorowi, widzę dziwno jest! Ale nam tu po wsiach nie dziwno. Księża i stańczyki są mądre, nikt im tu się nie przeciwi. Oni wiedzą, że głupie baby opętać można, zaprzęgli baby w i różańce, pacierze i chcą cały świat tak związać, aby przy wyborach wszyscy na stańczyków głos dali i żeby tylko chłop nie próbował o swoje się dopominać. Nigdy nie było tyle bractw i kół nabożnych a starym już jest, to wiem, że dawniej nikt o tem nie słyszał. A kiedy widzieli pańsko-księżę-spólnicy, że mądrzejszy chłop podejść się już nieda i chociaż, a można rzec, dlatego, że Boga kocha i szanuje, nieda się skusić na kiełbasę i piątkę przy wyborach, to baby w tan wypuścili... Zła krew, mądre są, bo nima nic droższego dla człowieka, jak spokój doma, a kiedy baba zacznie złamdać i gwałtować i grozić piekłem i płakać, to się chłopu i wiecu i gazetki i polityki odechce. Alo to gadam ja prosty chłop, że nie wim kto ma grzych

większy, czy ten, co ludowi oddane gazetki czyta, czy ten, co na pomoc stańczykom Boga wzywa i nieszczęście pod dach wprowadza i przez baby trzyma chłopą w ciemnocie. Zła krew... o tem nieszczęściu z łaski stańczyków i księży to mało kto wie, a żeby nie to babskie skaranie, toby wiele chłopów garnęło się do oświaty...

— To Ziemba z dziedziczką, wyuczyli Wojciechową? — zapytał Łącki.

— A ino. Ona za dziewczkę służyła we dworze, takie to najgorsze — odparł Kowalik — niech pan to podadzą do gazet.

Smutna nastąpiła rozmowa, w której Łącki wypytywał się z drobiazgową ścisłością o wszystko, co miało związek z nieszczęściem w domu Baranów. Kowalik osądził, że Baranka od zgryzoty się rozchorowała i pewnie zemrze, a księża powiedzą, że to Bóg Wojciecha skarał, bo zawsze tak mówią, kiedy się ludowcowi zdarzy nieszczęście.

Łąckiemu w tej godzinie było tak źle na świecie, że czuł gorycz i czuł gwałtowny ubytek siły.

Odechciało mu się świąt między chłopami, więc zbadał sprawę Baranów, doszedł do wniosku, że potworne wciąganie religii do polityki narodowej przybiera formy łajdackie, o jakich się teoretykom nie śniło i zachęciwszy chłopów do dzielnego wytrwania we walce z ciemnotą, pożegnał ich i puścił się ku miasteczku.

Wczesna noc już zaległa, niebo nocną pieśń grało na strunach gwiazd, spokój, biały kraj, śpiąca ziemia, gwałt w duszy, nieskończenie rwący, nie pozwoliły się skupić, skrzepić się po doznanych cierpieniach, zapo-

mnieć bólu, jaki wpił się w serce na widok klęski rozsiewanej w imię Wszecmiłości.

Żal, rozpacz smaganych brutalnie uczuć, dławienie łez potykanych, bole pleniąca miłość ojczyzny, obrzydzenie i szukanie świeżych technień, słowem, chaos uczuć i wstrząsów unicestwił podróż młodego szaleńca, który chciał leczyć naród gnijący od lat i wieków, naród baniek mydlanych i ńędzy. Iść już nie mógł, gorąco mu było, rozpiął ubranie, a mimo to cały był mokry. Iść nie mógł, przeto usiadł w rowie przydrożnym i jadł śnieg, aby ochłonać.

Tak się zadumał, zasiedział... aż wreszcie uczuł spokój, spojrział w świat, zobaczył wiele gwiazd i uczuł lekki ciepły prąd, podobny do wiosennego powiewu. To mu sprawiło przyjemność... postanowił siedzieć, bo nóg wyprostować się nie chciało... a choćby się zdrzemnąć. Oczy się kleją, a gwiazd spadających na ziemię, co raz więcej... co raz to cieplej... ciszej... oczy się kleją... a nóg wyprostować nie można... trzeba się zdrzemnąć... do snu kołyszce urocza pieśń gwiazd.. wyraźnie słyhać granie z za swiata...

XIV.

Już minął tydzień od chwili, kiedy chłop nocą jadący przydybał Łackiego w rowie przydrożnym i na pół martwego odwiózł do domu.

Cały tydzień trwała wysoka gorączka z upośledzoną przytomnością, dziś dopiero w pierwszy dzień bez gorączki, związał Łacki zmysły doładu i dowiedział się, co się z nim stało.

Z razu z przerażeniem dostrzegł koło łóżka niezwyčajne zmiany. Miednica z lodem, flaszki na stole, obecność czyjegoś gospodarstwa, niewiadomo czyjego. Więc zamarzył — przypomniał sobie wszystko.. więc ktoś litościwy, był samotnikowi aniołem stróżem... ktoś zmiłował się nad człowiekiem... ale kto? Domyślił się, że to był ranek, a coraz przytomniej myśląc jął się niepokoić, gdyż czuł obecność nieznaney osoby w drugim pokoju. Zaciekawiony począł chrząkać, z czego dostał bardzo silnego napadu kaszlu. Wobec tego nieznamoma istota ruszyła się w drugim pokoju i oto cień z białą koroną na głowie stanął w szarem świetle poranka. Była to zakonnica.

— Skąd się tu siostra wzięła? — zapytał niespokojnie.

— Księża mię sprowadzili, abym pana doktora pielęgnowała.

— Księża?

— Ksiądz kanonik.

— I nikt więcej? -- z drżeniem zapytał.

→ Proszę grzecznie leżeć, będziemy w dzień mówili.

Ale Łącki tem się nie zadowolił, jął ją wypytywać i dowiedział się, że codziennie bywali tu pan poczmistrz i pan Rzecki, a z pań, pani aptekarzowa po kilka godzin siadywała i zajmowała się wszystkim.

— Aptekarzowa?!... Czem zyskałem jej względy?..

Z każdą godziną było lepiej, przed południem usłyszał Łącki ożywione szepty w bocznym pokoju, a że był jeszcze bardzo osłabiony, zdawało mu się opacznie, że tam szepce kilkoro ludzi. Lecz była tylko pani Flora aptekarzowa i zakonnica.

Pani Flora niebawem się ukazała, zakłopotana, wpatrzona w chorego.

— To pani ulitowała się nad samotnikiem? Czem zasłużyłem sobie na tyle dobroci..,

— Obowiązki ludzkości, zresztą dziś przedewszystkiem cieszymy się pańskim powrotem do zdrowia. Dziś jestem prawie szczęśliwa, pański wypadek napęłnił troską każde serce...

Mówiąc to, pani Flora usiadła przy łóżku chorego i poufale wzięła go za rękę, położyła swą rękę na czole chorego i rzekła:

— Mam pewne prawa względem chorego, nachodziłam się koło biedaka, niech pan mię uważa za siostrę, jak zakonnice.

Trzymała rękę aksamitną i chłodną na gorącym czole pacjenta, i patrzyła mu w oczy. Łącki do takich czułości nieprzyzwyczajony, doznał uczucia wielkiej wdzięczności i w rozmowie począł się wypytywać, jakim to sposobem pani Flora nim się opiekowała, co ją naprawdę skłoniło do pracy około samotnika, a wreszcie co się z nim stało i tak zwolna przypomniał sobie wyprawę do Kowalika i ile cierpiał w tej wyprawie.

Około południa przyniesiono skrobane mięso i doskonały kompot od pani aptekarzowej, po południu po raz drugi przyszła pani Flora, usiadła na łóżku chorego poufale gładziła mu włosy, skutkiem czego Łącki do tego stopnia się rozrzewnił i upodobał sobie w tych niespodziewanych, a rozkosznych pieściznach, iż uchwycił rękę pani Flory i nie mogąc wdzięczności słowami wypowiedzieć, tulił jej rękę do ust i trzymał je przy sobie. Nie sądził, aby pani Flora była tak dobrą i ujmującą.

Wieczorem przyszli Klepacki i Rzecki; Rzecki widząc, że Łackiemu zdrowie się wraca, zrezygnował z opiekuństwa i wszczął swe ustawiczne dysputy, tym razem wykazał jasno jak na dłoni, że kanonik wypadek chce wykorzystać i na Łackim wyczynić plamę.

— Jeśli pan nie stawi się sztorcem do niego — prawil Rzecki — on pana zniweczy. Przypadkiem się dowiedziałem z pewnego źródła, że puścił sforę agentów do Dąbrówki za wiadomościami, czyś pan u Kowalika nie spił się jak Bela węgierski, a potem z drogi zaplątał się do fosy i tam jako pijany runął. Przyznam się panu, żem zwąchał pismo nosem, boć przecież pański wypadek pijaństwem trąci, zawołałem pana Klepackiego i aptekarza i wyczynilem komisję zaraz rano po przywiezieniu pana. Mimo grozy wypadku musieliśmy się uśmiechać z sytuacji, bośmy nosy wtykali pod pańskie wąsy i szukali właściwego zapachu alkoholu, następnie wyjechaliśmy na miejsce, gdzieś pan zamarzył i szukaliśmy śladów morskiej choroby. Widzi pan, ile mi o to wszystko chodzi. Ja wiem, że między wami musi przyjść do wojny, dlatego muszę skrzętnie badać, co pan czyni i jakie wieści o panu rozpuszcza kanonik.

— Tośmy musieli uczynić — rzekł Klepacki — bo tego samego dnia po całym miasteczku trąbiono, że pan konsyljarz spił się i w rowie leżał.

Łackiego historia ta niezmiernie zirytowała, a równocześnie z głębokim szacunkiem patrzył na nieproszonych obrońców i nie wiedział jak im dziękować, wreszcie pod wieczór znużony, dostał znów gorączki, acz lekkiej i padłszy na poduszki, wyobrażał sobie panią Fiorę ze skrzydłami anioła, a Rzeckiego i Klepackiego z mieczami ognistymi.

Przy opiece nieoczekiwanych przyjaciół, chyżo powracał do zdrowia i za kilka dni wstał znów, silny i nieznudzony.

Pierwszym obowiązkiem było podziękowanie pani Florze za opiekę, tam też wybrał się Łącki niedługo po opuszczeniu łóżka. Nie zapomniał o Rzekim i Klepackim, a gdy się z tymi obowiązkami uporał, zerwał na czas pewien z całym światem, aby pobieżeć do Krakowa, do Stefki.

Z zamiarem podróży do Krakowa zwierzył się pani Florze, której powabne i swobodne zachowanie, podniecało Łąckiego do pewnej poufałości. Ale próżno pani Flora silila swój dowcip, aby odkryć właściwy cel podróży. Instynktem odgadła, a właściwie w oczach Łąckiego wyczytała, że ta podróż ma dla niego szczególniejsze znaczenie i wprawia go w nieograniczony zachwyty i tęsknotę. Ale Łącki jednym słowem nie zdradził się. Wietrzyła romans pani Flora, zdawało się jej coś bo przepojona romansami z książek, wszędzie romansy widziała. A wiadomości o sercu młodzieńca były jej niezmiernie potrzebne, koniecznie bowiem pragnęła być jego pocieszycielką i sądziła, że lepszej chwili na to niema, że doktor stargawszy miłość ku pannie Skarskiej pójdzie w słodkie jej sieci, jak do miodu. O historii Heleny wiedziała z wszystkimi szczegółami, bo pani Flora nie zwykła zadowalać się okruchami wiadomości, ale wiadomości te chowała na razie przy sobie, aby mieć do gry materiały. Tymczasem młody człowiek swemi słowy bez końca i początku wprawdzie, ale słowy miłości, zdradził serce bynajmniej nie opuszczone.

Podjęcie nie daje jej chwili spokoju. Przypomniałszy sobie, że przed kilku laty pracował w aptecze

męża mocno do niej przywiązany praktykant, baw iący obecnie w jednej z krakowskich aptek, pisze do niego list tchnący wonnościami i obiecuje „różę z piersi“, jeżeli odszuka Łackiego i zbada jego robotę.

Pan magister snadź nie zapomniał o wdziękach pani Flory i swej pierwszej miłości, gdyż w kilka dni później dał dowody rzetelnej pracy śledczej, pisząc do niej stylem poetyckim: „serdeczna zawierucha zagnała doktora w odmęt miłości djamentowej, pała bowiem, ile wiem, stałym afektem do panny Stefanji Piotrowskiej i zamierza w domu jej ojca, radcy sądowego ul. Kar-melicka l. 32., złożyć uroczyste wyznania i połączyć się z wybraną serca węzłem dozgonnym“.

Łacki nie widząc, że żyje w epoce śledztwa, nie tylko w miasteczku, ale i w stolicy, tego samego dnia po przybyciu był u sędziów.

Wszedł, pokrywając drżenie uczuć i wyciągnął obie dłonie ku sędziemu.

Widząc to sędzia, rzucił się, uchwycił gościa w swe ramiona i okazał tyle nadmiernej radości, że gościa do łez rozczulił i kazał mu siebie za ojca uważać. Pojawiła się pani, potem młodsza siostrzyczka Stefki, mocno do niej podobna, a gdy zaczęło być coraz serdeczniej i odczuwano, że przyszedł do tych ludzi przyjaciel, poznano się na jego pytających oczach i z otwartością uczciwych powiedziano: „Jaka szkoda, że Stefka dotąd nie powróciła — jej będzie przykro, że pierwsza pana nie przywitała“.

Wielu nieszczerých ludzi zgorszyło by się może tą otwartością bądź co bądź obcych ludzi, ale Łacki pomyślał: „dobrze przynajmniej, że mi ułatwiają, boć powinni wiedzieć, że po nic innego, tylko po Stefkę przy-

jechałem“. Ale w chwili, kiedy u drzwi wchodowych odezwał się dzwonek i za minutę Stefka weszła do pokoju, Łackiego zdjął strach, bo trudno inaczej to określić, a Stefka jak dotknięta czarodziejską siłą stanęła w progu, zbladła, potem w oka mgnieniu stała w ogniu, twarzycka spłonęła jak czerwień i jedynie oczy obojga skrzyżowały długie, treściwe spojrzenia.

To też trudno już było taić komukolwiek, że w tem gnieździe rodzinnem poczęła się praca natury, usiłująca młode odrośle od pnia macierzystego oderwać. Już nie było miejsca na grymasy, obawy i niepewność — oddalenie dwojga młodych wykształciło i zwróciło wzrok ku sobie; stała się miłość niweczająca wszelkie rozumowania, które zatrzymują jedynie ci, co prawdziwie nie kochają — albo kochają nadludzko.

Stefka milcząc podała rękę, ale już w uścisku nieco przydługim i jakby zespalającym obie ręce, znać było radość i pomieszanie. Stefka milcząc usiadła naprzeciwko pana Romana i podnosiła na niego z pod długich rzęs turkusowe oczy, pytając się wzroku, czy się pan Roman zmienił, czy wypiękniał, rozumie się. . wypiękniał, a pan Roman z nadmiaru wrażenia nie patrzył na Stefkę i nic do niej nie mówił, żywo natomiast rozprawił ze sędzią o swej posiadzie i o miasteczku. Sędzina tymczasem wyszła, a na wychodnem zaprosiła gościa na obiad, gość pewnie się tego spodziewał, ponieważ w zamieszaniu skinął głową, lecz nie podziękował, sędzia rokosznie uśmiechnął się pod wąsem, a młodsza siostra Stefki najmniej się krępując, była tak rozbawiona i rozweselona, że na miejscu nie usiadłszy, to biegła do mamusi do kuchni, to wracała do gościa, aż wreszcie dała wyraz temu, co tam tkwiło w serduszku

stanęła poufale przed gościem i wprost zapytała; „dla czego pan do Stefki nie nie mówi?“

Zaczęto się śmiać, a Łacki jak niedźwiedź w swej rozkochanej nieporadności, skorzystał z tej interpelacji i zapytał Stefkę o to, gdzie była i skąd przyszła..., i czy nie zmarzła, bo to zima...

To były pierwsze słowa do wybranej. Ha! Trudna rada z zakochanymi, ale to dobrze, że się kochają i że niemogą tak w południe przy świadkach powiedzieć to co czują i dlatego zaczynają od pytania, czy przypadkiem wybrana serca nie dostała kataru.

Obiad polepszony na prędce dokupionymi specjami, miał cechę uroczystą, ale bardzo serdeczną, bo u sędziego inaczej być nie mogło.

W taki sposób rozpoczął się turniej miłości. Pierwsze chwile, wstęp do ceremonii oświadczyn odbył się. Wieczorem przezorna pani sędzina zaprosiła pannę Julję i inną przyjaciółkę, aby w domu narobić hałasu i w zamięszaniu ułatwić młodemu porozumienie się, lecz w tym całym pierwszym dniu, pod panowaniem silnych wrażeń i wstrząsów, zakochani bardzo niewiele do siebie mówili, tak, że Łacki po wyjściu od sędziów późną nocą, przechadzając się po jasnych od śniegu ulicach, rozdrażniony i ze siebie niezadowolony, stosował względem Stefki tysiące pytańników, wogóle niepewny, czy Stefka żywi co ku niemu.

Niespokojna mara przeczuć nawracała się jak koło wirujące na osi, jawiła się ustawicznie myśl, iż Stefka uznała go za bałamuta, goniącego za romantycznymi przygodami i dlatego nie może go pokochać, choćby chciała. Skutkiem szybkiego chodu pomiędzy drzemiące drzewa i ławki plantacji, nie odczuwał kilkustopniowego

mrozu, ale nie poglądał na nocne widoki i mroźnem powietrzem owiane stare, ukochane baszty i wieże, nie widział uroków, których nadzieją tak się cieszył, wyjeżdżając do Krakowa z miasteczka, w którym jedynie zaznał ciężkiej pracy i tyle niechlujstwa umysłowego. Zły na siebie, gorzki i samotny nie wiedział, co ze sobą począć, do hotelu wracać mu się w pustkę nie chciało, chodząc zaś samopas, czuł smak nieszczęścia i mdlejące siły. Dopiero, gdy wspomniał niedawną przygodę przełakł się powtórnego zamarznięcia i schronił się do no-
cnej kawiarni. Tam dalej żuł myśli o nieprzejednaniu Stefki, o jej obojętności i tak się zapatrzył we własne widzenia, zasłuchał się własnych głosów, że nic i nikogo nie widział.

Wtem ocknął się szarpnięty poufale za ramię. Ściągnął brwi, bystro przed siebie popatrzył i ujrzał przed sobą śmiejącą się, rubaszną, ruchliwą twarz Dębowicza.

— Ty! — krzyknął Łącki i zerwał się na nogi.

— Ja! — w ucho oddał mu Dębowicz.

— Co tu robisz? — zapytał Łącki.

— Cha... cha... to ty mieszkasz w Krakowie, a ja gniję w żydowskiej dziurze? Ja się mam pytać, co tu robisz?

— Daj pyska!... — rzekł Łącki ucieszony.

— Dwa koniaki! — ryknął Dębowicz. — Ja tu z kilku weteranami, ale dla ciebie porzucę ich, mam ich na codzien.

— Więc codziennie wałęsasz się?

— Toś zapomniał, jak się żyje w stolicy, w piastowskim grodzie, w siedlisku tężyzny umysłowej?

Łącki ogromnie się ucieszył spotkaniem Dębowicza. Wybierał się do niego, zresztą chciał pogadać z tym serdecznym obdartusem, prawdziwym Polakiem o złote sercu, pełnej głowie, nienawidzącym pustego kieliszka, ani wytrwałej pracy.

— Dalibóg, z tobą nie można się pośmiać, zaraz na stół lud, naród, zaród, poród, praca organiczna, nie-organiczna, organistyczna, dezorganiczna, zaraza py-skowa, długopalcowa, małośćwo, megalomania, kleptomania, a niech cię djabli porwą, u nas w stolicy naj-żarliwsi sternicy narodowi spuchliby, gdyby żyli takim psiem życiem, jak ty — wypowiedział Dębowicz, gdy po kilku słowach Łącki począł się dopytywać o sprawy narodowe.

— O nie, nie. Nieda się zaprzeczyć, że u nas jedynie w stolicach życie społeczne możliwie odpowiada duchowi czasu — odparł Łącki — pozwól mi odetchnąć wolnością i cywilizacją, bo tam we Wisłoku, to zdechnąć można ze smrodu i zacofania.

— To też stul gębę i oddechaj nosem, abyś nie odurzył się nadmiarem upragnionego powietrza, gębę zaś otwórz, gdy dam znak, że wypić trzeba — powiedział Dębowicz.

Łącki począł więc gawędzić o tysiącnych drobno-stkach spółnie im znanych, Dębowicz zaś nadzwyczaj ciekawie spoglądał na gościa „z prowincji“, jak go przezywał. Na komendę Dębowicza wychylali „po jednym“, Dębowicz się rozczulał, Łącki stawał się wymowniejszym, aż we dwie godziny po spotkaniu, Dębowicz naraz z wielką przyjaźnią spojrział w Łąckiego i rzekł:

— Nie sądź, żem cię wymiół z pamięci. V do-
brych chwilach jakiego takiego statku, rozmyśla nad
przeznaczeniem, jaki ci los, względnie naród gotę.

— O to mniejsza! — rzekł Łącki.

— Nie mniejsza! Słuchaj mię, to dramat, stra-
szliwa polska tragedia, to łotrostwo, które się kpi na
narodzie i hańbi go! To przekleństwo nasze. Długom
się jał wódki i pustoty — powiem ci — wie, żem
swego czasu czuł tu, na wątrobie, może mniej, iż ty,
ale czułem. Wszak wtedy nasza przyjaźń się rozprzeła..
Romek daj pyska! — tu Dębowicz wstał i pylepił
się na chwilę do policzka przyjaciela, następnienówił
dalej — psia krew, czuliśmy jednako, jednak raczej
na świat patrzyliśmy. Tyś wielki, ani mi si było
równać z tobą, tyś patrzył celu i kochał idę bez
względu na siebie, ja zaś chciałem i siebie na wiecie
uplasować, więc baczyłem, jak to jedno z drugin po-
godzić. I sprytniej niż ty, raczej mądrzej pnałem
nasze stosunki. W Niemczech lub gdzieindziej, wcywi-
lizowanym kraju, kiedy na nowatora puści si psy i
szczuje się ze strony psia mać... posiadającycl dzień
dzisiejszy, on schroni się do dziennika, broszury pisma
jego własne utrzymują go, korporacje odpowiedzialnego
rodzaju wyżywią go — u nas wobec zimnicy narłowej,
trzeba być albo majątnym, albo pieczeniarem, b sobje
nie z tego nie robić, że jako nowego proroka pami
szczują, lub też gnębią aż do śmierci. Z ludzidei,
ledwie kilku w naszej historji i do dziś dnia rozwnęło
skrzydła i nie upadło, inni... ani wiemy, jacy to byli
inni, bo ich przytłoczono, albo zostali takimi drałmi,
jak ja i tak rzekli... straszliwy to dramat narodow, to,
iż człek musi gdakać tak jak rządzące małpidragina-

kazą, inaczej się z głodu zdecha, albo na niczem siły tracę I naród liczący tylu ludzi naprawdę ideowych, nie, nich nie wie, kilku wodzirejów błąka się jak barły po pustem wydmisku, a wszystko marnieje i szerzy wychudłe policzki do nędzy! Więc ja mądrze pozawszy stosunki, własne ja przeniosłem nad niemożliw niemal pracę ideową, chwyciłem się trunku i życia dnia na dzień, bo u mnie albo coś robić, albo nic nie robić. Psia krew, nie mówię tu o tych tysiącach nie czujących nic na wątrobie, co udają porządny i jak psy wysiadują swoje godzinki po urzędach i sstkach szewskich. A ty głupi nędzarzu mój, daj pysę — tu znów Dębowicz ucałował swego gościa — jeśli ty nie zmądrzejesz i nie zapomnisz idei i nie przeobrz się na porządnego obywatela, panie, zdechniesz, zdechniesz, jak tu obaj konamy przy kieliszku!.. Jeszcze pojdym! — krzyknął dziwny Dębowicz.

Za kilka sekund stały dwa pełne kieliszki. Łąckiemu, d trunku oczy łyskały. Zdumiony, otworzył gębę ku rzyjacielowi i nie mógł się wybrać z odpowiedzią.

— Pij! — rzekł Dębowicz.

Łącki przechylił szkło i wchłonął trochę ognia.

— Skąd ci się na to zebrało? — zapytał.

— Przez ciebie nieszczęśniku — odparł serdecznie.

— — Mój mecenas, też ze mną napija, bo taka sama bestja, jak ja, więc mój mecenas ma tam w tej śmierdzącej dziurze krewniaka, wielkiego sprzykę Rzeckiego.

— Rzeckiego!

— Widzisz, jadaczkę rozdziawiasz, pewnie chciałbyś go zjeść.

— Tego jeszcze nie, i w ogóle nikogo.

— Więc chyba nic nie wiesz!

— To ciekawe, Rzecki między nas trafił.

— Z jego listów — mówił Dębowicz — wiem wszystko o tobie i o tym sobaczym wieńcu bliźnich. To dziwne, że jeszcze żyjesz, tam na cię czyhają jak krokodyl na flaminga, czyli jak pies na kości.

— Przesadzasz — rzekł Łącki.

A Dębowicz trzasnął dłonią w marmurowy stolik i krzyknął:

— Więc nie wiesz o cenie wyznaczonej na twą głowę? Jutro przyjdź do kancelarji, zapoznam cię z męczynasem, on da list Rzeckiego do przeczytania.

Tymczasem w zwięzłych słowach opowiedział Łąckiemu o szpiclach na jego osobę, o kanoniku, o burmistrzu, słowem o różnych zakulisowych sprawach, które we Wisłoku przed doktorem kryto bardzo skwapliwie. Łącki nie przeraził się, boć o intrygach i niechęci wielu osób z góry był przekonany, choćby przez zwykłą w takiej rywalizacji zawiść, jednak z powodu kilku, może przekreślonych, może rzeczywistych wiadomości, zawrzał nagle złością, pod wpływem trunku zapienił się, uczuł odwagę i siłę lwa i uczynił postanowienie nigdy przedtem nie czynione, rozprawienia się z intrygantami na ostro, przy byle jakiej sposobności.

— Gryź, inaczej ciebie zgryzą! — piorunował Dębowicz. — Nie sądz, iż pod wpływem alkoholu namawiam cię do burdy. Stary pijak jest najtrzeźwiejszy, kiedy pijany. Nigdy kochasiu nie używaj łajdackiej broni, ale przy świadkach wal w czerep między oczy, jeżeli czujesz, że padasz niewinnie jakimś szelmstwem.

Ale Łącki, który mało pijał, począł zwolna wpaść w zawadjacką furję. Z filozofa, przytem wiecznie zakochanego i rozbolełego marzyciela, stał się błyska-

wicą, grzmotem, płonącym stosem smoły. W ciemnej od dymu, parą wódki przesiąkłej sali, widział piekło, rozgrzana wyobraźnia ze świateł lamp gazowych czyniła djabelskie ślepią, w pijanych albo podnieconych nastrojem nocnej kawiarni ludziach, widział swych najmilszych współmieszkańców Wisłoka i wykrzykując rzucał się ku nim, usiłując wywołać awanturę. Głosy jego i Dębowicza, od czasu do czasu, dominowały nad pogwarem kawiarni, rozmaici kompanjony to mieszcali się do głośnej rozmowy, to gotowali się do awantury, od której Łackiego bronił Dębowicz wielką umiejętnością poruszania się w takiej nocnej norze. Mimo chęć atoli Łackiego wstrzymywać już nie mógł, mimowoli bawił się jego upiciem i tylko baczył, aby wycofać się z honorem, gdy Łacki stanie się niemożliwym. A nie długo czekał. W kącie za słupem siedział żyd opasły w długim po kostki kitlu. To z pewnością kanonik. Więc Łacki do niego:

— Pilnuj ksiądz moralności! Kup se księżę szczotkę i mydła, wyczuchraj owieczki, bo paskudnie się zawałały, leżąc na własnym gnoju. To twój urząd kanonisiu. Tyś nie kat, ani anarchista! — mówiąc to w ukłonach przed zdziwionym żydem, chwycił go za nos.

Śmiech szeroki i gwałt żyda wywołały tumult i zamieszanie. Dębowicz widział, że to już koniec powodzenia, chwycił przyjaciela za kark i wyprowadził przemocą, przedtem popłaciwszy wódki.

Ponieważ Łacki nie chciał iść do hotelu, Dębowicz również przemocą zaprowadził go do siebie i powtórzał: „brak rutyny kochasiu, dyletantyzm, to zakała porządnego szynku..“

Gdy rano nie mógł się nocny włóczęga oprzeć znużeniu, leżąc w łóżku rozpamiętywał nocne przygody, Dębowicz zdrów i swobodny ubrał się, jak gdyby od wieczora spał snem sprawiedliwych.

Łąckiego przemogła ciekawość, co też może być w liście Rzeckiego i z niecierpliwością się dopytując czy mecenas da list do przeczytania, wywłókł się z łóżka około dziesiątej, a wkrótce żartami Dębowicza ożywiony, przyszedł do równowagi.

Nocnych awantur się nie wstydził. Powiedział to Dębowiczowi, a ten go wysmiał, twierdząc, że wygląda w szynku jak biały gołąb, odurzony chloroformem na stole wiwisekcyjnym. Śmiał się tedy wraz ze swym szynkowym przewodyrem, bowiem nigdy nie powodował się zgoła żadnym purytanizmem, uznając purytanizm za dołek, w który wpada niekiedy sam moralista. Wszak z nim tak było tej nocy. Że się tak fatalnie upił, było dowodem jego wstrzemięźliwości, a że się ten wypadek wydarzył, było zwykłą losów koleją, której on był jedynie igraszką.

Bez śniadania, ubawieni przygodą ze żydem, która na trzeźwo wydała się tragikomiczną, weszli do mecenasa. Mecenas z wielką sympatją oglądał Łąckiego, przyjął go z otwartymi rękoma, z największą ochotą list pokazał mówiąc:

— Ja pana doktora już znam doskonale, takich ludzi nam potrzeba, ale takim nie dajemy się rozwinać. To nasz pech narodowy.

Obaj mocarze prawa odeszli do sądu. Łącki zagłębił się w czytanie, a w miarę czytania czerwienił się lub bladł. Przeczytał raz i drugi, namotał to sobie na pamięć. Powitawszy dzień uśmiechem, pochmurzył

się, lecz nie były to chmury gradowe, to była powłoka błękitów jednostajna, szara, cicha, której nastrojem smutek i westchnienie, a czynnością dżdże i lży deszczu nieukozone.

W takich chwilach życia śpieszy się do kochanej i kochającej kobiety i żąda się od niej tego, co świat nazywa anielstwem, a co jest zbawiennie kojącym uściskiem, pocałunkiem i pieśczętą rodzącą silne a zgoła odmienne wrażenia. Pod tchnieniem miłości zapomina się o wszystkim innym.

Łącki jak prądem niesiony, party żądzą miłości biegł do Stefki, aby się tam schronić. Nie zdawał sobie sprawy, że wczorajszego wieczora po wyjściu od sędziów zgryzł się i wymartwił niedobłą Stefką, poznał iż niedobrze samemu pasować się z życiem coraz to trudniejszym, w tej kobiecie widział opokę cichego serdecznego szczęścia, którego nikt mu nie odbierze.

Bez trwogi zakochanych wszedł do domu swego szczęścia. Aliści w saloniku sędziów ochłonął i zawstydzil się swych nadziei, albowiem tu dopiero uprzytomnił sobie, jak mu daleko do Stefki, ile przyjdzie jeszcze zdo być i przetrwać, zanim skrzydła miłości otulą tę parę serdeczną.

Nagle z podziwem i czcią niebotyczną spogląda na Stefkę wchodzącą do salonu. Słoneczna jak majowy poranek, błękitna jak niezapominajka, zbliża się ku niemu, rozłaczając blaski wdzięku i śpiewając mu prosto w serce: pójdź... o pójdź ku mnie... Z podziwu nie wychodząc, nie może szczęściu uwierzyć, a szczęście pcha mu się w gardło, tamuje oddech, z podziwu nie wychodząc, ma tylko tyle wolnej myśli, aby stwierdzić niesłychaną zmianę w zachowaniu się Stefki.

Pod wpływem rozsądku ojca Stefka już od dyna zrozumiała, czem był stosunek Romana do Heny i dawno mu przebaczyła. Od chwili poznania uważała Romana za człowieka, którego kocha, ale to kochnie, jak zwykle u dziewcząt, było czeze i pobierało sioki z rozumu i ideałów, a nie wcisnęło się jeszcze w totę jej osoby. Jej rozumek lękał się miłości i napaw ją trwogą, czy wyszedłszy zamąż nie będzie na ścieie plotkarką i zrzędą kuchenną, jak ciocia rejentowa czy nie straci niezawisłości, o co jej nadewszystko chęciło, i czy nie obarczy Romana ciężarem, nie umiejąmu się odwzajemnić za troskę i starania. Dzielna żądź samopomocy i samoistności tłumiała gorętsze porywmiłości, a jednak zakochana w młodym idealście, bdej wolnej chwili nie użyła na nic innego, jak tyll na rozmyślanie o doskonałościach Romana, o nim i tego życiu. Chciała być taką jak on, a mimo to kochając w nim mistrza, lękała się małżeństwa.

Zjawienie się młodzieńca było ostatecznym odźcem, jak pęk kwiatu podrażniony promieniem wżenego słońca, miłość w niej poczęła rozkwitać. Wrem uczciwej duszy kobiecej uznała, że za nim pójść musi, więc rozplątana miłością oddechając mówiła bie: „będę jego jasnym dniem i barwnym kwiatem, będę mu chłodem w znoju, ciepłem pośród lodowych dusz obcych ludzi... bo czem innem być nie mogę, bęlna, uboga, garstka pyłu po drodze życia... będę spółczką jego doli i niedoli, czem ciężej będzie mu na ścieie, tem bliżej będę, choćby przyszło pójść w kraj śwata... bo tylko to mu dać mogę, co mam w sercu i iszy, jestem ubogą pracownicą w tłumie ludzkości, srym prochem... w zwątpieniu i smutku będę wskazywała

gwiazd wprost do Boga wiodące, w radości jego dniach będą jego szczęście Bogu dziękowała... Bóg wszystkich wysłucha, nie jak ziemscy mocarze, którzy nie spogląną na moje istnienie... ani na jego bój o Boże prawa“

tem nowy lęk ją przeszył, wiedziała, że wszystko spełnizęgo on zażąda, a co będzie w jej mocy, ale nie zifała własnym siłom i ulękła się, iż może się stać czarem i przeszkodą w zamysłach ukochanego.

oli żądza miłości już była silniejszą, aniżeli sprawrozumu — Stefka rozwarła serce na przyjęcie kochała i z tem stanęła przed Romanem, poglądującym z podwem i czią niebotyczną na polny kwiat, żyjący własną życiem.

ten dzień stał się dla obojga pełnym słońca. Łącki howając w sobie tkwiące brzemię listu Rzeckiego, pragnął się rzucić w ramiona Stefki i poskarżyć się przed ajwierniejszą i poczał się dziwić swym wczorajszym odejrzieniom. Dziś wydało mu się, że już Stefkę za swą uważać może, to też ani przez myśl mu nie przeszło oświadczyć się.

o obiedzie sędzia kazał się ubrać, iść młodej parze aprzód, a sam z młodszą siostrą Stefki zwołał z nią podążyć. W ubogim domu żyło się tak, że rożnic i wiele nie było. Ot to, co się nazywa szarem

A mirżka praca, skromna rozrywka i przechadzka. i nie to ludzie ci żyją, weselą się, nie grymaszą i zapyt rzekają. Boć trzeba w dusze tych ludzi spojrzeć dni po Stefki, jak się to żyje w pracy i powszedności do Ro sobie idących. Iłąc przez rogatki Stefka mówiła ana :

— Tysiąc rozkoszy doznaję, patrząc na świat boży. Niekiedy zdaje mi się, że byłabym znakomitą malarką. Po odbyciu lekcji biegnę za rogatki, na pola, między drzewa, nad strumienie, nie gardzę widokiem miasta, ale przenoszę widok niezmienny ręką człowieka. I wzrokiem, słuchem, ba nawet powonieniem te cuda chłonę i poję się krasą przyrody jak pijak wódką, szczęśliwa że nie tylko zdrowia nie tracę, lecz nawet zyskuję i prędeż się komu przydać mogę, niż ci, co trwonią wiele dla przemijających zabawek.

— Moja pani, to jedno jest na świecie bez zwały a piękno przyrody na to Bóg dał człowiekowi, aby się na jej łonie uzdrowił, więc uszlachetnił. Pani moja, pani nie uwierzy, jak pięknie położone moje miasteczko. Zdaje się, iż oboje żałujemy, że nas Bóg malarzami nie stworzył. A ja pani na palcach u jednej ręki wyliczę mieszkańców tego pięknego zakątka uzdrawiających się w pięknie natury. Nabyłem przekonania, że ukochanie przyrody najłatwiej uchroni od grzechu, lecz tak niewielu ludzi umie ukochać to, co się do kochania samo prosi. Ludzie kochający przyrodę bywają najlepsi, pani musi być z tego powodu bardzo dobrą.

— A pan z tego samego powodu.

— Ja chciałbym być takim, a pani jest. Pani ztwardziałego grzesznika broniłaby przed potępieniem, wiem o tem.

— Nie tak dawno się znamy, więc pan o mnie nie może mówić z taką pewnością.

— Pani widocznie nie jest skora do sądów.

— Panie Romanie, przed każdym sądem trzeba się trzy razy w piersi uderzyć, tak mawia tatuś.

Łącki nie mógł z podziwu wytrzymać i chwycił Stefkę za rękę.

— A wierzy pani że mię już we Wisłoku osądzono?

— To nie sądy, to zdania ludzkie o panu.

— Nie, już po wyroku i o nim się dzisiaj dowiedziałem przypadkiem. Gdyby nie obecność pani, byłbym bardzo biednym...

Stefka spojrzała na towarzysza, tak jak sobie obiecywała. W spojrzeniu była głęboka życzliwość i miłość.

Młodzieniec dojrzawszy ten wzrok, począł opowiadać, co czynił dla sprawy i jakie zyskał wyroki.

— Ale panią to pewnie nudzi? — po pewnym czasie zapytał.

— To dla mnie, tak, jakby mnie osądzono — rzekła Stefka i patrzyła na Romana, aby być jemu osłoda. —

On zaś w tej chwili stracił władzę mówienia. Wreszcie szepnął:

— Nie, to za serdecznie powiedziane, ja w tej chwili przebaczyłem tym wodzirejom miasteczkowym. Później o nich powiem.

Stefka była bardzo rada, że tak widocznie uspokoiła troski Romana. Godzina wspólnego szczęścia jest najdroższym skarbem człowieka.

Dwoje tych młodych ludzi w istocie nie wiele razy się spotkało, nie pisywało do siebie filozoficznych listów, nie spierało się ile i jakiego szczęścia wydzielić sobie pragną — tymczasem z ich serc płynęło proste niekłamane uczucie, ich muzyka serc była swojską, oni tak się wzajemnie dopełniali, iż nie czuli potrzeby targowania się o poziom i gatunek miłości, zakwitły ich dusze jak dwa kwiaty na jednej łodydze, ich myśli żyły

obok siebie. Strumień płynący łąką byłby żałośnie smutnym gdyby był pozbawiony przybrzeżnego kwiecia, a łąka zwiędłaby z żalu, gdyby ta jej woda spłynęła:

W piękny biały dzień, w otoczu niezmiernych przestrzeni, biała ziemia drgała nieskończoną obfitością błysków i białości, a fioletowe cienie i niebieskie załomy pól śniegowych łagodnie i barwnie grodziły roztocze, ścieląc zimowy wieczór u stóp gładkiego seledynowego stropu. Szczęśliwi, iż jedną pieśń śpiewają, skoro tylko poczęli mówić do siebie głosami miłości, nie spostrzegli, że słońce im w oczy zagląda i skłania się ku wzgórzom. Byliby szli tak po za granicę dnia, aby się słuchać i obok siebie idąc, mieć świadomość, że są razem na zawsze.

— W ostatni dzień przed wyjazdem miałem wrażenie, że pani ma mię za nic — mówił Łącki.

— A ja przez długi czas sądziłam, że u pana jestem tylko przedmiotem ciekawości — mówiła Stefka.

— Pani nie wiedziała, iż panią wtedy już czciłem jako świątynię pokoju i trwałego szczęścia.

— Nie mogłam wiedzieć o tych pańskich złudzeniach, a sama niedostępna jak sokół na szczycie i wolna jak sokół, bałam się utraty wolności, idąc w nieznane mi strefy, przytem chciałam, żeby pan użył czasu na lepsze rzeczy, niżeli zaprzątanie się takim niczem, nazywajacem się Stefką nauczycielką.

— A ja myślałem, iż pani mię osądziła, jakobym rzucał się po świecie niby skoczek i nie czuł, że pani dusza i swojskość i wielkość, stały się dla mnie przystanią i polem urodzajnym.

— Trwoga mię brała, gdym myślała ile panu trzeba dać szczęścia, by tego zbolalego ducha upieścić.

— Dziwiłem się pani, że niechcesz być dobrodziejką duszy, żyjącej tylko dla takich jak pani i widzącej w pani ziemską doskonałość. Śmiech Stefki zabrzmiał szeroko, ale srebrny i słodki.

— My tu niedługo pocznjemy wierszem gadać — powiedziała.

Ale Łącki ze wzruszenia zaciskał powieki i był nastrojony uroczyście, a nie przeczuwał, że dziewczynie, podobnie jak jemu, chwile dumań wszystko wyjaśniły i pod wpływem jakoby wyższej potęgi, kazały kochać.

— Chciałbym do pani tak mówić, aby pani mi wierzyła.

Wierzyłam od pierwszej chwili poznania.

— Ale nie sercem... tylko rozumem.

— Serce u mnie, to dziwne serce... — rzekła Stefka. —

Dziwne? O, dziwne serce, w oczach inne, a w słowach straszne...

— Panie Romanie, ono jest trwożne.

— Bezlitosne... gdyż szuka gwiazd i niechce być sercem ziemskim.

-- Dziś zupełnie inne, ach jakie inne...

Łącki spojrział nagle w oczy Stefki i ujrzał tam całe słońce uczucia, a chociaż tego nie rozpoznał, natchnął się nadzieją i wiele, bardzo wiele mówiąc ze Stefką, powrócił z nią do domu, zmęczony naporem wrażeń, ale pełen promiennej otuchy.

Tego wieczoru inaczej już było między nimi. Obecność przyjaciółek pani sędziny okazała się bardzo wygodną. Rozmowa towarzystwa była gwarą, ożywioną, pełną rozgworu o tysiącnych nikłych wydarzeniach dziennych i miejskich, bieg interesów tych ludzi pracy,

a otartych towarzysko, skupił grono dokoła stołu w jadalni, a on i ona, w saloniku upiękuszonym ręką kobiet, usiedli na kanapce i patrząc w oczy, poglądali, aby wzajemnie sobie o szczęściu i spółności duchów powiadać.

Stefka jaśniała promienną twarzą o turkusowych oczach i nic na sobie prócz tej własnej urody nie miała, atoli blask gorącej miłości i prosta radość młodości, ustroiły ją jak boginkę i jak Cherubę, nie było w niej sztuki wyuczonyj, ani też pożyczanego piękna. Ona była jasna, jak objawienie, rozmarzona jak wiosenny poranek, żywa jak motyl zbudzony wschodzącem słońcem, szczerza jak zapach róży, on zaś był zjednoczeniem siły, ducha i miłości.

Stefka pierwsza zapytała o miasteczko i kazała Romanowi swoje życie opowiedzieć.

To przypomniało mu refleksje po liście Rzeckiego, szare dni i mozolne usiłowania stworzenia jakiegoś ruchu w Wisłoku i gdy zaczął opowiadać, jak to każdy swój krok dotychczas musiał okupić znojną walką i szarpaniną, jak mało uczynił, jak to trudno tam ludzi się doszukać, przejął się napowrót niedawnymi pragnieniami, by Stefce odsłonić chmurne udręczenia.

To też zapalał się w opowiadaniu i raz łzami zachodząc, znów rycerskim gniewem, coraz to bliżej pochylał się ku Stefce i z historii nędzy miasteczkowej uczynił własny poemat, prawdziwy, jednak łączący bole ojczyzny, z jego własnymi bolami.

Ukartowali znowę przeciwko mnie, zawiązali komitet „ratunkowy“, jak pisze Rzecki. Zasadą moją jest ugiąć się niewolniczo przed prawdą, a prawda na świecie jest tak uczciwą, że uginając się bezwzględnie przed nią, nie potrzebuję nikogo absolutnie skrzywdzić,

ani nikogo prześladować. W prześladowaniu i wszelkiej tyranji, Boga, ani moralności, ani dobra zgoła niema. Kto prześladowuje, popełnia rozbój. Ruch miljonowej rzeszy, jeżeli tylko swych praw się domaga, choćby przez mocą i bez względu na krzyki tyranów, ruch taki żyje słuszością, lecz skoro tylko wydziera coś władzy, lub zagraża jego istotnym prawom, ruch taki jest prześladowaniem albo rozbojem. Ale to samo tyczy się władców, których zawsze kilku siedzi na takim okręgu! Ja niedwuznacznie powiadomiłem śmietankę miasteczka, że pragnę ruch tłumu wywołać, więc gdybyśmy wszyscy prawdą żyli i szczerze pragnęli podniesienia ojczyzny, nie moglibyśmy popaść w swary, a tem mniej na kogoś nastawać. Dla wszystkich do pracy dość miejsca. Więc teraz ważne pytanie, którego odpowiedź musi zabić ich albo mnie! Ja nie uczyniłem dotąd nic, nie odebrałem nikomu nic, nie wyzwiałem na rękę nikogo, siedziałem cicho, zwolna gotując się do istotnej pracy narodowej. A oni zaczęli nagonkę...

Stefka żywo słuchała.

— W tem przedstawieniu rzeczy oni nie są uczciwi.

— Wietrzyłem to, co wypisał Rzecki — mówił Roman, zapominając, że galicyjską pannę tem bawić nie wypada. — W powietrzu czułem swąd intryg, których dziesiątej części nie rozumiem, i które uderzyły mię jak taranem. I wierzaj pani, iż nie spodziewałem się, do dziś dnia, do chwili przeczytania listu Rzeckiego, że inteligentni ludzie mogą żyć z taką zastoną na oczach, że księża mogą w sobie żywić tyle nienawiści i złości, tyle panicznej trwogi o dobro kościoła, aby sądzić, że pierwszy lepszy chudopachołek, grożący kościołowi za-

ledwie w ich wyobraźni, może podciąć gmach stawiany przez stulecia. Kanonikowi idzie o wiernych i kościół — tu Łącki uderzył się po czole — tymczasem popełnia głupstwo, szkodzące powadze kościoła. Nie mogę, nie mogę pojąć, ile tu głupstwa się stało, jednak śmiać mi się chce z władców, z kanonika i radcy. Idzie im o porządek... nie zakłócam go, idzie im o życie narodowe... więcej w tygodniu tem życiem przeżyję, niż oni w ciągu roku. Jest bezczelnością z ich strony cenzurować mię w moich dążnościach narodowych... idzie im o chrześcijanizm... nie tykam tej materji, boję się tknięcia jak ognia, bo nie mając dość czasu na życie polskie, tem mniej go mamy na walki religijne... prócz tego budzę się z pragnieniem, aby wszystko czynić umiarkowanie i uczciwie, zasypiam z tem samem... tymczasem szpiegi, potwarze, spiski, odwodzenie odemnie głupiej tłuszczy, która się nazywa ich ludem, poniewieranie mię od szatanów, burzycieli... a!.. potomki bohaterów, upodlone strachem przed postępem, lękiem przed wolnością, przerażeniem przed świeżą myślą, choćby od Boga...

Młody człowiek mówiąc, patrzył przed siebie, a Stefka już się do niego modliła. Znać było po nim wzburzenie rycerskiego serca, które bolało ugodzone niewinnie. Ona płomienna duchem szła za nim, albowiem nic tak nie porywa młodości, jak odblask prawdy prostej i siły niewykretnej.

Roman spojrział w Stefkę. Przestał mówić, aby słuchać, jak w nim grają pieśni życia, aby widzieć słońca i kwiaty Stefkę okalające, aby po chwili uniesienia roz płynąć się w łagodnej toni rozmarzenia, które wszyscy ludzie odczuli choćby raz w życiu, a słowem tego określić nie zdołali. Wówczas Stefka mu odpowiedziała :

— Wasza rzecz walczyć, nasza błogosławić wam do walki. Lecz do tej walki nie mogę panu dać mego błogosławieństwa.

— Nie ?

— Szkoda sił, pracy i młodości na zapasy z tyrantstwem świata, choćby ono Bogiem się posługiwało. Rozum radzi panu, przejść mimo tyrany i nie oglądać się, gdy za panem biją w dzwon trwogi. Jestem śmiałą i ufną w zwycięstwo dobrego. Umiem tylko iść naprzód i przetrwać głosy puszczyków, bo tem się można uchronić od bólów, zmartwień, udręczeń i nie męczyć się tak złością ludzką... szkoda mi pana i dla sprawy i dla mnie...

— To mi pani mówi... — i uchwycił miękką rękę Stefki.

— Mówię, ponieważ obawiam się, aby pan nie zmarnował się na osobistej walce z zacofanymi. Nic łatwiejszego, jak osób się czepić i stracić cel z przed oczu, tak mówi mój tatuś.

— A pani jak mówi?..

— Tak jak tatuś i pan. Gdybym szła za panem, szeptałabym to wszystko, co obaj w dobrej chwili przepowiadacie.

O... gdyby tak było... byłbym niezwyciężony.

— Zachwiać się, ani cofnąć się panu nie wolno !

Stefka spierając się na poręczu fotelu, lekko się ku niemu pochyliła...

— A wolno mi będzie całe życie mieć przy sobie ten skarb ?

— Jaki skarb ?

— Złote pani serce i najlepszą w Polsce kobietę.

— Co pan chce uczynić, wolno... jednakże nie wolno mi schlebiać...

— Kochać wolno... bardzo kochać...

— Wszystko wolno... odparła Stefka i zapłonęła jak zorza poranna.

Roman w tej chwili, ledwie dosłyszalnym głosem wymawiać począł wielkie i uroczyste jakieś słowa, zbliżywszy usta do gorącej twarzy dziewczyny, dziewczyna głowę w tył pochyliwszy, zwarła turkusowe oczy i w duszę chłonęła wyznania rozkochanego młodzieńca, a na twarz jej wstępowała bladość i zachwyt duszy najszcześniejszej z pomiędzy dusz ludzkich.

Rączka jej, spoczywająca bezwładnie w dłoniach młodzieńca, była jedyną odpowiedzią.

Późnym wieczorem rodzice ucałowali ich czoła, uczynili znak krzyża nad ich głowami.

Sędziemu się zamarzyło, iż na jego serce polało się złoto ze słońca.

XV.

Kanonik Ziemba powracał od starosty, rezydującego w sąsiednim miasteczku. Do starosty zjechali się obaj z panem Korczakiem, aby ułożyć kampanję wyborczą przy niedalekich wyborach, przy których „musiał” wyjść posłem pan Korczak, jako niezależny i najodpowiedniejszy kandydat z kurji chłopskiej. Przy tej sposobności opracowano dokładnie stanowisko władzy względem doktora we Wisłoku. Pan starosta w tym wypadku, bynajmniej nie powodowany żądzą prawdy, ale urzędowem bałwochwalstwem dla nakazów z góry,

uwierzył słowom godnych i zacnych obywateli, że Łącki żyje rewolucją, nienawiścią i utopjami i obiecał bezwzględne swe poparcie przeciw Łąckiemu. Na razie postanowił odmówić prośbie magistratu miasteczka, aby miejscowy lekarz odbywał nadzór targowy, a więc postanowił zmusić gminę do opłacania weterynarza powiatowego, postanowił wydzielić rewolucjoniście jak najmniej okręg szczepienia ochronnego przeciw ospie i tym sposobem urwać Łąckiemu z dochodów pokązną sumkę, dla człowieka pracy bynajmniej nie obojętną.

— Kapitalnie, kapitalnie — cedził pan Korczak.

— Jeżeli się twierdzy nie zdobędzie bronią w ręku, należy jej odciąć dowóz żywności. Albo zginie, albo się podda — rubasznie dowodził zadowolony kanonik.

Pan starosta, człek dość ludzki, z ciekawością spojrział na kanonika i rzekł:

— Znów Łącki nie jest tak niebezpieczny, jak panowie sądzicie.

Pan Korczak, jako faktyczny władca powiatu, odparł z niecierpliwością:

— Starosto kochany, tobie idzie o Austrię, nam o Austrię i Polskę. Dla Austrii to mniej niebezpieczna kreatura, stokroć mniej, ale dla Polski, to morowe powietrze, to klęska!

Starosta wiedział doskonale, że jeszcze mniej lękać się należy polskości Korczaka, niż wszystkich galijskich patriotyzmów, ale chciał zakpić z despotycznego magnata i wypróbować go raz jeszcze, zanim ostatecznie odda mu naganiaczy i żandarmów do przeprowadzenia wolnych wyborów. Więc rzekł do Korczaka:

— Pan się zapomina. W biurze austriackiego urzędnika interes Polski przedkłada pan po nad interesa

monarchji. W takim razie jestem zmuszony poprzeć ewentualną kandydaturę Łąckiego, o wiele mniej dla państwa niebezpieczną. Wszak pan sam tak twierdzi.

— Już mię starosta poprzysz — odparł łaskawie Korczak.

— Muszę się namiestnika poradzić — rzekł starosta.

— Radźże się jak najprędzej, bom gotów zostać posłem bez twego, starosto, poparcia. Powaga władzy jest wielką, ale jeszcze większe są pieniądze.

— Ha, trudno — odparł starosta — w każdym razie nie da się Austrija zjeść Polsce i Łącki wyjdzie z honorem. Przynajmniej po raz pierwszy, za galicyjskich wyborów, władza pieniądze wyborcze zamknie do aresztu. Co będzie wówczas, panie marszałku?

— Będziemy mieć wtedy nowego starostę — żartobliwie szepnął Korczak.

Starosta przelknął cierpką pigułkę i z nienawiścią spojrział na faktycznego władcę, który więcej dokuczyć może przez kardynałów i książąt krwi, niżby to mógł uczynić chudopacholski starosta przez swego namiestnika. Korczak i kanonik byli natomiast ogromnie zadowoleni.

— Niema rady, pan Korczak będzie posłował — rzekł kanonik.

— Namiestnictwo ma w obwodzie hr. Zarembe, to pewniejszy polityk, niż pan Korczak.

— Bo safanduła — roześmiał się Korczak.

— Liberał, żydowski faktor — krzyknął kanonik.

— Panowie, nie ośmieszajmy się, jesteśmy między sobą. Wszak on zaciętą walkę prowadzi przeciw

karczmarzom i jest człowiekiem ekonomicznie nad wyraz postępowym.

— Liberał, nie mówię — powiedział kanonik.

— Ale żydów ściga — zawołał starosta — więc nie jest żydowskim faktorem.

— Starosto, mylisz się — odparł ksiądz. — Ja wolę dziesięciu karczmarzy, niż jednego liberała. Liberałom i wielkim żydom idzie tak samo o zniszczenie karczmarzy, jak chrześcijan, ponieważ ich celem zniszczenie wszelkiej religii, jakąkolwiek ona jest. Trudno hr. Zarembie niszczyć chrześcijan, wszak i o opinię mu idzie — na biednych zaś żydkach może sobie pozwolić — oto jego ekonomja postępową, panie starosto.

— Być i to może, nie chcę się sprzeczać, lecz hr. Zaremba wybitnie nie mięsza ekonomji z narodowością, a pan, panie Korczak, tyle mówisz, że samochcąc ożywasz polską tradycję.

— Ja! — krzyknął zdumiony Korczak.

— Taki zarzut? — bąknął kanonik.

— Ja! — poruszony rzekł Korczak. — Ja, co trzymam wszystko w garści, aby czekać hasła od tronu, ja, nieubłagany stróż porządku państwowego! Czegoś podobnego nikt mi nie zarzucił nigdy, starosto kochany! Jeżeliby przypadkiem stał się cud taki, żeby Zaremba był rządowym kandydatem, ja przejdę do najostrzejszej opozycji!

— Więc tak pan ulegasz woli tronu — odpowiedział starosta.

— To by była wola ministrów, siedzących w żydowskich kieszeniach, wołą tronu jest reprezentacja złożona z przedstawicieli starych rodów, gwarantujących za spokój i ład w państwie — rzekł Korczak.

— A Zaremba, to dorobkiewicz i liberał -- dodał kanonik.

— Ach doskonale, panu Korczakowi dają pierwszeństwo, ale proszę pana, niechże pan mówi, ile się panu podoba, atoli niechaj pan serca przytem nie otwiera, bo mowa odnosi wręcz przeciwny skutek, jak to było na odpuszcie w Brzezinach. Słyszałem sam na własne uszy, jak Szarek, ten borbifaks ludowy, powoływał się na pańskie słowa i chwalił pańską mowę.

— To mnie łechce przyjemnie, że umiałem poruścić te zatwardziałe grzeszniki, ale słuszność tobie, starosto, przyznaję. Plebs ma słuchać, do rozprawy my zupełnie wystarczamy.

— Najpiękniejszą formą rządu jest uczciwy absolutyzm — dorzucił kanonik.

Podobna rozmowa toczyła się przez trzy godziny. Jak olbrzymy, mierzyli się siłami ci trzej władcy powiatu, nie doprowadzając nigdy do walki. Każdy z nich był mocarzem w swoim kącie, każdy żywił najskrytszą myśl stanąć dwom innym na karku i w tym też kierunku się wyteżali.

Ale w zasadniczych sprawach panowała między nimi święta zgoda, głównie, iż nikomu bez pozwolenia pyska otworzyć nie dadzą. To też w zupełnem porozumieniu i zadowoleniu Korczak powracał do siebie, a kanonik do najlepszej parafji, we Wisłoku.

Na rozstajnych drogach ostatecznie porozumieli się, ile Korczak asygnuje pieniędzy na wybory i uważali sprawę za dokonaną.

Wojtek wiozący kanonika, swym zwyczajem zaniedbał przypomnieć, iż mają wstąpić po drodze do

Chrzana. Kanonik po niewczasie ocknąwszy się z zamyslenia, dał mu szturkańca w plecy i kazał nawracać.

— Wojtek, na kogobys głosował? — pytał żartem dla skrócenia drogi.

— Niby za co, proszę łaski ks. kanonika?

— Kogobys chciał mieć posłem do sejmu? — pytał kanonik.

— Jakim posłem?

— Durniu, do rady, co się sejm nazywa.

Wojtek począł kręcić głową i głęboko myśleć.

— Wojtek, chcesz jeść, to gadasz, chcesz gdzie jechać, to gadasz, więc powiedz, kogo chcesz mieć za posła do sejmu!

— E!.. proszę łaski ks. kanonika.

— No, gadaj, uczyłem cię tego wszystkiego.

Wojtek począł ponownie rozmyślać, nakoniec powiedział:

— Żebym ino miał kunie popucowane, to mi nietrza...

Kanonik ryknął śmiechem, grzmotnął Wojtka pod łopatki, czem się Wojtek serdecznie ucieszył, następnie począł zastanawiać się nad obłudą demokratów, widzących w chłopie siłę społeczną i polityczną. — „Wojtka się spytajcie!“ rzekł w duchu, „aby ino miał kunie popucowane“.

Wojtek znał drogę do obywatela Chrzana, więc zatrzymał konie przed chatą, zdobniejszą niż inne, okoloną sztachetkami, ozdobioną wyrzynanym gankiem. W bok od ganku, w obrębie sztachetek przed chatą widać było młode szczepy, okręcone słomą na zimę, kopce okryte choiną, wyglądające, jakgdyby pod nimi zimowały róże, zresztą wszędzie było schludnie i miło.

Na widok bryczki kanonika wybiegł gospodarz Chrzan, z oczu biła mu radość, schylony kornie do stopni bryczki, powitał gościa.

Po „pochwalonym“ i zwykłych zapytaniach o zdrowie, dziatki i gospodarstwo — kanonik przystąpił do rzeczy:

— Panie Chrzanie, trza pomyśleć o wyborach.

— Uniżony służka ks. kanonika dobrodzieja.

— Radykały i masony co robią?

— Nie słyhać, proszę ks. kanonika dobrodzieja.

— Będzie z nimi robota?

— Z każdym czasem większa, proszę ks. kanonika dobrodzieja.

— Więc tak pracujecie wy wierni!

— Robi się, co można. Ciężkie czasy, to trza się za zarobkiem oglądnać, nie za polityką.

— Poznać z daleka wasze ciężkie czasy, panie Chrzanie. Dom jak plebanja.

— Na to trzeba też zapracować, wpierw podziękowawszy Panu Bogu i Matce Najświętszej.

— Słusznie, słusznie, oto teraz nadchodzi chrześcijańska, ale ciężka praca. Za ile głosów możecie gwarantować?

— O, z każdym czasem gwarancja droższa. Żeby tak 30 koron za głos, to do dwadzieścia by się uspadało.

— Bójcie się Chrzan Boga, to bolesne, że wy dla kościoła i ojczyzny nie chcecie nic zrobić darmo, ale kiedy już taki zwyczaj między wami, róbcieź przynajmniej tanio. Dam po 20 za głos.

— Nie dużo, proszę ks. kanonika dobrodzieja.

— O, o, o, panie Chrzan, mam takich jak wy kilku, inni zrobią mi taniej.

— Boże, ks. kanoniku dobrodzieju, a co to za mitręga i głowy nie żałować i grzech niejeden po szynkach dopuścić i guza oberwać, a dla mnie za ciężką pracę nic nie ma pozostać?

— Znam was, jak własną kieszeń, wy dajecie po 10 za głos.

— Jednemu dziesięć, drugiemu twardemu pięćdziesiąt.

— Więc po 20 za 20 głosów, suma sumarum.

— Co robić proszę ks. kanonika dobrodzieja.

W czasie rozmowy Chrzan patrzył z ukosa i kręcił się niespokojnie. Wreszcie z uniżonością i wielką nieśmiałością poprosił kanonika w „chłopskie“ proggi. Kanonik zastrzegając się, iż zabawi krótko, wszedł do izby czystej, urządzonej z mieszczańską, pełnej fotografii krajowych i amerykańskich, obrazów „świętych“ ze stampilą niemiecką. Na wielkim stole pod oknem pośród papierów i książek stał kałamarz z piórem zatkniętem we flaszeczkę, przy stole stare krzesło skórą i włosieniem obite, na którym Chrzan kanonika z wielką uniżonością posadził.

— Jak u uczonego — zauważył kanonik.

— Z łaski Boga człek się garnie do pióra.

— I jesteście Chrzan oświecony, bez demokratów i masonów.

— Dzięki Bogu, dość rozumu się w życiu nazbierało.

— Tylko zawsze ten rozum trzymać na wodzy, a słuchać władzy od Boga nadanej. Co tam gadają o nowym naszym doktorze?

— Różnie gadają, ale ludowcy wiele za nim trąbią, odkąd się dowiedzieli, że to ich.

— A wy poszlibyście do takiego doktora?

— A bo to nimam po sąsiednich miasteczkach, to aż się prosi, aby pójść do niego. Mam tu taką starszą od Róży, co by za Panem Bogiem w ogień skoczyła, ale jej pono nowy doktor pomógł, to nie chce uwierzyć, chyba by jej sam ks. kanonik dobrodziej opowiedział o tym ptaszku.

Na to kanonik się poruszył.

— Jak się nazywa?

— Malcowa.

— Powiedzcie jej, aby koniecznie do mnie przyszła.

A więcej nie wiecie?

-- Pono mało co każe płacić i to ludzie chwalą.

— A co! A co! Czy nie jasne, że skądś bierze pieniądze?

— Pewnie, że tak, przecież człowiek powietrzem nie wyżyje.

— A ma pieniądze i nie dba o nie. Od czterech dni siedzi w Krakowie i pije i ani ma w pięcie, aby co tu zarobić, a ludziom nieść pomoc.

— Słusznie mówi ks. kanonik dobrodziej, byle tu baby w ruch puścić, to mu wnet ludzi odmówimy. Baby więcej mają z chorymi, to babski interes...

Załatwiwszy tak sprawy, obiecał kanonik dawać pieniądze częścią sam, częścią kazał z tem udawać się do Korczaka, napomniał Chrzana do umiarkowania, kazał mu raczej płacić, ale wyborców nie rozpijać, gdyż to grzech i zgorzenie ludzkie i nareszcie rad z pracy swej dla kraju, pełen spokoju i powagi, powrócił do domu. —

Miasteczko wrzało karnawalem.

Miał się odbyć doroczny bal u państwa rejentów. Już wszystkich godnych zaproszono, poruszono sąsie-

dnie miasteczka, bal miał się odbyć wieczorem, już kilka osób z sąsiedztwa przybyło, gdy pani Flora, nie dbając, czy toaleta na czas będzie wykończoną, opuściła umyślnie sprowadzoną krawcowę i pobiegła do rejentowej z wiadomością, iż doktor tylko co przyjechał. Uradzono, że prosić może za późno, ale doktor powinien wybaczyć, ponieważ trudno go było w nieobecności zaprosić i że sam rejent osobiście stawi się u doktora z zaprosinami.

Postanowiono, uczyniono. Łącki tylko co się ogarnął po podróży i miał iść do chorego żydowskiego dziecka, kiedy we drzwiach stanął rejent. Dyplomacja, jedyna umiejętność używana w praktyce miasteczkowej, kazała Łąckiemu zaproszenie z wdzięcznością przyjąć i stawić się pośród licznie zgromadzonego grona balowego.

Czy sprzyjała mu ochota? Nie bardzo. Rozanieiony miłością i ubezwładniony potęgą świeżych wrażeń, wolał być w ciszy obcować z duchem Stefki, podobnie, jak ona daleko od niego roiła o obozowem życiu, jakie mieli oboje prowadzić w polskiej puszczy.

Tem więcej go więc dotknęło i uprzykrzyło witanie się z nim na balu, jak ze zmartwychpowstałym. Wielu młodych ludzi starało się z nim zapoznać, wielu wprost pytało o wypadek, który w legendowych rozmianach rozszedł się wieścią po urzędach i dworach.

— Cudem od śmierci wybawiony — twierdziła pani Flora.

— Nie był podobno pijany? — pytała inna dama.

— Bił się z chłopami — twierdziła pani sędzina z sąsiedztwa.

— Pobito go, związano i rzucono z mostu — doniosła pani inżynierowa.

Dopiero Klepacki z Rzeckim musieli prostować wieści krążące o wypadku zasłabnięcia wśród mrozów i śniegów i następowej gorączkowej choroby. Łacki nie słyszał wprawdzie setnej części tych rozmów, lecz wiedział, że jest ich przedmiotem, schował się do kancelarii przerobionej na pokój do palenia i czekał na stosowną porę, w którejby mógł uciec.

Atoli damy podrażnione niezwyčajnymi historjami o pięknym młodzieńcu, zręcznie rozbiegły się, aby go szukać, a pani Flora jak rasowa wyżlica, z nozdrzami rozwartemi wbiegła do kancelarii i kazała Łackiemu podać ramię i poprowadzić do salonu.

Łackiemu było wszystko jedno, przy kim go los zostawi, bo dziś nie myślał o niczem innem, tylko o Stefce.

Usiadł przeto przy pani Florze, która przyniosła mu herbaty.

— Mamy wiele niezłatwionych kwestji, to też dziś jeszcze część ich załatwimy — mówiła mu pani Flora, patrząc w oczy, trąciwszy go zlekka wachlarzem

Łacki zrobił wielkie oczy do pani Flory, bo nie rozumiał, jakie to ma z panią Florą kwestje niezłatwione.

Pani Flora to odczuła i rzekła, poprawiając różę na piersi:

— Ludzie nie umieją wywdzięczyc się, brzydcy ludzie, egoiści. Dobre od drugich przyjmą, ale nieraz i podziękować nie raczą.

Łacki znów spojrział w panią Florę wielkimi oczyma.

— U pani byłem z podziękowaniem.

— A u kanonika?

— U kanonika?

— Przysłał dwie siostry do pielęgnacji.

Łącki po chwili odrzekł.

— A... Jednakże ja go nie prosiłem. Nie, źle mówię, to jego dobre serce, o które się nie prosi, a podziękować trzeba. Lecz jak to uczynię przed wyrokiem sądu honorowego. Wszak mamy być sądzeni, wszak pani wie, że pomówiłem go o kłamstwo.

— Niech się pan ze wszystkim zawsze do mnie udaje, po za iskrą w oczach tli tam coś w duszy, nie jedna dobra rada się znajdzie.

— Z wdzięcznością usłucham pani rady.

— Niechaj pan kilka słów napisze do kanonika.

— W istocie... doskonale... Dziękuję pani.

I urwał, bo rozmowy wcale prowadzić nie chciał. Tymczasem muzyka żydowska wesołym marszem zaczęła karnawałowe rzępolenie. Tłum gości zmieszał się w płasach i tańcu.

Kto tańczył, pił z pragnienia, kto nie tańczył, pił aby się podniecić, rejent z niezmordowaną energją i sprytem organizacyjnym biegał od pokojów, gdzie grano w karty, do salonu, gdzie tańczono, do kancelarji i rozkazując kilku służącym, baczył, aby wszędzie były pełne szklanki i kieliszki. Rejent dowiódł, że i polskie społeczeństwo można rozruszać, jeżeli weźmie się do pomocy beczkę alkoholu i żydowską muzykę.

Doktor spoglądając na krzątanicę rejenta, czynił satyryczne uwagi, podrażniony nudami i wirem piorunującej i grzmiącej zabawy, trunków prawie że nie

tknął, wałęsał się, jak koń po spalonym stepie, albo stał poważny, jak dąb między ogrodowem kwieciami.

W pierwszej podniecie byli wszyscy tańcem, balem i grą zajęci, dlatego nikt już więcej na niego nie nastawał, a Rzecki, z którym chciał koniecznie pomówić, jako zastępca gospodarza, na razie nie miał czasu.

Wreszcie usiadł w ustroniu i dumał, o czem nikt nie wiedział, gdy naraz zdyszana szczęśliwa, zjawiała się pani Flora, jak iskra, rzuciła się na kanapkę tak blisko Łackiego, że się jej musiał usunąć i z wyrzutem zapylała:

— Pan nie tańczy?

— Nie.

— Z nikim?

— Z nikim.

— Nie umie?

— Umie.

— Więc dlaczego?

— A dlaczego pani tańczy?

— Bo taniec to zespolenie wszystkiego, co jest życiem. —

— W takim razie nigdy żyć nie będę.

— Dla nikogo?

— Dla tańca...

— Nieznośny purytanin...

— Lubię patrzeć na tańczących i rad jestem, widząc, że to żywi ludzie.

— W Krakowie przecież są żywsi — dorzuciła pani Flora.

— Bez wątpienia, tam łączy się w życie sto razy więcej elementów, niż na prowincji. Tu tylko etykieta, plotki, wino, piwo i karty.

— Nieznośny... a miłość...

— I miłość płciowa.

Pani Flora pierwszy raz w życiu słyszała podobnie śmiałe słowo, wypowiedziane bez ogródek. Ciesząc się z otwartości doktora, w wypowiedzaniu myśli, udać musiała obrażoną, bo w miasteczku i w towarzystwach miasteczkowych znaną była dotąd miłość „idealna“ a każda inna, jakkolwiek bardzo często w praktyce wykonywana, nazywała się występkiem, znanym tylko szumowinom społeczeństwa i sferze arystokratycznej.

— Pan jest niemożliwy. Obraził pan towarzyszkę kwiatów i obłoków.

— Wszak i towarzyszkę pana aptekarza? — rzekł Łącki, któremu chciało się koniecznie kogoś ukąsić, był bowiem zirytowany.

Pani Flora uczuła się teraz naprawdę urażoną. Już zamierzała wykonać srogi wyrok, który na prędcę ułożyła, gdy wtoczył się z radcą kanonik, a za nimi mecenas Mączka. Mecenas uśmiechał się pod nosem i udawał, że czegoś szuka, radca i kanonik zatopieni w żywej rozmowie, rzekomo nie zważali na siedzących.

Łącki oburzył się widokiem przybyłych. Wiedział o tych dwóch panach, iż byli przez kanonika uproszeni do sądu honorowego, ale przeczuciem wiedziony, w tej chwili przedstawił sobie, że mecenas i radca najniezawodniej należą do „komitetu ratunkowego“, mającego miasteczko przed nim ratować, o czem to Rzecki pisał do swego kuzyna adwokata w Krakowie.

Aby więc zgwałcić w sobie popęd do drwinek, a może do skandalu, którego nie chciał wywoływać w domu rejenta, podał pani Florze ramię i tym sposobem znikł im z oczu.

Mecenas Mączka wykonał wówczas ruch Satyra tańczącego po piasku nad brzegiem strumienia i w oka mgnieniu zanurzył głowę między uszy radcy i kanonika.

— Już działa! Już truje! — szepnął.

— Ja o tem nie chcę wiedzieć — rzekł radca — nie pamięta pan umowy?

Kanonik odsunął się przerażony, rozwartemi dłońmi zasłonił się przed mecenasem i krzyknął:

— *Apage satanas!* A wodą święconą! A wsze-
teczniku!

Mecenas w rozkosznym uśmiechu pokazał zęby i odparł.

— Wieża Babel z waszą moralnością, ja jednym grzechem zdławię tysiąc grzechów! A wy co?

— Ale w każdym razie grzechem, a grzech jest wstrętnym — szybko wypowiedział radca.

— Oto wybraniec Chrystusowy! Oto sługa Boży — wyciągnął kanonik obie ręce ku radcy, czem radca rozczulony posunął się ku niemu, a dwa sążniste pocałunki dowiodły, że między dygnitarzami miasteczka panuje: *pax et amor*.

A w salonie, gdzie tańczono, we wnętrzu okiennej stał Łącki z Klepackim i żywo rozprawiali związani już pewnymi węzłami; Łącki ze siebie niezadowolony, cierpki i podrażniony, myślał bezustannie o liście Rzeckiego i strzelał za autorem oczyma, aby go dopaść i na słówko wyciągnąć.

Rzecki tymczasem zapamiętale hulał, okręcając dokoła swej osi — jak mawiał — podobiznę człowieka, czyli pannę na wydaniu. I taki roz hulany, posadziwszy tancerkę na krześle, nagle stanął przy rozmawiających.

— Nie miałem czasu pana powitać, ale jutro będzie pan także, gdy balu nie będzie — zawołał do Łackiego.

— Nic pewnego, mnie może też jutro nie być — odparł Łacki.

— Masz pan rację, przywitam się z panem dziś — powiedział wesoło i uścisnął serdecznie rękę.

— Nie balowa to sprawa — zaczął Łacki.

— Na balu innych nie słucham — odpowiedział Rzecki.

— Coś pan popisał do kuzyna w Krakowie?

Rzecki stanął słupem.

— A, to co innego — powiedział. — Djabli nastali pana do Krakowa — rzekł po chwili dumania. — Cud, cud oczywisty! Skądże znowu pan wie o tym liście? Jednego mam tam kuzyna i do niego wistocie pisałem.

— Czytałem go.

— Wszakżem panu tem krzywdy nie wyczynił!?

— O bynajmniej.

— Więc zgoda — mówił Rzecki nieco zmieszany.

— A nie łaska mi było o tem wszystkim powiedzieć?

— Jeszcze czas na pana. Zresztą dobrze, że pan zna rąbek, tem rychlej zechce się pan wszystkiego dowiedzieć. Więc dobrze i dla mnie i dla pana. All right. Zresztą nie mów pan nic i nikomu. Zgoda?

— We własnym interesie — rzekł Łacki.

— Więc niema po co dłużej czasu marnować — zapowiedział Rzecki, skreślił się, chwycił w pół niewiaстę pierwszą z brzegu i pociągnął ją w szalone kolisko zabawy.

Łącki znów pozostał bez celu, przeszedł się z Klepackim na lampkę wina do „propinacji“, bo tak na dzisiejszy wieczór nazwano jeden z ustronnych pokoi. Tam było pełno ludzi przy improwizowanym bufecie, zastawionym jadłem i trunkami, tam już kurzyło się z czupryn i wrzało rozgoworem, tętniało śmiechem i wesołością. Prym tam wiódł mecenas Mączka i komisarz, gość z sąsiedztwa, a także pan starosta, który raczył wejść między swych podwładnych i bawił się tak, jak inni.

Mecenas zoczywszy doktora, przerwał opowieść o polowaniu na dziki i wpadł na niego, aby go przedstawić staroście.

Łąckiemu od dawna się wydawało, że mecenas nim się zbyt troskliwie opiekuje, wydarł się więc niecierpliwie mecenasowi i szorstko odpowiedział:

— Znajdę sam sposobność, jeśli się zechcę przedstawić.

— Doktorciu kochany, skądże ta niełaska?

Łącki znów sobie wyobraził, że mecenas jest członkiem sfery, chcącej go osaczyć i ugryść, ale ze względu na dom rejenta, nie odpowiedział mu tak jakby chciał, tylko rzekł:

— Niełaska za niełaskę.

Mecenas, człowiek gorączkujący się i trochę podпиты, zaczął rozmowę:

— Cóżem zawinił doktorciowi?

— Panie mecenasie, kiedyindziej mogę to panu wyjaśnić — odrzekł Łącki.

— Owszem, pogadajmy teraz, przy panu staroście.

— Pan starosta nie jest sędzią, a tu dom pana rejenta i nie miejsce na wywlekanie spraw prywatnych

— Zupelną rację ma pan konsyljarz, panie mecenasie — wtrącił zgrabny komisarz, widząc, że mecenas szuka zwady.

— Kiedy bo jestem niewinny jak baranek, a pan doktor mię o coś pomawia. To mię dotyka.

Łącki kipiał irytacją, lecz powściągał się siłą woli.

— Widocznie masz mecenasie nieczyste sumienie — rzekł z cicha.

— Więc proszę państwa — rzekł mecenas i zatoczył w krąg wzrokiem.

Wyrażna przymówka.

Klepacki w przeczuciu awantury, zbladł, zgiął nogi w kolanach i sądził, iż mniej jest na widok narażony, nadto usiłował szepnąć doktorowi na ucho, aby „rejterować”. Łącki uznał to za stosowne i zwrócił się, gdy Mączka dwa pełne kieliszki w rękę wzięwszy, postąpił ku niemu i rzekł:

— Niedobrze, jeśli kto nie ma sympatji do swego sędziego honorowego.

Łącki wtedy zapomniał przestróg Stefki, uwagi na dom rejenta, wstrząsł się gniewem i wstrętem do sługi tyraństwa, więc odparł:

— Dopóki pan nie dasz słowa honoru, żeś nigdy przeciw mnie wrogo nie występował, nie przyjmę pańskiego sędziostwa.

Wszystkim uczyniło się zimno, acz byli już winem rozgrzani.

Mecenas Mączka przyskoczył do spokojnie stojącego Łackiego, a że nikt nie wiedział, co uczynić zamierza, więc obydwu otoczono, sam pan starosta wyciągnął między nich ręce.

— Pan jesteś do dzisiaj gościem, a nie stałym mieszkańcem. Dbaj pan więcej o nasze względy, gdyż inaczej kto inny będzie tu doktorem — podniesionym głosem rezonował czerwony jak rak mecenas.

Wówczas Łącki głos podniósł i zawołał:

— Biorę wszystkich panów za świadków, że zostałem napadnięty przez przekupkę krakowską i że domowi rejenta żadnej krzywdy nie wyrządziłem.

— Co! Pan Łącki mię znieważa! — ryczał mecenas i darł się ku Łąkiemu.

Krzyk wzmożonych głosów ściągnął z karcianego pokoju starszych panów i rejenta, a nawet panie, bo właśnie muzyka przestała rzępolić.

Mecenasa otoczono zwartym kręgiem, a rejent, kanonik i starosta poczęli mu tłumaczyć, że zawiele wypił i nie zdawał sobie sprawy, iż doktor zaczepki nie szukał. Pan starosta był sprawiedliwym:

— Przypuszczam, że panowie nie czujecie do siebie sympatji...

-- Co! Sympatja do rewolucjonisty? — krzyknął mecenas.

-- Ale pan Łącki — mówił starosta — widząc pański animusz, chciał się cofać. Stałem przy panach. Pan Łącki wyraźnie się zastrzegł, że to nie miejsce na przymówki.

— Pogodzić się, zgoda moi panowie, uczynicie mi największą przyjemność — wołał rejent, zmartwiony przygodą.

Poczęto ich ciągnąć ku sobie, atoli Łącki zrećźnie usunął się na bok i wyraźnie nie przystawał na zgodę.

Jak szatan doradca, jak zjawisko, stanęła w tym momencie przy nim rozkosznie umęczona pani Flora i szepnęła mu prosto w usta:

— Nie godzić się... nie godzić się...

Łącki tak bardzo brzydził się mecenasem, że byłby to uczynił i bez przestrogi pani Flory. Tymczasem pani Flora nie wątpiła ani sekundy, że doktor ulega jej wpływom i jej woli, przyczepiła się do niego jak pijawka i oparłszy się na jego ramieniu, rzekła:

— Uciekajmy w lepsze kraje. Prowadź mię pan w ciche jakieś ustronie.

W gwarze nie było słyhać tych szeptem wyrzeczonych słów, ale było widać wobec wszystkich, iż doktor i pani Flora związani są szczególną mocą, lgną do siebie, zapominają się wobec ludzi, albo z rozmysłem, podczas balu, chcą świata obwieścić swą jakowąś spólność.

Panie pierwsze zwróciły na to uwagę, panowie nieco później, ale całe towarzystwo widząc przed sobą parę tajemniczą, parę odosobioną w towarzystwie, naraz przejęło się nieokreślonym nastrojem i dostrzegło światło w myśli, tłumaczące bardzo wiele i wyjaśniające, iż skrzydlaty aniołek unosi się ponad serca tych dwojga ludzi. —

Głębokie i znaczące spojrzenia i jakoby szmer rozwiązania nowej kwestji, osłabiły walkę o zgodę. Z chwili tej skorzystał Łącki, wyszedł i ostał się w sali balowej. Za nim w ślady posunęła się pani Flora tak, aby się wydawało, że idą razem.

A w „propinacji“ napowrót zakipiało. Partja godzących poczęła na nowo dmuchać na zgodę, większość natomiast z razu nieśmiało, następnie zupełnie otwarcie

komentowała nieznaną przed tem zjawisko, stosunek doktora z panią Florą.

Zwyczajne domysły, wiadomości z palca wysane, nieistniejące spostrzeżenia uwidoczniły romans jak na dłoni. Większość uznała już fakt jako dokonany, tymczasem starosta z grupą poważnych panów trąbił na zgodę, wysnuwając rozmaite skutki nieporozumienia.

— Jeżeli się nie pogodzicie, doktor zostanie panem sytuacji — mówił radca. — W takim razie trzeba inaczej rzecz załatwić.

— Wolę inaczej — krzyknął Rzecki z za bufetu.

— Niby jak? — zagadnął starosta, spodziewając się nowej rzeczy.

— Mecenas musi wyzwąć doktora — odparł Rzecki.

Wszyscy to czuli, lecz nie kwapili się z postawieniem tej kwestji. Gdy Rzecki to głośno wymówił, zwrócono się gwałtownie ku niemu i ku Mączce, każdy chciał się zapytać, co adwokat na to, jednak nikt nie zapytał. To niespodziewane milczenie wytworzyło pewną grozę chwili.

— Jeżeli panowie uchwalą, jestem aż nadto gotów — rzekł po chwili mecenas.

— Veto! -- odezwał się kanonik. — Sąd chrześcijański i honorowy, a nie pojedynek. Nie pozwalam!

— Więc z powodu indywidualności doktora Łąckiego mamy mieć już dwa sądy honorowe? Więc lepiej odrazu trybunał ustanowić — rzekł Rzecki.

— Lepiej poradzić doktorowi, aby stąd wyjechał — powiedział radca.

— Panowie — błagał niezadowolony gospodarz — zeszlśmy się na zabawę. Panowie, jutro dość czasu

będzie, proszę wieczorem do mnie na naradę, panowie, panowie..

Wszyscy to czuli, że wyrządzają krzywdę gościnnemu gospodarzowi, usiłowali rzecz ubić na miejscu, niespodziewanie zapędzili się za daleko. Piętno zapalczywości adwokata powarzyło humory; stosunki miasteczkowe, jak to już nieraz było, zaciężyły na zebranych, ponieważ doktor zachował się sympatycznie, stosunki zaś i zła opinja o doktorze, kazały niejako ratować mecenasa Mączkę, wbrew własnemu przekonaniu.

W tym momencie było tak nieznośnie, że chyłkiem poczęto się wynosić z pokoju, zostali tylko najpoważniejsi i najcierpliwszi, a muzyka w sali balowej dziarskim mazurem usiłowała przerwane tańce wznowić i strojne pary natchnąć nową ochotą.

Gdy bal znów stał się podobnym do grania promieni słonecznych na pawim pióropuszu, dwie grupy ostały się po za ogólną zabawą. W „propinacji“ grono najpoważniejszych, w ustronnym gabinecie Łącki, przy nim pani Flora.

Grono najpoważniejszych, otaczając starostę, półgłosem radziło o doktorze, radca powtarzał po raz setny to, iż doktor wizyty zaczął od nauczyciela Maziewicza i wygłaszał głębokie przekonanie, iż w doktorze tkwi demoniczna, a niezdrowa siła, albowiem w ciągu kilku miesięcy zdołała poruszyć tyłu ludzi, czego nie dokazała praca obywateli osiwiiałych w służbie; począł wyliczać co i gdzie Łącki poruszył, opowiadać, jakie wieści o nim między ludem i mieszczczaństwem już krążą, a słowom radcy wymownie dodawali okrasę kanonik i mecenas.

Kilku panów z okolicy słuchało tego z uwagą i nabożeństwem.

W ustronnym gabinecie Łącki pasował się z panią Florą, nie mogąc się jej pozbyć.

— Już się stało — szeptała pani Flora. — Wobec całego towarzystwa wzięłam pana w obronę, właściwie nie dozwoliłam, by pan wypadł słabiej, niż Mączka. Z wdzięcznością za to, musisz mi pan cały wieczór asystować.

Łącki skrzywił się niby na płacz i odpartł:

— Proszę pani, mnie tu nic nie bawi, wyjdę.

— Niewdzięczniku — i spojrzała na niego z wyrazem rozpacz.

— Pani jedna mię interesuje — rzekł Łącki po części z kurtuazji i grzeczności, po części rzekł prawdę.

— Pan jesteś oryginalnym mężczyzną. Szukasz mego towarzystwa, wiem to dobrze, a kiedy jestem przy panu, każesz się bawić i jesteś obojętnym.

Łącki wielkimi oczyma patrzył na kobietę, która przebojem wdzierała się w jego nerwy, ufna w bezkarność wobec pobłażliwego męża i swoją misję, której nie rozumiała, atoli spełniała ją z rozkoszą, graniczącą niekiedy z uczuciem miłości ku młodemu człowiekowi.

A że Łącki zaskoczony niemiłym wypadkiem, nie mógł dać jej skutecznej odprawy, pani Flora roztaczała nad nim skrzydła i wiązała mu nogi.

Wobec całego towarzystwa zaciągnął pan względem mnie zobowiązania sympatji i spólności — szczebiotała rozkoszna kobieta. — Wypadek połączył nas, wobec wszystkich podałeś mi pan ramię i poprowadziłeś na nową drogę, którą przebyć można tylko w imię wielkiego niezwalzonego uczucia...

Lecz młody człowiek niesłyszał słów z wdziękiem wypowiedzianych, tylko rzekł „tak jest“, skoro pani

Flora mówić skończyła. Obecnie przerabiał w myśli słowa mecenasa, które go znieścacka zaskoczyły: „jesteś gościem, a nie stałym mieszkańcem, dbaj o nasze względy, gdyż inaczej kto inny będzie tu doktorem“. Te słowa obchodziły go więcej niż inne, bo one były groźbą nie tylko mecenasa, ale przywódców miasteczkowych, a godziły w jego byt materialny, którego pragnął teraz więcej niż kiedykolwiek, albowiem chciał się ze Stefką jak najprędzej ożenić. Te słowa wzbudziły w nim lęk o byt Stefki z nim związanej i zagrały mu pobudkę do walki odpornej. Zaprzątnięty temi myślami niedbale odpowiadał towarzyszce, dla wygody obierając sobie słowo „tak jest“, albo powtarzając ostatnie słowa pani Flory. Nie zważał, że z za kotary widać było kilka głów ciekawych, że otoczenie omija ten pokój, w którym siedział smutny i przygnębiony, rzekomo w rozkosznej sam na sam z zalotną kobietą. Było mu ciężko, jakgdyby kamień gniótł mu dwa serca i dwa mózgi, jego i Stefki.

W tem rejent się zjawił, za nim kilku panów, ale zaledwie rozpoczęto rozmawiać o możliwości i warunkach zgody, rozległo się hasło: kolacja! Sala jadalna zappełniła się wesołością, kobietami i wyziewami pachnideł, balowy nastrój uczęte czynił uroczystą, wytworną i pełną niecodziennych ponęt. Jednakże Łącki odstawał od reszty strojnego otoczenia, a wymknąwszy się pani Florze, usiadł na szarym końcu. Lecz był interesujący smętkiem i martwością, ponieważ aż na szary koniec ściągał ku sobie spojrzenia kobiet, dopatrujących się w doktorze romantyzmu, którego dziś dał dowody w zatargu z Mączką i poufałością z panią Florą.

Rejentowi się wydawało, że Łącki niewinnie cierpi, poszedł ku niemu i jął go pocieszać i prosić do wina.

Rejent był bezstronnym i bardzo uczciwym człowiekiem i nieraz z'ewał zimną wodą zapędy starszyny miasteczkowej, z powodu czego zyskał bezwiedną sympatję doktora.

W łonie towarzystwa wino roznieciło ogień, grzejąc rozliczne żądze i fantazje. Łącki znał dobrze ową własność złotego napoju, więc dlatego właśnie nie tykał kieliszka z obawy, by pod wpływem wina nie dać się pogodzić, co uważał za nonsens. Właśnie o tem z rejentem rozmawiał, gdy zadzwoniono w szklanekę, a kanonik powstał i rozpoczął szereg toastów.

Świece gęsto rozstawione, kwiaty, ozdobne i jaskrawe stroje kobiet, brzęk szkła, szybkie oddechy pijących i śmiejących się, gwiazdziste oczy młodszych, swobodne i wyraziste starszych, tworzyły zgodny zespół, któremu się Łącki z zadowoleniem począł przyglądać.

Zręczna wymowa księdza zmieniła znów nastrój — powabna cisza i pogodne oblicza biesiadników wywołały nową harmonję, poznać było można, że słowa mowcy oplatają się dokoła umysłów rozpląsanych tańcem i zapominających w tej chwili o trudach codziennego żywota. Ksiądz sposobem dawnych panegirystów wychwalał gospodarstwo, a kiedy skończył, z niekłamany pospiechem poczęto garnąć się do rejenta i rejentowej, aby wypić ich zdrowie.

Następny toast na cześć starosty, na cześć kanonika, na cześć zgody, pieniędzy... i tak w całym szeregu prowadzono wesołą myśl powszechnej pomyślności, całość jaśniała szczerą i wzajemną życzliwością. To wszystko zrodziło w nim żądze spróbowania towarzystwa na nutę narodową. Żądza zapaliła się w nim nagle, Łącki widząc szczerą, płynącą z ust mowców i ducha bie-

siadników, wiedząc, iż wino wzmacnia czułość i słomiany zapał, wynalazł motyw, myśl pewną, poprawił czuprynę i postanowił poruszyć towarzystwo na nutę swojską. Czas wybrał zupełnie odpowiedni, toasty nikogo jeszcze nie znużyły, a wino działało już w całej pełni.

Powstanie Łackiego z miejsca przyjęto szmerem. Osoba młodzieńca, mimo wszystkie intrygi kilku gasiocieli i generałów, musiała większości sympatycznie imponować. Ludzie są zupełnie dobrzy, dopóki im kto spokoju nie zamąci. A że Łacki dotąd był wyłącznie grzecznym i jako lekarz nadzwyczajnie taktownym, w głębi ducha ceniono go dość sprawiedliwie. Przedewszystkiem kobiety zwróciły się obecnie ku tajemniczemu młodzieńcowi, któremu natura wyrzeźbiła tyle miękkości i wyrazu na twarzy. Zaczął:

— Znakiem państw i narodów jest lew i orzeł. To są symbole serca i siły. I w Polsce ongi tak bywało, były serca, była siła lecz z biegiem czasów siła zmarniała na kłótni i winie, zostały serca.. Nie mogąc mówić o sile, bo jej dotąd nie mamy, pragnę wygłosić słowo o sercu do polskich kobiet i ku czci polskiej kobiety...

Rejent widocznie żywo słowami poruszony, począł bić w dłoń i jakoś tak się stało, że za jego przykładem poszli wszyscy. Łacki mówił dalej:

Świetny ten bal i serdeczne te toasty są potwierdzeniem polskiej nigdy nie wygasłej serdeczności. Z dumą spoglądając na ten objaw żywotności narodowej, do was kobiety, królowe serca, zwracam się, jako poeta zwraca się do lutni, z serc waszych tętniących tej nocy radością, pragnę wydobyć chwilę uczucia szczęsnego,

uzyskać daninę dla ojczyzny, o której jako o macierzy należy wspominać w chwili smutku czy uciechy. Wiem, iż serce polskiej kobiety nigdy nie zawiedzie... Grom o klasków rozdarł ciszę, panie poczęły bić w małe dłonie, a Łącki mówił dalej:

— W waszem łonie tkwi najpotężniejsza korona ducha, ze serca płynie czar poezji i szacunek czci własnej, wy jesteście bogatsze niż my, wy królowe serca.. To też, aby wiązać nie uciechy i nie rwać wstęgi tej nocy, zamilczę o klęskach i krzyżach, a wskażę największą radość jaką mieć może polskie serce.. wskażę kwiaty polskich pól, słońce naszej ziemi, wesele wolnej Polski! Tam zaprowadzi nas serce polskiej kobiety, jeśli z taką serdecznością jak dziś, ogarnie duszę polską, ogłosi równość, wolność i braterstwo i będzie świętym ogniem żywej miłości ojczyzny!... Tę cześć i tę nadzieję, jaką żywię względem polskich kobiet, składam dla pań tu obecnych w ręce czcigodnej gospodyni!

Nieprzewidziany zapal rozplomienil towarzystwo. Pochylily sie plomienie swiec, dzwinkly szkla, zmieszano sie około rejentowej, panowie naprzetaj spieszyli, aby ucałowac jej ręce. Wszyscy mlodzi byli pełni podziwu dla „śmiałości“ Łąckiego i w tej chwili szczerze godzili się na jego słowa, starsi z powagą przyjęli mowę i zapal i posunęli się zwolna ku rejentowej. Jeden Klepacki nie cisnal się ku gospodyni, spostrzeżono, że zbladł. Gdy zapytano go, słowa zrazu nie odpowiedział, potem wyksztusil coś niezrozumiałego, zbladł jeszcze więcej i w chwili, gdy kilkunastu panów zwróciło na niego uwagę, pochylił się bezwładnie ku stołowi. Rzecki widząc to, porwał go pod ramię i natychmiast wyprowadził.

Gdyby nie szum wina w głowie biesiadników, z pewnością wypadek ten stałby się nowym aktem bału, atoli w gwarze i zabawie zapomniano o tem rychło. Jednak Łącki i kilku młodych zrozumiało omdlenie Klepackiego. Łącki przyjmując podziękowania, zwłaszcza pań, począł niecierpliwie wyglądać powrotu Rzeckiego, tymczasem udawał, że jest wdzięcznym i skromnym. Panie otoczyły go, zaprosiły po kolacji do sali balowej a pani Flora i tej chwili nie zaniedbała, za doktorem stanąwszy, jak duch, szeptała:

— Moje serce za wzór wybrane... dobrze mi się mój pan sprawia...

Po toaście „kochajmy się“ żydy poczęły ciągnąć nerwy rozbawionych, więc rzucono się w taniec z zapamiętałością iście słowiańską, a Łącki uznawszy, iż jest tu bezwzględna zawada, zapragnął siebie i towarzystwo uwolnić. Tak więc chyłkiem się cofał. Cofając się, zauważył z podziwem, iż nietylko panowie, ale panie mowy jego nie zapomniały.

— Baw się tłumie głowaczy — rzekł półgłosem i uśmiechnął się złośliwie.

Skoro wyszedł na ulicę ukołysaną jasnością nocy księżycowej, wznosił głowę ku szafirom nieba i czując olbrzymią ulgę w samotności, poszedł naprzód ku śniegowym przestrzeniom. Idąc mówił do siebie:

— Naplotłem też wam frazesów. Tłumie rodaków upojony winem! Deklamacja dobieranych słów poruszyła te polskie dusze... A jednak to polskie dusze!.. Szydziłem z rodaków, zbyłem ich faramuszką frazesów, mimo to udało mi się chwycić ich w najniestosowniejszych okolicznościach... Tak, trzeba umieć w każdej porze i w każdym kolorze walczyć. Musiałem to uczynić dla

Stefki, muszę przymocować wdziarać się w to otoczenie, aby mię za przybysza nie uważało i nie groziło przez usta byle adwokata „dbaj o nasze względy, gdyż kto inny będzie tu doktorem“. Wszak muszę dbać o chleb codzienny, to przykre, lecz bez tego ani mi marzyć o szczęściu...

XVI.

Wieczorem powrócił od chorego, załatwił po drodze kilka spraw ze swoimi chłopami, bowiem droga przez dwie wsie prowadziła, przełknął obiad odgrzewany przez służkę Józka i siadł do opisanego Stefce swej niezmiernie miłości i do listowego z nią pogadania. Nagle gość w czerni odziany zjawił się w pokoju. Był to ks. Zabuda.

Z Zabudą Łącki sympatyzował. Kilkakrotnie odbył z nim długie wieczorne przechadzki za miasto, był zawsze rad temu młodemu kapłanowi, niewołącemu go swą poetyczną prostotą i służbą Bożą.

Ksiądz z progu zapowiedział, że w ważnej misji przybywa.

— Wierzę i zastosuję się do niej, ile sił mi starczy. Ksiądz jeśli przybywa w misji, to wiem naprzód, że w uczciwej i chrześcijańskiej — odpowiedział Łącki.

— Wolne żarty, doktorze — odparł ks. Zabuda i jam homo errans, acz proszę Boga, bym z Jego słowy na ustach życie przeszedł. Jestem sługą Bożym, pycha ziemską jest odemnie daleką.

— Wpadła mi myśl do głowy, potem będzie czas na misję — rzekł Łącki.

Ks. Zabuda snąc rozważał coś w sobie, bo milczał. Wreszcie rzekł:

— Doktorze, czy tak bardzo dokuczył ci kanonik?

— Wprost nie dokuczył, ale przypadkiem się dowiedziałem z listu pewnego tu mieszkającego człowieka, że ogłosił mię belzebubem i osłonił mię tajną policją. Pomówiłem go o kłamstwo, on uczytysprawa i sądy honorowe ustanawia, to rozumiem, temu się nie dziwię, wszak bić się ze mną nie będzie, ale za daleko się posuwa, jeżeli przed wyrokiem sądu potajemnie mści się na mnie. Jeśli on ma prawo do zemsty, ja mam także, on się mści za zarzut kłamstwa, ja mogę za kalamjje rzucane z ambony i z mownicy na ludzi postępu i patryjotów. Sprawa narodowa, przynajmniej dla mnie, jest wyższą niż osobista, jeżeli on ma prawo cenzurować i wyszydzać moje postępkki, ja mam prawo go zasztyletować.

— Okrutnie pan surowy — rzekł ks. Zabuda.

— Ale sprawiedliwy. Mnie osobiście nic złego nie uczynił, co mi tam, że na tym obiedzie do piekła mię wtrącił, ale on sprawie narodowej cugle zakłada, choć ta śpi jeszcze kamieniem. Ośmiesza się, albo wyzywa mię na rękę.

— Kiedy bo pan także gorąco kąpany. Niechże pan przyjmie zasadę, iż ludzie w gorączce mogą i głupstw natrzepać, trzeba się przecież patrzeć, czy ten człowiek chce źle czy dobrze i z tego sądzić.

— Księżę wikary — rzekł Łącki. — Powagę kanononika demonstracyjnie utrzymuję między ludem. Nigdy złego słowa przeciw niemu nie wypowiem, to też tu bez świadków powiedzmy sobie, co czujemy.

Czy kanonik jako Polak odpowiada duchowi czasu i potrzebom narodowym?

— Nie — szepnął ks. Zabuda.

— Może być wzorowym obrońcą kościoła, lecz on sprawy narodowe łączy z interesem kościoła i co mu się w narodowej polityce nie podoba, sądzi jako obrażę i walkę przeciw kościołowi. Czy nie tak?

— Prawie tak, lecz trzeba rozumieć, dlaczego on to czyni — odparł ksiądz.

— Więc ksiądz potwierdza, że patriotą nie jest.

— To z pewnością.

— Więc zgoda.

— Jeszcze nie — powiedział ksiądz — zależy to od wyniku mej misji.

— A.. misja.

— Tak jest. Jakkolwiek zwycięstwa ziemskie to *vanitas*, jednak w tem życiu zda się pewien spokój i zadowolenie, że się po bożemu żyje i to zwycięstwo na ziemi jedynie coś warte. Przyszedłem pana namawiać do takiego zwycięstwa. Niechaj pan zechce, jak Bóg każe... zaniechać dumy, ziemskiego honoru, który nazywa się bij, nie daj się, niechaj pan zechce z potężnego bądź co bądź wroga uczynić sprzymierzeńca, a przynajmniej spokój sobie u niego okupić... wtedy w pana uwierzę i przebaczę panu pewne herezje pańskie religijne, które mię kapłana ostatecznie wstrzymują od wiernego z panem przymierza...

— Uznanie ze strony księdza jest dla mnie sprawą godną trudów.

— Ach! Jak mię to cieszy — krzyknął ksiądz. — Uznanie moje dla pana nie byłoby czczym wyrazem, ale modlitwą księdza za szlachetną duszę. Uznanie

i wdzięczność oddałbym, gdyby pan, młody, ustąpił człowiekowi staremu, nieco popędliwemu, gdyby pan uwolnił się od jego dotkliwej niekiedy opieki... spokój okupił... czynem prawdziwie chrześcijańskim... gdyby pan kanonika przeprosił!..

Tu Łącki szybko powstał i wyciągnął rękę ku księdzu.

— Księżę, w zasadzie wszystkich bym przeprosił, nikomu przepaszanie dotąd nie uchybiło.

— Dajcie pyska doktorze — zawołał ksiądz i ucałował się z doktorem.

— Czy mówił ksiądz o tem z kanonikiem?

— Dwuznacznie.

— Bo sprawa już jest ubitą, jeśli przystanę na formę przeproszenia. Uczyniłem już pewne ustępstwo, że zgodziłem się na sąd honorowy, mimo że prywatnie wyraziłem się o kanoniku, ale mogę ustąpić tak zupełnie, że go przeproszę, idzie mi tylko o formę.

— Wystarczy forma prosta, byle forma — odparł ksiądz — badałem kanonika w tym względzie.

— Ale czy ma ksiądz pewność, że po mojej podróży do Canossy, zmieni on swoje zdanie o mnie.

— O! Kapłan w gniewie zatwardziały jest zbrodniarzem. Ręczyć mogę za kanonika.

— A ja właśnie o to się lękam. Rzecki mawia, że to zawzięty człowiek.

— Ale kapłan Chrystusów, który przebaczył wrogom swoim. A pan nawet jego wrogiem nie jesteś — rzekł ksiądz.

— Lecz mało tak przeznacznych ludzi, jak mój gość szanowny.

— Wolne żarty, doktorze. Ale jeśli nadzieja moja się sprawdzi, jeżeli wobec sądu honorowego i wobec kanonika pan oświadczysz, żeś zbyt namiętnie postąpił — dokażesz wielkiej cnoty, szanowny panie. Dość się nagryzłem tem tak nagłem między wami nieporozumieniem. Kanonik uważa pana za szatana, a gdy to słyszę, was obu żal mi się robi. I w tym wypadku nie umiałem nic zrazu wymyślić, aby was pogodzić. Aż modlitwa przyniosła mi pewnego czasu tę radę. Jeżeli pan umiesz szlachetnie, po Bożemu czuć, przyznasz, że lepszą częśćkę panu przeznaczam. Panu bohaterskie, chrześcijańskie upokorzenie się, a kanonikowi zadowolenie miłości własnej. W obliczu Boga pan będziesz zwycięzcą, nie kanonik ..

— Lecz, dla Boga, przepraszając, będę kłamał. .

— Niech już tak będzie. Bo to nie o osobę kanonika właściwie mi idzie — mówił ksiądz — ale o kapłana, podnoszącego codziennie Ciało i Krew Pańską, więc to niepięknie, by ludzie po cichu o księdzu szemrali — ksiądz skłamał... ksiądz łże...

— Niech ks. głupstw nie gada — odparł Łącki.

— Święta racja — rzekł ks. Zabuda. — Kapłan powinien trzy razy milczeć, a raz mówić, inaczej niech się zrzeknie ciężkiej służby miłości. Lecz skoro kapłan zbłądził, dla tłumu trzeba coś uczynić. Tłum poniesie krzywdę, tracąc cześć dla stanu kapłańskiego.

— W takim razie pozwalacie księżom broić.

— W tym wypadku ja mu więcej broić nie pozwolę! — krzyknął ks. Zabuda i podniósł obie ręce w górę, a w postaci jego znać było siłę cnoty i zarcia się siebie.

— Więc wobec sądu i wobec kanonika przeprosić? Ciężkie warunki.

— Wiem, że ciężkie, lecz polegam na prawości pańskiej duszy.

— Czyli wykorzystuję tę duszę.

— A... jeśli ta ofiara jest za ciężką...

— Księżę, głupstwo ofiara, lecz czy do celu prowadzi?

— Ja obrałem siebie stróżem tej ofiary — rzekł ksiądz podniesionym głosem — dopilnuję też pożytku tej ofiary!

Wtem Łącki odstąpił od księdza i począł rozmyślać.

— Księżę — rzekł po chwili — aby nikomu krzywdy nie było. W zamian domagam się od księdza ofiary.

— Byle z Bogiem — odparł ksiądz i skłonił głowę ku ziemi, złożonywszy dłonie, jakby do modlitwy.

— Odwdzięczę się stokroć wdzięczniej — mówił Łącki. — Aby przystąpić wprost do rzeczy, rzekę, iż wymagam od księdza wygłoszenia bezwzględnej prawdy na zasadach katolickich.

Ksiądz tak się zaciekawiał, że ze wzruszenia głośno przelknął ślinę przez gardło i rzekł:

— Wszak to byłoby negacją ofiary.

— A mimo to jest ofiarą, która księdza, jako wikariusza, może znacznie narazić. Czy zna ksiądz polityczne kazania?

— Znam.

— Godzi się ksiądz na takie bezkrytyczne i zgubne dla narodu napadanie z ambony samodzielnego ruchu chłopskiego?

— Nie godzę się! Jestem wyznawcą samodzielnego ruchu — dodał z cicha.

— Czemu ksiądz tego głośno nie krzyczy?

— To nie podoba się naszej władzy duchownej.

— Widzisz, księżo. Dlatego pańskie kazanie będzie ofiarą Bogu miłą, ale może księdzu ciężką. Szczegóły kazania zastosuje ksiądz do sprawy niedalekich wyborów. Słyszałem kilka kazań na ten temat, a wiadomo księdzu, że jestem specjalistą do kazań politycznych, słyszałem, iż wszelkie zakusy wybierania z wolnych wyborów są buntem przeciw władzy, a władza pochodzi od Boga. Znam dwa kazania, w których wprost powiedziano, iż szlachecko-klerykalny kandydat kandyduje z woli Boga, a kandydat partji ludowej i wyborcy jego, to szatany. Ksiądz, spełniając ofiarę, stanie jedynie na stanowisku bezstronnem, a po chrześcijańsku moralnem — tu Łącki na chwilę przestał i powiedział — więcej nie żądam! Ksiądz nie potrzebujesz po nazwisku rzeczy wymieniść, ale wyraźnie mówić o wyborach. Wszystkie stany powoła ksiądz przed oblicze Stwórcy, lecz jednych osadzi po prawicy, innych po lewicy w miarę zasad moralnych. A tu użyje ksiądz arsenału dobitnej wymowy, iż ten jedynie i wyłącznie jest wyborcą i kandydatem Bogu miłym, kto nie popełni ani gwałtu, ani oszustwa, ani przekupstwa! Kto zaś przekupi pieniądzem, trunkiem lub kielbasą, kto umarłych do wyborów ściągnie, kto grozi zemstą, strachem i przymusem — winien ciężkiego grzechu sodomskiego, winien rozboju narodowego i obrazy publicznej moralności — w obliczu Boga wszystko jedno, czy on pan, czy urzędnik, czy ksiądz, czy chłop. Wszystkim wsypiesz ksiądz *verba veritatis* i pobłogosławisz do walki obywatelskiej każdego sprawie-

dliwego, czy on pan, czy urzędnik, czy ksiądz, czy on chłop! Czy Chrystus nie wypędził przekupniów ze świątyni?

— A... mam to przekonanie, iż...

— Iż co? — krzyknął Łącki — księżę, ofiara za ofiarę!..

— Iż gdyby się kler wziął za rękę, wybory odbyły by się uczciwie i po Bożemu.

— Znakomicie! Ojciec narodu! — wołał rozrzucony Łącki. — Więc przystajesz na ofiarę? Więc chcesz mówić sercem? Więc nie nazywasz jak te pawie polityczne, że gwałty wyborcze to *malum necessarium*, bez których stałoby się większe nieszczęście, mianowicie izba poselska składałaby się z rozbójników, szatanów, albo niedowarzonych głów! Więc jesteś wyznawcą moralności narodowej! Jakże mam księdzu dziękować, co na to powiedzieć! Więc zgoda!

— Marzyło mi się to po głowie... krwawiło mi serce na widok tej zarazy wyborczej, gryzącej chłopskie sumienie, cofającej je wstecz w zasadach moralności.

— I ksiądz z tem cicho siedział? Czy to się godzi kapłanowi?..

— Lepiej nie mówić. Bóg pozwala ludziskom się krzątać około bytu, nawet nakazuje, lecz są inne kościelne drogi, polityczne kazania z kościoła czynią szulernię.

— Lecz tu ksiądz w obronie moralności występuje?

— Chyba w ten sposób.

— Ale blagować nie wolno.. Istotna i dowiedziona prawda ma być substratem kazania, kazania przeciw wszystkim stanom — nalegał Łącki.

— To przedewszystkiem.

— I jeszcze. Ksiądz mię uwiadomi, kiedy to nastąpi, a to ma nastąpić w niedzielę po sumie.

— Tak jest. Obecnie pobiegnę do kanonika, przygotować go.

— A kanonik musi wyraźnie oświadczyć, że prośbiny przyjmie.

— To się ma rozumieć, nie kompromitowałbym człowieka, który chce pychy ziemskiej poniechać.

Ks. Zabuda jaśniał radością. Gdy wyszedł, pożegnawszy brata po duchu, szedł w kierunku kościoła tak szybko, jak myśli szybko mu biegły. Czarna postać przemykała się między uliczki, brnęła w śniegu, a w mroczkach zimnego wieczoru wyglądała jak mara posuwająca się po bezdrożach. Dokonawszy dzieła pokoju, ksiądz chciał je jak najrychlej oglądać, pewny był, że kanonik, sługa Chrystuśowy, rzuci się na posła z wdzięcznością i rzeknie: *pax vobiscum...*

Tymczasem w domu rejenta kompanja żywo radziła. Przy stole założonym cygarami i kieliszkami z winem, siedzieli: gospodarz, radca, sędzia, Rzecki i pani rejentowa. Ważna sprawa musiała tych ludzi zgromadzić, bowiem zwyczajnie o tej godzinie bywało się na kartach w kasynie, albo gdzie kto łaskaw zaprosił na lampeczkę. I pani rejentowa w obradach brała udział, zwyczajnie o tej godzinie gawędząc o wszystkim w towarzystwie przyjaciółek, czy to u siebie w saloniku, czy też u jednej z nich. Sprawa była istotnie pierwszorzędną, albowiem mecenas Mączka posłał był doktorowi rzeczników i dziś załagodzenie sprawy utknęło na niezłomnych warunkach obustronnych. Łącki nie chciał przeprosić, a nadto żądał usunięcia mecenasu ze sądu

honorowego, mecenas na to zgodzić się nie miał ochoty. Krew woniała zatem w powietrzu i byłaby już może popłynęła, gdyby kanonik wraz ze starostą nie pracowali z całych sił przeciw pojedynkowi. Drugą sprawą była niespodzianie jawiąca się wieść, że Łącki gdyby był chciał „rozkazywałby wszystkim“, nawet i staroście, mianowicie mógł się ożenić z „wielką magnatką“, panną Skarską. Te dwie sprawy podgrzały towarzystwo do tego stopnia, iż od kilku dni o niczem innem nie rozprawiano.

Pani Flora wiedziała o tym zerwanym stosunku, ale chowając atut w rękę, nie zdradzała swej tajemnicy. Ale wcześniej, niż pani Flora, wiedziała o tem ekspedytorka pocztowa. Zwąchawszy pismo nosem, czyli listy Heleny do Łąckiego, jeden z nich rozpieczętowała kunsztem pocztowym i dowiedziała się wszystkiego. W porządku rzeczy niebawem byłiby wszyscy o tem wiedzieli, gdyby nie była wypadła nagle choroba staruszki matki ekspedytorki i nie zniewoliła jej do natychmiastowego wyjazdu. Tym sposobem tajemnica dochowała się przez czas jakiś, aby za powrotem ekspedytorki natychmiast się odsłonić, co się stało w ostatnim tygodniu.

Zgromadzeni rozprawiali bardzo żywo. Radca Uściański krzywem okiem mierząc sędziego, cwego młodego człowieka, który podczas pamiętnej uczyty u kanonika kopnięciem w szereg flaszek zniweczył przekleństwo, cmokał ustami z nieukontentowania i ściągał twarz, jak gdyby się napił octu. Mówił już kilkanaście minut jednym ciągiem.

— Czy to nazywacie odrodzeniem, to fryganie się po wierzchu, to zakładanie dynamitu w najgłębsze warstwy narodu, to niweczenie wszystkiego, co starsi

powiedzą, to miotanie się nad przepaścią, to lekceważenie uświęconych prawd? Młodzi urzędnicy padają ofiarą tej karkołomnej bieganiny niedowarzonych krzykaczy. Podaję to do wiadomości pana sędziego i pana koncypienta — tu znów radca zmierzył krzywem okiem sędziego Dolskiego i Rzeckiego. — Wam się wydaje, że to odrodzenie, to zaś tymczasem jest w najlepszym razie próbą, a zwykle ogniem, który nie grzeje, a często zapala i zamiast chleba upiec, pali strzechy nad głową.

— Ale panie radco, tego nie można o Łąckim powiedzieć — rzekł młody sędzia.

— Przepraszam, można powiedzieć — przerwał Rzecki — najlepszy dowód, że pan radca powiedział.

Towarzystwo się roześmiało, a Rzecki dokończył z powagą:

— Inna rzecz, czy to jest prawdą.

— Oto owoce krzykaczy na kształt Łąckiego — rozpoczął znów radca.

— Słuchajcie! — krzyknął Rzecki. — Łącki do dziś dnia ani razu nie krzyknął, słuchajcie wywodów pana radcy.

— Tak jest, słuchajcie i przekonajcie się, że wy obaj młodzi moi panowie ulegliście temu krzykactwu, bo go nie czujecie, a nadto do starszych doświadczonych ludzi nie macie krzyny zaufania. Łącki nie jest krzykaczem, prawda, lecz jego czyny są krzyczące. Czy nie?

— Czyny nie mają gęby -- szepnął Rzecki.

— Panie koncypencie!.. — obruszył się radca.

-- Notarjalny — szepnął Rzecki.

— Bodajże pana djabli wzięli — rzekł radca, nie mogąc utrzymać powagi wobec wesołości towarzystwa.

— Więc panie koncypencie notarjalny, ośmieszasz sprawę poważną. My wszyscy, Polacy, dotąd nie wyzbyliśmy się lekkomyślności, zesłiliśmy się, aby radzić o naszym stosunku do Łąckiego, co może o jego losie we Wisłoku stanowić, tymczasem drwinkami zbywamy sprawę tak poważną.

— Co? Wszak nie zdołamy go wykurzyć, choćbyśmy chcieli, lepiej się z garbatym losem pogodzić — powiedział Rzecki.

— I dojść do przekonania, iż dotąd wszystko okazało się strachem na Lachy i urojeniem — dodał sędzia Dolski.

— O tem będą starsi decydowali — rzekł radca i wydał wargi, z ukosa mierząc młodych ludzi. — Dziś na szczęście wiemy coś więcej o tym zagadkowym człowieku. Dziś się wyjaśnia, dlaczego on rozpoczął wizyty oficjalne od Maziewicza i cały spaczył towarzyski porządek.

— Przepraszam, rozpoczął od burmistrza — rzekł Rzecki.

— Od Maziewicza, kochany panie — odpowiedział zirytowany radca — u burmistrza był, starając się o posadę.

— A po Maziewiczu był u kanonika i u pana radcy — powiedział Rzecki.

— Czyli, że nas porównał z Maziewiczem bakałarzem — odparł radca. — Ale dlaczego on to uczynił? Aby przewrót wywołać.

— Ale po tym przewrocie miasteczko stoi — do rzucił Rzecki.

— Panie! Stokroć zgubniejsze są przewroty społeczne, niż elementarne — zawołał radca.

— Więc pojawienie się Boga na ziemi było zgubniejsze, niż wybuch Wezuwiusza! — uradowany krzyknął Rzecki.

Poczęto się śmiać, a radca zielonem okiem spoglądał na Rzeckiego.

— Pan radca jest człowiekiem nader surowym — odezwała się pani rejentowa. — I mnie straszyl kanonik tym przystojnym doktorem, ale wyznam szczerze, po jego mowie na wieczorku u nas, wydał mi się tylko marzycielem, a ze względu na stosunek do panny Skarskiej wydał mi się motylem albo don Kichotem.

— Nie, pani rejentowo dobrodziejko — odparł radca. — Cała mowa na tak świetnym balu u państwa i to wobec starosty, była tylko zręcznym rzuceniem sieci na panie. Bo to wcale przyjemnie, czas wolny od wicherzenia spędzać na podbojach sercowych, a doktor jest romantyczny, gdyż dał na balu tego dowody. Półtora tygodnia minęło od balu, a gadania jeszcze nie ustały. Starosta jest formalnie oburzony.

— To inna rzecz. Starosta z urzędu musi być oburzony, ale my tej mowie zarzucić nic nie możemy — odezwał się mało mówiący rejent — zamało żyjemy polskością, nie więc nie szkodzi przypomnieć sobie styl polski.

— To obecnie w modzie — dodał Rzecki.

— Stan urzędniczy zeszedłby do rzędu sług, gdyby zapomniał narodowości — powiedział sędzia.

— Ale może jej nie demonstrować wobec przedstawiciela rządu, tak jak to wszyscyście panowie uczynili — mówił radca.

— Łącznie z panem radcą — rzekł Rzecki.

— Wylączać się byłoby nonsensem, wszak i ja Polak — powiedział radca.

— Bravo! — zawołał rejent. — A odnośnie do Łackiego, to przyznam się... że Łacki mi zaimponował tym stosunkiem z panną Skarską.

— Wielką magnatką — dorzuciła rejentowa.

— Phi — skrzywił się radca.

— W nim musi być coś znamienitego, skoro zdołał obudzić miłość tak bogatej i wytwornej panny. To nie jest rzecz łatwa rozstrzygnąć, kim jest Łacki — zaopiniował rejent.

— Demonem — oświadczył radca. — Ten człowiek rzucił z rąk szczęście, aby z zasady wszystko walić, nawet siebie rzucić w przepaść. Tylko mu było rękę wyciągnąć, byłby panem, człowiekiem niezawistym, rozkazywałby temu samemu staroście, przed którym dziś drzeć musi, wszak znamy potęgę szlachty w Galicji... Nie... on unieszczęśliwia pannę, depce majątek, pcha się do nas, aby w przeciągu niespełna pół roku narobić zamętu, obrazić publicznie kapłana...

— Prywatnie, panie radco — wtrącił Rzecki — wobec jednej osoby.

— Lecz, że wszyscy wiedzą, stało się to opublikowaniem, tem więcej, iż się nie zapiera i powtarza swój arogancki zarzut, iż tak czcigodna osoba dopuszcza się świadomie kłamstwa. Następnie knuje spiski, zawiązuje radykalne tajne stowarzyszenia, o czem wiemy doskonale.

— Panie radco, nie zbadaliśmy tych spisków — rzekł sędzia.

— Kto wie, czy kiedy to panu do śledztwa nie przydzielę — odparł radca.

— Tego z pewnością nie będzie — mówiła rejentowa. — To są jakieś marzycielskie plany, ale kto raz doktora widział przy chorym, musi przeczuć w nim szlachetnego człowieka.

— Bójcie się Boga, bójcie się Boga, toż on już was wszystkich poczyna bałamucić! — ze zgrozą wołał radca. — Więc trzeba wam wiedzieć, iż czytałem jego świadectwo moralności z policji krakowskiej!

— Nam kobietom nie trzeba policji my mamy serce, które natychmiast odczuje — odparła pani rejentowa.

Radca Uścianański zasępił się nagle. Po raz pierwszy stanęła mu przed oczy kwestja, iż przybysz jedna sobie zwolenników, a przynajmniej znajduje obojętnych, pozwalających mu broić bezkarnie. To wydało mu się nagle groźnem, przeto tem silniejszy powziął zamiar wysadzenia Łackiego z miasteczka. Zamiar ten stał się obecnie żądzą tak niepohamowaną, że aż rodzącą zdenerwowanie. Dziś pojął zupełnie jasno, iż mowa na balu była dowodem wielkiej zręczności społecznego intryganta, a sprawa z panną Skarską niespodziewanie dodała uroku młodemu kretowi, o czem niedwuznacznie wyraziły się szczególnie kobiety młode, a w tej chwili pani rejentowa.

Gorzkie wyrazy nie mogły mu się przedostać przez usta, chociaż czuł w sobie wielkie siły do walki w obronie pierza, z którym zrósł, z którego się tak rzadko pierzył, oplakawszy każde podstarzałe piórko. Po bezskutecznej gadaniu wobec tego grona, znalazłszy się jako jedyny w opozycji, nie mógł znaleźć wyrazu na określenie swego głębokiego przekonania o nowym doktorze, dlatego wołał zasłonić się dłonią, wesprzeć czoło, wychylić kieliszek wina i żuć cierpkie i dręczące myśli.

Rozmowa tymczasem dalej się toczyła, zeszedłszy na praktyczne tory, mianowicie mówiono o pojedynku i wybraniu kogoś innego na sędziego pólubownego. Był to atoli sęk twardy. Pojedynek zdaje się nie ulegał wątpliwości, ponieważ Mączka lękał się oddać tę sprawę do sądu, mógł bowiem przegrać, Łacki zaś nie zgadzał się na udział Mączki w sądzie honorowym, choćby się pojedynek odbył.

— Teraz wiem, dlaczego Łacki taki hardy — mówiła rejentowa. — To szlachcic, od którego woli zależało wejść na wysokie stanowisko. On zatem może być dumnym i cenić się należycie.

— Ale paniom się podobała donżuanerja doktora? twierdził Rzecki.

— W każdym razie człowiek interesujący — odparła rejentowa.

Te słowa dla radcy były za ciężkie, więc się zachnął i rzekł:

— Kto wie, co to tam było, może on tam z łaski wisiał, a podstępnie zdobył głupią panienkę, za co go wygnano.

— Wszakżeś radco swego czasu wysławiał znakomity ród doktora — powiedziała rejentowa. Wiarygodne wieści podają, że sam nie chciał tego związku z panną Skarską, a byli publicznie zaręczeni i ułożono już dzień ślubu.

— Musimy to zbadać — bąknął radca.

— A jeśli się pokaże, że to prawda? — odparła rejentowa. — W jakimże świetle wyjdiesz radco?..

Uczciwe serca rosną w energję, gdy czują, iż się komuś krzywda dzieje. Pani rejentowa broniła zrazu młodzieńca z zasady dobrego serca, ale rozjadła się

w obronie w miarę potęgowania zarzutów radcy. Radca spostrzegł to, więc zamilkł, aby rejentowej nie pobudzać, a skręciwszy rozmowę na codzienne sprawy, zakrył się dłonią i umilkł, by coraz więcej się zdumiewać i dziwić i twardnieć w nienawiści. W tej minucie, w chmurnych myślach pojawił się obraz pani Flory, spierającej się na ramieniu doktora. I w tej minucie złośliwy uśmiech się pojawił, a usta się rozchyliły, aby nowym pociskiem ugodzić otoczenie i za jakąbądź cenę wszystkich oddalić od nienawistnego człowieka. Radca był w tej chwili tak rozdrażniony, że byłby napiętnował ten nowy dowód demonizmu Łąckiego, gdyby się w czas nie pomiarkował. Przez jego nerwy przemknął piekący wstyd obok głuchej złości. Miał wrażenie że kąsa siebie samego, na czoło wystąpiły mu pokręcone tętnice, widne w świetle lampy, a w duszy niemoc wobec bezwzględnego sprytu przybłądy, anarchisty i masona. Chwiał się uparty konserwatysta i despota z powodu niemocy. Nie stracił bowiem świadomości, że grzechu tego Łącki nie winien. Podrażnienie pędziło go do użycia tego znakomitego argumentu, jednak nieznany przedtem wstyd strzelił w mózgu i szepnął „jesteś ojcem tego grzechu“... Był to grom ponad siły radcy. Zaszumiąły mu jaźnie, wola wyteżyła się w poszukiwaniu zbrodni, których tysiące niezawodnie popełnił wstrętny spiskowiec, usiadł w krześle, bo miał wrażenie, że runie pod stół... w tem dojrzał... i wykszusił ze siebie:

— Przeslepiliście moi kochani państwo. Czy wiecie że Łącki się żeni?

— Żeni się? — zawołała rejentowa, podnosząc się z ciekawości.

— Trzeba wpierw wiedzieć wszystko, a potem sądzić — z wolna mówił radca.

— Żeni się ze starszą córką... ślusarza, z Kazią burmistrzanką... burmistrzowa trąbi o tem, jako o rzeczy już postanowionej.

Cios był świetny. Wszyscy zbledli i oniemieli.

Wtem wchodzi Łącki.

Niespodziewane zjawienie się wilka, o którym mówiono, sprawiło pewne wrażenie i zakłopotanie. Rejent podskoczył na przywitanie, radca uczuł drzenie nóg i ból w lewem kolanie, z gorzkim uśmiechem mierzył wszystkich zostających pod wrażeniem nowej wiadomości.

Łącki bynajmniej nie spodziewając się zebrania, zmięszał się także, ale swobodnie się zachował i witął się serdecznie.

— Przybyłem w interesie do pana rejenta i Rzekiego — rzekł — ale interes to taki, że mogę o nim wszystkim opowiedzieć.

— Proszę siadać między nami — powiedziała rejentowa, która przyniosła już świeży kieliszek i nalała go drżącą ręką, tak iż wino wierzchem się przelało — widzi pan doktor, jak panu szczerze nalewam.

— Dziękuję, lecz wolałbym, żebym w słowach doznał tej szczerości od państwa — odpowiedział Łącki, siadając między rejentową a sędzią Dolskim.

— Albośmy nie szczerzy? — zapytała rejentowa.

— Nie. Wiem, że wielu z inteligencji ma o mnie fantazyjne wyobrażenia, a nikt nie chce powiedzieć, jakie — mówił Łącki, na którego radca spojrział z pod brwi ściągniętych. — Niestety, jedynie domyślać się mogę, iż z zamiaru rozruszania niedokrewnego społeczeństwa i zbuntowania nieco chłopstwa w kierunku

jego samodzielności, naczyniłem sobie nieprzyjaciół, na jakich zasłużyli tylko opryszki i anarchiści.

— Jeżeli pan masz kilku nieprzyjaciół — odezwał się Rzecki — toś pan sam sobie winien. Czy pan zapomniał, że obowiązującym przykazaniem polskim jest „Maul halten und Steuer zahlen“? Nie słuchałeś pan tego bogobojnego przykazania, a nadto byłeś pan i jesteś osobistością dramatyczną, a przewodnicy narodu polskiego przedewszystkiem lubią „pilznera“ i farsy...

Nie można się było nieśmiać, zwłaszcza, że siedział tu wróg, przed chwilą wcale się z tem niekrępujący. Wróg ów, radca, drgnął na swem krześle i chciał zjeść Rzeckiego, albo zgnieść wszystkich przemocą, gdy Łącki się odezwał:

— Wobec więc faktu, iż mam nieprzyjaciół, pragnę być lepszym i być wszystkich przyjacielem.

— Brawo! — krzyknął rejent.

— Dlatego postanowiłem rzec się fałszywej dumy i punktem zakończyć sprawę dotąd niezłatwioną i sąd honorowy uczynić zbędnym. Pragnę wobec sędziów uproszonych przezemnie i przez ks. kanonika przeprosić tego ostatniego za przewanie go kłamcą.

— Panie doktorze, spełniasz moje marzenia — z radością zawołała pani rejentowa.

A Rzecki się zezłościł:

— Co panu do głowy strzeliło!? Czy można się tak kompromitować!?

Nieprzyjaciele pomyśla, żeś pan „baba“!

— Nieprzyjaciele powinni się poznać na wartości tego czynu, inaczej byłiby ludźmi zawziętymi — odparł Łącki. —

— I tak będzie — powiedział Rzecki, nie zważając na stygnącego radcę. — Własne przekonania wyśmiałeś pan. Nazwałeś pan kanonika kłamcą, więc na wiatr powiedziałeś, jeżeli chcesz go obecnie przeproszać. Jeżeli powiedziałeś z przekonania, to dziś tak samo uważasz go za kłamcę, przeto nie tylko nie przeproszasz, ale udawadniasz, że to jest istotną prawdą. Jeżeli ktoś kogoś nazwie złodziejem na wiatr, zasługuje na szubienicę, jeżeli z przekonania, choćby ono było wreszcie błędne, zasługuje na wszelką estymę.

— Powiedziałem z przekonania, które wreszcie okazało się zbędne — odparł Łącki.

— Brawo! — powiedział rejent.

— Nieprawda — krzyknął Rzecki — Pan Łącki zasługuje na najsurowszą naganę za to, że zmienia przekonania, jak rękawiczki!

Biednemu Rzeckiemu wymknęło się z rąk studjum o „żarłocznym klerykalizmie“, więc na wszystkie sposoby usiłował przeprosinom przeszkodzić, ale inni, prócz milczącego radcy, poczęli Łąckiemu wieszować dobrego natchnienia, zwłaszcza rejent, czem zyskał nowe względy doktora przekonanego, że w całym tem kółku nie ma wroga. Zaraz też pomyślał, że natrafił dotąd na Mączkę i na kanonika, o innych zaś nie miał pojęcia.

Rzecz oczywista, że cała ta scena była dla radcy podróżą po kamienistej drodze, to też z pierwszej sposobności skorzystał, aby się wymknąć i pobiedz do kanonika.

Kanonik wolnymi kroki chodził po swym pokoju jadalnym. Przed chwilą rozprawił się z ks. Zabudą, obecnie z głębokim rozmysłem przemawiał do młodej wiejskiej kobiety, wpatrzonyj czarnemi i żarliwemi

oczyma w okazałą postać księdza. Była to owa Malcowa, „któraby za panem Bogiem w ogień skoczyła“, jak ją rekomendował gospodarz Chrzan, kiedy to kanonik był u niego w sprawie chrześcijańskich wyborów.

Kanonik przemawiał do niej dość długo i tak kończył:

— Malcową do niczego nie namawiam, ani nic jej nie rozkazuję. Starsza w Róży sama powinna dbać, aby chwała Imienia Marji rozbrzmiewała wszędy, powinna czuwać, aby z ust każdego prawego katolika wychodziło to, co Kościół święty do wierzenia podaje, a jeśli tak się nie dzieje, powinna Malcowa to donieść władzy kościelnej, najlepiej mnie, ponieważ jestem tu kanonikiem. Wspominam, że coś szeptą o doktorze, jakoby w Boga nie wierzył, ale nic nie wiem i nic powiedzieć nie mogę. Malcowa, jako starsza w Róży, powinna się o tem dowiedzieć.

— Jak to zrobić, proszę łaski ks. kanonika? — mówiła Malcowa, uśmiechając się słodko, co było jej stałym zwyczajem.

— Duch św. poradzi.

— Ks. kanonik mi boja nagnał.

— Święci Apostołowie szli między pogany z Bogiem na ustach. Kto z Bogiem idzie, wszędzie zajdzie — mówił kanonik.

Radca gorączkowo drzwi otworzył i trzasnął niemi, zamykając je za sobą.

— Salve! — wykrzyknął kanonik i ucałował się z radcą.

— Idźcie Malcowa, dobra noc wam — rzekł. — A gdzie będziecie nocować?

— U sióstr służebniczek — odrzekła Malcowa i strzelając czarnem okiem, wyszła.

— Piękna kobieta — mruknął radca.

— Bardzo pobożna — odparł kanonik.

— Jednak *reverendissime*, miej się na baczności, przyjmując wieczorem takie piękne niewiasty. Widziałem pod murem jakąś istotę w długiej, czarnej opończy.

— To wikary, on musi odbyć wieczorną przechadzkę, choćby dokoła domu. Powiada, że czart działa najwięcej wieczorem, więc wówczas trzeba go oziębnić — rzekł kanonik.

— Sądziłem, że to z armji Łąckiego, która rośnie jak lawina — powiedziawszy to, radca złąkł się słów własnych i jak z książki czytając, wyrecytował, co słyszał u rejenta, przekabaczonego już zupełnie na stronę intruza.

Obaj zmówili się bardzo szybko, przyczem się pokazało, że obaj z projektu przeprosin byli niezadowoleni i obaj z tej samej przyczyny, mianowicie nie wierzyli, aby Łącki rzeczywiście zmienił przekonanie, następnie, iż to jednało mu zwolenników między inteligencją, co znacznie przeszkadzało wykurzeniu złego ducha z miasteczka.

A na wiadomość, że Zabuda był pośrednikiem zgody, radca skoczył jak z ukropu.

— Jakimże sposobem on wlaźł w te kawały? — zajączał radca. — Coś mi się tu nie podoba!

— On chadzał z Łąckim na przechadzki, przyznał mi się przed godziną — rzekł kanonik.

— To nowalje dla nas, to rzuca jakieś światło. Chyba Zabuda ma także w głowie przewrócone?

— Nie, to prawy człowiek — bronił kanonik — tylko młokos bez doświadczenia, a uparty jak kozioł.

— To, to, wszystka młodzież dzisiejsza rwie się po bezdrożach, ani ich wstrzymać nie można. Czy ks. Zabuda pochwała, że ten mason był wpierw, niż u nas, u Maziewicza bakałarza?

— Trzeba go o to zapytać.

— Jakże będzie z komedją przeprosin?

— Trudna rada — rzekł kanonik — kapłanowi raczej zgoda, niż wojna przystoi. Zwłaszcza, że wierni tego pragną.

— Ciekawym, co Mączka na to powie. Jestem tak zgorączkowany, że chciałbym go dziś o to zapytać. To taka sprytna szelma, że do rady jedyny. Chociaż tam radzi, *per fas et nefas*, ale...

— Ale napijemy się winka.

Przy winku poczęto nad szczegółami rozprawiać, kanonik jał sobie przypominać wszystko, co mu Korczak o Łąckim nagadał i jak ongi temu bezprzeczenie wierzył, ufając potężnej firmie, tak dziś byłby przysiągł, iż wszystkie zdania Korczaka, są bezwzględną prawdą, ponieważ jako opiekun panny Skarskiej miał dość sposobności doświadczenia Łąckiego. Porzucenie panny Skarskiej przez doktora, obaj dygnitarze, podobnie jak wszyscy, uważali za szaleństwo i dowodzili, że to jest dostatecznym wyrazem jego demonizmu.

Nie mogli atoli pogodzić się z myślą upokarzającą, że odkrycie listów miłosnych Heleny, równocześnie uznanie narzeczeństwa przez rodzinę, wskazywało na zerwanie ze strony doktora.

Tak jak wielu ludziom afera ta niezmiernie zaimponowała, obu dygnitarzy niezmiernie złościła. Poczęła

im się macić niezachwiana logika odnośnie do anarchisty.

A anarchista dawno już zapomniał o Helenie, do dziś dnia zlekka się pod różnymi postaciami przypominającej, siedział późnym wieczorem nad listem do Stefki, pełny promiennych marzeń i niezmiernej radości. W ostatnim liście Stefki znajdowała się radosna nowina, że wuj staruszek zaprosił ją na wiosnę do siebie, aby mogła widywać się z narzeczonym, „któremu nie wolno na długo opuszczać chorych, widzących w nim nadzieję doczesnego zdrowia“, bo tak się wyraził, pisząc i zapraszając. To było dla Łąckiego zdarzeniem tęczowym i szczęśliwym, ponieważ wioska należąca do wuja, drogami prywatnymi była tylko o cztery mile od Wisłoka oddaloną.

— „Więc będę Cię często oglądał, jutrzeńko mojej doli, więc to, co Ci papier mówi w mojem imieniu, wypowiadam do Twych błękitnych ocząt, Stefko Ty moja, jedyna perło...“ pisał szalony prawem szczęściem...

Ale do Stefki równocześnie pisała z Wisłoka inna dusza. Pani Flora siedziała przy swem barokowym biurczku i na zwykłym papierze pisała odmiennem pismem:

— „Doktor, to skrzydlate stworzenie, rozstawiające swe piękne piórka przed każdą samiczką, którą zdybie na drodze. Umie koło nich tak chodzić, że każdej czujność omyli, jedna o drugiej nic nie wie, przekonana o wierności kochanka. We Wisłoku ten zbrodniarz i cukierek dla kobiet pieści aż trzy kobiety, ty będziesz czwartą, a która piątą, szóstą etc... podda się urokowi tego uwodziciela, niewiadomo, ale to pewne, że ty nie będziesz ostatnią, jak sądzisz w swej niewinnej naiwności. Każdej przysięga na Boga, że się z nią ożeni,

a głupie samiczki trzepoczą skrzydełkami z radości, nie przeczuwając, kim jest ten piękny doktor...”

Podpisu pod listem nie umieściła, tylko wiele mówiący pseudonim: „złamany kwiat”.

Adres posiadała od aptekarza w Krakowie, którego była pierwszą miłością.

XVII.

Rejent z niewyczerpaną radością zajął się uroczystością przeprosin. Sam łącznie z Klepackim był uproszony przez Łackiego do uczestnictwa w sądzie honorowym, uważał więc za stosowne jak najrychlej przeprowadzić ziszczenie życzeń klienta. Z uciechy nie pożałował trudów ani pieniędzy, zaprosił wszystkich prócz mecenasa na uroczysty obiad, a Mączkę stokrotnie przeproszał, mówiąc do niego mądrze: „mecenasa kocham, lecz więcej kocham zgodę”.

Łacki w dłuższej przemowie wysnuł swoje usprawiedliwienie, przyjął na siebie winę, jakkolwiek się do niej nie poczuwał, przyczem okazał tyle zdrowego rozsądku i tak się godnie przedstawił, iż księdzu nerwy grać poczęły dziwaczną nutą, coś na kształt zdziwienia i zakłopotania. Proste i jasne słowa prawego młodzieńca pokrzyżowały myśli księdza. Na twarz wystąpiła mu krew...

Radca przygnębiony, kiwał nosem, wpatrzony w kieliszek wina, wszyscy inni byli pełni radości i swobody. Po przemowie Łackiego, rejent złączył ręce przeciwników i pił na cześć zgody, a Rzecki obserwował księdza i radcę, mrugając z zadowolenia. Skoro tylko

obiad się skończył, powstano od stołu i podano czarną kawę, Rzecki trącił w bok stojącego przy drzwiach doktora, następnie chwycił go za poły surduta, przemocą wciągnął do sąsiedniego pokoju i natychmiast począł mówić:

— Doktorze, próżne wysiłki. Przeprosiłeś księdza, lecz nie przeprosiłeś klerykalizmu.

— Co mi tam do niego — odparł Łacki

— Co? Będziesz pan czuł pazury, będziesz mi pan wdzięczny, żem nie radził przeproszać świni. Będziesz pan podziwiał filozofię Rzeckiego. Kanonik i radca, to świnię! — tu wstrząsnął się Rzecki z doznanego uczucia obrzydzenia, uchwycił Łackiego pod rękę i rzekł: — Chodź pan do nich, jużem swoje powiedział.

Klepacki szczęśliwy, iż go Opatrzność uwolniła od sądu, którego się bał jak ognia, bowiem nie chciał się narazić wyższym sferom, ani też splamić demokratycznego sumienia... więc szczęśliwy śmiał się i dowcipkował, a radca wciąż w wino patrzył. Reszta towarzystwa, to jest gospodarstwo i sędzia dzielili między siebie błogie uczucie pomyślnego wyniku sprawy.

Kiedy nad wieczorem wszyscy się rozeszli, radca powrócił wprost do domu, uskarżył się żonie na ból głowy, następnie zamknął się w swoim pokoju z zapowiedzią, aby mu nie przeszkadzano. Gdy usiadł w fotelu, ciężko westchnął i utonął w rozmyślaniach. Tak przetrwał, jakoby w odrętwieniu do dziesiątej. Patrząc przed siebie, widział całe mnóstwo postaci do siebie niepodobnych, a każda z nich miała jakiś gest z twarzy Łackiego...

Łacki rad z siebie, zawadził z Klepackim o kasyno, gdzie dziś rej wodzili urzędnicy podatkowi; na-

stępnie udał się z nim do Maziewicza na drugie z rzędu obywatelskie posiedzenie.

Posiedzenie to było owocem jego zabiegów. Podczas gdy kanonik, radca i Mączka z całych sił pracowali nad paraliżowaniem zgubnej działalności „przybłędy”, Łącki nie spoczywał i do swej roboty wciągał, kogo mógł wciągnąć. Kiedy sam Klepacki z zachowaniem wszystkich ostrożności wymienił, ile w miasteczku żyje „demokratów”, z całą zapobiegliwością związał ich razem i sądził, że ma fundament obywatelskiego komitetu dla mieszczaństwa. Prócz Klepackiego i Maziewicza wciągnął do spółki kancelistę Rubczaka i burmistrza.

Związawszy tych ludzi, wymógł na nich słowo, iż raz w miesiąc zbierać się będą w umówionem miejscu. Dziś przyjmował Maziewicz. Skromne mieszkanie budowniczego oświaty napełniło się głosami obywateli, spychając do kuchni zwyczajne tu głosy i płacze licznego potomstwa nauczyciela. Mówiono o obiedzie u rejenta, uznawano szlachetność doktora, omawiano sprawę trzech odczytów dla mieszczaństwa, Klepacki ogromnie się bał pojedynku, mającego się odbyć między dwoma upartymi kozłami, t. j. między adwokatem a doktorem, stwierdzono brak humoru i wymowy u ojca miasta, gdy naraz mało słyszalne pukanie zwróciło uwagę spiskowców, zamierzających zdaniem kanonika, przewrót wywołać i Boga zniszczyć.

Maziewicz drzwi otworzył, wtłoczyła się olbrzymia koścista postać i stanęła natychmiast w półcieniu. Był to Klusik, agent kanonika.

— Dobry wieczór panu politykowi — odezwano się, bowiem znano dyskusje polityczne Klusika po szynkach.

— Sługa panów podług tytułu. Wiadomo bowiem gazety czytającym, że się na odezwie politycznej pisze p. t. publiczności — mówił pełen swady Klusik. — To znaczy każdemu podług tytułu, a odrazu.

— Niechże pan siada — rzekł Maziewicz.

— Gdzie mi ta siedzieć przy głowach. Dziś takie czasy, że rzemieślnik z głodu zdychający, niema swego tytułu ani godności honorowej — odparł Klusik i bawdawczo spoglądał na burmistrza, palącego cygaro.

— Zapewne ma pan do nas interes? — zapytał Łącki.

— At... człowiek nie palący od rana, przyszedł tam, gdzieby mógł zastać siedzących „nobel“ ludzi — z rezonem twierdził Klusik.

— Dziękujemy za uznanie, oto papierosy — tu podał Łącki Klusikowi otwartą papierośnicę. Klusik wprawny w paleniu, bynajmniej nie wziął dwóch naraz, z wdziękiem rozstawiając oba łokcie, wyjął jednego papierosa, zanurzył kościstą rękę w bezdennej kieszeni, szybko podniósł kolano i trzymając już w palcach siarkową zapalną, potarł ją w poślednie części ubrania.

Tymczasem Maziewicz podsunął Klusikowi krzesło i usadził go opodal zgromadzonych.

— Więc pan ma interes? — zapytał.

— Niechający mam geszefcik bardzo akuraty, ale nie w moim, jeno w panów interesie — rzekł Klusik.

W burmistrza wstąpiła powaga i powiedział:

— Niby trza prosto na łeb — odrazu do interesu.

— Juści, że zastosuję się do tej parlamentarnej uwagi, nadmieniając, że człowiek byłby kontent z fortuny, gdyby przy tej okazyjce też geszefcikiem nie po-

gardził. Nie jestem godny powiedzieć ile od sta procent, bo to wszystko zależy od kalagencji dobrodziejów, ale rzemieślnik murarski przez zimę byle czem zadowoli się pod względem monetarnym.

— Jeżeli pańska praca będzie coś warta, to się wynagrodzi — rzekł Łacki. — Lecz wprzód musimy wiedzieć, co to.

— Jeżeli państwo pozwolą powiedzieć mowę? — rzekł Klusik.

— I owszem, z przyjemnością — powiedziano.

— Wielgo batalija polityczna nadchodzi w monarchję naszego kraju — począł Klusik paląc papierosa. Reprezentacja skończyła swój stańczykowski żywot, aby na nowo przejść sposobem kandydackim za pomocą środków bagnetu i monety. Wiem z wysokich urzędów, że magnat powiatowy Korczak, znany wielmożnemu konsyljarzowi, zamierza wdrzeć się na ludowy mandat. Może on i filozof, że wielgie sumy monety przygotował na akcyje wyborcze z wiadomością pana starosty i księży, może on wyrzycował sobie ekscelem nagania-cza w osobie chłopca Chrzana i worek monety mu postawił, może on dobrą ma lunetę, że prosto w moją rzemieślniczą osobę wycelował i kusił osobiście i z honorem moją osobę, obiecując niemalą monetę, która, jak wiadomo, zaraźliwa jest jak cholera albo jaka epidemja chorobowa — mówiąc to, splunął Klusik za siebie i z tryumfem spojrział po obecnych, sięgnął długą łapą po świeżego papierosa, zapalił go w podobny sposób, podnosząc kolano i mówił dalej. — I nie tylko magnat dziedziczny Korczak, ale nasz kanonik, nie chwalcący się zawoławszy mnie do siebie, rozkazował przyłączyć się

do pańskich kulturregerów, jak wiadomo takich, co są podobni do Niemców przy wyborach. Ale suma sumarum Klusik sprzedawać swą hańbę nie może, bo jest na swoim stanowisku ambicyjny i albo tysiąc okrągłych, albo guzik. A tyle dać, nie dali.

Poczęto się śmiać z wymownego murarza, a Łącki się odezwał:

— My ani guzika dać nie możemy.

— Ja wiem o tem, jak z dokumentu — odparł Klusik. — Mnie wymawiać znajomości, co jest w kraju, nie można, bom wiedzący jak co w czyjej kieszeni. Więc przychodzący tu ofiarować swoje agitacyjne środki mam na myśli tylko służbę krajową, bo panowie są na to, aby z panami i księżami raz porobili porządki, a wiadomo z ekonomicznej nauki, że do tego chwila nadejdzie. Gdybym użył mojej akcji za kandydatem ze strony panów...

— Ależ dla Boga, my się polityką nie zajmujemy — krzyknął Klepacki.

— Talko ekonomią i zbudzeniem ludu — wtrącił Łącki.

— Ale nie w miasteczku — rzekł Klepacki.

— W miasteczku ja sam — odparł Łącki, widząc że Klepacki tak samo niedowierza Klusikowi i boi się z czemś zdradzić.

— Więc odezwij roznosić — począł Klusik — trzymać za pięciny naganiaaczy stańczykowskich, hebraic magnata Korczaka, stać na straży chłopskich kandydacji, jednym słowem przy tysiącnych geszefcikach okiem i gębą pracować, za marną monetarną pociechę, co który z panów dałby na herbatę z rumem, jak wiadomo

z medycynalnej nauki, żołądkowi człowieczemu na pożytek wychodzącą. A swoją uwagę, że to nie ładnie, ja rozprawiam, a nie widziałem ani kieliszka wódki na poczęstunek. Magnat Korczak, mój wróg wyborczy, wypił ze mną pół butelki.

— Jakto? Razem z panem? — wesoło zagadnął kancelista — Daj się pan wypchać.

— Więc jakto pan kancelista rozumie? — rzekł Klusik — Do kredensu dano mi pół butelki, więc że brakowało drugie pół butelki, to on wypił pół, a ja pół. Magnat pół butelki nie kupi.

Poczęto się bawić Klusikiem, ale mu stanowczo odpowiedziano, że mają swoich przyjaciół, więc za usługi dziękują. Maziewicz zaś przyniósł butelkę i kielich, napił się odrobinę do Klusika, a Klusikowi nalał półkwaterek.

A Klusik znów rozpoczął oferować swoje usługi, lecz kiedy Łackiemu, zrażonemu do nieproszonego i bombastycznego gościa, było zawiele, w sposób bardzo surowy zaznaczył, iż może szukać szczęścia u Korczaka.

Wtedy Klusik zmienił ton, uczynił się z wymownego słodkim i tajemniczym, a z jego słów przebijał zgrzyt groźby.

— Dziś takie czasy, że rewolucja paryska komunistyczna z człowieka zrobiła obywatela równego zwyczajem obywatelskim. Nie tylko słuchają tu panowie murarza, ale magnaty i jak wiadomo kler panujący w monarchji, w czasie rewolucyjnych wyborów ubiega się o słowo rzemieślnika, człeka honorowego.. Tych, co mają monetę... i od kryminału uwolnienie znaleźć mogą... a niemającym monetarnych sposobów, to każda władza może zwijać ich i rozwijać jak fanę na dachu, dać folgę

lub też być kością w gardle.. A kogoż się pospytają, a kogoż wyszłą na pikietę, aby się o kim coś dowiedzieć?... A jakże obywatela...

— A coż tu Klusik rozpowiadał o służbie dla kraju? — zapytał Maziewicz.

— I to służba i to służba.. Do jednej ciągnie przekonanie polityczne, do drugiej moneta, bo to jest ekonomistyczne, ponieważ monety brak w kraju. Więc jeżeli odepchną jedni, idzie się do drugich, do magnatów... a wtedy tutaj, bracie, na tych, co są bez grosza...

Łąckiemu było tego stanowczo za wiele, więc powiedział niedwuznacznie, iż Klusik nie jest dobranem dla nich towarzystwem, że złożył się po koronie dla rzemieślnika niemającego pracy i pożegnają go.

— Panowie swego interesu nie kalkulują — tłumaczył Klusik.

— Znamy, rezygnując z pańskiego towarzystwa — mówiąc to Łącki wyjął z kieszeni kilka monet, bo miał ich dość po kieszeniach, dostając od pacjentów, dał je Klusikowi i czekał rychło się wyniesie. Jednak Klusik miał coś jeszcze do powiedzenia, ponieważ dobierał słów i siedział ciągle.

Wtedy Łącki zakipiał oburzeniem, spojrzął na towarzyszy i rzekł :

— Chcemy już pana pożegnać, mamy coś ważniejszego do roboty.

— Znam te roboty, to człek na spiskach zęby zjadł — zamamrotał Klusik.

— Proszę o uszanowanie naszej godności, panu nierównej i proszę w ten arogancki sposób się nie odzywać, a najlepiej nas pożegnać — powiedział Łącki rozkazująco i zmierzył go surowym wzrokiem.

Klusik zęby zaciął i ruszył się w krzesło, mówiąc:

— Nie chciałem obrazić godności wielmożnych panów, ale te wiecownicy, co tu na łoński rok byli, to przynajmniej uszanowali rzemieślnika.. a zresztą co prawda, to prawda.

— Proszę milczeć i nas opuścić! — zawołał Łącki.

— Niedarmo mówi władza, że pan konsyljarz niebezpieczny.

— Zwłaszcza dla takich, jak pan.

— Albo ja jaki?

— Proszę się wynosić!

— O... źle se pan poczyna tą kalkulacją.

— Więc idźcie Klusik do domu — powiedział Maziewicz.

— Pójdę się do kanonika poskarżyć — odparł Klusik i powstał z krzesła, sięgnął długą łapą do papierośnicy i wyciągnął papierosa.

Łącki już wypadł z równowagi, nie odpowiedział, lecz gwałtownie poszedł ku drzwiom, otworzył je na oścież, mówiąc: „proszę“

— To pan mię za drzwi wyrzuca? Honorowego rzemieślnika?

— Wyrzucam! — krzyknął Łącki, pchnął wychodzącego Klusika i drzwi za nim zatrzasnął.

Klusik ostał się w ciemnym przedpokoju, pomacał kieszeń, czy dobrze schował ofiarowane pieniądze, spluął za siebie, kościste łapsko wyciągnął ku drzwiom, pogroził i głośno stąpając, wyszedł na ganek. Tam nagle stanął, następnie usiadł na ławce, ściągnął buty, przetrzucił je przez ganek do ogrodu, a sam milczkiem wlaźł napowrót do przedpokoju i przyczaił się pod drzwiami,

skąd było słyhać wszystko, o czem tylko w pokoju mówiono.

W pokoju zaś Łącki dowiadywał się o Klusiku, a każdy z towarzyszy to i owo sobie o nim przypominał, aż w końcu wszyscy doszli do przekonania, że to indiwiduum lichego rodzaju i szantażysta.

Ale Klepacki nieustannie kręcił się na stołku i twierdził szeptem, iż ma sumienie niespokojne, palcem wskazywał drzwi, a Łącki rozłoszczony wypadkiem z Klusikiem, pogniewał się na Klepackiego, przypominał mu, jak to zbladł ze strachu po mowie na balu i twierdził, że się tehórzostwem ośmiesza, ośmieszając równocześnie całą demokrację miasteczka.

Mimo to Klepacki prosił o dyskretną rozmowę, na migi pokazywał drzwi, zapalił świecę i ku drzwiom postąpił.

Śmiano się z ostrożnego człowieka, lecz, aby mu dogodzić, postąpiono zanim. Wówczas Klepacki, przed sobą świecę trzymając, nagle drzwi otworzył, wysunął świecę i zdołał tylko krzyknąć: „Jezus Marja“... gdy jakieś licho z góry na dół grzmotnęło w świecę, zgasiło i załopotalo w ucieczce po podłodze.

W oka mgnieniu Maziewicz z Łąckim pojęli, co czynić. Maziewicz odtrącił zbladłego poczmistrza i runął w przedpokój, za nim Łącki. Drzwi od ganku były otwarte, skoro więc wybiegli na ganek, ujrzeni po drodze resztkami śniegu pokrytej sunący długi cień człowieka, o nogach długich Klusika.

Moralnym zwycięzcą został Klepacki.

Trzeba znać miasteczko, jak ja je znam — mówił rozpromieniony. — W każdym miasteczku rezyduje ja-

kaś maffja włoska, ośmielająca takich łajdaków. Pan doktor stworzony, aby łeb uciąć tej hydrze, my natomiast musimy się liczyć z każdym krokiem.

Burmistrz ustawicznie był poważny i sapał ciężko, nareszcie późnym wieczorem, już na rozchodnem zdołał wyksztusić :

— Na ostatki zapraszam panów do siebie. Panie konsyljarzu, musimy ze sobą jakoś otwarcie pogadać w gronie familijnem.

— Z największą przyjemnością, panie burmistrzu, Maziewicz i kancelista spojrzeli po sobie, a zrozumiawszy, że to zakrawa na coś stanowczego, o czem słyszeli w tajemnicy od pani burmistrzowej, zgodnie powiedzieli :

— Wiemy, wiemy... powinszować, powinszować..

Lecz Łącki nie domyślał się niczego. Zadowolony z dobrego ducha pana Jamrugiewicza, ojca miasta, nawiedzał go wprawdzie co pewien czas i dla pozyskania sympatji jejmości, oddawał jej rozmaite salonowe uprzejmości, lecz nigdy po za ramy nie wykroczył. Tymczasem matka córek nienawykła do zdawkowych grzeczności „wyższego“ towarzystwa, pospolite słowa uważała za formalne oświadczenia, więc tonąc w rozkosznych myślach, czekała na dzień, w którym ogłosi arystokracji swe zwycięstwo i podda doktora rozkazowi Kazi i swoim, jako teściowa. Ta to niezawodna pewność przyszłej teściowej wyroiła się niebawem z jej serca na miasto i stała się powodem, że bardzo mało dwuznaczne zaprosiny burmistrza, kancelista i Maziewicz pojęli po myśli matki córek. A Łącki o niczem nie wiedział, bo o tak niepojętej historyi mówić z nim dotąd nie śmiano.

Praca zaś na posterunku, obecnie opromienionego błogosławieństwem Stefki, pochłaniała cały wolny czas doktora. Pewnego dnia, w którym już wiosna niepewnymi podmuchy z południa nadciągała i powietrze głosiło przebudzenie świętej matki ziemi, Łącki wybrał się w dalszą podróż do chorego, a przejeżdżając mimo chatę Kowalika, zabrał go z sobą, albowiem Kowalik i tak w tych dniach miał się wybrać do tej samej wsi.

Skoro tylko Kowalik spostrzegł woźnicę, poważnego starszego już gospodarza, ucieszył się bardzo i zawołał:

— Jak sie macie Antoni, wy to wieziecie naszego doktora?

— Widzicie, że konie same nie idą.

— Oświadczam panu doktorowi, że to dzielny żołnierz o chłopską sprawę. Pcre lat sie znamy z Antonim Witosem i my byli pono pirsii w powiecie, cośmy chłopską sprawę przyjęli — uradowany mówił Kowalik.

Kiedy tak się złożyło, a konięta szły wolno z powodu grzeskości drogi, szeroki dyskurs wszczął się na wozie. Łącki podniecony nadzieją wiosny, śmiejącem się niebem i świeżą czerwienią pędów wierzbowych, niemal szczęśliwy jechał w towarzystwie dwu prostych chłopów. Świącąc w duchu swe szczęście, kilkakrotnie odważnie spojrział po przestrzeniach łaciastych od czarnej mokrej ziemi i płatów topniejącego śniegu i mówił w duchu: Jakże się nie cieszyć życiem i wszystkim, kiedy te gnojowozy już umieją czuć po polsku i po obywatelsku. Jakto niedawno temu chłop bezmyślnie kurząc fajkę drzemał na wozie, nie wiedząc, jak się ta ziemia żywicielka nazywa i czyja ona.

— O czemście gadali dziesięć lat temu, gdy nie było takiego ruchu między wami co dzisiaj — zapytał Łącki.

Chłopi przerwali rozmowę o prześladowaniu ruchu chłopskiego, a Kowalik rzekł:

— Spaliśmy, a w gminie, w sądzie, robili co nam kazali. Kiej sie chłopu co nie zdawało, to sie poskarżył żydowi. I dziś są tacy lizonie, co powiadają, że jak sie na ślepo rozkaz wykona, to lepiej, bo większy porządek. Ino proces prowadzić, to umieli chłopi zawdy.

Na to Witos dodał:

— Prawda to, co Kowalik godo, z tem nadmienieniem, że dziś to samo połowa wsi robi, tyło co dziś już kuni nie kradną, co downi zdarzyło sie byle komu i nie tak wierzą w strachy i gusła rozmaite. Panowie niby to nie wiedzą, że bez tych pore lat tak sie na wsi chłopy rusyły do oświaty, ino mowiają, że dziś to samo chłop głupi, ino buntować sie nauczył. Ale ja som widze, że chłop som sto razy sie prędzej oświecił niż, żeby za niego jaki pan to robił, a chłopą przy gnoju ostawił. Panów to zawdy pragniemy do pomocy, cy obszarnika, cy urzędnika, bo oni majom rozum, którego nam nie-dostaje, ale ci co przejrzeni z chłopów, to sie nie zgodzą, aby chłop był odtracony od wszystkiego, co jest jego. Piekny wirs napisoł jeden u nos młody i tak mówi do was, panowie: „Panowie, my was wzywamy, nie tuczcie się mandatami, bądźcie razem z chłopami, to my bedziemy z wami“. A prawda, że mądrze opisoł smarkac! Osiemnastych roków może nimo. I wielgą prowde opisoł bo my sie nijak nie nauczymy, jak sami nie wetkniemy palca w obywatelskie i chłopskie prawa. Jak roz i drugi se palce oparzemy, to bedziemy jak Salamon. A dziś, choć sie człek garnie, to go nie puszą, dlatego i głupi...

— Mądrze tyz godocie, Antoni — zawyrokował Kowalik.

A Łącki zdumiewał się jak badacz nad komórką jestestwa. Nic i nic nie mógł zarzucić wywodom chłopu, równocześnie przypomniał sobie krakowską rozmowę z posłem Bujką i ocenił dziwną zgodność zapatrywań chłopskich na dwóch krańcach mazurszczyzny.

— To musi być odruch dziejowy — pomyślał i rzekł chłopom. — Więc chcielibyście pójść razem z panami?

— Wsyćkie stany majom prawo do życia — odparł Kowalik. — Ręka by nom uschła, gdybyśmy co od panów chcieli.

— To tak — dodał Witos. — Tu się kończy obszar niby dworski, tu się poczyna między chłopsko. Panu nie wolno wierać się w nos, nom zaś nie wolno w pańskie, a dyć się nie bijemy i kuzdy rad pilnuje swego chleba.

— I tak ma być w polityce — dodał Kowalik — Niech oni biją się o swoje, my o swoje, bo za dwóch się bić dzielnie, to wielgo robota, nie na siły jednego stanu. A kiedy do mądrego przyńdziemy po radę, to zasługa przed Bogiem będzie miał za doradę, a od nas wspomnienie i wierne serce chłopskie. Ale żeby bronił nom chodzenia koło swego, jak to się dzieje między starostami, panami i księżami, to chłop już dziś tego nie chce i potrafi machnąć chłopskim ogonem na takich chciwych ludzi. Czego my się do pana garniemy?

— Bo ja taki pan, co koło was będzie chodził tylko z radą — rzekł rozpoetyzowany Łącki.

— A już na pana pomstują — rzekł Kowalik.

— Wiem coś trochę. Tym panom się wydaje, że ja was na nich buntuję — odparł Łącki.

— A wiedzą pon, że już od pana chorych odmawiają? — powiedział Witos.

— Zło... krew! — szepnął przerażony Kowalik.

Łącki struchlał! Przeciw wszystkim przeszkodom szedł jak żołnierz do szturmu. Domyślał się już w części intryg knowanych przez zacofanych opętańców, miał już namacalne dowody i znał dwóch wrogów po nazwisku, lecz tego wszystkiego się nie lękał, dziwiłby się, gdyby nie miał twardych przeciwności — tu błysk nowej świadomości ujawnił się w duszy trwogą dotąd nieznaną!

Chleba miał prawo żądać za pracę, dziś go pożądał dla Stefki, gdyż nie miał prawa zaprzęgać dziełwczyny w koło burzliwego życia i skazać ją na troskę o chleb codzienny. Poczucie, iż niema na świecie innego chleba, prócz zarobionego własną pracą, uczyniło go naraz niezmiernie w tej sprawie wrażliwym. Jak pogroźkę mecenasa przyjął najeżony, niby zwierz węszący nieprzyjaciela, słowa chłopu zapowiadające ogólną walkę przeciw niemu, zagrzmiały w duszy jego jak dzwon na trwogę.

Z gorącą niecierpliwością jął się wypytywać, kto chorych odmawia i jak odmawia. Chłop Witos był w niedzielę na niewielkiem w swej wsi zgromadzeniu, które zwołał Chrzan, naganiacz kanonika i Korczaka. I właśnie Chrzan miał opowiadać, jako doktor przeciw Bogu występuje, a o chorych nie dba, byle wziął pieniądze.

— Słyszeliście na własne uszy? — zapytał chłopu.

— Tom nie głuchy — odparł chłop.

— Przysięgniecie w sądzie?

— Przysięgnę, nie boje sie przysięgać.

Chłopi zauważyli pomięszanie doktora i zabołeli nad nim. Kowalik, jak zwykle ze zmartwienia, podniósł swą małą głowę, wargę dolną opuścił i powtarzał.. „zło krew... zło krew te księża i ślochta... zło krew“... a Witos doktora pocieszał:

— Oni majom swe naganiacze i chłopska strona ma swe naganiacze. Co oni odgonią, to my przygonimy.

— Zło krew... ale po ich stronie siła, bo baby opętane księdzem. Żeby nie baby, to my by już dawno w rządzie byli. Bo babie się zdaje, że taki mściwy ksiądz, jak we Wisłoku, to sam Chrystus. To kanonik taki majster... — i rozpoczął chłop chłopu opowiadać o Wojciechowej Baranowej — co to nos doktor od jej pyska zamarzył po drudze, tak ci pyskiem mroziła — opowiadał Kowalik o nieszczęściu Barana co się rwie do chłopskiej sprawy, a baba mu nie daje, Witos w odpowiedzi też wyliczał podobne wypadki, aż zjechali do chorego w tej samej wsi, gdzie Chrzan mieszkał. Łącki przez resztę drogi milczał przygnębiony i modlił się w duchu.

Z powrotem od chorego zlął opodal domostwa Chrzańa, obejrzał schludne i bardzo cywilizowane obejście i wszedł w prógi nowego nieprzyjaciela. Gdy wstąpił do izby, zdziwił się widokiem stołu, założonego książkami i papierami i piórem wiecznie wetkniętem we flaszeczkę atramentu. Gospodarz Chrzan zajęty był, około rymarstwa, bowiem rymarzem był z zawodu.

— Czy mówię z gospodarzem Chrzanem? — zapytał Łącki.

— Do usług wielmożnego Pana, jo Chrzan — odparł gospodarz w uniżonych ukłonach.

— Jestem doktor Łącki z Wisłoka — powiedział.

Chrzan już miał wykonać ruch uniżony i poddańczy, gdy nagle się wyprostował i szydersko się uśmiechnął.

— A pochwalony gdzie? — rzekł.

Łącki spostrzegł nagłą zmianę w Chrzanie i poznał się na nim odrazu, więc odpowiedział:

— Tam się mówi pochwalony, gdzie gospodarze po Bożemu postępują.

— Panie, mnie tego nikt jeszcze nie mówił — odparł Chrzan.

— Gwałtowny z was człowiek, a nie martwcie się, że przyjdzie czas, kiedy wam to więcej ludzi powie.

— A panu sobie wypraszam takie gadanie.

— Dlaczego nie powiecie tak ostro kanonikowi, sędziemu, tylko mnie, chociaż wiecie, że jednakiej my godności.

— Nie jednakiej, a lepi by pan zrobił, żeby się odrazu zabrał! — głosem podniesionym zawołał Chrzan.

Łącki zbladł, słysząc tyle brutalności, między chłopami nigdy nie słyszanej. Chwilę stał zdumiony bądź co bądź ciekawą tą cywilizacją chłopą. Rozmawiał nieraz z chłopami kłótliwymi i posłami chłopskimi i z pokornymi a nieszczerymi niewolnikami, lecz nigdy nie doznał od chłopów niegrzeczności. Więc zaciekawiał się i dla doświadczenia postanowił go wypróbować. Usiadł na krześle skórą wybitem i z powagą mówił do Chrzana.

— Doniesiono mi, żeście na zgromadzeniu przeciwko mnie występowali.

Czy nie wiecie, że grzechem jest krzywdzenie bliźniego?

Kto to gadał?

— Co wam do tego, jeśli przysięgniecie na Boga, w którego wierzycie, żeście ani słówkiem nikogo nie buntowali przeciw mnie, jako lekarzowi, uwierzę wam, względnie zbesztam tych, co mi donieśli. Przysięgnijcie na Boga, w którego wierzycie.

— A pan w którego Boga wierzy?

— Co wam do tego, słyszałem, że wy z Bogiem trzymacie i rozpijacie wyborców po szynkach.

— Widzisz pon, słusznie święte osoby mówią, że w Boga nie wierzysz.

— To kanonik jest tą świętą osobą?

-- Juści kanonik.

— Widzisz, panie Chrzan — rzekł Łącki — że jedno z was wy dobył. Kanonik opowiada, że w Boga nie wierzę.

— Nic nie opowiada, sam wiem o tem.

— Nie płązcie się w gadaniu, bo wiedzieć o tem z innych ust nie możecie. Zresztą na bajczarzy niema lekarstwa.

— Toś pan taki doktor!

Chrzan popadł w złość i widać było po nim, iż się wstrzymuje, aby gwałtu nie popełnić. Łącki z ciekawością badacza słuchał Chrzana niezbornych odpowiedzi i widział w nim szła rzemiosła wstrętnego sługi władców, zdania słyszał bezcelowe, a zawsze wyzywające. „Klusik i Chrzan, dwóch ich widziałem, obu najmitów polityki księżo-szlacheckiej“, pomyślał, a potem powiedział:

— Poprzysięgnijcie na Boga, żeście na mnie nie gadali.

— Nie godołem. Łą te chłopcy masonskie!

— Poprzysięgnijcie.

— Poprzysięgać przed niedowiarkiem nie będę!
— Gościa we własnym domu obrażacie.
— Pon nie gość, bo lutrów Boga w sercu nie mających, jo w domu nie goszczę! — krzyczał chłop.
— I luter jest gościem.
— Nieprawda! Lutra się powinno obwiesić!
— Co tam panie Chrzanie będziecie gadali o rzeczach, o których mądry człowiek zawsze mówi z namysłem.

— Tu niema namysłu, jeden tylko Bóg prawdziwy!
— Tylko ten, który mieszka w sercu. Jeśli mieszka w sercu lutra a nie katolika, to luter jest lepszym człowiekiem. Sam kanonik musi to przyznać, jeśli jest mądrym człowiekiem. A zresztą nie mówmy o tem, bo to nie na waszą głowę, a prawdą zostanie ten Bóg, który każe ludziom kochać, nie napadać na nich, ostrożnie sądzić, sobie zbyt nie ufać, a przedewszystkiem innych sądzić bardzo ostrożnie.

— Widzisz pan, nową wiarę masonską pan zaprowadzasz!

Słuchając bezwzględnie fanatycznych odpowiedzi Chrzana, począł żałować, że jako ciężko pokrzywdzony, przyszedł wywiedzieć się szczegółów, a przynajmniej Chrzana napomnieć, ponieważ skutkiem tego nie miał tyle zimnej krwi do badania tego dziwoląga.

— Gospodarzu, to, co powiedziałem, to Chrystus powiedział. Nie ten wejdzie do królestwa niebieskiego, który mówi, Panie, Panie...

— Pon tego nie wiesz, a bluźnić Bogu, ja nie zezwalam! — krzyknął Chrzan.

— Więc nie mówmy, pogadajmy sobie o nieszczęśliwej Polsce.

— Czego jest źle i człek biedę podgania — krzy-
czał Chrzan głośno. — Ponieważ ludzie Boga w sercu
nie mają, powstają przeciw sługom Bożym...!

— Masz tobie, ależ mówmy o Polsce, nie o słu-
gach Bożych.

— O sługach Bożych! Bo gdyby oni w swe ręce
wzięli...

— Zgadzam się, niech tylko wezmą sprawy oj-
czyzny. Bieda, że dotąd nikt wziąć na dobre nie chciał.

— Nie szanują buntowniki pomazańców Boskich!

— Panie Chrzan, bronicie księży, ale nie ojczyzny.

— Nie obam o ojczyznę, coby się z lutrów i ma-
sonów składała!

— Kto wam takich głupstw nagadał? Z wami
gadać nie można!

— To niech się pan zabiera, skąd przyszedł!

— Dobrze, ale przysiężcie, żeście mnie publicznie
nie hańbili.

— Nie przysięgnę przed niedowiarkiem!

— Prawdopodobnie więc oczernialiście mnie.

— Jo! Jo! — skakał Chrzan do oczu Łąckiego.

— Więc dajcie słowo uczciwości, że to plotki
ludzkie.

— Panie, nie mam czasu zabawiać się z panem,
bo mam rzemiosło, z którego żyję!

— Jakoś krucho z waszym Bogiem. Kto ma czyste
sumienie...

— Co mi pan tu gadasz! To krucho z Bogiem?
Z wiarą świętą? Krucho! Bluźnisz pan w chrześcijań-
skim domu, co słowa bezbożnego jeszcze tu niesłyszano!
Krucho z Bogiem!... Co!...

Chrzan był zielony i drżący z uniesienia, Łącki przeczuwał burdę.

— Niech wam Bóg nie pamięta, jeżeliście mię skrzywdzili, a teraz jako gościa napadacie.

— To pan luterski bezbożnik na prawego chrześcijanina tak gadasz! Tfy... Socjalistą i masonem pan jesteś! Gdzie prawa, żeby wszystkich masonów wywieźć! Ojcu św. zabrali grunt, księży napadają, Boga by struli, żeby mogli...

— Chrzan, opamiętajcie się! — surowo rzekł Łącki.

— Pan tu prawego katolika napadasz! Podłogę zmyję, po której pan stąpasz, krzesło wyrzucę...

Łącki był powstał z krzesła przedtem i widząc, iż rozmowa z głuszcem tokującym nie jest możliwą, dał za wygraną, bo pragnął już świeżego powietrza i towarzystwa chłopów-przyjaciół, czekających na niego z wozem. Na pożegnanie powiedział :

— Niech wam Bóg tego nie pamięta...

Chłop skoczył i pięścią w stół grzmotnął.

— Za drzwi z katolickiego domu! Za drzwi, buntowniku! Idź, bo cię lunę po luterskiej mordzie!...

Łącki w oka mgnieniu zbladł, lecz dobywając męskości, przemógł ściskanie w piersiach i porażenie woli, przemógł osłupienie i staniając się na nogach, wyszedł z domu.

Dwie łzy zakręciły mu się w oku, których się nie wstydział.

Przyszedłszy do czekających nań chłopów, rzekł im krótko; „wyrzucił mię za drzwi“ i uściśnął serdecznie ich ręce czarne i spękane.

Kowalik z pomocą Witosza załatwił wszystko, co miał załatwić, mianowicie sprosił kilku gospodarzy do siebie na niedzielę, a uczynił to na zabiegi Łackiego, proszącego Kowalika, aby mu ułatwił zgrupować chłopstwo pod sztandar „samodzielności chłopskiej“.

Z powrotem chłopci powodowani wytworną względnością, nie przeszkadzali doktorowi w smutku i zamysleniu, zabawiając się sprawami własnymi, nie zagadywali do niego, jeno Kowalik od czasu do czasu spozierał na milczącego, a wówczas podnosił w górę małą główinę pomarszczoną i ogorzałą, dolną wargę opuszczał i powtarzał: „zło krew... stańczyki... i księżo...“

Łacki zestawił w duchu dwa niedalekie od siebie wydarzenia: „ja wyrzuciłem Klusika, mnie wyrzucił Chrzan. Klusik wart mniej, jam wart więcej, a najwięcej Chrzan.. powinszować!... Najpilniejszym obecnie wyszukać rzeczywistego katolickiego polityka i Polaka, gdyż inaczej sąd mój mógłby być stronnictwym. Trzeba wezwać pomocy ks. Zabudy, on z pewnością zna takich“.

Potem fantazyjne obrazy przesuwały się przed oczyma jego duszy, aż zajechał przed domostwo Kowalika, gdzie chwilę pobawił, aby się widzieć z Wojciechem Baranem. Chłop był blady, z sińcami pod oczyma, zmieszany i poczynał spoglądać w przestrzeń, nie na osoby, jak gdyby ze wzrokiem ludzkim bał się spotkać. Zapisany już w notatniku Łackiego, jako człek dzielny, otrzymał polecenie, by stawił się we Wisłoku, odebrał i poroznosił kilkanaście listów do tęższych chłopów, z zaproszeniem na niedzielę do Kowalika.

Przed zachodem słońca był Łacki w domu.

Na wstępie słuźka Józek doniósł, że kot żydowski wyjadł naleśniki, chociaż on ani oka nie zmrużył, na co dowód, iż trzy razy mówił czekającej kobiecie, jako pan doktor przed wieczorem przyjadą.

Skoro tylko przelknął Łącki obiad, przynoszony od pani egzekutorowej, przegładnął pocztę, w której był i list od Stefki, zapukała po drzwi od południa czekająca kobieta.

Stała we drzwiach, czarnem okiem strzelając na wszystkie strony i uśmiechając się słodko.

— Całuję rączki panu doktorowi — wyrzekła z zalotnością i uśmiechem pozornie wiele znaczącym.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — powiedział Łącki. Obojętnem mu było, czy kto to gada, czy nie gada, bo gadanie „pochwalonego“ nie jest dowodem niczego, ale liczył się ze zwyczajem ludności i skwapliwie chłopów tak witał.

Kobieta, a była to starsza w Róży Malcowa, odpowiedziała ze wzruszeniem: „na wieki wieków, amen“ i złożyła ręce.

Nastąpiło wypytywanie się o chorobę, badanie, Malcowa była chorą od dawna — jak twierdziła — przechodzi ją zimno po plecach, nogi trętwieją, w brzuchu boli, a głowę zalewa czemś niedobrem, a najczęściej w piątek. Doktor odrazu spostrzegł, że rumiana, silna i młoda kobieta lubi zbyt wiele opowiadać o swych dolegliwościach, usiadł więc opodal i słuchał opowiadania, nacechowanego szczególnem zamiłowaniem do słów wzniosłych i zagadkowych. Malcowa opowiadała bardzo szczegółowo:

— W piątek jest mi najgorzej. Rany Chrystusa się otwierają... jedna dziewczyna, co jest w Hameryce

na boskiej woli... tak samo dolegliwościami była opanowana... nie jej doktory nie pomogły... wianek Najświętszej Paniienki dopomógł jej w sobotę... a mnie znów w piątek dokucza zawzięcie. Udałam się do Najśladszego Serca o pomoc, ale skutek z łaski Boga nie był widoczny... Czasem takie omdlenie przyjdzie na mnie, jakby wszystkie żyły sercowe się rozlały krwią, a wtedy przed oczyma widzę krew grzeszną... to znów krew Najśladszego Serca, ze serca uciekającą, to przebite serce cierniową koroną, a ze serca bucha płomień łaski Najświętszej... ja bywało proszę i kajam się na kolanaach.. wszystkie oczy bym wypłakała... żeby mi Pan Jezus nie dał oczu zdrowych...

Malcowa wymawiała niektóre wyrazy z przyciskiem, inne zaś szeptem, zwolna, pokrywając przytem twarz uśmiechem, wyrażającym pewną błogość duszy.

— W takim razie przykro wam na świecie — powiedział Łącki, aby coś powiedzieć, bowiem nie mógł dłużej utrzymać powagi w milczeniu.

— O .. nie przykro mi... Służba Bogu najmilsza, a gdy człowiek cierpi, to powinien pamiętać, że Bóg dobrowolnie cierpiał na krzyżu za nasze grzechy... Bóg wiernych łaską nie zaniedba... Najświętsza Paniienka, u której jestem w Róży, wyprosi, wybłaga... i wybłagała raz łaskę z nieba... bo w piątek jest mi najgorzej... I tak w jeden piątek wszystkie żyły ciała były w naprężeniu, jak na krzyżu... a wiadomo, że Bóg pobożnych ludzi dotyka... przeleżałam cały piątek w boleściach, aż przyszedł wieczór, przecieram oczy, a tu przez okienko zagląda miesięczek... Idę ku okienku i spieram zalaną bolami głowę o szybę. Patrę w szybę, a tam od miesięczka świetlisty krzyż splywa ku mnie... Płynie... mróz mię

przechodzi, dreszcz ostatnie robi wysiłki... aby się woli Bożej przeciwie... ale nic nie pomogło, krzyż spływa na mnie, ze szyby przechodzi na czoło, potem wstępuje we mnie, przechodzi przezemnie i plecami wychodzi do drugiego okna... a ja padam na kolana w kościele i dziękuję Jezuskowi za cud na mnie spełniony... bom ozdrowiała... wydawało mi się, że cudu niegodna... a Serce Jezusowe okazało... że godna.

Łącki pojął Malcową bardzo szybko: „kandydatka do obłądu religijnego, a przynajmniej sfanatyzowana histeryczka“. Ale udał spokój, chociaż na śmiech mu się zbierało.

— Więceście cudu doznali? — powiedział.

— A jakże, Pan Jezus z łaski dopuścił — szepnęła Malcowa.

— I wierzycie, że to był cud?

— Muszę wierzyć, bo samam go doświadczyła.

— E... kobiecino, wy nie do tego, aby sądzić, co cud, a co nie jest cudem. W sto lat po śmierci świętego rozpatruje komisja przez kilkanaście lat i dopiero mówi, czy były cuda, czy nie.

— A ile to cudów się dzieje, że nikt nie wie.

— Nie dzieją się, kobiecino, — cudu byle kto nie dostąpi, a to, co nazywają cudem, to niezrozumiałe wszystkim rzeczy, ale rzeczy bardzo często zwyczajne. Zresztą do spełnienia cudu wybrałby Bóg kogo innego zapewne, a nie was, kobieto.

— Dlaczego nie mnie, kiedym pierwsza w Róży i spowiadam się co miesiąca? — mówiąc to, Malcowa miała taki głos, jak gdyby była pewną, że jej się cud należy.

Łącki pomyślał, że należy ją z cudomanji wyleczyć, aby nie doznawała cudów na pośmiewisko ludzkie.

— Dlatego — rzekł — nie wierzę w ten cud, bo wy macie taką w głowie chorobę, że wam się byle co przyśni albo przywidzi. Zresztą uczyłem się więcej religji, niż wy i wiem, że cud istnieje wtedy, jeżeli go uczyni człowiek w imieniu Boga, wam sam Bóg dobrodziejstwo wyświadczył, więc to zwykła rzecz, potęga Boska, a nie cud. Nadto, moja kobieto, dla tego „cudu“ na was Bóg nie wykonał, ponieważ chorujecie dalej tak samo.

— Alem była zdrowa do drugiego piątku, a widzi pan doktor, że to był cud.

— Kobieto, miejcie sumienie. Wy nazywacie cudem, co chcecie, a cuda to nie byle co. Cudów już oddawna niema, bo ludzie grzeszą coraz więcej, więc sami my uczeni nie bardzo rozumiemy, co jest cudem. Odkąd ja żyję, to jest blisko trzydzieści lat, to cud się ani jeden nie zdarzył.

— Nieprawda. Księża niekiedy czytają pismo od Ojca św., że tam albo tam cud się stał. Łońskiego roku, to jedna dziewczyna we Francji też starsza od Róży, tak jak ja, spała przez 6 miesięcy, a co piątku rany jej się otwierały i zamykały, a co najmądrzejsze doktory z całego świata łamali sobie głowy i gadali, że pierwszy raz to widzą i że to nie żadna choroba, ino cud.

Łącki począł śmiać się na całe gardło.

— To wam ksiądz z ambony czytał?

— Nieraz czyta o cudach.

— Czyta, jeżeli się gdzieś naprawdę cud stał, ale tego nie czytał za waszego życia, to nieprawda.

— Głucham to, czy co. Czytał i nieraz czyta.

— Śmiejecie się z tego czytania. Aby cud był jako cud ogłoszony, to musi być wpierw proces o cud. Gdyby Ojciec św. cobądź za cuda ogłaszał, toby religji zaszkodził, bo chłopci by w to wierzyli, ale po miastach mądry ludzie wyśmieliby to i straciliby wiarę. Widzicie, żeby przez to kościół więcej szkody poniósł, niżby skorzystał. Widzicie do czego to doprowadzają niektórzy księża, że was, szczególnie kobiety, zbałamuca i w głowie wam wywróca.

— To nie był cud, że ta dziewczyna we Francji przez 6 miesięcy spała, a co piątku rany się jej otwierały?

— Kobieto, to nie cud, to rzadka choroba i wybyście mogli zapaść na taką chorobę. Zresztą to nie tak było, jak opowiadacie.

— Jabyń mogła cudu doznać? — w uniesieniu zawołała Malcowa.

— Ależ nie cudu! Teraz cudów niema! Kobieto nie obrażajcie pana Boga, bo to się nazywa wzywaniem Boga bez potrzeby, wy grzeszycie przeciwko przykazaniom bożym. Kobieto, zmiłujcie się nad swą duszą.. drugie przykazanie.

— A czego uczeni doktorzy powiedzieli, że to był cud? —

— Osły, nie uczeni — krzyknął Łącki. — Takie choroby wydarzają się. Ja sam widziałem taką na klinice. Czytałem o takich chorobach wiele, a wiadomości te spisali najuczeńsi doktorowie... Kobieto, powiedzcie mi, kto z nas wie lepiej, co mówią uczeni doktorzy, ja, czy wy?

— To nie ja mówię, ino ksiądz, a ksiądz jest duchowna osoba i wiarygodna, bo poświęcana. Pan Jezus mówi przez księdza.

— Ale na chorobach ksiądz się nie zna.

— Więc jaka ma to być choroba?

Więc doktor począł jej popularnie tłumaczyć o stanach kataleptycznych, znanych w odległej starożytności, w Indjach i Egipcie, o przypadku na klinice, trwającym trzy tygodnie i nie zważał, że Malcowa lekko ściała usta i śmiała się w sobie.

— A czego uczeni doktorzy powiedzieli, że to był cud? znów zauważyła Malcowa.

Łącki w dalszym wywodzie opowiadał, że u zwierząt spotykamy podobne objawy, że sen zimowy zwierząt, to stan podobny.

— To pan doktor świętych miesza ze zwierzętami.

— Mieszam, bo zwierzę to takie same stworzenie Boskie, jak człowiek.

Ale to do siebie nie podobne, aby święty człowiek co czyni cuda z łaski Serca Najśłodszego, to samo był, co zwierzęta.

— W tej rzeczy to samo, kobiecino. Wy się na tem nie rozumiecie, ale sprowadźcie księdza, który natychmiast przyzna mi wszystko, co mówię.

Gdzieby ksiądz przyznał, że cudów niema i że świętych można porównać ze zwierzętami... aż mi pot kroplisty wystąpił na czoło ze słuchu tych bezbożnych rzeczy — tu Malcowa pocierać się poczęła po czole, aby koniecznie znaleźć chociaż kropelkę kroplistego potu.

— Co wygadujecie kobiecino? Nie powiedziałem, iż cudów nie ma.

— Powiedział pan doktor, nie głucham.

Łącki się niecierpliwił, równocześnie słuchał pilnie co Malcowa wygadywała, aby się wiele przy tej sposobności o fanatyzmie ludu nauczyć i zdumiewać się komu na pożytek wyjdą takie osobniki, wychowywane w polskich świątyniach.

— A ja wiem, że cuda się dzieją, bo i na mnie Jezusek i Panienska cudów dokonali.

— Więc idźcie leczyć się do Pana Boga, nie do ułomnego ziemskiego lekarza. Ale Malcowa pragnęła teologicznej dysputy na wielki kamień. Znow wyszukała cud, który się przytrafił innej dziewczynie stowarzyszonej w Róży, również we Francji i był również potwierdzony przez uczonych doktorów.

Szła dziewczyna łąką, w samo południe i patrzała prosto w słońce. Uszła spory kawał, w tem czuje, że cudowna siła zatrzymuje ją w miejscu. Kroku naprzód uczynić nie może. Stanęła więc i opuściła wzrok ku łące i widzi, że wszystkie trawki skaczą ku niebu, prościusienko i każda trawka powiada... „Bóg idzie, niesiony na ręku Najświętszej panienski“... Nie wie dziewczyna, co to znaczy, aż czuje, że cudowna siła ugina jej kolana, a za chwilę widzi w oczach wielką światłość przechodzącą ponad jej głową. Dziewczyna struchlała, bo posłyszała wielkie bicie we dzwony niebieskie i padła zemdlona na ziemię i tak przeleżała do wieczora.

— Gdzieżeście słyszeli o tym cudzie? — zapytał Łącki.

— Opowiadała mi jedna świątobliwa i Jezuska kochająca kobieta.

— No.. sądziłem, że ksiądz.

— Ale księża co roku o cudach czytają.

— Ten wasz nowy cud, to jeszcze prostsza historia, to porażenie słoneczne — wrzasnął Łącki.

— Kiej Pana Boga widziała, więc był cud.

Przeto nastąpił nowy nawał teologicznej dysputy, Łącki podał definicję cudu, Malcowa podała swoją, niewiadomo z której się Święci w niebie natrzęsali... Łącki był wreszcie iem wszystkim wyczerpany, stracił dalszą ochotę do uczonej dysertacji, lecz humoru nie stracił i po godzinnej jeszcze rozmowie pożegnał wesołą, tajemniczo uśmiechającą się Malcowa.

Rzucił się do listu Stefki, wchłonął treść, jak spragniony wodę. Stefka donosiła, że jest bardzo niepokojną — jeżeli tylko możesz, przybądź jak najprędzej do Krakowa, abym ci w oczy popatrzyła i wyświadała się z bardzo wielu myśli i przeczuć. Ja tu już dla Ciebie wszystkich i świata zapomniała, Tobą żyję i za Ciebie się modłę i Tobie wszystkie najlepsze godziny ofiarowuję... ale myśl, żeś samotny. bez ogniska domowego, które jest największym skarbem i szczęściem człowieka, żeś otoczony wrogami... niepokojem mię przepęlnia.. Następnie nowe chmury w sercu mi się gromadzą i o tych chciałabym Ci najrychlej, osobiście powiedzieć... biedny żołnierzu, przeznaczony do walki przeciw wyrodnym... Wiem już.. niepokoję się tem.. wawrzynów nie osiągniesz.. może potomność oceni twą działalność wdzięczniej... ale modłę się do Boga, aby Ci ciężki żywot opromienił nadzieją lepszej przyszłości... Cześć Ci żołnierzu Ty mój.. wodzu Ty mój.. przybywaj. .

Łącki list przytulił do piersi.. łkał, jak dziecko i jak niezmiernie szczęśliwy człowiek...

XVIII.

Mars zawitał do miasteczka. Zjednoczone siły starosty i kanonika nie wystarczyły. Ustąpiono odwiecznemu zwyczajowi, którym gardzi i tchórz i rycerz, a mimo to poddaje mu się. Za Marsem przybyło dwóch lekarzy. Stara szopa u końca ogrodu aptekarza miała napić się krwi jednego z zapaśników. Miasteczko dygotało trwogą, publiczna tajemnica wisiała jaskrawo jak błysk łuny, powodując drżenie w piersi, twarze powlekając piętmem przełęku Panie i kobiety, a są to dwie odmienne rasy — modliły się, a ktoby zliczył, na czyją stronę przechylają się pobożne intencje, ze zdumieniem by się dowiedział, że Łącki zbudził serdeczniejsze współczucie, niż adwokat o czerwonym nosie. Któż zbada serca kobiet? Pani Flora omdlewała z nadmiaru czarnych przeczuć.

— Ach... byle mu twarzyczki nie oszpecono... pół ręki byłoby lepiej, niż uszczknąć tej smętej twarzy z rozmarzonymi oczyma lwa i amora — szeptała pani Flora, zapłakując się z cicha.

Tyle na Rzekim jako sekundancie wymogła, że po skończonym pojedynku, w razie, gdyby „twarzyczce” nic się nie stało, wywiesi białą chorągiew. Rzecki wyjaśnił, że może wywiesić tylko chustkę do nosa i uczynić to przyrzekł.

Wsparta o ramę okna starannie uczesana i ubrana, wyglądała niby zadąsana zalotnica, tymczasem czuła, iż ból drze serce w strzępy i krew wypija.

Kalwakata osób należących do rozprawy zniknęła już w szopie, pani Flora czekała, czy pojawi się biała chorągiew.

Czas biegł w nieskończoność, poranne słońce gorzące wprost nad szopą, raziło wzrok kobiety utkwiony nieruchomo, toż w czasie oczekiwania szopa zamieniła się w kształt ziejącego smoka i była groźną, jak czarny potwór. W chwili tej pani Flora uczuła się nieszczęśliwą i łaknęła obronnej ręki dla człowieka zajmującego w jej duszy wszystko. A gdy czas się kończyć nie chciał, pani Flora truchlała coraz gwałtowniej, przyciskała się do zimnej szyby i wreszcie pożałowała nie tylko twarzy Iwa i amora, ale jakiegokolwiek cząsteczki jego ciała. Nakoniec straciła panowanie nad sobą i poczęła wymawiać bezładnie: „mój.. mój.. nie daj się ruszyć... kochanku... jam twoja... mój przepiękny...”

W tem jak chmura białego puchu stanęło jej przed oczyma widmo białej chorągwi. Rzecki wywiesił chustkę do nosa! Pani Flora zatoczyła się od okna i padła na kanapę.

— Zwycięstwo... — szeptała i chciała biedz i oglądać go.

W tem wszedł Klepacki i rzekł:

— Obaj ranni, mecenas w czaszkę, doktor w ramię.

Pani Flora takich ran się nie lękała, obojętnem jej było, ile ramienia ubyło doktorowi, więc niemal z radością przyjęła wiadomość. Klepacki zaś spojrzął na nią z wyrzutem, pani Flora wyrzut ten zrozumiała i wspomniła niedawne oczekiwanie pełne wstrząsów, więc żał się jej uczynił ramienia, wreszcie uległa rozdrażnieniu i głośno zapłakała.

Klepacki w milczeniu stał i kręcił głową, przyszło mu bowiem na myśl, co ludzie gadali o stosunku jej z doktorem. Widząc tży pani Flory, poznał, że ludzie gadali prawdę. Gdy się już z tem pogodził, wyrzekł:

— Doktorzy szyją rany.

— I jemu? — zapytała przez tży.

Klepacki lubił niewinne żarty, więc pytał:

— Niby komu?... Mecenasowi?..

— Panu! — z grymasem odpowiedziała pani Flora, a kiedy Klepacki nie wiedział, czem ma się odgryźć, pani Flora jak gazela ruszyła z pokoju prosto do szopy, chwytając po drodze szal koronkowy.

Do szopy wniosła ożywienie, bowiem obaj zapaśnicy stracili krwi sporo i siedzieli jak pergaminowe mumie na ławkach, wsparci o ściany, nadmiar zmarznięci.

Aptekarz rozdzielał koniaki i nie zważał na żonę, ale wszyscy, nie wyłączając mecenasa, zwrócili uwagę na niezwykle pieśczośliwe zachowanie się pani Flory względem rannego Łackiego.

Łacki nie miał siły się wymawiać, a pani Flora prawie ukłękła przy nim i podtrzymywała go, mówiąc do niego wyrazami pełnymi słodyczy.

Obecni mieli tedy nowy dokument niecodziennej poufałości tej pary, a mecenas krzywił się i okazywał wybitne niezadowolenie. Obecni podobnie jak Klepacki nabrali niezbitego przekonania, że jest prawdą, co ludzie gadają, mecenas w niedokrewnym mózgu uczuł jad zazdrości, gryzący go, jakby mu węgli jarzących do mózgu nasypano.

Ale koniaki rozwiązały powściągniętą na czas pojedynku wesołość i kiedy się przeniesiono do mieszkania

na śniadanie, zastawione przez gospodarstwo, wybawiono się wysmieniem, wypito kilka dalszych butelek koniaku i nie zważano bynajmniej na panią Florę, która swobodna oddała się cała na usługi Łackiego, siedzącego spokojnie z powodu nałożonego olbrzymiego opatrunku wyżej łokcia.

Mecenas z owiazaną głową widział to i miał sposobność stwierdzenia, iż wbrew przewidywaniom, pani Flora rozkochała się w nadobnym doktorze.

To go poczęło dusić jak splot węża, oddech miał gorący, a serce stawać chciało z nadmiaru głuchej rozpaczy, zrodzonej z zazdrości. Zazdrość dlatego jest tak gorzką, ponieważ powstaje z zawodu rzeczy bardzo słodkich, do których Mączka jako kawaler miał bardzo wiele pociągu i nadziei splatających się z panią Florą. Dziś osłabiony upływem krwi, pogodzony z doktorem tylko dla formy, zgnieciony zazdrością i wypływającą stąd nienawiścią, tem łacniej poddał się otchłannym myślom zdławienia młodego człowieka nie tylko w imię polityki, ale także w imię utraconych nadziei do kobiety. Rozgorączkowany fizycznie i moralnie, plan usiłowania Łackiego nazwał dziecinne poświęcaniem spodziewanych rozkoszy, nazwał siebie głupcem i plan głupim, albowiem rozkochana kobieta stanie się łupem doktora i umocni stanowisko intruza swym piekielnym sprytem.

Z tego powodu Mączka stał się nieznośnym sobie samemu i towarzystwu, męczył się i poczynał majaczyć, w rozhulanej fantazji widząc Łackiego obwieszzonego złotem, przechadzającego się z Florą pod błękitnem niebem, nad morzem, w cieniu palm i kwitnących kamelji,

siebie zaś noszącego wodę żydom po deszczu, pośród śmierdzącego błota na rynku.

Gdy nagle powstał i prawie się ugiął pod ciężarem brzemienia i jał wykrzykiwać bez sensu, przewieziono go do domu. Z tego zamierzał skorzystać i Łącki, ale pani go nie puściła, tylko kazała wszystkim powrócić i później odprowadzić. Skutkiem tego ona i Łącki pozostali sami.

On trzymał się dzielnie, chociaż rana płytką nie była. Spokojne jego sumienie nie dało powodów do rozdrażnień, toż zachował pełnię przytomności, nawet zamierzał pójść do pewnego chorego. Ale pani Flora, mimo gorące zaprosiny tak nie często goszcząca u siebie swego rycerza, objęła go rękoma, posadziła we fotelu i usiadła obok, nachylona ku niemu. Byli sami. Tę chwilę postanowiła wykorzystać i porwać młodego lwa na uciechę żądnych nerwów i na swój tryumf kobiety, której nikt się nie oprze. Mówiła do niego, kładąc rękę na oparciu fotelu:

— Pan nie powinien się żenić...

Milczenie Łąckiego, którem po większej części pani Florze odpowiadał, wydawało się uległością i godzeniem się na wszystko, albo też wpływem jej czarów.

— Ludzie rzucają się ochotnie w paszczę małżeństwa. Małżeństwo jednak jest zwycięstwem bierności, a zagładą wielkiego ducha. Ludzie ponad przeciętną miarę stają się ofiarami małżeństwa i w niem gasną. Pan jest wielkim apostołem nowego ducha, jak wróżka wszystko-wiedząca, ostrzegam pana — gdybyś pan nie posłuchał, dziś mogę na pańskim życiu położyć czarną pieczęć i rzucić pana w tłum.

— Ależ ja chcę być w tłumie i z tłumem — odparł Łącki.

— Nie. Choćbyś chciał, jako wolny, wybijasz się ponad szczyty, jak sokół. Wszyscy o tobie mówią, o pana kości rzucają, swem pojawieniem się działasz na wszystkich. Jesteś i będziesz apostołem... jeżeli pozostaniesz wolnym..

— Dość na świecie apostołów, zamało prostych ludzi. Będę prostym człowiekiem i będę bardzo kochać wszystkich i swoją wybraną..

— Wybraną?

— Tak.

-- Na którą to padł promień szczęścia?..

— Może niebawem przywiozę ją sobie z Krakowa

— Z Krakowa... pewnie piękniejsza, niż ja.

— Proszę pani, kobiet porównywać nie można.

— Więc pan się żeni dla zasady?

— Nie.. bardzo kocham.

— Jedno z drugim niema żadnej spójności. Cemu mówisz pan tak pospolicie?

— Głzyż pospolitym jestem człowiekiem.

— Poco pan mówi to, w co sam nie wierzy. Pan jesteś powołanym do wielkich rzeczy, jako Polka... zabraniam małżeństwa panu, a jeśli nie usłuchasz pogrzebiesz się, lub utoniesz!

— Dlaczego? — zapytał Łącki poruszony istotnie tą niepospolitą zręcznością kobiety. — Dlaczego? Dlaczego?..

Pani Flora poczęła się śmiać głośno i ręce składać przed Łąckim, który poglądał na piękną opiekunkę, doznając zawrotu i odurzenia.

— Siedmioro dzieci, uganiatyka za groszem, zaciekle walka tych, którym się pan nie podoba, nędza w domu, walka o byt rujnująca wszystkie siły, zdenerwowanie i marna śmierć...

— Dlaczego siedmioro dzieci?

— Cha... cha... cha... może dziewięcioro, a choćby troje. Pisk głodnych robaczek skrobie po sercu, a tu radcy i kanoniki czynią to samo, co we Wisłoku. Gryzą i wygryzą, posady odmówią, reputację zepsują, nędzarzem uczynią. Wtedy się pójdzie za chlebem, nie za ojczyzną ..

Łąckiemu wspomniało się nagle to, co dzisiejszy przeciwnik ongi na biału powiedział i co mu chłopci rozpowiadali. Obecnie ona rozwija tę samą czarną wstęgę i życie ze Stefką wiąże nędzą, w końcu śmiercią.

Zimny dreszcz przeszedł po nim. Istnieją stany duszy podobne do zjawienia się światła z po za gęstych chmur. Pogróżki mecenasa i obawy chłopskich filozofów, których tak się przeląkł, zaciekleść Chrzana, i odpowiednio żałobne Flory urodziły w jego duszy wyraźne pojęcie, że społeczeństwo z lekkim sercem pchnąć może w przepaść człowieka nastającego na pięty.

Może mu się widziało, że leci w otchłań, u brzegu której wyje tłum kanoników, starostów, szlachciców, jakoteż pijanych karjerowiczów ryczących pieśń zwycięstwa... może ujrzał się wiecznym tułaczem prowadzącym za rękę Stefkę śmiertelnie znużoną, wlokącą ostatkiem sił nędzny szkielet dawnej wiosnianej piękności... może słyszał jęk dzieci bezsilnych z głodu, idących za jego trumną... zesiniał, wykrzywił się i szarpnął całym ciałem. Wtem uchwycił się za zranione ramię i zgrzytnął zębami.

— Jestem chory, a pani mi to mówi — rzekł z nadzwyczajnem pośpiechem.

A pani Flora wyciągnęła ku niemu obie białe, małe rączki.

— Przebacz pan — powiedziała harmonijnym głosem. — Wiem, iż mówię w chwili, w której raczej pieścić, niż trwożyć należy. Lecz to pana wina. Nie chcesz sposobności, choć jest jej tyle, nie chcesz korzystać z mej wolności, chociaż mam męża, nie chcesz mi oddać godziny życia... kiedyż mam ci powiedzieć i ostrzedz i wybawić od niechybnego skonania przy ognisku rodzinnem? Ani Helena, ani Stefka, ani żadne śluby i kajdany. Kto chce uwolnić, sam musi być wolnym! Kochaj tyle kobiet, wiele ich zdołasz strawić, ale przysięgą i prawem się nie wiąż, bo ci... nie wolno oręża złamać dla kołyski..

Młody marzyciel przywalony rozumnymi wywodami zalotnej czarodziejki, siedział jak przykuty, odwrócił głowę od niej, ale zda się żelazne słowa rył na kartach pamięci.

— Jesteś pan ubogim, bez majątku — prawiała pani Flora.

— Ona zniesie wszystko — po chwili rzekł Łącki.

— Lecz pan tego nie zniesiesz, nie zgłuszysz sumienia nędza ukochanej kobiety, a nędzą zapłacisz jej za godzinę rozkoszy. Tego pan nie uczynisz, gdyż nadewszys'ko jesteś człowiekiem szlachetnym..

Człowiek tonący we wodnej otchłani czepia się fal, gdy czego innego uczepić się nie może i w pogoni za falą ginie. Przeciwno słowu bezlitośnej pani nie mógł Łącki znaleźć wyrazu. Cokolwiek na myśl mu przyszło, jako fala wbiło się wałem i szczyzło w otchłani.

Prawda silna, jak piorun, druzgotała wszystko, czemkolwiek chciałby się przeciw. Pani Flora wiedziała już, że wrażenie stało się błyskawicą w umyśle młodego rycerza, albo nawet pochodnią rozświecającą noc przyśności. Wszystkich środków postanowiła użyć, aby go przy sobie zatrzymać. Nadzieją rozkoszy ogarniając postać marzyciela i niepośledniego kochanka, zachwycała się skutecznością swego sposobu, a sposobów miała kilka, a każdy sposób dobrałby się do wnętrza duszy, i zostawiłby piętno: „tędy przeszła Flora z Wisłoka“. Nie myślała o tem, czy piętno będzie podobne do orkanu szalejącego po kwiecistym ogrodzie, czy podobne do śladów dzikiej hordy. Ona dążyła do celu poddanego jej przez adwokata, podsycanego do namiętności rozbudzonym gwałtownem uczuciem. Aby bezwzględnie dojść do celu, trzeba poznać wartość przeciwnika i doskonale rozpoznać jego cele. Temu wszystkiemu podołała pani Flora istic szatańskim sprytem, wiedziała, czem nakarmić ofiarę. Więc powtórzyła:

— Kto chce uwolnić naród, sam musi być wolnym!..

Łącki poznał był już trwogę, gdy mu zagrożono czarnym chlebem. Nieogarnione atoli poczucie trwogi wyjaśniła mu ta kobieta. Cokolwiek powiedziała, było prawdą, o której już mu sumienie mówiło, ale dotąd nieuchwytnie. Dziś usłyszał to, o czem się nie zapomina. I na tej wyspie jasnej prawdy stanąwszy, oglądał się dokoła, czy nie ujrzy gdzie ratunku, tymczasem widział dokoła otchłań i czuł swą bezradność.

— Czy godzi się bohaterowi narodowemu, by po trupie czynu szedł w gniazdo samolubnego szczęścia?
— szeptała pani Flora.

— Wszystko jest prawdą... Lecz nie znajdzie się Polak śmiały, któryby mi bronił pracy dla narodu. Dziś przez lud idzie się do powszechnego bytu. Innej drogi nikt nie wynalazł. Zmienię drogę, jeżeli mi kto nową i lepszą pokaże — wtem powstał Łącki natchniony ogromną siłą wiary.

— Nie lękam się strachów — rzekł poważnie. — W Polsce żyją tylko próżniaki, podłych zaś niema!

Pani Flora zagrała swobodnym śmiechem.

— Spytaj się pan Rzeckiego!..

— A! A! — wyjęknął.

— Rzecki zna te rzeczy. Nie jestem wszechwiedząca, dlatego kilka razy wyczerpująco rozmawialiśmy z nim o narodzie i o panu. Wiem teraz wszystko i jestem pewną, że pan doskonale wiesz o sobie jako buntowniku, burzycielu, masonie, że pan doskonale poznałeś tych, co kraj za czuby trzymają. Powiedz pan „nie“... wówczas kobieta pójdzie śpiewać o miłości i kwiaty plewić, was panów świata przy rozumie zostawił. Powiedz pan, że nie słyszałeś nigdy, aby narody swe geniusze na stosie paliły!

— Łącki stał się niewolnikiem strasznej prawdy.

Jak szynkarz, ucieszył się, gdy zobaczył naraz sporą garść podpitych ludzi, powracających od mecenasa po niego.

Stanowczo oparł się, aby go odprowadzono. Siły miał dość. Po wyjściu jednak doznał zawrotu głowy i trzymając się murów i miasteczkowych płotów, dobiegł do domu.

Nieco trzeźwiej myśląc około północy, po wypiciu szklanki czarnej kawy, wynalazł przecież sporą ilość ludzi, którzyby może do czynu byli niezdolni, ale swą

chudą biernością nie łamaliby sił żołnierzy narodowych. Wprawdzie ta ilość łaskawych Polaków, łaskawie zezwalających na odrodzenie, to szaraczki, albo ludzie bez władzy, ale tacy są! Gdy doprowadził rozmyślenia do tego wyniku, z nadmiaru wstrząsów, z powodu utraty krwi, z powodu pogromu osobistego szczęścia, a przynajmniej zalania jego tęczy... przestał cierpieć, a począł szydzić ze synów jednej matki i śmiać się z nich Usnął, powtarzając ze śmiechem: „Po'acy półgłówki... Śpiewają „jeszcze nie zginęła“ — a żyć nie chcą!.. Naród rozmiękczonej mózgow... naród ładu, pokoju i wyborów... Spić się można.. zgrać się można... byle nie pracować i nie burzyć śmierdzącego spokoju...“

Nazajutrz pojechał na dwa dni do Krakowa, na wezwanie Stefki.

Tymczasem Wisłok pracował. Stróż moralności i sługa Boży gościł u siebie Malcową, pełną uśmiechu, Bogu zapisaną różę. Malcowa przybyła we ważnym interesie. jak twierdziła, aby „wylać swe sumienie, zboleła od gadania heretyka“.

Kanonik Ziemia wezwał na pomoc św. Alojzego, swego patrona i sapiąc z oburzenia, wysłuchał opowieści Malcowej, jako, że doktor zaprzecza cudów, na księży gada i równa świętych ze zwierzętami.

W sposób dobitny, słowo po słowie, przysięgając się na siedm mieczów wbitych w serce Najświętszej Panny i na rany Boskie, szeroko opowiedziała, jakiego to ona cudu doznała, jak to doktor zaprzeczał rzeczy tak oczywistej. Bo jakże nie miało to być cudem, gdy krzyż od miesiąca idący przeszedł przez okno, przez nią, uzdrowił ją i wyszedł drugim oknem. Trzebaby być

antychrystem i „socjalnistą“, aby nie wierzyć w to, czego ona na własnem ciele zaznała.

Ksiądz, a uczyniłby to niezawodnie ks. Zabuda, nie zbeształ baby, dewotki, nie zmył jej zgubnej fantazji i kandydaturę na wygodę wiecznego szczęścia — ale w najdrobniejsze szczegóły doniesienia się wgłębiając, rozesłał służbę po radcę i mecenasa.

Po niejakiem czasie zjawił się więcej ożywiony i już do sił przychodzący, ale obandażowany mecenas, później radca.

I przed tym trybunałem musiała Malcowa raz jeszcze szczegółowo rzecz przedstawić, a czego nie dopowiedziała, kanonik zwracał na to uwagę. Mecenas śmiał się, radca zadowolony pomrukiwał.

Gdy już nie ulegało wątpliwości, że doktor występuje nie tylko przeciw klerowi, ale przeciwko fundamentom wiary, odprawiono Malcową z obietnicą, iż na pocieszenie jej zbolątego sumienia, odprawi się szczególną mszę świętą, a zabrano się do rady przy butelkach wytrawnego wina.

Kanonik był istotnie rozgorączony i truchłał, wspominając ustawicznie, iż obecna filozofia klerowi nogi podcina, że jedyną radą zgwałcić tę filozofię i tych półmędrków. Lęk o utratę wpływu i ostudzenia gorąca religijnego pędził go do energii. Chodząc szybko po pokoju, w wymownych słowach przedstawiał stanowisko kościoła wobec intryg i napaści Łąckiego, nakoniec zupełnie szczerze zawyrokował:

— On albo ja!..

Radca i mecenas oddawna byli zdania tego samego, zupełnie więc jawnie poczęto się zastanawiać nad skutecznem wyrzuceniem Łąckiego z miasteczka. Atoli

dotąd wszystko było bezradne. Chorych mu się nie odbierze, bo szelma skacze koło nich dla marnego grosza; chociaż część mu się odbierze, większość nie pojedzie o kilka mil po lekarza, gdy ma na miejscu lekarza sprytnego i schlebiającego chorym.

Mecenas Mączka twierdził:

— Mój plan zbabienia go nie powiódł się zupełnie. Pani Flora zamiast go zbałamucić, dała się zbałamucić. Ktoby się spodziewał po tej jaszczurczo zimnej kokocie, że da się złapać na miłość. Ha..

— Ma może z nim bliskie stosunki? — zapytał ks. Ziemia, który znał tylko wóz albo przewóz, był bowiem naturą grubą i myślącą, jak despota.

— To nie. Lecz zgoła się plan nie powiódł — odparł Mączka.

— Więc nie mówmy o tym grzechu — krzywiąc się, wycedził radca.

— Tak jest, nie mówmy — szybko podchwycił kanonik. Ależ na rany Boskie, radzcie panowie, co czynić? Zrezygnuję z parafji, ucieknę za góry i morza, bo nie usiedzę z tym sąsiadem. Na ztratę powierzonych mi owieczek nie mogę patrzeć! Nie mogę i nie będę patrzył! Albo, albo — on, albo ja!...

A radca wywodził:

— Młodzi za nim, rejent za nim, panie za nim, a panie wziął na byłe narzeczeństwo ze Skarską, wiadomo, pstre ciągnie do pstrego, u kobiet ten zuch, kto ma awantury miłosne. — Szatan wiedział, iż przez Ewę trafi do Adama.

— Radzcie, radzcie, radzcie! — krzyczał kanonik. Mecenas tymczasem pochylił głowę.

— Jest to smutnym objawem, iż naszą inteligencję trzeba więcej pilnować, niż chłopa — mówił kanonik — Wiarę rzucić jak rękawiczkę, czynić eksperymenta na wątpliwej wartości zasadach, to tak, jak zjeść chleba z masłem. Zawsze mówię, że oświata przesiana przez rzeszoto ma być podawaną Uniwersytety to rozsądnik niewiary. To bardzo bolesne, iż mię cała nasza inteligencja zdradziła i opuściła!... Boże święty!...

— Djabła opuściła... Niechże kanonik nie przesadza. Inteligencja zachowuje się obojętnie — wtrącił mecenas.

— To nie obojętność — odparł radca. — Kto wie, mając dwie osoby do wyboru, czyby nie wybrała doktora. Materjalizm! Trzeba grzeszne ciało pieścić, na księdza liczyć nie można, Bóg wysoko.

— Więc ratujcie! Mecenasie! — wołał kanonik.

Mecenasowi twarz się rozjaśniła. Milczał tak wymownie, że radca i kanonik naraz się uspokoili i z zartym oddechem oczekiwali zbawczych słów adwokata. Mecenas po chwili wyrzekł z naciskiem:

— Pomocy i ratunku trzeba szukać u wiernych i zdecydowanych obrońców kościoła.

Gdzież są?! — krzyknął kanonik.

— Między tymi, którzy jeszcze kościoła nie zdradzili.

— Wszyscy już zdradzili i zdradzają! — wołał kanonik.

— Chyba przypadkiem, bezmyślnie. Ratunek znajdziemy w nizinach ludzkości, pośród prostaczków, którzy pierwsi przyjęli Boga — Człowieka...

— U chłopów?

— U kłyków!

— Gadaj, gadaj mecenasie! — po chwili milczenia odezwał się kanonik. Mecenas powstał, poprawił bandaż i odkrząknąwszy, rzekł:

— Wiadome nam są zamiary starosty. Posady miejskiej doktora nie zatwierdzi, nie pozwoli mu sprawować nadzoru targowego, przez co gminę narazi na wydatek kilkuset koron dla weterynarza. Starosta wyraźnie oświadczył, iż musi gminę ukarać z powodu pominięcia jego opinii przy wyborze lekarza miejskiego. Wiadomo, że kłykom stratą kilkuset koron można zabić klina w głowę. Drugi klin podała nam ta cudowna czarnooka niewiasta. Rozsadzimy pałkę kłykom, jak mnie Łącki rozsadził. W obronie wydatków gminy i wiary, jak jeden mąż rzucą się radni, posadę mu odbiorą i uczynią takie piekło, że nie wątpię, iż doktor penaty przeniesie za dziesiątą górę. Agitacja zaufanych praktykę obetnie mu w dalszym ciągu, inteligencja do powszechnej nienawiści doda tylko tyle, że radca jako naczelnik sądu stwierdzi brak zaufania do Łąckiego i nie będzie przyjmował jego opisów sądowo lekarskich. Wielce pomocną przy tem wszystkim będzie tu pani burmistrzowa, srodze zawiedziona w swych nadziejach ożenienia doktora z panną Kazią, afera ta wisząca na włosku, w niedalekiej przyszłości wykaże całą energję tej tygrysy!

Skończył i nalawszy kieliszek wina, wychylił go do dna. Radca począł rozważać, kanonik ustawicznie chodził po pokoju i miął w palcach cygaro. Nagle radca począł się śmiać.

— Burmistrzowa! Pyszne. Postanowiła go ożenić, czy chce, czy nie chce.

— To dobre! — żywo dorzucił kanonik.

— Burmistrzowa! Mamy burmistrza — zadowolony rzekł radca.

— Wszak pokumał się z doktorem — zauważył kanonik.

— Że też kanonik nie poznał się na farbowanych lisach. To dla córeczki — powiedział radca. — Lecz Malcowa najlepsza.

— To dobre! Bardzo dobrze! Malcową zaprowadzimy przed radę jako świadka! — porywczo rzekł kanonik.

Mecenas zaś powstał i uderzył ręką w stół, mówiąc:

— Jeżeli wam się to jeszcze nie podoba, to piszcie do mnie na Berdyczów.

Tu kanonik podbiegł do mecenasa, porwał go w objęcia, ku sobie pociągnął i rzekł:

— Bóg zapłać! Bóg to panu nagrodzi, a ja nie wiem, jak się wywdzięczę.

Mecenas spoglądał na radcę, dającego znaki, że rozumiał.

— Nic w sądzie nie czynić bez adwokata — rzekł, głos zniżając.

— To się wie, to się rozumie...

Wszyscy trzej czuli w sobie ogień zbawczy, przede wszystkim kanonik, którego dewizą „wycinać wrzody“, chociażby się tam kawałek żywego ciała wycięło, a wrzodu zgoła nie było!

W następny dzień przybył do kanonika Chrzan z wiadomościami podobnymi do wiadomości Malcowej.

„Chrzan pójdzie na radę gminną jako świadek“ przebąkiwał sobie kanonik i dziękował Panu Bogu..

XIX.

Stefka z rozkoszą witała listy narzeczonego, niosące jej szczęsne wieści co drugi dzień.

Czytywała na osobności, wybierając w tym celu godziny ciszy i samotności. W domu rodzicielskim miłość dziewczęcia otaczano niezmiernym szacunkiem, pytano jedynie, czy czuje się szczęśliwą, a gdy ona z lubym uśmiechem skinęła główką, rodzice przepelniali się jej szczęściem i dziękowali Bogu, że Stefka znalazła tak sympatycznego i uczciwego człowieka.

W dniach swej miłości myślała jedynie o narzeczonym i swych obowiązkach. Wszystko inne dla niej nie istniało, a umysł jej był tak ustawicznie spracowany, iż często stawała się roztrzepaną...

Panna Julja wyśmiewała się z niej, mówiąc „kochaj się jak student, tylko patrzeć, kiedy zaczniesz pisać wiersze“... sędzia ze Stefką się droczył, twierdząc, iż kiedy matka w nim się zakochała, była wesołą i śmiała się z uciechy, trafiając na tak pięknego sędziego. Jednakże, gdy ktokolwiek z przyjaciół powiedział coś surowego o miłości Stefki, sędzia jak żbik skakał do oczu krytyka i krzyczał, że podobnie szlachetnej miłości nigdy dotąd nie widział i życzył całemu światu, by tak umiał kochać, jak Stefka.

Nie pytając Stefki o zwierzenia, nie chcąc swą starą łapą dotykać skrzących się promieni młodego serca, siadywał tak, aby mieć Stefkę na widoku i sycił się czarem rozkochanej córki, wspominał dawne czasy i nie pozwalał nikomu zbyt przerywać jej snów, marzeń i śpiewanych w piersi pieśni.

Że Stefkę głębokie i niecodzienne myśli nawiedzały, nie miał o tem pojęcia.

Kiedy w dzień przed przyjazdem Romana na jego zamówienie przyniesiono Stefce kosz wiosennych kwiatów, sędzia począł z radości tańczyć z koszem po pokoju i niewidzialnie dla innych łkając miłością dla dziecka, w każdym kwiecie widział wesele i szczęście córki. Na tym tańcu jednakże wyszedł sędzia niedobrze, lecz z losem musiał się pogodzić. Mianowicie, gdy kręcił się w miejscu, kosz kwiatów w ręku trzymając, gałązka hjacentu zaplątała się w łańcuszek od zegarka i przy obracaniu koszem została na brzuszku sędziego. Sędzina to zobaczyła, narobiła wrzawy, kosz odebrała i dała sędziemu sążnistego klapsa, mówiąc, że niedźwiedzim kwiatów do rąk się nie daje.

Sędzia strapiony wypadkiem, oświadczył, iż gałązkę hjacentu zachowuje dla siebie, jako część ojcu należną i chodził koło kwiatów ostrożnie, ciesząc się nimi z daleka.

Stefka natomiast zachowała się inaczej. W pierwszej chwili, kiedy woń nasyciła powietrze, stała wpatrzona, nieporuszona, a nad kwieciami uczuła unoszącego się ducha najbliższego i najdroższego. Atoli wkrótce odeszła i na kwiaty patrzeć nie chciała, odwracała od nich główkę.

Sędzia zauważył to niepojęte zachowanie się córki i nie chcąc wprost pytać, począł łamać sobie głowę, aby odgadnąć powody obojętności Stefki.

Po obiedzie usiadł w kącie, skąd było widać kwiaty i myśląc o powściągliwości córki, doszedł do smutnych wniosków, iż może Stefka jest wymagającą, kapryśną, chociaż dotąd nigdy tego nie okazywała, iż możeby na-

leżało ją objaśnić, względnie wywiedzieć się, czy do małżeństwa nie przywiązuje jakichś przesadnych materialnych nadziei i zbytków, na które ludzie pracujący nie często mogą sobie pozwolić.

Zaniepokojony poszedł do biura, wróciwszy do domu, postanowił zaraz po podwieczorku wziąć dziewczynę na ostrą spowiedź.

Stefka powróciła była ze swych lekcji znacznie wcześniej, niż ojciec. Młodsze siostry były jeszcze w szkole, matka wyszła do przyjaciółki, więc Stefka zastała w domu ciszę, to jest swoją godzinę.

Pobiegła bez szelestu do saloniku i stanęła przed kwiatami. W chwili tej była zupełnie inną. Poważna jej zwykle twarzyczka mieniła się barwami róż, turkusowe oczy jak niebo wiosenne, śmiały i skrzyły się ogniem słońca gorejącego nawprost okna. Włosy okalające czoło w splotach upstrzyły się w świetlane rozbłyski i kąpiąc się w połodze promieni, rozsiały tych rozbłysków djadem i koronę dokoła głowy. Liljowe cienie nadały rysom przejrzystości i kwiecianego wdzięku. Nachylona nad koszem wyglądała, jak królowa kwiatów. Marzycielska dusza szeptała, że w tem królestwie jest jej błogo i dobrze

Pochylała swą główkę coraz bardziej i bardziej, aż ustami dotknęła kwiatu. Wówczas ozwała się w niej rzewność wielkiej miłości, wyciągnęła obie rączki, żeby objąć kwiaty i nie dotykając je rękoma, trzymała je przy sobie... Poczęła całować, całować, całować, lekko, bez dźwięku, składając koralowe usta do kwiatu. A gdy się zdawało, że kwiaty odpowiedziały równą miłością, przestała całować, wtedy promień słońca sperlil dwie łzy, które płynęły z turkusowych oczu.

Poczem odstąpiła, jakoby wolą sobie rozkazując, bo to się odzwierciadliło na twarzy znów spokojnej, cichej i poważnej.

Wtedy wszedł sędzia.

— Dziecinka przy kwiatkach — rzekł, całując ją w czoło.

— Tak, tatusiu.

— Chciało się po południu uczyć sztubaki? — zapytał.

— Niebardzo. Sztubaki zostaną na później, obecnie mam ważniejsze sprawy.

— Sztubaki zostaną na później? — zadziwiony pytał sędzia.

— Nigdy ich nie braknie.

Sędzia ugryzł się w język, aby nie powiedzieć żartu, jak to mówią, nieprzyzwoitego...

Po podwieczorku wziął Stefkę pod rękę i zaprowadził do saloniku i usiadł z nią razem.

— Stefuniu, chciałbym cię o coś zapytać, a ty mi musisz wszystko powiedzieć. Nie wstydź się, nie lekaj się mego zrzędzenia lub niezgody. W życiu tyle się dziwów widziało, że niczemu nie będę się dziwił, ani wyśmiewał. Bądź tego pewną.

— Na wszystko tatusiowi otwarcie odpowiem — rzekła dziewczyna.

— Jesteś ty szczęśliwą?

— Ach! Bardzo... wiem, co znaczy szczęście...

— Dlaczego pod wpływem uczucia tak nagle spoważniałaś?

— Bo muszę bardzo wiele myśleć ze względu na wyjątkowe stanowisko Romana. Chcę się jemu godną okazać, a to może sprawić wiele nieporozumienia.

— To ci zagadka! — wesoło powiedział ojciec.

— To nie typowe i nie popularne, lecz to nie zagadka.

— To, że chcesz się jemu godną okazać, może wywołać nieporozumienia?.. Wszak to zagadka. A zresztą uczynię ci uwagę, że nie jest wykluczone, abyś ty była od Romana godniejszą. Pamiętaj dziecinko, że osoba skromność twoja nie może nigdy bruździć, owszem chlubnie pomagać, tymczasem słyszę, że to ma wywołać nieporozumienia. Córúchno.. mnie się zdaje, że tyś jeszcze nie zaznała szczęścia z miłości i nieco za wiele rozumem się rządysz, moja dziecinko.. ty nie jesteś prawdziwie szczęśliwą.

— Nie pożądam obecnie innego szczęścia. więc posiadam najważniejszy warunek zupełnego szczęścia, a mówię to, jak kocham Boga, rodzinę i mego ukochanego. —

Tu sędzia ucałował córkę w czoło i objawił swe uwagi, co do obojętnego przyjęcia podarunku od narzeczonego.

— Żem tego nie okazała powierzchownie, nie dowodzi bynajmniej obojętności proszę tatusia — odparła Stefka. — Przyznam się, że gdy biedakowi chcieliby we Wisłoku znać życie, utracić go, nie powinien czynić niepotrzebnych wydatków, bez których się obejdę. Wolalby to schować na czarną godzinę.

— Jaka mi gosposia..: jaka gosposia powtarzał rozpromieniony ojciec.

— Lecz sam fakt podarunku dał mi chwilę szczęścia, którego byście może ocenić nie zdołali. Szczęście mieszka w sercu, na twarzy tylko może się odbić wesele. A szczęście może się obyć bez wesela.

— Mówisz rozsądnie, dziecinko. Ale wyznam ci, iż to mię nie cieszy. W twoim wieku, w twojem zdrowiu, w tych warunkach, mówić o szczęściu jak filozof? Nie spodziewałem się, że mi tak powiesz. Dla ciebie, podobnie jak dla wszystkich narzeczonych, szczęście równa się weselu, chyba, gdy narzeczony w wyjątkowem położeniu, naprzykład na wojnie, albo w kopalniach Sybiru, jak to bywało. Ale między wami?..

Więc począł ojciec córkę badać, czy czego niezdrowego nie nałykała się gdzieś między ludźmi, czy nie ma dziwacznych pragnień i wyobrażeń, przede wszystkim próżności żądnych lub zbyt materialnych. Stefka jasno odpowiadała, ojciec przekonał się, że Stefka jest dojrzałą, niema złudzeń ani kaprysów. Więc urósł ojciec w dumę i zadowolony był z dziecka, ale zapytał:

— To mi tem mniej tłumaczy, dlaczego przy twem szczęściu niema wesela?

Tu Stefka się zastanowiła i chciała odpowiedzieć bardzo wyraźnie. Ale zmieniła zamiar, mówiąc:

— Powiem tatusiowi wszystko, nie ukryję niczego, jednak po jego odjeździe. Dziś tylko zapytam, dlaczego świat lubi ułożyć sobie formułę, do której chce wszystko po tyrańsku nagiąć, a równocześnie zdoła laurem artystów, dlatego, iż tworzą wbrew formułom, każdy na swój sposób. To mi się wydaje dziwne i bezmyślne. Ludzie w swej formalności zaszli tak daleko, iż przypisali szczęściu formę, dziwiąc się nawet nie znaczącej nauczycielce, iż pragnie być szczęśliwą tak, jak tego żąda jej dusza...

— Filozof ze Stefuni. Dalipan filozof w sukience — swobodnie odparł sędzia. — Dziwisz się formułkom i formom między ludźmi. Ja się tymczasem nie dziwię.

Olbrzymia większość ludzi ma mózg przeciętny. Baczny prawodawca, społecznik, lub pasterz, ten fakt musi postawić na czele wszystkich ustaw i form i pojęć. Gdyby życie ludzkie nie dało się ująć we formy i szranki, świat byłby cyrkiem rozbojów, łajdactw i wiecznych zamieszek, z powodu, iż zwykle ograniczony i nierozwinięty mózg ludzki nie umiałby w tłumach panować rozsądkiem i umiarkowaniem. Dlatego rozmaite czynniki zdołały poprostu przykazać ludzkości, że tak a tak ma się rządzić, w to i owo wierzyć. Państwa i narody tego przestrzegają, ludzie czują, że im z tem dobrze, więc słuchają i w swym przeciętnym mózgu chowają przyjęte formułki i reguły, nie porywając się bynajmniej na dociekanie zwykle niezrozumiałych nowości. Mózg ludzki przeciętny jest do pewnego stopnia niedołączny, raczej niewymagający, zatem ustawiczna zmiana form i reguł i poglądów odbywa się prawem rozwoju ustawicznie ale przez lata i wieki. Przez czas ten nowy pogląd lub nowa forma zwolna ściele sobie gniazdo w mózgach tłumu i zyskuje wreszcie byt stały, wówczas mózg przeciętny nieświadomie myśli według przepisanej nowej formy, wiedząc, iż bez niej byłby bezradny, głupi, albo popadłby w anarchję. Stąd ilekroć razy mózg przeciętny zerwie się z jakąś nowością, to albo to jest zrozumiałe i liczy na osobiste zyski, albo też jest rozbojem. Dlatego Stefuniu, nie dziw się światu, iż żąda, abys odpowiedziała jego poglądom na szczęście zakochanej narzeczonej. Wyznam ci, iż mię kilka razy zapytywano, czy ty naprawdę kochasz.

Stefka uczyniła gest zdziwienia. Sędzia tłumaczył córce w dalszym ciągu:

— Z pod prawa tyrańskiej mocy pewnych form i poglądów wyłamać się mogą jedynie ludzie rozumni i tak zwani wyżsi po nad poziom. Ci ludzie wyjątkowi, ale zwyczajnie nie wszechstronnie, lecz wyjątkowi w pewnym zakresie mogą tworzyć własne formy i poglądy, ale pod warunkiem, iż nie czynią tego dla zabawy ani z brawury, ani też z niskich instynktów, tylko z potrzeby rozumu i uczuć, czyli idei.

Tacy ludzie są to geniusze.

Twój Roman może prochu nie wynajdzie.. Lecz co on rzecze o Polsce, zwłaszcza naszej części, wydaje mi się niezawodną formą do zbudowania potężnej ojczyzny. A patrz.. komitety ratunkowe zakładają rodacy, aby go dręczyć. Szydzą z niego.. Bo to prawda polska, ten twój Roman.. a patrz!

Stefka, która z gorączką słuchała wywodów ojca, rzuciła się mu na szyję i poczęła siarczyście całować.

— Zostaw to dla niego, Stefuniu, córucho moja kochana — bronił się rozczulony ojciec. — A powiem ci, co rzec można na uniewinnienie przeciętnych móżgów, chcących pożreć Romana. Uprawnionych do wyłamania się z pod przyjętych form jest niewielu. Beati possidentes, czyli ci, co się dochrapali dziś władzy nad Polską, sądzą drugich wedle siebie i sądzą, że taki Roman ma mózg przeciętny i sięgnie osobiście po ich władzę i zdusi ich dla zysku. Nie patrzą więc tedy, co on zacz i co myśli, jeno odrazu biją go jako tego, który w myśl mych rozumowań, nie ma prawa wyłamywania się z pod tyraństwa żyjących prawideł i pojęć. Lecz tu się błażnią imcipanowie, ponieważ Roman ma wszelkie prawa, sam prawy i skromny, jak prawdziwy ideolog.. on ma jasne prawo i jest wyjątkiem..

— Prawda, ma prawo i jest wyjątkiem! Prawda!

— Ale ty nie masz prawa kochania cudaczniej, niż przysłało nic nie znaczącej nauczycielce. Ty masz obowiązek być jemu w ciężkich terminach osłoda i szczęściem i wierzaj mi, on podziękuje ci za smutną buzię, gdy wróci do domu po borykaniu się, jak to on sam nazywa, w otchłani polskiej. Gdyby na mnie to padło, wyrzekłbym się takiej żony.

— Tatusiu! Bój się Boga, co też wyplatasz! Czy godzi się tak mię lekceważyć? O! W to wierzaj święcie, iż gdybym została jego żoną, obowiązków nauczy mię serce i będę mu wieczną wiosną.

— Gdybym?.. Mówisz gdybym...

— Wolę mówić, gdybym została jego żoną..

Do wieczery, po wieczery do nocy rozmawiał ojciec z córką, ostatecznie sędzia w duchu przyznał, że Stefunia ma coś na sercu, czego on zgoła nie rozumie.

Skoro się Łącki pojawił, Stefka rzuciła się mu na piersi i słów nie mając na powitanie człowieka, któremu oddała duszę raz i na wieki, patrzyła w oczy jak niezapominajka lub główkę tuliła do jego piersi i drżała.

On powitał ją tak samo.

Przerażono się bandażem na ramieniu, a gdy Łącki wyjaśnił przyczynę, Stefka poczęła się wypytywać, czy adwokat Mączka ma jakie wpływy i czy groźbę jego można uważać za miarodajną.

Łącki nie mógł zaprzeczyć, iż Mączka jest jego wrogiem i trzyma się partji polskiego gospodarstwa, więc lekceważyć go nie można.

Do wieczora oboje sobie oddani, przeżyli chwile upojen i wyznań, wieczorem poszli do teatru na Wyspiańskiego „Wyzwolenie“.

Łącki był niezmiernie ciekawy, co mu też powie ten okrzyczany polityk sceniczny. Stefka pod wpływem narzeczonego była ciekawą tak samo. To też z wytężeniem słuchali słów konradowych i na razie nic o sztuce nie mówili, wiedząc, że czas wielki na to mają, albowiem sztuka prawdopodobnie przejdzie i do potomności.

Po teatrze z rodzicami poszli do restauracji na kolację. I tam się Łącki rozgadał. Znak pochodni i zaprzeczenie, jakoby prochy ojczyzny mogły być drogowskazem nowego życia narodowego, zadowolilo go w zupełności. Ale rzekł:

— Estetą ani krytykiem literackim nie jestem. Jednak estetykę teatralną podzieliłbym na dwa działy, dział dla dramatu ogólnoludzkiego i dział narodowego dramatu. Poznać zawity i niejako zakryty obraz życia narodowego, wymaga szczególnej pilności, nawet ofiary, pieniędzy i czasu. Skoro więc w Galicji teatry mają wolność i są rzekomo narodowe, bo subwencjonowane przez sejm krajowy, winny raz w miesiąc ustanowić wieczór sztuki narodowej i tym sposobem przed oczy narodu przesunąć cały szereg dramatów narodowych dzisiejszej doby pisanych przez literatów o rozmaitych poglądach obyczajowych i psychicznych. Wieczory takie należy uwolnić od cenzury, od autorów winno się wymagać jedynie interesującego i scenicznego dramatu. pozostać zaś im wolność w podawaniu życia narodowego. Jestem zdania, iż tym sposobem wzmódz by można rozwój sztuki narodowej do dziś nieistniejącej, a rozwój prawdziwych uczuć narodowych posunąć do rozkwitu. We „Wyzwoleniu“ rozumowania dramatyczne w efektach, a nie w istocie dramatu, udają dramat narodowy. I o ten stan sztuki narodowej społecznej winię

polskie społeczeństwo. Polacy nie żądają sztuki narodowej, Polacy nie chcą siebie na scenie zobaczyć, Polacy nie lubią dramatów życia narodowego, Polacy śpią jako obywatele i konsumenci sztuki.

Gdy tak Łącki gadał, Stefka po pierwsze nie ochłonęła z kilku potężnych chwil wysłuchanej sztuki, po drugie nie chciało jej się już tracić ponęt miłości i wstąpić na pole poważnej rozmowy, więc schmurzyła się na narzeczonego. Mówiła mu już przez „ty“.

— Romku, pomówimy ze sobą i to bardzo poważnie, ale dziś jeszcze tego nie chcę.

— Ja także — odrzekł Roman. — Jutro pomówimy o czem innym, a dziś bądźmy weseli...

Roman spojrzawszy na Stefce prosto w oczy, lecz rażony wzrokiem, zapomniał, dlaczego się zdziwił jej słowami. Tymczasem sędzia zadumał się nad szklanką piwa i kojarzył rozliczne powiedzenia Stefki, przeczuwając, iż córuchna nawarzyła jakichś myśli niekoniecznie wesołych i ma o tem gadać z narzeczoną. Zasepił się troskliwy ojciec, przypomniał sobie obietnicę szczerości po odjeździe narzeczonego, a przeląkł się tej szczerości, stracił humor i już go dziś nie odzyskał.

A Stefka ciągnęła Romana w świat wrażeń. Pobudzona wyobraźnia, żądna nadzwyczajnych jakichś przelotów i uniesień, krępowana obecnością obcych a nawet rodziców, nie zdobywała potrzebnej sobie swobody, w słowach biegli oboje, gdzie ich fantazja zapędziła, lecz czuli, jak było im trudno wzlecieć w tem otoczeniu. Wielkie uczucia i wielkie miraży wymagają samotności. Więc Łącki rzekł:

— Dobrze nam tu, jako ludziskom i mieszczuchom, ale źle jako grymaśnym duszom. Co tu mamy? Piwo,

kotlety, gazowe światło i trochę ludzi.. A wiem, że to nie bawi zakochanych szaleńców. My chcemy szczytów sięgać, w stepach szukać granic, smoki powalać, grać na trąbie archanielskiej, siedzimy zaś niby zające pod miedzą.

Stefka wesoło klasnęła w rączki.

— Chce ci się spać? — pytał Łącki.

— Nie.

— A mamusi? A tatusiowi?

— Nie. Nie...

— Więc ja i Stefka pójdziemy w świat, a rodzice, albo tatuś musi się poświęcić i dla świata nas pilnować.

— A mnie odprowadźcie do domu — rzekła sędzina.

Stefce tak się plan Romana podobał, że zniewoliła rodziców do zgody. Sędzia z nieco łzawym uśmiechem kazał sobie podać kieliszek koniaku, bo Łącki się wyprosił. Wypił, mówiąc:

— Wy idźcie zwolna do domu, za chwilę was dopędzę, mam tu pogadać z jednym panem.

Czeredka trojga osób wyszła, a sędzia w tej chwili do bufetu. Podczas rozmowy zakochanych, gdy siedział pogrążony nad piwem, nieustannie myślał o córce i rósł w niedobrych przeczuciach, bo przypuszczał, iż Stefce ktoś coś nagadał i główkę jej napoił ekscentrycznością. Począł go więc gryść jakiś robak zły, więc nabrał dziwnej ochoty zalania go. Pijał niewiele, do zalania robaka trzeba mu było niewiele. przeto gdy dopadł bufetu, wypił dwa koniaki, jeden po drugim i nieco spokojniejszy i odważniejszy dopędził swoich opodal domu.

Noc marcowa była nocą nie zimną, nie ciepłą, ale nocą, w której człowiek modlący się do wiosny nie

zmarznie, a w wyobraźni widzi nowe szaty światła, chociaż w dzień to wszystko jeszcze rude, puste, zaspane, tylko kora drzew i czerwone pędy wierzbowe śmieją się do wschodzącego słońca...

I poszli przed siebie, tatusia zostawiając w tyle. Stefka powiedziała, że pierwszy raz poznaje czary nocy i dziwiła się, że ludzie radzą w nocy spać, nazywając włóczenie się po nocy grzechem. Tymczasem w noc rosna widziadła, a człowiek zostawiony sobie samemu, wolny od zgiełku dnia, ulega królestwu myśli. Przyznała zupełną słuszość narzeczonemu, zwolennikowi nocnych wędrówek.

Roman zwrócił jej uwagę, aby patrzyła na kościoły i stare mury. „W dzień pamiątki po ojcach są ruinami“ — mówił — „w nocy one żyją, gdyż duch dawnych wieków osiada na pleśnią obrosłych blankach i śpiewa o przeszłości.“

Idąc tedy, przenikali skąpe blaski nocy. Stefka wzięwszy Romana pod ramię, zlekka przyciskała się do niego i miała rozkoszną ułudę, że idzie z nim w dal, aby już nigdy nie powrócić.

— Uratowałem bramę Korczakowi i społeczeństwu — mówił, bo o tem sobie przypomniał. — Konserwator uczynił z nim ugodę, mocą której zajazd do pałacu wraz z nową bramą będzie w innem miejscu, a stara pamiątka pozostanie.

— Czy w istocie tak cenisz pamiątki? — pytała Stefka.

— Nie tylko cenię, ale uważam je jako sanctissimum narodowe, za żywe dzieje minionych lat, które obecność płacze z przeszłością w nierozzerwalne pasmo żywota. Człowiek nie szanujący pamiątek narodowych,

to człowiek nie kochający ojczyzny. Ci, co śpią w grobie, nie przypomną się i nie przekląną potomstwa za niepamięć, martwe księgi dziejów nie rozbudzą miłości, jeśli się nie spoglądnie na śpiącego rycerza wykutego w marmurze i nie pokłoni się za jego taniec z połańcami.

Kiedy dochodzili pod Wawel, sędzia zawołał, że pójdzie do szynku kupić sobie cygaro.

Biedny sędzia dręczony robakiem, wstydził się swych pupilów i poszedł po cygaro, chociaż miał ich kilka w kieszeni. W szynku garść pijaków grała w karty i kłóciła się o źle wyrachowaną wygraną, sędzia wstydził się pijaków, nasunął czapkę na oczy, i w braku lepszej, prostą wódką chciał zgłuszyć głosy złowróżbne i szum jakoby mroźnego wichru. Zakochanych zostawił pośród drzew.

Usiedli, trzymając się za ręce. Świątynia narodowych pamiątek wzrastała w potężnych zarysach na szarej oponie nocy, gwiazdy się mieniły, okalając wieżycę stawiane przez królów polskich. Majestat przeszłości wołał do nich nieśmiertelnem echem. Stefka oczarowana powtarzała: „aby to widzieć, można się dać skraść włóczęgom nocnym“, ale żartując, miała w duszy tyle wzniesłego nastroju, iż, jak psalmu, słuchała tajemnych głosów przeszłości.

— Jeśli Bóg da nam razem zbierać łzy naszej pracy — mówił Łącki — dla osłody i otuchy będziemy jeździli do Krakowa, aby przodków uprosić o siłę i wytrwanie. Bo wśród dzisiejszych Polaków nie warto żyć.

— Nie wolno ci tak mówić... — rzekła Stefka.

— W tobie niezawodnie znalazłbym osłodę, gdybym tak dalej orał tę nieszczęsną ziemię, ale ty, kto

wie, czybyś tyle wytrzymała w życiu, ile ja będę musiał wytrzymać. Znasz próby i wiesz, co cię czeka wzamian za służbę. Trzeba mieć stalowe serce i wiele krwi, aby krwią zalewać rozumy zatrute przez wrogów polskiego imienia. Stefka...

Stefka nie odpowiadała.

— Stefka! Błagaj śpiące tu bohaterki o siłę i wytrwanie!

Milczała.

— Smutniejszej, niż dzisiejsza, a równocześnie jaśniejszej godziny może w Polsce nie było. Część narodu do dziś prowadząca sztandar narodowy, starzejąc się, kona! Część narodu z fachów żyjąca, rozmnożyła się, ale pija truciznę obojętności, pija wódkę i gra w karty! Kawiarnianych i festynowych zbawców natomiast do wyboru, co jeden to lepszy i mądrzejszy. Choć ów zbawca wie, iż przykazano lud wskrzесиć, całując lud, całuje swoją wielkość, następnie dyma do szynku, albo dzieci huśta, aby wyrosły na dobrych urzędników zaborców. Prócz gwiazd nielicznych, wszystko dusi się i przewala w otchłań. Targają się nici nadziei, gdy spoglądamy z brzegu w otchłań. I owa gwiazda 3 maja i powstań bohaterskich snadnie skonać może. To jest epoka dzisiejszego dnia!.. Smutna, jak pieśń pogrzebowa, jak wichur późnej jesieni... Kiedy śpiewano... „wivat wszystkie stany“... Polska konała .. gdy ryczano... „z polską szlachtą polski lud“... nikt się nie ruszył! Aż lud przestał być niemowlęciem i rzekł: będzie Polska, aż wymrą mordercy ojczyzny, i głupich chamów zabraknie! Ta jasność i daleka zorza wschodzącego słońca i przedświt odrodzenia, każą wołać „jeszcze nie zginęła“.

a równocześnie brodzić w otchłani polskiej i zbierać plwania i słuchać pijanych wrzasków i liczyć sińce zadane obuchem dzisiejszej polskiej filozofji... dlatego trzeba prosić przodków o siłę, lud o wiarę w swe potężne ramiona ..

Stefka powstała i stała naprzeciw narodowej świątyni, coraz jaśniej okolonej gwiazdzistym niebem w miarę gaśnięcia lamp miejskich.

— Niestety, czuję, że to prawda — rzekła z cicha.

A Romanowi przypomniały się kamienne słowa pani Flory.

— Czy ty wiesz, iż nie mogę tać przed tobą ciężkich dni naszych? — rzekł Roman.

— Wiem i sama przed sobą nie taję i z tego powodu bardzo mi ciężko.

Tu poruszyło nim nagłe i bolesne rozrzewnienie.

Porwał Stefkę. ku sobie przygarnął i wycisnął pocałunek na gorących ustach.

— Czy mógłbym już iść bez ciebie?...

Stefka w tej chwili czuła to samo.

I opromieniła ją nieznaną przedtem moc. Głos sumienia i miłości powiedział jej, iż tylko ona będzie mogła wyjmować ciernie z nóg jego, zbawczą wodą przemywać rany, białym skrzydłem ochraniać śród burzy przejściowej doby... gdyż ona nie będzie pożądała tanecznej muzyki rówieśnic, ani uciech codziennych i nie odwróci myśli od jego nieustającej skargi i nie odbiegnie go nigdy z pola oraniny.

Gdy o tem myślała, miłość poczęła ich opływać, jak dech ciepłego powiewu, rozparła się w nich po wszystkich czuciach i wniknęła w dwie dusze, jak zapach kwiecica przenika ogród w cichy, pogodny wieczór.

Jakgdyby się wstydzili zbyt wczesnej poufałości, połączyli się z ojcem i poszli przed siebie, wzywając ojca do towarzystwa. Lecz sędzia burknął:

— Upilnować zakochanych nie można, więc i pilnować zbyt nie warto, jeśliby chcieli błądzić. Zresztą wam ufam, a już się powlokę za wami.

Szli blisko siebie, podziwiając czar nocy i trzymając się za ręce.

— Chyba ty mi masz coś ważnego do powiedzenia, pisałaś to, wzywając mię do siebie — rzekł po chwili Roman.

Stefka szybko podniosła rączki i zakryła mu usta.

— Kochajmy się — powiedziała. — Czas przyjdzie na wszystko.

Noc była dziwnie ciepła i wiosenna.

Wczesnym rankiem Stefka otworzyła oczęta i przez okno w świat spojrzała. Świat śmiał się weselem. Jakżeby ona rada się śmiała, tak, jak to sobie tatuś życzył.

Lecz troski ponad siły żywiły się jej duszą, czyniąc ból. Dziś postanowiła rozwiązać pytanie, które stało się dla niej żelazem na rękach, koroną cierniową u skroni i rozpaczą ducha, ale niezbędną dla świętej sprawy.

Stefka była oddawna pełną szlachetnej woli. Czytywała doborowe dzieła, sędzia nie szczędził jej uwag o życiu i świecie, uczyła się wiele i należała do tej kategorii młodzieży, co Łącki, młodzieży zupełnie polskiej, żadnej pracy dla ojczyzny. Sympatji między młodzieżą nie miała, ponieważ zbyt często mówiąc o sprawie narodowej, stawała się w towarzystwach nudną, jak Łącki i jedynie zewnętrznymi przymiotami lśniła, jak tajemniczy kwiat, słowo w słowo, jak było z Łąckim.

Od chwili poznania go, Stefka uczyniła olbrzymi skok naprzód w badaniu stosunków polskich i pod wpływem wiadomości z Wisłoka pojęła, iż w Galicji przykazań narodowych wprost spełniać nie można. Całemi godzinami spokojnych nocy nurzała się myślą w objawy życia narodowego, wolne chwile dnia spędzała w Czytelni dla kobiet i czytywała wszystkie pisma najskrajniejsze, w drobnostkach uprzytomniała sobie wszystkie zajścia, które się wydarzyły u cioci rejentowej na wakacjach, a zakończyły się wyproszeniem Łąckiego i śmiesznie głupią uganiatyką. Ówczesny artykuł konserwatystów przeczytała dziesięć razy, bo go był Łącki na pamiątkę zostawił, i doszła do wniosków rozdzierających jej stroskane serce, do wniosków, że biada temu zesłanemu z nieba zbawcy, któryby chciał rozbić w puch całe sztuczne życie dzisiejsze, a zbudzić to prawdziwe życie narodu.

Stefka poczuła się działaczką. Nowy to obraz jutrzeńki narodowej...

Ubrana szykownie, z wrodzoną jej wytwornością, niczem się nie różniąca na zewnątrz od strojnej polskiej panny, łowiącej męża, zbierała grosze na ruch ludowy i szkołę ludową a równocześnie ułożyła cały szereg pytań o Polsce i z prośbą o odpowiedź wysłała je do dwóch kuzynów, adwokata i urzędnika, jakoteż do cioci rejentowej. Nadobnej Stefki prośbom nie oparli się urzędnik ani adwokat, odpowiedzieli na każde pytanie, jedynie ciocia rejentowa odesłała pytania, odpisując krótko: „Jak widzę, Stefuniu, masz już zupełnie głowę socjalizmem zabita. Pan Adam, ten przystojny komisarz, śmiał się z ciebie i twierdził, że z przewrotowcami i buntownikami prędzej się zrobi porządek, niż się

komu zdaje. A gdy nasz zacny kanonik był u mnie na preferansie, po przeczytaniu twego listu, kazał, byś odprowadziła nowennę do Najśw. Panny i po spowiedzi uroczyście wyrzekła się czarta, który cię opętał. Ja sama w obawie o Twe zbawienie, zaklinam Cię, użyj wszystkich sił młodej kobiety i nawróć Twego narzeczonego z drogi zgubnej, bo możecie łaskę Boga utracić na wieki wieków...”

Po liście tym Stefka płakała. Z adwokatem i urzędnikiem może da sobie radę nieszczęsny Roman, ale głupie baby, to chyba będzie trzeba ryczałtowo powyrzynać. Lecz wszystkie trzy listy stały się dokumentami i uzupełniły Stefki poglądy... które mimo miłość i prawa do szczęścia, postanowiła ukochanemu przedstawić. To miało się stać dzisiaj, po to go uprosiła, by jak najrychlej przyjechał.

Roman rankiem czekał na ulicy, aby ją odprowadzić do szkoły. Stefka w porannem świetle wydała mu się gołębicą, a Roman Stefce zanadto zakochanym, więc rzekła mu przy rozstaniu:

— To niedobrze, że się tak bardzo kochamy...

— Tak?

— Ach tak! — odparła Stefka. — Zatem po południu w szeroki świat...

— W szeroki świat, moje orlątko... — rzekł Roman i śledził ją rozkochanym wzrokiem aż do bramy szkolnej.

W dzień pogodny, okraszony płynąciami perłami po głębokim, cichym lazurze, wyszli nad Wisłę ku mogile wodza chłopów. Z wyżyny widzialne Tatry strzelały srebrem rozlanem i nurzały się w srebrze, u stóp leżał

kraj złotawy, od suchych traw i nagiego ciała pól. Zapachy ziemi grzejącej się w słońcu były kolebą dla skowronków, dla harujących siewców i oraczy. Kraj brózdżono pługami.

Stefka z uniesieniem witała lemiesz ze słońcami na spracowanej tarczy, widne po polach i wzgórzach.

— Najmilsza mi ta droga na świecie — wołała w uniesieniu. — Stąd się widzi wszystkie stany i wszystkie kraje. Wieś i miasto i równe prawa dla każdego.

Usiedli na tej wyżynie, a Stefka nieco blada, drżąc odwracała się od milczącego z miłości młodzieńca.

— Chcę ci coś powiedzieć — zaczęła po długim rozmyśle — lecz wprawdzie musisz, mój drogi i najdroższy na świecie, na miłość naszą się zakląć, iż nie zataisz przedemną nic.

Roman w tej chwili zobaczył, że Stefka blada. Przeraził się i porwał ją za obie ręce.

— Stefka, chcesz mi coś złego powiedzieć. Stefka, od ciebie zażądam zaklęcia i wypowiedzenia wszystkiego. Mów, mów... masz twarz człowieka, którego nawiedziło nieszczęście. Mów... wołał Roman i począł bezwładne ręce Stefki okrywać pocałunkami.

— Ależ chcę ci wszystko powiedzieć.

— Więc mów, ja cię nigdy nie okłamię, ja cię nie mogę okłamać, bo cię kocham całą duszą! — mówił Roman.

Stefka stała się podobną do marmuru, w którym wykuto cierpienie. Nie mogła przemówić, a swe turkusowe oczy rzuciła w przyszłość, żeby ją przeniknąć. Roman zauważył, iż ręka jej drży mocniej.

— Żyjemyż my w błędzie, czy nie? — wreszcie zapytała.

— W jakim kierunku?

— W narodowym. W kierunku naszych przekonań o życiu narodowym.

— Walka twa jest dobrą, czy złą?

— Od stu lat uważają ją najwięksi w Polsce za jedyne zbawienie — odpowiedział Łącki.

— Wszak wyraźnie tego nie powiadają?

— Powiadają: lud to potęga... więc wyraźnie powiadają. Nikt nie mówi, że szlachta potęgą.

— Lecz mówią: z szlachtą lud.

— Ja mówię to samo, więc idę drogą wszystkiej polskiej filozofji.

— Dlaczego dla Boga mamy wszystkich przeciw sobie?

— Bo gdyby było „z szlachtą lud“, na dziesięć krzesel i rozumów lud zająłby osiem, wówczas wzrosły by miasta i sioła, a karabeł schowano by do muzeum.

— Mamy przeciw sobie i plebejuszów, księży i urzędników i chłopstwo — odparła Stefka.

— Mamy przeciw sobie polskie gospodarstwo i rzesze głupców lub zatrutych rozkazami bankierów wiedeńskich, ale wszystkich polaków mamy za sobą! — zawołał podniecony młodzieniec.

— Iluż ich jest?

— Dwóch na stu!

Wówczas Stefka wzniosła oczęta w niebo i po-
częła mówić:

— Bogu się skarżąc, prosiłam o objawienie, ażali po dobrej drodze iść chcemy. Bo dobra czy zła droga... przeważy nasze szczęście. Dobra zniszczy, zła droga zwróciłaby nas, dałaby nam gniazdo, w którym by nam było lepiej, niż wszystkim ludziom na ziemi. Chciałam

tego, abyś wraz ze mną poznał, iż błędną drogą idziemy, że twoja walka jest bezrzędem i cele ma jedynie w kre-
wkości twojej. Każde twe słowo, każda myśl twoja była
ważoną, tak samo każde słowo, które mi się mądrym
wydało. I oto na nasze nieszczęście doszłam do tego,
co i ty, przeświadczenia, że droga twoja jest jedynem
dziś polskiem przykazaniem.

Roman zlekka ścisnął drżące ręce Stefki, która
mówiąc, stała się różową na twarzy i opalową od słońca.

— Aniś wiedział, czem uświetniłeś swą ciernistą
walkę i przekonałeś mię ostatecznie. Tem, żeś tego dzi-
waczego księdza przeprosił! Niemasz w tobie niena-
wiści, ty chcesz walczyć szlachetnie, nie obmową i na-
paścią. I wierzę na moje i twoje nieszczęście, iż kto
żyw i w przyszłość wierzy, pójść musi drogą, po której
ty walczysz. Zanim to jednak nastąpi, ta rzesza głupców
trutych przez dzisiejszych gospodarzy nierządu i bankie-
rów wiedeńskich, w ich usługach sama marnieć i spać
będzie, ale rzuci na ciebie kamieniem i oszczerstwem!

Roman słuchał Stefki, jak straszego wyroku, sły-
szał granie bojowych surm.

Dreszczem przejęty milczał; umilkła i ona. Oboje
czuli, iż nadeszła straszna godzina. Stefka po chwili
się ozwała:

— Wszystko wyteżę, aby niszczyć powstanie na-
rodowe. Komitety ratunkowe, budzenie fanatyzmu prze-
ciw tobie i szarpanie nerwów, będzie twoją nagrodą..
Czy nie tak?

— Sądzisz, że ulegnę tak rychło? — odparł.

— Mów, jak mnie kochasz. Nie będąż ci rzucali
sznurów pod nogi?

— Będą, Stefko...

— Będziesz musiał pędzić z miejsca na miejsce i budzić!

— Zmusić do tego nikt się nie pośpieszy. Bądź o to spokojną.

— Ale ty musisz tak czynić! Musisz być wolnym. Dla idei trzeba dać wszystko, nawet życie! Tu będziesz unikał tłumu rażącego ciebie kamieniem, tam będziesz biegł wołać do czynu! Poświęcając się dla ojczyzny, musisz być jak żołnierz... w ręku broń, na plecach torba i marsz w drogę o każdej porze dnia i nocy. Aby to wykonać, trzeba być wolnym, jak żołnierz! Więc musisz być wolnym... czyli, że droga, jaką obraliśmy, szczęście nasze.. druzgocze...

— Co mówisz! — szeptał Roman.

— Rozumiesz mnie?..

Milczał, Stefka również zamilkła i trwali tak chwilę w niemocy.

Stefka naraz sięgła do fałdów sukni i z kieszeni wydobyła dwa zwitki papieru. Podała je Romanowi i rzekła:

— Oto działalność komitetu ratunkowego...

Były to dwa oszczerce anonimy pani Flory. Łącki przeczytał listy i nie miał siły odpowiedzieć, lecz uśmiechnął się żałośnie i począł w Stefkę patrzeć z podziwem tak niezmiernym, iż Stefka musiała oczy opuścić i odwrócić się. Wreszcie Łącki się ozwał:

— Gdybyś nie była tak uczciwą, sądziłbym, że ci się nie chce podzielić biedy dobrowolnego żołnierza. A może nie chcesz w niemodnej sukni niekiedy światu się pokazać?... Ja mogę każdej chwili żołnierki zaprzestać... zapłacą mi wiedeńskie bankiery dobrze..

Jak kąkol między zboża, przebijało się przez słowa lekkie szyderstwo, podyktowane niemy, a strasznym bolem młodego serca.

— Abyś się cofnął, nie chcę! Mamyż samoubrne szczęście budować na popiołach idei? Czybyś kiedy nie wzgardził sobą, gdybyś mnie przeniósł nad Ojczyznę?

Roman targany cierpieniem zgwałcił w sobie burzę nieszczęścia, mimo świadomość, że Stefka nie tylko jemu ale i sobie wbiła sztylet po rękojęść, roztaczać począł słowa miękkie i błagalne:

— Moje szczęście drogie i złota Stefko moja... czy nie żal ci rzucić mię w otchłań i nie spytać, ażali wody nie potrzebuję, ażali głodu nie czuję, ażali miłości mi nie trzeba?... Chcesz tylko świecić i wisieć na niebie, abym wyciągał ku tobie dłonie, a nigdy nie dosięgnął... Bóg zstąpił na ziemię i kalał stopy, chodząc po grzechu... ty nie chcesz pójść za mną... A gdzie to, Stefko moja.. miłość, co się na głód waży, której rozkoszą wydaje się poniewierka i przyjemnym niedostatek?...

Słońce było już u zachodu i żegnało ziemię gorącym pocałunkiem. A dwojgu zakochanym nie chciało się podziwiać kraszy zachodu, gdyż było im chłodno, jak więźniom w wilgotnych lochach bez światła.

— Śmiesz mię pomawiać o tchórzostwo? — powiedziała Stefka. — Ja cię kocham nad wszystko, zaraz po Bogu i ojczyźnie... Jestem twoją na wieki i niczyją inną nie będę... lecz... my kobiety dziś umiemy w świat patrzeć i umiemy przewidzieć i rachować.

— Człowiek idei widzi tylko jeden rachunek... miłość pomaga tym rachunkom — szorstko rzekł Roman.

— A kto nam każe wyrzec się miłości?!

Roman chwycił spojrzenie Stefki, z trudem przez rzęsy się dobywające.

Stefka mówiła :

— Kochamy się, a prędzej ty o mnie zapomnisz, niż ja o tobie...

Łącki począł widzieć wyraźniej i odgadywać plany Stefki.

— Powiedz to wyraźnie..

— Musimy się wyrzec szczęścia... i małżeństwa...

Romanowi nasunęła się przed myśli jaskrawa postać Flory, przepowiadającej mu upadek, gdyby się wciągnął w jarzmo Hymenu. Straszna ta prorokini wydała mu się w tej chwili cygańską wiedźmą odzianą w krzyczące jedwabie i świecidła, albo błyszczącą jędzą, której jad zabija każdego, o kim pomyśli. Niedawno to było, więc doznana wówczas groza nagiej prawdy żywo mu się przypomniała i wdarła się w niego nowym nawiałem dreszczu i groźby.

Wtem ocenił piorunem rażące słowo Stefki! Czy z tamtą w przymierze się zesła? Nie! Na widok Stefki Flora dostałaby spazmów ze złości, Stefka zasłoniłaby oczy, nie mogąc patrzeć na sumienie Flory, ziejące wężami. Obie, idąc innymi szlaki niechcący się zeszyły. Co Stefkę wiodło, bolesne to, beznadziejnie harde, lecz jasne. Co wiodło tę primadonnę miasteczkową... mniejsza o to. Koniec końców on podzielił los żeglarza, który nadewszystko kochał morze i cały żywot spędził w swoim kochaniu; pewnego dnia morze się zwydrzyło, wzdęło fale, zgruchotało łódź kochanka, wyrzucając go napół żywego z pian morskich. Podzielił los bezdomnego włóczęgi, porzuconego na szerokim stepie pośród ryczącej szaleństwem burzy.

Musiał pojąć, iż morze zażartowało z jego miłości, los wygnał go na step, gorzej psa parszywego. Jednak

nie biadał, ani też przeklinał. Człowiek skrzywdzony, sponiewierany, w wielkim bólu niezwykły kęsać, ani też siły dobywać. Ludziska wymyślili przysłowie o niedźwiedziu i wielkiej gałęzi. Ogrom nie dającego się ująć w słowa nieszczęścia powalił go olbrzymim rozmachem, krom więc łzawego zawodu na razie nie wydobył ze siebie innego uczucia i po chwili Stefce odpowiedział:

— Tak to mię kochasz?..

Że było już nie tak jasno na ziemi, błękity i cienie poczęły się ścielić i pokrywać przestwory, a ludzi nie było, Stefka stała się śmielszą, rzuciła się mu w ramiona i poczęła się wdzięczyć do niego, jak okwiecona dolina do pasma górskiego.

— Po co to mówisz... słońce moje... rycerzu mój... Serce moje po tobie nikogoby przyjąć już nie mogło... jam twoją na wieki... Niezmierny cień padł na ciebie, widzę po tobie, więc nie ufasz memu kochaniu... nie uważasz, iż dwa stopy ofiarne zapaliłam dla świętej sprawy i podobnie jak ty, cierpię i oplakuję popioły naszego szczęścia, ale cię kocham jeszcze mocniej, święciej, bez końca... Kocham cię po wieki wieków...

W tym momencie młody człowiek uniósł się uczuciem ludzkim i kochał Stefkę równocześnie duszą i ciałem. Nie mogąc ustalić sobie sądu o smętnych rojeniach Stefki, ponieważ mu się zdawało, iż mu ktoś zalał głowę ołowiem, rad był, że na teraz wszystkie plany i groźby losu puści w niepamięć, a podda się urokowi miłości. Rad chwytła człowiek żądze wówczas, gdy go los obarczy ciężarem, jak gład, lub podarunkiem, zważem się „stracone szczęście“. Pijak wówczas pije, bogacz trwoni pieniądze, myśliciel bawi się mrzonkami,

Samson burzy kolumny. Żądza miłości u ludzi silnych bywa również źródłem ukojenia.

Przygarnął więc Stefkę do siebie, przysunął się ku niej, iż ją całą czuł przy sobie i całując pytał siebie, czy Stefka może mieć tyle doświadczenia, aby wynaleść formułkę na wieczne z nim kochanie, ale bez małżeństwa...

— Ona tego nie rozumie — myślał. — Co to znaczy kochać wiecznie, a nigdy nie zbliżyć się do tego człowieka? Prawem wszelkiej miłości jest zbliżenie się. Kocham sztukę, więc za nią gonię, kocham ideę, za nią walczę i nią żyję, kocham kobietę, chcę ją mieć przy sobie... nie chcę zaś, więc nie kocham, tylko, przypuścimy... szanuję i podziwiam...

Głos namiętności odezwał się w nim. Do głowy wpadła mu myśl, iż Stefka wszystko to, co powiedziała, rozumie i wykluczając małżeństwo, nie wyklucza bynajmniej możliwości widywania i kochania się i tym sposobem łączy piękne z nadobnym.

— Sprytna niewiasta... — wytłumaczył sobie straszną przedtem kolizję. — Ona to lepiej urządziła, niż jabym to uczynił. I słusznie, że w takich wypadkach propozycja powinna wyjść od kobiety, bo mężczyzna sto razy prędzej się zgodzi żyć z kobietą bez ślubu, niż kobieta. Będziemy wolni, niekrępowani, będę gwizdał na dochody i dom, a mimo to będę miał swoją Stefkę, do której skoczę z drogi, ile razy będę chciał. Będę się rozbijał po całej Galicji, dziś tu, jutro tam, ona będzie sobie gdzieś nauczycielką albo kasjerką...

Pieszcząc Stefkę, począł do niej przemawiać :

— Będziemy się kochali, jak rajskie ptaki, będziemy dla siebie odludną wyspą, cały świat zawstydzimy miłością...

Stefka rozplómienna mówiła:

— O! tak..

A gdy ją ku sobie przycisnął namiętnie, Stefka zlekka wysunęła się z jego objęć i niespodziewanie powstała.

Poprawiła zarzutkę i bluzkę, odwróciła głowę od Romana i rzekła:

— Czas do domu.

Łącki powstał, stanął przed nią, zaświecił oczyma i prosił:

— Wszak gwiazdy jeszcze nie zeszły, jeszcze dzień, zostanemy tu, tu nam lepiej bez ludzi.

Stefka wówczas podniosła oczy i przeraziła się twarzy narzeczonego:

— Co ci jest? Jesteś tak czerwony...

— To od słońca. Zostań droga... pozostań.

— Słońce już zaszło. Przytem od dawna powinniśmy być w mieście.

A Łącki prosił i prosił. Stefka wsparła się na parasolce, wyraźnie odwracała się od towarzysza i patrzyła w dal. Poczęła nalegać do powrotu, nakoniec poszła naprzód, a on musiał pójść za nią.

Chłodny przeciąg zbyt wczesnej wiosny podział na niego orzeźwiająco. Poprzednie pytanie, czy Stefka rozumie to, co powiedziała, stało się najjaskrawszem pytaniem.

— Nie dokończyliśmy rozmowy — rzekł Łącki orzeźwiony, więc niespokojny i trwożny na nowo. — Powiedz mi, Stefko, czy wiesz, co to miłość?

— Wiem, ponieważ kocham.

— Nie świetna definicja, moja droga. Co to miłość mężczyzny i kobiety?

— Wiem, mój drogi, co to jest... ach wiem... — ze smutkiem powiedziała Stefka i nie chciała patrzeć w narzeczonego.

— Jakto?... Jakże to ci mam określić... Więc chcesz, byśmy się całe życie kochali?... Czy rozumiesz, co to znaczy? — Łącki nie wiedział, jak to Stefce wyjaśnić i jak się od niej wywiedzieć, co myśli i czego chce.

— Chcę i pragnę, byśmy się całe życie kochali.

— Wszak powiedziałaś, że nie chcesz małżeństwa..

— Nie chcę... tak, niechaj się zdaje, że nie chcę.. dla świętej sprawy narodowej... podziękuj za to narodowi, raczej niewolnikom...

— Mamy się kochać, a nie pobrać się?

— Tak.

— Czy to ci da szczęście takie samo?

— Po co mnie indagujesz, wiesz sam doskonale.

— Co wiem! nie nie wiem!

— Chcę ofiary. Bez ofiary ojczyzny się nie wskrzesi..

— Stefka, nie rozumiesz, co gadasz. To raz chcesz się kochać, raz chcesz ofiary. Albo jedno, albo drugie.

— Ty inaczej pojmujesz miłość — mówiła Stefka, słowa przez łzy popychając, potem milczała, aby Roman miał czas oswoić się z ofiarą osobistego szczęścia.

W rzeczywistości Romanowi pokazały się przed oczy widma, niby łuna pożogi, niby gradowe kłębiska, niby rozszalały potwór ziejący piekielnym ogniem, niby otchłań bezdennych odmętów klęski.

Szedł obok Stefki, czuł ją przy sobie, widział, iż przenosi go ponad całą ludzkość, trzymał ją za rękę pieszczoną, oddaną mu z niewymowną szczerością, spozierał na te rysy twarzyczki pięknej anielstwem młodości, tymczasem we widmach wyrastających w storturowanej wyobraźni przeczuwać począł, iż musi ją stracić, iż bezzasadnie spodziewał się od Stefki wielu rzeczy, niezupełnie zgodnych z jej myślami.

Możeby umiał już dokładnie i po prostu określić myśli ukochanej, lecz wzdragając się przed możliwą ofiarą, wołał widma wywoływać i oszołomić rodzącą się świadomość. Wołał udawać, iż Stefki nierozumie albo, że Stefka nic nie rozumie. Więc rzekł po chwili:

— Co to znaczy, chcę miłości i chcę ofiary z miłości. Chcę i nie chcę.

Stefka stwierdziła, że propozycja ofiary stała się dla niego silnym ciosem. Jak przedtem miała odwagę i moc zaparcia się, obecnie o siebie nie dbając, zabolala nad ciosem wybranego i zapłakało jej serce nad bujnym dębem skazanym na ścięcie. Chciała pocieszyć go:

- Nasza miłość będzie poezją, niczem więcej.
- Da ci szczęście?... Czy da?...
- Trzeba zapomnieć o szczęściu...
- Rozumiem...

Wówczas wątpliwości poczęły znikać, jak białe obłoki tonące w dalekich mgłach. Została ponura zapowiedź wieczystej klęski i mąk tantalowych i niespełnionych westchnień.

Łącki zawrzał buntem Uchwycił Stefkę silnie pod pod ramię i rzekł:

— Tyś moja... tyś moja... nie puszczę mego skarbu... porwę skarb.. raczej wezmę sobie, jako własność...

Stefka musiała uznać słuszność tego buntu, bo jak jagnię dała się prowadzić i milczała.

Gdy zaszedli do domu, zastali sędziego w głębokiej zadumie przechadzającego się po pokoju, sędzinę zaś bardzo smutną.

Stefka przeraziła się, biegała od ojca do matki, całowała, śmiała się, ale tym śmiechem czujności sędziego nie uspiła.

— Wam obojgu z oczu źle patrzy. Stefka czegoś nabroiła. Zaraz tu ojcu powiedzieć, bo szczerym przyjaciołom wszystko powiedzieć, to sobie ulżyć. Zaraz mi tu gadać — krzyczał sędzia, acz w głosie miał ogromną moc ojcowskiego uczucia.

Młodzi przyciśnięci do muru wypowiedali się do słówka.

Po przyjęciu tych wszystkich mądrości do wiadomości, po pierwszym zmieszaniu się, oboje rodzice stanęli otwarcie po stronie Romana.

Stefka w swej anielskiej naiwności zdumiała się.

Sędzia pocałował ją serdecznie i począł wykrzykiwać, by przyniesiono moczonej brzeziny, a egzekucję odprawi się zaraz i to przy Romanie.

Najgorsza świadomość jest lepsza od niepewności. To też sędzia zamiary Stefki dobrze zrozumiałwszy, odetchnął, w żart je obrócił i orzekł, że ma wypróbowane sposoby napędzenia rozumu do głowy. Ale po okresie żartów, jęła go tkliwość, rozczulenie, omal nie rzewność, stanął przed siedzącymi narzeczonymi i mówił:

— Zawsze to pięknie, Stefuniu, iż niesamolubne, nie codzienne masz pragnienia. Szczytem męstwa jest ofiara.. lecz jednocześnie głupstwem jest ofiara niepotrzebna, a szkodą ofiara nieuzasadniona. Nie jest tak

złe w naszym kraju, aby aż trzeba najdroższe skarby poświęcać. Polacy nie tyle są złymi patriotami, ile nieudolnymi i próżniakami. Kawałka chleba wam nie odmówią i nie zjedzą was, chociażby nawet starosta z kanonikiem zjeść was chcieli..

W ten sposób mówiąc, osłabił teorje Stefki, tem łacniej, iż Stefka kochając, całą duszą rwała się do Łackiego.

Do północy siedzieli narzeczeni razem. Sędzia co pewien czas do saloniku zachodził i Stefkę łajał:

— Ty aniołku z pazurkami... Tybys chciała niebo na ziemi założyć... A zasię ludziom do nieba..

Kochankowie postanowili pod wpływem sędziego, wstęgi miłości nie szarpać, a wyroków czasu i losów nie uprzedzać..

Po burzy stała się niezamącona pogoda... wiosna i miłość.

Nazajutrz Łacki odjechał. Po jego odjeździe Stefka długo płakała.

XX.

Wiosna i niedziela.

Ks. Zabuda pamiętał warunki, na mocy których doktor odbył akt pokory i wobec świadków przeprosił srogię sługę Kościoła. Zgniewał się też na Łackiego, przypominającego, iż ma wygłosić kazanie po sprawiedliwości Bożej. Ks. Zabuda przejął się tą myślą. Po ostatniem „przedwyborczem“ kazaniu ks. Ziemby, w którym budzicieli ludu polskiego nazwano „psami, niegodnymi, by ich po śmierci poświęcana ziemia przykryła“

„parszywymi szatanami“ „najemnikami żydów i masonów...“ ks. Zabuda zapłonął świętem oburzeniem, tak mu się zapamiętałe słowa wydały niegodne sukienki kapłańskiej, tak ta „parszywa“ walka kleru świętokradzką.

Po ostatniem kazaniu ks. Ziemby długo wieczorem, w ciszy pustego kościoła leżał krzyżem i błagał Pana o odpuszczenie temuż stróżowi chrześcijańskiej miłości, a wierny przyrzeczeniu, postanowił w najbliższą niedzielę wystąpić z kazaniem politycznem z racji niedalekich już wyborów.

Łącki uprzedzony, przez kilku swych zaufanych, pozganiał gospodarzy ze wsi dalszych, ks. Zabudzie wypadło tedy mówić do wielkiego tłumu i dla szerokiej okolicy.

Niby w świętem natchnieniu wstąpił na kazalnicę błady, zapatrzony w krzyż, niewidzący wiernych, niesłyszący szmeru ciekawych wiejskich polityków.

Wiosenne słońce grało kolorami przez barwne szyby świątyni, z otwartej na ścieżaj bramy wionęło powietrze, którem oddechają skowronki.

Dusza prawego człowieka zakłęta słuchaczy w powagę i skupienie.

Mówił, jak prorok; pieśń słowa dobytego z przyczystego ducha — brzmiała niekiedy potęgą złotych słów ukochanego mistrza Skargi.

— Bądźcie tedy czujni, a módlcie się, abyście nie weszli w pokuszenie (Mat. XXVI, 41) — rozpoczął pomażanie Boży i jał przemawiać, jak kwiat rozkwitły przemawia do nas swą niepożyczaną krasą, sumieniem kwietnem, w którem niemasz ni sposobów, ni wykrętów, ale szczerłość i prawo Boże. I widocznie księdzu mowa

sza ze zbiornika wiary i uczciwości, gdyż bez wysiłku mówił to, co ludzie nazywają mówieniem prawdy. Wszystko, co myślało, a było w kościele, odczuło nastrój jego wielkiej mowy. W wyobraźni podrażnionych chłopów począł wyrastać w widmo proroka i apostoła.

Odnosnie do pierwszych słów kazania, prawił, iż na polskiego chłopca dziś przyszły ciężkie terminy. Ze wszystkich stron o niego dbają i o nim myślą, tak, iż nawał różnych zasad i sposobów tworzy w duszy chłopskiej mieszaninę, która albo wyradza zamęt lub walki, albo też zniechęca do sprawy ludowej. Nad wszystkim tym porządkiem i nieporządkiem społecznym króluje Bóg, który jak ojciec z miłosnym uśmiechem spogląda na zapasy swych dzieci, lub też płacze i boleje na widok bratniej walki i bratnich mordów. Pan stworzenia odpuszcza i przebacza, ale żąda od nas poznania grzechu i wymaga życia wedle praw Swoich. Jeżeli tak czynimy i żyjemy — zezwala nam Pan nasz myśleć i czynić do woli, aby pracować około swej doli i ojczyzny. Zatem każda zasada ojczysta jest dobrą — jeżeli tylko sprawiedliwość i szczerłość ma na celu.

— Jakąż drogę polski lud wybierze, wobec tylu prostych dróg otwieranych dla niego? Będziesz li dość czujnym, ty zapracowany, nieoświecony i biedny chłopie polski? Czy nie zmąci ci głowiny mądrość polityków i uczonych, ciągnących cię na lewo i na prawo? Jeden z nich nazwie ci to najznakomitszem dobrem, co drugi podaje jako zbrodnię... Co poczniesz, polski chłopie?! Niech że mi wolno poradzić ci w sposób, w jaki nasza wiara św. jedyna i nieomylna radzi i uczy. Posłuchaj przeto, bracie: po pierwsze jesteś chrześcijaninem i kogo-bojnym, po drugie polakiem, czyli synem i ojcem,

nakoniec zaś człowiekiem, któryby sobie chciał dogodzić. Przedewszystkiem jesteś sługą praw i rozkazów Bożych, potem politykiem i obywatelem kraju. Więc bracie mój, chłopku polski, jako niewiasta, która przy Panu lepszą sobie część obrąła, bądź więc stróżem swego pierwszego obowiązku, bądź Bogu miłym — sprawiedliwym, szlachetnym i czystym, jak iza!..

W początkach niespodziewanie uroczystego kazania zjawił się ks. Ziemia i usiadł w konfesjonale. Każący spostrzegł go, rumieńcem się okraślił i wołał:

— Nie ufaj zbyt wiele prawdzie ziemskich rozumowań. Wieki płyną za wiekami i w potężnym tchnieniu Boskich roków najmędrsze gadanie w pył nieprawdy się rozsypuje. Wyklinane przez ludzi ziemskie prawdy królowały czas pewien, aby zginąć i uczynić miejsce nowym — dotychczas wyklinanym prawdom ludzkiego rozumu. Nie przywiązuj tedy wagi zbyt wiele do marności i programów światowych mocarzy! Nieśmiertelnym mistrzem jest Chrystus! On poprowadzi cię wszędy, dokąd zechcesz i wyjaśni ci bracie wszystko!

W miarę rozwijania myśli służki Bożego, kanonik w konfesjonale kręcił się, sapał ciężko i siniał.

— Powiadają — to znów oderwane zdanie kazania — iż Kościół Chrystusów nie powinien się mieszać w swary polityczne. Powiadają inni, iż Kościół winien się mieszać. I biją się o to na noże, do krwi, świeccy i kapłani, nie znający lęku przed sprawiedliwą, lecz niekiedy ciężką ręką zagniewanego Ojca niebieskiego. Atoli ja stojąc w świątyni prawdziwego Boga, który cierpiał za nas rany i katusze, zdumiony pytam zapaśników świeckich i kapłańskich — nie wejdziecież do skarbcza wiary św.? Nie usłuchacież głosu Bożego, którego słowo mędrsze

jest, niżeli stosy waszych ksiąg najmędrszych?. Oto Pan wszędzie obecny, sługom swym każe być wszędzie, i iść wszędzie, a ponad wszystko nieść słowo miłości, prawdziwej i uczciwej sprawiedliwości!. Nastanie dzień powszechnej czci dla Kościoła i stanu kapłańskiego, a dzień ten opromieni świat... Zaprawdę bowiem powiadam wam, iż w błogosławionej wierze św. nie tylko zbawienie ludzkie w wieczności, ale także i tu na szarej ziemi! Przyjdzie czas, powiadam wam, iż jako czcicie skowronki weselące się w znoej pracy, uczcicie sługi Boże, które wreszcie się wyzwolą — daj Chryste Panie — z obawy ziemskich programów i słowem Chrystusa poczną walczyć, szerząc miłość i braterstwo!

W rozwoju swej myśli politycznej zbliżył się pasterz boży do przełomowego zdania: „Wobec Boga jesteśmy wszyscy równi, w obliczu prawa równi, w służbie dla ojczyzny równi, prawa do życia wszystkim są równe. Takimi nas Pan Bóg stworzył i takimi być mamy!“ Szumiały jako łan pełnych kłosów poważne głowy zasłuchanych polskich chłopów.

Kaznodzieja prawil:

— Jeżeli więc walczyć o chorągwie zniewala nas konieczność — jeżeli mamy się cietrzewić w politycznym ruchu — przyjm polski chłopie radę od pasterza, który wraz z wami błaga Boga: „zbaw nas Panie od złego“. Radzę ci ja, bom sumienie Bogu oddał i polecił i kocham po Panu moim świat cały, wszystkie stany, przeto i ciebie biedny chłopie polski Słuchaj!. Idź naprzód i walcz o swe prawa równie z innymi! Lecz pomnij.. najbliższa korzyść twoja zmazana łzą ludzką — to potępienie, to sromota, to hańba!

Jak łyza twoja prędzej czy później przekleństwem porazi każdego niebacznego łyzy twojej, tak każde twoje bezprawie zaciąży na twem sumieniu jako gad plugawy i zbeszcześci w tobie chrześcijanina!

Idź naprzód!.. walcz o prawa z Chrystusem! Więcej ci nie trzeba.

A mamże ci chłopku polski przypominać, co to znaczy iść z Chrystusem? Zaprawdę, wstyd by wam było chrześcijanie, chlubiący się wyznawstwem prawdziwej wiary, pytać mię o to. A jednak wskażę wam przykład. Bolałem i boleję nad czarnem zgorzeniem, które tu w kraju dławi sumienie polityków niby morowe powietrze i zaraza plugawa! Wybory się odbędą! Wolno ci gospodarzu i obywatelu kraju głosować! Obowiązkiem twym głosować! Gdybyś jednak z Chrystusem szedł do najważniejszej podstawy i nadziei krajowego gospodarstwa, głosowałbyś według najlepszej wiary i sumienia! Tymczasem ty... się sprzedajesz, lub w opileczym szale idziesz za tym, kto cię za kark ciągnie, omal powroza nie uwiąże do szyji i pijanicę jak bydlę na targowicę powiedzie! Idziesz to z Chrystusem, z wiarą w słusność swego programu? Idziesz to fundamenta pod nowy gmach zakładać?.

Chłopi zdrętwieli, zdawało im się, iż na kazalnicy stoi ich sumienie, prowadzi i uczy ich. Chrzan z kilku kompaniami, wytrawnymi przekupniami wyborczymi, uczuł niby wstyd, niby złość do szczerego sługi Kościoła który w ten sposób winien stać ponad wszystkim. Chrzan z ukosa raz po raz spoglądał ku zdenerwowanemu kanonikowi, przykutemu do konfesjonału. Znako-mita zaś większość chłopów czuła iż ten ksiądz, zupełnie różny od reszty kleru, radzi to samo, co rozbudzone sumienie radzić zwykło śmiało lub w skrytości ducha.

A tymczasem ksiądz kończył dalej:

— Głosuj na pana, czy plebana, czy chłopa, wszyscyśmy polacy i wszyscy równe prawa do życia mamy, lecz niczem nie daj się sprowadzić z drogi sumienia, prawości i czystości obyczajów politycznych. Niechaj twa służba dla ojczyzny będzie gorąca jak ogień a czysta jak woda w krynicy! Niechaj twa siła ducha zwróci się przeciw wszystkiemu, co kala niwy ojczyste, jak Bóg zwrócił się gniewem przeciw przekupniom w świątyni! Pomnij, iż Bóg patrzy, iż policzy ci pieniądze wyborcze i gwałty i pijactwa. Pomnij, byś ciężko nie kalał sumienia tem, co ojczyźnie nigdy nie pomoże, a snadnie zaszkodzić może. Chcesz pana, wybierz pana, chcesz chłopa, wybieraj chłopa, ani ten, ani ów źle ci nie uczyni, jeśli z Bogiem pójdzie ziemskie prawo stanowić, który zaś z Bogiem pójdzie, powie ci jedynie chrześcijańskie i baczne sumienie!.. Co daj Boże. Amen.

Cisza zaległa świątynię. Potem ze zwyczaju rozbrzmiała pieśń, jaką podał organista, lecz pieśń grająca w chłopskich duszach była chłopkom głośniejszą i wznioślejszą. Kilku jednak przedniejszych polityków wyszło z ciżby za mury, bowiem czuło, iż skupienie ducha teraz im ważniejsze, niż niedzielne śpiewanie. Usiadło tedy kilku ludzi pod lipą przy kościele i modliło się myślą o kraju i świątobliwych prorokach.

Po nabożeństwie, o niczem innem nie prawiono, tylko o pojawieniu się proroka, obrońcy ludu. Miasto ołowiu w chłopskich głowach po politycznych kazaniach ks. Ziemy, radosna i wzniosła buta i krnąbrność obywatelska wzburzyła zastępy najprzedniejszych chłopów z okolicy. Łącki szczęśliwie przesuwiał się między ludem.

Garść galicyjskich naganiaczy stała tak, jak gdyby grunt pod nogami traciła. Siła leciała po nad głowy.

Proboszcz i wikary siedzieli przy obiedzie pod wrażeniem ważnej chwili. Ks. Zabuda milczał i modlił się, ks. Ziemia mówił trzy godziny o tem, o czem wikary słyszał już do syta. Siedziały naprzeciw siebie dwa nieprzejezdane mózgi, jeden groźny, możny i sprytny, drugi cichy, prosty i samodzielny.

Ks. Zabuda jednak w końcu powiedział:

— Kanonik bierze udział w przekupstwach i rozpajaniu chłopów.

Ziemia wrzał nieczystą mocą tyrana. Przekupstwo czynił i czynić musiał złem koniecznem, więc wpadł w słodką furję wobec twierdzenia Zabudy, że światu nie grozi w razie wyboru tych, którzy nie przekupiają sumienia obywatelskiego.

— Ksiądz kanonik zbyt przecenia potęgę ziemskich rozumów, Bóg był i będzie, czy na krzesle zasiądzie szlachcic, czy demokrat. Chrystus Pan był demokratą, Kościół popętnia herezję, opierając się na potędze panów i mocarzy; wobec Boga istnieje tylko człowiek, a odnośnie do moralności nie mam zamiaru walczyć o dzisiajszą brudną moralność świata.

Więcej słów nie wy dobył ks. Ziemia z ust młodego kapłana, ale i tyle starczyło mu, aby grać słowami i łapać za słowa i dążyć do stwierdzenia, iż Zabuda pragnie przewrotu i rewolucji, więc najniemoralniejszej rzeczy, jaka istnieje. Gdy ks. Zabuda z politowaniem słuchał argumentów ziemskiej logiki, doczekał się gromu i palmy męczeńskiej. Kanonik zapowiedział, że to, co go czeka z rąk władzy, odejmie mu ochotę do socjalistycznych popisów.

— A jednak nieprzyjaciół politycznych psami nigdy nie nazwę! — powiedział ks. Zabuda, wstał, skłonił się i wyszedł..

Łącki tymczasem postanowił wykorzystać dobry nastrój chłopów i z pomocą utworzonego przedtem chłopskiego komitetu zdołał w domu Kowalika zgromadzić do pięćdziesięciu wpływowych wieśniaków.

Potoczyły się obrady kołem, weszła jutrzienka i padła rosa poranna, stało się to, czego dotychczas od wieków w Polsce nie było — chłop zaczął myśleć i uważać się za obywatela i Polaka! Niepomniernie szczęśliwy Łącki, siedząc na przypiecku, usuwał się od obrad, chłopom pozostawiając swobodę myśli, z dumą przyglądał się dziełu, które lekceważą i gromią zaprzędane mózgi polskiej inteligencji.

Mimo, iż w gronie radzących było wielu w polityce chłopskiej „niezdecydowanych“, natomiast brakło przekupniów i naganiaczy wyborczych, znających zwyczajnie pięść i pałkę, lecz nie rozum — obrady toczyły się gładko, postanowiono iść solidarnie i w braku godnego zaszczytu chłopca, wybrać pewnego lekarza mieszkającego w sąsiednim powiecie, a znanego z czynnego popierania chłopskiego ruchu.

Między obradującymi zapchany w kąt siedział Wojciech Baran, jak trup bładny i milczał. Łącki zbliżył się ku niemu i pytał, czy żona zbuntowana przez kanonika czyni mu dotąd sceny w rodzaju tej, której był świadkiem, czy wierzy dotąd w takiego Boga, który pozwala wyzyskiwać wstrętną głupotę i nerwicę baby i niszczyć szczęście rodzinne z powodu 20 złr. wydanych na podróże wiecowe.

Wojciech Baran zgrzytnął zębami, ręce splótł, że mu w stawach zaskrzypiały, jednakowoż słowa nie wypowiedział.

Ożywione obrady dały pewien rezultat, chłopci zaś starym obyczajem, w braku wiejskiej własnej sali, udali się wieczorem do żydowskiego szynku na pogadankę. Żyd miał szynk obszerny, z kilku pokoi się składający, brudny, cuchnący, śmierdzący, nieczysty, podobnie większość galicyjskich szynków, pielęgnowanych z większym pietyzmem, niż to czynił pan Korczak względem starożytnej bramy.

W szynku zastano już całą gwardję naganiaczy, walecznych stronników księży i szlachty. Łącki ucieszył się. Wiedząc iż wielcy polscy politycy bezwzględnie nie znają polskiego ruchu ludowego, chociaż go niekiedy jawnie przeklinają, rad był z powodu stwierdzonego wielokrotnie faktu, iż jeżeli chłopci zwolennicy samodzielności chłopskiej w opinii konserwatystów są łajdakami i pijakami... akuratnie takimi samymi co najmniej winni być chłopci zwolennicy znanej polskiej gospodarki. Co więcej, Łącki naoczny badacz żywota chłopskiego, był już blisko przekonania, iż najpotężniejsze dziś w tej części Polski stronnictwo „polskiego gospodarstwa“ w członkach chłopach posiada gatunek karjerowiczów, pijaków i rozlicznych istotnych łajdaków.

Chłopskie filary ładu i porządku były podchmielone.

Kowalik odciągnął Łąckiego na stronę i przedstawił kilku wybitniejszych naganiaczy. Chrzana Łącki już znał, a obecnie przyglądał się drugiemu z galerji typów, niejakiemu Kowalskiemu, który uznaje wyłączne prawo i program własnej korzyści, całą politykę prowadzi dla syna w gimnazjum, aby wysłużyć dla niego

wszelkie korzyści wiernej służby. Kowalski wyglądał inteligentnie, jednakowoż wyraz jego twarzy zastanowił doktora.

— Do diabła! — Co w tem jest?.. Gdyby zestawieć fotografie chłopów służących partjom za pieniądze, złożyło by się album policyjnie notowanych zbrodniarzy. Ciężką musi być zapamiętałość stronnicza takich Ziem-bów, skoro ich nie razi gęba podobnych zaprzedańców. Wszak to gęba faryzeusza posypana cukrem. Zamiast toczyć walki o puste programy i rzekome zbawcze zasady, lepiej badać dusze i sumienie chłopskie i z tych dokumentów rozsądzić, którego głosu chłopskiego usłuchać, a który odtrącić. To by była metoda naukowa i godna. Nie ścierpiałbym w stronnictwie Chrzana, bo bym się go wstydził.

Mówił tak Kowalikowi, ale Kowalik był jeszcze za głupi, aby to zrozumieć, czego nie rozumieją wyszkolone umysły. Kowalik stwierdził tylko, iż wiele lat polityką się zajmuje, a jeszcze nigdy sz'achetnych chłopów pańskimi naganiaczami nie widział.

Ponieważ chłopci złożyli się na ćwiartówkę i szklanki poczęły krążyć, w podnieceniu trunkowem zapomniano modnej obecnie wyborczej nieprzyjaźni, pobratano się, zmieszano się w gwarze wszystkich odcieni politycznych i oparach karczemnych wyziewów.

Wielkie słowa kazania ks. Zabudy, powtarzane i wyjaśniane przez chłopów, mieszały się z dźwiękiem szklanek, myśli ważne i filozoficzne zalewały fale piwa i mąciły świętość z piekłem. Tak samo, jak między panami!

Wojciech Baran siedział w kącie i pił szklankę po szklance W biegu sierzystych dysput, coraz namię-

tniejszych i mętniejszych, zwrócono uwagę na Wojciecha Barana, w pierw bladego, obecnie rozjuszzonego wielką ilością wchłoniętych antałów.

Chrzan z ukosa mierząc swego wroga politycznego, zaciekał się jego twarzą, pełną burzy i wykrzywień pcnurych a niezwykłych. Obyty w karczemnych walkach, jakie się stacza w obronie polskiego gospodarstwa, węszył bójkę, której byłby rad, bowiem piwo pchało go do bójki.

— Patrzenie, tak po wyborach będzie wyglądał chłopski kandydat! — i wskazując ręką, zwrócił uwagę wszystkich na Barana.

Zwolennicy Chrzana zawtórowali śmiechem. W istocie Wojciech Baran wyglądał na człowieka, który przegrał.

Lecz Kowalik lubił docinać i sprzeczać się, więc zawołał:

— Każdy porządny tak się skrzywi po szlacheckich wyborach!

— Nie! Tak się krzywią tylko arystokraci i lutry!
— odparł Chrzan.

— I chłopcy, które idą przeciw chłopskiej polityce, boście Chrzanie tak samo wykrzywiony — wrzasnął jeden z chłopskiej gwardji.

Chrzan ku niemu przyskoczył, w nogach trochę niepewny znów wrzasnął, po nim kilku innych poczęło ryczeć, iż na chwilę karczemny tumult z polityki nacyjnił bigosu.

Tymczasem Chrzan był naprawdę ciekawy, dlaczego Baran, jeden ze sztabowców masońskiego doktora, poglądał tak rozpaczliwie i błędnym wodził wzrokiem.

— Wojciecha wzięść na politykę — wrzasnął dobitnie — Czy nie widzicie, bracie, jak ten chłopski oficyr przed sie ladaco spogląda?

Istotnie spostrzeżenie Chrzana pobudziło ciekawość innych. Błękitny i spokojny zwykle wzrok Barana był wręcz straszny.

Kowalik podszedł ku niemu.

— Wojciechu! Wojciechu! Co to wam dzisiaj? Nie uważacie, że nas dziś tu więcy, niż pańskich lizoniów?

Baran odepchnął Kowalika nerwowo i brutalnie, co widząc sztabowcy kanonika, ryknęli barczystym śmiechem.

— Niezgoda między chłopskom partją! — zachichotał Kowalski — Widzicie, żrą sie między sobą.

Kowalik spoglądnał zdumiony na Barana, potem na Łackiego, nie mógł bowiem pojąć tej nagłej zmiany, poczem nagle odgryzł się Kowalskiemu.

— Kości nom nikt nie ciska, abyśmy zreć się o co mieli.

Między wami to prędzej, bo są kości.

Na to Kowalski:

— Między nami zreć się nie wolno, bo nas Matka Boska do zwycięstwa prowadzi.

Janiga, ostry chłop, odparł z kopyta:

— Djabel was prowadzi wódką i judasowym grosem!

— Wy zaś bez grosa, odęci pychą szatańską! — wrzasnął któryś.

I jużby przyszło do zwykłej dysputy praktykowanej między inteligencją, czyli do walki na frazesy, gdyby Chrzan po raz trzeci nie był zwrócił uwagi na zachowanie się Wojciecha Barana.

— Kanonik mu na spowiedzi sumienie poruszył, sam widziałem, że go do dwóch godzin trzymał na sądzie Boskim — rozumował Chrzan, a całe towarzystwo patrzyło ciekawie na mieniącego się chłopca.

— Spowiadał go więcej, niż dwie godziny — ktoś zauważył.

— O, przy spowiedzi politykę dobrze prowadzić, co tylko nie po ślachecku, zaraz się do piekła posyła — rzekł Kowalik.

Na to Baran się poruszył i mimowoli spowodował ciszę i zastanowienie.

— Źle Kowaliku, że Boga chrześcijańskiego zapominacie — rzekł z cicha.

Dziwny wstrząs przeniknął mózgi chłopskie. Chłopi tak już nawykli do prawdziwej pobożności a stosowania rozmaitych frazesów religijno - politycznych, że zdumieli się, słysząc polityka chłopskiej partji, posługującego się patosem i imieniem Bożem. Chłopi intuicją wyższych filozofów rozumieli doskonale, iż żadna warstwa chłopów Boga nie odstąpiła, jednakowoż frazesami, jak opaską na ramieniu, odróżniała się wzajemnie w życiu politycznym. Kto, „z Matką Boską i w obronie Kościoła a przeciw lutrom“ szedł do wyborów, był z partji polskiego gospodarstwa, kto wymyślał od lizoniów księżo-szlacheckich, był nowej partji ewolucyjnej. Baran nie powinien był powiedzieć: „zapominacie Boga chrześcijańskiego“.

Więc nie dziwnem było, iż Kowalik zapytał go:

— Wojciechu, co wam jest?

Baran przetarł czoło, wyprostował ręce przed siebie i zmusił szumiące piwem głowy do milczenia...

Po chwili zaczął głosem rozstrojonej harfy.

— Odwołuję! Odwołuję! I jeszcze raz odwołuję!..

Wszystkich przeszedł mroźny odruch wrażenia.

— Jako na świecie wszystko przecie od Boga pochodzi, wselka władza od Boga pochodzi — mówił Baran zacinając się — Pan jest Panem, chłop chłopem, a nadewszystko obywatel jest sługą Kościoła św. i żądać ma na świecie spokoju w domu. Gdzie spokój w domu, tam i w kraju... Rwać się świat wywrócić, to spokój we wsi zmać i przeciw władzy powstawać, która od Boga pochodzi... Złe duchy zastąpiły nasze ścieżki i odwiodzą nas od władzy przez Boga nadanej i mnie złe duchy za masońskie i luterskie pieniądze sprowadziły z drogi Kościoła, na którą powrócić muszę, aby przysięgi chrześcijańskiej dochować... Nie będę powtarzał zwyczajem mowców, gdzie co robiłem na zgubę własnego spokoju, tylko odwołuję, odwołuję i jesse raz odwołuję!..

Po przelocie zadumy ryknęła gwardja naganiaczy: „odwołał, odwołał!“, zaczem wszczęła wiwaty pełnemi szklankami, atoli Janiga ostry chłop, podszedł ku Baranowi oświeconemu lampą szynkową, stanął przed nim, spoglądnął mu w oczy, ważył, co czynić..

Wreszcie plunął mu pianistą śliną w gębę!

Porwali się opici nowi przyjaciele nawróconego Barana, lecz Janiga ostry chłop dobył kozika, stanął za ławą i ryknął:

— Kto sie zbliży, kiski swoje obocy!

Ten argument wstrzymał obrońców Barana, Chrzan zaś w znaku awantury szukał nowych przeciwników mniej zbrojnych i wyzwał Łackiego, siedzącego wraz z przerażonym Kowalikiem.

— Uciek ci panie doktorze! Uciek pod sukienkę Panny Najświętszej!!

Łącki uniósł się pogardą i rzekł:

— Milcz!

— Co! Antykryście, coś mego domu nie uszanował!
Wówczas Łącki powstał i zawołał:

— Ludzie z chłopskiej partji niech wyjdą ze szynku!

Kilku trzeźwiejszych usłuchało doktora i wyszło z nim razem, reszta pozostała, aby toczyć walki polityczne i wysuszyć beczkę piwa do dna, pocieszając się, że Barana na nowo odbije.

Świeży podmuch królowej wiosny jak psalm pokrzepił wzburzone wnętrzości dusz, zapach oranej ziemi i świeżej zieleni był dla nich modlitwą po zadusznych wyziewach szynkowej polityki. Rozkosznie było na padole płaczu, zdala od grania namiętności i poswarów ludzkich! Smutne postacie bojowników lepszej przyszłości pokrzepił czar wiosny po ciężkim razie, jaki spadł na nich z ust chłopa, któremu żona przy pomocy „chrześcijańskiej“ agitacji. zatrąła życie i zabiła wszystką ochotę do świętej walki.

Ci z Łąckim, którzy opuścili arenę szynkową, czuli aż nadto wybitnie, że spotkał ich cios, mogący być strasznym a pociągającym przykładem dla setek oświeconych lecz trwożliwych chłopów. Czuli to, a przykre milezenie było smętną pieśnią pośród melodji wiosennej, śpiewanej na chwałę rozbudzonego życia. A hymn wiosny wionął tak potężnie, iż smętek zadumanych żołnierzy rósł w tłumioną łkanie, w trwogę, w modlitwę o rozrost ojczyzny, hamowany zbrodniczymi środkami.

Kowalik głowinę wzniosł w górę i od czasu do czasu powtarzał: „zło krew... zło krew...“

Wreszcie Łącki zapytał:

— Co to znaczy: odwołuję i jeszcze raz odwołuję?..

Kowalik, nieuczony filozof, odparł naiwnie:

— To znaczy odwołanie.

— Niby odwołanie czego?

— Nie wi to pan doktor: kto czego się wyrzeka robi odwołanie.

— Więc Wojciech dla nas stracony.

— Ale baba swego dopięła, toż to w niebie radość z nawróconego masona — piskliwie zajęczał Kowalik.

A Janiga, ostry chłop, charknął głośno, mocno splunął, nasunął kapelusz na oczy, pochwalił Chrystusa i z miejsca skręcił, znikając w mrokach próżnego wieczoru. Z oddali słychać było plucie...

Dwaj inni chłopci uniżenie się pożegnali, słysząc od Kowalika na rozstajnem:

A nie dajcie się złamać babom, ino weźcie pasa a smalcie głupie, albo lepiej tych mistrzów babskich rozumów!

— Nie damy się! odpowiedzieli, odchodząc.

Pozostał Łącki z Kowalikiem.

W cichy wieczór, upstrzony rojami jasnych gwiazd, potoczyła się spokojna rozmowa pełna poezji. Nie było w niej zgoła nienawiści, jadu, lub radykalizmu polskich gospodarzy, były to pamiątniki ruchu trwającego lat kilka, rozwiniętego nieco staraniem Łąckiego i Kowalika, uwieńczonego dziś kazaniem świętego kapłana i tragedją rodzinną Barana.

Kowalik wiedziony natchnieniem nieuczonem, rozlatał obraz walki, nadzieje swe i zwątpienia, Łącki słuchał go, jak głosu ludu, samorodnego głosu niespaczonego żadną doktryną.

Wznosząc głowinę ku górze, patrzył w migotliwe gwiazdy i dowodził, iż Chrystus niezawodnie trzyma

z ruchem chłopskim, albowiem sam z chłopami szedł we walce o prawa ludzkie i sprawiedliwość. Wywody jego były silne wiarą i przekonaniem potężne nie do złamania! Ale gdy zaszedł chłopina na myśl o losach i uczynku Wojciecha, rozrzewnił się, rozboleł w chłopskim sercu, żal mu było dzielnego i prawego działacza. I mówił:

— Spokoju już nie zazna! Chłop ma swój honor i połowa mądrzejszych chłopów ręki mu nie poda i nie odezwie się przychylnem słowem. *Spokoju już on nie zazna i już od dzisiaj będzie nosił w sercu żalobę, niewiedzący dobrze sam, dlaczego...* A nam i Chrystusowi więcej krzywdy wyrządził, niż dopomógł księżom... On nam śpiłkę w serce wepchał, on nas osłabił, nie w sile chłopskiej, bo tej siły głupi chłop jeszcze nie uzyskał... ale osłabił naszo ucieche, że kiedyś będzie lepiej.. Taki chłop, babski tchórz, tysiące tchórzostwem zarazi na chwilowy pożytek panów i księży, na bide kraju, na wieczystą niewolę Polski... Zło krew... zło krew... tyle liedy na świecie... ale kiej człowiek o Wojciechu pomyśli, to mu się płakać chce.. zło krew...

Wpatrzył się chłopina w migotliwe gwiazdy i patrzył długo a Łącki targany goryczą i zawodem dojrzał na licu chłopskim dwie łzy... łzy błyszczące do gwiazd.

Więc pomyślał: „te łzy chłopskie to gwiazdy“ i przypomniał sobie zdanie z kazania ks. Zabudy:

„Łza chłopska prędziej czy później przekleństwem porazi każdego niebacznego łzy chłopskiej...

Nagle Kowalik porwał się i buchnął się w piersi:

— Kłamstwo, że my przeciw księżom i panom idziemy, a tylko z chłopami! Ten ksiądz... to święty człowiek... a ten chłop... świnia!

XXI.

Zdawna zapowiadany odczyt Łackiego nie udał się. Przyczyna tego była prosta i tradycyjnie polska. Może przywlekłoby się kilku ciekawych, atoli tak szybko i głośno rozniosło się po polskich domach, że Łacki z chłopami zabawiał się w szynku, iż wystuchanie odczytu lamparta najniższego gatunku stało się niepodobieństwem.

Gadaniom nie było końca i tem Łacki dobił opinie, która poczęła na dobre od niego się odwracać. Pani Flora po jego powrocie z Krakowa, została w krótkiej drodze odepchniętą przez niebacznego i niepoprawnego, zawrzała więc złością, wyszczerzyła jadowite ząbki i poczęła kąsać, a każde ukąszenie było śmiertelne. Pani rejentowa żywiła najdłużej sympatyczne myśli, dopiero ostygła, aby już nigdy nie ogrzać swych sympatji, kiedy porównała nieszczerze zachowanie się doktora na balu u siebie z rozpijaniem się i wesołem ucztowaniem z chłopstwem w cuchnącym żydowskim szynku. Uczuła się obrażoną, wysmianą i stała się śmiertelnym wrogiem człowieka o niemoralnych z gruntu i niskich instynktach.

Pozostał naczelnik miasta, który dotąd okazywał przyjaźń a niekiedy dotkliwie serdecznym był, jak pijałka. Gdzie mógł chwycił doktora pod ramię, i ciągnął do swego domu.

Trudno się było oprzeć iście wylanej serdeczności.

Toż Łacki był w domu burmistrzowskim kilka razy, a razu pewnego z burmistrzostwem i pannami na przechadzce.

Przechadzka była nadzwyczaj miłą. Aby okazać się indferentnym, Łącki ustawicznie zostawał w tyle, zamierzając iść w parze z ojcem miasta lub matką córek i miasta. Tymczasem działo się zawsze przeciwnie. Matka i ojciec, jakby to z planu wynikało, ustawicznie cofali się w tył, a Kazia, obrana żoną arystokraty, pchała się jemu pod bok prawy lub lewy, nadto pewnej chwili wsunęła jego rękę pod swe ramię.

Przechadzka poczyniała być nieznośną. Całe miasteczko od arystokracji począwszy, ukończywszy na sprytnych znawcach stosunków z pośród mieszczanstwa i żydów, wszystko trzyma się za brzuchy od szerokiego śmiechu, Kazia pcha się pod bok lewy lub prawy, rodzice co chwila puszczają „kontrparę“ aby się cofnąć, mama zagaduje i wzywa do śmiałości:

— Co się stało, panie konsyljarzu, to się stało. Każda dobra co ma gotówkę i wychowanie. Teraz inne czasy, a kto bałamuci i za bałamuctwo musi coś uciepieć.

Łąckiemu się zdawało, że żył we mgle, nagle z pośród mgły wyłania się coś wyraźnego, czego nigdy przedtem nie spostrzegł. Nie wiedział zrazu, czy to aluzja polityczna, czy groźba pani burmistrzowej, a'e zrozumiał, iż pani burmistrzowa rzekła coś ważnego i jasnego. Począł się zastanawiać i nagle poczęło mu bić serce.

— Kogo bałamuciłem? Teraz moda opowiadać, że bałamucę, lecz nie wiem kogo i kiedy.

— Dobrze sobie — zaśmiała się matka — Pan konsyljarz udaje raz po raz baranka i pyta, kogo i kiedy. Ej, oczka i serce co innego mówią o tej facetce i to od czasu, kiedyście się zwąchali.

Łąckiemu poczęło świtać.

— To zamach na moją niewinność.

— Pan taki niewinny, jak ojciec dziesięciorga dzieci — wesoło dowodziła matka córek i miasta. — Za pierwszym razem wizyty w naszym domu poznał się pan na rzeczy, że dziewczyna z gotówką, to rzecz rzadka w dzisiejszych czasach, przytem zdrowa, jak pień, co zaraz doktorowi się musi spodobać, kiedy widzi w arystokracji zblazowane facetki i to bez gotówki.

Wobec podobnych argumentów, kawaler stracił głowę. Trzebaż nowych zawikłań do szeregu niepowodzeń? Coraz ciężiej stąpać po wydeptanych drózkach miasteczka, coraz trudniej oddechać atmosferą życia w zapadłym kącie, gdzie ludzie postradać mogą ducha, rozum, instynkty i stać się stróżami własnego cienia, męczennikami taczek i chleba.

Matka nigdy tak otwarcie swych planów nie odkryła, Łącki nie mógł się nawet zdziwić, iż upodobań i marzeń pani burmistrzowej wpierw nie odkrył. W tej chwili zdawało mu się, iż odgadł pewne dwuznaczniki, niekiedy stosowane do niego z racji stosunków z burmistrzami. Lecz kto, na Boga, mógł się kiedy spodziewać, iż jego obojętność zostanie poczytaną za konkury.

Na ulicy czyli na gościńcu miasteczkowym nie mógł rozmowy poczynić, ale przeplatając czas odgryzaniem się pani burmistrzowej, chętnie powrócił do jej domu, aby właśnie wszcząć rozmowę, wyjaśnić i żądać wyjaśnień.

Burmistrz zasiadł z doktorem do piwa, burmistrzowa zaraz do kuchni szepnąwszy Kazi „teraz albo nigdy“ będziesz matkę po nogach całowała, a tymczasem zachowaj się z czułością i delikatnie bierz go na mdłości, pamiętaj, że do dnia ślubu on pan, a ty nie śmiesz się skrzywić, chyba udawać. Drugi raz doktor

ci się nie trafi. Jeśli los matce popsujesz, znać cię nie-
chcę... Kaziu moja złota“.

Dokładnie wyuczona przez sprytną matkę, ubrała się dziewczyna we fiołki, wzięła książkę w rękę, którą trzy lata temu dostała od kanonika, weszła do bawialni, stanęła w oknie, przez które widać było złoty zachód słońca. Opoдал burmistrz popijał piwo i przed Łąckim roztaczał skarby i cnoty niewiast, żony i córek, a głównie starszej Kazi. Łącki siedział, jak na rozjarzonych węglach i z przerażeniem przypominał sobie, że w istocie Kazia ścigała go wzrokiem, była z nim poetyczną, zagadkową, ustawicznie się pytywała, co lubi, jak jada, co go gniewa i na co się złości, że w istocie, kilka razy oparła mu się piersiemi na ramieniu, kilka razy rękę kładła mu na kolanie, nie licząc trącania nogą pod stołem.

Lecz czy to musi zniewalać do małżeństwa? Czy on tu bałamucił?

Jak zwykle, napaść burmistrzowej oceniał poważniej, niż należało, bo więcej zwykł ludzi szanować, niż jego szanowano.

Z ojcem rozmowy nie rozpoczynał, wiedząc iż pani domu swym majestatem przewcisła cały porządek domowy.

Przeto przy wieczerzy począł opowiadać o niedawnej podróży do Krakowa, o widzeniu się z narzeczoną, którą kocha więcej, niż wszystko inne na ziemi.

Za grom odpowiedział gromem i piorunem!

Sprytu mu nie brakowało.

Burmistrz bliski omdlenia bezwładnie zwił na krzesle, wcisnął się w krzesło, zdawało się, iż pragnie przebić się przez dębową deskę i runąć pod stół, aby

nie oglądać wzroku połowicy, nadziei strasznych mąk i katuszy. Wzrok zaś pani domu podobny do karbunkuła począł ciskać iskry, które starczyły za wszelkie słowa. —

Lecz Łącki był zgoła nieczuły. Oburzony bezczelnymi planami burmistrzowej, czując swą niewinność, postanowił szydzić.

— Pani jest złą burmistrzową, skoro nie słyszała o mem narzeczeństwie, o czem wróble na dachu...

— Proste kłamstwo! — zajęczała pani. — Ja wiedząca o tem, co w trawie piszczy, o pańskich facetkach bym nie wiedziała? Czy to nie wiem, jak to pan do aptekarzowej przez okno nocami chodził i oknem wychodził? To proste kłamstwo, że pan ma narzeczoną. Pan chce się tylko z nani potargować, a czemużby nie, bawić się wolno, byle nie zanadto, bo to nie zdrowo.

— Nic nie kupuję, więc targować mi nie potrzeba.

— Tylko sy pan bierze, niech i tak będzie.

— Ależ nic nie biorę, bo mi nie trzeba.

— Więc poco pan do aptekarzowej chodził?

— Ona tak by chciała, lecz ja jednej przysięgłem i tej dochowam wiary, a pani plotek opowiadać nie powinna.

— Co prawda, to nie grzech, a chyba tylko nam pan przysięgał, bo do nas chodził, tego się pan nie wyprze.

— Chodziłem tylko do pana i pani burmistrzowej, więcej do nikogo.

— Kaziu! Słyszysz! Komedja! Do ciebie nie chodził!

Tymczasem Kazi uczyniło się niedobrze.

— Mamo... słabo mi!

— Niech cię doktor porałuje!

— Ratuje tylko chorych, a panna Kazia zdrowa!

Tem zdławił cierpliwość burmistrzowej. Polała się tedy namiętność, przez chwilę ostatniemi nadziejami tłumiona.

Kazi czyniło się słabo, bladła, bladła.

W tem pisk matki otrzeźwił ją:

— Nieszczęśliwa.. wyjdź ze sali!..

Rozkazujący palec był wyrocznią w domu. On to wyrzucił Kazię z pokoju; za drzwiami Kazia dostała spazmów z rozpacz.

Teraz nic już nie krępowało wymowy pani.

— Nieszczęśliwy ojcze, bądź świadkiem tego nieszczęścia i tego skandału! — zwróciła się ku ojcu miasta.

Ojciec miasta błędnie spojrział na małżonkę i westchnął ciężko.

— Co wzdychasz łajdaku, coś na córkę „klapę“ sprowadził?!

— Ja?!

Wolałby być pod stołem, niż odpowiadać małżonce.

— Milcz, durniu! Teraz konsyljarz ma głos!

— Owszem, ale niechże wpierw pani się uspokoi,

— Ja mam się uspokoić za hańbę i nieszczęście!..

Uwodzicielu niewiast z gotówką z porządnego domu, czy chcesz, żeby nas tu wszystkich nagły szlak trafił?!

Wówczas zirytowany Łącki w zwięzłych słowach dał pani nauczkę, iż kilkakrotna wizyta do niczego nie upoważnia, skoro świata nie zna, niech przynajmniej się nie ośmiesza.

Furja, jaka chwyciła panią burmistrzową po naucezce doktora, była podobną do orkanu.

Zawyły złości trąby :

— Więc w nagrodę goszczenia taką pan dajesz odpowiedź? Więc śmiejesz się z głupiej matki, co rachowała na porządnego człowieka? Więc po toś pan przyłaził, aby zjeść i wypić w domu biednego rękodzielnika i bajki zełgane po mieście roznosić? A czy zapytałeś się pan kiedy, czy człowiek uczciwą pracą się dorabiający, takiego gołego bałamuta nie ma przypadkiem za guzik i pentelkę? A czy zapytałeś się pan sumienia, żeś panienkę mało do hańby nie doprowadził i wystawił ją na wstyd, że w oczy spojrzeć nikomu nie będzie mogła? Prawdę gadali, a ja głupia w nie-szczęsnej godzinie wierzyć nie chciałam. Prawdę gadali i wygadali i dlatego dziś w oczy muszę panu powiedzieć, żeś pan gorszy od lutra, honoru u pana niema za grajcar, niema więcej, tylko wykpienie porządnego domu i podłość, jak cholera! Tak! Żle panu słuchać! Tak! —

Ostatnie słowa wypowiedziała pani domu dlatego, ponieważ Łącki powstał, zostawił rozpoczętą szklanę piwa i wyszedł.

Trzy godziny gadała pani, zanim zachryła i ze znużenia „buchnęła na kanapę“. Burmistrz nie usiłował odpowiadać, boć wiedział, że sprawę pogorszy jeszcze, natomiast zawodzeń i argumentów małżonki słuchał tem cierpliwiej, iż sam by chętnie doktora skuł na blaszkę. Uwierzywszy małżonce, że doktor da się dla Kazi złapać, nagłą katastrofą przeraził się i odczuł ją głęboko.

Mimo to odetchnął w chwili, kiedy małżonka znużona „buchnęła na kanapę“. Uradowany, iż sam oświście mało w katastrofie ucierpiał, żwawiej poruszył

się na krzesło, nawet powstać usiłował. Tymczasem biedny nie przeczuwał, iż pociski w kierunku uwodziciela panien z gotówką były aktem pierwszym, po od-poczynku zaś pani miał nastąpić akt drugi, znacznie subtelniej zajmujący się osobą pana i burmistrza.

I kiedy srogi ten akt nastąpił okraszony barwno-ścią stylu i namacalnymi efektami, pan domu wił się, jak padalec u stóp Furji i musiał przysiędz na miłość połowicy i dzieci, że nie spocznie, dopóki uwodziciela z miasta nie wyświeci.

Burmistrz to uroczyście zaprzysiągł.

W następny dzień pani pobiegła do kanonika, poskarżyć się w swym bolu, poradzić się i prosić o po-moc. Wydawało się jej, iż trafiła dobrze, albowiem ks. Ziemba przyjął ją z nadzwyczajną serdecznością, prosił i zaklinał, by natychmiast pana burmistrza do niego przysłała i raczyła przypilnować, aby małżonek spełnił jego polecenia. Tylko przypilnować.

Miasto szalało uciechą. Ponieważ tajemnice domo-we w miasteczku bywają tajemnicami najdłużej dzień jeden, miasteczko od góry do dołu poinformowane o wszystkim, używało sobie na hańbie burmistrzowej i panny Kazi.

Lecz Łącki z Klepackim stoczył walną kłótnię, dowiedziawszy się od niego, iż na ucho mówiono sobie oddawna o gotującym się marjażu doktora z burmi-strzanką.

— Obowiązkiem pana było mię ostrzedz!

— Nie miałem odwagi zadzierać z burmistrzem.

— Daj się pan wypchać sieczką, to się zgodzi z pańskim demokratyzmem i przychylnością dla mnie! Pfuj!

Klepacki się obraził.

Ogrom niepojętej niedorzeczności, zawartej w planach burmistrzowej, oszołomił Łackiego, który zagubił rachunek głupoty i rozsądku ludzkiego.

XXII.

Zmrowiło się miasteczko. Krzyżo wa wyprawa, przygotowywana od kilku miesięcy, dobiegała celu. Kanonik przyjmował u siebie rozliczne osoby i komitet „obrony porządku społecznego“, ponieważ tak nazwał trójkę komitetową: siebie, radcę i mecenasa.

Bogu dziękował, iż wypadki służą jego zamysłom, pomagają mu w zbożnym dziele. W pomocy Chrzana, Malcowej widział następstwo faktów, w pomocy pani Flory i matki miasta dopatrzył się zachęty Opatrzności i błogosławieństwa Bożego, przyswiecającego sprawie, jak promienie niebieskiego słońca.

Pewność zwycięstwa dodawała mu energii, co jest zwykłym objawem u ludzi zawziętych.

Pani burmistrzowa, rozjuszona lwica w obronie swych kociąt, wsiadła na karki radców miejskich z łona mieszczaństwa, pani Flora zrezygnowała z wysokich pojęć o towarzystwie, i na prośbę kanonika pomagała niestrudzonej burmistrzowej, a owoce pracy dwu jędz. żmiji i tygryscy, bezwzględny terrorem ciągnęły na swą stronę spokojnych i szanujących doktora ojców miasta

Maziewicz, istotny stronnik doktora, począł pracować przeciw burmistrzowej, lecz co mógł uczynić nauczyciel, osoba poważana w miasteczku więcej dla przy-

zwoitości, niżeli z odczuwanej potrzeby. Sprytny człowiek, odgadłszy niebezpieczeństwo, popędził w lot do ks. Zabudy, przedstawił zamiary kanonika, atoli otrzymał odpowiedź, iż ksiądz nie powinien się mieszać czynnie w spory, chociaż ma czuwać nad moralnością powierzonych jego opiece wiernych. „Dlatego nie będę łąził za arogancką burmistrzową — powiedział Zabuda — lecz ile razy zejść się z którymś z radców miejskich, powiem mu tak, że mu się odechce słuchać babskich intryg. Koniec świata, jak to u nas chrześcijanie umieją utrać ucziwych ludzi“.

— To nie chrześcijanie, jako tacy, to niewyszkolona gromada, którą intryganci za nos wodzą.

— Może i tak.

— Lecz musimy znaleźć jakiś ratunek.

— Jedyne ratunek w działalności Łąckich.

— I Zabudów — dorzucił Maziewicz.

Ksiądz machnął ręką, zaczerwienił się i począł zastanawiać się nad ogromem porywczosci kanonika.

— To, to! Dlatego Kościół ma tylu przeciwników. Sługom Bożym chce się policyjnej służby i miecza w garści.

Bezsilnie wyglądały postacie obrońców doktora!

Dwóch ich było przeciw zgrai ucziwych pajaców i sforze zjadliwych opiekunów ładu i porządku. Maziewicz i Zabuda, nieszczęściem pokrewnego ducha zbliżeni, wysilali się w pomysłach i planach obrony, Łącki pomagał im nieco, lecz trudno było walczyć z wściekłą falą, trudno żagle kierować w czasie burzy, isć gładko po skałach i przepaściach. Wysilali się w pomysłach, albowiem ludziom patrzącym w dal lub w przyszłość, niełatwo rodzą się sposoby intryganckiej walki; drobno

stkowe działania intrygantów mają swe gniazda w duchach pełzaczy, lubiących masło do chleba, poduszkę na krześle i woreczek w kieszeni.

Natomiast towarzystwo ładu i porządku było w swym nastroju i żywiole. Po kilku ścisłych naradach odrzucił kanonik zamiar powołania Chrzana i Malcowej na wiekopomne posiedzenie rady miasta Wisłoka, przyjął zaś pomysł poddany przez panią Florę, by burmistrzowa wraz z Malcową i Chrzaniem obchodziła radców prywatnie i zobowiązywała do solidarności w imię Kościoła i łaski Bożej dla miasteczka.

Klusik murujący szkołę we wsi sąsiedniej, porzucił robotę i ofiarował się na usługi „komitetu ratunkowego“, bowiem twierdził „iż w polityce może więcej coś gdzieś, niżeli z kielnią w garści“.

Jednakże na dziś odrzucono posługę Klusika. Kanonik rozumiał doskonale, że tylko człowiek zagrożony we własnych interesach zdobywa nieustraszoną odwagę i burzy się nienawiścią przeciwnika, to też oglądając z rozczuleniem ciężką pracę burmistrzowej, Flory i Chrzana, Klusika schował na inne czasy, jako tarana do rozbijania łąbów chłopskich i mieszczańskich.

Burmistrzowa dokonała wielkiego dzieła szatańską siłą.

Klasycznym był następujący wypadek:

Pan Kordela, świniobójca, był człowiekiem szlachetnym. Czując grosz w garści, a w mózgu pełno pożytecznych soków obficie jedzonej wieprzowiny, byle komu w kaszę napluć nie dał, a na świat krytycznie patrząc, umiał czasem i głośno i dość rozsądnie besztuć. W gębie był mowny i gorący. Do niego po koleji zapukała

burmistrzowa Malcowa i Chrzan. Weszli śmieiej. niby do swego, jako do mieszcza na z dziada pradziada.

Poczęli recytować formułki i zaklęcia, niespodziewanie jednakże trafili na opór człowieka, który dotychczas niczem nie ujawnił, iż żywi w sobie masonskie nauki.

— Całe miasto — rzekł pan Kordela — palcami was wytykuje, paniedzieju, ajakże. Cóż to, paniedzieju? Porządneho człowieka chcecie utraćić! Co wam doktor, zawinił, paniedzieju? Porządny chłop, ajakże i kwita! Co to, to nie! Nie dam się wziąć na kawał.

Malcowa poczęła przedkładać rzecz o spełnionym na niej cudzie.

— Pani Malcowa, paniedzieju, dajcie się wypchać a jakże cudami Prawdę powiedział, że cudów Bóg dziś nie czyni, bo gdyby to było prawdą, że cuda czyni, paniedzieju, toby już dawno Malcowej za te plotki ajakże język z woli Boskiej w gada się zamienił i syczał na momento Boskie... ajakże!

Malcowa podchwyciła rezon pana Kordeli, namotała na swój walec plotkarski i obiecała solennie podać to do wiadomości kanonika.

— Podaj to pani Malcowa paniedzieju, ajakże, niech wybębni policjant na rynku. Tu mam opiekę światową! — buchnął się pięścią po kieszeni odważnie. — Biednego doktora, paniedzieju, to może ścigać ten pasibrzuch, co to tylko kart i dziwek pilnuje, ale na Kordeli złamie ząbek, jak mi Bóg miły. Wiem, wiem, ino zadzierać mi się nie chce, wiem, co się stroi na biednego doktora, ale Kordela paniedzieju ręki do świństwa nie przyłoży. Ajakże, dlatego to ks. wikary za doktorem i wszystko, co ma czystą duszę? Ajakże panie-

dzieju! Widziałem na świecie wiele, wiem, co świństwo, a co po Bożemu. Idźcie panowie i panie do innych, bo u Kordeli nie nie wskóracie.

— Czy pan Kordela nie na to, że on panu czeladź buntuje — powiedziała burmistrzowa.

— Czy ja król, żebym się buntu bał? Dziękować Bogu, od kiedy mi doktor począł czeladź buntować, paniedzieju, robotą u mnie idzie jeszcze lepiej, ajakże! Tylko głupi albo zły buntów się boi paniedzieju.

Wobec zasadniczo przeciwnych zasad pana Kordeli, po raz pierwszy od dni kilku oniemiała gwardja chrześcijańska.

Pan Kordela był rajcą miejskim dość wpływowym, to też jego wynurzenia przeraziły panią burmistrzową. Nie tracąc nadziei, usiłowała wydobywać wszystkie możliwe argumenty, ale Kordela zrazu rubasznie, począł następnie odpowiadać w gniewie.

— Co mi do doktora? Ani mnie paniedzieju ziębi ani grzeje ajakże. Ale takie praktyki to mi kiszki w brzuchu przewracają, paniedzieju. Piotr jest Piotrem, a łotr łotrem, starosta albo kapucyn, ale żeby się uczepić porządneho chłopca za nic, za nic, paniedzieju...

— Panie Kordela, to przeciw Bogu buntownik!

— I przeciw pani Jamrugowiczowej, paniedzieju. Coś my o tem wiemy, ajakże... i córka pani coś wie, paniedzieju...

Panią burmistrzową sparły kolki i tylko dzięki swemu posłannictwu wstrzymała się od wyuczenia pana Kordeli należnego szacunku względem siebie.

Jednakże podobnie do wulkanu, rosła w zawziętość, czem więcej oporu napotykała. Chwilowo nie nie wskórawszy u pana Kordeli krom śmiechu i szyderstwa,

wygnała Malcową i Chrzana do domu, a sama zaś do kanonika na naradę

Po drodze nastrciła burmistrza i rozkazała mu dwie lub trzy godziny gadać z Kordelą, i nie pokazywać się w domu inaczej, jak ze słowem Kordeli.

Pan burmistrz również z przyrodzenia uczciwy i dobry, rozgadawszy się z panem Kordelą, porozumiał się z nim szybko. Obaj w zasadzie nie różniąc się, gadali spokojnie, to też burmistrz łatwiej mógł towarzysza nakłonić ku swemu celowi, a nakłonić chciał koniecznie, bowiem czuł niewymowny żal do doktora za złamany los Kazi. Biedny człowiek uwierzył, że doktor dziewczynę zbałamucił i puścił w trąbę śmiechu i gadania ludzkiego.

— Doktor to wolny ptak, nie utrzyma się tu, utrzyma się tam — dowodził pan burmistrz. — Być może, że wyjedzie z miasta, kiedy na radzie odbierzemy mu pensję miejską; straci grunt pod nogami, więc wyjedzie. Ale krzywdy tem się mu nie uczyni, bo doktor wolny ptak, wszędzie chleb znajdzie.

— Ale świństwo zostanie świństwem, o to mi idzie, paniedzieju.

— To prawda, ale lepszy spokój w mieście, niż to, że taki a taki doktor tu mieszka. Bo gdyby jemu co groziło, to sam bym był za nim, ale tu chodzi tylko o spokój w mieście, którego my ojcami..

Czego nie uczyniła wymowa strasznej burmistrzowej i straszni świadkowie zbrodni doktora, to mogła uczynić filozofja burmistrza. Jad zdławił duszę jednego mieszczanina, począł się sączyć w duszę drugiego. Ale na nowo ocknęła się dusza pana Kordeli, gdy burmistrz przyznać musiał, iż gdyby kanonik był mniej zajadły, byłoby wszystko dobrze.

— To, paniedzieju, klechom zachciało się, paniedzieju, zabawić się w wyrzucanego, ajakże. Ja jużem dawno uważał, ajakże, że nasz kanonik to ćwik nielada. Wiemy wszystko, co, jak, dlaczego i na to my ojcowie miasta, aby i nad złością pasibrzuchów czuwać. Kanonik wyrzuci doktora, niech wyrzuca, my ręki przykładać, paniedzieju, nie potrzebujemy. Świństwo jest świństwem!

Burmistrz gadał, gadał i odszedł, nic nie wskórawszy.

Aliści ledwo „szezeli smród po burmistrzu“, bo tak się wyraził pan Kordela, wbiega mecenas Mączka.

Pan Kordela był już zmęczony dwiema dysputami, więc zły i markotny przywitał niespodziewanego gościa, jednakże przez wrodzoną uniżoność wobec wyższych stanów, zmieszany stracił na pewności siebie i wstydliwie zapraszał mecenasa do siedzenia, wyciągając z za pieca butelczynę wina.

Wizyta mecenasa poruszyła dom, w kwadrans po jego przybyciu połowica pana Kordeli okazała gościowi swą pulchną osobę.

Pan mecenas na widok gospodyni począł szastać nogami i w pół się zginać zdobywając przychylny afekt pani Kordelowej. Pan Kordela począł tracić siły, bowiem zauważył, że połowica zadowolona z grzecznych komplimentów mecenasa, poczyną do niego „robić oczy“. Nie przyzwyczajonemu do długich debat, poczęło się mącić w głowie. Mecenas zaś dowodził:

— Przyzna pani radczyni..

Pani Kordelowa podrosła. Była to sobie pani Kordelowa dla swego towarzystwa, „pani rzeźniczka“, a chociaż wiedziała, iż mąż jest rajcą miejskim, nie marzyła, aby kto ją kiedy tak wysoko utytułował.

Podrósłszy i zrobiwszy oczy, uznała w tej chwili, iż mecenas jest najmilszym człowiekiem pod słońcem i z góry wszystko przyznała.

— Przyzna pani radczyni — dowodził mecenas — że żyliśmy w świętej zgodzie dotychczas i wszystkim było dobrze. Tymczasem od kiedy się ten doktor pojawił, całe miasto we dnie i w nocy spokoju nie ma. Czy nie prawda?

— Ach, wielka prawda, panie mecenasie dobrodzieju, nikt o niczem innem, tylko o nim gada.

— A widzi pani radczyni. Prawda, że z nim nikt nie wytrzyma?

— Źle mi się robi, gdy to wszystko słyszę. Skaranie Boskie!

Aczkolwiek świniobójca był już srodze strapion dwiema dysputami, przecież okazał tyle tęgości ducha, iż poznał, jako mecenas dowodzi beczelnymi frazesami. Zezłościł się więc i rozgorączkował.

— Że wam się podobało ciągle o nim gadać, ale powiedzcie z ręką na sumieniu, co on wam złego uczynił? Jeśli sądzić, to mieć pewność, paniedzieju, złodzieja!

— Mężu! — w niedobrym tonie odezwała się świniobójczyni.

— A tak! — krzyknął pan Kordela. — Że nie śpiewa za waszymi skrzypkami, to nie znaczy, paniedzieju, że jest zły. Właśnie ajakże, może lepszy od was, paniedzieju!

— Mężu! — w niedobrym tonie rzekła Kordelowa. — Taki gość dobrodziej przybył do nas, a ty swoje?

— Pan Kordela jest niegościnnie.

— Tak jest, jeszcze mieszczanom wiele do elegancji brakuje — rzekła pani Kordelowa.

Mecenas, widząc w niewieście przyjaciółkę, bez wielkiego wysiłku natarł z nią na zdenerwowanego Kordełę.

— Pan w nieprzyjacielskim obozie stajesz! Radzę nie stawać. Walka z nami ciężka. Walczymy dzielnie, a do kogo się weźmiemy, będzie musiał walczyć dzień i noc, aż rozchoruje się z roboty.

— Widzę to, od południa już mi się z gadania w głowie kręci, tyle więc powiem, że świństwo będzie świństwem do końca świata...

— Mężu!

— Bo mię złość chwyta.

— Mężu!

— Oto co. Poco będziemy się tu spierać i zabierać drogi czas pani radczyni. Niechże pani radczyni namówi szanownego męża, by poszedł wraz ze mną do kanonika na pogadankę.

Pani Kordelowa po części podbita, po części w strachu o spokój męża, mogącego się narazić i walczyć dniem i nocą — chwyciła się planu mecenasa i z nim razem poczęła męża wyprawiać do kanonika. Pan Kordela się bronił:

— Dajcie mi święty pokój, ja tam gadania się nie nauczyłem, zakrzyczą mnie i ze świętego zrobią djabła. Nie pójdę!

Pani Kordelowa przyniosła kapelusz i parasol.

— Mężu, nie trać dobrej chwili, bo se narobisz wrogów.

— Nie pójdę!

— Gadać do ciebie nie chcę!

Pani Kordelowa poczęła trwożyć się o męża. Postanowiła go zmusić. Nie wypadało używać słownych

zakłęb w rodzaju pani burmistrzowej, lecz pani Korde-
lowa, mistrzyni w dźwiękach głosu, piszcząc słodziutko,
dała mężowi do zrozumienia, że jej wolę spełnić musi.

Poszedł do kanonika, po drodze rozpaniętując:

— Z Jamrugiewiczową raz, z Jamrugiewiczem
drugi raz, z mecenasem trzeci raz, z kanonikiem czwarty
raz. Cztery razy głowę suszyć, paniedzieju, w kilku go-
dzinach, ajakże.. to źle.. Czy tak zawsze trzeba, gdy
się z pasibrzuchami zadrze?.. Zimno mi się robi..

U kanonika poznał rozkosze walki politycznej!

Szum w głowie, bolesna gonitwa myśli, niemożność
odpowiadania wytrawnym gębom, świadomość, iż wobec
przewrotnych ludzi serce prędej z katuszy pęknie, niż
czego dokona... to wszystko dało Kordeli przedsmak
piekła.

Musiał uledez niezłomny bohater z przed trzech
godzin.

Powodując się nadzieją, iż się coś odmieni i samo
się polepszy, obiecał.. innym „rozsądnym“ radcom nic
nie tłumaczyć, ani niczemu nie przeszkadzać.

Wracając do domu, chwiejny w nogach jak po
libacji, dąsał się pod nosem:

— Świństwo jest świństwem, paniedzieju.. To za-
wzięci ludzie... Człowiek musi ustąpić, boby zwarzjował...
ajakże... zwarzjowaćby przyszło, paniedzieju... głową
grzmocić w ścianę... z języka zrobić świński ogon,
ajakże... albo patrzeć na świństwo i od siebie pasibrzu-
chów opędzać, ajakże... świnię... ino kłuć, albo uciekać
od tych smrodów... Porządnego chłopą się im zachciało..

Zanim doszedł do domostwa, gdzie tyle niewinnej
krwi się lało, a kwik bezrogich stworzeń był mu mil-
szym od politycznych oracji pasibrzuchów — burmi-

strzowa miała czas wywiedzieć się dokładnie o zwycięstwie kanonika nad czerwonym świniobójcą.

Tryumfowała tryumfem ludzi, którym zemsta jest celem.

Kordela pokonany, promienna otucha rozjaśniła ciężkie godziny upokorzenia.

Miasteczko rozpasalo się rozmowami. Gruchały one, jak rzechot żab w bagnie, niemogących nigdy ukończyć gadania. I w całym majestacie niemocy, dusza miasteczka przewalała się po wierzchu rzeczy chwając doktora bezstronnie i przyjaźnie, a oglądając się na potężnych „coby człowieka i zniszczyć mogli“ i pilnie bacząc, czy władcy ucichną lub nie.

Dusza Wisłoka analogiczna do duszy narodu, jak obrzydliwa wiedźma ślepa i chroma, rechotała i stała nad miasteczkiem upiorem nieskończonego upodlenia i bezsilności.

Łącki z Zabudą, wieczór w wieczór chodząc polami kwitnącemi pod łaskawem berłem wiosny — powtarzali sobie wzajem żale i smutki swych wolnych duchów i śpiewali hymn bólu, podobny rozpacz. Łącki jako członek narodu, Zabuda jako kapłan Chrystusa. Obaj dokładnie znali duszone w otchłani ognie szczerej życzliwości dla doktora. A to było najstraszniejsze! Krzywda wisiła nad sympatycznym człowiekiem, ponieważ ojcowie miasta *nie mieli siły być uczciwymi, nie tracąc wcale uczciwości!!!* Łącki pokpiwał sobie, że Szekspir nie znalazłby subtelniejszego wątku tragicznego, zaś znając się nieco na sztuce dramatycznej, wzywał wszystkich polskich dramaturgów, aby w nowym ruchu narodowym szukali dzieł wstrząsających potęgą nieszczęścia i grozy i walki duchów.

Lecz zaraz przypomniał sobie zdanie pewnego dyrektora teatru, iż polski pisarz sceniczny nie powinien się zajmować... polityką!

Ks Zabuda począł żartować i powiedział:

— Jeśli tak rzekł dyrektor, w nagrodę powinien zostać burmistrzem we Wisłoku.

Z każdym wieczorem, poświęconym wspólnej przechadzce, żarty coraz częściej wkradały się w niewesołe rozmowy dwóch tych przyjaciół.

To ks. Zabuda wkładał żarty do rozmowy. Pomny zadania, przewidując, co będzie, duszę narodowego piewcy czynu pragnął natchnąć obojętnością wobec najbliższych wypadków, a skierować ją ku nieustającej pracy nad odrodzeniem. I poczęło się to udawać. Łącki nabył tyle trzeźwości, iż bez wzruszenia rozmawiał o wyniku posiedzenia rady miasta, które za kilka dni miało nastąpić.

Atoli w najgorętszej chwili brakło mu pocieszyciela, który stał mu się przyjacielem i kapłanem. Na dwa dni przed posiedzeniem rady niespodziewanie przybył ks. Zabuda do Łąckiego. Twarz księdza była jasną, spokojną, szły z niej promienie niezwykle szlachetności, jednak było w tej twarzy coś, co zwróciło uwagę.

— Co księdzu? Co się stało?

Ks. Zabuda wyjął z kieszeni pismo i rzekł:

— Biskup wzywa mię natychmiast, już więcej tu nie powrócę. To skutki kazania...

Łącki odczuł poczynające się męczeństwo sługi Bożego.

Pismo biskupie było gwałtem dla przeczystej duszy księdza, który miał świadomość, iż za kazania ka-

nonika, tchnące świecką nienawiścią. włos mu z rąk władzy kościelnej nie spadnie.

— Na tom się ofiarował, godnie okupiłem twój czyn chrześcijański, kochany doktorze. Dla wierzących zostaje najwyższa nadzieja najwyższej nagrody u tronu Bożego, resztę się przetrzyma z Boską pomocą.

Pismo biskupiego konsystorza pozornie nie nie przepowiadało. Było to wezwanie do wytłumaczenia się z kazań i innych działań w parafji. Jednakowoż ks. Zabuda dobrze rozumiał, że czeka go surowa nagana i natychmiastowe przeniesienie w inne miejsce — a nadto pokuta i przymusowe rozpamiętywanie, że Kościołowi niedość iść prostą drogą prawdy Bożej, że nadto trzeba toczyć brudne męty polityki, gdyż bez polityki Bóg Kościół nie pobłogosławi.

Ks. Zabuda bez ustanku mówił podczas ostatniej przechadzki z Łąckim.

Spólna dola zbliżyła ich, poczęli mówić sobie przez „ty“. —

— Wielka szkoda, że tak bardzo kochasz tę pannę — po rozwadze rzekł ksiądz z ogromnym smutkiem. — Tyś się żenić niepowinien...

Łącki zadrzał... odpowiedział milczeniem.

— Celibat jest głupstwem, jednakowoż bardzo sprytnym i potrzebnym środkiem. Kto nie może poświęcić się rodzinie i jej bytowi, może ofiarować się cierpieniu i chwale Bożej. Już ten świat taki niedobry, że kto chce walczyć o proste ścieżki, musi znieść od ludzi bardzo wiele; Kościół mając wielu nieprzyjaciół, celibatem stworzył sobie armję niezmiernie silną i gotową na wszystko i celibatowi zawdzięcza wiele, bardzo wiele. Rzekłem, iż celibat jest głupstwem, i byłby może nie-

potrzebny, gdyby księża byli nienaganni — jednakże z powodu, iż księża są słabi jak inni, więcej przecież mogą uczynić jako wolni, niż gdyby byli troszkę o byt skrzępowani. Ty zaś masz trudniejsze zadanie, niż księża. Nas jest czarna chmura, tobie podobnych garstka, nas Indzkość nie lubi, ciebie własny naród.

Źle było w tej chwili obu przyjaciółom.

Łącki po raz drugi odczuł, że w radach pani Flory i księdza tkwi jądro prawdy okrutnej, ale prostej. Przyznał się tedy do wszystkiego, przeto do uwag samej Stefki i do swego buntu przeciw okrutnemu losowi.

Ksiądz więc przeraził się rad własnych i począł głaskać duszę młodego człowieka, jak spowiednik troskliwy o wiernego i mówił:

— Wobec obojętności narodu dla spraw rozwoju, wobec bierności niewolników, obowiązkiem prawego człowieka iść prostą i zbożną drogą, poza tem nic cię nie obowiązuje. Dobra wola czynienia lepiej niż się powinno, wkracza już w dziedzinę cnót ewangelicznych, co do których Bóg sam obowiązku nie założył. Prawdą jest, iż nam w Polsce trzeba rycerzy, którzyby postawili to, co leży w gnuśnej spiączce

— Muszę być takim!

— Lepiej być szczęśliwym posiadaczem czystego sumienia i koło gniazda chodzić, największego szczęścia, jakie tylko Bóg światu użyczył. I przykazuję ci, szlachetny człowieku... po moim odjeździe raz dziennie masz przeniknąć chwile i oprzeć się myślami aż tam, przy niej i przewidywać sobie, że idziesz z nią piękną słoneczną łąką, kwiaty po drodze zbieracie oboje i wznosicie je ku błękitom...

Popłynęła rozmowa, ksiądz jakgdyby chciał wygrać romans swej duszy, stał się poetą, żegnając tę ziemię i ten zakątek, w którym dano mu d'a prawdy cierpieć, wypowiedział Łąckiemu tyle piękna, tyle obrazów pogodnej wielkości słowami wymalował, tyle spokoju w cichej pracy żywota wyśpiewał, iż Łącki myślał o Stefce pod wrażeniem porzucenia walk olbrzymia i ukrycia się w kwiatach miłości po uszy.

Ów śpiew pożegnalny trwał na wonnych polach przez długie godziny do północy. Ksiądz żegnany wyłącznie przez doktora, wczesnym rankiem po odprawieniu służby Bożej odjechał, by odjazdem nikogo w miasteczku nie krwawić, boć nie tajemem mu było, że miał między owieczkami wyłącznych przyjaciół. Łącki szedł sercem za pokutnikiem, zdawało mu się, że osierociał w tłumie przyjaciół, którzy gotowi kamienować, jeśliby tego wielcy zażądali.

Obowiązków swych lekarskich nie niechając, chodził, jak błędna owca, niepocieszony niczem i strapiony coraz widoczniejszym faktem, że organizacja chłopstwa i mieszczaństwa jest trudniejszą, niżby się zdawało. Trudno sługi przerobić na szanownych panów.

Skutkiem wszystkich przeżyć był pogrążon w otchłani, obcym we własnym narodzie, niezrozumianym nawet przez mędrców, od nich najsilniej bitym.

Nagle jasny promień przedarł kłębiska otchłanne. List Stefki pisany z sąsiedztwa, ze wsi, z domu staruszka wujaszka, wraz z jego dopiskiem, iż każdej chwili oczekuje człowieka, o którym tak wiele dobrego słyszał.

Gdy się ogrzeje dusza, powstaje w niej moc wielka, rany przestają boleć i życie tężeje. Tak się stało z za-

kochanym. Radosny nadzieją różowych chwil, wybiegł wesoły między ludzi rozpytać się o drogę, gdyż wiedział, iż bocznymi drogami do dworu starego szlachcica niedaleko. Usłużne żydki poinformowały go, że na wiejskie drogi nie dalej, niż cztery mile — przeto rano w dzień posiedzenia rady, chłopskim wozem powiózł się do Stefki mieszkającej w starym dworze.

Miasteczko zostało, aby stanowiąc o najbliższym losie młodego człowieka. Wszysey robili coś w tym kierunku.

Nawet Klepacki pracował, a okazał się nadspodziewanie wiernym, mimo obrazę, dla zasady bronił doktora i usiłował z ojcami miasta gadać, ponieważ jednak działał jako Klepacki, cichy demokrat, uczynić nic nie mógł. Jedyny Maziewicz działał i działać umiał tyle, iż trzech ojców miasta zobowiązał do wstrzymania się od głosowania.

Tymczasem „komitet obrony porządku społecznego“ po wybuchu pierwszej pary przed kilku dniami, w dzień posiedzenia na nowo nagotował kotły i puścił nową parę, by pod wrażeniem ojcowie do głosowania poszli.

Porządek dzienny obrad w drugim ustępie brzmiał: „Sprawa lekarza miejskiego i oglądacza targowego.“

Pani Flora, burmistrzowa, Malcowa, Chrzan — poczęły tańcować po tatarsku, brali w jasyr sumienie i rozum ojców miasta, w większej części kołtunów i matolków polskich, nie czujących, iż sumienie odzywa się w inny sposób, niż starszyzna nakazuje.

Dzięki niezwyklej i wzorowej energii kanonika, sprawa nabrała nerwowej siły. Opinia dotychczas śpiąca, zrozumiała, iż stać się ma coś ważnego i pojęła, że

rada miasta to wielka instytucja, gdzie można coś zrobić źle lub dobrze. To też samorodna opinja dopiero w dzień rady poczęła nad miasteczkiem łopotać sztandarami.

Najpierw wszyscy ogłosili, że o drugiego takiego doktora na świecie trudno. Potem przyjaciele burmistrzów uznali, że dla doktora, który przyszedł i pójdzie, nie opłaci się zrywać odwiecznej mieszczkańskiej zażyłości z dziada pradziada. Następnie kandydat na burmistrzostwo zajął stanowisko przeciwne niż burmistrz, aby tylko być przeciw burmistrzowi. Ponieważ atoli iść za doktorem byłoby wystąpić przeciw kanonikowi i utrudzić sobie szanse wyboru na burmistrza, kandydat na burmistrza opublikowawszy sympatję dla doktora na despekt Jamrugiewiczowi, postanowił głosować przeciw doktorowi dla przysłużenia się księdzu.

Inni związani bractwem kościelnem i ślubami, chwając doktora jako lekarza, postanowili iść przeciw niemu jako lutrowi i masonowi, w czem utwierdził ich smutek żydów, żałujących taniego lekarza.

— Żydy za nim, prawdę gada przewielebny kanonik...

Żydy szły za kanonikiem, albowiem przy nim była siła i władza.

W ten sposób ojcowie miasta tracili wszelkie wątpliwości, sumienie rozgrzeszało zupełnie, mimo że czuli jego wyrzuty.

Tragiczna jednak sytuacja ojców nie opuszczała. Zeszedł się jeden z drugim, „co uczynimy z doktorem“ pyta jeden — drugi odpowiada „dałby sobie kanonik spokój, to nie po chrześcijańsku taka zawziętość..“

— Zmieńmy porządek i nie radźmy nad doktorem.

— Tak znowu nie można, kanonik by się gniewał.

— Co czynić?

— Pluć na wszystko. A właściwie, gdyby doktor o nas dbał, chodziłby do nas z prośbą tak, jak Jamru-giewiczowa.

— Słusznie, słusznie, na świecie trza być pokornym.

— Tak jest, on głowę zadziera.

— Porządny bo jest, ino pan wielki.

— Gardzi mieszczanstwem, nie chciał się żenić z Kasią burmistrzanką. Porządny, ale nie dla nas.

— To może prawda. Bo to, że mason to terefere i blaga.

— Jużci, to sztuka kanonika, bo kanonik, powiem wam na ucho, złote serce, ino mściwy i zawzięty.

— Więc co czynić?

— Wedle sumienia.

— To się wie, a co gada sumienie?

— Jużci, że duchowna osoba pierwsza.

— Prawda.

— A doktor porządny chłop, ale arystokrata.

— Prawda.

Gdy tak szemrała opinja, a tragedia wisząca nad miasteczkiem, w masce błazna, nieludzkim śmiechem przygrywała tej opinji.. wieczór wiosenny się zbliżał, sala posiedzeń rady świeżo skropiona i wymieciona, czekała swych lokatorów.

Portret Kościuszki za szkłem czerwienił się od blasków zachodzącego słońca, Mickiewicz z gipsu stał zimny, jak gład.

Zapalono lampy, radni poczęli się schodzić. Nastrój był głupi i niemrawy. Nie było zwykłych rozpraw, snuły się pogwarki niezaczynane i niedokończone. Odebranie posady bez przyczyn, mimo uznania, bez nienawiści, bez

przekonania — były to potworne elementy, zdolne nerwy ospalców wyprężyć i odurzyć.

Burmistrz przybył z kanonikiem, pod oknem przechadzał się Maziewicz z Kordelą. Maziewicz sam nie mógł czynnie przeciw kanonikowi wystąpić, wszak miał posadę, żonę, i dzieci, lecz znając Kordelę, w ostatniej chwili chciał go natchnąć bohaterstwem.

Uczciwy rzeźnik wyśpiewał, dlaczego musiał obiecać kanonikowi pewne względy.

Maziewicz po raz setny wypowiadał, że jeśli niezależny człowiek stanie się mordercą prawdy, to trzeba będzie sobie w łeb palnąć.

Kordela słuchał bakałarza, gdy dzwonek ogłosił rozpoczęcie posiedzenia.

Pierwszy punkt porządku dziennego był martwy. Nastąpił niebawem drugi. Referentem był sam kanonik.

Radni poobsiadali ławki i krzesła po bokach i kątach; gdzie tylko się znalazło zacienione miejsce dla jednego, siedziało trzech radnych, aby tylko w blasku lampy nie pokazać oczu. Sumienie było pod kamizelką, tego się wstydzić nie trzeba było.

Kanonik był zawsze dobrym i wytrwałym mowcą.

Mówił godzinę. Rozpoczął od określenia prądów w kraju i w kościele. Ponieważ atoli radni umieli na pamięć wszystkie argumenta, słyszane już z kazalnicy, za przykładem jednego, wyszło kilku na cygaro do bocznego pokoju, kilku opuściło głowę, przymknęło oczy i poczęło sapać, udając zasłuchanych, reszta słuchała z przyzwyczajenia jak w kościele.

Kościuszko i Mickiewicz nie mogli wyjść ze sali, albowiem obaj byli mocnymi hakami przybici do ściany.

Dopiero szczegółowe dzieje doktorskiego żywota, a szereg zbrodni dokonanych w ciągu kilku miesięcy pobytu, to dopiero rozgrzało towarzystwo. Poczęto kiwać głowami i lekko trącać się łokciami.

Kanonik barwnie opowiadał działalność doktora polityczną, której końcem miało być wysadzenie miasteczka dynamitem.

Na zupełnie głupiego i mądrego nie działa krasomówstwo, na przeciętnych ludzi działa ono gromowładnie. Lepszy mówca ma lepszą rację, a że nie było w radzie lepszego mówcy nad kanonika, kanonik miał najlepszą rację.

Ze stanowiska politycznego, wytrawne śpiochy polityczne w pełni uznały słusność wywodów kanonika. Atoli koncertem mowy i prawdziwie zwycięskim strzałem był opis zbrodni spełnionych przez doktora przeciw Kościołowi i wierze św. Jak dobry wódz, kanonik nigdy nie marnował pocisków, zawsze pewne trzymając w zapasie. Kiedy pchał w sumienia rajców grozę i osłupienie z powodu bezceństw religijnych i uważał, że gęby rajców marszczą się, a oczy stają się wytłupiate i że główny punkt mowy nadchodzi, wyjął z kieszeni list i gromiąc, wznosił go w górę dla zaciekawienia słuchaczy.

Przyszła sprawa Malcowej i sprawa rozpijania chłopów po szynkach, sprawa Chrzana, osobistych wynurzeń doktora wobec mówcy, sprawa zaprzeczenia cudów, sprawa faryzeuszostwa, to znaczy chodzenie do kościoła mimo plugawą bezbożność w duszy, lecz dotąd nikt nie wiedział, jakim to argumentem jest list dzierzony w rękę. Wreszcie stanął list gorejącym słupem.

Kanonik i listowe prowadził śledztwo i szczególnym trafem dowiedział się o świadku tajnego stowarzyszenia religijnego, do którego Łącki należał.

Stowarzyszenie to istniało w Krakowie, rozwinęło się pod wpływem wolności umysłowej życia stołecznego, należała do niego grupa wcale poważnych ludzi, z powagą radzących nad usunięciem wielu a wielu kwestji religijnych, a wprowadzeniem nowych. Głównym celem było urządzenie takiego wyznania, któreby umożliwiło inteligencji spełnianie praktyk wyznaniowych bez okłamywania siebie i drugich. Stowarzyszeni doszli bowiem do przekonania, iż na sto wykształconych ludzi podających się za katolików, co najmniej dziewięćdziesiąt żyje w herezji, lub wprost inaczej wierzy, niż Kościół nakazuje. Łącki ciekawy wszystkiego, a wielki zwolennik powszechnej dorocznej spowiedzi wobec Boga, bez udziału księdza, począł uczęszczać na tajne zgromadzenia, jednakowoż wkrótce usunął się, bo go sprawy polskie całkowicie pochłonęły.

Tymczasem ów świadek doniósł kanonikowi o herezji Łąckiego.

List „na szczęście“ pojawił się na dwa dni przed posiedzeniem.

Kanonik odczytał go trzy razy i umiał treścią jego przedstawić tak rzetelne piekło, tyle języków wpleść w gorzącą wyobraźnię rajców, iż dusznica i pomór dusz zaległ na chwilę salę miasta.

Fala słów mowcy zalała rozumy ojców, groza zbrodni zasiała otrętwienie i omdlenie wszelakiej krytyki. Ksiądz skończył, lecz echo straszliwych, upiornych słów wyło w mózgach poczciwców.

Milczenie, spokój podobny śmierci dusz ..

— Zabiera który z panów głos? — odezwał się burmistrz, pilnujący swej formalistyki.

Ale głos jego w sali, w obecnej chwili, był podobny do stukotu palca po rozbitym dzbanie.

Gdy uleciało pierwsze wrażenie, odzew opamiętania zatroskał umysły radnych.

Anioł sprawiedliwości przeleciał i białemi skrzydły uczynił przewiew w duszach. Poczęto spoglądać po sobie i rozważać.

Atoli do głosu nikt dojść nie mógł, gdyż milczenie było głośniejsze i głosy tłumiło.

Wtem przy piecu stojący Kordela świniobójca, zbladł i kurczowo wysunął dwa palce ku stołowi burmistrza.

— Pan Kordela ma głos!

Kordela wsunął rękę do kieszeni, krząknął i rzekł:

— Szanowni panowie koledzy tu zgromadzeni — ajakże — powinni głos zabrać i zastanowić się, czyby nie trzeba drugiej strony wysłuchać. Mamy go wyrzucić, paniedzieju, albo nie, a to muszę powiedzieć, że tylko stary wiecheć słomy wyrzuca się na gnój bez sądenia, człowieka tak nie można... ajakże...

Burmistrz i kanonik przeszli Kordelę rysim wzrokiem, a kanonik burmistrza natychmiast o głos poprosił.

Ile w nowej mowie było apelów do sumienia chrześcijańskiego, ile zapewnień, że dwóch przodowników żyć razem nie może, że z bolem serca ujdzie z miasta, gdyby wysłannik pogan miał zyskać pierwszeństwo. „On albo ja!“, krzyknął mąż najwyższej moralności.

Po mowie, bezwzględni zwolennicy kanonika zauważyli, że mimo wszystkie dowody, przynajmniej połowa

radnych ma wymalowany na twarzach znak pytania i znaki zakłopotania.

Co czynić, za kim pójść?...

Znów ponura cisza zaległa salę obrad. Kościuszko i Mickiewicz milczeli pospołu z radzającymi.

Skromnie z bocznego pokoju wysunął Maziewicz głowę i odezwał się:

— Możeby na kwadrans zawiesić posiedzenie, wolelibyśmy poufnie pogadać i naradzić się.

Ruch gwałtowny radnych wskazał, że to myśl dobra.

Kanonik klasnął w ręce i krzyknął „zgoda“, burmistrz zawiesił obrady, sala zamieniła się w ul brzęczący tłumionym pogwarem.

Słychać było głośniejsze rozumowania Kordeli:

— Świństwo jest świństwem...

Kanonik porwał się nieco zgorączkowany, po drodze szepnął Kordeli, że złamał słowo, szepnął coś burmistrzowi do ucha i wybiegł.

Czarna postać ostała się na ulicy i z jakimś towarzyszem zaczęła szybko przechadzać się wzdłuż domu gminnego.

— Nieobecność księdza ośmieliła radnych, zaczęto zwolna rozważać, ale rozwadze przeszkodził donośny głos burmistrza i kilku trabantów, głoszący, iż temu doktorowi władza nigdy nie odda nadzoru targowego, to zaś narazi gminę na wydatek kilkuset „łatów“ dla dojeżdżającego weterynarza.

Jakkolwiek ustawa państwa z góry sprawę targów regulowała, ojcowie miasta zaczęli sądzić, że inny doktor z kanonikiem w zgodzie żyjący ochroni ich od

niepotrzebnego wydatku. I to był wreszcie dla Polaków i katolików argument namacalny i zrozumiały! Sprawa poczęła tu się kręcić i zwracać na prostą drogę.

Zaperzony pewien radny począł wykrzykiwać:

— Co mi tam do zbawienia jego duszy, czy niema żydów doktorami i radnymi, a przecież żyd gorszy od lutra!

— Ny, co pan gadasz taki paskudny interes, a kto winien Goldsteinowi dwa weksle? — powstał żyd radny.

— Flota grunt — ciągnął dalej miasteczkowy ekonomista. — Niech się zrzeknie z pensji tyle, ile trzeba na weterynarza, dalibóg będę za nim.

— Świństwo jest świństwem — słychać było Kordełę.

Lecz burmistrz z trabantami powtarzał gorliwie argumenty kanonika.

— Kanonik czy doktor! Duchowną osobę chcecie wygnać z miasta!

To znów zmieszalo radnych. Siła kanonika odezwiała się mrowiem po grzbietach, każdy się jej przeląkł, wiedząc, że kanonik nie da łatwo za wygranę.

Co czynić... stało niezmiennie, jako ziejący stwór.

Mazewicz pracował z całych sił, Kordela się cieszył, że ojcowie miasta wcale się nie gorszyli rzekomą bezbożnością doktora, a cieszył się, pałając złością do kanonika za dysputę, po której mu głowa ciężyła jak po antałku.

Tymczasem kanonik powrócił. Wyszedł czerwony, powrócił blady i nerwowo niespokojny.

Burmistrz na nowo otworzył posiedzenie, radni posiadali stroskani i bezradni. Kordela stał pod piecem.

Wówczas kanonik po raz trzeci począł przemawiać... zagrożony kościół, kraj, szczęście; tryumf szatana, zwycięstwo przewrotności.. nakoniec wnioszek:

— Rada gminna, po półrocznej zgubnej działalności dr. Łąckiego nabrała przekonania, że tenże doktor pod żadnym względem nie odpowiada pokładanym w nim nadziejom, natomiast staje się posiewem waśni i niezgody w miasteczku. Skutkiem tego rada gminna odmawia dr. Łąckiemu prawa stabilizowania się na posadzie lekarza miejskiego i postanawia rozpisać nowy konkurs z pominięciem rzezonego lekarza.

— Przystępujemy do głosowania — rzekł uroczyście burmistrz. — Kto jest za wnioskiem?

Kordela stojący pod piecem uległ nagle lotnej wyobraźni i przeniósł myśl w zacisze domowe do stóp małżonki. Przypomnił sobie jej śpiewne, ale wymowne zaklęcia, by na dom pomsty kanonika nie ściągał. Dreszczem go ruszyło.

Tymczasem burmistrz znów zarządził głosowanie: Szybko podniosło się rąk cztery i szybko opadło.

Było to naprzeciw pieca, pod którym stał Kordela zmieniony w słup ironji i rozkoszy politycznego życia.

Znany z wypowiedania śmiałych przekonań, bogaty i niezależny, stał się obecnie celem uwagi zgłuszonych rajców.

Rajcy dojrzeli wykrzywioną twarz świniobójcy. Dostrzegli walkę toczącą się w jego duszy. Wygodny spokój, a honor i uczciwość — dwie kule ogniste świeciły w duszy świniobójcy, gdy stał się celem bystrych oczu radzieckich.

Zmąciło mu się w głowie. Posłyszał śpiewny, ale wymowny głosik dozgonnej połowicy, a serce mu wezbrało uczciwością.

Począł się krzywić, jak do śmiechu, nagle się zdawało, że splunie na całą radę. Porwało go obrzydzenie, więc ryknął... bezdźwięcznie... ryknął duszą w duszy, tak, że zaledwie szept mu z pod wąsów wypłynął: „świństwo jest świństwem“...

I machnął ręką, bo wzgardził sobą i całą radą!..

— Kordela głosuje...

Oddźwięk ten, jak iskra, zaświecił po duszach radzieckich... wszyscy podnieśli ręce!..

Maziewicz i trzech mieszczan było w bocznym pokoju.

Kościuszkę i Mickiewicza rąk nie podnieśli...

Uchwała zapadła...

XXIII.

Świadomość, że jedzie do Stefki na roki miłości, dodała skrzydeł duszy młodego orła. Jazda wiosną, polskimi polami naprzeciw mgieł błękitnych, w promieniach nowego słońca, do starego dworca, starego szlachcica, by pod prapolską strzechą mogły się złączyć dwa nowe polskie duchy, wyjść z pod rodzimej strzechy i wiosenną pieśnią ożywić ziemię ran krzyżów i martwoty.. jazda taka była kolosą rozkoszy, zamieniła się w tryumfalny pochód wszelakiego dobra...

Niema złej drogi do swej niebogi... staropolskie przysłowie było zawsze młode. Byle prędzej, byle chyżej... a wypłakać się swej gołębiczy, wypogodzić godziny

młodości i w niebotycznej rozkoszy znaleźć osłodę cierpkiej doli.

Droga minęła jako marzenie, jako wiosenny wiatr. Co tam polskich pługów błyszczało promieniem słońca, ile tam runi zielonych barwiło podzielone pasma wzgórz, ile brzozowych lasków przejasnym szmaragdem pęków kołysało się w figlarnem świetle, ile kwiecica w gajach, ile skowronków nuciło ponad role, ile błękitu było w powietrzu — orle jadąc, liczyło wrażenia niezliczone. Wiosnę oglądamy corocznie podobną do minionych wiosen, podobne sobie śpiewy duszy dzwonią w każdą wiosnę, a zawsze niesyci wrażeń, ulegamy tajemnej sile odradzania się i stajemy się niewolnikami porządku Bożego, a porządkiem tym jest nieustanna walka o życie, bez względu na wszystkie systemy państwowe i religijne.

Duch żyjący w człowieku, ozdoba i korona życia, błogosławione ma od Boga prawa. Duch ma swoje wiosny i jesienie. Duch kwitnie... tymczasem ludziska, którym się wydaje, iż pojedli Boskie mądrości, dają formułkę, każą wedle niej kwitnąć i kwiat niszczą.. Tak! Są takie śmiałki, śmiałki w swej zarozumiałości, iż przeniknęli Boskie prawa... aż głupi.

Odwołują się na słowa Chrystusa, pieczętują sprawę temi słowami, nie bacząc, że Chrystusowa prawda w głupich rozumach ludzkich może się stać niczem lub szyderstwem świętości.

Łąckiego duch kwitnął, ks. Alojzy Ziemia usiłował go zniszczyć. Tymczasem wydaje się i wydawać się musi, iż w obliczu prawdziwego Boga arcykatolik stał się poga-
ninem, wyklęty z Kościoła... Bogu miłym.

Wszak kwitnął szlachetnym i zdrowym kwiatem.

Topolowa ulica, grupy krzewów i lip pękających, w końcu dach szary, omszony, ponad dach dwa białe szerokie kominy. To gniazdo szlacheckie, klejnot minionych dni.

Chłopski wózek zajechał pod ganek o trzech słupach, z mazołem dźwigających daszek nieco w tył pochylony. Rzępięty jastrząb na facjacie ganku wisiał jako postrach dla niedobrych gości, staruszek w czamarze, polskich butach, o lasce, stał na ganku dla powitania oczekiwanego przybysza.

Gość w dom, Bóg w dom, to było widać z marsowej twarzy gospodarza, lecz Łącki przeszył szczęsnym wzrokiem twarz polską szlachcica i jego czamarę, i dojrzał Stefkę, kryjącą się za staruszkciem.

Powitanie ich było podobne do błękitu kwietniowego dnia.

Staruszek, żywcem przerobiony z konterfektów staropolskiej daty, rozkładając ręce, prosił gościa w pokoje, gdzie matrona czekała.

Sprzęty, zanikające dziś, godnie odpowiadały wyglądowi starej pary, wiejąca ciepłem otwartość i gościność, woń starych murów, niskie i głębokie okna, olbrzymi zegar głośno tykający, kontuszowych kilka postaci w drewnianych ramach, wierne psy pana myśliwego, z dziada pradziada, fajczarnia w kącie, ręczne wyszywane roboty na sprzętach, pani w czepku prababek, podłoga skrzypiąca i szparowata, piece szerokie, barczyste, niskie; cokolwiek w tym pokoju się znajdowało, czy to był sprzęt czy osoba, było zespolone znakiem przeszłości.

Śniadanie obficie zastawione już czekało. Żwawa staruszka, pani domu i mówić wiele nie pozwalała, a jeść, („bo pan zdrożony“), napędzała

Stefka była daleką krewną, lecz kochaną przez staruszków osamotnionych na starość. Synowie i córki, nie wyposażone dostatnio, żyły po świecie, walcząc o byt, jak wszyscy, boć stary szlacheć z niewielkiej wiosczyny złota nie zbierał. Wychował potomstwo uczciwie, sam bojował i gmatwał, aby na wszystko wystarczyć, dziś z dumą mawiał:

— Szlachta w długach, tymczasem Bóg mi dał tyle dla ojczyzny uczynić, żem pięcioro dzieci wyekwiłpował; a cent obcy, broń Boże żydowski, na wiosce nie cięży.

Staruszek korzystnie uprzedzony dla młodego człowieka, postrzegł zadowolenie gościa, toż się rozgadał. Nie wypadało gościowi przerywać.

• Stary mówił:

— Bo to wy wszyscy młodzi fanfarony, filozofy, wszystko, co stare, rzucilibyście na śmiecie i tylko przerabiać, uicować, na starych narzekać.

Łącki uczynił gest zaprzeczenia.

— Nie kręć pan głową. Dzieci mi ustawicznie głowę suszą, ile razy przyjadą do starego ojca. „Zrzuć ojciec ciężkie buty, zamiataj błoto pantalonami“ ja im gadam, sprawię sobie frak, włosy ufryzuję, laseczkę sobie kupię, kapelusik z piórkiem na bakier, babulinę zamknę w piecu, sam się ożenię z feministką i pokażę wam, co stary umie!

Cieszył się starowina własnymi żartami, a młodzież patrzyła w niego z czią, okraszoną uśmi chem.

— Nie myśl pan, że dzieci obgaduję — mówił staruszek — One chcą mi dogodzić po swojemu, ale zapominają, że lipie najładniej z lipowymi liśćmi, a staremu, gdy chowa staropolskie wszelakie cnoty. Co? Śmiejesz się pan z cnot staropolskich? Ha!.. Strzelisz mi argumentem, że piękna to cnota, co ojczyznę rozdarła... A!.. mój szanowny panie, ilem się napłakał, aby wypocić ze siebie rezon, któryby zbił ten straszny argument.. Przyznaję w pokorze ducha, iż na nas, właściwie na mnie i moim ojcu i dziadzie cięży akt morderstwa matki, niechaj Stefunia jako świadek opowie, ileśmy się o tem nagadali. Lecz przyjm, szanowny młodzieńcze, do wiadomości, że wypłakałem i wybolałem wreszcie odpowiedź na wasz argument i przyjm ją ku wiecznej pamięci: Była polska stara cnota, była i jest, znasz historję. Ona chorzała toczona polskiem warcholstwem, wreszcie skryła się w takich oto dworkach. Ale była i jest i działa, najlepszym dowodem jesteś ty, mój szanowny gościu, jest Stefunia, moje dzieci i to wszystko polskie, co żyje. Bylibyśmy już niemcami lub moskalami, gdyby nie polska cnota. A co! A co! Czy niema prastarej polskiej cnoty!..

— Jest, jest! — odpowiedzieli młodzi.

Staty był zadowolony i szczęśliwy. Widać było, iż oracz polskiej ziemi ma sumienie białe, jak i włosy, jak i mowę, iż godnie cnoty polskie piastował.

Staremu gawędy nie zamkniesz:

— Wiem, wiem o panu wszystko, jechałeś tu z uprzedzeniem, jechałeś do stańczyka, konserwatysty, zagradzającego ci drogę do rozwoju. Otóż nie, otóż nie! Konserwatystą jestem, nim być muszę, mam pewne prawo do tego, źle by było gdybym się mięszał do życia nowego stulecia. Tak, mój szanowny młodzieńcze. Lecz dzieciom

nie pozwalam się konserwować. Ty synu lepiej rozumiesz wymagania czasu. Jak widzisz, że narody przygarniają gmin do wspólnego życia, ty przygarnij, bo było to polskiem warcholstwem stawać okoniem przeciw uczciwemu postępowaniu świata. Długie życie kazało mi oglądać dzięki Bogu tyle zmian w narodzie, że dziś kraju nie poznaję starym wzrokiem zapatrzony w szczęśliwe czasy młodości. Prawda babuleńko! — odezwał się do wchodzącej pani domu.

— A dajże się dzieciom sobą nacieszyć, gderusiel

— Pan dobrodziej bardzo mądre rzeczy opowiada — rzekł Łacki.

— Bo od Stefuni wiem, co pan zacz i jaki trefnoś, nagotowałem też dla pana gderaniny, to i wysłuchać musisz.

— Więc dlatego wujaszek, jak rabin, przez kilka dni dumał! — wesoło zawołała Stefka.

— Niech wie, co o nim myślę — mówił stary. — Tak, szanowny gościu, wszystko ci woino czynić, jednego nie wolno ci, a to wznawiać polskiego warcholstwa. A niech cię ręka Pańska broni, bobym cię w grobie przeklął! Bądź takim, jakim cię Stefunia przedstawia.

Stefka błękitnemi oczętami popieściła swego bohaterę.

— Polski szlacheckiej już nie będzie! — ciągnął dalej stary szlachcic. — Polski szlacheckiej już nie będzie! — tu zadumał się chwilę, jakgdyby spoglądnął starym wzrokiem w szczęśliwe czasy młodości. — Niechaj cię sumienie i miłość ojczyzny prowadzi, sam wiem, że Bartosz armaty moskiewskie zdobył, słyszę, że mówicie, iż naród musi liczyć, ileś tam wyszkolonych milionów,

aby żył... więc niech was Bóg wspomaga, róbcie jaką chcecie Polskę, byle była uczciwa i zgodna.. Stary was zawsze pobłogosławi... Polski szlacheckiej już nie będzie !.. Pracujcie !..

Szlachcic zaświecił mokremi oczyma i czy do siebie, czy przed siebie, lekko wyciągnął drżącą rękę i znaczył w powietrzu znak krzyża.

Łącki porwał się, podbiegł ku starcowi i ze czcią pocałował go w rękę.

— Dziś jestem pomazany i błogosławiony powołana do tego ręką!

Ślubuję i dotrzymam!

Gdy stary poczuł całunek na rękę, zachnął się, oburknął, pani poczęła gderać staroego za gderanie, ale wszyscy obecni w staropolskiem gnieździe dziękowali Bogu za tę chwilę.

— Idźcież dzieci na przechadzkę, idźcież, bo stary was zanudzi — poczęła naglić staruszka.

W słońce, szczebiot ptaków i życie kwiatu wybiegły dzieci, trzymając się za ręce.

— Stefka, Stefka, Stefka... — powtarzał on, ona odpowiadała — mój ty jedyny na świecie...

Rozpanoszyć się trzeba było w nieznanem gnieździe. Oboje wybiegli na topolową ulicę i zobaczyli drózkę między pola do gaju bardzo bliskiego. Topole słupem stały, jeszcze bezlistne, jednak barwa gałązek miała blask wiosny, a tam w oddali widać było rozświetlone błękitne przestrzenie, życia wstęgę, gaj zaś blisko, bardzo blisko.

Poszli, nie dotykając bruzdy.

Posłańce miłości, listy codzien niemal pisywane, opowiadają wzajemnie każde drgnienie zakochanych.

Wiedzieli więc o sobie wszystko, ale gdy wieki się nie widzieli, grała między nimi pieśń bez słów, promienne oczy, niebo na twarzach i w sercach...

Las kwitnął! Oglądał kto kiedy kwitnący las? Pnie grają życiem, ciepłe światło rzuca plamy barwne na korę wiosną malowaną, ścieli się na czerwone i złote podłoże leśne, pełne białych, żółtych, niebieskich i czerwonych kwiatów. Las kwitnie i szemrze rozkwitem i głośniejszym śpiewem ptasząt, niż na polach. Rodzajna miłość ma swe miodowe dni dla roślin i zwierzęcia, dlaczego człowiek ma stronić i wyplatać się z wieńca rozkoszy?

W świątyni szalejącego szczęściem lasu rzucili się sobie w objęcia. Chwile te są gorącym objawem życia i są jedynie piękne, gdy odbywają się bez świadków. Tu tak było. Wesole duchy leśne wtórowały zakochanym, tonącym w uścisku, którego się rozpleść nie chciało, którego w młodości nigdy się nie rozrywa.

Łącki tracił panowanie nad sobą, Stefka rozwinęła całą potęgę ukochania. Chwila taka nie zna zapory, chwila taka jest tem gorętszą czem więcej przegród zwalczają dążące ku sobie olbrzymy miłości.

Jako wolni, sobie z rozkoszą oddani, czuli się władcami chwili, wydawało się im, że sokoły, rumaki, obłoki na błękiecie, to słudzy obowiązku, oni zaś królestwo swe zdobyli, w którym żyć można, jak tylko serce zapragnie. Las kwitnął..

Zeszło się tak, iż wieczorem złoty księżę nieba wszedł w pełni na drogę niebieską, kochanków noc rozdzielić nie mogła. Staruszkowie ufali młodym, zresztą cieszyli się ich miłością i nie przeszkadzali. Staruszek wcześniej poszedł spać, babuleńka odprawiała różańce

i modły na powodzenie młodych, młodzi usiedli na ławce przed domem, wprost przestrzeni całowanych księżycowymi blaski. Potoczyła się cicha, serdeczna rozmowa spleciona i splatająca ich żywoty w jedno pasmo potęgi, szczerości i zaufania.

Stefka już dawno wymogła na ukochanym, że nie przed nią nie zatai, wzamian może wszystko bez ograniczeń opowiadać, pisząc: „bom już twoja na zawsze i nie na to nie poradzę“.

Dziś powtórzyła zakłęcie i wezwanie do bezwzględnej szczerości i poczęła słodko karcieć kochanka za bierne zachowanie się przy tak natarczywej agitacji klikli miasteczkowej.

Łącki westchnął i rzekł:

— Stefka, czy chętnie chodzisz po błocie?

— Jeśli muszę...

— Tak, tak. I ja chętnie chodzę, gdy muszę. Ale tu nie musiałem. Ta dobrowolna walka może mi siły napinać, lecz małomiasteczkowe intrygi zwalczać ani nie jest naszym celem, ani nikomu się to nie przyda.

Idjotów nawracać próżna rzecz.

— Ale tu o naszą egzystencję idzie, mój drogi, najdroższy.

— Nie. Naród podłym nie jest ani tak głupim, by z głupoty podłość popełnił. Ziemia uchwały nie przeprowadzi!

Stefka rzuciła się Romanowi na piersi. Stanowisko rady miasta było wyrocznią dla jej najbliższego szczęścia. Tak długo nie mogli się pobrać, jak długo on nie miał zapewnionego stanowiska. Więc ufność kochanka w rozum ojców miasta, to niezmierna ulga w dniach szczęścia, które by chciała mieć niezamącone i błękitne. Skłoniła

przeto główkę na dyszące piersi młodzieńca i powtarzała z cicha:

— To mądrzy ludzie, oni nie uczynią krzywdy memu skarbowi.

Łącki trwał w milczeniu. Rozmowa o zamiarach kliki zepsuła mu smak księżycowego romansu. Westchnął kilka razy i wreszcie z wysiłkiem mówił:

— Nie lekko ci Stefko na świecie, ale z brudasami nigdyś nie wojowała. Taki Maziewicz, prosty chłop niemal, a z obrzydzeniem mówił o rozmachu zaślepionego komitetu. On, prosty człowiek, cóż dopiero my złożeni z nie wiem ilu dusz, którą każdą po kolei ranić można. Wyhodowani koronkową cywilizacją tracimy się wobec brutalności, bić się za ojczyznę możemy i z brutalami, ale odpłacać pięknem za nadobne raniłoby nas jeszcze dotkliwiej. A świadomość tych paskudstw, osłabienie nerwowe na widok tych gruboskórców... to raczej chorobę nerwową wywoła, niż zachęci do odpierania publicznej napaści. Jestem świadom, że nigdy, z jednym wyjątkiem, nie obmówił kanonika, podchodzono mnie, ale zawsze oddał mu słowami szacunek ...ten dżentelman tak mi się odwzajemnia.. Ha!.. straszne.. ale wierzę w zwycięstwo dobrego.. Maziewicz umie też rąbać.

Zasepił się, uroki romansu wraz z promieniami księżycy bladej, Łącki widział cienie, jasność tracił z oczu.

Stefka poczęła go znów ciągnąć w bramy rajy. Ale chwilowy smutek młodego człowieka był zbyt mocny.

— Ciekawym, coby uczynił ze mną, gdyby się dowiedział, że podobnie, jak tyśiące panów, mam swoją wiarę, tem się tylko różnię, iżbym się tej swej wiary

nie zapar! Wierzę w Boga, lecz inaczej, on by niezawodnie o inkwizycję wołał, gdyby wiedział..

Stefka koniecznie chciała romansu. On zaś mówił — *Rzucił się bez przyczyny*, za surowe określenie jego politycznych fantazji! To najbezczelniejsze. Przeprosiłem go, on się począł frygać, aby dysponować moją osobą! To gwałt, bezczelne uzurpowanie władzy, którą w państwie ma tylko rząd. I ten bezwstydnny piewca porządku społecznego, prywatnie na swoją rękę dysponuje moją osobą, przez co staje się typowym anarchistą. Ha!.. Właściwie trzebaby w pysk trzasnąć tego człowieka!.. Szcęściem niewielu takich demoralizujących całe otoczenie... Ja swą mizerną osobą Kościół zawalę... co za bezczelność! A choćym był lutrem istotnym, to najmądrzej nie rozdmuchiwać walki religijnej, gdy ja jego świętości nie tykam... cóż uczynilem... czy wiesz Stefka, że *chłopi śmiali się z tej walki religijnej* i to nie raz, i to spokojnie żyjący chłopci, wcale nie politycy.

Po chwili znowu mówił:

— Kazałem natychmiast dać znać przez posłańca, co tam uradzą.. ale mam dobrą nadzieję, chociaż drzę na myśl o ponownem znalezieniu się na zielonej paszy... Lecz Polacy podli nie są...

— Nie smuć się, nie myśl ustawicznie o tych okropnościach... mój wodzu droższy po nad wszystko... Tego nie będzie, byś uległ napastnikowi.

— Nie... nie... nie...

— A gdyby się stało...

— O nie!.. o nie!..

Stefce słodczye miłości pachły, jak róże — mimo to niepewny los i łkania i nerwowy gniew kochanka, udzielił jej swych węzowych uścisków.

I ona nakoniec straciła wiele z czarów uniesienia miłosnego. Naraz przeszył ją lęk, ponieważ złe zakończenie sprawy rozsądek wprowadziłoby do czynu... rozsądek zimny, pełny woli i charakteru, a tak okrutny!

— Pójdźmy, pójdźmy błazie, chwytajmy chwile, bo są drogie, najdroższe.

Wstała z ławki i pociągnęła za sobą kochanka. Więc poszli drogą, wyglądali z oddali, jak para bezdomnych tułaczy, których naprzemian to rozkosz, to gorzki płacz goni.

Pod wpływem wędrowki na przebój przez promienie księżycy, uroki jak kwietne widma poczęły powracać, coraz gęstszem koliskiem owijać kochanków, tulić ich do siebie, rozplómieniać serca i łechtać podniety rozkoszne... wreszcie wyższa siła musiała zwyciężyć i na nowo zwieńczyć ich... Późną nocą powrócili.

Ze śpiewem ptaków powstawali, wysłuchali uwag staruszka o rannem wstawaniu i poszli w gaj.

Las kwitnął. Czerwony i złoty kobierzec mienił się kwieciami o barwach prawdziwej jasności. Kwiaty mówiły, że każde jestestwo na świecie ma chwile takiej wielkiej jasności, przedewszystkiem w dojrzałej młodości, czasie kwitnięcia.

Kwiaty przeczyły mniemaniu, jakoby dzieciństwo było najszcześniejszym okresem życia. Dzieciństwo najmniej sprawia troski, atoli szczęsne pokonywanie trosk, rozbudzone popędy miłości, poczucie lwiej siły i świątobliwej szlachetności — to epoka jasnych kwiatów, która pozostaje w pamięci niby brylant wiosennej rosy, kiedy się jest już nasieniem, lub kiedy burze stargają dorobek życiowy.

Las kwitnął. Stefka poczęła kwiaty rwać i rozrzucać w cztery strony świata, marnowała krasę, albowiem miała dosyt i obfitość wszelkich uczuć i dumną była, wiedząc, iż dość jest piękną i dość kocha, aby starczyło ukochanemu i światu.

Łącki patrząc na tańczącą Stefkę po kwiatkach i w słońcu, rozumiał, że uroczysta harmonja świata właśnie w nich tron znalazła, że ich szczęściu przeszkadzać, byłoby co najmniej siłą przed prawem.

Poranek błękitną jasnością potęgował nastroje, a gdyby nie to, że należałoby coś oddać i gościnnym staruszkom, zostaliby w kwitnym lesie do południa, gdyż zaledwie rozpoczęli poemat miłości, który w podobnych warunkach trwać by chciał bez końca.

Rojenia, zamiary na przyszłość, szczęśliwe w swej drobnostkowości układanie przyszłego życia, spory o to, jakie kwiaty trzymać we własnym gnieździe. Stefka z niezwykłą zawziętością obstawała za roślinami kwitnącemi, Roman mówił ustawicznie o liściastych olbrzymach, które będzie hodował w beczkach. Marzyli o ogródku przed domem, ponieważ z góry przypuszczali, że los będzie ich wodził po miasteczkach. Do wielkiego mias'a trzeba animuszu handlowego, trzeba grać z miejskich nut, daleko od chłopstwa, podpory każdego państwa i narodu.

Wreszcie oddawali godziny staruszkom, spowadźniawszy przy nich, znów biegli sami w bezmiary wiosny, do wioski, w pola, nad rzeczkę i za skowronkami. Sielanka poetom za przykład służyć mogła. Łącki zapadł w rój szczęścia, pił je bez spoczynku, ni razu nie pomyślał, iż trzeba wracać do obowiązku.

Trzy dni przetrwały w niezmałonej ciszy świata. Zły duch, acz małą jeno szczelinką mógł się do stać do świadomości spętanego rycerza, szepnął mu kilka razy o miasteczku.

Cisza ze strony miasteczka poczęła go niepokoić, natomiast Stefkę pocieszać. Stefka wierzyła polskim mieszczanom.

Wtem grom padł!

Poczta przyniosła pismo Maziewicza.

Wielki ból niszczy sam siebie swym ogromem, sprowadzając chwilową śmierć duszy.

Stefka zawodziła bez pamięci, lecz ni łzy nie uрониła, ni słowa nie wymówiła. Zawodziła młoda dusza, zgruchotana zamachem potwora... szalała skowytem bezdennej klęski, że boleśnie było patrzeć na oczy zawsze błękitne, lecz przykryte kirem bólu.

Łącki więcej po męsku cios przyjął. W uniesieniu wściekłości, chciał wszystko szarpać na sztuki, pomstował i tonął w poczuciu fatalnej rozterki. Blady jak trup, kurczył pięście i wpadał w pieniącą się złość nie z powodu łajdactwa intrygantów, ale z powodu tragedji uczciwej podłości rajców.

Zmasakrowali człowieka, którego uważali za dobrego!

A!.. Na stos! Zniszczyć plemię bezduszne. Ot, dla czego Polska stała się niegodną samodzielnego bytu. Półgłówki, spadkobiercy szlachty zaściankowej, służącej królewiccia, a nie rzeczypospolitej.

Niczego się nie nauczyli, niczego nie zapomnieli!

Jak kto sobie pościeli, tak się wyśpi!

Nahajem was — nie wolnością! Niewolniki!!!

Huragan krwi czerwonej wył w Łąckim. Przeklinał! Staruszkowie nie rozumieli całej sprawy mimo wyjaśnienia. Lecz staruszkom się nie dziwić, tego boju młodej Polski ze starą Polską i młodsze mądrale nie rozumieją, czy rozumieć nie chcą.

Przeklinał!!!

Postanowił natychmiast wracać do miasteczka; może się co naprawi, gdyż w przeciwnym razie szukaj chleba i pola do pracy, a dziś o chleb nie łatwo.

Nie miał odwagi myśleć o swym stosunku do Stefki.

Natomiast ona jedynie o tem myślała myślami czarnymi.

Po dniach szczęścia zmącił się świat brudnymi plamami. Nie mogąc znaleźć lepszego sposobu, godziła się na natychmiastowy powrót kochanka do miasteczka, aczkolwiek bolało ją, iż dziś inaczej Roman nie może postąpić, jak żebrać... łaski, za winy potwornej wiązanki plugawych ludzi.

Tymczasem nie rokowali dobrze, ponieważ on zastrzegł się wyraźnie, iż dość już miał żebraniny, przepraszając swego czasu człowieczego bachmata — kanonika i służąc społeczeństwu, jak poddany. Przysięgał, że żebrać nie będzie.

Stefka nie mogła oczu błękitnych otworzyć, bo wszędzie, gdzieby spojrzała, dojrzałaby przenikliwy gest Satyra, szydzącego z nadziei i rojeń ludzkich.

Postanowiła niezwłocznie uciec z miejsca, gdzie mdlejący zawadzają rozkwitowi błękitów.

Kurczowo tuliła się do swego nieszczęsnego rycerza, duch jej wrzał..

— Nie dla nas skromne pożądanja... idźmy z Bogiem, tysiąckrotnie nadstawiać czoła za siebie i źle wychowany naród... Wola wyższa, nasz żal i ból, lecz musimy siać nowej Polski ziarna... to nasz święty obowiązek!.

Łącki na chwilę ochłonął i ze zdumieniem począł wpatrywać się i pytać wzrokiem Stefki, skąd wzięła przytomność i ochotę do takich postanowień.

W tej chwili jaskrawo stanęły mu w pamięci słowa Stefki, Flory, Zabudy.

Zakrył ręką oczy i czuł, że mu zimno zbiega do mózgu. Przemoc bólu poczęła go dusić, miał ochotę z rozpaczny głowę rozbić o głązy. Widmo prawdy, iż rodacy umięją być podli z powodu jego głębokiej... choć może innej... miłości ojczyzny... jak upiór przebrzydły stało i stało i judziło do szału. Jakże łatwo bolem spopielić i wyrzec się narodu, plunąć mu w ślepia i przeknąć: giń, skoro żyć nie umiesz! Przepadnij podły i głupi narodzie...

Atoli Łąckiemu nie mógł dać rady judzący upiór. Zbyt dobrze wiedział, w nieprzytomności przytomnie jedno wiedział, że to głupie stado nigdy, przez wieki może... dobrych pasterzy nie miało...

Stefka nagliła do rozjazdu. Babuleńka płakała, pytała, dlaczego, lecz szczęśliwy oracz, któremu nikt prócz Boga roli nie odbierze, nie rozumie, że i w szczęściu trzeba szukać chleba, że chleb niekiedy o szczęściu stanowi.

Martwy z bólu Łącki nie śmiał przeciwieć się nerwowym postanowieniom Stefki. Całowała go bez miary, bez względu na otoczenie, lecz w pocałunku znać było twardą wolę obowiązku dla macierzy.

Łącki nie wiedział, czy boleć za utraconym rajem, czy czcić i podziwiać w ekstazie świętą walkę bohaterskiej dziewczyny.

Zbyt był rozumny, aby nie wiedzieć, że Stefka składa na ołtarzu ojczyzny, co ma najdroższego, chciał zakazać, ale nie śmiał wobec ogromu i świętości tej cfiary.

Grały gromowy hymn słowa przebiegłej Flory i świętobliwego kapłana:

„Żołnierz musi być wolnym!”

„Przyjemniej będzie ci wisieć bez troski o ukochanych!”

Boże! Boże!

To się dzieje w gronie swoich . ziomków... O! Przeklęte plemię słabych...

Stefka zebrała się do drogi, nie pozwoliła się odprawić do stacji kolejowej.

Lecz on zdobył chwilę buntu.

— Jesteś moją i niczyją inną. Jeśli zechcę się z drogi cofnąć musisz się wrócić za mną.

Stefka wolę ukryła po za niezmierną miłość i musiała usłuchać. Ze stacji kolejowej Łącki wracał sam, sam, sam.

Załamał ręce i powrócił do miejsciny brudnej, cuchnącej.

Rozglądając się po ludziach, doszedł do przekonania, że natychmiast trzeba się oglądnać za nową posadą.

Bić się tu w pojedynkę było stratą czasu i głupstwem.

Napisał do Stefki, codziennie pisał... lecz odpowiedzi nie otrzymywał. Co to?!

Rozgorączkował się, popędził do Krakowa, zastał trwożę w domu sędziego, prawie śmierć...

Stefka nagle bez pozwolenia wyjechała na wieś, przyjąwszy posadę nauczycielki.

Ojciec i syn... bo Łąckiego sędzia jako syna kochał, co tchu pospieszyli, aby dziewczynie „wybić głupstwa z głowy“.

— Stefka, ty zupełnie po polsku czynisz, albo nie, albo egzaltacja. We Wisłoku tyle nazbierałem, że dwa miesiące mogę siedzieć na bruku, do tego czasu miejsce znajdę. Kładź się na krzeselko, zaraz tatuś przyniesie trzcinkę z klasy.

Tak mówił Łącki, żartując, chociaż mu się serce krajało.

Stefka do tego stopnia się przejęła wypadkami we Wisłoku, że bezsenne noce przeplakując, cały dzień zabiła pracą, aby nie myśleć, zapomnieć... „ponieważ on ma wyższe rzeczy do spełnienia, ja mu zawadzać swem szczęściem nie mogę“...

Łącki lękając się, by Stefka nie popadła w nerwicę, siedział przy niej wraz z ojcem, wreszcie zabrał ją z powrotem do Krakowa.

Może się zmieni „na lepsze“... w Polsce...

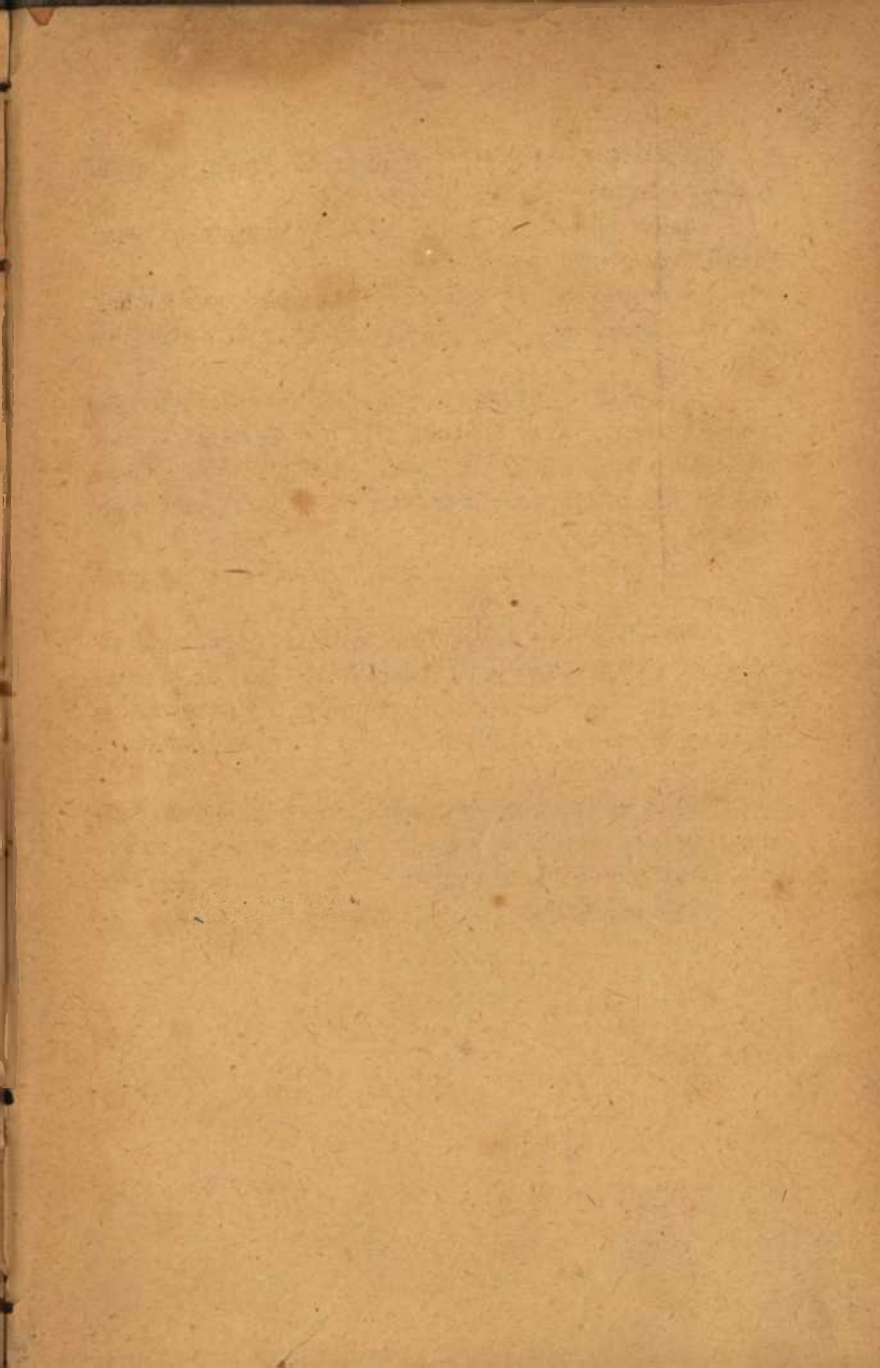
BIBLIOTEKA
UMC
LUBU

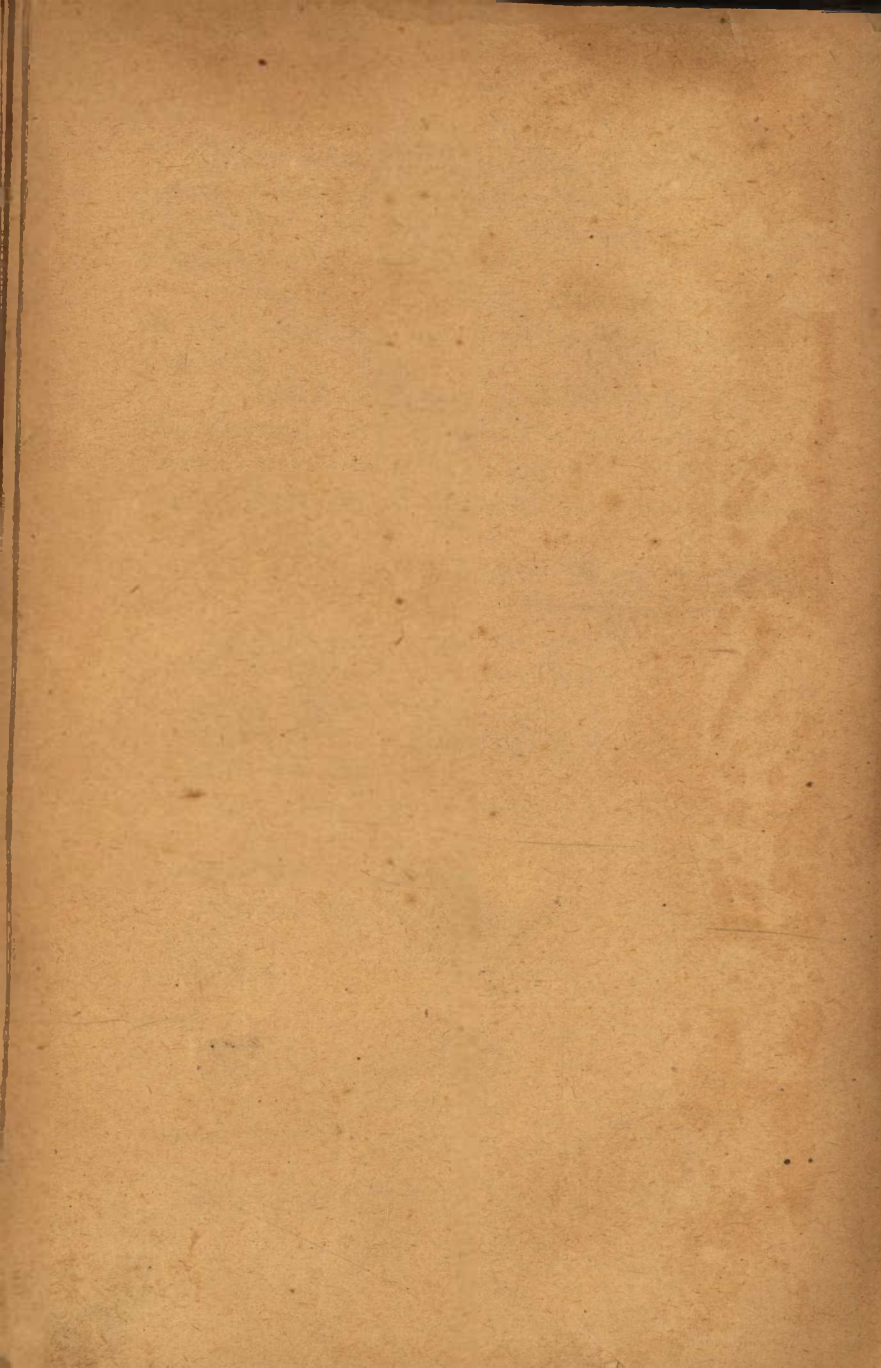


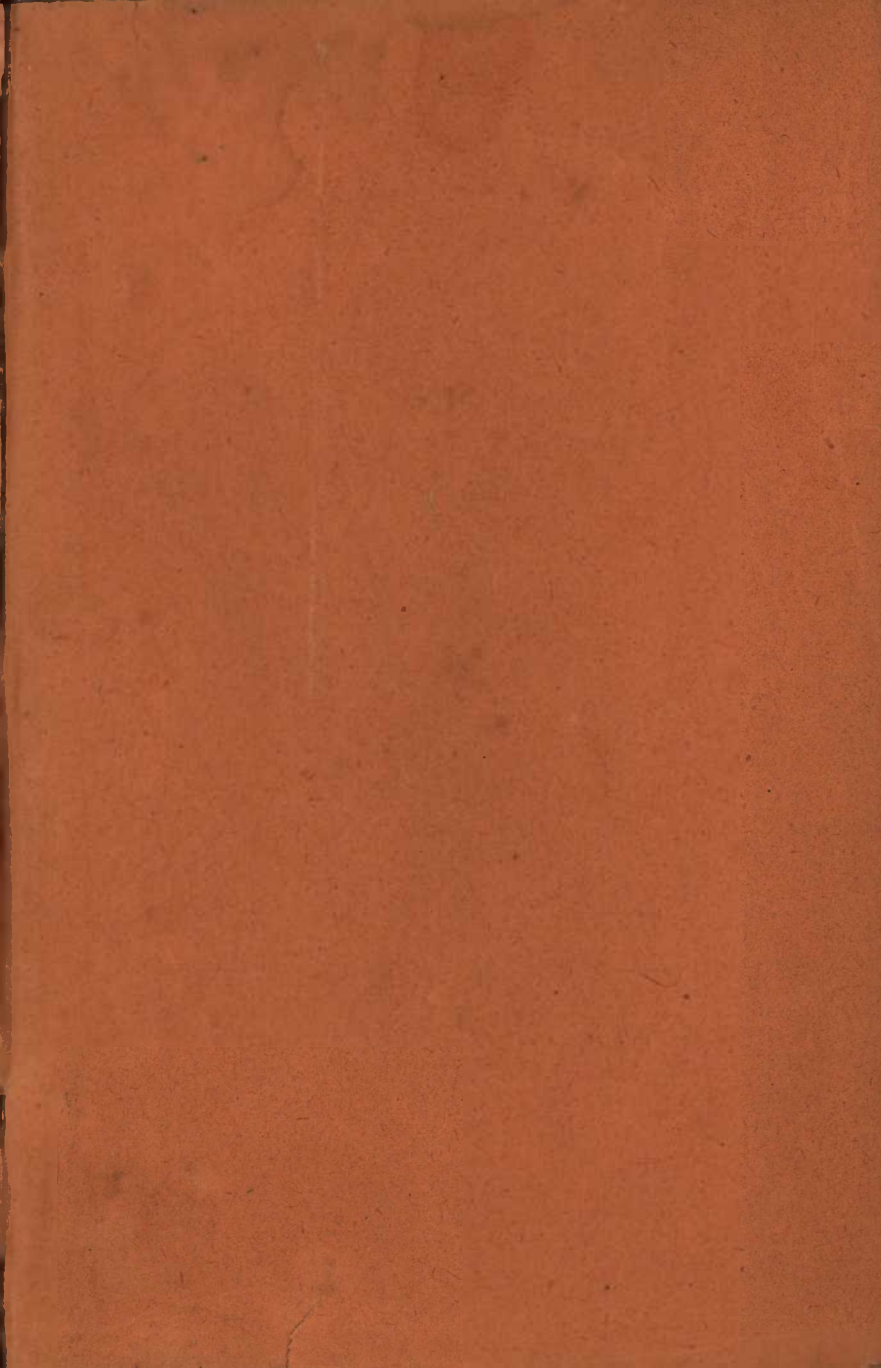
BIBLIOTEKA

URZĘDNIK TOW. WZAJ. UB. w KRAKOWIE

SEKOWA IV.







Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 18313



1000173406